

PAUL CARSON

SKALPEL

Przełożyła z angielskiego Urszula Gardner

Wydawnictwo „Książnica”  
Tytuł oryginału Scalpel

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.

Wydanie pierwsze Katowice 2009

Dla Jean — mojej Żony

PODZIĘKOWANIA

Wiele osób służyło mi pomocą, podczas gdy pisałem tę książkę. Jedni sprawdzili poprawność żargonu medycznego i poprawiali mnie tam, gdzie moja wiedza na tematy związane z ochroną zdrowia okazała się niewystarczająca; drudzy podzielili się ze mną nie zawsze zrozumiałymi dla laika zawiłościami z zakresu prawa; jeszcze inni wyjaśnili mi szczegółowo, jak działa Garda Síochána — irlandzka policja, nawet w dzisiejszych czasach w dużej mierze nieuzbrojona zgodnie ze swoją nazwą („pokojowa straż Irlandii”).

Podziękowania jestem winien szczególnie: doktorowi Johnowi (Jackowi) Harbisonowi, profesorowi medycyny sądowej, pracownikowi

naukowemu Royal College of Surgeons in Ireland;  
doktorowi Barry'emu Gaughanowi, specjalście ginekologowi położnikowi  
zatrudnionemu w dwóch dublińskich szpitalach: Rotundzie i  
Beaumont;

profesorowi Tomowi Matthewsowi, specjalście pediatrze zatrudnionemu  
w Rotundzie i szpitalu dziecięcym przy Tempie Street w  
Dublinie;

panu Johnowi Hylandowi, specjalście chirurgowi zatrudnionemu w St.  
Vincent's Hospital w Dublinie.

Moja książka z pewnością nigdy nie zyskałaby ostatecznego kształtu,  
gdyby nie następujące osoby:

pani Feena Field z laboratorium analitycznego kliniki Black-rock w  
Dublinie, która zapoznała mnie ze specyfiką pracy analityka  
medycznego;

5

Stephen Rae, niezależny reporter współpracujący z kilkoma irlandzkimi  
gazetami, który okazał się kopalnią informacji na temat  
przestępczości w Dublinie i działalności Garda Siochana;

Ronnie Lynam, prawnik z kancelarii Partners at Law z sąsiadującego z  
Dublinem miasteczka Dun Laoghaire, który na bieżąco odpowiadał  
na moje pytania i korygował moje błędy;

wreszcie kilkoro czynnych zawodowo funkcjonariuszy Garda Siochana,  
którzy nie taili przede mną obowiązujących ich procedur. Jako że  
wszyscy oni życzą sobie pozostać anonimowi, mogę im podziękować  
tylko w takiej formie: wiecie, o kim mowa i że jestem wam  
zobowiązany za pomoc.

Wszystkim, którzy przyczynili się do tego, że „Skalpel” ujrział światło  
dienne — dziękuję za poświęcony czas i niezwykłą  
cierpliwość.

Paul Carson

PROLOG

Poniedziałek, 3 lutego, godzina 20.45 Budka telefoniczna przy  
Moiesworth Street w Dublinie

— Halo!

— Chcę mówić z Johnem.

Chwila ciszy, potem odgłos przyśpieszonego oddychania. Wreszcie: Tu  
John powiedziane ostrożnie, powoli.

— Witaj, John. Tu Bobby.

Pomruk, mający sugerować, że rozmówca rozpoznał, kto dzwoni, a może

tylko wyrażający ulgę. I: — Siemasz, Bobby. Jak leci? — zbyt gładkie, zbyt okrągłe, zbyt londyńskie.

Będę w mieście dwudziestego pierwszego, w piątek. Powinienem wylądować o jedenastej piętnaście.

— Miło mi to słyszeć, Bobby. Miło mi to słyszeć.

— Chciałbym złożyć zamówienie na ten dzień.

Masz głowę na karku, Bobby. Ceny ostatnio spadają. Będziesz chciał to co zwykle?

— Tak.

— Załatwione, Bobby. Możesz na mnie liczyć.

Zadzwoń, jak już będę na miejscu. Tak jak zawsze.

— Jak zawsze, Bobby, będzie w sam raz.

Tym razem chwila ciszy po stronie dzwoniącego. Wreszcie:

— Możesz mi też załatwić dziewczynę?

Głośne sapnięcie, krótki szelest jak przy kręceniu głową. Cmoknięcie. I:

— O, to nie będzie takie proste, Bobby. Widzisz, ostatnia dziewczyna się na ciebie skarżyła...

Milczenie zamiast odpowiedzi.

- Stukłeś ją, Bobby. Zbiłeś na kwaśne jabłko. Chyba pamiętasz, co?

Znów cisza. Po dłuższym czasie powtórzono:

— Możesz mi też załatwić dziewczynę? — Nie prośba; żądanie.

„Przestań pierniczyć, stary, tylko bierz się do roboty.”

Chrząknięcie i parę szelestów. Potem niezdecydowane: —No, nie wiem...

Będę musiał poszukać gdzieś dalej, rozumiesz... A to, Bobby, oznacza, że dostaniesz po kieszeni.

— Ile?

Ani sekundy na zastanowienie.

- Pięćset. Za noc. Ale jeśli ją też stłuczysz, nie dzwoń do mnie więcej.

Chwytasz? Zrobisz z niej siekany kotlet i możesz o mnie

zapomnieć! — Ułożony, śliski ton nagle zniknął, zastąpiła go nieskrywana złość. Mimo to odpowiedź padła natychmiast.

— Jasne, nie ma sprawy.

— Tylko się nie obrażaj, Bobby. Interes musi się kręcić, wiesz, jak jest.

— Koniec z cmokaniem i kręceniem głową. Interes to

interes. Najważniejsze są warunki. — To co, zadzwonisz do mnie jak zawsze?

— Zadzwoń jak zawsze.

— To do zobaczenia, Bobby. Do zobaczenia.

Klik.

Odłożył delikatnie słuchawkę. Para z jego oddechu pokryła mgiełką szyby przeszklonej budki. Poprawił na sobie płaszcz, szczelniej zacisnął szerokie klapy z przodu i dopiero wtedy wyszedł na zewnątrz, wprost w mroźne wieczorne powietrze. Nie rozejrzał się — ruszył od razu przed siebie, jak człowiek, który ma coś ważnego do załatwienia. Mieszając się z tłumem na ulicy, zdjął jedna po drugiej lateksowe rękawiczki, które miał na dłoniach. Lewą włożył do przetłuszczonej papierowej torebki z McDonalda, których parę specjalnie na tę okazję trzymał w kieszeniach płaszcza. Przeszedł jeszcze kilka kroków i wrzucił torebkę do kosza na śmieci. Z prawą — ale dopiero po dziesięciu minutach — zrobił to samo, pozbywając się jej parę przecznic dalej. Jak we wszystkim co robił, teraz także wykazał się metodycznością i skrupulatnością.

Chirurgiczną precyzją.

**JEDENAŚCIE DNI, KTÓRE WSTRZĄSNĘŁY KRAJEM!**

taki nagłówek przykuł uwagę wszystkich, kiedy gazety zaczęły opisywać następujące wydarzenia.

**DZIEŃ PIERWSZY**

I

Poniedziałek, 10 lutego, godzina 10.45 Północne Skrzydło Centralnego Szpitala Położniczego w Dublinie

Tętno płodu spadło.

June Morrison, przełożona położnych na oddziale trzecim, zmarszczyła brwi i szybkim krokiem podeszła do monitora. Wyciągnęła rękę i kiedy nacisnęła jeden z przycisków u dołu, z ekranu zniknęły aktualne parametry, zastąpione graficznym zapisem ostatnich trzech minut. W tym czasie tętno było stałe, nie pojawiły się żadne niepokojące odchyły. Położna przywróciła podgląd na bieżące dane i z ulgą wypuściła wstrzymywane powietrze - wszystkie odczyty były w normie; tętno wspięło się znów na normalny poziom.

— Czy coś się stało, siostrze?

Morrison odwróciła się i uśmiechnęła do młodej kobiety leżącej na łóżku.

— Ależ skąd, moja droga. Wszystko idzie jak po maśle. Twoje dziecko świetnie sobie radzi. Jak się czujesz?

Sandra O'Brien położyła obie ręce wzdłuż ciała i oparłszy się na dłoniach, spróbowała przyjąć wygodniejszą pozycję. Przejechała językiem po wargach i skrzywiła się, gdyż poczuła kredowy posmak leku zobojętniającego kwas żołądkowy. Z ciężkim westchnieniem

oparła głowę na poduszce, równocześnie rękoma otaczając wyдутy brzuch. Boże, tak bym chciała, żeby już było po wszystkim.

Morrison zaśmiała się.

— No, do końca to nam jeszcze daleko — powiedziała, poważniejąc.

Kilkoma sprawnymi ruchami poprawiła czujnik KTG, który położnica poluzowała, układając się wygodniej. — Musisz mniej się wiercić, bo ten pas powinien być w jednym i tym samym miejscu, a nie wszędzie, tylko nie tam gdzie trzeba.

— Naprawdę jest taki konieczny?

— Tak. Dzięki niemu wiemy, jak radzi sobie O'Brien junior i kiedy zechce przyjść na świat.

Rozejrzała się po pomieszczeniu i w duchu dodała: — No i te trzy aparaty do monitorowania kardiokokograficznego płodu nie stoją całkiem beczynn timer.

Na specjalnie w tym celu zaprojektowanym stojaku tkwiły dumnie trzy jednakowe aparaty. Harry O'Brien bowiem uparł się, że jeden to za mało — wszystko się przecież psuje, nieprawdaż?, i żaden sprzęt nie jest niezawodny — dlatego nalegał, żeby jego żona i dziecko byli zabezpieczeni na wypadek awarii pierwszej, a nawet drugiej maszyny. Panie O'Brien — poinformowała go Morrison sucho, kiedy skończywszy wreszcie obchód całego szpitala, wybrał salę, w której miał urodzić się mu syn — jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żebyśmy musieli wymieniać kardiokokograf w czasie porodu. Po to są regularnie serwisowane, by coś podobnego nie miało miejsca.

Sądziła wtedy, że wyraziła się jasno. Miała nawet nadzieję, że utarła mu nieco nosa. To moje terytorium - mówiły jej oczy i postawa

— to mój działka. Ja tutaj ustalam zasady, nie pan. Wara panu od moich aparatów. Rządzić to pan może u siebie, w O'Brien

Corporation, ale tu, w szpitalu, ja jestem Bogiem. Rozumiemy się, ważniaku?

Harry O'Brien wysłuchał uprzejmie tego, co miała do powiedzenia, ani słowem nie przerywając, kiedy oprowadzała go po prywatnej sali i przyległej do niej luksusowej porodówce, gdzie wkrótce miała znaleźć się jego żona. Później objął ją poufale ramieniem i obdarzył spojrzeniem łzawiących chorobliwie oczu.

— Siostrze — rzekł cicho — nie wątpię, że siostra się nie myli i że w tej cudownej instytucji nigdy nie nawaliło żadne urządzenie. Ale proszę sobie pozwolić powiedzieć coś, o czym siostra nie wie... — Oswobodziła się z jego uścisku i odwróciła lekko,

by móc patrzeć mu prosto w twarz. Jego oczy, choć wciąż nieco wilgotne, były teraz twarde i zimne jak stal. — Większość tego sprzę-

12  
tu powstaje w moich fabrykach, a ja, co chyba zrozumiałe, jak nikt inny orientuję się co do jakości pracy i końcowego produktu.

Dlatego mówię pani, że wszędzie tam, gdzie będzie moja żona, chcę widzieć co najmniej podwójne zabezpieczenie i tylko nowe maszyny. Więc — rozejrzał się po sali i z niesmakiem wskazał na stojący w kącie ssak — to — po czym przeniósł wzrok na lekko przekrzywiony stojak do wlewów kroplowych — i to może pani kazać stąd usunąć już dzisiaj.

Morrison oczywiście protestowała; najpierw próbowała przemówić do rozsądku O'Brienowi, a gdy to nie poskutkowało, zwróciła się do Luke'a Conwaya, dyrektora szpitala. Conway i ona zaprzyjaźnili się podczas wspólnych lat pracy; June była już praktykującą położną, kiedy młody Conway pojawił się na scenie, by piąć się po kolejnych szczeblach: od stażysty, przez lekarza specjalistę, po ordynatora. Trochę go jej brakowało, jak wyjechał na kilkuletnie szkolenie do Kanady, ale gdy już wrócił, musiała przyznać, że teraz jej ulubieniec wie o położnictwie i porodach więcej niż ona sama. Nic więc dziwnego, że bardzo ją ucieszyła jego promocja na dyrektora, która w jej mniemaniu była zwieńczeniem jego kariery i oddaniem sprawiedliwości jego umiejętnościom i wiedzy.

— Luke — skarżyła mu się po wyjściu O'Briena — ten drań traktuje nasz szpital jak jedną ze swoich fabryk. On chce... Chryste Panie, dasz temu wiarę?... chce zająć salę numer trzy i przyległą porodówkę na miesiąc! Miesiąc, słyszysz? Zapowiedział nawet, że zmieni wystrój wnętrza i wstawi wszystko nowe!... — June z ledwością hamowała gniew. — Toż to będzie cyrk, a nie poród!

Conway siedział po drugiej stronie biurka w swoim gabinecie i pozwalał jej wylewać swoje żale. Kiedy zamilkła, strzepnął nieistniejący pyłek z rękawa marynarki i poprawił muszkę. Ten wysoki i przystojny mężczyzna roztaczał aurę pewności siebie i stabilizacji —jednym słowem: spełnienia w życiu. Ubierał się zawsze dystyngowanie, najczęściej w drobno prążkowany garnitur tego czy innego koloru, śnieżnobiałą koszulę i odpowiednią muszkę. Tak jak większość ginekologów dość wcześnie doszedł do przekonania, że krawat tylko zawadza podczas badania pacjentek, i zrezygnował z tej części garderoby na rzecz mniej kolidującej z wykonywanym

zawodem. Teraz nachylił się przez biur-

13

ko i ujął obie dłonie June Morrison w swoje. Przez dłuższą chwilę nic nie mówił, tylko patrzył na duże i nieoczekiwanie szorstkie w dotyku ręce, trzymając je delikatnie i myśląc: - Ileż to dzieci przyszło na świat za ich sprawą! Kiedy wreszcie podniósł wzrok, zorientował się, że położna spogląda na niego zaskoczona.

— June — odezwał się, nie wypuszczając jej dłoni ze swoich — wszystko co mówisz, to święta prawda, a mnie pozostaje tylko być zażenowanym, że dopuściłem do podobnej sytuacji. Ale znasz tło, wiesz, jak prezentują się finanse szpitala...

Morrison prychnęła i wyrwała ręce z uścisku.

— Nie zwracaj mi głowy tłem i finansami — fuknęła.

— Łatwo ci mówić — bronił się Conway. — Tymczasem mnie stan naszych finansów spędza sen z powiek. Na pewno wiesz, że pani O'Brien zaszła w ciążę dzięki metodzie in vitro opracowanej i wdrożonej u nas. To, że pan O'Brien nie posiada się z radości, chyba również jest oczywiste. Od lat starał się o dziecko od tamtego wypadku samochodowego... Musisz zdawać sobie sprawę, ile dla niego znaczy Sandra i syn, którego nosi w łonie.

Luke Conway urwał i zerknął na słuchającą go kobietę. Musiał to rozegrać delikatnie. Zarząd szpitala — za jego rekomendacją rzecz jasna — wybrał June Morrison na opiekunkę Sandry O'Brien podczas ciąży. To ona udzielała żonie potentatą lekcji z zakresu szkoły rodzenia i to ona miała się nią zajmować dopóty, dopóki nie przyjdzie czas, by do akcji wkroczył on we własnej osobie. Narodziny O'Briena juniora miały być wydarzeniem nie tylko rodzinnym, nawet nie tylko medialnym, ale także — a z punktu widzenia Conwaya przede wszystkim - decydującym o dalszych losach Centralnego Szpitala Położniczego, którym kierował. Stawka była wysoka. Ściśle mówiąc, w grę wchodziły dwa miliony.

Sandra O'Brien poszukała pomocy u lekarzy po roku bezowocnych prób zajścia w ciążę. Już pierwsze badania wykazały, że przyczyną bezpłodności jest niedrożność obu jajowodów spowodowana infekcją, którą pacjentka przeszła, mając dwadzieścia parę lat.

Przeprowadzone zabiegi chirurgiczne nie przyniosły zadowalających efektów i szanse, że pani O'Brien zajdzie w ciążę, pozostały znikome. Wtedy do akcji wkroczył jej mąż, Harry

14

— rzutki businessmen znający tylko jeden sposób rozwiązywania problemów: pieniądze.

Proszę sprawić, że moja żona urodzi dziecko, a ja już dopilnuję, by szpital na tym skorzystał oznajmił wprost Luke'owi Conwayowi po tym, jak ten pewnego ranka przedstawił obojgu małżonkom możliwość zapłodnienia in vitro, czyli pozaustrojowego. Dziecko państwa O'Brienów zostałyby poczęte w probówce w szpitalnym laboratorium, a następnie zarodek na bardzo wczesnym etapie rozwoju trafiłby do macicy przyszłej matki.

To niezwykle wspaniałomyślna propozycja, panie O'Brien odparł Conway, zastanawiając się, co też magnat miał dokładnie na myśli — lecz chyba nie powinien pan podejmować decyzji pochopnie. Sądzę, że przydałoby się jeszcze kilka miesięcy prób naturalną drogą.

Jeśli nawet nie przyniosą one zamierzonego skutku, będą państwo mieli czas na przemyślenie tej sprawy, co jest niesłychanie ważne w takich jak ta sytuacjach.

Co by pan powiedział na dwa miliony? Pan daje mi zdrowe dziecko, a ja panu dwa miliony. Czysty układ.

Luke Conway już sięgał po słuchawkę telefonu, aby wydać odpowiednie dyspozycje.

W takim razie, panie O'Brien, zaczniemy procedurę jutro.

Udało się dopiero za trzecim razem. Pierwsze dwa zarodki obumarły, nim można je było przenieść do organizmu matki; trzeci okazał się na tyle silny, że wczepił się w ściankę macicy nie posiadającej się ze szczęścia Sandry i zaczął się prawidłowo rozwijać.

Pacjentkę prowadził oczywiście Luke Conway. Dwoił się i troił, żeby Harry O'Brien był zadowolony, a szpital faktycznie otrzymał obiecaną donację. Któregoś dnia, kiedy przyszły ojciec dopytywał się o postępy i plany, zarekomendował June Morrison.

Nie wiem, czy w całym Dublinie znajdzie pan bardziej doświadczoną położną niż nasza June. Nigdy, powtarzam: nigdy żadne dziecko nie ucierpiało podczas porodu, kiedy to ona czuwała nad rodzącą, a zapewniam pana, że do naszego szpitala trafiają najtrudniejsze przypadki.

O'Brien swoim zwyczajem uprzejmie wysłuchał, co mówiący ma do powiedzenia, wymienił szybkie spojrzenia ze swym doradcą medycznym, siedzącym obok niego, po czym rzucił:

15

W takim razie proszę ją zarezerwować. Zwolnić z wszystkich innych



obowiązków, cofnąć urlop, jeśli to konieczne. Nie chcielibyśmy przecież, żeby Sandra zaczęła rodzić, kiedy pańska Morrison będzie wylegiwać się na plaży na Teneryfie. — Conway roześmiał się krótko, dając znać, że bawi go poczucie humoru O'Briena. Ten zaś z mety dodał: — 1 może jej pan podnieść pensję. Dwukrotnie.

Osobiście wręczę jej czek z podziękowaniem, jeśli wszystko pójdzie dobrze.

Conway zaprotestował zdawkowo:

Ależ to całkiem niepotrzebne, panie O'Brien. — Mężczyźni przez chwilę mierzyli się wzrokiem. — Nasz personel zawsze dokłada tyle samo starań i dba z równą troską o wszystkich pacjentów bez względu na to, czy korzystają oni z ubezpieczenia czy płacą z własnej kieszeni, czy są bogaci czy biedni. Siostra Morrison otoczy pańską żonę i dziecko należytą opieką, może być pan tego pewien.

O'Brien, nie spuszczać oczu z twarzy Conwaya, wychylił się na krześle i położył obie dłonie na blacie dzielącego ich biurka, tak że jego imponująca sylwetka zasłoniła lekarzowi widok na resztę gabinetu. Westchnął głęboko i potrząsnął głową; pomimo tego ruchu ani jeden włoszek ze starannie ułożonej, aczkolwiek siwej fryzury nie zmienił położenia. -

— Doktorze — zaczął powoli, z namysłem — należyta opieka to za mało.

— Pochylił się jeszcze bardziej i wysyczał: — Zarówno pan, jak i cały pański personel, w tym osławiona siostra June Morrison, macie zająć się Sandrą i moim synem tak, że mucha nie siada! —

Doradca medyczny skulił się, Conway zaś wydawał się zaskoczony nagłym wybuchem magnata. — Jeśli ten szpital ma kiedykolwiek wyjść na prostą i powiększyć się o to nowe skrzydło, pana zadaniem jest dopilnować, żeby pani O'Brien była traktowana co najmniej jak królowa.

Conway nie podzielił się szczegółami tej rozmowy z nikim, w szczególności nie z June Morrison, która jednak potrafiła dodać dwa do dwóch. Kiedy bez wyjaśnienia cofnięto jej przyznany urlop i oddelegowano z zajmowanego stanowiska — przełożonej położnych na oddziale ginekologiczno-położniczym we Wschodnim Skrzydle, zapewniającym opiekę medyczną pacjentkom korzystającym z

obowiązkowego

ubezpieczenia zdrowotnego

16  
— przydzielając do pomocy doktorowi Tomowi Morganowi, lekarzowi

wybranemu przez Sandrę O'Brien, pacjentkę uprzywilejowanego Północnego Skrzydła, siostra Morrison zrozumiała, że jej bezkompromisowe podejście zdało się psu na buty i właściciel O'Brien Corporation wygrał na całej linii.

Siostro — wymamrotała Sandra O'Brien — czy mogłaby mi siostra pomóc? Muszę znów zmienić pozycję... — Poruszyła się niemrawo, gdyż po pierwsze zdolność ruchu miała ograniczoną, a po drugie każdy, najmniejszy nawet gest przysparzał jej bólu, który i bez tego był wystarczający. Morrison stanęła w głowach łóżka i wsunawszy dłonie pod pachy podopiecznej, podciągnęła ją nieco. — Chryste, co się dzieje? — jęknęła pacjentka, patrząc na swój brzuch.

Wyglądało to tak, jakby kocię walczyło od środka z papierową torebką.

Napięta do granic możliwości skóra wybrzuszała się to tu, to tam, zdradzając nadzwyczajną aktywność mającego narodzić się dziecka, któremu najwyraźniej śpieszyło się na świat. June Morrison położyła na wypukłości swoje doświadczone dłonie i przez chwilę dotykiem chłonęła niekontrolowane ruchy płodu, gwałtowne i niepokojące. Nie odrywając rąk od ciała Sandry, odwróciła wzrok, by spojrzeć na monitor, i poczuła, jak krew odpływa jej z głowy.

Tętno znowu spadło; tym razem do sześćdziesięciu na minutę, co nie wróżyło dobrze. Nagle szarpanina ustała i Morrison wyczula, jak drobne kończyny dziecka rozluźniają się i przyjmują naturalne ułożenie. Nie spuszczać wzroku z ekranu, siłą woli próbowała zmusić serce małego O'Briena, żeby biło częściej. Na jej oczach liczba uderzeń zaczęła rosnąć — wolno, lecz konsekwentnie. Najpierw z sześćdziesięciu zrobiło się siedemdziesiąt, później osiemdziesiąt, po czym nastąpiła długa minuta, w czasie której Morrison własne serce miała niemal w gardle. W końcu, w ciągu zaledwie paru sekund, tętno osiągnęło sto trzydzieści i ustabilizowało się. Kolejny akt dramatu za nimi. Położna popatrzyła na swoją podopieczną i widząc malujące się na jej twarzy przerażenie, uśmiechnęła się na tyle szeroko, na ile zdołała. Gdy odgarniała wilgotny kosmyk włosów z twarzy młodej kobiety, usłyszała:

— Siostro, czy na pewno wszystko jest w porządku?

17

— W najlepszym, moja droga — odparła niezupełnie zgodnie z prawdą Morrison, z doświadczenia wiedząc, że straszenie położnicy może mieć fatalne w następstwach skutki — po prostu junior przygotowuje się do następnego etapu.

— Kiedy pokaże się doktor Morgan? — Pytanie samo w sobie było niewinne, tylko spojrzenie Sandry O'Brien zdradzało jej niepokój. W duchu zdawała się krzyknąć: „Siostró, wiem, że jest siostra doskonałą położną, ale ja chciałabym znaleźć się pod opieką lekarza. Tak szybko, jak to możliwe”.

June Morrison popatrzyła na zegarek, choć wcale nie musiała tego robić. Powiedział, że wpadnie o dwunastej, żeby zobaczyć, jak się mają sprawy. Do najważniejszego momentu zostało jeszcze parę dobrych godzin. Chyba jednak nie zaszkodzi, jeśli wywołam go pagerem. Jest gdzieś na terenie szpitala, robi obchód.

Doktor Tom Morgan był swego rodzaju gwiazdą w Irlandii, toteż miał masę pacjentek, a jeszcze więcej kobiet marzyło, by został ich ginekologiem. Trudno ocenić, czy zależało im na tym dlatego, że sprawiał wrażenie kompetentnego i umiejącego poradzić sobie z każdą sytuacją, czy też raczej z powodu jego chłopięcego uroku. Od jakiegoś czasu prowadził w telewizji cotygodniowy godzinny program medyczny, nadawał na żywo ze studia radiowego, rozmawiając ze słuchaczkami na antenie, a także pisywał do niedzielnego wydania dziennika, udzielając rad czytelniczkom. Tajemnicą poliszynela było, że Irlandki począwszy od szesnastolatek, a skończywszy na sześćdziesięciolatkach - fantazjowały na jego temat, nie tylko oglądając telewizję, słuchając radia czy przerzucając strony gazety. Co więcej, został oficjalnie okrzyknięty „mężczyzną, z którym warto by pójść do łóżka” przez czytelników jedyne w Irlandii czasopisma dla gejów.

June Morrison wygładziła prześcieradło na łóżku Sandry i ponownie poprawiła czujnik KTG.

— Lepiej pójde go poszukać. W tym czasie zajmie się tobą siostra Roche. — Zmusiła usta do uśmiechu. — Nie martw się, moja droga. Wszystko będzie dobrze. — Głową wskazała monitor, pracowicie wyświetlający zmieniające się dane. — Tętno mieści się w granicach normy. Czeka nas szczęśliwe zakończenie.

18

Twarz Sandry rozpogodziła się na moment, po czym skurczyła z bólu, tak że zniknęło gdzieś całe jej piękno.

— O Boże — jęknęła przeciągle — następny skurcz.

Morrison bez słowa przeszła do dyżurki i zamknęła za sobą drzwi, odcinając się od stękań i westchnień dochodzących z sal porodowych otaczających to niewielkie pomieszczenie. Jak na kogoś z

wieloletnim doświadczeniem, kto nieraz miał do czynienia z trudnymi przypadkami i zawsze wychodził obronną ręką z sytuacji kryzysowych, była zbyt podenerwowana i roztrzęsiona. Drżącą dłonią podniosła słuchawkę i wybrała numer wewnętrzny.

— Pat, tu June Morrison z oddziału trzeciego Północnego Skrzydła. Skontaktuj się z doktorem Morganem i poproś go, by przyszedł tu jak najszybciej.

Słuchając odpowiedzi, czuła, jak czyjaś lodowata ręka zaciska się na jej łomoczącym sercu.

Doktor Morgan wyszedł jakieś pół godziny temu. Powiedział, że będzie osiągalny pod komórką. Mam do niego zadzwonić?

Po raz pierwszy w czasie całej swojej długiej kariery Morrison poczuła, że uginają się pod nią nogi.

Nie. Po prostu daj mi jego numer. Sama do niego zatelefonuję — odpowiedziała i przytrzymała słuchawkę ramieniem, szukając czegoś do pisania i kawałka papieru. Kiedy już zanotowała podyktowane cyfry, spytała: Pat, kto dziś ma dyżur?

Po drugiej stronie linii rozległ się szelest papieru, po czym padło krótkie:

— Doktor Dean Lynch.

June Morrison podziękowała i zacisnęła mocniej palce na słuchawce. W ustach miała sucho, serce waliło jej jak młot. Trwała tak dobrą minutę, nim się rozłączyła i zaczęła wybierać nowy numer, mrużąc do siebie:

— Cholera, cholera, cholera!

W głośniku klikało za każdym razem, gdy system połykał kolejną wystukaną cyfrę. Wreszcie odezwał się mechaniczny głos:

— Połączenie zostanie przekierowane... Proszę czekać... Połączenie zostanie przekierowane... Proszę czekać... Połączenie zo-

19

stanie przekierowane... Proszę cz... — Rozległ się zwykły sygnał i nagle June Morrison usłyszała kobiecy głos: — Halo!

Tak ją to zdumiało, że przez chwilę czy dwie nie umiała wydusić z siebie słowa. W końcu zapytała obcesowo:

— Czy zastałam doktora Morgana?

Kobieta, która odebrała połączenie, przekazała komuś słuchawkę.

— Morgan, słucham!

Z trudem powstrzymała się, żeby nie wrzasnąć: „Ty draniu. Ty cholerny draniu!” Najchętniej zwymyślałaby go na czym świat stoi za

to, że opuścił szpital, a nawet za to, że znalazł się w towarzystwie kobiety,

która — sądząc po głosie — z pewnością nie była panią Morganową, choć to drugie akurat nie zaliczało się do problemów June Morrison. Jednakże wiedziała, że musi uważać na to, co mówi. Na wyrzuty jeszcze przyjdzie czas, pomyślała. Panując nad wściekłością, lodowato rzuciła do słuchawki:

Doktorze, tutaj oddział trzeci. June Morrison przy telefonie. Chyba musi pan pilnie wrócić do szpitala. Sandra O'Brien może wymagać cesarskiego cięcia. — Wraz z ostatnią kropką przerwała połączenie, nie czekając na odpowiedź. Przed oczami stanęła jej scena paniki, jaka rozgorzała tam, gdziekolwiek znajdował się Tom Morgan. Nie odkładając słuchawki, wystukała następny numer. — Poproszę z siostrą Mullan. To pilne. Mówi June Morrison z oddziału trzeciego. Usłyszała puknięcie, gdy rozmówczyni zakryła ręką słuchawkę, po czym stłumione wołanie. W odpowiedzi rozległ się czyjś donośny głos i charakterystyczny tupot szpitalnych chodaków na posadzce. Chwilę potem odezwała się siostra Mullan.

— June? Cześć, tutaj Breda. Co się stało?

Bredo, musisz przygotować dla mnie salę operacyjną. Przekaż dyżurnemu anestezjologowi, że będzie potrzebny.

- Z jej głosu przebijało zdecydowanie, które zostało należycie odczytane po drugiej stronie. — Uprzedź też Paddy'ego Hollanda z pediatrii, że prawdopodobnie będziemy mieli cesarkę.

Już się robi. - Breda Mullan i June Morrison znały się na tyle długo, że nie potrzebowały wielu słów. Działy jak dwa dobrze naoliwione tryby tej samej maszyny. Jednakże tym razem

20

Breda wyczula w głosie koleżanki coś, co ją zaniepokoiło. Nie musiała długo czekać na wyjaśnienie.

— Chodzi o Sandrę O'Brien.

Nim odłożyła słuchawkę, usłyszała jeszcze, jak po drugiej stronie linii Breda wzdycha: „O mój Boże...”, zakrywając sobie usta dłonią. Morrison wyjrzała przez okno dyżurki. Na ulicy poniżej sunęła rzeka pojazdów, spowalniana przez coraz silniejszy deszcz.

Parasole przechodniów wydymał wiatr, ludzie kryli się po bramach i pod markizami, bardziej zdesperowani brnęli przez kałuże, ochraniając głowy, czym kto miał — gazetami, aktówkami, torbami z zakupami. Położna otrząsnęła się, uświadomiwszy sobie, że w głowie huczy jej jedna myśl: „To koszmar, koszmar, prawdziwy koszmar...”

Tom Morgan szlajający się gdzieś z kochanką i ona tutaj, z Deanem Lynchem w odwodzie. Z Deanem Lynchem! Człowiekiem, który prowokował problemy nawet tam, gdzie ich w ogóle nie było. Modliła się, by nie musiała poprosić go o pomoc.

II

Godzina 10.58 Wschodnie Skrzydło

Doktor Dean Lynch, specjalista ginekolog położnik, raczej by się nie wyróżnił w tłumie. Niski przy swoich niecałych stu siedemdziesięciu centymetrach wzrostu, nie był jednak chudy, dzięki czemu nie przechodził zupełnie niezauważony. Niegdyś kruczoczarne włosy, teraz w dużej mierze przeplatane pasemkami siwizny, zaczesywał w stylu lat pięćdziesiątych, niepotrzebnie odsłaniając i tak wysokie czoło i zwracając uwagę na nienaturalnie cienkie brwi. Ubierał się na tyle sztafpow, że można go było uznać za nudnego, co zresztą odpowiadało jego zachowaniu. Jediną wyróżniającą się cechą fizjonomii doktora Lyncha były oczy. Zdawały się przewiercać na wylot każdego, na kogo patrzył. Chyba dlatego rzadko który ze współpracowników wytrzymał jego spojrzenie dłużej.

Teraz Dean Lynch siedział w swoim gabinecie, od niechcienia bawiąc się spinaczem. Za drzwiami, w poczekalni, siedział tłum pacjentek. W gabinecie, jakieś trzy metry od niego, przy biurku po prawej tkwił Ali Sharif, Egipcjanin z pochodzenia i lekarz robiący specjalizację z ginekologii, po lewej zaś — Donald Armstrong, stażysta. Za rzędem trzech biurków znajdowały się trzy fotele ginekologiczne, oddzielone od siebie tylko parawanami. Nowymi pacjentkami zajmował się zawsze Lynch; Sharif prowadził te po operacjach przeprowadzonych przez Lyncha i wykonywał mniej skomplikowane zabiegi; stażysta natomiast pełnił funkcję popy-chadła, biegającego do laboratorium i z powrotem, wypełniającego tasienkowe formularze i wzywającego przez Lyncha, kiedy trafiło się coś ciekawego do pokazania. Nie zdarzało się to często,

22

udyż doktor Lynch miał w głębokiej pogardzie wszystkich stażystów — w zgodzie z porzekadłem: „Zapomniał wół, jak cielęciami był” — i ufał tylko sobie. Pacjentki badał sam, a nie w obecności pielęgniarki czy położnej, co było normą w Centralnym Szpitalu Położniczym. Sam wypisywał skierowania do pracowni RTG i laboratorium analitycznego. Własnoręcznie sporządzał notatki na temat

każdego przypadku z osobna i wybierał sobie pacjentki, które chciał operować. Ali Sharif dawno stracił nadzieję, że uda mu się przy Lynchu przeprowadzić poważniejszą operację. Kiedy doktor Dean Lynch był zajęty sprawowaniem rządów w swoim królestwie, nikt nie ważył mu się przeszkadzać. Wszyscy jednak za jego plecami szeptali, że zachowuje się jak nadzorca w dziewiętnastowiecznej fabryce, wykorzystując na równi pracowników i materiał. Wydawało się nawet, że cieszy go nieszczęście i cierpienie, odsłaniające się jego oczom za cienkim parawanem i na stole operacyjnym. Chyba właśnie dlatego przekazywał wszystkie nudne i nie wymagające interwencji chirurgicznej przypadki swemu podopiecznemu, koncentrując się na krojeniu kobiecych ciał.

Dean Lynch bowiem był urodzonym chirurgiem.

Położne, które przewinęły się u jego boku, zgodnie twierdziły, że nie ma za grosz podejścia do pacjentek, jak gdyby był niezdolny do okazania współczucia czy choćby zwykłego ludzkiego zainteresowania leczonym kobietom. June Morrison pozwoliła sobie kiedyś w prywatnej rozmowie z Bredą Mullan na uwagę, że doktor Lynch wygląda na szczęśliwego tylko wtedy, gdy operuje. Niższy personel, czyli zazwyczaj dziewczęta prosto po szkole pielęgniarstwie, ostrzegała, by nigdy, ale to nigdy nie nadepnęły na odcisk doktorowi.

„Róbcie to, co do was należy” — mawiała

„a nawet znacznie więcej. I przenigdy, powtarzam: przenigdy nie irytujcie doktora podczas operacji. Czegokolwiek zażąda, macie wykonać bez szemrania.” W ten sposób chroniła spokój we Wschodnim Skrzydle, zapewniając płynne funkcjonowanie swojego oddziału.

Pomimo reputacji, która rzucała cień na praktykę Deana Lyncha, nikt nie mógł postawić mu choćby najłżejszego zarzutu. Był

Punktualny, dokładny, powściągliwy. To, że niektórym wydawał się nudny i nieprzyjemny, nie oznaczało jeszcze, że jest niegodzien zaufania.

23

\*

— Można wprowadzić pierwsze pacjentki — rzucił, poza tym nie dając po sobie poznać, że dostrzegł stojącą naprzeciwko jego biurka pielęgniarkę. Gładząc się po grdyce, przebiegł wzrokiem po pierwszym skierowaniu i odłożył je na brzeg blatu. — Tę zbada doktor Sharif. — Ujął w dwa palce następne skierowanie i przeczytał je pobieżnie. — Tę zresztą też.

Sharif i pielęgniarka wymienili znaczące spojrzenia.

Wreszcie Dean Lynch znalazł coś, co go zainteresowało.

— Ja zajmę się tą. Niech ją siostra przygotowuje do badania.

Odwrócił się lekko w lewo i powiedział w stronę stażysty:

Donaldzie, w laboratorium powinny już być wyniki histopatologii z wczorajszych operacji. Bądź tak miły i odbierz je, zanim zaczniemy obchód.

Don Armstrong zerwał się z miejsca i jak wichur wybiegł za drzwi. Mknąc korytarzem, przez poczekalnię, obok szpitalnej biblioteki, ku klatce schodowej prowadzącej na dół, do laboratoriów, cieszył się jak uczeń na wagarach. Wszystko było lepsze od niesłychanej nudy i stresu, jakie co dzień od nowa przeżywał pod okiem Lyncha.

— No dobrze — odchrząknął Lynch, nareszcie podnosząc głowę. Słaby uśmiech na moment rozjaśnił jego ponurą twarz.

— Chyba możemy zaczynać. Siostrze, proszę działać.

To powiedziawszy, wsunął prawą rękę do kieszeni spodni i wymacał tabletki penicyliny, które uprzednio tam włożył. Gdy tylko pielęgniarka odwróciła się do niego plecami, przeniósł dwie do ust i przełknął bez rozgryzania. Gardło dawało mu się we znaki już od jakiegoś czasu, ale dopiero kilka dni temu wypisał receptę na nazwisko nieistniejącej pacjentki, ordynując silny antybiotyk.

Niestety, lek nie działał tak szybko ani skutecznie, jak by oczekiwał.

III

Godzina 11.17 Oddział trzeci, Północne Skrzydło

June Morrison wróciła na salę, gdzie leżała Sandra O'Brien, i nawet nie patrząc na pacjentkę, podeszła prosto do kardiogramu, żeby wydrukować zapis tętna płodu. W czasie kiedy jej nie było, puls jeszcze raz się obniżył — wprawdzie nie do tak niebezpiecznego poziomu jak poprzednio, ale z pewnością daleko mu było do zdrowych stu trzydziestu uderzeń serca na minutę. Wpatrywała się w wykres, próbując doszukać się innych niepokojących danych.

— Jak sobie radzicie? — zapytała siostrę Roche, jedną z najzdolniejszych pielęgniarek spośród wszystkich tych, które trafiły pod jej skrzydła.

— Doskonale, siostrze — odparła dziewczyna, spoglądając na Morrison rozszerzonymi ze strachu oczami. Co ważne, nie miała powodu bać się przełożonej, gdyż June Morrison traktowała swój personel po maczynie. — Wszystkie parametry pani O'Brien są bez zarzutu. Ciśnienie sto dwadzieścia na siedemdziesiąt, tętno osiemdziesiąt



cztery i utrzymuje się na stałym poziomie, mocz czysty jak łza, bez śladu białka. Ma regularne skurcze co trzy minuty, silne jak trzeba. Skarży się na ból pleców, ale to oczywiste w jej położeniu. Szyjka sucha.

Rozmawiały, stojąc tyłem do położnicy, która przysłuchiwała się każdemu ich słowu. Morrison na ułamek sekundy przeniosła wzrok z twarzy pielęgniarki na trzymany w lewym ręku wydruk. Oczy siostry Roche rozszerzyły się do granic możliwości. Morrison wzrokiem nakazała dziewczynie spokój, po czym odwróciła się do Sandry.

25

— Moja droga — powiedziała poważnym tonem — zbadam cię teraz, żeby zobaczyć, na jakim etapie jesteśmy. Doktor Morgan zjawi się tu lada chwila i chcę mu zdać szczegółowy raport.

Na dźwięk nazwiska swojego lekarza pani O'Brien rozluźniła się wyraźnie. Opadła na poduszki i pogładziła brzuch.

— No, Gordon — przemówiła do syna. — Zachowuj się grzecznie i niedługo będzie po wszystkim.

Siostra Roche poprawiła poduszki pod jej plecami, pytając:

— Będzie miał na imię Gordon?

Sandra podniosła wzrok, żeby spojrzeć na pielęgniarkę, i w tej samej chwili przymknęła oczy. Dopadł ją kolejny skurcz. Kiedy minął, odpowiedziała:

— Tak. Jak tylko się dowiedzieliśmy, że to chłopiec, Harry... mój mąż postanowił, że dziecko będzie nosiło imię jego syna, który zginął w wypadku...

June Morrison starannie umyła ręce, zanim nałożyła sterylne chirurgiczne rękawiczki, zanurzyła palec wskazujący i środkowy w tubie z antyseptyczną pianką do badań ginekologicznych, po czym taktownie uniosła krawędź szpitalnej koszuli, która zakrywała piersi, brzuch i uda Sandry.

— Tylko sprawdzę delikatnie, co tutaj mamy — mówiła kojącym tonem, równocześnie wprowadzając palce do wnętrza ciała młodej kobiety.

Sandra głośno wciągnęła powietrze. Czekająca w pogotowiu siostra Roche chwyciła jej dłoń i lekko uściśniła.

— Proszę wbić mi paznokcie w rękę, jeśli panią zaboli. Jeszcze chwilka i będzie po wszystkim, naprawdę...

Wprawne palce June Morrison badały szyjkę macicy i sprawdzały, o ile bardziej jest rozszerzona od poprzedniego badania, które miało

miejsce dwie godziny temu. Skracala się podręcznikowo i dało się już wyczuć czubkami palców napierający z drugiej strony płyn owodniowy. Kiedy położna przesunęła palce lekko w górę, odkryła twarde kształt główki dziecka.

— Osiem centymetrów, wody gotowe do odejścia — zakomunikowała. Siostra Roche zapisywała wszystko skrzętnie w karcie porodu. — Podaj mi kocher.

Pielęgniarka odłożyła kartę do metalowej ramy w nogach łóżka i odwróciła się do niewielkiego stolika na kółkach, wykonanego

z stali nierdzewnej, który stał w pobliżu. Sięgnęła do leżącej na nim tacy ze sterylnymi narzędziami, wybrała jedno, podłużne, rozerwała opakowanie zabezpieczające przed skażeniem i nie dotykając kleszczyków chirurgicznych, upuściła narzędzie wprost do rozwartej wolnej dłoni Morrison.

Sandra O'Brien zaczęła oddychać tak, jak ją uczono w szkole rodzenia. Potylicę wcisnęła w poduszki, a rękoma złapała się za wezglowie łóżka.

— Nic nie poczujesz, moja droga — zapewniła ją pośpiesznie Morrison, wślizgując się z kleszczykami równolegle do wprowadzonych już palców lewej dłoni. — Po prostu przekłuję błony płodowe.

Siostra Roche ponownie złapała Sandrę za rękę.

— Proszę się trzymać — szepnęła jej do ucha.

Wtedy to się znów stało.

Nabrzmiały brzuch Sandry zaczął falować, tu i ówdzie powstawały całkiem imponujące wzniesienia. Dziecko, szaleńczo machając wszystkimi czterema kończynami, sprawiało, że skóra miejscami stawała się niemal przezroczysta, jakby zaraz miała pęknąć. Trwało to przez jedną, dwie, może nawet trzy minuty. June Morrison, wstrzymując oddech, śledziła wskazania na monitorze. Tętno najpierw wzrosło do stu czterdziestu na minutę, by niemal natychmiast zacząć spadać w zawrotnym tempie. Widząc, że siostra Roche blednie jak kreda, a siostra Morrison wpatruje się w ekran jak skamieniała, Sandra O'Brien krzyknęła:

— Co się dzieje?!

Właśnie gdy położna miała wycofać palce, błony płodowe pękły.

O mój Boże! — rozdarła się Sandra. — Co się stało? Na litość boską, powiedzcie mi, co się dzieje?

Z kobiety wypływał ciemny, gęsty płyn zamiast jasnego, przejrzystego i o konsystencji niemal zwykłej wody. Jego zielonkawe zabarwienie świadczyło o wewnątrzmacicznym oddaniu smółki. Dziecku Sandry O'Brien groziło, że umrze, zanim się narodzi. Wycieńczenie porodowe! — rzuciła położna, automatycznie sięgając do czerwonego przycisku alarmowego umieszczonego nad wezgłowiem łóżka.

27

Nacisnęła go trzykrotnie, raz za razem, tak jak czyniła to wiele razy w przeszłości. Siostra Roche, choć znacznie młodsza od przełożonej i o wiele mniej doświadczona, również stanęła na wysokości zadania. Nim Morrison wydała jej jakiegokolwiek polecenie, już zwalniała hamulce na kółkach łóżka i odwracała je płynnym ruchem w stronę drzwi. Obie kobiety, ignorując prośby położnicy o odpowiedź na jej pytania, wypchnęły ciężkie szpitalne łóżko przez drzwi na korytarz. Nie upłynęły nawet sekundy, a one już biegły w stronę windy, która także zdążyła podjechać i czekała z otwartymi drzwiami, aż ludzka ręka najpierw wystuka odpowiedni kod, a potem wyda dyspozycje. Centralny Szpital Położniczy świecił przykładem, jeśli chodzi o procedury alarmowe. W ostatnich latach wszystko co się dało, zostało u nich zautomatyzowane, skomputeryzowane, przetestowane i przeszło kontrolę jakości. Kiedy łóżko znalazło się bezpiecznie w windzie, Morrison wystukała na panelu kod alarmowy, zwalniający blokadę drzwi, wybrała piętro, na którym w Północnym Skrzydle znajdowały się sale operacyjne, i szklanym wzrokiem patrzyła na zmieniające się cyfry.

Sandra O'Brien przestała na chwilę płakać i spojrzawszy przytomniej, zapytała:

— Czy mojemu dziecku nic nie będzie?

June Morrison ujęła ją za rękę.

— Oczywiście, że nic mu nie będzie, moja droga. — Ścisnęła lekko palce położnicy. — Po prostu Gordon postanowił przyjść na świat wcześniej, niż sądziliśmy. Musimy zrobić cesarskie cięcie.

Sandra przyciągnęła okrywające ją prześcieradło do ust i zagryzła brzeg.

— Biedny Harry — łkała. — Biedny, biedny Harry. Jemu tak bardzo zależy na tym dziecku... — Gdy nadszedł kolejny skurcz, jeszcze boleśnniejszy od pozostałych, pani O'Brien wpiła się paznokciami w przedramię położnej. — Nie pozwólcie mojemu dziecku umrzeć — błagała, krzywiąc się z cierpienia — nie pozwólcie mu

umrzeć!...

Morrison i Roche wymieniły bezradne spojrzenia. Żadna nic nie powiedziała.

Była godzina 11.48.

I

Godzina 11.55

Przeszywający dźwięk alarmu rozległ się w trzech miejscach jednocześnie. W kantine dla personelu zastał — przy pierwszej tego dnia filiżance kawy i papierosie czytającego „The Irish Times”, a konkretnie strony sportowe, na których ktoś odważny próbował przewidzieć wynik najbliższego meczu piłki nożnej pomiędzy Irlandią i Anglią — doktora Dona O'Callaghana, anestezjologa.

— A niech to! — syknął mężczyzna, rzucając gazetę i biegnąc do wiszącego nieopodal czerwonego aparatu telefonicznego, by skontaktować się z centralną informacją.

Na oddziale pediatrii w Zachodnim Skrzydle zakłócił przebiegające podręcznikowo wprowadzanie kaniuli do żyły na głowie trzydniowego noworodka doktorowi Paddymu Hollandowi. Lekarz zignorował sygnał i kontynuował zakładanie wenflonu do momentu, kiedy ujrzał w rurce ciemnoczerwoną krew, co oznaczało, że wkłuł się właściwie.

- Proszę to umocować, sestro — polecił cichym głosem, cały czas trzymając w palcach małą igłę z dwoma skrzydełkami przypominającymi motyla i uważając, żeby protesty małego pacjenta nie zniweczyły jego trudu. Dopiero gdy igła została zabezpieczona tak jak trzeba, szybkim krokiem przeszedł do czerwonego aparatu.

W zaciszu gabinetu lekarskiego przerwał Deanowi Lynchowi wypisywanie skierowania do pracowni rentgenowskiej. Ręka kreśląca niewyraźne słowa uniosła się i ujęła słuchawkę stojącego obok telefonu.

29

Wszyscy trzej mężczyźni usłyszeli tę samą wiadomość, która brzmiała identycznie jak ta przekazana przez June Morrison pielęgniarkę dyżurnej zawiadującej centralną informacją.

„Sandra O'Brien, dwudziestoosmioletnia pierworódka w zaawansowanej akcji porodowej, wymaga natychmiastowej interwencji chirurgicznej. Wskazaniem do cesarskiego cięcia jest wycieńczenie porodowe dziecka. Parametry położnicy w normie: ciśnienie krwi sto dwadzieścia na siedemdziesiąt i stabilne, tętno obecnie sto dziesięć na minutę, ale wywołane paniką z powodu nagłej zmiany przebiegu wypadków. Mocz bez zarzutu przez całą ciążę, brak podejrzeń o

toksemię. Odnotowany łagodny obrzęk dłoni i kostek, idący w parze z zatrzymaniem wody w organizmie.

Płód wykazuje objawy wycieńczenia porodowego, grożące śmiercią. Tętno spadało kilkakrotnie w ciągu ostatnich trzech godzin, lecz zawsze z powrotem osiągało właściwy poziom. Dopiero w ostatnich czterdziestu minutach kardiograf odnotował raz za razem niepokojący spadek częstości uderzeń serca. Dwie minuty po wpół do dwunastej nastąpiło przerwanie błon płodowych, co poskutkowało wycieknięciem gęstego, ciemno zabarwionego płynu owodniowego skażonego smółką. W tym samym czasie puls dziecka ponownie się obniżył, tym razem aż do sześćdziesięciu uderzeń na minutę. Z uwagi na nagłą potrzebę interwencji chirurgicznej nie wykonano pomiaru pH.

Lekarz położnik prowadzący pacjentkę jest poza szpitalem i nie można się z nim skontaktować."

Żaden z nich nie potrzebował niczego więcej. Tylko szybkie, skoordynowane działanie mogło uratować dziecko od śmierci w łonie matki. Liczyła się każda sekunda, najdrobniejsze opóźnienie mogłoby okazać się fatalne w skutkach.

Don O'Callaghan wyprysnął z kantyny, kierując się prosto w stronę sali operacyjnej. Mijał zabiegany personel, osowiałych pacjentów, zdziwionych odwiedzających; omal nie potracił i nie przewrócił jakiejś starszawej siostry zakonnej, która dostojnie sunęła z naprzeciwka. Z poczucia przyzwoitości spojrzął przez ramię i krzyknął: „Przepraszam!”.

Paddy Holland błyskawicznie znalazł się w windzie i jeszcze zanim zamknęły się drzwi, wystukał numer piętra, a ułamek sekundy wcześniej specjalny kod alarmowy, dzięki któremu nic nie

30

mogło powstrzymać jednostajnego ruchu urządzenia przed tym, jak osiągnęło wymagany poziom.

Dean Lynch kłął jak szewc, przeskakując po dwa stopnie na raz w drodze ze Skrzydła Wschodniego do Północnego. W ciągu ostatnich czterech miesięcy był tam wzywany czterokrotnie; musiał porzucić swoją poradnię dla pacjentek objętych narodowym funduszem zdrowia, z jej obłazącymi lamperią korytarzami, niedomytymi salami operacyjnymi i ogólną szarzyzną, by ile sił w nogach biec do prywatnej, luksusowej w każdym calu części szpitala. Za każdym razem przeklinał, czując, jak wzbiera w nim gniew.

W tym samym czasie gdy trzech lekarze dotarli do sali operacyjnej Północnego Skrzydła, na korytarzu przed nią ożył jakiś telefon komórkowy. To Theo Dempsey, były sierżant armii irlandzkiej i obecny ochroniarz Harry'ego O'Briena, przekazywał wiadomość swemu mocodawcy rezydującemu w posiadłości w hrabstwie Wicklow. Pan O'Brien schronił się bowiem w domowe pielesze, nie umiejąc dłużej znieść szpitalnej atmosfery. Nie mógł zdzierżyć zapachu środków odkażających, jęków rodzących kobiet i płaczu nowo narodzonych dzieci. Teraz interesował go tylko los jego żony i jego syna. Wystarczająco dużo czasu spędził w szpitalu, poddając się procedurze zapłodnienia in vitro, by chcieć patrzeć choćby na frontowe drzwi CSP. Ilekroć przestępował próg tego przybytku, w żołądku rosła mu kula, a pierś zaczynał uciskać jakiś wielki ciężar. To zrozumiałe w wypadku kogoś, kto lubi mieć wszystko pod kontrolą, nie cierpi zaś oddawać się w ręce innych i im ufać. Z wdzięcznością przyjął więc propozycję Sandry, by udał się do domu i tam spędził godziny dzielące ich od rozwiązania, a pojawił się dopiero, gdy ich syn już, już będzie miał zjawić się na świecie. Nie omieszkał jednak pozostawić na placówce Dempseya, któremu przykazał, aby dał mu znać, jak tylko doktor Morgan albo siostra Morrison skiną głową.

Zaledwie sekundy po telefonie ochroniarza Harry O'Brien biegł w stronę prywatnego lądowiska dla helikopterów, gdzie czekała już na niego wyczarterowana maszyna. Podróż z hrabstwa Wicklow do dublińskiego Centralnego Szpitala Położniczego, gdzie na parkingu samochodowym czekało prowizoryczne miejsce do lądowania, miała potrwać około trzydziestu minut.

31

V

Godzina 12.01 Sala operacyjna nr 2, Północne Skrzydło  
Dean Lynch z zawziętością szorował ręce i przedramiona, stojąc obok June Morrison, która miała asystować mu podczas operacji. Mimo że kobieta była prawie dziesięć centymetrów wyższa od niego i z pewnością nie należała do osób, które łatwo przestraszyć, ledwie zdobyła się na odwagę, by spojrzeć lekarzowi prosto w oczy. Przykro mi, że musiałam pana wezwać, doktorze — powiedziała zza maseczki, spoglądając w lewo i sprawdzając, czy jej głos dotarł do uszu mężczyzny poprzez szum wody i szelest ryżowych szczotek. Nie musiała na niego patrzeć, by wiedzieć, że jest zły jak wszyscy

diabli; o tym świadczyły jego postawa i spojrzenie, z którymi się pokazał. Lynch milczał. Wpatrywał się w trzymaną w ręku szczotkę, która bezlitośnie czyściła paznokcie najpierw lewej, a potem prawej dłoni.

— Pacjentka jest podopieczną Toma Morgana, ale jego nie było na terenie szpitala w momencie, kiedy powstał kryzys. Dlatego skontaktowałam się z panem.

Znów odpowiedziała jej cisza. Dean Lynch w żaden sposób nie pokazał, że w ogóle dostrzega jej obecność. Okręcił się tylko na pięcie

i nie przestając myć rąk, ogarnął wzrokiem rozgrywającą się na sali scenę.

Sandra O'Brien leżała już na stole operacyjnym,

rozpaczliwie kręcąc głową i rzucając na wszystkie strony przerażone spojrzenia. Wokół niej panował pozornie chaotyczny ruch.

Don O'Callaghan zdążył już umieścić wenflon w zgięciu jej łokcia i teraz zajmował się środkami znieczulającymi i usypia-

32

jącymi. Fartuch na jego brzuchu opinał się tak, jakby miał zaraz pęknąć, a spodnie najwyraźniej mu opadały, gdyż co chwila je na

sobie poprawiał. Puściwszy pasek, zanotował coś na karcie umieszczonej na brzegu wózka anestezjologa, po czym wyjął zestaw do

intubacji. Rzucił okiem na Sandrę i wybrał jedną z rurek, odsuwając ją nieco na bok. Za pomocą strzykawki wstrzyknął trochę

powietrza do połączonego z nią wąskiego gumowego przewodu, a kiedy ten lekko się nadał, chrząknął z zadowolenia. Właściwie

przygotowane narzędzie zapewniało bezproblemowy przebieg operacji.

Rurka intubacyjna umieszczona w gardle pacjentki miała dopasować się gładko do tchawicy i zapewnić przepływ tlenu i gazów usypiających wprost do płuc, tak żeby obyło się bez strat.

Breda Mullan wraz z asystującą jej instrumentariuszką uważnie liczyły sterylne narzędzia po to, by żadne nie zapodziało się w ciele

pacjentki. Inna pielęgniarka zawieszała na stojaku do wlewów dożylnych woreczki z krwią. Dołączyły do już przygotowanych woreczków

z płynem fizjologicznym.

Lynch odwrócił się do umywalki i opłukał wyszorowane do czysta ręce pod bieżącą wodą, po czym zakręcił kran, używając do tego

ramienia. Odebrał od czekającej w pogotowiu pielęgniarki sterylny ręcznik i zaczął się z ferworem wycierać, cały czas ledwie

panując nad przepełniającym go gniewem. Musiał nawet uciec się do technik relaksacyjnych, aby zapanować nad przyśpieszonym ze

złości oddechem. Gardło w dalszym ciągu mu doskwierało, czuł w ustach

taką suchość, jakby ślinianki odmówiły akurat dzisiaj współpracy, i tylko z największym trudem udało mu się zwilżyć wargi i przełknąć tę niewielką ilość śliny, którą zdołał sprokurować, aby ulżyć palącej go krtani.

Pacjentka nazywa się Sandra O'Brien — podjęła położna w nadziei, że uda jej się opanować wściekłość Lyncha, co niewątpliwie pomogłoby im wszystkim. Morrison za nic w świecie nie chciała, by żonę właściciela O'Brien Corporation kroił chirurg, któremu ze złości trzęsą się ręce. Wprawnemu oku June niewiele umykało; z pewnością nie gwałtowne ruchy, przyśpieszony oddech i mord w oczach, z którymi to objawami miała nieraz do czynienia. Rozejrzała się dookoła, próbując wypatrzeć w krzą-tającym się tłumie sylwetkę Toma Morgana, ale niestety nigdzie

33

jej nie dostrzegła. Na wszelki wypadek dodała więc: — Sandra O'Brien, żona Harry'ego O'Briena.

Lynch bez słowa cisnął wymięty ręcznik pod nogi i sięgnął po podsunięte mu przez pielęgniarkę rękawiczki chirurgiczne. Naciągnął dokładnie jedną, potem drugą i dopiero wtedy podniósł wzrok na June Morrison. Kobieta zachwiała się pod silajego spojrzenia.

Siostró — wysyczał przez maseczkę — gównu mnie obchodzi, kim jest pacjentka. Może by się siostra wreszcie zamknęła, tak żebyśmy mogli zrobić to, po cośmy się tu zebrali?

Odstąpił od nierdzewnej umywalki i przeszedł parę kroków, by zatrzymać się z dłuższego boku stołu operacyjnego. Oczy cały czas miał skierowane na sterczący brzuch Sandry O'Brien.

June Morrison przyjęła z rąk młodej pielęgniarki parę gumowych rękawiczek. Obie kobiety równocześnie pokiwały głowami, a ich ponure miny mówiły wszystko. Ta operacja będzie ciężka nie tylko dla pacjentki i jej dziecka.

Zegar na sali wskazywał sześć minut po dwunastej.

Wewnątrz helikoptera Harry O'Brien wydzierał się do mikrofonu swojego telefonu komórkowego, wyteżając słuch, by z ogólnego hałasu wyłowić jakąś sensowną odpowiedź.

Jezu, Jezu Przenajświętszy! — krzyknął łamiącym się głosem. — Co tam się stało?

Warkot łopat maszyny zagłuszył słowa jego rozmówcy.

O'Brien trzasnął klapką telefonu i siedział bez ruchu — z kamienną twarzą, wpatrzony w przestrzeń — aż helikopter szarpnął,



skręcając na wschód i podchodząc do lądowania przy szpitalu. W jego głowie brzęczała tylko jedna myśl: „Jeśli cokolwiek stanie się temu dziecku, zabiję. Bóg mi świadkiem, zabiję!...”

Czas nieubłagane biegł do przodu. Była godzina dwunasta zero siedem. O'Brien junior, wciąż w łonie matki, walczył o życie. Jego tętno wynosiło niespełna sześćdziesiąt na minutę, kończyny przestały prężyć się na wszystkie strony. Z każdą upływającą sekundą był coraz słabszy. Gwałtowne ruchy, niedawno widoczne nawet przez skórę Sandry, ustały i teraz o tym, że w jej brzuchu w ogóle

34

jest jakieś życie, świadczyły tylko wskazania monitora. Na sali operacyjnej numer dwa nie było osoby, która nie zerkałaby na ekran co najmniej kilka razy na minutę i która nie zaczęłaby się modlić o cud. Zegar tykał, odliczając kolejne sekundy.

Dean Lynch popatrzył na Dona O'Callaghana i kiwnął głową, dając znak, że jest gotowy. O'Callaghan, dobijający emerytury i nie mogący się doczekać zasłużonego odpoczynku, skinął w odpowiedzi.

Lynch przeniósł spojrzenie na Paddy'ego Hollanda stojącego przy respiratorze. Pediatra po swojej prawej miał robiącą specjalizację lekarkę, która przeszła już sześćioletnią praktykę na oddziale intensywnej opieki medycznej noworodków, obok niej zaś tkwiła niczym posąg doświadczona pielęgniarka pediatryczna. Holland lekkim skinieniem przyjął do wiadomości, że lada moment do akcji wejdzie jego zespół.

Zaczynamy — rzucił Lynch do anestezjologa. Oczy wszystkich zwróciły się na niego, gdy uniósł nogę, by wejść na taboret umieszczony przy stole operacyjnym. Tylko w ten sposób mógł przyjąć odpowiednią pozycję, gwarantującą, że cesarskie cięcie zakończy się sukcesem. Żaden inny lekarz nie potrzebował podobnej pomocy; taboret był — z rzadka tylko wykorzystywany przez co niższe pielęgniarki asystujące przy operacjach. June Morrison nie odrywała spojrzenia od rąk Lyn-cha. Kiedy dezynfekował skórę na brzuchu pacjentki i ograniczał pole operacji, nie drżały już. Położna podniosła wzrok i zauważyła, że oddech chirurga także się uspokoił i jest teraz znacznie równiejszy. W ostatniej chwili dostrzegła, że oczy mężczyzny zwęziły się, gdy sięgał po skalpel i nachylał się, by wykonać pierwsze cięcie.

Wszyscy na sali przygotowali się w duchu na najgorsze. Minęło dziewięć minut po dwunastej.

## VI

Godzina 12.11

Ostrze weszło w ciało jak w masło. Sandra O'Brien krzyknęła, a właściwie uczynił to jej otumaniony anestetykami mózg. Skalpel przejechał od pępka do spojenia łonowego, otwierając jamę brzuszną i ujawniając leżące pod skórą warstwy mięśni. Dean Lynch poczuł, jak ciało pacjentki drga w spazmie bólu pod zieloną materią, którą zostało okryte. Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu za zasłoną maseczki chirurgicznej.

Don O'Callaghan zauważył, że pacjentka zaczyna walczyć z rurką intubacyjną, poruszając lekko głową, i zdecydował zwiększyć dawkę petydyny, która zaraz spłynęła przez wenflon do żył kobiety. Dobrze, że w ogóle zdążył ją znieczulić, zanim Lynch ją otworzył. Nie cierpiał pracować z tym facetem. Nauczony doświadczeniem zawsze starał się być o krok przed nim i ochraniać operowanego przed niepotrzebnym bólem, a czasem zdawało się to niemożliwe. Zwłaszcza w wypadkach takich jak ten, kiedy każda sekunda zwłoki mogła zadecydować o życiu i śmierci dziecka. Ignorując strużkę zimnego potu ściekającą mu po plecach, O'Callaghan skonsultował parametry pacjentki z pielęgniarką anestezyjologiczną. Puls i ciśnienie krwi mieściły się w normie. Chcąc uspokoić skołatane nerwy, ukradkiem wsunął do ust gumę z nikotyną. Ani na moment nie spuszczał z oka ręki chirurga, dalej wykonującej pewne, zrutynizowane ruchy. Lynch przedarł się przez wierzchnie i głębsze warstwy mięśni i odsłonił otrzewną w ciągu zaledwie minuty. Cienka, gładka błona surowicza skrywała nabrzmiałą macicę. Chirurg przeciął otrzewną i rozwarł jej brzegi, używając do tego specjalnych, tępo

36

zakończonych nożyczek, dzięki czemu miał zapewniony dostęp do jamy otrzewnej. Odsłonięte jelita zostały odsunięte na bok i zabezpieczone tak, by nie wchodziły w paradę podczas dalszego ciągu operacji. Teraz Lynch mógł rozpocząć nacinanie rogu macicy, wykonując ostrożne, precyzyjne ruchy skalpelem. Na szczęście pacjentka była już całkowicie pod wpływem narkozy i nic nie czuła, kiedy prowadzone pewnie narzędzie przedostało się przez mięśnie, zatrzymując się tuż przed napiętą zewnętrzną błoną płodową.  
— Ssak! — warknął Lynch, a siostra Morrison zareagowała błyskawicznie, przygotowując urządzenie do odsysania potrzebne w następnym

etapie.

Minęło pięć minut od rozpoczęcia operacji.

Lynch przekłuł kosmówkę i dalsze błony, używając tępo zakończonego narzędzia, a Morrison czujnie odessała pojawiający się płyn, starając się ani na chwilę nie zasłonić chirurgowi widoku pola operacyjnego. Odłożył skalpel na sterylną tacę, po czym rękoma zmienił ułożenie dziecka, tak by w sztucznie powstałym otworze pokazała się jego twarz.

Kleszcze! — warknął ponownie i narzędzie w mgnieniu oka zmaterializowało się w jego dłoni.

Włożywszy instrument przez otwór, pokierował nim tak, żeby jedna część szczypiec znalazła się pod główką dziecka, i naciskając delikatnie, lecz zdecydowanie na róg macicy, sprawił, że maleńka, choć idealnie uformowana główka O'Briena juniora wychyłała na światło dzienne. Z ostrożnością podyktowaną przez lata praktyki ujął główkę w obie dłonie i jął ciągnąć, tak że wkrótce ukazało się najpierw jedno, a potem drugie ramionko. W ciągu kolejnych sekund urodziła się reszta ciała małego Gordona. Kiedy na świecie pojawiły się jego stopki, było dziewiętnaście po dwunastej. Dziecko przez kilka uderzeń serca leżało w nieruchomych, obleczonej w rękawiczki chirurgiczne dłoniach Lyncha, zanim nastąpiło zaciśnięcie i przecięcie pępownicy.

Lynch przekazał dziecko Paddy'emu Hollandowi, stękając: Moim zdaniem zero w skali Apgar.

Udanie zawisło w powietrzu sali operacyjnej niczym wyrok. owo noworodek, drący się wniebogłosy i machający rączkami  
37

i nóżkami, osiągnąłby wynik od ośmiu do dziesięciu w tej samej skali. June Morrison skurczyła się w sobie. Wyglądało na to, że nie uratowali dziecka. Czując, że zaczyna trząść się na całym ciele, mocniej zacisnęła palce na trzymanym w dłoni haku chirurgicznym. Niebieskawy odcień skóry, bezruch kończyn i klatki piersiowej nie wróżyły dobrze synowi Harry'ego O'Briena.

Apgar jeden! — wykrzyknął pediatra po chwili osłuchi-wania przez stetoskop wątlej piersi dziecka. — Sinica całego ciała, brak oddechu, brak reakcji na bodźce, wiotkość uogólniona. Godzina — popatrzył na zegar — dwunasta dwadzieścia. Puls pięćdziesiąt na minutę.

Pałeczkę przejął zespół pediatrów. Paddy Holland za pomocą

laryngoskopu obejrzał gardło i tchawicę noworodka. Potem specjalnym ssakiem usunął zalegający tam śluz i płyn, mogące blokować dostęp powietrza do płuc. Następnie na wszelki wypadek wprowadził rurkę głębiej i odessał, cokolwiek zalegało w oskrzelach. Stojąca obok niego lekarka trzymała w gotowości pediatryczną maskę tlenową, już podłączoną do butli z życiodajnym gazem. Gdy tylko drogi oddechowe Gordona zostały oczyszczone, rozpoczęła się wentylacja mechaniczna.

Godzina dwunasta dwadzieścia jeden. Apgar nadal wynosi jeden — rzucił na głos Holland.

Pielęgniarka pediatryczna wszystko skrzętnie notowała. Oczy zebranych utkwione były w małym, zdało się pozbawionym życia ciałku, umieszczonym teraz w otwartym inkubatorze.

Don O'Callaghan, Breda Mullan, June Morrison, instrumencjuszka i asystentka anestezyjologiczna w milczeniu wpatrywali się w pediatrów próbujących tchnąć życie w nowo narodzone dziecko.

Siostra Morrison — warknął Lynch — może by tak siostra poświęciła jeszcze minutkę swojej pacjentce, co? Próbuję tutaj po sobie posprzątać, co nie jest łatwe, gdy siostra myślami jest gdzie indziej.

June i Breda okręciły się jak smagnięte biczem i spojrzały na ranę ziejącą w ciele Sandry O'Brien. Zamknięcie jej zajmie o wiele więcej niż minutę, tego obie były pewne. Całkiem sporo tkanek

38

miękkich, mięśni i skóry czekało, by je zszyć, nim będzie można z czystym sumieniem powiedzieć, że cesarskie cięcie zakończyło się pomyślnie, przynajmniej dla matki.

Siostra Mullan, katgut chromowany proszę — wysyczał chirurg, czerpiąc przyjemność z przerażenia pielęgniarek. — Jeśli siostra przestanie ruszać się jak mucha w smole, być może wyjdziemy stąd przed północą.

Dean Lynch był w siódmym niebie. Życie pacjentki wisiało na włosku i tylko on mógł je uratować. Upajał się poczuciem władzy.

Morrison i Mullen zauważyły to i wymieniły oburzone spojrzenia. Radość chirurga w zaistniałej sytuacji doprawdy była nie na miejscu.

Nagle rozległ się cichy kwik, niewiele głośniejszy od szeptu. Powtórzony przybrał na sile.

Apgar podskoczył do czterech! — zawołał ucieszony Paddy Holland. Grymas twarzy, tętno sto, wolny i nieregularny oddech.

Lekarka już umieszczała w żyłę łokciowej Gordona plastikową kaniulę. Noworodek dostrzegalnie wykrzywił buzię w grymasie bólu. A potem — jakby właśnie dotarło do niego, przez co niedawno przeszedł i jak się teraz czuje — zaczerpnął powietrza, aż poczerwieniała mu twarzyczka, i spróbował się rozplakać. Z początku brzmiało to raczej jak gulgotanie aniżeli przyzwoity płacz, ale mały O'Brien nie odpuszczał. Ponownie wziął oddech, skupił się i wydał przeraźliwy dźwięk, jaki potrafią sprokurować tylko niemowlęta i kocięta, gdy dzieje im się krzywda. Kwilił, a ruchy wszystkich zgromadzonych na sali operacyjnej zamarły, wyłączając oczywiście Deana Lyncha, którego ręce śmigają, gdy zszywał rozkrojone tkanki brzucha położnicy.

Siódma minuta życia, Apgar pięć! — wrzeszczał Paddy Holland. Wszyscy odetchnęli z ulgą, przysłuchując się, jak niezdarne kwilenie, przerywane sapaniem i chrząkaniem, przechodzi wreszcie w donośny płacz. Dwie młodsze pielęgniarki klasnęły w dłonie, a June Morrison poczuła, jak pod powiekami zbierają Jej się łzy.

Zamrugła gwałtownie, wiedząc, że asystując Lyncho- do ostatniej chwili musi zachować ostrość spojrzenia. Breda Julian posłała jej krzepiący uśmiech. Obie równocześnie odwró-

39

ciły głowy, by spojrzeć na maleńkie ciało wijące się w inkubatorze. Niebieskosiny kolor ustąpił jasnemu różowi, kiedy nasycona tlenem krew zaczęła krążyć w żyłach dziecka.

- Apgar dziewięć do dziesięciu! — nie posiadał się ze szczęścia Paddy Holland. — Uratowaliśmy go!

Rozległy się nieśmiałe wiwaty; ci, którzy mieli wolne ręce, obejmowali się i poklepywali, bardziej zajęci kiwali z zapalem głową i tylko Dean Lynch nie przyłączył się do ogólnej radości. W skupieniu — warstwa po warstwie — zszywał to, co przedtem rozdarł jednym ruchem skalpela.

Znienacka wyrosła obok niego postać w fartuchu narzuconym na ramiona i z maseczką przytkniętą do twarzy.

Co się stało? Jak ona się czuje? Czy wszystko w porządku?

Na sali operacyjnej pojawił się sporo spóźniony Tom Morgan. Na dźwięk jego głosu Dean Lynch gwałtownie poderwał głowę.

Czy z nią wszystko w porządku? — powtórzył pytanie Morgan.

Ostentacyjnie ignorując nowo przybyłego, Lynch ponownie pochylił się nad polem operacyjnym.

— Cięcie! — warknął. June Morrison posłusznie przecięła ostatni szew, na którym moment wcześniej wyrósł zgrabny węzeł. Chirurg upuścił igłę na podłogę i zamasyście ją kopnął, posyłając w przeciwny róg pomieszczenia. — To, kurwa, ostatni raz, kiedy ratuję ci tyłek, Morgan! ryknął na cały głos, po czym zeskoczył z taboretu i wymaszerował z sali, pozostawiając za sobą oszołomienie i chaos.

Lynch nie zwrócił uwagi na biegnącego z naprzeciwka przysadzistego Harry'ego O'Briena ani usiłującego mu dotrzymać kroku Dempseya. Nie wiedział, że serca obu mężczyzn niemal wyskakują z piersi z wysiłku i niepokoju. Jedynym, czego doktor Dean Lynch był świadom w tamtej chwili, był potworny ból głowy. Kiedy parę chwil później zrzucił z siebie zielony fartuch, twarz miał białą jak kreda ze wściekłości. Nie minęły minuty od zakończenia operacji, a on już był na zewnątrz szpitala, wsiadał do samochodu i odjeżdżał z piskiem opon w stronę Whitfield Square. Auto mknęło wąskimi uliczkami, błyskawicznie oddala-

40

jąc się od Centralnego Szpitala Położniczego, i w końcu włączyło się do ruchu na O'Connell Street. Lynch ani razu nie zwolnił, nawet udy słyszał ostrzegawcze klaksony i widział wygrażające mu pięści, kiedy przejeżdżał skrzyżowania na żółtym świetle i zmieniał pasy bez uprzedzenia. Zegar na budynku Trinity College wybił pierwszą trzydzieści, jak go mijał z zamiarem zjechania w Nassau Street, skąd już miał prosto jak strzelił do dzielnicy Ballsbridge. Zbliżając się do swego mieszkania, położonego w jednym z kilku apartamentowców przy Baggot Street, Dean Lynch nie pierwszy raz tego dnia zastosował technikę relaksacyjną w próbie zapanowania nad nerwami. Brał głęboki oddech, przytrzymywał powietrze w płucach, po czym wypuszczał je przez lekko rozchylone wargi. Dojechawszy do kondominium, sprawnym manewrem wślizgnął się na miejsce parkingowe przeznaczone dla mieszkania numer dwadzieścia trzy. Sprawdziwszy dwukrotnie, czy włączył alarm, ruszył swobodnym krokiem przez asfaltową alejkę prowadzącą do budynku, mając nadzieję, że nikt nie zwrócił uwagi na to, że znalazł się w domu o tak wczesnej jak na dzień roboczy porze. W hallu nie skorzystał z windy, tylko wbiegł po schodach na drugie piętro i czym prędzej zatrzęsął za sobą drzwi apartamentu.

W pokoju do ćwiczeń przesunął nogą dywanik leżący na klonowej

podłódze i włożył ostrze porwanego z kuchni noża w ledwie widoczną szparę między dwiema klepkami. Kawalek drewna wyskoczył z cichym puknięciem. Lynch momentalnie włożył w otwór palce, gmerając na oślep w poszukiwaniu małej, zielonej plastikowej torebki. Wyjąwszy ją, zacisnął na niej dłoń — jakby czerpiąc otuchę - i w

okamgnieniu znalazł się z powrotem w kuchni, gdzie usiadł przy stole i wysypał zawartość, którą skrywała, na blat z laminatu.

Pieprzone gnoje — mrucał, dobierając się do przezroczystego woreczka wypełnionego białym proszkiem. Przesypał nieco na łyżeczkę ze stali nierdzewnej, po czym Cłukiem i palcem wskazującym wolnej ręki odkręcił ampułkę ? Płynem fizjologicznym. Następnie nabrał trochę płynu do świe-0 Opakowanej strzykawki z igłą, strzyknął na łyżeczkę z białym Pr°szkiem i podgrzał ją od spodu płomieniem zapalniczki. Kiedy

41

proszek całkowicie się rozpuścił, ostrożnie — och, jak ostrożnie — przesunął znowu tłok strzykawki, wciągając odpowiednią ilość mikstury. W dalszym ciągu mamrotał przekleństwa, gdy zaciskał opaskę na lewym ramieniu i poklepywał skórę w zgięciu łokcia, szukając dobrej żyły. Wolno, wolniutko wkłuł igłę 0,33 do iniekcji dożylnych w najlepiej rokujące naczynie i pociągnął delikatnie tłok, aby się upewnić, że końcówka znalazła się w świetle. Pogratulował sobie w duchu precyzji, widząc, jak ciemnoczerwona krew pojawia się w plastikowym pojemniku z podziałką, i dopiero wtedy zaczął lekko naciskać tłoczek. Tę część całej zabawy lubił najbardziej, toteż działał powoli i uważnie, nie chcąc, by coś - na przykład nagłe wymioty — mu ją popsulo. Ostrożnie wstrzykiwał zawartość, od czasu do czasu cofając tłok, by sprawdzić, czy igła wciąż tkwi w świetle naczynia. W ten sposób doktor Dean Lynch podawał sobie heroinę. Dopracował procedurę do perfekcji, kończąc wstrzykiwanie, tuż zanim narkotyk uderzał mu do głowy. Z każdą chwilą czuł większą suchość w ustach, język zaczynał ciążyć niczym kawałek ołowiu, ale jakimś cudem udawało mu się oblizać wargi. Nim przeniósł się na łóżko, gdzie przez półprzymknięte powieki obserwował, jak najpierw sufit, a potem cały pokój rozmywają się i rozplywają w niebycie, nie zapomniał wrzucić zużytej strzykawki i obu woreczków do kuchennej szuflady. Poczekają tam do rana, kiedy to będzie mógł zrobić z nimi porządek. Czuł spokój i zadowolenie, których nie zburzyło nawet to, że musiał zabezpieczyć miejsce

wklucia plastrem z opatrunkiem, co nie było najłatwiejsze w jego obecnym stanie.

Odrzuciwszy dwa cienkie paski papieru zabezpieczające klejącą część plastra, doktor Dean Lynch poczuł, jak ogarnia go szczęście.

DZIEŃ DRUGI

VII

Wtorek, 11 lutego, godzina 06.30

Światło było włączone. Lynch siedział na brzegu łóżka, dusząc się i krztusząc, walcząc o każdy oddech, podczas gdy jego ciało drżało i ociekało potem. Jedną ręką przetarł sobie twarz, drugą podparł się o szafkę nocną. Czując, że zaraz zwymiotuje, runął w stronę łazienki, gdzie nachylił się nad umywalką, objąwszy porcelanę czulej niż niejeden mężczyzna kochankę, i zamarł. Chociaż wnętrzości mu się skręcały, nie zwrócił nic, co mogłoby ulżyć jego cierpieniu. Powłócząc nogami, wszedł pod prysznic, przekręcił kurek z ciepłą wodą i stanął w silnym strumieniu. Manipulując po omacku, zmienił temperaturę wody na niższą i poczuł, że ożywa, dopiero gdy smagnął go lodowaty chłód.

Przekuśtykał do kuchni i klapnął na pierwsze z brzegu krzesło. Za oknem szarzał świt. Koszmary dręczyły go ostatnio z morderczą regularnością, tak że właściwie zaczął się obawiać ciemności i snu.

Wybawienie, które nadchodziło w postaci poranka, zastawało go zazwyczaj zlanego potem w mokrej, odrażająco cuchnącej pościeli. Chyba że akurat — tak jak teraz — siedział na drewnianym krześle i trząsał się z zimna, wlepiając oczy w niebo za oknem. Coraz częściej uciekał się do heroiny, żeby zapanować nad strachem, lecz jak mało kto zdawał sobie sprawę z tego, na jakie niebezpieczeństwo się wystawia.

Dean Patrick James Lynch urodził się dwudziestego kwietnia lysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku w szpitalu położniczym w Portlawn w centralnej Irlandii. Tylko tyle wiedział na pewno. Jediną pamiątką z dzieciństwa, o ile można to tak na-

43

zwać, był wytłuszczony i postrzępiony na brzegach akt urodzenia, potwierdzający powyższe fakty. Nie istniały fotografie małego Deana Lyncha ani żadne listy czy widokówki pochodzące z czasów jego młodości. Dla jasności: nie istniały ani teraz, ani w przeszłości. Wyświechtany akt urodzenia był wyłącznym dowodem, że Dean P. J. Lynch miał jakąkolwiek przeszłość, że kiedykolwiek w



ogóle był dzieckiem. Dorastając, nie miał nic własnego i tak pozostało przez resztę jego życia.

Oprócz zdezelowanego samochodu kupionego w komisie, niezbędnego, jeśli chciał dojeżdżać na czas do pracy, i paru podstawowych mebli, nie posiadał zupełnie nic. Ale też niczego nie pragnął. Dojrzewał bowiem w przekonaniu, że nic mu się nie należy. Jako dziecko nosił ubrania po starszych, którzy zdążyli z nich wyrosnąć; jako chłopiec sypiał w łóżkach zwolnionych przez kolegów, których z tego czy innego powodu przeniesiono gdzie indziej; jako młody mężczyzna zdierał buty po innych i usilnie próbował dopasować się do takiego czy innego otoczenia i za wszelką cenę niczym się nie wyróżniać. Każdy podkoszulek, każda koszula, każda przetarta skarpetka, z ledwością chroniąca przed siarczystym irlandzkim mrozem, w każdej chwili mogła mu zostać odebrana. Pogodził się z tą myślą dość wcześnie i odtąd miał się zawsze za nikogo.

Wraz z resztą sierot wychowywanych w domach dziecka, przez które się przewinał na przestrzeni lat, stanowił szumowinę społeczeństwa lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Porzuceni w niemowlęctwie, wyparci z pamięci przez własne matki, byli unikani przez wszystkich jako kłujący w oczy dowód na to, że grzech istnieje. Grzech najgorszy z możliwych w pruderyjnym kraju takim jak Irlandia: grzech bycia poczętym poza świętym związkiem małżeńskim. Personel sierocińców stanowił mieszaninę fanatyków religijnych i świętoszkowatych matron, owoc swoich czasów. Skąpe fundusze zapewniane przez państwo nie wystarczały, by zapewnić dzieciom godne życie, gdyż oszczędzało się dosłownie na wszystkim, co prowadziło do tego, że warunki były więcej niż ciężkie, okraszone żelazną, by nie rzec: nieludzką dyscypliną, mającą z wyrzutków zrobić przyzwoitych obywateli. Budżet żadnego domu dziecka nie przewidywał wydatków na zabawki czy cukierki, które nie tyle osłodziłyby los niechcianych

44

dzieci, ile uczyniłyby egzystencję sierot znośniejszą. Co gorsza, w instytucjach tych zabrakło także choćby odrobiny miłości. Kiedy któreś z dzieci zwracało się do opiekunów po jakikolwiek przejaw uczucia, ciepły gest czy słowo, jakie mogły pomóc przetrwać najtrudniejsze dni, spotykało się z odmową, odepchnięciem lub — nierzadko — ciosem.

Dean Lynch był odrzucany tak często, że bardzo wcześnie nauczył się

radzić sobie sam i nie szukać pocieszenia. Znał również sposoby, jak unikać razów rozdawanych na prawo i lewo, czasem zupełnie bez powodu albo za przewinę, która ledwie wymagała skarcenia. W sierocińcu, gdzie spędził dziecięce lata od piątego do szesnastego roku życia, stał się mistrzem, jeśli chodzi o panowanie nad sobą, powściąganie emocji, skrywanie uczuć oraz dbanie o samego siebie. Już jako kilkulatek umiał obserwować i wyciągać wnioski. Przyglądał się, kiedy, za co i przez kogo są karane inne dzieci, i typował najokrutniejszych opiekunów, którym łatwo puszczały nerwy, a potem starannie unikał wychylania się podczas ich dyżurów. Z całą pewnością można było powiedzieć, że charakter Deana Patricka Jamesa Lyncha został ukształtowany i okrzepł w domu dziecka. Tam opanował sztukę pozornej uległości, posiadał wiedzę, jak być nijakim do szpiku kości.

Tam także nauczył się planować zemstę i czerpać z niej rozkosz. Zerknął na zegarek. Było wpół do siódmej rano. Wdusił przycisk ponownego odtwarzania na automatycznej sekretarce ustawionej na blacie w kuchni.

Masz... jedną... nową... wiadomość... — przemówił mechaniczny głos. Już samo to było niesłychane. Dean Lynch nie otrzymywał wiadomości, ponieważ nikt nigdy do niego nie dzwonił. — E... Dean... — Kiedy usłyszał jąkanie się Luke'a Conwaya zdziwił się jeszcze bardziej. Zaraz jednak domyślił się, o co może chodzić dyrektorowi szpitala. — Przez całe popołudnie próbowałem się z tobą skontaktować. Nikt nie wie, gdzie się podziałeś... dowiedziałem się właśnie, co zaszło na sali operacyjnej, i byłbym zobowiązany, gdybyś mógł do mnie wpaść z samego rana, żebyśmy mogli o tym porozmawiać. Powiedzmy o dziesiątej, dobrze? to do zobaczenia.

45

Lynch nalał sobie filiżankę kawy i ponownie się zapatrzył na wstający świt. Siłą woli ponaglał słońce, by się pośpieszyło.

Dziesiąty dzień z rzędu nie miał ochoty na śniadanie —jedyne posiłek, który przygotowywał sobie sam i który dotychczas sprawiał mu trochę przyjemności. Gorąca kawa sparzyła mu język i przełyk. Z westchnieniem przełknął następną tabletkę penicyliny.

Dokładnie o tej samej godzinie w innej części miasta inna para oczu również śledziła postępujący brzask.

Tommy Malone siedział przy kuchennym stole w swoim szeregowym

domku z czerwonej cegły położonym w dzielnicy Anderson's Quay leżącej prawie nad samym morzem. Przed nim na blacie rozpostarte były poranne wydania gazet. Z okna rozciągał się widok na rzekę Lit'fey, na której zakotwiczone stały liczne barki, niektóre nawet z logo Guinnessa, oraz inne jednostki, głównie handlowe kontenerowce czekające na załadunek bądź rozładunek. Tommy dość często spoglądał na budzący się do życia ruch na rzece, czekając na światło dnia i paląc papierosa za papierosem. Chlubił się tym, że ma najlepszy widok z okna kuchni w całym Dublinie: port i doki, gdzie zawsze coś się dzieje, tak że po prostu nie sposób się nudzić. Co dzień, siadając, aby wysłuchać wiadomości o ósmej, uchylał okno i wpuszczał do środka charakterystyczny zapach soli i wodorostów zmieszany z wonią przypalonego słoju snującą się od strony browaru Guinnessa zlokalizowanego w St. James Gate. Tego dnia jednak Malone nie rozkoszował się dochodzącym z rzeki aromatem ani obrazem; jego myśli krążyły w zupełnie innych rejonach.

Jeszcze raz przeczytał nagłówki. O'BRIEN OJCEM i CHŁOPAK. HARRY'EGO, i SYN DLA O'BRIENA, i DZIECIAK WART DWA MILIONY! Wszystkie

gazety aż się zachłystywały informacją o narodzinach małego Gordona.

„The Daily Post” na rozkładówce pod wielkimi literami głoszącymi TYLKO U NAS wydrukował czterostronicowy raport o rodzinie Harry'ego O'Briena, zamieszczając zdjęcia wszystkich członków rodziny i fotografię domu na ogromnej posiadłości. Gazeta sprzątnęła innym tytułom śmietankę sprzed nosa, zawczasu przeprowadzając drobiazgowy dziennikarski dochodzenie, a także dzięki swojej wtyczce w szpitalu uchy-

46

lając rąbka tajemnicy na temat tego, co zaszło minionego dnia na sali operacyjnej Centralnego Szpitala Położniczego. Reportaż zawierał szczegółowy opis wydarzeń, wdrożonych procedur i lekarzy biorących udział w akcji.

Tommy czytał go po raz czwarty z kolei. Kiedy skończył, odsunął na bok pozostałe trzy gazety. Otworzył szufladę i spośród różnych bambetli odgrzebał nożyczki. Starannie wyciął tekst będący informacją o narodzinach O'Briena juniora oraz inny, piejący nad dokonaniem i bogactwem O'Briena seniora. Przyjrzał się wycinkom uważnie, marszcząc przy tym czoło. Ręka bezwiednie poklepała kieszeń na piersi, gdzie trzymał papierosy. Wyćwiczonym przez lata

ruchem sięgnął do środka i wyjął jednego. W oddali zagrzmiała syrena na którejś z barek, mewy poderwały się w niebo ze skrzekiem, jakby przeklinając. Obojętny na hałas Tommy zapalił sweet aftona bez filtra i zapatrzył się na siny dym unoszący się pod sufit. W jego umyśle krystalizował się plan.

Thomas (Tommy) John Malone był starzejącym się kryminalistą, który w życiu nie odniósł choćby jednego marnego sukcesu. W wieku pięćdziesięciu ośmiu lat był o parę centymetrów niższy niż w młodości, a to za sprawą lekkiego garbu, którego się nabawił nie wiedzieć skąd. Palce jego prawej dłoni były niemal czekoladowobrazowe od nikotyny, nawet rzęsy i brwi wykazywały oznaki przebarwienia spowodowanego nałogiem. Permanentny brak pieniędzy, brak zainteresowania i kopczenie od wczesnej młodości poskutkowały szerniałymi i niezbyt równymi zębami, które w pewnym momencie postanowił zakrywać obfitym wąsem opadającym aż za górną wargę. Gwoli sprawiedliwości trzeba było przyznać, że nosi się czysto i schludnie — ale tego akurat nauczył się w więzieniu, gdzie szwankująca higiena osobista jednego osadzonego dawała się we znaki wszystkim lokatorom ciasnych i nie-wietrzonych cel i mogła przyczynić niechlujowi nieprzyjemności większych aniżeli te doświadczane od klawiszy.

Dorastał w spelunie położonej w starym centrum Dublina, przy Steevens Street, zaledwie parę minut spacerkiem od Whitfield Square i Centralnego Szpitala Położniczego, gdzie na-wiasem mówiąc, urodził się pod koniec drugiej wojny światowej

47

jako piąte z ośmiorga dzieci, jakie wydała na świat jego matka. Jak większość mieszkańców tamtej okolicy zbrodnię traktował jak coś oczywistego. Odkąd pamiętał, kradł i rabował, wrywał damskie torebki, rozbijał szyby samochodowe, żeby capnąć cokolwiek, co akurat leżało na wierzchu.

Ledwie odrósł od ziemi, dowiedział się, że policja to gnoje, buraki ze wsi o głupich wielkich łbach schowanych pod wielkimi głupimi czapkami. I że wielkie czerwone uszy mają po to, żeby czapki nie spadały im na wielkie głupie oczy. Jego ojciec i starsi bracia dawali mu przykład, jak ma kraść, tyle że wszyscy jeden po drugim kończyli albo w więzieniu, albo w grobie — z powodu narkotyków lub wendety. Ojciec Tommy'ego był żalonym alkoholikiem, który zataczał się od nieudanego napadu do skiksownego rozboju, na końcu

zawsze łądząc w ramionach stróżów prawa. Nie minęło wiele czasu, a młody Malone również znalazł się w kręgu zainteresowania wielkich i głupich policjantów, których od maleńkości nienawidził. Nim skończył osiem lat, co najmniej sześć razy stawał przed sądem dla nieletnich za drobne kradzieże. W wieku lat szesnastu nie umiałby powiedzieć, jak często trafiał do poprawczaka. Swoje dwudzieste urodziny spędził w dublińskim więzieniu Mountjoy, odbywając tam karę trzech lat pozbawienia wolności za napad z bronią w rękę, co niczego go nie nauczyło, gdyż już parę lat później trafił za kratki na sześć lat. Dobijając trzydziestki, byłby znanym w okolicy dilerem narkotyków, gdyby nie jego słynny pech. Tommy Malone trafił bowiem na czas, kiedy podziemie narkotykowe stolicy Irlandii przebudowywało się od podstaw; wielu mało znaczących przestępców postanowiło hurmem zawojować świat, a przynajmniej tę jego część, którą znali, i zmonopolizować handel środkami odurzającymi na jak najrozleglejszym terenie, odcinając swój kawałek tortu. Policyjne statystyki potwierdzały to, co niemal wszyscy od dawna wiedzieli: mianowicie że osiemdziesiąt procent wszystkich przestępstw popełnianych w Dublinie ma związek z narkotykami. Liczby głośiły, że w stolicy przebywa około siedmiu tysięcy heroinistów, z których każdy wybuła jakieś sześćdziesiąt funtów, by zaspokoić kosztowny nałóg. Tommy'emu ponownie powinęła się noga. Wypadł z interesu, zanim jeszcze na dobre w niego wszedł.

48

Przez następne parę lat obijał się to tu, to tam, zyskując łatkę nieudacznika; gangstera bez własnego gangu, rewolwerowca bez rewolweru.

Słuchaj no, brachu — poradził mu jeden z kumpli na przyjęciu, które Tommy wyprawił z okazji swoich czterdziestych urodzin, mając w perspektywie kolejną rozprawę sądową za przestępstwo, jakie nie przyniosło mu żadnych profitów — daj ty se spokój, co? Przynosisz nam wszystkim pecha. Wystarczy, że wystawisz swój kinol na ulicę, a gliny aż świerzbią łapy, żeby cię dopaść i postawić zarzut, że za głęboko oddychasz. Nikt nie chce z tobą pracować. Krąży plotka, że od urodzenia masz przesrane.

Malone jednak ani myślał wycofać się z biznesu. Zresztą, kur-defelek, czym miałby się zająć? Potrafił przecież tylko kraść. Dopiero ostatni wyrok, pół roku za paserstwo, go otrzeźwił. A może nie tyle wyrok, ile to, co usłyszał od strażnika więziennego po tym, jak

go już przewieźli z sądu do ciupy.

Ty to chyba wykupiłeś sobie u nas stały pobyt — zarechotał klawisz, odbierając od niego rzeczy osobiste.

Tak, to właśnie wtedy doznał olśnienia. Zmarnował sobie życie. Jedną trzecią spędził za kratkami, a przez resztę uciekał przed policją. A teraz trafił do celi z prawdziwą szycią w świątku przestępczym, jakimś Harrym O'Neillem, przemytnikiem znad granicy, który postrzelił śmiertelnie policjanta w trakcie próby napadu na wiejski bank. O ile w dzisiejszym świecie dożywocie najczęściej równało się ośmiu latom spędzonym na państwowym wikcie, o tyle Harry O'Neill naprawdę miał dokonać żywota w więzieniu, co biorąc pod uwagę jego wiek, mogło trochę potrwać. Tymczasem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Któregoś dnia przybity Harry wrócił do celi po wizycie u więziennego lekarza, a miesiąc później już nie żył. Rak zabił go na trzy tygodnie przed wyjściem Tommy'ego.

Wyrok, świadomość, że strażnicy uważają go za stałego bywalca, poczucie zmarnowanego życia — to wszystko wstrząsnęło lommym. Widok zwłok Harry'ego O'Neilla wynoszonych z celi był ostatnią kroplą.

- Nie ma mowy, żebym wykitował w kiciu — poinformował Tommy nowego współwięźnia na dzień przed tym, zanim wypuści go na wolność.

—  
Nie ma, kurdefelek, mowy.

49

Tommy Malone zdusił niedopałek w popielniczce i dolał do kubka mocnej, gorzkiej herbaty. Podparłszy brodę na dłoniach, wpatrywał się w wycinki. Na jednym było napisane: O'BRIENA, na drugim: DZIECIAK, na trzecim zaś: DWA MILIONY. Tommy oderwał ręce od twarzy i

zmienił układ na stole. Teraz napis stanowił niemal pełne zdanie: DZIECIAK, O'BRIENA, DWA MILIONY. Malone znowu przesunął kawałki

papieru, układając je w pionie tak, że DWA MILIONY rozpoczynały kolumnę, a DZIECIAK ją kończył. W pozycji centralnej rzuciło się w oczy nazwisko O'BRIEN. Zadowolony z wykonanej pracy Tommy odchylił się na krześle, zapalił następnego papierosa i zawiesił wzrok na deszczowych chmurach sunących znad rzeki w stronę łądu.

Słońce, które dopiero co wstało zza horyzontu, zniknęło, pograżając świat w nieprzyjemnym mroku.

VIII

Godzina 10.20 Gabinet dyrektora Centralnego Szpitala Położniczego w Dublinie

— Niech pan siada, Dean. — Luke Conway wskazał stojące naprzeciwko jego biurka krzesło o twardym oparciu.

Na drugim, identycznym, ustawionym w odległości niecałego metra, siedział już Tom Morgan. Choć wyglądał tak jak zawsze, czyli jakby właśnie zszedł ze stron katalogu Armaniego, nietypowo dla siebie miał kwaśną minę i zdawał się czymś zaniepokojony. Raz po raz poprawiał węzeł krawata, zamotany wedle najnowszej mody, i strzepywał nieistniejące pyłki z nienagannego granatowego garnituru podkreślającego jego zgrabną sylwetkę, a w końcu nawet rozpiął kołnierzyk jedwabnej koszuli w białe prążki na bladoróżowym tle. Czując na sobie badawcze spojrzenie dyrektora, oddzielonego tylko przez wykończony skórą blat biurka, przejechał dłonią po bujnej, kędzierzawej czuprynie, w której na skroniach zaczęły pojawiać się pierwsze pasemka siwizny.

Luke Conway wpatrywał się w obu mężczyzn znad szkieł oryginalnych, bo pozbawionych oprawy okularów. Po raz kolejny doszedł do wniosku, że Morgana i Lyncha różni niemal wszystko. Pierwszy był wysoki i szczupły i prezentował się jak model oczekujący na sesję zdjęciową, natomiast drugi przedstawiał sobą żalostny widok: niski i korpulentny, do tego ubrany w coś, co przypominało źle dobrane rzeczy, jakie można kupić w sklepie z używaną odzieżą.

Jako ordynator i dyrektor szpitala był ich przełożonym pod względem zarówno administracyjnym, jak i zawodowym. Oni zaś obejmowali równorzędne stanowiska lekarzy specjalistów, aczkolwiek Tom Morgan zatrudnił się w CSP jakiś czas przed

51

Deanem Lynchem, co jednak w żaden sposób nie stawiało go na uprzywilejowanej pozycji.

Chcąc działać pod wpływem impulsu, Conway już wczoraj zawiesiłby obu lekarzy w ramach reperkusji za nieprofesjonalne zachowanie na sali operacyjnej. Nie zrobił tego, ponieważ taka decyzja odbiłaby się szerokim echem w mediach, pilnie śledzących wydarzenia towarzyszące narodzinom O'Briena juniora. Nieoczekiwane cesarskie cięcie po prawidłowo przebiegającej ciąży, której kibicowały wszystkie lokalne gazety i stacje radiowe i telewizyjne, stanowiło łakomy kąsek nawet dla mediów ogólnokrajowych. Gdyby wyszło na jaw, że dwaj lekarze niemal rzucili się sobie do gardeł przy stole

operacyjnym, nie postawiłoby to szpitala w dobrym świetle. Pomijając już to, że prasa i telewizja miałyby używanie, CSP mógłby pożegnać się z hojną donacją O'Briena. A Luke Conway bardzo potrzebował tych pieniędzy.

— Doktorze Lynch... — zaczął z namysłem. — Tom Morgan i ja właśnie odtworzyliśmy wczorajszy przebieg wypadków na sali operacyjnej numer dwa. — Zrobił pauzę i poprawił się w skórzanym fotelu, jak gdyby wciąż nie był pewien, jak powinien zareagować. — Przede wszystkim jednak proszę przyjąć moje podziękowanie za to, że bez chwili zwłoki odpowiedział pan na wezwanie położnej i sprowadził na świat to dziecko. Nie mam cienia wątpliwości, że Gordon O'Brien zawdzięcza panu życie.

Dean Lynch siedział nieruchomo, wpatrzony w jakiś punkt na ścianie położony nieco na lewo od Conwaya. Słuchał pilnie albo medytował — a może bujał w obłokach. Jego mina nie zdradzała zupełnie nic.

— Lecz — ciągnął dyrektor, wchodząc na wyższe rejestry godne potępienia jest to, że opuścił pan salę operacyjną, zanim na dob... — urwał, kiedy na stole przed nim pojawiła się szara teczka. To Lynch wyciągnął ją nagłym ruchem zza marynarki, po czym położył na blacie, otwierając teatralnym gestem i wskazując na plik kartek spiętych zwykłym biurowym spinaczem.

- Niewykluczone, że jest pan w posiadaniu kopii tych dokumentów — wysyczał. Jeśli nawet w środku gotował się ze złości, na zewnątrz wydawał się całkiem opanowany. Zaintrygowany Tom Morgan wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć. — To

52

mój kontrakt ze Wschodnią Kasą Chorych. Pół ranka spędziłem, wgrzając się w jego treść. — Spojrzał Conwayowi prosto w oczy i nie spuścił wzroku, kiedy kontynuował: — Wyszło mi, że moim pracodawcą jest Wschodnia Kasa Chorych i nikt poza tym. Nie mam podpisanej umowy ze szpitalem. Odpowiadam tylko przed ministrem zdrowia i urzędnikami Kasy Chorych, również w sprawach dyscyplinarnych.

Usta Luke'a Conwaya poruszyły się, jak gdyby chciał powiedzieć coś, co pozwoli mu odzyskać inicjatywę.

- Gdyby kiedykolwiek zadał pan sobie trud przeczytania tego kontraktu, wiedziałby pan, że do moich obowiązków należy zapewnianie opieki medycznej pacjentkom Centralnego Szpitala Położniczego w ramach narodowego funduszu zdrowia. Dodatkowo mam zakaz



prowadzenia

prywatnej praktyki tak długo, jak długo ważna jest moja umowa ze Wschodnią Kasą Chorych. — Lynch ponownie zrobił przerwę, pozwalając, by każde jego słowo dotarło do uszu adresata i przebiło się do zwojów mózgowych.

Tom Morgan skurczył się w sobie, opuścił głowę i bezmyślnie gapił w czubki swoich lakierków od Gucciego. Dyrektor zdjął okulary, które nagle zaczęły go uwierać w nos, i nachylił się w stronę Lyncha, nie chcąc uronić ani słowa.

Dla jasności, doktorze Conway. — Głos Lyncha utracił spokój i brzmiał teraz lodowato, tak że wyczuwało się kipiący w mówiącym gniew. — Mam zajmować się pacjentkami publicznej służby zdrowia i nikim więcej. — Zatrzasnął okładki teczek, wstał i nachylił się nad biurkiem, tak że mimo mikrego wzrostu górował nad siedzącym. Nie starał się już zapanować nad złością. — W ciągu ostatnich czterech miesięcy czterokrotnie musiałem wykonywać czynności zawodowe w Północnym Skrzydle szpitala. — Wyjął z kieszeni mały notes i otworzył go na zaznaczonej żółtą karteczką stronie. — Przeprowadziłem dwa porody kleszczowe i jedno cesarskie cięcie za doktora Toma Morgana oraz jedno wyłyżeczkowanie łożyska za doktora Matta Grogana. Wszystkie cztery kobiety były prywatnymi pacjentkami tych panów. Nie wnिकam, gdzie przebywali, podczas gdy ja odwalałem za nich robotę. — Wsunął notes z powrotem do kieszeni, zabrał z blatu swoją teczkę, po czym odwrócił się do wyjścia. Zatrzymawszy się w pół ruchu, dorzucił: — Przyszedłem tu dzisiaj

53

z czystej uprzejmości. Dawno minęły czasy, kiedy wzywano mnie do gabinetu dyrektora. Jeśli ma pan, doktorze, jakieś zastrzeżenia co do mojego zachowania albo umiejętności zawodowych, proszę je wyjaśnić z urzędnikami ministerstwa. Jestem pewien, że minister zdrowia chętnie usłyszy, ile mojego czasu poświęcam na zajmowanie się prywatnymi pacjentkami pańskich lekarzy, którzy nje raczą być w pracy w godzinach dyżuru.

Lynch znalazł się za drzwiami, zanim jeszcze Conway nabrał w płuca powietrza, by udzielić mu odpowiedzi. W gabinecie zapadła całkowita cisza. Tom Morgan nadal podziwiał glanc swoich lakierków. Po długiej chwili milczenie przerwał Luke Conway. Mówił przez ściśnięte gardło, a mimo to jego głos miał ostrość brzytwy.

— Doktorze Morgan!

Tom Morgan podniósł wzrok i napotkał świdrujące spojrzenie starszego lekarza.

— Doktorze Morgan! Gdyby nie to, że ten szpital nie zniesie ani odrobiny więcej złej prasy, wyrzuciłbym pana na zbity pysk.

Nieskoordynowanym ruchem schował złożone okulary do kieszonki na piersi. — Uprzedzam pana, że jestem świadom nie tylko pańskiej wczorajszej porażki, ale także innych haniebnych czynów, które ukróczę, jeśli pan sam nie zmańdrzeje.

Tom Morgan zmarszczył brwi i rozluźnił przekrzywiony krawat.

— Wiem, że utrzymuje pan intymne stosunki z dwiema swoimi pacjentkami. Nie wykluczam, że takich kobiet jest więcej. Mimo że nie potrafiłbym tego panu udowodnić, mam na poparcie zdanie pracowników. Pańskie prowadzenie się jest tematem plotek w całym szpitalu!

Tom Morgan wykonał gwałtowny gest, lecz nic nie powiedział.

— Ostrzegam pana, Morgan, i zapewniam, że nie będę się powtarzał. Jeśli przez pana padnie cień podejrzania na szpital albo kogokolwiek z personelu, rozpętam takie piekło, że będzie pan mógł zapomnieć o wykonywaniu łatwego i przyjemnego zawodu lekarza ginekologa!

\*

54

Przygarbiona postać Toma Morgana przemierzającego szpitalne korytarze pozostawała w jawnym kontraście z roześmianym od ucha do ucha i rozgadany Harry ni O'Brienem, który podążał w przeciwnym kierunku z wiąchą kwiatów w ręku wystarczającą, żeby otworzyć małą kwiaciarnię.

— Dzień dobry, doktorze! Dzień dobry, siostrze! — radośnie witał każdego, kto miał na sobie biały fartuch.

Za nim postępował barczysty Theo Dempsey, jednym okiem ogarniający scenę wokół, a drugim obserwujący fanaberie szefa. W ręku trzymał wielką butelkę szampana.

O'Brien senior postawił sobie za punkt honoru, że podziękuje każdemu, kogo spotka — zaczynając od portiera, a kończąc na personelu szpitalnej kuchni i siwowłosej kobiecie, która rozwoziła herbatę.

Oczywiście w centrum jego zainteresowania znajdowali się lekarze i pielęgniarki, ale rozdawał dziękczynne cygara na prawo i lewo, mężczyznom i kobietom, pacjentkom i ich mężom, personelowi i odwiedzającym. Udał, że porywa wózek z herbatą, a kiedy starowinka

zartobliwie próbowała go odzyskać, uszczypnął ją w pośladek i nim zdążyła się zarumienić, wsunął jej czerwoną różę na długiej łożyźce za dekolt bluzki. Kobieta jeszcze długo stała z rozdziawionymi ustami, z trudem tłumiąc chichot.

June Morrison właśnie opuszczała separatkę numer trzy, kiedy ją zauważył.

Siostro! — krzyknął i popędził w jej stronę. — Moja kochana siostro! — W wyciągniętym ręku trzymał bukiet dwudziestu krwistoczerwonych róż. Zanim położna zdążyła zaprotestować, wycisnął na jej ustach wilgotny pocałunek. Na twarzy June Morrison wykwitł ciemny rumieniec. Opuszczone powieki świadczyły, że kobieta próbuje odzyskać panowanie nad sobą, świadoma, że obserwuje ją niższy personel.

Panie O'Brien — wydukała, ale Harry zamknął ją już w niedźwiedzim uścisku.

- Siostro, kocham panią! — oświadczył wzruszony O'Brien senior. — Kocham panią za to, że tak dobrze opiekowała się pani Sandra.

Dziękuję za wszystko, co pani wczoraj zrobiła.

Nim Morrison zdążyła dodać coś jeszcze, O'Brien wyminął ją i wśHzgnął się do separatki.

55

W środku na świeżo spulchnionych poduszkach leżała Sandra O'Brien. Jej długie jasne włosy były gładko rozczesane i ułożone po jednej stronie głowy. Nawet bez makijażu i pod wpływem silnych środków przeciwbólowych wyglądała cudnie. Harry O'Brien przystanął w progu i sycił oczy jej widokiem, jakby zobaczył ją po raz pierwszy.

Pielęgniarka czuwająca u boku położnicy przytknęła palec do ust i syknęła cicho, ale skinieniem głowy zaprosiła mężczyznę dalej.

Posłusznie postąpił parę kroków naprzód, całkowicie bezszelestnie, po czym złożył na czole żony czuły pocałunek. Sandra rozchyliła powieki i uśmiechnęła się. Przez chwilę trzymali się za ręce, ale wyczuwszy niecierpliwość męża, kobieta zwolniła uścisk.

Tylko go nie obudź! — przestrzegła szeptem, przyciskając dłoń do grubego opatrunku skrywającego długą bliznę pooperacyjną. — Dopiero co udało nam się go położyć spać.

Razem z młodą pielęgniarką patrzyła, jak Harry O'Brien, jeden z najzamożniejszych i najpotężniejszych ludzi w kraju, mięknie na widok swojego nowo narodzonego syna śpiącego w tym samym wiklinowym koszyku, w którym będąc dzieckiem, spał on sam. Delikatnie

przeciagnał opuszką palca wskazującego po lewym policzku niemowlęcia, cofając rękę natychmiast, gdy maleńka twarzą wykrzywiła się w grymasie. Kiedy dziecko kichnęło, w oczach jego ojca pojawiły się pierwsze łzy. Harry nie zapanował nad sobą i jedna kropla spadła, momentalnie wsiąkając w błękitną wyprawkę.

— Ile waży? — zapytał szeptem. — Czy ktoś już go zważył?

Trzy trzysta siedemdziesiąt pięć. Prawie trzy czterysta — odparła cichym głosem Sandra.

O'Brien senior spuchł z dumy.

O, to doskonała waga. Wszyscy O'Brienowie tyle ważyli przy narodzinach.

Za drzwiami Theo Dempsey czujnie obserwował korytarz, od czasu do czasu zaglądając przez szparę do środka separatki. Widząc odmienionego szefa, nie mógł nie wrócić myślami do tych dni i nocy, kiedy nie odstępował Harry'ego ani na krok, gdy ten szalał z rozpaczy i wściekłości.

\*

56

Harry O'Brien był prezesem i posiadaczem większości akcji O'Brien Corporation, będącej jedną z nielicznych międzynarodowych firm w granicach Irlandii. Założona w latach czterdziestych dwudziestego wieku przez jego ojca z początku nosiła nazwę "O'Brien's Herbal Cures" i działała na rynku farmaceutycznym, wykorzystując boom w medycynie. Danowi O'Brienowi, którego synem był Harry, aptekarzowi z wykształcenia, nie wystarczało kręcenie pigułek na zapleczu swojej apteki, toteż rychło zaczął wytwarzać większe ilości ziołowych leków, które można było sprzedawać bez recepty także poza sklepami medycznymi, w drogeriach i zielarniach. Stale wzrastająca sprzedaż i płynność finansowa podsunęły założycielowi myśl, by rozkręcić interes i wejść na rynek ogólnokrajowy. Jako człowiek o nienasyconej ambicji wkrótce poszukał wspólnika, którym ostatecznie stał się zakład produkcyjny BPP, z lokalizacją w Wielkiej Brytanii. Dan O'Brien pozbył się zaledwie trzydziestu procent swoich akcji, a i tak uzyskał z transakcji blisko ćwierć miliona funtów, kwotę niebagatelną w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej. Przyływ gotówki, zaplecze laboratoryjno-innowacyjne BPP i okrzepla sieć dystrybucji sprawiły, że produkty „O'Brien's Herbal Cures” pojawiły się na półkach większości sklepów branżowych na terenie Irlandii i Wielkiej Brytanii. Tak w tysiąc

dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku skromny aptekarz stał się jednym z pierwszych irlandzkich milionerów, a jego rodzina sławna po tym, jak zaczął promować ducha przedsiębiorczości pomiędzy rodzimymi biznesmenami.

Harry dorastał więc w spokoju i dostatku, tylko od czasu do czasu budząc sobą zainteresowanie mediów jako syn słynnego Dana O'Briena. Dość wcześnie zrozumiał, że niełatwo mu będzie przewyższyć sukcesy ojca, nie gubiąc przy tym własnego ja. Postawił więc na oryginalność. Niezbyt uzdolniony w klasycznym tego słowa rozumieniu, okazał się niezwykle utalentowanym sportowcem; reprezentował nawet Irlandię w zawodach lekko-atletycznych halowych i na stadionach, zdobywając złote medale na wielu zgrupowaniach w stolicach Europy. Postępy w nauce najpierw w szkole z internatem stopnia podstawowego i średniego, a później w murach Trinity College w Dublinie — okupił 'trami potu i godzinami spędzonymi na korepetycjach. Młody

57

O'Brien szybko zyskał przydomek Wielkiego O'Briena, kiedy zakończył wzrost z wynikiem stu dziewięćdziesięciu centymetrów, odpowiednią wagą i zdumiewającą czupryną czarnych jak smoła włosów wieńczącego imponującą sylwetkę. Deprymował wielu, jednakże jego ujmujący uśmiech zdobywał mu względy — i wdzięki — licznych kobiet. Ojciec nie ustawał w wysiłkach, aby uprzytomnić synowi, jak działa ten świat.

To wszystko kurwiszony łase na twoje pieniądze, Harry.

Po takim dictum buzujące w młodym ciele hormony uspokajały się nieco. Było tak do czasu, kiedy na horyzoncie pojawiła się dwudziestoletnia Eleanor Dixon, kruczoczarna piękność z hrabstwa Cork. Przyjechała do Dublina studiować języki nowożytne, ale skończyło się na tym, że Harry O'Brien studiował ją. Szło mu to równie sprawnie jak nauka na uczelni, Eleanor bowiem wodziła go za nos. Ignorowała wszelkie propozycje, jakie od niego wychodziły, dręczyła go miesiącami, zanim łaskawie zgodziła się umówić na wspólne wyjście do teatru. Jakkolwiek to wyglądało, prawda była jednak taka, że upatrzyła sobie Harry'ego, tak jak on upatrzył sobie ją. Nic dziwnego więc, że wkrótce romans rozgorzał z pełną siłą i skończyło się na cichym ślubie, aby uniknąć wścibskich dziennikarzy i nie mniej uciążliwych krewnych. Ich pierwsze dziecko przyszło na świat dwa lata później w Denver w stanie Kolorado,

gdzie Harry z małżonką przeprowadzili się, kiedy postanowił studiować zarządzanie firmą i marketing.

Po powrocie do Irlandii, który miał miejsce w osiemdziesiątym drugim roku po tym, jak zmarł Dan O'Brien, Harry spłacił matkę i dwie siostry i stanął na czele firmy jako główny dyrektor. Odkupił również od BPP sprzedane przez ojca trzydzieści procent akcji, mimo że jego bank ledwie to przełknął. W ciągu pierwszego roku dyrektorowania podjął decyzję o przejęciu małej podupadającej firmy z siedzibą w centralnej Irlandii, wytwarzającej proste urządzenia elektroniczne, i nie tylko wyprowadził ją na prostą, ale także rozwinął, zmieniając nieco profil i koncentrując się na produkcji sprzętu medycznego. Zanim został ojcem kolejnych dwojga dzieci, jego firma nazywała się już O'Brien Corporation i radziła sobie świetnie na wielu polach.

Zdawało się, że Harry O'Brien ma rękę do interesów — czegokolwiek dotknął, zamieniało się w górę pieniędzy. Dobra passa

58

skończyła się dwudziestego grudnia dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Wtedy to lexus prowadzony przez Eleanor O'Brien zmierzającą z Dublina do rezydencji w hrabstwie Wicklow zderzył się czołowo z piaskarką. Zginęli wszyscy pasażerowie — czyli trójka małych O'Brienów — i kierowca — czyli ich matka. Żadne nie miało nawet cienia szansy. W ponure zimowe popołudnie Harry O'Brien stracił całą rodzinę. Miesiąc później walczył o życie w prywatnej angielskiej klinice po tym, jak przedawkował środki nasenne i alkohol. Rehabilitacja trwała miesiącami, ale nawet izdy wracał do pracy jesienią następnego roku, wydawał się tylko połową człowieka, jakim był wcześniej. Kolejne półtora roku zajęło mu uporanie się z problemem alkoholowym i poskładanie życia do kupy. Światelko nadziei zaświtało, dopiero kiedy poznał urzekającą Sandrę Greene, topową irlandzką modelkę młodszą od niego o dwie dekady. Boska Sandra, którą liczni porównywali do Afrodyty, miała bystry umysł i zaraźliwy śmiech. Poznali się na jakimś koktajl party i praktycznie od razu wpadli sobie w ramiona. Byli małżeństwem przed upływem miesiąca. Dempsey poczuł się nieswojo, będąc świadkiem sielanki rodzinnej. Domknął drzwi i przysiadł na krzeselku ustawionym na korytarzu. Nie zwrócił uwagi na pielęgniarzkę pchającą wymyślny inkubator na kółkach, cały wykonany z tworzywa przypominającego to, jakie widuje się na statkach kosmicznych, i ochraniający czyjeś przedwcześnie

urodzone dziecko. Ocknął się dopiero wtedy, gdy szurając nogami, minęła go kobieta odziana w szpitalną koszulę i niedbale narzucony kosztowny szlafrok. Najwyraźniej matka dziecka, sądząc po klęsnącym pod materiałem brzuchu i przygaszonym spojrzeniu. Theo uśmiechnął się pokrzepiająco i młoda matka odwzajemniła uśmiech. Kiedy na korytarzu znów zrobiło się pusto, sięgnął po leżącą na krześle obok gazetę i zaczął czytać. Nagłówki na pierwszej stronie wielkimi literami głosiły ■adosną nowinę o narodzinach syna jego szefa i drugiej żony. W miarę jak czytał, jego niepokój rósł. Ani trochę nie cieszyło go, że intymne szczegóły z życia Wielkiego O'Briena rozgłaszane są w gazetach. Theo Dempsey chmurniał z każdym przeczytanym zdaniem.

IX

Godzina 11.30

Nie mniej zaniepokojony był Lukę Conway.

Proszę nie łączyć żadnych rozmów - polecił swojej sekretarce. — Gdyby dzwonił ktoś z mediów z pytaniem o stan dziecka O'Brienów, proszę przekierować go do centralnej informacji.

Zdjawszy sobie z głowy przynajmniej jeden kłopot, zapatrzył się na mosiężną tablicę z wygrawerowanymi nazwiskami jego poprzedników, która wisiała na ścianie przy wejściu, niemal na wprost jego biurka.

Dyrektorowanie temu szpitalowi stanowiło nie lada zaszczyt.

Centralny Szpital Położniczy w Dublinie cieszył się bowiem nienaganną reputacją wśród lekarzy praktyków i klinicystów na całym świecie, zasłużenie zbierając pochwały za innowatorskie metody na bieżąco opracowywane przez jego oddanych pracowników. Był mekką ginekologów i położników z kraju i zagranicy, którzy chcieli na własne oczy zobaczyć najstarszą nowożytną placówkę w tej wąskiej dziedzinie.

W ostatniej dekadzie osiemnastego wieku niejaki doktor Mat-thaeus Goldsmith tak przejął się losem brzemiennych kobiet zamieszkujących serce Dublina i szukających u niego pomocy, że postanowił) założyć Szpital dla Kobiet w Połogu —jak go nazwa) — w którym z troską pochylał się nad każdą matką i każdym dzieckiem, robiąc wszystko co w jego mocy, by poród przebiegał) bezpiecznie, a pacjentka z przychówkiem mogła opuścić mury tego przybytku w zdrowiu dobrym na tyle, na ile pozwalały ówczesne warunki. Pierwszym przyjętym tam na świat dzieckiem okazał się Patrick Michael Joseph Cleary, urodzony dwudziestego siódmego marca tysiąc siedemset

dziewięćdziesiątego ós-  
60

n1ego roku. Odtąd szpital ten nieprzerwanie służył potrzebującym, mogąc pochwalić się coraz to nowymi sukcesami. Wiosną nadchodzącego roku miały się odbyć spóźnione obchody dwóch-setlecia istnienia placówki i zadaniem Luke'a Conwaya było ich przygotowanie i wprowadzenie CSP w nowe tysiąclecie.

Obecny dyrektor zdawał sobie sprawę, że ostatnimi czasy do jego szpitala zakradł się marazm i rozluźniona dyscyplina, zagrażające dobremu imieniu placówki. Równocześnie z ujmą dla swojej dumy musiał pogodzić się ze zmianami w procedurach mianowania lekarzy specjalistów, które opracowało ministerstwo zdrowia. W chwili kiedy zwolniło się miejsce w publicznej części szpitala, finansowej przez narodowy fundusz zdrowia, musiał ogłosić konkurs na powstały wakat i tak się złożyło, że na ogłoszenie opublikowane zgodnie z wytycznymi w fachowej prasie medycznej odpowiedział tylko jeden kandydat, Dean Lynch. Nie mając wyboru i wiedząc, że inaczej we Wschodnim Skrzydle rozpęta się piekło z powodu nadmiaru pracy i niedoboru lekarzy, Conway zatrudnił go z mety. Teraz zaczynał tego żałować.

Zamyślony ponownie ujął „The Daily Post”, żeby przeczytać opis wczorajszych wydarzeń na sali operacyjnej numer dwa. Na szczęście i ta gazeta ograniczyła się do krwawego, trzymającego w napięciu reportażu z sali porodowej, milczeniem pomijając niechlubne zajście pod sam koniec zabiegu — niewątpliwie dlatego, że nie doszło uszu wiecznie żądnych sensacji dziennikarzy.

Lukę Conway odetchnął głęboko i wstał zza biurka. Stanąwszy przy oknie wychodzącym na ulicę poniżej, zamyślił się z marszem na czole. Najwyższy czas wziąć ich wszystkich w ryzy, uznał. Przyszła kryśka na Matyska, jak to mówią, i lepiej dmuchać na zimne, niż gorącym się sparzyć.

Godzina 13.45 Dean Lynch drżał na całym ciele.

Siedział przy biurku w swoim gabinecie, podobnie jak kory-arz opustoszałym — cichym i wyludnionym — w porze lunchu.

61

Opuścił spojrzenie na trzęsące się dłonie i raz jeszcze zmusił je siłą woli do bezruchu. Nadaremnie. Poczł, jak na czole formują się krople zimnego potu, i podniósł ramię, by otrzeć je białym rękawem. Powoli, niepewnie, podniósł się z fotela i zrobił parę



kroków do umywalki w rogu pomieszczenia. Popatrzył w wiszące nad popękana porcelaną lustro. Rozwarł szeroko usta i świecąc w nie lekarską latareczką, pochylił się do przodu. Wytrzeszczył oczy, nateżając wzrok.

Nie miał wątpliwości co do tego, co widzi.

Trzykrotnie w ciągu minionej półgodziny oglądał sobie gardło, lecz wciąż nie potrafił uwierzyć w to, co odkrył tą prostą, zgoła

średniowieczną metodą. Uporczywy ból gardła, suchość w ustach i pieczenie, brak poprawy po zażywanych lekach... Zaordynował sobie penicylinę, sądząc, że cierpi na zwykłe zapalenie gardła i krtani.

Tymczasem dopadła go całkowicie inna infekcja, której nie wyleczą najsilniejsze antybiotyki i w której rokowanie jest gorzej niż złe.

Doktor Dean Lynch cierpiał na kandydozę jamy ustnej i gardła.

Za pierwszym razem, kiedy spojrzął sobie w gardło bez pomocy latarki diagnostycznej, ledwie zauważył okrągławe placki na śluzówce.

Jednakże gdy wspomógł się jasnym światłem, nie miał trudności z wyodrębnieniem i rozpoznaniem białego nalotu o serkowatej konsystencji, który falistymi warstwami pokrywał wewnętrzną stronę jego policzków i sklepienie gardła.

Kandydoza.

Sprawca: mikroorganizm *Candida albicans*.

Inne nazwy: bielnica, moniliaza, drożdżycza.

Trzy nazwy na to samo schorzenie — grzybicę — pojawiły się nagle w jego umyśle i z prędkością pociągu pośpiesznego jęły pędzić po mózgu, skacząc z synapsy na synapsę, gwizdząc i sapiąc, powodując, że zaczęło mu się kręcić w głowie. Z lekka oszołomiony, opadł z powrotem na krzesło i próbował uspokoić się za wszelką cenę.

Dobrze wiedział, co oznacza taka rozległa grzybica. System immunologiczny nie radził sobie z chorobotwórczym zarazkiem. Część jego

układu odpornościowego, odpowiedzialnego za lokalizację, rozpoznawanie i zwalczanie patogenów, nie działała jak

62

należy. Pleśniawka nie rozwinęłaby się w ciele zdrowego dorosłego mężczyzny. Jakkolwiek znalazłoby się parę wyjątków od tej reguły, Dean Lynch wiedział, że żaden nie odnosi się do jego przypadku.

Będąc lekarzem, właśnie zyskał pewność, że ma AIDS.

Była druga po południu i zaraz miał zacząć przyjmować popołudniowe

pacjentki.

Zza drzwi już dochodziły zwykle o tej porze odgłosy: klekot obcasów, szuranie nóg krzesel, pokasływanie, przyciszone rozmowy, płacz dziecka towarzyszącego matce.

Myśl — nakazał sobie. — Myśl, myśl, myśl... Nigdy nie miałeś z tym problemu.

Jak powinien postąpić? Jakie kroki przedsięwziąć?

Bezszelestnie zbliżył się do drzwi i przekreślił klucz w zamku. Następnie przeszedł do umywalki i starannie umył twarz i dłonie, unikając spojrzenia swoich oczu odbitych w taflę lustra. Długo i dokładnie wycierał się papierowym ręcznikiem, pilnując, żeby usunąć wszelkie ślady potu mogące zdradzić jego niedyspozycję. Wreszcie poprawił krawat, zapiął guziki lekarskiego fartucha i otworzył drzwi.

Minął długi rząd krzesel, na których siedziały już oczekujące na wizytę pacjentki, i skierował się do szpitalnej biblioteki.

Zajrzał do środka przez przeszklone drzwi, upewniając się, że nikogo tam nie ma. Wślizgnął się błyskawicznie, po czym rozejrzał dookoła. Schwycił pierwsze z brzegu krzesło i ustawił je przy drzwiach w ten sposób, że oparcie lekko blokowało klamkę. Liczył na to, że gdy ktoś mu przeszkodzi, hałas ostrzeże go na czas. Przeszedł wzdłuż półek, na których rozpierały się grube tomiszczą podręczników medycznych z zakresu ginekologii i położnictwa, i zatrzymał się dopiero w sekcji „Zakażenia”. Przejrzał dwie książki, nim trafił na to, czego szukał. W trzecim tomie znalazł obszerny rozdział traktujący o etiologii, objawach, metodach zapobiegania i leczenia AIDS oraz testach potwierdzających bądź wykluczających obecność wirusa HIV w organizmie. Chyłkiem wyrwał gruby plik kartek, złożył go na pół i wsunął do kieszeni fartucha. Podręcznik trafił z powrotem na półkę. Wciśnięty między inne książki, tak że jego tytuł nie rzucał się w oczy.

63

Znalazłszy się z powrotem w przychodni, zwrócił się do asystującej mu położnej:

— Siostro, proszę poprosić doktora Sharifa, żeby przyjął dziś wszystkie pacjentki. Ja będę zajęty na oddziale, sprawdzając, co słyhać u jednego z cięższych przypadków, jakie ostatnio hospitalizowaliśmy. W razie potrzeby proszę mnie wywołać przez pager. Wycofał się z korytarza, lecz zamiast na oddział udał się w stronę

awaryjnej klatki schodowej, przy której wygospodarowano mały pokój służący lekarzowi za sypialnię, gdy mu się trafił spokojny nocny dyżur. Pomieszczenie znajdowało się w cichym zakątku szpitala, nie docierał tam ogólny szum i właściwie nikt nigdy nie zaglądał tam za dnia. Lynch przysiadł na brzegu łóżka i wyjął z kieszeni plik kartek. Kiedy czytał, ręce zaczęły mu mocniej drżeć. W którejś chwili poczuł nudności. W miarę lektury mdłości stawały się coraz silniejsze. Rozdział o AIDS był nie tylko obszerny, ale także bardzo szczegółowy; obrazowo przedstawiał poszczególne fazy choroby.

Wyglądało na to, że Dean Lynch znajduje się w czwartej fazie IVc1 — której świadectwem może być między innymi kandydoza. Przy szczęśliwych wiatrach czekały go jeszcze dwa etapy.

Czytając, odnosił wrażenie, że przed jego oczami za sprawą czarodziejskiej różdżki układają się niezwykle skomplikowane puzzle. Nocne poty, napady nudności, nie dająca się wyleczyć biegunka, którą kładł na karb żywienia się po podłych jadłodajniach...

Wszystko pasowało do opisu rozwoju choroby i wskazywało na to, że w tej chwili jego system obronny praktycznie nie istnieje. Dean Lynch utwierdził się w przekonaniu, że umiera. Nie wiedział tylko, kiedy dokładnie nastąpi zgon ani co będzie jego bezpośrednią przyczyną — ale nie miał cienia wątpliwości, że wkrótce będzie martwy. Skończył czytać, wstał i lekko się zachwiał. Przez umysł przelatywało mu tysiąc myśli na sekundę, serce o mało nie wyskoczyło z piersi. Zachował na tyle przytomności umysłu, by wiedzieć, co powinien uczynić, a zarazem iż pod żadnym pozorem n i e wolno mu poinformować Luke'a Conwaya o swoich podejrzeniach. Gdyby postąpił, jak nakazywała przyzwoitość i złożona przed laty przysięga Hipokratesa, wszyscy dowiedzieliby się

64

o jego drugim, sekretnym życiu. Zostałby wyrzucony z pracy, a może nawet pozbawiony prawa wykonywania zawodu lekarza. Ma samą myśl, że Izba Lekarska wtykałaby nos w jego prywatne sprawy, węsząc i wyciągając na światło dzienne najpilniej przez nieo strzeżone tajemnice, resztki włosów zjeżyły mu się na głowie.

Za żadne skarby do tego nie dopuści.

Nie pozwoli, żeby zabawiali się jego kosztem.

Zrobi wszystko, co trzeba, żeby temu zapobiec.

Upchnął wymięte i wilgotne kartki w kieszeni i ruszył przed siebie długimi

korytarzami Wschodniego Skrzydła. Twarz miał ściągniętą, szczęki zaciśnięte z determinacji.

Najpierw sprawdź, czy naprawdę jesteś zarażony wirusem HIV — polecił sobie w duchu — a potem zrób to co konieczne.

Najpierw diagnoza, potem działanie.

Właściwe rozpoznanie jest kluczem do sukcesu.

Szedł tak wolno, jak potrafił, żeby nie wzbudzać podejrzeń, choć w rzeczywistości czuł się, jakby goniło go stado diabłów. Minał salę, na której leżały trzy położnice ze swymi nowo narodzonymi dziećmi. Noworodki płakały z głodu, podczas gdy zmęczona pielęgniarka cierpliwie tłumaczyła kobietom, jak przyrządza się sztuczny pokarm.

Może wynik będzie ujemny — pocieszał się w myślach doktor Dean Lynch. — Może po prostu zaraziłeś się jakimś paskudztwem od którejś z niedomytych pacjentek...

Nie pierdol! — przerwał mu prawdziwy Dean Lynch. — Bujać to my, ale nie nas. Złapałeś adidasa, jak amen w pacierzu.

Wyszedł przez piwnicę, tak że nikt z personelu nie zauważył jego zniknięcia.

Godzina 15.00

Tommy Malone spędził większość poranka, siedząc przy stole w kuchni, pijąc herbatę, paląc papierosy i myśląc. Wokół jego stóp wały się kulki z papieru wyrwanego ze zwykłego szkolnego zeszytu w szerokie linie. O czternastej została mu ostatnia nie zmięta kartka. Leżała teraz przed nim na blacie, prezentując dziewięć nazwisk, z których sześć zostało już skreślonych. Pozostałe trzy, wypisane zalewającym długopisem kulkowym, były podkreślone. Tommy obracał je w głowie na wszystkie strony, próbując przypomnieć sobie wszelkie szczegóły, jakie kiedykolwiek znał, na temat tych ludzi. Punkt trzecia po południu wstał i przeciągnął się, zapuszczając żurawia za okno. Padało. A właściwie nie padało, tylko mżyło, tak że niewiele było widać. Mimo to Malone zdawał się w wyśmienitym humorze; podśpiewywał cicho, wkładając płaszcz przeciwdeszczowy i sprawdzając, czy ma wystarczająco dużo drobnych. Wychodził z domu tylko po to, żeby zatelefonować z budki przy stacji Esso. Od dawna nie ufał domowej linii, wiedząc co nieco o możliwościach technicznych współczesnej policji. Jeśli nawet założyli mu pluskwę, nic im to nie pomoże. Tommy Malone był sprytniejszy od nich wszystkich razem wziętych.

Taa, pomyślał, otulając się szczelniej płaszczem. Nie ma to jak planować robótkę w taki paskudny dzień. Od razu chce się człowiekowi żyć!

Po kilku falstartach — podczas których wybrane numery były zajęte albo po drugiej stronie linii odzywał się podejrzanym

66

0 los utrzymujący, że w życiu nie słyszał o kimś o podanym przez Tommy'ego nazwisku — wreszcie udało mu się skontaktować wszystkimi trzema osobami, które oczyma wyobraźni już widział jako wykonawców swojego planu. Gdyby miał większy wybór, z pewnością skorzystałby z ludzi bardziej doświadczonych

1 pewnych, ale niestety narkotyki, długie wyroki i upierdliwi policjanci znacznie przetrzebili szeregi przestępczego świata

Dublina. Poza tym mało kto mu jeszcze ufał. Wyselekcjonowana trójka wysłuchiwała go uprzejmie, po czym bez większego entuzjazmu zgodziła się na spotkanie nazajutrz po południu. Każdorazowo przed odłożeniem słuchawki Malone kolejno poinstruował swych potencjalnych współników o konieczności trzymania języka za zębami, chociaż akurat pod tym względem nie miał do nich zastrzeżeń.

Gdyby było inaczej, nigdy nie wprowadziłby ich w swój plan. O tym, iż wybór padł właśnie na nich, przesądziło między innymi to, że nie byli byle chłystkami i zawsze narzekali na brak pieniędzy. Przede wszystkim zaś byli czyści. Narkomani na nic by mu się nie przydali, stanowiliby tylko kulę u nogi. Jego wieloletnie doświadczenie mówiło mu: „Nigdy nie pracuj z kimś na haju” i „Cpun potrafi myśleć tylko o tym, skąd wziąć następną działkę”. Jego plan wymagał ludzi, którzy nie mieli między uszami makowej słomy. Po tym jak już odhaczył trzecie nazwisko na liście, zadzwonił do jeszcze jednej osoby.

- Betty?

— Czy to ty, Tom my?

Taa. Słuchaj... Nie będzie mnie przez jakiś czas w mieście. Tydzień albo coś koło tego.

— Dokąd wybywasz?

— Wyjeżdżam w interesach.

Betty sarknęła.

- W interesach, już to widzę! Tylko nic mi nie mów, nie chcę wiedzieć. Odezwij się, jak wrócisz.

- Eee... Widzisz, zastanawiałem się, kurdefelek, czybyś nie wybrała się

ze mną?

Dokąd?

Nie mogę ci teraz powiedzieć. Spotkajmy się u Mooneya Za godzinę.

Co ty kombinujesz, Tommy?

67

— Na razie nie mogę ci powiedzieć. To co, widzimy się u Mooneya?

— Dobra.

Betty Nolan była obecną dziewczyną Tommy'ego i jedną z nielicznych kobiet, jakie widział nago, jeśli nie liczyć jego zmarłej matki, którą opiekował się pod koniec jej życia. Betty i Tommy sypiali razem w weekendy, pod warunkiem że Tommy był akurat w mieście i jego głowy nie zaprzętał kolejny Wielki Plan. Betty owdowiała przed wielu laty, kiedy pospolity dubliński złodziejaszek wyzionął ducha, bynajmniej nie we własnym łóżku i nie z przyczyn naturalnych. Spodziewała się tego od samego początku ich małżeństwa — czegoż innego mogła oczekiwać po tym, jak narzeczony w przeddzień ich ślubu napadł na nocny sklep monopolowy, żeby mieć pieniądze na księdza i przyjęcie weselne? Nim została wdową w wieku dwudziestu trzech lat, urodziła jedno dziecko, dziewczynkę imieniem Sharon. Tamtego roku chcieli we troje spędzić wakacje w Hiszpanii, ale napad z bronią w rękę mający zapewnić fundusze na urlop nie udał się i świeżo upieczony ojciec został śmiertelnie postrzelony w czasie ucieczki z miejsca przestępstwa. Od tego czasu Betty i jej córka biedowały, żyjąc z dnia na dzień i wypatrując lepszej przyszłości.

— To naprawdę Wielki Plan. Wypali jak nic. Po tylu latach trafiła mi się wreszcie taka szansa... Potem zabiorę Betty i zamelinujemy się gdzieś za granicą. Tylko żeby wszystko, kurdefelek, poszło jak trzeba... — Tak Tommy Malone mruzczał pod nosem, kiedy moknąc w siąpiącym deszczu, szedł w stronę przystanku autobusowego na D'OHer Street.

Z postawionym kołnierzem i opuszczoną głową czekał, aż podjedzie autobus, który zabierze go w pobliże pubu „U Mooneya” w południowej dzielnicy Dublina zwanej Blackrock.

Tommy Malone dwa lata wcześniej także opracował Wielki Plan. W gazetach naczytał się o jakimś słynnym obrazie, który odkryto w domu jezuitów przy Leeson Street w jego rodzinnym mieście, i natychmiast zainteresował się tematem, wietrząc łatwy zysk. Emocje tak go przepełniały, że podzielił się tą informacją z zaprzyjaźnionym cwaniaczkiem.

Pomyśl tylko. Ten obraz, jeszcze nieodkryty, wisiał sobie braciszków na ścianie przez dziesiątki lat, a oni nawet nie mieli oiecia, ile jest wart. Głupki, co nie? Zwłaszcza że zaraz oddali do Galerii Narodowej, żeby każdy mógł nacieszyć nim oczy! Malone był szczerze oburzony wspaniałomyślnością zakonników. — Znaczy, kurdefelek, on jest wart fortunę. W gazetach piszą, że można by za niego dostać milion funciaków albo i więcej. Jakiś ważniak w telewizorze mówił, że obraz jest bezcenny. — Zarechotał. — Kumasz? Bez-cen-ny! Niby taki mądry, a się nie zna...

Wprawdzie Tommy Malone nie znał się na malarstwie — ani olejnym, ani pięknym — ale z pewnością wiedział, kiedy coś jest warte, by się temu czemuś bliżej przyjrzeć.

Tym sposobem wylądował w sali numer dziewięć Galerii Narodowej, gdzie na dłużej zatrzymał się oczywiście przed obrazem Michelangelo Merisiego, lepiej znanego pod nazwiskiem Caravag-gio. Przyszedł tam, aby opracować plan kradzieży tego malowidła, swój wyczekiwany od lat Wielki Plan, który miał zmienić całe jego życie. Ale zamiast knuć chytrą intrygę wyniesienia skarbu z galerii, Malone gapił się w obraz jak sroka w gnat. Coś go w nim zaniepokoiło. No więc był na nim Chrystus we własnej osobie, smutny jak to on i łagodny jak baranek, i widać było, że żołdacy zaraz go zaciągną do lochu. Ale był też Judasz składający na policzku Jezusa słynny pocałunek. Dwaj zakuci w zbroje żołdacy ucapili już Jezusa —jeden sięgał Jego szyi brudnymi rękoma z paznokciami z żalobą. Cały obraz był ciemny, by nie rzec: ponury, i wzbudzał u oglądającego niepokój, jakby zaraz miało stać się coś złego. W końcu Malone zmusił się, żeby odejść sprzed obrazu; za drugim razem nawet udało mu się dojść do drzwi frontowych galerii, ale zawsze coś ciągnęło go z powrotem do sali numer dziewięć. Wracił więc i znów patrzył. Aby ulżyć nogom, przysiadł na ławce ustawionej pod przeciwległą ścianą i uważnie badał wzrokiem każdą postać, każdą twarz, każdy najdrobniejszy szczegół szaty. Judasz wydał się Tommy'emu odpychający ze ściągniętymi rzydko brwiami, oczami szeroko otwartymi, niemal wytrzeszczonymi i wargami już, już przytkniętymi do policzka Chrystusa.

O ci dopiero gnój — pomyślał sobie Tommy Malone i dla pewno-Sci sPrecyzował: — Z tego Judasza to był kawał gnidy! — a potem

nagle dostrzegł trzeciego żołdaka. Trzech! — pomyślał i zamarł. Było ich aż trzech! A wystarczyło spojrzeć na Pana Jezusa, nawet się nie bronił. Malone nie umiał oderwać wzroku od postaci Chrystusa. Gapił się i gapił, koncentrując uwagę na twarzy, z której z każdą chwilą wycierało więcej smutku, rezygnacji i poczucia, że został zdradzony przez jednego z tych, których kochał. Tom-my Malone podniósł się ciężko i zbliżył do obrazu, żeby przeczytać: Pocałunek Judasza Caravaggio 1571—1610.

Zabierali Go do lochu, a potem żeby ukrzyżować, a On nawet się nie bronił?! Tommy Malone zacisnął pięści ze złości, potem bezradnie zwiesił ręce wzdłuż ciała, kiedy dostrzegł przymknięte oczy Chrystusa. Nie zmrużone z bólu ani zaciśnięte w odruchu przerażenia. Po prostu przymknięte. On był pogodzony ze swoim losem! Wiedział, co Go czeka, i godził się na to. Nie stawiał oporu.

I czemu tu się dziwić, że nie wierzę w Boga? — pomyślał Tommy, okręcając się na pięcie, żeby po raz trzeci opuścić salę z wiszącym w niej malowidłem Caravaggia. Wtedy go to uderzyło. Zrozumiał, dlaczego nigdy nie podniesie ręki na ten obraz, I dlaczego wywołał on w nim tak wielki niepokój.

Przed oczyma stanęła mu scena z przeszłości. Miał jakieś dziewięć lat i razem z rodzicami i rodzeństwem mieszkał na drugim piętrze rozpadającej się kamienicy przy Steevens Street. Usłyszał właśnie łomot do drzwi, zobaczył, jak ojciec chowa się w mysią dziurę.

Matka zawodziła, ocierając sobie oczy rękawem brudnego fartucha. Młodsze rodzeństwo płakało i kulilo się z przerażenia, nawet on — nie taki znów mały — struchlał ze strachu. To zapamiętał najlepiej: wszechogarniające uczucie strachu. W końcu drzwi zostały wyłamane z zawiasów i do mieszkania wtargnęło sześciu policjantów uzbrojonych w palki. Wywiązała się walka; 1 ojciec Tommy'ego krzyczał i szamotał się, przeklinając na czym świat stoi, stróżę prawa próbowali go unieszkodliwić, razy sypały się na nieosłoniętą głowę, ramiona, plecy. W pewnym momencie

70

stary Malone wyrwał się glinom, wypadł na korytarz i ze schodów darł się: Nie dorwiecie mnie, wy psie syny!

Przeskoczył gnijącą balustradę i spadł z wysokości około dziesięciu metrów, znajdując swoją śmierć. Czaszka pękła z hukiem niczym dojrzały arbuz, mózg wylał się na zewnątrz, nim życie zgasło w nim na dobre. Dzieci wyły wniebogłosy, sąsiedzi tłukli się z



policjantami, a matka Tommy'ego tylko płakała cicho, nie przestając wycierać łez poplamionym fartuchem. Od początku do końca była bierna, zrezygnowana, jak gdyby zawsze podejrzewała, że straci męża w podobnych okolicznościach.

Tak samo jak Jezus wiedział, że dokona żywota na krzyżu.

Tommy Malone po raz ostatni wpatrzył się w obraz, nie chcąc z niego niczego uronić. Jego spojrzenie co rusz wracało do twarzy zdradzonego Chrystusa, opuszczonych powiek, lekko zmarszczonego czoła.

Czemu im nie uciekłeś? — zapytał półgłosem. — No dalej, kurdefelek, otwórz oczy i daj nogę! Tak jak mój tata.

Przeniósł wzrok z twarzy Jezusa na Judasza, a potem na żołdaków.

Powiem wam coś, dobra? — szepnął, jak gdyby był w kościele. — Nie dam się ukrzyżować. Za cholere nie pozwolę, żeby mi się to przytrafiło. Śmierdziele mogą sobie węszyć i nie poczują nic prócz własnego smrodu. Nie dorwą mnie i nie ukrzyżują, zapamiętajcie to sobie!...

Zorientował się, że ktoś koło niego stanął, i spojrzał szybko w bok. Miła staruszka z włosami zafarbowanymi na niebieskofio-letowy kolor podziwiała dzieło mistrza.

Czyż nie był wspaniałym malarzem? — spytała, dając poznać, że pochodzi z Ameryki.

A może by się pani tak ode mnie odpierdoliła? — zrewanżował się pytaniem domorosły krytyk sztuki.

Betty Nolan wpadła do pubu zadyszana, uciekając przed przydającym na sile deszczem. Była nieco wyższa od Tommy'ego, H'osy miała ufarbowane na platynowy blond i nastroszone przez rwałą ondulację, tak że przypominały ptasie gniazdo. Niegdyś n,ebrzydka roztyła się ostatnimi czasy i nie mieściła się w żadną

71

ze swoich starych sukienek. Teraz miała na sobie coś, co przypominało bardziej namiot aniżeli damską suknię, na to zaś narzucony przezroczysty płaszcz przeciwdeszczowy, jakie były modne parę dekad temu. Przeszła przez dużą salę i wkroczyła do mniejszej, po czym dosiadła się do stolika, przy którym czekał na nią Malone. Jeszcze zanim się przywitała, sięgnęła po jego szklanę.

Tommy uśmiechnął się i gestem zamówił jeszcze jedną whisky z sodą u młodej barmanki, która pojawiła się w drzwiach do małej sali.

Potem rozejrzał się czujnie dokoła i stwierdziwszy, że nikogo nie ma w

zasięgu słuchu, machnął na Betty, żeby się nachyliła, bo to co ma jej do powiedzenia, jest ściśle tajne.

— Wciąż sprzątasz w biurowcu O'Brien Corporation? — spytał szeptem.

Oczy Betty zwięzły się w szparki. Zawsze była podejrzliwa.

— A na co ci to wiedzieć?

Tommy Malone zignorował pytanie kobiety.

— Założę się, że masz dość wycierania cudzych kątów i sprzątania po innych. — Urwał, kiedy barmanka przyniosła zamówienie, wsypał jej na dłoń pięć monet z jedynką na rewersie i po wielkopańsku odmówił kilku drobnych reszty. Gdy tylko znów byli sami w zacisznym kącie pubu, podjął: — Co byś powiedziała na okrągły milion i nie mówię tutaj o niepewnej wygranej w lotto?

Betty upiła łyk i skrzywiła się.

— Bez sody jest lepsza. — Mimo to pociągnęła jeszcze i dopiero wtedy zapytała: — No dobra, Tommy, co kombinujesz?

— Zaraz ci powiem. Najpierw odpowiedz mi, czy wciąż sprzątasz u O'Briena.

— Tak. Dwa razy w tygodniu, w czwartki i piątki rano. Ale dlaczego pytasz? Po co ci do szczęścia ten cały O'Brien? — Teraz już piła duszkiem, nie odrywając zaciekawionych oczu od twarzy Malone'a.

— A nie chciałabyś przypadkiem, zamiast zdzierać sobie ręce do krwi, zarobić milion na czysto, spieprzyć z tego kraju gdzieś, gdzie jest, kurdefelek, słonecznie i miło, i wreszcie sobie trochę pożyć? — Malone dopił swojego drinka, wysączając ostatnią kropelkę. — Nigdy więcej żadnego sprzątania, gwarantuję.

72

Betty milczała, nie przestając spoglądać na Tommy'ego. Opróżniła do końca swoją szklankę i lekko się otrząsnęła, kiedy poczuła alkohol w żołądku.

Mów mi zaraz, co kombinujesz.

Malone ponownie rozejrzał się dookoła. Wstał, pchnął uchylone drzwi i zajrzał do dużej sali, sprawdzając, czy ktoś ich przypadkiem nie podsłuchuje. Pokręcił głową na pytające spojrzenie barmanki.

— Za chwilę. Zamówimy coś jeszcze za chwilę — rzucił i zadowolony zamknął szczelnie drzwi. Wrócił do stolika, usiadł i ujął dłoń

Betty w swoje dwie ręce.

Betty Nolan popatrzyła tępo na uwieczoną dłoń, potem wprost na Tom

my'ego.

No więc o co chodzi? — spytała niepewnie.

XI

Godzina 20.32

Dean Lynch opuścił swoje mieszkanie w Ballsbridge i udał się w stronę szpitala, po drodze zostawiając samochód na wielopoziomym parkingu przy centrum handlowym Ilac oddalonym od CSP o zaledwie pięć minut spacerkiem. Wyjątkowy chłód panujący na dworze przegonił większość ludzi z ulic. Ci, którzy jeszcze nie trafili do domów, kryli się pod wiatami przystanków i w drzwiach sklepów, czekając na upragniony środek transportu mający powieźć ich ku ciepłu.

Centralny Szpital Położniczy był usytuowany przy Whitfield Square, nieco zapuszczonym obecnie placu odległym o jakieś pięćset metrów od O'Coanell Street, głównej ulicy handlowej Dublina.

Dumne budynki z początków dwudziestego wieku, niegdyś otaczające plac, zostały z biegiem lat zastąpione przez nowe, paskudne biurowce, na środku zaś straszyl odgradzony od ulicy za pomocą powykrzywianych barierek i porośnięty chaszczami skwer zapomniany przez Boga i pracowników zieleni miejskiej.

Budowla szpitala wyróżniała się na plus pośród ogólnej szarzyzny. Fasada z jasnego piaskowca, wysoka na dwa piętra, na poziomie ulicy przedzielona była masywnymi drewnianymi drzwiami, oflankowanymi przez imponujące granitowe kolumny, i ozdobiona długim rzędem

okien na każdym piętrze. Ciągający się za nią kompleks szpitala rozbudowywanego przez dwa stulecia składał się z czterech skrzydeł: Północnego, Południowego, Wschodniego i Zachodniego — nazwanych tak tylko dla formalności; myliłby się ten, kto by próbował kierować się kompasem po przekroczeniu progu CSP.

74

Szpital ze wszystkich stron otaczały wysokie mury i zazwyczaj prowadziły do niego dwa wejścia — główne od frontu i służbowe od tyłu. Dean Lynch zrezygnował z użycia pierwszego i wślizgnął się na parking, korzystając z bramy dla pracowników. Następnie przemknął pod osłoną szarówki do niewielkich drzwi, które jak wiedział, zawsze stały otworem, gdyż wielokrotnie w ciągu dnia wnoszono przez nie śmieci do pobliskich kontenerów opróżnianych przez służby miejskie każdego ranka. Lynch poruszał się pewnie, znając drogę jak własną kieszeń, gdyż nieraz tędy chodził, wymykając się

z pracy, kiedy nałóg nie dawał mu spokoju.

Dostawszy się do piwnicy, przystanął nasłuchując, a gdy już upewnił się, że poza szumem w rurach i mrużeniem turbiny szpitalnego generatora panuje absolutna cisza, szybkim krokiem przeszedł na awaryjną klatkę schodową prowadzącą na piętra. Wkrótce był już w przychodni Wschodniego Skrzydła, niedaleko swego gabinetu. Stanowisko rejestracji było oczywiście puste o tej porze, korytarz oświetlały tylko nieliczne energooszczędne halogeny zamontowane wprost w suficie. Na odcinku poczekalni Lynch musiał lawirować między chaotycznie porozstawianymi krzesłami, ominął jedno czy dwa wymięte i rzucone na podłogę czasopisma i dopadł drzwi gabinetu. W środku zsuł buty i je zostawił, po czym znów wyszedł na korytarz. Wytrwale parł naprzód, do laboratorium. Po drodze mijał puste i ciemne gabinety, czekające na poranne sprzątanie. Za szklanymi drzwiami biblioteki mignęły mu rzędy półek z książkami, rozjaśniane poświatą padającą zza okna. Wszędzie wokół panowała niczym nie zmacona cisza, którą zakłócał jedynie tupot jego nieobutych stóp. Laborantka Mary Dwyer właśnie kończyła wykonywać ostatnie tego dnia badania zlecone pod koniec jej zmiany. Nerwowo zerknęła na zegarek, próbując obliczyć, o której znajdzie się w domu. Rodzice martwili się o nią i nie byli zachwyceni tym, że Pracuje po godzinach. Przez moment zastanawiała się nawet, czy-by do nich nie zatelefonować i nie uprzedzić, że znowu się spóźni, a'e zaraz oddaliła tę myśl. W końcu była już dużą dziewczynką i Potrafiła o siebie zadbać. Jej rodzice — czy tego chcieli, czy nie musieli to zaakceptować. Czasami trudno jest być jedynaczką

75

- westchnęła w duchu, przygotowując wszystko do wykonania dwudziestoczeroparametrowej morfologii potrzebnej z samego rana na oddziale czwartym.

Dean Lynch zajrzał przez uchylone drzwi i w okamgnieniu zlustrował sytuację. Tak jak się spodziewał, w laboratorium znajdowała się tylko jedna osoba, później niż zwykle kończąca pracę, dlatego że ktoś zlecił jej pilne badanie. Z miejsca, w którym stał, widział tylko bici fartucha i rude włosy postaci pochylonej nad blatem stołu. Na wszelki wypadek odczekał jeszcze trochę, upewniając się, że laborantka naprawdę jest sama. W tym czasie Mary Dwyer wstała na chwilę, żeby wziąć jakieś papiery, i Lynch zauważył, że jest szczupła, choć nie chuda. Spojrzał na zegarek. Była dwudziesta pierwsza

szesnaście.

Odwrócił się i bezszelestnie wrócił tą samą drogą, którą przyszedł. Znalazłszy się w swoim gabinecie, podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer wewnętrzny.

— Cholewicia! — zaklęła pod nosem Mary Dwyer, odkładając słuchawkę. — Jasna cholewicia! powtórzyła. — Test na AIDS o tej porze! Co najmniej godzina zejdzie, nim będę miała wynik.

Nadal była wściekła, kiedy Dean Lynch wszedł do laboratorium i na przeznaczonej do tego metalowej tacy postawił fiolkę z próbką krwi.

— Doktorze, czy ten test naprawdę musi być zrobiony dzisiaj? — spytała, patrząc chmurnie na czerwoną ciecz. — Chodzi mi o to, że wynik będzie najwcześniej za godzinę. Nie mogłabym go zrobić rano? Dean Lynch ledwie się powstrzymał przed wymierzeniem kobiecie policzka. A to kurwa! — pomyślał.

— Tak, wynik jest mi potrzebny jeszcze dzisiaj, i nie, nie może pani wykonać badania jutro rano. Muszę natychmiast podjąć decyzję o dalszym leczeniu pacjentki.

Wcześniej własnoręcznie pobrał sobie próbkę krwi, opisał ją nazwiskiem „Joan O'Sullivan” i wypełnił wymagany wewnętrzny formularz skierowania na test w kierunku wirusa HIV, używając drukarki komputerowej. Nie zapomniał o tym, aby się na nim

76

nie podpisać. Niejaka Joan O'Sullivan zamieszkała w Crumlin podejrzana była o nosicielstwo, co groziło powikłaniami w wypadku ciąży.

Lynch utkwiał spojrzenie w laborantce i ta spuściła wzrok.

Proszę zadzwonić za godzinę — powiedziała, przystępując do pracy.

Osobiście odbiorę wynik — poinformował ją lekarz, wychodząc.

Kiedy trzasnęły za nim drzwi. Mary Dwyer pokazała mu język.

Wróciwszy do gabinetu, Lynch zasiadł na krześle normalnie zajmowanym przez jego pacjentki i zaczął odliczać minuty najdłuższej

godziny w jego życiu. Przez cały dzień usilnie zastanawiał się, w jaki sposób złapał adidasa. Wykluczył zakażenie poprzez brudną

igłę czy strzykawkę, bo zawsze używał sterylnie czystego sprzętu i nigdy z nikim go nie dzielił. HIV-a musiała mu więc sprzedać jedna z prostytutek, z którymi miał do czynienia od lat.

Mimo obsesji na punkcie zabezpieczania się podczas uprawiania seksu mógł zrobić jakieś głupstwo, będąc pod wpływem narkotyków. Na

przykład zapomnieć o prezerwatywie. Albo co gorsza zaproponować wspólny odlot którejś z dziewczynek podczas pobytu w Amsterdamie, Londynie czy Bangkoku.

Na wpół przerażony perspektywą pozytywnego wyniku, na wpół gotowy na wyrok wstał i zaczął się przygotowywać.

Zdażył już zdecydować, co zrobi, jeśli okaże się, że ma AIDS.

Nikt nie może się o tym dowiedzieć.

Bez względu na koszty.

Ostatni gabinet w długim ciągu obskurnego korytarza wyposażony był z myślą o mniej poważnych zabiegach, jakie mogą stanowić część badania ginekologicznego. Znajdował się około sześciu metrów od pomieszczeń laboratorium. Dean Lynch zatrzymał

Przy jego drzwiach i oceniwszy, że jest sam, wślizgnął się do środka. Tam wziął z kartonowego pudełka parę lateksowych rękawów i naciągnął je na dłonie. Następnie złożył ręce jak do modlitwy i zacisnął mocno, upewniając się, że guma leży jak trzeba. Jego chwyt będzie w razie konieczności wystarczająco pewny.

77

Namierzywszy wzrokiem położenie tacy z wysterylizowanymi narzędziami, sięgnął po rączkę skalpela. Na półce obok leżały pudełka z ostrzami, ułożone według rozmiarów. Lynch przebiegł napisy wzrokiem i wybrał numer dwadzieścia trzy. Największy z możliwych, przynajmniej w ludzkiej medycynie.

Rozerwawszy opakowanie jednym sprawnym ruchem, umieścił ostrze w uchwycie i schował skalpel do kieszeni fartucha. Metaliczną folię, z której wyjął nóż, zmiażdżył w ciasną kulkę i umieścił w kieszeni spodni.

Przez moment stał z pochyloną głową, zbierając w sobie siły na to, co miało nastąpić. Na czole zaczął mu się perlić pot, otarł go więc rękawem i kilka razy odetchnął głęboko.

Mary Dwyer była odwrócona plecami do wejścia i pogrążona w robocie papierkowej, jaką prowokuje każde badanie. Lynch, raz jeszcze rozejrzawszy się po ciemnym korytarzu, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi, przekręcając klucz w zamku. Charakterystyczne kliknięcie spowodowało, że laborantka poderwała głowę i spojrzała za siebie przestraszona.

— Czy wynik już jest? — spytał ją lekko drżącym głosem, czując suchość w ustach. Serce o mało nie wyskoczyło mu przy tym z piersi.

Mary Dwyer odwróciła się do swoich papierów i ignorując pytanie,

stwierdziła:

— Doktorze, pod podanym przez pana adresem nie mieszka żadna Joan O'Sullivan, a przynajmniej w szpitalnej bazie danych nie ma żadnej Joan O'Sullivan z Crumlin. Nigdy nie mieliśmy takiej pacjentki, czy to w przychodni, czy na którymś z oddziałów.

Przerwała na chwilę, popatrzyła na ekran komputera, po czym okręciła się na krześle obrotowym i poinformowała Lyncha:

— Sprawdziłam rejestr z ostatnich pięciu lat i nie znalazłam pańskiej Joan Sullivan zamieszkałej przy Crumlin Crescent dwieście czterdzieści dziewięć. Wygląda na to, że pacjentka pana okłamała, doktorze.

Lynch okiełznał gniew. Ta kurewka śmiała sprawdzać zasadność skierowania na badanie — pomyślał. — Coś na mnie ma...

— To... To chyba możliwe... Przecież... czasem trudno jest ocenić, czy pacjent mówi prawdę czy nie... Niektórzy być może zatajają prawdziwe dane...

78

jąkał się i dukał, co jego zdaniem go zdradziło. Co więcej, był pewien, że Mary Dwyer go przejrzała. Spoglądała na niego z kpiącym uśmiechem na twarzy.

Założę się, że to prostytutka albo narkomanka — wypaliła uderzając w klawiaturę komputera. Twardy dysk zaszumiał, coś'szczęknęło i drukarka ożyła. Zgrzytnęła prowadnica papieru i rozpoczęło się drukowanie wyniku testu.

Dean Lynch nie odrywał spojrzenia od maszyny. Najpierw pojawił się pasek z fałszywym imieniem i nazwiskiem:

JOAN O'SULLIVAN CRUMLIN CRESCENT 249 CRUMLIN DUBLIN.

Potem data urodzenia: 27.02.1976.

Następnie rodzaj badania: Serologia — USRHI V-IHIV-2. I wreszcie nagłówek: TEST W KIERUNKU HIV.

Drukarka zarzęzila i umilkła na chwilę, ale zaraz podjęła pracę. Jej efektem były kolejne dwie linijki tekstu:

DWUKROTNY TEST METODĄ SERODIA (Fujirebio, Inc., Tokio, Japonia).

OSTATECZNY WYNIK POZYTYWNY (+).

Mary Dwyer oddarła wydruk jedną ręką i podając go Lynchowi, syknęła: Kimkolwiek jest i gdziekolwiek mieszka, zmierza prosto d» piekła!

Ciszę, jaka zaległa, rozdarł nagły dzwonek telefonu. Przez moment oboje patrzyli na aparat z niedowierzaniem. Czas jakby stanął w

miejscu. Zaczął biec znowu, gdy laborantka sięgnęła P<sup>o</sup> słuchawkę. W tej samej chwili obleczone gumową rękawiczką dłoń powstrzymała ją w pół ruchu.

\*

79

Dzwoniąca siostra Sara Higgins w nieskończoność czekała, aż ktoś w laboratorium odbierze telefon. Wreszcie słuchawka została podniesiona.

— Halo! — zawołała siostra Higgins, kiedy nikt się nie odezwał. — Jest tam kto?

Rozmówca milczał.

Później siostra Sara Higgins opisywała, że milczenie przerwał niehumaniczny dźwięk. Wydany jakby przez zwierzę pełne agresji, przepełnione nienawiścią i wściekłością. Krew stanęła jej w żyłach, wolna ręka odruchowo powędrowała do gardła w obronnym geście.

Usłyszała jeszcze, jak ktoś rzuca słuchawkę, po czym rozległ się brzęk tłuczonego szkła, coś upadło z głuchym łomotem, zachrząściło donośnie i na koniec trzasnęły drzwi.

Sara Higgins odłożyła słuchawkę, jakby parzyła jej palce, zaczerpnęła tchu i ostrożnie ujęła ją ponownie, trzymając pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym. Wybrała numer centrali.

- Halo! Tu Sara Higgins z oddziału czwartego Północnego Skrzydła. Właśnie usłyszałam przez telefon bardzo dziwne dźwięki dochodzące z laboratorium. Proszę tam wysłać kogoś z ochrony.

Niecałe dwadzieścia minut później Dean Lynch zapalał rozrusznik swego auta. W tym samym czasie dwóch ochroniarzy wyłamywało drzwi do laboratorium. Kiedy lekarz wycofywał swoje bmw i krętą rampą kierował się ku wyjazdowi, pozbawione życia oczy Mary Dwyer patrzyły w twarz Pata O'Hary, szefa nocnej zmiany firmy ochroniarskiej.

— Jezu Przenajświętszy! — jęknął mężczyzna, robiąc gwałtowny krok w tył. — Jezu Przenajświętszy! Jim, dzwoń na policję.

Migiem. Dzwoń po policję.

Koszmar w Centralnym Szpitalu Położniczym w Dublinie właśnie się rozpoczął.

DZIEŃ TRZECI

XII

Środa, 12 lutego, godzina 01.15 Wschodnie Skrzydło, biblioteka  
Inspektor Jack McGrath nienawidził szpitali.

Może chodziło o zapachy, może o aparaturę i narzędzia, a może po prostu



o lekarzy. Jakikolwiek był powód tej szczególnej niechęci, pozostawała ona faktem. Dlatego czuł się wyjątkowo nieswojo, siedząc w szpitalnej bibliotece i przyglądając się, jak przełożona pielęgniarek próbuje uspokoić siostrę Sarę Higgins. Detektyw Tony Dowling, jego partner w wydziale zabójstw posterunku przy Store Street, konferował z panią sierżant Kate Hamilton, jedną z pierwszych kobiet zatrudnionych na fali równouprawnienia w irlandzkiej policji i sprawujących odpowiedzialną funkcję, dotąd zarezerwowaną tylko dla mężczyzn. Dowling skończył skrobać coś w notesie, podniósł wzrok znad zapisanych kartek i skinął głową.

— Saro — zaczął McGrath — powtórzę teraz twoje zeznanie, a ty skup się i jeśli zauważysz jakieś rozbieżności, natychmiast je sprostuj, dobrze? Również jeśli wyda ci się, że coś pominęłaś, jakkolwiek w twoim mniemaniu nieistotnego, przerwij mi i uzupełnij szczegóły. Zgoda?

Sara Higgins siąknęła nosem i przytaknęła. Oczy miała nabrzmiałe od łez, w dłoni miętoła chusteczkę, wciąż nie mogąc otrząsnąć się z szoku, którego doznała, dowiedziawszy się, co zaszło na terenie szpitala. Od czasu do czasu przytykała przemoczony na wskroś kawałek materiału do kącików oczu, ręce wyraźnie jej się przy tym trzęsły. Zatem — podjął inspektor — około dwudziestej drugiej P?ócdziesiąt pięć zadzwoniłaś do laboratorium, chcąc dowiedzieć

81

i-

ir

się o wynik morfologii. — McGrath przerwał i zaczekał, aż pielęgniarka potwierdzi, iż użył właściwego terminu. Kiedy kiwnęła głową, ciągnął: — Ktoś odebrał telefon, ale nie odezwał się. Cisza trwała jakieś pół minuty, a potem usłyszałaś ryk. Rozłączyłaś się i bezzwłocznie powiadomiłaś ochronę.

McGrath przestał mówić, widząc, że siostra Sara Higgins znowu płacze, opierając się o pulchne ramię przełożonej pielęgniarek. Kate Hamilton i Tony Dowling wymienili spojrzenia. Zanim inspektor zdażył wrócić do sprawdzania zeznań, rozległo się pukanie do drzwi. Wstał i otworzył je. Na progu stał doktor Noel Dunne, lekarz medycyny sądowej.

— Inspektorze — powiedział przybyły — zrobiłem tutaj, co miałem do zrobienia, i teraz chciałbym jak najszybciej przetransportować ciało do kostnicy. Czy życzy pan sobie zobaczyć

pomieszczenie raz jeszcze, nim zostanie zamknięte i opieczętowane?

McGrath zastanowił się, gładząc palcem prawej dłoni zarost nad górną wargą. Wąsy miał równie siwe i bujne jak włosy na głowie.

Jedną chwileczkę, doktorze — rzucił i zniknął z powrotem w bibliotece.

Wymienił szeptem parę słów z Dowlingiem, po czym gestem dłoni przywołał Kate Hamilton. Kilka chwil później znów był przy drzwiach, patrząc na Dunne'a.

Noel Dunne wyglądał, jakby dociągał do setki, mimo że miał dopiero czterdzieści osiem lat. Jego szara, zmęczona, ściągnięta wiecznym bólem twarz pasowała do człowieka, który dzień w dzień kroił trupy, próbując ustalić przyczyny śmierci jeszcze jednej ofiary ludzkiej pomysłowości i nieludzkiego okrucieństwa. W młodości wysoki i umięśniony, teraz był lekko przygarbiony i miał sporą nadwagę. Jego elegancko posiwiałe włosy można by określić jako stalowe. W kręgach policyjnych znany był z wisielczego humoru. Tym razem wszakże nie uciekał się do żartów, podobnie jak nikt inny, kto w środku nocy został wezwany na miejsce zbrodni. Zazwyczaj rubaszny, nawet on wydawał się porażony zajściem w Centralnym Szpitalu Położniczym. Inspektor znał go na tyle długo, by bez trudu wyczytać z posepnej miny, skrytej za wąsami i brodą, poważny niepokój. — No więc co tam mamy? — zapytał McGrath.

82

i

Wyjątkowo paskudne morderstwo, inspektorze.

Czy coś wskazuje na motyw seksualny?

Na razie nie. Ubranie na ofierze jest podarte, a jej nogi lekko rozrzucone, ale nic poza tym. Oczywiście mając ciało w kostnicy, przyjrzę się dokładnie pochwie, odbytowi i ustom ofiary. —

Mówiąc ostatnie słowa, spojrział wprost na Kate Hamilton stojącą z Dowlingiem za inspektorem. W jego spojrzeniu czaiło się pytanie.

Przepraszam — zreflektował się McGrath — powinienem był was sobie przedstawić. To sierżant Hamilton, a to doktor Dunne. Lekarz zlustrował wzrokiem sylwetkę wysokiej, szczupłej, ciemnowłosej młodej kobiety, sarknął i uniósł oczy do nieba. Dźwięk nie był głośny, a gest trwał zaledwie ułamek sekundy, jednakże Kate i tak wyczula niezadowolenie mężczyzny. Należał do starego pokolenia, przekonanego, że w policji nie ma miejsca dla słabej płci, i przyzwyczajonego w pracy wyłącznie do męskiego towarzystwa.

Został wychowany na dżentelmena otwierającego kobietom drzwi, wstającego z krzesła, gdy wchodziły do pomieszczenia, i pozwalającego im usiąść, podczas kiedy on wolał stać; naturalnie w parze z tymi objawami donkiszoterii szła chęć chronienia za wszelką cenę przed nieprzyjemnościami, jakie niesie życie. Czuł się nieswojo, prowadząc śledztwo wspólnie z kobietą, zwłaszcza że działo się to w środku nocy. Nie wiedząc, jak ma potraktować przedstawioną mu panią sierżant, postanowił zignorować jej obecność. Chowając dyktafon w kieszeni marynarki, zapytał McGratha:

— Są świadkowie?

Żadnych — udzielił odpowiedzi inspektor, ani na chwilę nie przestając myśleć o nowej sprawie. Układał w głowie poznane takty, analizował je, wysnuwał wnioski i odrzucał jeden po drugim. Czuł się tak, jakby był silnikiem, z którego ktoś stara się wycisnąć więcej, niż przewiduje norma. — Nikt nie zauważył nic Podejrzanego. Dun ne zmarszczył czoło.

Mogę już zabrać ciało?

McGrath skinął przyzwalająco.

Tak. Przedtem jednak zerknę na nie raz jeszcze. Chcę °garnąć całość sceny, zanim technicy zادةpczą wszystkie ślady.

83

Noel Dunne skrzywił się. Inspektor był dobrym gliną, doświadczonym i byстрыm detektywem, ale potrafił działać na nerwy. Patrzył na ręce technikom, zawsze szukał dziury w całym. Z pewnością nie czyniło go to ulubieńcem wśród ekipy, ale nikt nie mógł odmówić mu rzetelności — cieszył się bardzo dobrą opinią. Mówiło się, że twardeł z niego, ale na równi z tężyzną fizyczną i wytrzymałością psychiczną posiłkował się zdrowym rozsądkiem, a do tego miał niebagatelną wiedzę na temat dubliń-skiego półświatka, której zazdrościli mu koledzy policjanci. Kiedy jakiś z nich potrzebował wytypować przestępcę stojącego za głośnym napadem czy porachunkami wewnątrz mafii, zawsze korzystał z jego bazy danych. Informatorzy McGratha prawie nigdy go nie zawodzili, a wyrobiona przez lata praktyki intuicja nieraz spowodowała, że winny trafił za kratki. Inspektor utrzymywał ciało i ducha w niezmiennie dobrej kondycji i wciąż świetnie sobie radził w swojej roli.

Gdy zbliżali się do laboratorium, Jack McGrath zauważył na wpół przymknięte drzwi, strzeżone przez funkcjonariusza policji i zabezpieczone żółtą taśmą. Doktor Dunne, ignorując strażnika, uniósł ręką

taśmę i pchnął skrzydło drzwi czubkiem ołówka, żeby nie zostawić swoich odcisków palców. Chciał je w ten sam sposób zamknąć, kiedy już obaj znaleźli się w środku, jednakże Kate Hamilton wślizgnęła się zgrabnie ich śladem. Przez chwilę spoglądali wprost na siebie, siłując się wzrokiem, aż wreszcie Dunne wyszczerzył zęby i wzruszył ramionami. W świetle jarzeniówek każdy gest wydawał się ostrzejszy niż w rzeczywistości. Pantomima w wykonaniu Dunne'a, gdy podchodził do krzesła, odwracał się, by usiąść, po czym gwałtownie podrywał, ruchem ręki zapraszając panią sierżant, aby skorzystała z siedziska, nadawała się na scenę. Niestety ani Kate, ani McGrath nie docenili jej. Doktor Dunne ponownie wzruszył ramionami i zajął jedyne siedzące miejsce.

Trzech techników nadal uwijało się przy pracy. Jeden z nich dzierżył aparat fotograficzny i właśnie robił zdjęcie pod niemal niemożliwym kątem. Pomajstrował coś przy obiektywie i BŁYSK! Mary Dwyer została uwieczniona na celuloidzie, aczkolwiek nie było to ujęcie, jakie mogłoby znaleźć się w rodzinnym albumie.

84

McGrath poruszał się płynnie, rozglądając we wszystkie strony równocześnie, chłonąc widok miejsca zbrodni. Celowo omijał wzrokiem ciało, leżące w identycznej pozycji jak wtedy, gdy zostało znalezione. Podłogę zaścielały odłamki szkła z naczyń laboratoryjnych; próbki z krwią także się potłukły i czerwona, ciemna, zastygła ciecz esami-floresami zdobiła glazurę. Unoszący się w powietrzu zapach krwi i chemikaliów drażnił McGratha do tego stopnia, że sięgnął po miętówkę. W kącie pomieszczenia walał się niewielki komputer i dołączona do niego drukarka; obudowy obu urządzeń były roztrzaskane, wokół pełno było odłamków szarego plastiku. Mimo to dało się zauważyć, że płachta ostatniego wydruku została zerwana. Na długich ladach ciągnących się wzdłuż ścian stało zwykłe wyposażenie każdego szpitalnego laboratorium: stojaki z próbkami, kolby, szalki Petriego, autoklawy, mikroskopy i cała reszta. Nigdzie jednak nie było widać żadnych narzędzi chirurgicznych. Dunne zerknął na zegarek. Potrafił przewidzieć zachowania inspektora z niemal aptekarską precyzją — pracowali bowiem razem przy tylu sprawach, że znali się jak łyse konie. Tym razem Noel Dunne stawiałby na równą godzinę spędzoną na miejscu zbrodni. Zresztą nie wykluczał, że McGrath wróci tu później, kiedy już ekipa techników wyniesie się, aby zbadać zebrany materiał; inspektor często

tak postępował, „wysłuchując” się w echo wydarzeń i próbując odtworzyć ostatnie, bolesne minuty życia ofiary.

Nie ma tu żadnych ostrzy — stwierdził na głos McGrath. — A to co wystaje z jej szyi, wygląda mi na ostrze. - Nachylał SI? nad ciałem laborantki, wstrzymując oddech i szaleńczo ssąc miętówkę.

To skalpel — odpowiedział rzeczowo lekarz.

Właśnie, skalpel. Poza tym jednym nie ma tu żadnych innych skalpeli.

Mylę się?

Nie. Przepatrzyłem pomieszczenie pod tym kątem i żadnego nie znalazłem — zgodził się Noel Dunne.

Inspektor przykucnął i jeszcze bardziej nachylił się nad szyją lat'11 oddech zagłuszał szum laboratoryjnych wenty-

Ty)l 0W' arz?dzie zbrodni tkwiło w ciele ofiary po samą rękojeść. arz Mary Dwyer przybrała odcień purpurowy, była lekko na-

85

puchnięta. Tuż pod powierzchnią skóry popękały drobne naczynka krwionośne, powodując brzydkie plamki. Oczy, pozbawione blasku i życia, wyglądały nienaturalnie z białkami przekrwionymi z tego samego powodu. Na ziemi zastygła kałuża krwi, która wypłynęła z rany na głowie. Szyja nosiła wyraźne ślady duszenia i drapania. Lewa noga ułożona była pod dziwnym kątem — zgięta w kolanie i odchyłona na bok. Lekko zadarta spódnica odsłaniała rajstopy, których jedna nogawka została rozdarta od kolana do kroku. Paznokieć palca wskazującego paskudnie złamano, odginając część przylegającą do opuszki.

Wstając, McGrath zauważył żółty kredowy ślad na brzegu biurka. Któryś z techników z jakiegoś powodu oznaczył to miejsce. Przy bliższych oględzinach inspektor dostrzegł plamę krwi i małą kępkę włosów.

Zabierzcie ciało polecił. — Przedzwonię do kostnicy później... Popatrzył na zegar wiszący nad drzwiami. - O której będziecie coś mieli?

Około dziesiątej, najpóźniej o wpół do jedenastej. Nie wcześniej.

— W takim razie pofatyguję się osobiście.

Do zobaczenia. - Dunne skinął głową, tłumiąc ziewnięcie. 4

McGrath zwrócił się do Kate, która pracowicie pisała coś w małym notesie o czarnych okładkach.

Rozejrzyj się tutaj sama. Technicy powiedzą ci, co wziąć pod lupę, a czego nie ruszać. Potem przeanalizujemy twoje wnioski. Jak

skończysz, przyjdź do biblioteki, będę tam z Tonym.

Kate nie poruszyła się przez dobre dziesięć minut po tym, jak drzwi zamknęły się za McGrathem i Dunne'em. Przez cały czas patrzyła na zwłoki Mary Dwyer. Wokół panowała dziwna cisza, przerywana tylko od czasu do czasu jakimś rzuconym przez techników komentarzem.

W końcu pani sierżant drgnęła i zabrała się do pracy.

Kate Hamilton była jedną z zaledwie trzech kobiet w dublińskiej policji wyszkolonych do pracy detektywistycznej. Przed pół rokiem dostała się pod skrzydła Jacka McGratha, który najpierw

86

niechęcią musiał przyznać, że dziewczyna ma talent do tej roboty a potem nawet zaczął ją podziwiać.

Jest bystra, bystra jak cholera — oznajmił Tony'emu

Dowlingowi pewnego ranka. — I jeszcze bardziej ambitna. Chry-ste nie zdziwiłbym się, gdyby za parę lat awansowała i rządziła nami wszystkimi.

Dowling roześmiał się niedowierzająco, po czym popatrzył na partnera z ukosa.

Słuchaj no, Jack. A czy twoja pani już ją widziała?

McGrath wyszczerzył się w uśmiechu. Wszyscy na posterunku wiedzieli, że ma żonę i dwóch nastoletnich synów.

— Nie — odpowiedział, nie przestając się uśmiechać. I na pewno nie zobaczy. Wystarczyłyby jej jeden rzut oka na naszą Kate i załatwiłaby mi przeniesienie do drogówki.

Nie dało się bowiem nie zauważyć, że Kate Hamilton jest nie tylko diabelnie inteligentna, ale także urocza. Ktokolwiek na nią spojrzeł, widział młodą, pewną siebie kobietę, prawie dziesięć centymetrów niższą od większości kolegów policjantów, z niedługimi ciemnymi włosami zazwyczaj związanymi z tyłu głowy albo odgarniętymi z twarzy za pomocą dwu spinek po bokach. Pod niemal czarnymi brwiami błyszczały nieoczekiwanie jasne, błękitne oczy. Kate Hamilton była ładna. Bardzo ładna. Tak ładna, że gdyby mogli, jej koledzy z posterunku przy Store Street zawiesiliby jej zdjęcie nad swoimi biurkami. Chociaż jednak wzdychało do niej wielu, nikt nie miał najmniejszych szans. Sierżant Kate Hamilton była pogrążona w żałobie. Wychowywała samotnie czteroletniego syna Rory'ego, za którym przepadała, podobnie jak kiedyś za jego ojcem.

Jack McGrath oczywiście o tym wiedział. Sylwetkę pani sierżant, nim przekazał ją pod jego skrzydła, przybliżył mu bezpośredni

przełożony, nadinspektor Mike Loughry, będący zarazem szefem grupy do walki ze zorganizowaną przestępczością.

Ma trzydzieści dwa lata — informował Loughry podczas tamtej rozmowy, czytając z jej akt. — Przyszła do pracy w policji po ukończeniu studiów. Historia i nauki polityczne. Celujący dyplom. Świetne opinie ze szkoły policyjnej w Templemore. wykazała się szczególnie na zajęciach z pracy śledczej i dochodzenia w sprawach narkotykowych. — McGrath uważnie słuchał

87

każdego słowa. Już cieszył się na myśl, że nie przypadnie niu w udziale jakaś oferma, która potrafi tylko deptać po piętach i strzyc uszami niczym pokojowy piesek. — Jako jedna z pięciu osób z roku poleciała do Stanów na szkolenie przy bostońskim wydziale narkotykowym. — Loughry urwał i nachylił się do podwładnego, jakby chciał mu zdradzić sekret. — Niestety nawiązała znajomość z jednym z tamtejszych detektywów.

— Znajomość? Jakiego rodzaju znajomość?

— Intymną. Zamierzała wyjść za niego za mąż.

— I co się stało? Nie dał się namówić na ślub?

— Nie. Dał się zabić.

— Jezu Chryste.

— Właśnie.

— Co dokładnie mu się przytrafiło?

- Obława na gang narkotykowy. Coś poszło nie tak. Cele nie powinny były mieć broni.

Ale miały. — McGrath westchnął ze znużeniem. Historia stara jak świat.

- I to cały arsenał.

— Więc wróciła do domu i znalazła sobie miłego irlandzkiego chłopca.

— Cynizm w jego głosie zadziwił nawet jego samego. |

— Niezupełnie. Była w ciąży.

— Jezu Chryste.

Właśnie. Z tego co wiem, wszyscy doradzali jej aborcję. Mimo to postanowiła urodzić dziecko, już tutaj, w Dublinie.

McGrath podparł głowę na rękach, koniuszkami małych palców muskał wąsy.

— Nie daje sobą łatwo powodować.

— Właśnie — użył swego ulubionego sformułowania Mike Loughry. — Służbę w policji ma we krwi. Jej dziadek i ojciec byli policjantami. Ale przy tym należy do nowego pokolenia: jest niezależną

kobietą, nie boi się wyrażać na głos swojego zdania i z pewnością nie deprymuje jej świadomość, że jest jedną z bardzo nielicznych kobiet detektywów.

I tak Kate Hamilton — kobieta z przeszłością i nie bez przyszłości — dołączyła do wydziału zabójstw dublińskiej policji. Początkowo ona i McGrath podchodzili do siebie nieufnie, trochę czasu zabrało im wzajemne wybadanie się, ale w końcu przekonali się do siebie i polubili. Półtora miesiąca później stanowiła część zeSpołu. Nawet Tony Dowling, niezbyt szczęśliwy z faktu, że coraz więcej kobiet pracuje w policji, wychodził z siebie, aby dobrze się czuła pośród konserwatywnie nastawionych detektywów.

Po dokładnym przyjrzeniu się scenie morderstwa sierżant Hamilton przyklękła, by zlustrować zwłoki Mary Dwyer. Chociaż była przygotowana na widok matowych, pozbawionych życia oczu i skalpela wciąż sterczącego z rany na szyi, bezwiednie się wzdrygnęła.

Panie Jezu — pomodliła się w duchu — nie pozwól, bym tak skończyła. Chroń mnie przynajmniej do czasu, kiedy Rory się usamodzielni.

Dean Lynch zakończył operację pozbywania się obciążających go dowodów tuż przed pierwszą trzydziestą nad ranem. Każdy fragment garderoby, łącznie ze slipami i skarpetkami, znalazł się w oddzielnej torbie foliowej, w jakie w supermarketach pakuje się warzywa.

Teraz na stole przed nim leżało osiem takich toreb plus dwie większe, w które jeszcze zanim wsiadł do samochodu, włożył zdjęte uprzednio buty. Czuł się nadzwyczaj spokojny, jakby wielki kamień spadł mu z serca. Zmęczony — tak, lecz na pewno nie wykończony.

Trochę senny. Położył się więc na łóżku, wyłączył nocną lampkę i zapatrzył na cienie na suficie. Jak niemal zawsze przed snem jego myśli powędrowały do pani Duggan, jego oprawczyni.

Elizabeth Anne Duggan była wedle współczesnej nomenklatury popaprańcem jakich mało i nigdy nie powinna była zostać dopuszczona do pracy z dziećmi, nie wspominając o opiece nad nimi dającej jej nieograniczoną władzę. Wysoka i chuda zawsze ubierała się na czarno, niezbyt długie włosy ściągała mocno z tyłu głowy, tak że niczym trofeum wszem wobec pokazywała nienaturalnie bladą i niezdrowo napiętą skórę twarzy. Przerażająca biel eery, kontrastująca z ciemnym odzieniem, i długie szponiaste palce czyniły z niej postać godną dziecięcych koszmarów. I rzeczywiście, jej wychowankowie czuli przed nią respekt wynikający ze strachu, a nie z szacunku. Do tego była fanatyczką religijną, °ra za punkt honoru postawiła sobie, że



nawróci na ścieżkę a, la dzieci poczęte w niesławie,  
albowiem żywiła przekonanie,

89

że to co wyszło z łona niezameżonej matki, ma duszę brudną jak sam diabeł. Przymuszała te nieszczęsne sieroty do modlitw i aktów pokuty o każdej porze dnia i nocy i wyznaczała im o wiele cięższe prace aniżeli pozostałym wychowankom, tym, którzy trafili do ochronki wskutek nieszczęśliwego splotu wypadków, nie zaś grzechu głównego, jakim w jej mniemaniu było narodzenie się poza świętym związkiem małżeńskim.

— Należy pracować dla naszego Pana — mawiała skrzek-liwie, gdy tylko przydybała jakiegoś malucha na zbijaniu bąków. — Niech Jego żywot będzie inspiracją dla was. Niech Jego światło wskaże wam drogę w grzesznym życiu. Będziecie robić wszystko, co wam każe, bez słowa skargi, bo taki przykład dał nam Jezus Chrystus.

Duggan z mety zapalała niechęcią do Deana Lyncha. Już na samym początku pobytu w „jej” sierocińcu nakryła go w kuchni, jak upycha do kieszeni czerstwy i lekko spleśniały chleb. Natychmiast wymierzyła mu swoją ulubioną karę, zamykając w schowku pod schodami.

Pomieszczenie miało metr na metr powierzchni i w najwyższym punkcie było wysokie na sto dwadzieścia centymetrów; panowały w nim egipskie ciemności, gdyż po co szczotkom, rondlom i niegrzecznym chłopcom choćby goła żarówka. Siedmioletni Lynch zosta! tam zaciągnięty siłą, mimo że krzyczał wniebogłosy, szarpał się, a nawet wierzgał, wtrącony do środka i zamknięty na klucz. Już za pierwszym razem spędził w karcerze długie godziny.

Od tamtej pory Elizabeth Anne Duggan miała oko na małego Lyncha. Prześladowała go na każdym kroku. Posuwała się nawet do tego, że —jeśli nie dostarczył jej żadnych rzeczywistych powodów do ukarania — wymyślała jego przewiny. Potrafiła podnieść go za ucho od stołu ze śniadaniem i oskarżyć, że próbował uciec. Kiedy struchlały z przerażenia Dean nie reagował, skazywała go na „nieoświetlony pokój”, jak nazywała ciemnicę pod schodami. Na jej znak zbliżało się dwóch roslých pracowników porządkowych, gdyż z każdym kolejnym razem coraz trudniej był° go przeciągnąć przez hol i wtłoczyć przez mały otwór drzwiowy do schowka na miotły. Lynch używał całej siły swego mikreg0 kilkuletniego ciała, by nie dopuścić do zamknięcia drzwi, które z drugiej strony pchali dwaj dorośli mężczyźni.

90

Nie — skomlał cichutko, zanim nie poczuł, że znów przebywa, że siła jego ramion i nóg jest zbyt mała, by zapobiec następnemu odcięciu go od światła słonecznego, wtedy bowiem górę brała panika i strach, które wzmacniały mu głos: — Nie! Nie zamykajcie mnie tutaj! Proszę, nie!

Oczywiście w końcu drzwi domykały się z głuchym trzaśnięciem, pogrążając go w całkowitej ciemności.

— I jak się czujesz w piekle, Lynch? No, jak? — słyszał kobiecy głos. Elizabeth Anne Duggan wiedziała, jaką strunę duszy potrać, by wywołać uczucie nie dającego się zapomnieć przerażenia.

### XIII

Godzina 08.15

Kate Hamilton musiała błagać swojego ojca, by rano odprowadził Rory'ego do przedszkola, a następnie po południu go stamtąd odebrał.

Tato, w nocy tyle się działo. Nabieram doświadczenia. Przecież wciąż jeszcze się uczę. Jeśli zadzwonię teraz na posterunek i powiem, że nie mogę się stawić, bo muszę zająć się dzieckiem, ponieważ nie mam nikogo, kto by się nim zaopiekował pod moją nieobecność w domu, jaka będzie reakcja przełożonych? Hm? Jak myślisz? Nie wiesz? No to ci powiem: pozbędą się mnie jak gorącego ziemniaka z dłoni. Możesz być tego pewien. Ja nie mam najmniejszych wątpliwości.

Starszy mężczyzna chciał zaprotestować, ale się poddał. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo ambitna jest jego córka. Wiedział, że gotowa jest przenosić góry, byle zachować swoją niezależność, móc wychowywać syna i zarazem pracować bez taryfy ulgowej.

Co mam mu zrobić na podwieczorek? — spytał z rezygnacją.

Kate uściskała ojca, nim wybiegła z domu.

W zamrażarce są naleśniki. Odgrzej mu jednego i podaj z jajkiem ugotowanym na miękko. Przepada za tym — zawołała od progu i już jej nie było.

Rory popatrzył na dziadka i wygiął usta w podkówkę. — Nienawidzę jajek na miękko.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się i zaprowadził wnuka do jego pokoju, aby przygotować go do przedszkola. Rory sięgał dziadkowi do pasa, miał nienaturalnie jasną, wpadającą w żółtawy odcień

pochodzeniu swego nieżyjącego ojca. Był drobnym dzieckiem o patykowatych kończynach, które jednak niestrudzenie .jy do przodu i wywijają na wszystkie strony, pozostawiając na Hamiltona na skraju wyczerpania fizycznego i psychicznego pod koniec każdego dnia, kiedy się nim opiekował.

Kate i Rory mieszkali w wolno stojącym domu z czerwonej cegły, wyróżniającym się w krótkiej ślepej uliczce zwykłych szeregowców położonych w Ranelagh, na przedmieściach południowego Dublinu. Spłacanie hipoteki pożerało większość miesięcznej pensji Kate, toteż nie mogąc sobie pozwolić na płatną baby-sitter, opiekę nad synem powierzała zazwyczaj ojcu. Który nawiasem mówiąc, nie miał nic przeciwko temu. Przepadał za wnukiem, podobnie jak za córką. To dla niej przeprowadził się do Dublinu, gdy powróciła z Bostonu w szóstym miesiącu ciąży. Była jego jedynym dzieckiem i obecnie właściwie jedyną rodziną. Żonę stracił przeszło pięć lat wcześniej i od tego czasu czuł się przeraźliwie samotny. Z radością w sercu zamieszkał! niespełna dziesięć minut drogi spacerkiem od domu Kate — w malutkim dwupokojowym mieszkanku — i w całości poświęcił się wnukowi.

W większość poranków Kate budziła Rory'ego, dawała mu śniadanie i zawoziła do dziadka, gdzie chłopiec bawił się przez jakieś pół godzinki, podczas kiedy starszy mężczyzna powoli dopijał kawę i dojadał tosty, po czym obaj — trzymając się za ręce szli w kierunku przedszkola. Tam Rory żegnał się z „dziadkiem”, jak go nazywał, i biegł do kolegów, a starszy pan miał trochę czasu dla siebie, zanim nie trzeba było odebrać chłopca z przedszkola i odprowadzić go do domu. Kate zazwyczaj jeszcze niebyło, więc opowiadali sobie, co przydarzyło się każdemu tego dnia, przekąszali coś na podwieczorek, a pan Hamilton przygotowywał również gorący posiłek dla córki i wnuka. Kate na ogół jla'egała, by zjadł z nimi, więc zostawał na późnym obiedzie i po rotkim odpoczynku przy herbacie szedł do siebie, córce pozosta- VVlając sprzątanie po szaleńczych harcach małego.

Często w drodze do domu zamartwiał się, co z nimi będzie. . ell tylko siebie, poza tym nikogo, nie licząc jego, no ale prze-011 nie będzie żył wiecznie. Uważał, że Kate potrzebuje męż-zny. jeg0 zcjaniem już dawno powinna była zacząć szukać

93

męża. Jeśli nawet nie ze względu na siebie, to ze względu na syna

Chłopiec potrzebował ojca, widział to jak na dłoni.

Tymczasem myśli o mężczyznach nie zaprzętały głowy Kate Hamilton, kiedy jechała w stronę posterunku przy Store Street Dochodzenie w sprawie morderstwa w szpitalu było pierwszym w jakim naprawdę pozwolono jej wziąć udział. Mimo że odrazą napawała ją scena na miejscu zbrodni i ewidentne okrucieństwo zabójcy, czuła podniecenie w obliczu czekającego ją zadania. Gdyby szła pieszo, unosiłaby się w powietrzu, ponaglając czas dzielący ją od znalezienia się z powrotem w szpitalnej bibliotece. A tak, trzymając ręce na kierownicy i prowadząc ostrożnie jak zwykle, po raz setny odtwarzała w myślach poranną rozmowę z Tonym Dowlingiem. Poinformował ją o wszystkim, co zaszło w sprawie, odkąd udała się nad ranem do domu, po czym zaproponował, żeby samodzielnie przesłuchała personel laboratorium. Kiedy zjawiała się na miejscu, przygotowania zajęły jej tylko parę minut i już mogła zarzucać potencjalnych podejrzanych pytaniami:

Gdzie pan był wczoraj pomiędzy dziesiątą i dwunastą wieczorem?

— Czy może pan podać nazwiska osób, które potwierdzą pańskie alibi?

— Co panu wiadomo o osobie Mary Dwyer?

- Czy przychodzi panu do głowy jakikolwiek powód, dla którego ktoś chciałby skrzywdzić Mary Dwyer?

- Czy Mary Dwyer miała narzeczonego, chłopaka, przyjaciela?

Czym dokładnie się zajmowała? Na czym polegała jej praca?

- Jakie badania wykonała podczas wczorajszego dyżuru?

Czy to, że zginęła, może pańskim zdaniem mieć jakiś związek z jej pracą?

Niestety odpowiedzi nie były tak gładkie i szybkie, jak się spodziewali.

Nikt z przesłuchiwanym kolegów i koleżanek Mary Dwyer nie przygotował ich sobie zawczasu, a szok na ich twarzach nie był udawany.

Reakcje były różnorodne, począwszy od szlochów na wieść o morderstwie, przez pobielające ze strachu twarze, a skończywszy na pełnej zdumienia ciszy. Kobiety płakały całkiem otwarcie, podczas gdy mężczyźni z trudem nad sobą pano-

94

ali dla odmiany popadając w otepienie. Wszyscy z niedowierzania-W m kręcili głowami, bezwiednie zaciskali pięści, mamrotali coś i i nosem, wiedząc, że to ich mógł spotkać los Mary Dwyer.

Kate popatrzyła na Dowlinga i McGratha, którzy siedząc boku, dyskretnie obserwowali przesłuchiwanym.

Inspektor potrząsnął głową. To nas donikąd nie zaprowadzi, mówiły jego oczy.

Dean Lynch przyglądał się, jak śmieciarka telepie się przez most, zmierzając w stronę sklepów przy Lower Baggot Street. Pracownicy miejskiej oczyszczalni biegli po obu stronach wozu, zbierając pękate czarne, plastikowe worki, fruujące luzem śmieci, butelki i inne paskudztwo i wrzucając wszystko na otwarty tył. Zauważył, że raz na trzy minuty kierowca przekłada jakąś dźwignię, która wprawia w ruch gigantyczne metalowe szczęki miażdżące odpady i przesuwające mniej więcej sześciennie pakiety w głąb paki.

Naciskając pedał gazu swojego bmw. Lynch wyprzedził śmieciarkę, zatrzymał się dobre parędziesiąt metrów przed nią i wysiadł z samochodu z dziesięcioma niedużymi workami. Ułożył je wzdłuż krawężnika, po czym ruszył z piskiem opon i stanąwszy w bezpiecznej odległości, patrzył. Jego śmieci znalazły się na pace i niemal natychmiast zostały zgarnięte i zmiażdżone razem z kupą innych.

Pozwolił sobie na lekki uśmiech: „Dobra nasza, Deano! Byle tak dalej!”. Mimo że był cienko ubrany, a na dworze panował przenikliwy Złab, nie było mu zimno.

Dean Lynch trafił na rollercoaster zwany zemstą, a to zawsze Podnosi ciśnienie i ogrzewa zziębnięte członki. Wiedział, że jest nosicielem wirusa HIV, że rozwinęło się u niego AIDS, które powoli, lecz skutecznie niszczy jego ciało. I choć choroba nie musiała od razu zebrać czarnego żniwa, on przygotowywał się na "ajgorsze.

Był przekonany, że umiera.

A skoro tak, nie zamierzał odchodzić z tego świata samotnie.

Pozostało jeszcze parę rachunków do wyrównania.

Musiał tylko uważać, żeby nikt go nie nakrył.

95

XIV

Godzina 09.05 Gabinet dyrektora Centralnego Szpitala Położniczego w Dublinie

— Tutaj pracuje pięćset osób.

Lukę Conway od dłuższej chwili próbował zobrazować detektywom skalę problemu, z jakim przyjdzie im się zmierzyć, gdy zaczną prowadzić dochodzenie na terenie szpitala.

— Mamy czterdziestu dwóch lekarzy — wyliczał — w tym trzydziestu mężczyzn i dwanaście kobiet. Dwieście siedem pielęgniarek, same kobiety. Nie zatrudniamy ani jednego pielęgniarza. Podobnie jest z

salowymi. Reszta personelu to fizjoterapeuci, laboranci, farmaceuci, pracownicy administracji i działu technicznego plus ochrona. Mimo że zachował przytomność umysłu, Conway wydawał się smutny i pogrążony w głębokim szoku. Początkowo w ogóle nie chciał uwierzyć w to, co się stało. Telefon ochrony obudził go w środku nocy i zastał całkowicie nieprzygotowanym na hiobową wieść. O świcie, kiedy policja nie miała zamiaru opuścić szpitala, a drzwi do laboratorium pozostały zamknięte i zabezpieczone żółtą taśmą, prawda zaczęła powoli torować sobie drogę do mózgu dyrektora.

— Potrzebna nam będzie lista wszystkich pracowników płci męskiej — oświadczył McGrath. — Dodatkowo proszę przygotować spis osób, mężczyzn — sprecyzował — którzy regularnie odwiedzają szpital, a szczególnie laboratorium. Chodzi mi o kurie' rów, dostarczycieli kwiatów i pizzy, taksówkarzy i tak dalej. K.W' kolwiek przyjdzie panu do głowy. — Widząc pytające spojrzenie Conwaya, potwierdził skinieniem głowy. — Tak. Proszę zabrac się do rzeczy natychmiast. Chcę zobaczyć te dwie listy najpóźniej

96

do pory lunchu. — Inspektor nie lubi! tracić czasu. — Niewykluczone — poinformował Luke'a Conwaya — że będziemy musieli zesłuchać każdego pracownika z osobna. To zależy od tego, czy wykrystalizuje nam się podejrzany na wczesnym etapie czy nie.

Jak już mówiłem, to prawie pięćset osób. Bardzo zajętych osób.

Tak, wiem — mruknął McGrath. Był zmęczony. Niewiele spał tej nocy; obraz Mary Dwyer ze skalpelem w szyi nie opuszczał go, odkąd zobaczył miejsce zbrodni. — Szukanie igły w stogu siana.

Obaj milczeli przez parę chwil. W końcu ciszę przerwał Conway.

— Kiedy personel laboratorium będzie mógł wrócić do swoich zajęć? — spytał. Za wszelką cenę chciał zachować pozory normalności, lecz nic nie mógł poradzić na plotki, zataczające coraz szersze kręgi, oraz robotę mass mediów. — Niektóre wyniki potrzebne są na dziś, inne najpóźniej na jutro. Jeśli nie da się ich odzyskać, będę musiał zlecić badania jakiemuś zewnętrznemu laboratorium.

McGrath spojrział na zegarek, wstając.

Proszę zapomnieć, że ma pan swoje laboratorium, co najmniej do wieczora. Moi ludzie mają tam jeszcze masę pracy. Poinformuję pana,

gdy tylko skończą. Wtedy odzyska pan swoje skarby. — Skierował się do wyjścia, lecz przystanął w pół kroku, decydując, że odrobina uprzejmości nie zawadzi. — Czy możemy rozlokować się w bibliotece? Jak dotąd świetnie się spisała. Zaoszczędzi nam to biegania w tę i we w tę między szpitalem i posterunkiem. Byłbym zobowiązany — dodał.

Conway niechętnie udzielił mu zgody.

Idąc do biblioteki, inspektor minał Deana Lyncha. Pozornie żaden z mężczyzn nie zwrócił na drugiego uwagi.

Lynch zniknął w drzwiach swego gabinetu. Czyżby za bazę rali sobie bibliotekę? — pomyślał. — Przecież to tuż za rogiem, eano. Szukają cię, ale ty masz ich cały czas na oku.

Tylko spokojnie.

a razie nic się jeszcze nie stało.

Po Prostu wyprzedzaj ich o krok.

97

Dean Lynch zawsze wszystko dokładnie planował. Na tym polegał klucz do jego sukcesu. Inaczej nigdy nie poznałby słodkiego smaku zemsty.

Elizabeth Anne Duggan chorowała na astmę, każdy w sierocińcu to wiedział. Było ją słyhać na długo, zanim się pojawiła w zasięgu wzroku. Miała świszczący oddech, pokasływała i sapała jak lokomotywa. Nieraz widziano ją, jak przystaje oparta o ścianę albo zgięta wpół, próbując zaczerpnąć powietrza, szuka w licznych fałdach staromodnej sukienki kieszonki z tabletkami, które przynosiły jej ulgę. Dzieciak, który był tego świadkiem, ile sił w nogach biegł ostrzec inne dzieci cokolwiek bowiem było w tych tabletkach, sprawiało, że kobieta dostawała amoku. Z odnalezioną nagle siłą, oddychając głęboko i równo, przemierzała długie korytarze, wypatrując najdrobniejszego wykroczenia: płamki na lamperii, niechlujnie zasłanego łóżka, niedomkniętej szafki czy nieporządku w komodzie. Trzęsącymi się rękoma dopadała pierwszą z brzegu ofiarę i na niej wyładowywała swoją złość. Najczęściej dostawało się Lynchowi; to on najbardziej cierpiał w wyniku napadów wywoływanych przez leki uśmierzające ostre objawy astmy, a zarazem pobudzające układ nerwowy.

Ale tak było tylko do czasu.

W końcu Dean Lynch postanowił, że dłużej tego nie zniesie. Co więcej, odkrył sposób, w jaki mógł położyć kres swemu cierpieniu,

ciągłemu gnębieniu, prześladowaniu, fałszywym oskarżeniom i razem. Sposób bardzo prosty. Kiedy na niego przypadkiem wpadł, nie posiadał się ze zdziwienia, że od dawna wybawienie miał na wyciągnięcie ręki.

Podjąwszy decyzję, przystąpił do realizacji planu. Najpierw podwędził ogrodnikowi sześć małych różowych tabletek, które mężczyzna zażywał na obniżenie ciśnienia. Wybór padł na nie po tym, jak Lynch przeczytał na buteleczce: Zażywać jedną tabletką dwa razy dziennie. Przeciwwskazania — lek nie nadaje się dla astmatyków. Przy tym ostatnim zdaniu był narysowany wielki czerwony wykrzyknik. Zachwycał się nim przez pełne dwa tygodnie, zanim wykonał następny ruch. Przystępując do dzieła, po raz pierwszy w życiu poczuł dreszcz podniecenia. Jego umysł odnotował grożące mu niebezpieczeństwo, nieuchronność czynu,

98

a jednak zalewała go fala uniesienia i przyjemności na myśl o tym, co się miało stać. I stało się, gdy tylko podmienił tabletki.

Krzyki na korytarzu przyniosły mu dobrą nowinę. Razem z innymi dziećmi i wychowawcami biegł w stronę hałasu i został wynagrodzony widokiem ślaniającej się, spoconej jak mysz, nabrzmiałej na twarzy Elizabeth Anne Duggan. Wyciągała przed siebie rękę, dysząc i puchnąc jeszcze bardziej, na darmo walcząc o kolejny życiodajny łyk powietrza. Tłum wokół niej gęstniał, dorośli na głos zastanawiali się, jak pomóc, dzieci ze zgrozą obserwowały przerażającą scenę. A Dean Lynch stał i patrzył. I uśmiechał się. Tuż zanim jego oprawczyni sina osunęła się na podłogę, spojrzała na dwunastoletniego, szczerzącego się od ucha do ucha chłopca i zrozumiała.

To był uśmiech kogoś, kto odniósł sukces. Kto zatryumfował. Kto wyznaczył sobie zadanie i wykonał je na piątkę.

XV

Godzina 09.55 Kostnica miejska w Dublinie

Kostnica miejska usytuowana była w północnej części starego centrum. Stojący na rogu Store Street i Amiens Street budynek miał swoje lata i mieścił oprócz kostnicy posterunek policji i biuro koronera. Architekci, swego czasu dumni z funkcjonalności i przestrzeni, jakie zapewnili pracownikom tych trzech instytucji, teraz rwaliby sobie włosy z głowy. Nie przewidzieli bowiem dramatycznego wzrostu poziomu przestępczości w tym rejonie miasta.



Policjanci posterunku przy Store Street byli chyba najbardziej zajęci spośród wszystkich stróżów prawa w Dublinie, o czym dobitnie świadczyły liczby: kilkadziesiąt tysięcy spraw rocznie i około dziesięciu tysięcy zatrzymań. Kostnica także pękała w szwach, o ile można to tak określić, a rezydujący przy niej koroner miał ręce pełne roboty.

Dosłownie.

Jack McGrath nienawidził tego ponurego miejsca jeszcze bardziej niż szpitali. Szpitalny zapach przynajmniej można było z siebie zmyć, podczas gdy unoszący się w pomieszczeniach kostnicy smród przylegał do skóry, włosów i ubrania i ciągnął się za człowiekiem nawet po którymś z kolei prysznicu. Pomimo to inspektor był tam częstym gościem. Zazwyczaj wcześniej znieczulał powonienie kilkoma papierosami, a następnie ratował się swoimi słynnymi miętówkami. Tym razem wypalił ostatniego papierosa, przecinając wewnętrzny dziedziniec i wsłuchując się w poranne odgłosy dochodzące od strony portu. Z westchnieniem rzucił niedopałek na ziemię i zgniótł go podeszwa buta.

100

Wszedłszy do środka, od razu skierował się do sali, w której przeprowadzano większość autopsji. Pomieszczenie mierzyło osiemnaście metrów długości i było szerokie na prawie dziesięć. Dominowała w nim biel. Ściany — od podłogi do sufitu — wyłożono białą glazurą, wszystko inne pomalowano białą farbą olejną. Pośrodku w równych odstępach umieszczono trzy białe stoły autopsyjne, wypoziomowane i przymocowane do podłogi, także wykafelkowanej na biało. W głowach każdego stołu zamontowano tradycyjny kran z dołączonym gumowym węzłem, w nogach zaś kran kulowy, wysoki na jakieś dwadzieścia centymetrów i stojący na ramie głębokiego zlewu ze stali nierdzewnej. Salę za dnia rozjaśniało naturalne światło słoneczne, wydobywające ostre refleksy ze wszechobecnej bieli.

Na środkowym stole leżało teraz nagie, poddane sekcji zwłok ciało Mary Dwyer. Okrywała je tylko zielona chusta chirurgiczna. Dwóch odzianych w biel anatomopatologów stało przy podświetlonym zdjęciu rentgenowskim i nad czymś konferowało. Doktor Noel Dunne podprowadzał Dana Harrisona, fotografa, do najbardziej oddalonego stołu. Harrison trzymał w ręku swojego nikon. Kiedy przykucnął, nastawiając ostrość, i błysnął fleszem, Dunne zauważył McGratha. O, jest pan, inspektorze. W samą porę. — Jego tubalny głos odbił się od

ścian i spowodował, że wszyscy spojrzeli na przybyłego.

McGrath skinął im głową na powitanie, nie spuszczać oczu z Dunne'a, który kontynuował: — Wykonaliśmy kawał roboty i powoli kończymy. Czyż nie tak, panowie?

Mężczyźni wymienili uśmiechy. Noel Dunne jak zwykle rządził.

Wystarczyła mu jednoosobowa widownia i zamieniał się w wykładowcę, a czasami nawet w aktora. Uwielbiał brylować. Spoglądał z pobłażaniem na zbliżającego się inspektora. W zielonym chirurgicznym stroju, szczelnie zapiętym pod szyją i opinającym obie kostki u nóg, w wysokich do pół łydki gumowych zielonych butach i narzuconym na wierzch zielonym gumo-;vVm fartuchu sprawia! wrażenie cierpiącego na akromegalię zielnego ludka. Zsunąwszy lateksową rękawiczkę, ujął podkładkę, 0 której przyczepiona była kartka formatu A4 z narysowaną ką sylwetką. Widniejące na niej gryzmoły i parę strzałek sta-nowiły zapiski z sekcji zwłok.

101

Dunne usiadł na jedynym stojącym w pobliżu krześle i gestem przywołał inspektora. Dwaj lekarze, wciąż zajęci zdjęciem rentgenowskim, usunęli się na pewną odległość, robiąc policjantowi miejsce.

Zacznijmy od samej góry — zaproponował Dunne, po czym zmarszczył lekko brwi, wpatrując się w swoje notatki.

— Zdaje się, że mam kłopoty z odczytaniem samego siebie — i stwierdził, wywołując kolejne uśmieszki. — Ach, tak... — Poszperał za okularami i włożywszy je na nos, dodał: — No, teraz rzeczywiście jest znacznie lepiej. Zatem...

McGrath słuchał go jednym uchem, wpatrując się w pozostawione w aparacie zdjęcie rentgenowskie. Przedstawiało szyję ofiary przebitą ostrzem skalpela. Tkanki miękkie miały jasnoszary odcień, metal wyraźnie się od nich odcinał i widać było, że skalpel niemal przebił szyję na wylot.

Noel Dunne tymczasem włączył magnetofon i mówił teraz zarówno do inspektora i pozostałych obecnych, jak i do mikrofonu urządzenia.

Sprawa numer 1-4-7-3. Sekcja zwłok Mary Dwyer. Ofiarą jest młoda, dobrze odżywiona kobieta w wieku dwudziestu paru lat. Ma krótkie kasztanowe włosy, niebieskie oczy i waży około pięćdziesięciu czterech kilogramów. Mierzy dokładnie sto siedemdziesiąt pięć centymetrów. — Urwał na chwilę, robiąc jakąś adnotację. W pomieszczeniu panowała cisza jak makiem zasiał. Jack McGrath szukał w

kieszeni następnej miętówki. Z lewej strony głowy, od skroni w kierunku ciemienia, ciągnie się długa na prawie dziesięć centymetrów, głęboka rana. W tej okolicy włosy zlepione są krwią. Jeszcze na miejscu zbrodni koło głowy ofiary uformowała się mała kałuża krwi, niewątpliwie pochodzącej z tej rany.

Noel Dunne zamilkł, odłożył podkładkę i zmienił zdjęcie rentgenowskie. Szyja Mary Dwyer zniknęła i pojawiła się jej głowa

— w dwóch ujęciach, en face i z profilu. Dunne postukał metalowym wskaźnikiem w cienką, ledwie widoczną srebrzystą linię rysującą się z jednej strony czaszki.

— Pod wspomnianą raną głowy ciągnie się złamanie szczelinowate kości czaszki. Można je z trudem dostrzec na zdjęciu rentgenowskim, ale moje badanie na otwartej czaszce je potwierdza.

102

prawdopodobnie ofiara została strącona na podłogę ze znaczną

Odszukał wzrokiem oczy McGratha i tytułem wyjaśnienia

dodał: — Rzadko zdarza mi się przeświecić zwłoki, inspektorze. Na ogół tylko wtedy, gdy szukam kuli albo odłamka. W tym wypadku jednak uznałem, że zdobędę świetny materiał szkoleniowy.

Zamknąwszy tę kwestię, powrócił do monotonnego raportu: W obu

oczach doszło do wylewu spojówkowego, na twarzy zaś powstały wybroczyny. Uzębienie w doskonałym stanie, jeśli nie liczyć trzech

wypełnień amalgamatowych. — Zwróciwszy się bezpośrednio do

McGratha, dorzucił: — Oczywiście zrobiłem wymaz — i znów

kontynuował bezbarwnie: — W środkowej części szyi widoczne mamy zasinienia, w których bliskości znajdują się zadrapania. Siniaki są

dwojakiego kształtu, małe dyskowate, o średnicy około pół

centymetra, i nieregularne, większe, co sugerowałoby, że palce duszącego

zmieniały położenie. Wybroczyny znalazłem także na

nagłośni i opłucnej, a wylewy tuż pod skórą szyi i nad mięśniami nadgnykowymi.

Dunne przestał mówić, wcisnął klawisz „pauza” na magnetofonie, po czym donośnie poprosił:

Dan, mógłbyś przynieść odpowiednie zdjęcie? I przygotuj też to z szyją i skalpelem in situ. To jest naprawdę świetny materiał

dydaktyczny — dodał do nikogo w szczególności. McGrath skorzystał z okazji i włożył miętówkę do ust.

Kiedy magnetofon znów pracowicie przesuwiał taśmę, lekarz podjął:

W prawej środkowej części szyi mamy około centymetrową ranę kłutą.

Czystą. Na zewnątrz nie wydostała się nawet kropla krwi. W ranie tkwi skalpel chirurgiczny. — Oczy wszystkich powędrowały za wskaźnikiem Dunne'a. — Na ręczce skalpela wygrawerowany jest napis SWANN-NORTON oraz symbol BS 2982. W dolnej części uchwytu dają się zauważyć płytkie, koncentryczne żłobienia. Rączka skalpela nosi silne, ciemne ślady.

Wyłączywszy na chwilę magnetofon, dodał: — O tym powiem Więcej za chwilę. Wydaje mi się, że te ślady okażą się ważne.

McGrath ożywił się i spojrzał bystrzej, jakby chciał drażnić terriat, ale Noel Dunne znowu mówił do mikrofonu:

Siniaki występują również na lewym ramieniu i klatce P'ersiowej.

Paznokieć wskazującego palca prawej dłoni został zła-

103

many i mocno odgięty. Poza tym ciało nie nosi żadnych śladów jeśli nie liczyć kilku starych, gojących się siniaków w dolnej części prawego uda i blizny po usunięciu wyrostka robaczkowego. Nie znalazłem żadnych śladów wskazujących na seksualne wykorzystanie ofiary czy to przed, czy już po jej śmierci. Ta kobieta jest dziewicą.

Na tym zakończył swój raport z autopsji. Magnetofon przestał szumieć.

— I co nam to wszystko mówi? — spytał McGrath, oczekując jakiejś konkluzji.

Podczas gdy Dunne referował swoje spostrzeżenia, w sali zebrała się większa grupa ludzi. Inspektor wypatrzył dwóch znanych mu umundurowanych policjantów i Pata Relihana, ciemnowłosego, wysokiego i zabójczo przystojnego eksperta od daktyloskopii. Wszyscy zamienili się w słuch, czekając na następne słowa Dunne'a.

Ten zaś westchnął, jakby zadanie przekraczało jego siły. Rzeczywiście wydawał się zmęczony i lekko przytłoczony. Noel Dunne wyznawał bowiem prostą filozofię: przede wszystkim wiązała go przysięga Hipokratesa, lekarzem medycyny sądowej był dopiero w drugiej kolejności. Czuł się w obowiązku chronić swoich pacjentów — cóż z tego, że martwych — i zrobić wszystko, by odkryć, w jaki sposób umarli. Nie lubił jednak spekulować na temat motywów mordercy. To pozostawiał McGrathowi i jemu podobnym. Tym razem jednak zrobił wyjątek.

— Ano to, że drań najpierw nabił jej solidnego guza, prawdopodobnie waląc jej głową o kant lady, co spowodowało pęknięcie kości czaszki i być może utratę świadomości. Poza kilkoma zadrapaniami na szyi i złamanym paznokciem nie ma żadnych dowodów, że

Mary Dwyersię broniła. Następnie ją udusił. Wskazują na to zasinienia na skórze szyi i złamania chrząstek rożkowatych. — Urwał, a wszyscy wstrzymali oddech. — Teraz najlepsze: wbił skalpel po tym, jak wyzionęła ducha.

— Po jej śmierci? — upewnił się McGrath.

— Tak, inspektorze, po jej śmierci. Dunne odwołał się do swoich notatek. — Ostrze przecięło tętnicę szyjną wspólną, między innymi. Tętnica ta zaopatruje mózg w tlen. Gdyby została przerwana, kiedy ofiara jeszcze żyła, to znaczy kiedy wciąż

104

biło jej serce, krew trysnęłaby niczym fontanna. Tymczasem na zewnątrz nie wydostało się zupełnie nic, a w obrębie szyi stwierdziłem ledwie znaczący wysięk.

A to drań! — zgodził się w myślach z Dunne'em inspektor.

A teraz wracając do uchwytu... — główny anatomopatolog sięgnął do kieszeni i wyjął stamtąd sreberko; rozchyliwszy je na końcach, wydobyl ze środka rączkę skalpela — ...tak wygląda typowy. Jak widać, jest szarosrebrny. Ten, który wyjęliśmy z szyi dziewczyny, jest ciemnobrązowy, pokryty jakby zaciekami. Wiem, co to oznacza, przez lata miałem z czymś takim do czynienia. Stare autoklawy „brudziły” narzędzia. Te nowsze oczywiście już tego nie robią... Na moje oko ta rączka przechodziła proces sterylizacji mnóstwo razy, i to w sprzęcie starego typu. Odnajdźcie to urządzenie, a dowiecie się, skąd pochodzi uchwyt.

McGrath zanotował to sobie w pamięci.

Inspektorze, mam dla pana dobrą wiadomość — ciągnął niewzruszony Dunne. — Tego ranka, czekając na pana, zabawiłem się w detektywa. Wspomagał mnie ten oto dzielny funkcjonariusz niedźwiedzia dłoń lekarza opadła na okryte granatowym mundurem ramię młodego policjanta stojącego nieopodal. — No, Phelan, opowiedz panu inspektorowi, czego się dowiedziałeś, dzwoniąc tu i tam.

Phelan odchrząknął nerwowo.

No więc... — zaczął niepewnie. — Doktor Dunne chciał się dowiedzieć, skąd pochodzi uchwyt skalpela. No to zatelefonowałem do magazynu Centralnego Szpitala Położniczego i tam usłyszałem, że cały swój drobny sprzęt chirurgiczny zamawiają u dostawcy w Kells.

Jak już się do nich dodzwoniłem, powiedzieli mi, że zaopatrują wszystkie szpitale, przychodnie i gabinety w Dublinie. I jeszcze że skalpele SWANN-NORTON są w powszechnym użytku.

McGrath uniósł rękę.

Czyli są równie pospolite jak brud w tym mieście.

Do wymiany zdań ponownie włączył się Dunne.

" Są pospolite, inspektorze, ale tylko dla kogoś, kto para się medycyną.

Proszę na to zwrócić uwagę. Tylko lekarz ma łatwy °step do

takiego sprzętu, dostarczanego na zamówienie. Począ-

105

kowo sam sądziłem, że skalpel donikąd nas nie zaprowadzi, teraz jednak

uważam, że to odbarwienie mówi całkiem sporo i... że tak

powiem... zawęza krąg podejrzanych.

— Ani na ostrzu, ani na rączce nie ma odcisków palców — wtrącił swoje trzy grosze Pat Relihan.

— Ale technicy odkryli na miejscu zbrodni coś ciekawego — Dunne wymienił spojrzenia ze swoim personelem. p0 czym odwrócił się do McGratha — coś niezwykle ciekawego. W ogóle technicy spisują się na medal, nie uważa pan, inspektorze?

McGrath z rezygnacją tolerował klaunadę Dunne'a, który teraz teatralnym gestem udzielił głosu jednemu z pochwalonych techników.

— Znaleźliśmy strzępek lateksu. Leżał o centymetry od prawej dłoni ofiary. Ma nie więcej niż pół centymetra kwadratowego powierzchni i nierówne brzegi, jak gdyby został oddarty, na przykład ostrym paznokciem.

— Tak? — zaciekawił się Jack McGrath.

— Zdaniem doktora Dunne'a jest to fragment rękawiczki chirurgicznej. W sali ponownie zapadła całkowita cisza. W tle cicho szumiała woda wypływająca z gumowego węża u głowy Mary Dwyer i opłukująca jej ciało, by spłynąć do metalowego zlewu w nogach stołu sekcyjnego.

— Zgadza się potwierdził ochoczo Noel Dunne, tylko czekając, by znów przejąć pałeczkę. — Wszystko idealnie do siebie pasuje.

Brak śladów po paznokciach na szyi ofiary, żadnych odcisków palców na rączce skalpela. Ktokolwiek zamordował tę biedną dziewczynę, miał na dłoniach rękawiczki chirurgiczne. Bardzo dobrze się przyjrzałem jej zmaltretowanej szyi i zauważyłem mikroskopijne ilości pudru. Jak wiadomo, lateksowe rękawiczki od środka są lekko pudrowane, żeby się nie ślizgały i żeby łatwiej się je zakładało.

Oczywiście zarówno kawałek gumy, jak i ów proszek zostały wysłane do naszego laboratorium, ale moim zdaniem możemy mieć pewność, że morderca włożył rękawiczki chirurgiczne, zanim przystąpił do dzieła. Noel Dunne zakończył i na dłużej zatrzymał spojrzenie na inspektorze.

Co pan sugeruje? — spytał cicho McGrath.

„Mic, inspektorze. Nic a nic — padła błyskawiczna odpo-je(jź. •— Moja praca nie polega na sugerowaniu, wysnuwaniu hipotez, pańska natomiast owszem. Ale mogę się chyba pokusić o kilka wniosków. — Dunne pochylił głowę, złączył palce trzymany na kolanach dłoni. Po paru chwilach podjął: — Najpierw podsumujmy. Wiemy, że Mary Dwyer została uduszona. Parę minut po tym, jak umarła, wbito jej w szyję skalpel. Odnoszę wrażenie, że był to gest niepotrzebny, a zarazem znaczący, jakby morderca chciał się podpisać: patrzcie, oto ja. — Przerwał dla zebrania myśli, a może większego efektu. — Wiemy, że zarówno skalpel, jak i rączka stanowią standardowe wyposażenie każdego szpitala i gabinetu lekarskiego. Tutaj stawiałbym na to, że nie na wiele nam się przydadzą, jeśli nie liczyć tego charakterystycznego odbarwienia, które może zaprowadzić nas po nitce do kłębka.

McGrath uniósł pytająco oczy.

Już wyjaśniam — rzekł pośpiesznie Dunne, nie chcąc, by mu przerwano. — W laboratorium pojawia się mężczyzna uzbrojony w świeżo odpakowane ostrze skalpela umocowane w starym uchwycie. Dalej, z ułożenia ciała ofiary należy wnioskować, że widziała i słyszała mordercę, zanim zdążył do niej podejść i ją ogłuszyć, chwytając za szyję i uderzając jej głową o kant lady. To, że zaatakował ją przy stanowisku pracy, a nie w drzwiach, przemawia za tym, że Mary Dwyer знаła mordercę i wpuściła go do laboratorium, nie podejrzewając o złe zamiary. Co więcej, na podstawie godziny, o której doszło do morderstwa, można wnioskować, że mimo późnej pory ofiary nie zdziwiła obecność mężczyzny w laboratorium. — Dunne zawiesił głos i czekał, aż McGrath da sygnał, że nadaża.

Jak dotąd jestem z panem — rzucił inspektor.

Dobrze. W takim razie może mi pan powie, kto zjawia tuż przed dwudziestą trzecią w szpitalnym laboratorium i nie wywołuje najmniejszych podejrzeń ofiary? — Dunne wyraźnie czekał na odpowiedź. Myślę, że i tak zaraz mi pan to powie, doktorze.

- Nic panu nie będę mówił. Ale instynkt podpowiada mi, że y ko straci pan czas, szukając mordercy poza szpitalem.

Pana zdaniem morderca jest pracownikiem CSP?

— Tak.

Kolejna chwila ciszy.

Więc proszę mi poradzić, gdzie mam znaleźć punkt zaczepienia. Jest pan lekarzem, wie pan, o co w tym wszystkim chodzi.

Noel Dunne tylko na to czekał.

Proszę poszukać opakowania po ostrzu. Niech pan weźmie to — podał inspektorowi rozdarte sreberko — i znajdzie w laboratorium drugie takie samo.

McGrath obracał opakowanie w palcach, odnotowując jego rozmiar i wydrukowane czarną czcionką informacje:

STERYLNE OSTRZE DO SKALPELA TYP 23 STERYLIZOWANE  
PROMIENIOWANIEM GAMMA jałowość gwarantowana pod

warunkiem zachowania całości

opakowania MADE IN ENGLAND

— Tamto ostrze również musiało zostać wyjęte z opakowania. Być może wala się gdzieś na podłodze laboratorium albo w którymś z gabinetów przy tym samym korytarzu. Równolegle należałoby rozglądać się za opakowaniem po rękawiczkach chirurgicznych. Niech pana ludzie wściubią nos wszędzie, niech przetrząsną kosze na papiery i kubły na śmieci, niech zajrzą pod biurka, pod łóżka i za meble.

Istnieje szansa, że morderca na moment stracił czujność i nieroztropnie pozbył się jednego i drugiego opakowania. Wreszcie proszę znaleźć autoklaw starej daty. Musi gdzieś taki być na terenie szpitala, jeśli nie na tym samym piętrze co laboratorium, to na innym.

McGrath popatrzył na Dunne'a z niechęcią.

— Coraz mniej podoba mi się to, co od pana słyszę, doktorze. Miałem nadzieję, że to będzie prosta sprawa. Narkoman wpadł do szpitala po garść prochów, laborantka go nakryła, a on ją dziabnął pierwszym narzędziem, jakie nawinęło mu się pod rękę. Chryste, jak ja nienawidzę szpitali!

Noel Dunne wyszczerzył zęby. Nigdy jeszcze nie widział inspektora tak przybitego i nie miał wątpliwości, że nie tylko on czerpie z tego widoku radość.

108

Czy wiadomo już, jak morderca dostał się do szpitala

• i niego wyszedł? — dolał oliwy do ognia anatomopatolog.

Ochrona twierdzi, że jeśli już, to tylko przez piwnicę.

Jśla pewno nie przez główne wejście, bo wtedy musiałby zostać aliważony przez strażników. Uciekł tą samą drogą... Ale nawet w



takim wypadku powinni być jacyś świadkowie. Tymczasem nikt z przesłuchiwanym nie zauważył nikogo podejrzanego.

Dunne zamyślił się.

— To brzmi całkiem rozsądnie. — Podrapał się po brodzie.

Tak, piwnica to jest to. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś zrobił coś takiego, a potem jakby nigdy nic przedelfował przez szpital i opuścił go przez bramę.

— Skoro tak, morderca musi znać CSP od podszewki. Tylko ktoś naprawdę zaznajomiony z rozkładem pomieszczeń odważyłby się zapuścić do piwnicy tego molocha. A to budzi niepokój...

Noel Dunne był tego samego zdania.

Inspektorze... Wie pan, że w obliczu ludzkiej śmierci zachowuję kamienną twarz i nie dramatyzuję. Nie chciałbym więc, aby odebrał to pan jako histerię z mojej strony...

— Ale? — wpadł mu w słowo McGrath.

Ale coś mi mówi, że nie mamy tutaj do czynienia ze zwykłym rzezimieszkiem. Ten człowiek działa jak automat. Usuwa dowody rzeczowe,

zacierając ślady. Niewykluczone, że uderzy znowu.

W sali sekcyjnej powiało chłodem większym niż zwykle. Przeraziła ciszę przerwał dźwięk klaksonu za oknem, na który funkcjonariusz Phelan o mało nie wyskoczył ze skóry.

Jack McGrath wsunął opakowanie po ostrzu skalpela do kieszeni spodni i wyprostował ramiona. Rozejrzał się dookoła, zatrzymując na chwilę wzrok na skrytym pod zieloną materią ciele młodzieńckiej Mary Dwyer.

Mam nadzieję, że się pan myli, doktorze — powiedział.

Bardzo chcę w to wierzyć. Cholernie nie lubię szpitali i wolał-ym, żeby ta sprawa zakończyła się jak najszybciej.

Dziś po południu otrzyma pan mój pełny raport — oświadczył Dunne, wstając i rozprostowując nogi. Chwilę później stał Przy środkowym stole sekcyjnym, w obu rękawiczkach na dłoniach, i porządkował narzędzia.

109

W drodze do wyjścia McGrath przeszedł koło niego wolnym krokiem. Zmusił się, żeby nie odwrócić wzroku na widok wystającej spod chusty chirurgicznej ręki przypominającej raczej rękę manekina aniżeli człowieka.

Oby nie było więcej takich jak ty — pomyślał i szybko zamknął za sobą

drzwi.

k.

XVI

Godzina 14.12

Tommy Malone siedział w jednej z frontowych sal „Królestwa I lala”, czekając na współników. Dla zabicia czasu doskonalił sztukę puszczania kółek z dymu papierosowego.

„Królestwo Hala” było ulubionym miejscem spotkań dub-lińskich mętów. Sytuowało się na piętrze dwupoziomowego budynku stojącego przy bocznej uliczce Monkstown, leżącego na południe od stolicy Irlandii przedmieścia, które zachowało wiele cech spokojnej wioski. Na parterze mieścił się zakład fryzjerski prowadzony przez niejaką Eileen (prosto z Nowego Jorku!), obok niego — pralnia chemiczna, a w najmniejszym pomieszczeniu miał swoje biuro prawnik specjalizujący się w odszkodowaniach za uszkodzenie ciała. Najlepiej prosperował oczywiście prawnik.

Wejście do bilardziarni stanowiły stalowe drzwi tkwiące na końcu jednego ciągu betonowych schodów przylegających do węższego boku budynku. Tuż za nimi stało obdrapane biurko i koślawe krzesło, na którym rezydował jeden z ludzi Hala, oficjał nie sprawdzający karty członkowskie gości, w rzeczywistości zaś mający oko na gliny. Klub składał się z czterech sal: głównej, gdzie wstawiono osiem pełnowymiarowych stołów do snookera, oraz trzech mniejszych, z oknami wychodzącymi na ulicę. Pokazowa sala na ogół była pełna — w Monkstown i okolicy nie brakowało bezrobotnych młodych mężczyzn, którzy już na starcie przeputali sobie życie. W jej powietrzu dałoby radę zawiesić sie-ler?, tak było gęsto od gryzącego dymu papierosów i słodszej p haszyszu. Sukno stołów przeszło zapachem zwietrzałego piwa. 'zyprawiająca o mdłości mieszanka woni osiągała swoje apo-

111

geum w dzień wypłaty zasiłku. Środkowa salka zabezpieczona została wzmocnionymi drzwiami, dodatkowo od wewnątrz wy. posażonymi w rygle. Centralną pozycję zajmował mały stół do bilardu, a w niewielkim otwartym kominku w rogu pomieszczenia zawsze, nawet w najgorętsze dni lata, palił się ogień. Podtrzymywał go osobiście Hal, wypierdek z zażółconymi od nikotyny zębami i przetłuszczającymi się włosami. Pomieszczenie to bowiem przynosiło mu największy zysk — wynajmował je na godziny i słono sobie

liczył, argumentując, że wzmocnione drzwi i rygle powstrzymają atak policji przynajmniej do czasu, gdy wszystkie obciążające dowody zostaną strawione przez płomień. Tommy Malone był jednym z częstszych bywalców „Królestwa Hala” i nieraz w przeszłości korzystał z tego przytulnego gniazdko. Lubił je i uważał, że przynosi mu szczęście. Wszystkie plany, jakie tutaj snuł, dotychczas wypalały. Zziębnięty pomimo rozpalonego ognia, wstał i podszedł do kominka. Stał tyłem do płomieni, grzejąc zadek i krzyże i nie przestając robić kółek z dymu.

Pierwszy pojawił się Martin Mulligan, za plecami nazywany Moonface. Metr osiemdziesiąt dwa i dziewięćdziesiąt pięć kilo żywej wagi. Choć zaledwie trzydziestokilkulatek, był już prawie łysy i miał paskudny zwyczaj zaczesywania resztek włosów „na pożyczkę”. Okrągła jak księżyc w pełni twarz bynajmniej nie dodawała mu uroku. Wyglądał jak osiłek i intelektualnie niewiele odbiegał od swego wizerunku. Znany był z porywczosci, tak że nikt nie odważyłby się użyć wszystko mówiącego przezwiska w jego obecności. Zazwyczaj chodził ubrany w dres w barwach Manchester United, a całości stroju dopełniał szalik w tych samych kolorach. Człowiek widząc go, odnosił wrażenie, że patrzy na czerwono-biało-czarną szachownicę. Moonface nie krył faktu, że jest wielkim fanem futbolu. O ile jednak od młodości pozostał wierny pierwszoligowej angielskiej drużynie, o tyle w ostatnich latach kibicował swoim. Starł się nie opuścić żadnego meczu Irlandczyków, a że sporo grali na wyjeździe, podążał za nimi niczym nomad, dostosowując do tabeli rozgrywek swoje zajęcia—Żeby w dziewięćdziesiątym czwartym pojechać na mistrzostwa świata do Stanów, okradł trzech lokalnych bukmacherów, a potem — kiedy jego ulubieńcy zaszli wyżej, niż się spodziewał — p0' 112

Nwił napadem na całodobową aptekę w Orlando na Florydzie, j?eby mieć środki na przedłużony pobyt i powrót. Często powta-rzał że za „naszych chłopców” oddałby życie, gdyby było trzeba. jak na razie taka potrzeba nie zaistniała i Moonface miał się całkiem dobrze.

Pomimo reputacji oprycha mieszkał wciąż z matką w komunalnej klitce na przedmieściach Dublina, aż w Rathmines. Pani Mulligan traktowała syna, jakby nadal był małym chłopcem: prała mu i prasowała rzeczy, a nawet besztala go, jeśli nie wrócił do domu o przyzwoitej porze.

— Jak leci, Tommy? — zagadnął Moonface, podchodząc do kominka i

wyciągając ręce. — Zajebiecie zimno dzisiaj, co nie?

— Dzięki, Martin, nie narzekam. A co u ciebie? — zrewanżował się Malone i nie czekając na odpowiedź, zaproponował: —

Rozegramy partyjkę, zanim przyjdzie reszta?

Moonface właśnie wbił czarną bilę do luzu, kiedy w progu stanął Sam Collins. Facet w czerni. Zawsze nosił czarne spodnie, buty i skarpetki, czarny golf i czarną marynarkę. Naturalnie czarne włosy zaczesywał w kucyk. Jedynym obcym kolorystycznie elementem było srebrne kółeczko wklute w górną część małżowiny usznej. Collins miał w zwyczaju nim się bawić, kiedy był podenerwowany lub podekscytowany.

- Sie macie! — rzucił, wycelowując zwiniętym w rulon egzemplarzem „The Daily Star” najpierw w Tommy’ego, a potem w Mulligana. — W porzo? — Obaj mężczyźni skinęli głowami.

Collins pochodził z Newry w Irlandii Północnej i choć przeprowadził się na południe przeszło osiem lat temu, nie stracił charakterystycznego akcentu. Był wysokim, zwinnym facetem, który przez cały czas miał się na baczności. Poruszał się z gracją dzikiego kota i zdawał się mieć oczy dokoła głowy. Teraz także Przemknął do okna i wyjrzał na ulicę, jakby się spodziewał, że miejsce ich spotkania lada moment zostanie otoczone przez policję. Właściwie nie byłoby w tym nic dziwnego, bo Sam Collins był cks-specem od materiałów wybuchowych świadczącym kiedyś usługi Irlandzkiej Armii Republikańskiej. Przeżył niejeden nalot 1 olewskiej Policji Ulsteru i wiedział, co to znaczy być ciągle drodze. Prawdę powiedziawszy, taki styl życia mu odpowiadał, ' stał się jego drugą naturą. Kiedy więc IRA ogłosiła zawie-n'e broni trzydziestego pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset

113

dziewięćdziesiątego czwartego roku, musiał pożegnać się z ciepłą posadką i ruszyć głową, aby utrzymać dotychczasowy poziom życia. A że znał się tylko na broni i materiałach wybuchowych dość szybko nawiązał kontakty z dublińskim półświatkiem, gdzie dał się poznać jako człowiek do wynajęcia. Po tym jak IR A ósmego lutego dziewięćdziesiątego piątego roku podjęła aktywność atakiem bombowym w

londyńskich dokach, Collins nie wyraził chęci powrotu w jej szeregi, ograniczając się do słownych zapewnień, że „pozostał wierny sprawie”. Jako pragmatyk hołubił swój zbiór gnatów i bomb i pożyczał je

za pieniądze albo wynajmował się jako specjalista temu, kto płacił najwięcej. Kiedy słuchy o jego działalności doszły do uszu dawnych mocodawców i „towarzyszy broni” Collinsa, wydano na niego wyrok śmierci za zdradę. Nie mając najmniejszej ochoty poddać się wyrokowi i egzekucji, Sam zaczął się ukrywać, tak więc teraz na równi wypatrywał glin i niegdysiejszych kolegów. Podobnie jak Malone marzył o większej robocie, która przyniosłaby pokaźny zarobek i umożliwiła mu rozpoczęcie nowego życia poza granicami kraju, najlepiej na drugiej półkuli.

- Siadaj, Sam — rzucił Malone. — Czekamy jeszcze na kogoś.

Collins usiadł na długiej ławie ciągnącej się pod jedną ścianą, otworzył gazetę i udawał, że czyta. Częściej niż na strony patrzył jednak na otoczenie, jakby wciąż oczekiwał niebezpieczeństwa.

W pomieszczeniu panowała cisza, jeśli nie liczyć trzaskania ognia w kominku i odgłosu zderzających się bil.

Po jakichś piętnastu minutach rozległo się słabe pukanie do drzwi. Tommy odłożył kij i uchylił je, wpuszczając do środka filigranową, a przy tym lekko pulchną kobietkę ubraną w komplet ze sztucznej skóry geparda.

Wchodźże dalej, Peggy — ponaglił ją, po czym zamknął drzwi, zasunął rygle i na koniec podstawił pod klamkę krzesło. Mulligan i Collins wymienili zdumione spojrzenia. — Co u Monty'ego? — zapytał, sprawdzając, czy klamka jest dobrze zablokowana.

— Nic szczególnego, Tommy — odparła kobieta. — Naprawdę nic szczególnego.

Peggy, poznaj Martina Mulligana i Sama Collinsa. — Malone przeszedł do porządku dziennego nad trudną, jak zawsze,

114

acią Monty'ego. — Powinnaś pamiętać Sama z tej roboty, którąśmy machnęli razem z Montym w Corku. Wprawdzie to już kawał czasu, ale...

Cześć, Sam — przywitała się Peggy, nie dając po sobie poznać czy przypomina sobie przedstawionego jej mężczyznę czy nie! — Ale ziąb, co?

Collins skinął ponuro głową. Pogoda stanowiła najmniejsze z jego zmartwień. O niebo bardziej niepokoiła go obecność kobiety Co też Tommy wymyślił? — zastanawiał się w duchu.

Siadaj, Peggy - polecił Malone. — Ty też, Martin. Powiedziałem Halowi, że zwolnimy salę do czwartej.

Mulligan dosiadł się do Collinsa, zachowując odstęp jakichś dwóch metrów. Peggy Ryan przycupnęła na krześle podsuniełym jej przez Tommy'ego.

— To Peggy Ryan - dopełnił prezentacji. — Żona Monty'ego Ryana. Monty siedzi w Mountjoy za napad z bronią w ręku. Dostał dwanaście lat.

Tommy powiedział więcej, niż zamierzał, a to dlatego, że wyczuł, iż dwaj młodszy mężczyźni nie są zadowoleni. Przyzwyczajeni byli do męskiego towarzystwa, a zwłaszcza do pracy w męskim gronie.

Peggy popatrzyła na siedzących na ławie i pokiwała ze smutkiem głową. To szczerza prawda. Jak i to, że Monty kiepsko tam sobie radzi.

Mulligan i Collins pozostali niewzruszeni. Malone oparł się o stół bilardowy.

Peggy jest kluczem do powodzenia całego przedsięwzięcia oświadczył twardo. — Jak jej się nie spodoba to, co powiem, możemy o wszystkim zapomnieć.

Collins odłożył gazetę i popatrzył na kobietę z pewnym zaciekawieniem. Był odludkiem i na ogół nie szukał nowych znajomości — zwłaszcza z płcią odmienną, ale słowa Tommy'ego dały mu do myślenia. Peggy nagle wydała mu się interesująca.

Najpierw zarysuję wam tło — ciągnął Malone. — Jak ko-muś coś nie spasuje, niech mi daje od razu znać. Ani mi się widzi mówić więcej, niż to konieczne, tylko po to, żeby któreś z was na °riiec powiedziało: „Dziękuję, postoję”. Ta robota ma mnie usta-  
115

wić na dłuższy czas i za nic, kurdefelek, nie pozwolę, żeby coś pój szło nie tak dlatego, że kogoś nagle ruszyły wyrzuty sumienia.

Nikt się nie odzywał. Peggy Ryan wpatrywała się w Tommy'ego jak w obraz.

Na każdego z was czeka sześćset tysięcy. Do odbioru piątego dnia po tym, jak zaczniemy robotę. — Odczekał, aż ta informacja przedrze się do mózgów słuchaczy. — Komuś to nie pasuje?

Nadal nikt się nie odzywał. Moonface uniósł rękę i podłubał palcem w nosie, po czym obejrzał paznokcie.

— To będzie porwanie. — Znowu przerwa, tym razem dłuższa. - Komuś to nie pasuje?

Odpowiedziała mu cisza. Sam Collins sięgnął po gazetę, zrolował ją i

podłożył sobie pod krzyż, który lekko mu zdrewniał. Uszy miał nastawione. Wszystko co dotąd usłyszał, pasowało mu.

— Kroi się duża sprawa. Zażądam trzech milionów. Po sześćset na łebka plus milion dwieście dla mnie. Wezmę więcej, bo sam wszystko obmyśliłem i mam doskonałą kryjówkę na te pięć dni.

Malone poprawił się na brzegu stołu. — Komuś coś z tego nie pasuje?

— Nie, nie, Tommy — szepnęła Peggy Ryan. Sześćset tysięcy było nie do pogardzenia. Zwłaszcza w jej sytuacji, odkąd prawie nie miała za co żyć, po tym jak znów przymknęli Monty'ego.

Collins i Mulligan milczeli, przetrawiając słowa Malone'a.

Porwiemy dziecko - ogłuszył ich kolejną informacją.

Ktoś ma coś przeciwko?

Żadnych protestów.

— No to teraz mówcie mi, czy w to wchodzić. Muszę to usłyszeć od was teraz. Martin?

— Jak cholera! — odparł zapytany. — Zapowiada się znacznie ciekawiej od krojenia bukmacherów. - - Moonface roześmiał się z własnego dowcipu, lecz nikt mu nie zawtórował.

— A ty, Sam?

Wchodzić rzucił Collins. Jego umysł działał na najwyższych obrotach.

Trafiała się robota, o jakiej myślał od bardzo dawna. Dokładnie coś takiego, o co mu chodziło. Z jedny'11 wyjątkiem. Po co w tym wszystkim Tommy Malone? Wprawdzie zrobili razem dwa drobne napady i nikt ich nie złapał, ale prze'

116

•• za Tommym ciągnął się smród. Facet przynosił pecha. Mimo Clę oStanowił słuchać dalej. Zobaczyć, jak rozwinie się sytuacja. Może znajdzie się ktoś inny na miejsce Malone'a...

Peggy? Domyśliłaś się już, czemu cię w to wciągają?

Peggy Ryan była matkąjedenaściorga dzieci i od całkiem niejawną babką czworga wnucząt. Monty może i spędzał większość życia za kratkami, ale kiedy już wychodził na wolność, nie próżnował.

— Jasne, Tommy. Możesz na mnie liczyć. Z całą pewnością przydałyby mi się te pieniądze.

Malone popatrzył po twarzach zebranych, po czym wyłuszczył swój plan.

— Harry O'Brien jest bogaty jak cholera. Prezesuje O'Brien Corporation, która warta jest kupę szmalu. Jego młoda żonka właśnie urodziła mu dziecko. W gazetach piszą, że z tej okazji chce przekazać szpitalowi dwa melony. Skoro stać go, żeby wybulić

dwa melony za nic, tym bardziej wyłoży trzy, żeby odzyskać dzieciaka. Którego my porwiemy. Naszym celem jest O'Brien junior. Wspólnicy słuchali go beznamiętnie. Sądząc po ich minach, równie dobrze mógłby przedstawiać im plan odkupienia stadionu w Milltown i oddania go w ponowne władanie klubowi Shamrock Rovers. A porwany niemowlak oznacza same plusy - kontynuował entuzjastycznie Malone. — Nie trzeba będzie przy nim nosić kominiarek. Nie będzie próbował uciekać. Łatwo go będzie przenosić z miejsca na miejsce. Nie rozpozna nas i nie wyda glinom. i odpada całe zamieszanie z oddawaniem. Wystarczy go podrzucić pod bramę jakiegoś szpitala. Jedyne problemy to karmienie nialego drania i zmienianie mu pieluch. Collins i Mulligan zaczęli protestować. Z niejednego pieca . eb jedli, porwanie nie było im straszne, mogli postraszyć bro-n,4 albo nawet jej użyć, ale zmienianie pieluch przekraczało ich możliwości M. r t0 w\*aśnie nam Peggy - przerwał im zniecierpliwiony °ne- — Zna się na dzieciach jak mało kto, prawda, Peggy? Prawda, Tommy, oj, prawda — pokiwała głową kobieta. to by pomyślał, że tyle lat udreki na coś się kiedyś przyda?...

117

Wszyscy mężczyźni uśmiechnęli się ze zrozumieniem. — No więc Peggy będzie zajmować się dzieckiem — ciągnął Tommy. — Karmić, przewijać i takie tam, żeby włos mu z głowy nie spadł. — Zaśmiał się krótko, uświadomiwszy sobie że niemowlaki są na ogół łyse jak kolano. — Najpierw jednak trzeba go porwać i przewieźć do chaty. Jakiej chaty? — spytał Collins rzeczowo. Jego wcześniej, sze uprzedzenia wobec osoby Malone'a zaczęły się rozwiewać W jego oczach Tommy znacznie urósł i plan nie był już skazany na porażkę. Mam taką chałupę tuż za Newbridge. Należała do mojego wuja. Mieszkał w niej, jak pracował w fabryce Polaroida w Newbridge. Ale uderzył w kalendarz, a jego wszystkie dzieci wyniosły się do Anglii. Tak więc tylko ja wiem o tej chacie i jej używam; często tam przeczekiwałem, jak robiło się gorąco. Stoi na uboczu i ze wszystkich stron otaczają ją pola. Prowadzi do niej wąska ścieżka, długa na jakieś trzysta metrów. Najbliższy dom położony jest kilometr dalej. Co ważne, to tylko godzina drogi od posiadłości O'Briena w hrabstwie Wick Low. Z drugiej strony, glinom nie wpadnie do głowy szukać tak daleko. — Malone urwał na chwilę i znów uważnie



przyjrzał się współnikom. Mam... Znam osobę, która pracuje w głównej siedzibie O'Brien Corporation przy Dawson Street.

Zabrzmiało to tak, jakby znał co najmniej członka zarządu firmy. Collins był pod wrażeniem, nawet Moonface przestał dłużyć w nosie.

— Kogo dokładnie? — chciał wiedzieć Collins.

Tego nie mogę powiedzieć, Sam. Naprawdę. Jak gównem uderzy w wentylator, gliny przetrząsną pół Dublina, żeby dorwać porywaczy. Nie mogę ryzykować. Oczywiście wiem, że nikt z was nigdy by nie wydał mnie ani mojej wtyczki, ale i tak wolę zachować jej nazwisko dla siebie.

Collins popatrzył na Mulligana, który wzruszył ramionami i jakby nigdy nic wstał i podszedł do stołu, żeby poćwiczyć uderzenia.

— Noo... nie wiem, Tommy — powiedział wolno Sam. — Jeśli ma nam się udać, musimy mieć wszystko dobrze poukładane — Jego akcent stał się silniejszy; ręka powędrowała do koleczka

118

- Jak możemy ci ufać, skoro nie mówisz nam wszystkiego w ,7. Collins oczywiście palił się do tej roboty i wieńczącej jej niutki sumki, ale jak zawsze wolał dmuchać na zimne.

— Nie mówię tego, czego, kurdefelek, nie mogę powiedzieć odparował Malone. — Nie ma w tym nic podejrzanego. Wiecie to co potrzebne, żeby plan się powiódł. Każdy ma swoje konkretne zadanie i jeśli tylko je wykona jak należy, kasa będzie nasza.

Kiedy porwiemy małego? — zapytał Moonface od stołu.

— Jak tylko zabiorą go do domu - odparł Tommy, zadowolony ze zmiany tematu. — W gazetach piszą, że to będzie lada dzień. Planuję porwanie na pierwszą noc, kiedy wciąż będzie zamieszanie. Ochrona też powinna być wtedy zdezorientowana. Myślę, że uderzymy tuż po północy.

Wywiązała się krótka dyskusja na temat tego, któredy najlepiej dostać się do domu, jak unieszkodliwić system alarmowy i w jaki sposób wydostać się niepostrzeżenie z dzieckiem. Sam Collins coraz bardziej skłaniał się do przekonania, że należy dać spokój Tommy'emu i jego reputacji i własnymi kanałami dowiedzieć się, co to za osoba jest wtyczką w firmie O'Briena.

- Trzeba będzie ukraść dwa samochody — Malone przeszedł do następnego punktu planu — jeden szybki i wytrzymały, drugi mniejszy, typowo rodzinny. Na przykład range-rovera i volvo 460. Ty się tym zajmiesz, Sam. Skombinuj też fałszywe tablice rejestracyjne. Te

na volvie mają być z hrabstwa Kildare. — Collins skinął potakująco głową. — A ty, Martin, znajdź jakiś motocykl. Nie za duży i nie za bardzo rzucający się w oczy. Najlepiej coś takiego, jak używają kurierzy albo dostawcy pizzy. Zorganizuj też sobie odpowiedni strój. Jak już będziemy mieć dzieciaka, zro-lrriy mu zdjęcia, a ty rozwiesz je po całym mieście, żeby gliny W|edziały, że mały jest cały i zdrowy.

A ja, Tommy? — dopytywała się Peggy Ryan. Malone uśmiechnął się — po raz pierwszy, odkąd spotkali się a,a. Potem sięgnął do kieszeni, wyjął zwitek banknotów i od-1C2ył dziesięć.

butT .Ty Peggy, wybierz się na zakupy i kup ubranka, pieluchy, ba srroczki i co tam jeszcze... wszystkiego tyle, ile potrze-na pięć dni. Tylko idź do kilku sklepów i nie pokazuj nikomu 2lny tego, co kupisz. Najlepiej schowaj torby gdzieś w kącie

119

garażu. Jak już będziesz gotowa, daj mi znać, to przyjadę i biore. — Peggy pokiwała głową, nawijając na palec wskazują długi kosmyk przesuszonych brązowych włosów. — I zapowie rodzinie, że wyjeżdżasz na parę dni. Wymyślisz jakiś powód?

Kobieta zastanawiała się przez chwilę.

Mogę powiedzieć, że wyjeżdżam do siostry do Liverpoolu,„

A ona ma telefon w domu? Bo gdyby któreś z twoich dzieci chciało się z tobą skontaktować, sprawa by się rypla.

Ona nie mieszka w domu. Siedzi w kiciu za puszczenie w obieg podrobionych czeków.

Mulligan i Collins zarechotali. Malone zmarszczył brwi.

— A czy twoja rodzina o tym nie wie?

— Nie... Utrzymuję to w sekrecie. Zawsze była ich ulubioną ciotką i nie chcę tego zmieniać.

Tym razem zaśmiała się cała trójka.

Spotkanie powoli dobiegało końca. Każdy miał wyznaczone zadanie, plan został naszkicowany. Atmosfera się rozluźniła, rozlegały się śmiechy i dowcipy. Collin i Mulligan zaczęli ze sobą rozmawiać półgłosem.

Jest jeszcze coś — oznajmił nagle Malone. — Od momentu jak dzieciak będzie nasz, nie chcę nikogo widzieć, jak chleje. No, co najwyżej puszkę piwa. Będziemy musieli być czujni i siedzieć cicho, kurdefelek, nie wychylać się. Poza tym dzieciakowi nie może stać się żadna krzywda. Dlatego zero wody, jasne?

Przytaknęli niechętnie.

Gdzie zostanie dostarczony okup? — zapytał Sam Collins, który zawsze musiał wszystko wiedzieć.

To najlepsza część planu. Sam — uśmiechnął się Tom my szeroko. — Dlatego zostawiłem to sobie na koniec. Całą noc nad tym główkowałem. No więc po pierwsze, doprowadzimy jeszcze trzy samochody. Potem kupimy u różnych operatorów sześć telefonów komórkowych na kartę. Po jednym telefonie wrzucimy każdego samochodu...

Czoło Mulligana pokryło się bruzdami, kiedy starał się na" dążyć za Tommym i równocześnie uporać z rachunkami. PegS-Ryan dawno się pogubiła, ale nie przestała spoglądać na Malone3 z uwielbieniem. Collins nie spuszczał z niego wzroku, przyswaj11' jąc i analizując każdą zasłyszana" informację.

120

Samochody będą stały zaparkowane w pobliżu trzech óżnych wielopoziomowych parkingów, jakich pełno w Dublinie ciągnął bardzo z siebie dumny Malone. — Jak już będą mieli przygotowane pieniądze, każemy temu gościowi podjechać do ierwszego samochodu i się do niego przesiąść. Ktoś z nas będzie ao obserwował z ostatniego poziomu parkingu. — Przerwał na chwilę\* żeby sprawdzić reakcje słuchających. — Łapiecie już? przy głowy skinęły zgodnie, choć dwie z nich nie miały najmniejszego pojęcia, o co chodzi. — W ten sposób, jeśli samochód gościa będzie na podsłuchu albo będzie miał ogon, albo będzie leciał za nim helikopter, pozbędziemy się problemu, dając mu dalsze instrukcje przez komórkę...

W miarę jak Tommy Malone mówił, Sam Collins coraz bardziej się odpręzał. To był dobry plan. Diabelnie dobry. W żadnym razie nie plan wymyślony przez nieudacznika. Za to z pewnością taki, który miał wszelkie szanse powodzenia.

Tym razem każemy mu podjechać pod drugi parking i tam przesiąść się do drugiego samochodu, i odjechać. Znowu ktoś z nas będzie na wszystko patrzył z góry, a dodatkowo Martin na motocyklu będzie jechał od jednego parkingu do drugiego, sprawdzając, czy nie dzieje się coś dziwnego, na przykład czy gliny nie przejmują samochodu albo coś. — Malone puścił oko do Mulli-gana.

Wszystko gra, Tommy — zapewnił go skołowany Moon-lace. W rzeczywistości nie wiedział już, jak się nazywa, i byłby najszczeńliwszy, gdyby po prostu mógł sobie pograć w bilard. Za to Sam Collins nabierał

pewności, że IRA wreszcie przestanie deptać mu po piętach. O mało go nie rozsadziło z podniecenia.

Co będzie, jak już się przesiądzie do ostatniego samocho-u- — spytał, szarpiąc za kolczyk w uchu. — Przecież nie może ?eie się w kółko po Dublinie przez tydzień! Malone uśmiechnął się na tę uwagę.

Pomalutku, kurdefelek, pomalutku... Zaraz wszystko wyłożę... — Ogarnął spojrzeniem całą trójkę. — Kojarzycie eourt Mansions przy porcie? Szyscy skinęli jak jeden mąż. Cały Dublin znał Hillcourt dl1s'°ns, nazwane na wyrost osiedle komunalne o podłej repu-Jl' handlowano tam narkotykami i szprycowano się na śmierć,

121

napadano na siebie nawzajem i nie przepuszczono żadnemu g0j ciowi, nie mówiąc o innych, drobniejszych wykroczeniach. p0 licja uznała ten teren za stracony i nie zapuszczała się w ohyd ny betonowy kompleks zbudowany na bazie kwadratu, chyba że w wyjątkowych sytuacjach i w wielkiej liczbie. Dla przestępców Hillcourt Mansions były swego rodzaju katedrą, gdzie każdy bez różnicy mógł szukać schronienia. Niejeden rabuś czy kieszonkowiec ścigany przez stróżów prawa zagłębiał się tam i przepada) jak kamień w wodę, unikając karzącej ręki sprawiedliwości. Najczęściej wychodził potem jak gdyby nigdy nic którymś z tylnych wyjść i wsiąkał w portowy tłum. Do kompleksu prowadzi ła jedna droga podjazdowa, szeroka na niewielkiego vana.

— No to właśnie tam każemy mu jechać trzecim samochodem, Dwoje z nas już będzie na niego czekać. Jak tylko się pojawi, daje nam pieniądze, my przekładamy je do czterech toreb, wsiadamy na motocykle i dajemy w długą w przeciwnym kierunku. Jak wam się podoba?

Mulligan wreszcie załapał i siedział z rozdziawioną japą, gapiąc się z podziwem na Malone'a.

— Zajebicie! Trzeba ci to przyznać, Tommy, że masz łeb jak sklep.

— Może być — stwierdził Collins. — Plan jest dobry od początku do końca. — Przestało go nawet interesować, kto jest wtyczką w O'Brien Corporation.

Peggy nic nie powiedziała, ale po jej oczach poznać było, że jest pełna podziwu dla sprytu Tommy'ego.

— No to ruszyć tyłki — rzucił Malone, o wiele bardziej pewny siebie, niż kiedy wchodził do „Królestwa Hala”.

Zbiegając po betonowych stopniach, pogwizdywał radośnie-Spotkanie

poszło znacznie lepiej, niż przewidywał. Najbardziej cieszyło go to, że udało mu się zjednać Sama Collinsa. Potrzebował go, ponieważ Sam miał dostęp do broni i materiałów wybu; chowych. Z lekkim sercem wszedł do pierwszej napotkanej budki telefonicznej, wrzucił do automatu monetę i wybrał numer.

— Betty?

— To ty, Tommy?

— Uhm.

— Jak poszło?

122

Lepiej pójść nie mogło.

Czyli robimy to?

Jak cholera.

To do zobaczenia rano?

Tak, do zobaczenia. O piątej, tak?

Uhm, o piątej. Od tyłu. Czarne drzwi, tak jak ci mówiłam.

Dobra.

No to cześć.

Cześć.

Po wyjściu z budki Malone zapalił papierosa, żeby się ogrzać. No, interes znów się kręci — pomyślał.

W chwili kiedy Tommy Malone odkładał słuchawkę, jego cel kończył właśnie posiłek. Moment później został poklepany po nieckach, żeby mu się odbiło, i przewinięty w czystą pieluszkę. Potem Sandra O'Brien długo tuliła maleńkie ciało w ramionach, gaworząc mu do ucha jakieś nonsensy. W rogu szpitalnego pokoju June Morrison sprawdzała łokciem, a następnie termometrem temperaturę wody w wanience. Gordona czekała pierwsza w życiu prawdziwa kąpiel. Doświadczona położna z pobłażliwością patrzyła, z jaką niezręcznością świeżo upieczona mama zajmuje się niemowlęciem.

Układaj jego główkę w zgięciu lewego łokcia, o tak — pokazała, odbierając dziecko z rąk matki.

O'Brien junior wyrzucił oba wątle ramionka w górę i wierzgnął silnie w beciku, poczuwszy, że przechodzi z rąk do rąk. Kobiety wymieniły uśmiechy. Mimo wcześniejszych obiekcji wobec wyniagań Harry'ego O'Briena położna zapałała żywą sympatią Sandry i troszczyła się o nią jak o rodzoną córkę. Stres zwią-Zany z kryzysową sytuacją na sali porodowej odchodził powoli niepamięć i Morrison zmiękła nawet w stosunku do ojca Gor-°na, który

kiedy tylko mógł, zaglądał do separatki, żeby zoba-CzVć żonę i syna.

■'une Morrison odłożyła na bok urazy i skoncentrowała się na co w tej chwili było najważniejsze, czyli na nauczaniu mło-J kobiety, jak ma opiekować się dzieckiem, w porę rozpoznając wa?dy gest i dźwięk i wychodząc nowo narodzonemu człowieko-1 2 Pomocą.

123

XVII

Godzina 18.25 Wschodnie Skrzydło, biblioteka

Jack McGrath czuł się zaniepokojony. Opakowanie po skalpeli i para rękawiczek chirurgicznych wyparowały bez śladu. Kosze na papiery, kubły na śmieci, ustępy, obudowy kaloryferów — wszystko zostało dokładnie sprawdzone i nigdzie nie znaleziono tych ani podobnych przedmiotów. Poza tym pracownicy ochrony potwierdzili, że sprawca musiał dostać się do szpitala i opuścić go przez piwnicę, gdyż w każdym innym wypadku jego obecność zostałaby zauważona, odnotowana i najprawdopodobniej zgłoszona policji. Na wszelki wypadek dwukrotnie sprawdzono wszystkie piętra i każdy oddział, nie omijając żadnego pomieszczenia, lecz nie znaleziono nikogo podejrzanego, kto by nie był uprawniony do przebywania na terenie CSP. Świadkowie - lekarze i pielęgniarki z nocnego dyżuru ora; pacjentki mające problemy ze snem — zaprzeczali, by wydarzyło się coś odbiegającego od rutyny. Z każdą chwilą teoria Noela Dunne'a zyskiwała na prawdopodobieństwie.

A potem przełożona pielęgniarek z przychodni pokazała inspektorowi staromodny autoklaw, używany do sterylizacji wszystkich narzędzi wykorzystywanych do zabiegów na pacjentkach ubezpieczonych przez narodowy fundusz zdrowia. Przyznała, że urządzenie to powoduje odbarwienia na uchwytach skalpu i innych instrumentach medycznych. — Od miesięcy — żaliła się McGrathowi — dopomii13'11 się o nowy autoklaw, ale dyrekcja traktuje nas po macoszeHIU' McGrath zapytał dlaczego. — Bo nie przynosimy dochodu

Wschodnie Skrzydło jest finansowane przez państwo. Pienią

124

• nowinki techniczne płyną szerokim strumieniem do pozostałych części szpitala.

Stwierdziła pani może brak uchwytu do skalpela?

Przykro mi, inspektorze, ale nie potrafię odpowiedzieć na

to pytanie. Nie prowadzimy rejestru drobnych instrumentów medycznych. Tak często dostają nóg, że prędzej byśmy tu wszyscy powariowali, niż doszli z tym do ładu. Nóg? — zdziwił się McGrath. Tak, nóg — potwierdziła siostra przełożona. — No, wie pan... Są podprowadzane.

Na wszelki wypadek pomieszczenie, w którym znajdował się autoklaw, zostało zamknięte i pozostawione do dyspozycji techników policyjnych.

Pół godziny później doszło pomiędzy McGrathem i Lukiem Conwayem do kłótni. Dyrektor szpitala domagał się, by natychmiast otworzyć laboratorium i umożliwić personelowi podjęcie pracy.

- Jeszcze nie skończyliśmy go sprawdzać — warknął Jack McGrath.

Inspektorze, to laboratorium to w pewnym sensie serce szpitala. Bez niego nie możemy funkcjonować jak należy. Proszę mnie zrozumieć, jestem odpowiedzialny za zdrowie i życie pacjentek.

A ja jestem odpowiedzialny za znalezienie mordercy. Dwaj mężczyźni, mniej więcej w tym samym wieku, spoglądali na siebie wściekle.

Conway był w rozterce. Priorytetem pozostawało nie dopuścić do powstania złej famy, która mogłaby poważnie zaszkodzić reputacji szpitala. Niestety nie udało się zwołać nadzwyczajnego Posiedzenia rady zarządu, powodem był okres ferii zimowych i nieobecność wielu spośród szacownych członków rady w mieście. Cała odpowiedzialność spoczywała więc na barkach dyrektora, który dwoił się i troił,

żeby zminimalizować szkody wyrządzone przez nocny incydent. Toż kolei otrzymywał jedną złą wiadomość za drugą.

Tony Dowling poinformował go na przykład, że prześwietlił zdjęcie Mary Dwyer i nie doszukał się żadnej skazy, niczego, czego można by się ucześcić.

125

— Nikt z jej rodziny i znajomych nie ma pojęcia, dlaczego stała zaatakowana. Nie przychodzi im do głowy nikt, komu by się naraziła, z kim miałyby jakieś porachunki ani choćby na pieńku Sierżant zajrzał do swoich notatek. Krótko mówiąc, wiemy wszystko z wyjątkiem tego, kto zabił i dlaczego — dodał, wyprawdzając tym McGratha z równowagi.

Tony Dowling powoli zbliżał się do pięćdziesiątych siódmych urodzin, kiedy to zamierzał przejść na emeryturę. Od wielkiego dnia

dzieliło go tylko sześć tygodni. Pomimo wieku wciąż miał na głowie całkiem sporo włosów, i to nie całkiem siwych, po?a tym zaś zdawał się przeciętny: średniej budowy ciała, średniego wzrostu, jeśli nie liczyć tego, że mówił z silnym północnym akcentem i ubierał się w ciuchy modne w latach siedemdziesiątych i od jakiegoś czasu coraz częściej pojawiające się na wystawach sklepowych, przez co niejedna osoba sądziła, że doznaje déjà vu. Całe swoje dorosłe życie spędził w szeregach policji, najpierw jako mundurowy, a potem detektyw, i zasłużenie dochrapał się stopnia sierżanta. Lubił swoją piacę, ale coraz bardziej cknęło mu się za rodzinnymi stronami, okolicami Cootehill, gdzie mógłby znów łowić ryby w jeziorach, chodzić po polnych drogach, rozmawiając z każdym, kto również miałby na to ochotę. Szczerze mówiąc, kusiło go wszystko, tylko nie łapanie napakowanych osiłków i obmacywanie ich w poszukiwaniu noży i broni palnej. Tony Dowling wprost nie mógł się doczekać emerytury.

McGrath skrzywił się, lecz mimowolnie uśmiechnął.

— Jezu, Tony. Z ciebie to prawdziwy geniusz.

Dowling odwzajemnił uśmiech. Partnerował McGrathowi od przeszło siedmiu lat i nie bał się mieć swego zdania. Nie obawia' się również sarkazmu inspektora. Dobrze im się współpracowało; w ciągu tych siedmiu lat poznali od podszewki swoje charaktery, metody, nawyki żywieniowe i rodziny.

Martwi mnie — podjął Jack McGrath — że Dunne najprawdopodobniej ma rację. Wszystko wskazuje na to, że sprawca zna szpital jak własną kieszeń. Do tego zatarł wszystkie ślad) Będziemy musieli przyjrzeć się bliżej temu, co mamy pod sarny111 nosem. A pod latarnią najciemniej, jak to mówią.

— Niektórzy z przesłuchiwanym nie będą zadowoleni z tego, że ich podejrzewamy — zauważył sierżant.

126

To prawda — odrzekł w zadumie McGrath, gładząc się po Czeka nas mnóstwo ciężkiej pracy. Do tego w choler-  
nym'eszpitalu—Jęk.n.ąŁ

Przyzwyczałbyś się wreszcie.

Dean Lynch nie czuł się dobrze. Mykostatyna, którą zaczął za-• wać, nie działała tak szybko, jak by sobie życzył, i ból w jamie ustnej i gardle nadal był ciężki do zniesienia.

Rozebrał się do naga i stanął przed wielkim lustrem, zdobiącym jedną



ścianę jego domowej siłowni, żeby uważnie przyjrzeć się swemu ciału. Wcześniej spróbował wykonać zwykły zestaw ćwiczeń, ale odpadł już po pierwszych paru pompkach. To dało mu do myślenia, bo nigdy nie zaliczał się do słabeuszy. W dodatku łatwo się pocił. U jego stóp walały się nie otwarte buteleczki z witaminami i związkami mineralnymi. Nie zwracając na nie uwagi, napiął mięśnie, po czym ustawił się bokiem, żeby ocenić sylwetkę profilu. Tym razem nawet nie musiał wciągać brzucha.

- Chudniesz, Deano — powiedział do siebie.

Marniejesz w oczach, Deano — dodał w myślach. — Trzymaj się, chłopie, trzymaj. Masz jeszcze sporo do zrobienia.

Lynch zyskał wreszcie szansę na odrobinę odpoczynku. Jego zabiegi zostały przesunięte na późniejszy termin z powodu nieczynnego laboratorium. Przychodnię zamknięto, ponieważ policja wciąż prowadziła tam śledztwo. Przy recepcji kłębił się tłum oburzonych zmarzniętych pacjentek, które przejechały pół miasta tylko po to, żeby pocałować klamkę. Lynch zostawił swoje pacjentki leżące na oddziałach pod opieką Alego Sharifa i pojechał do domu.

Ale nie dało się ukryć, że z każdym dniem stawał się coraz sabszy.

. nownie zabrał się do robienia pompek, tyle że tym razem ICzył znacznie wolniej i mniej forsownie.

Dobrze sobie radzisz, Deano. Wyprowadziłeś ich w pole. Nic a ciebie nie mają.

Oszczędzaj się, a jeszcze wiele zdziałasz...

L.

DZIEŃ CZWARTY

XVIII

Czwartek, 13 lutego, godzina 09.15 Południowe Skrzydło Centralnego Szpitala Położniczego w Dublinie

Profesor Patrick Armstrong urodził się stary. Obecnie, w wieku sześćdziesięciu sześciu lat, będąc jedynym nieginekologiem wśród personelu CSP, zdawał się kontynuować tradycję irlandzkich lekarzy sprzed stulecia. Z charakteru ponury i wyniosły, a raczej: posepny i arogancki, czy nawet zmierzły i władczy, z budowy zaś nad wyraz wąty, odziewał się zawsze w ciemne, kojarzące się z pogrzebem garnitury, śnieżnobiałe, sztywne od krochmalu koszule i nijakie klubowe krawaty. Miał ptasią twarz z małymi czarnymi oczkami łypiącymi na boki spod splełanych brwi, tak że można było odnieść wrażenie, iż wiecznie wypatruje ofiary. Był jedynym synem

słynnego ojca i wnukiem nie mniej słynnego dziadka, zasłużonych dla medycyny, i jako taki doświadczył niezwykle nudnego dzieciństwa. Ledwie potrafił się uśmiechać, a głośny śmiech znajdował się poza jego rozumieniem i możliwościami. Zresztą — z czegoż tu było się śmiać? Życie to przecież poważna sprawa.

Rankiem trzynastego lutego Armstronga omal nie trafił szlag. W lewej ręce trzymał wizytówkę, spoglądając na nią znad połó-Wek okularów do czytania. Nie potrafił — ani nie chciał — ukryć brzydzenia. Co powiedział? — spytał swoją sekretarkę, kobietę w śred-n'm wieku, która powinna raczej pracować w archiwum, a nie Prowadzić komuś biuro i przyjmować jego gości. Zwłaszcza że a nieprawdopodobnie brzydką, odstręczającą wręcz twarz. . Powiedział, że chciałby z panem porozmawiać na temat ' co zaszło wczoraj w laboratorium — odparła. Słowo „mor-

129

derstwo" nie przeszłoby jej przez gardło, podobnie jak większości personelu, szczególnie płci żeńskiej. Nazwiska Mary Dwyeruni kano jak ognia, a na samo zajście używano rozmaitych określeń zastępczych. Był to pewien sposób obrony, może nawet zaprzeczenia.

— Ze mną? — upewnił się Armstrong.

— Tak, panie profesorze. — Sekretarka zawsze zwracała się do swojego szefa z pełnym szacunkiem, wiedziała, że on to lubi

— Cóż, Mary... — zaczął, ponownie wbijając wzrok w mały prostokątny kartonik. — Przekaż inspektorowi Jackowi McGra-thowi z wydziału zabójstw posterunku przy Store Street — podniósł oczy — że jestem bardzo zajęтым człowiekiem. Jeśli pragnie się ze mną zobaczyć, musi umówić się tak jak wszyscy inni. Skoro już przy tym jesteśmy... Kiedy wypada najbliższy wolny termin?

Mary przebiegła wzrokiem trzymany oburącz kalendarz.

— Nie wcześniej niż za miesiąc — uśmiechnęła się półgębkiem.

— To także mu przekaż, Mary. To także.

— Dobrze, panie profesorze.

Patrick Armstrong sięgnął po słuchawkę, otworzył notes z numerami telefonów i wybrał pierwszą cyfrę...

— Dean, mówi Patrick Armstrong. Przykro mi, że niepokoję cię z samego rana. To zajmie tylko chwilę. Chodzi o ten wypadek w laboratorium...

Lynch, który odebrał telefon, zeszywniał w oczekiwaniu na dalsze słowa.

— Właśnie dowiedziałem się — kontynuował profesor Armstrong — że

niejaki inspektor McGrath chce ze mną rozmawiać. Doprawdy cała ta sprawa napawa mnie odrazą. Jestem pewien, że ciebie również, Dean...

Lynch bąknął coś niezrozumiale.

— Tak też myślałem — podchwycił starszy mężczyzna, "j Moim zdaniem powinniśmy zewrzeć szeregi. To oburzające, że po szpitalu pałęta się policja. Coś takiego źle wpływa na wizer11' nek szpitala. — Westchnął. — Do czego to doszło, żeby person był nagabywany przez detektywów? Doprawdy nie przystoi, ze l

130

mv nly' wysokiej klasy specjaliści — podkreślił — znosili coś takiego0- Zgodzisz się ze mną?

jak najbardziej — wydukał Lynch.

W ciągu pięciu lat, odkąd zatrudnił się w Centralnym Szpitalu Położniczym w Dublinie, profesor Armstrong ani razu nie ożyczył mu nawet dobrego dnia. Ignorował jego obecność na korytarzu, na oddziałach, w stołówce — wszędzie i zawsze. A teraz nagle do niego zadzwonił i przymilał się. Dean, choć zaskoczony, czuł się usatysfakcjonowany takim obrotem sprawy.

Jestem zdania, że powinniśmy pokazać mundurowym, gdzie ich miejsce — ciągnął profesor nieświadom burzy uczuć rozgrywającej się w duszy jego rozmówcy. — Nie zrozum mnie źle, po prostu uważam, że kręcąc się tutaj, tylko tracą czas, nasz i swój. Lepiej poszukaliby wśród narkomanów i przestępców, którzy doprowadzają ten kraj do ruiny.

— Uważam, że masz całkowitą rację.

Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć, Dean. Teraz zadzwonię do jeszcze paru kolegów i postaram się, byśmy wspólnie ukręcili temu łeb. Gdybyś spotkał któregoś z nich u siebie — oczywiście miał na myśli „wysokiej klasy specjalistów" — powiadom ich, proszę, o naszej polityce wobec intruzów uniemożliwiających nam wykonywanie pracy.

— Ależ naturalnie.

Zatem dobrego ranka, Dean. Jeszcze raz przepraszam, że cię niepokoiłem. Jestem pewien, że czeka cię wiele zajęć i nie masz czasu do stracenia.

— Święte słowa.

Lynch odłożył słuchawkę, szeroko się uśmiechając.

Jest lepiej, niż myślałem — cieszył się w duchu. — Nawet nie

Przypuszczałem, że fale zatoczą takie szerokie kręgi...

Mary Dwyer nie powinna była się uśmiechać. Wystarczyłoby, żeby się nie uśmiechnęła. Gdyby po prostu zrobiła to, co do niej należy, i nie wtrącała się, nie musiałbym jej zabić.

Ale się wtrąciła.

Zbyt dużo wiedziała.

No ' uśmiechnęła się.

I Proszę, co z tego wynikło.

Doprawdy zdumiewające.

131

Nawet trochę podniecające.

Chyba będę musiał to powtórzyć.

Dalej, dziwki, która się jeszcze odważy mnie rozgniewać?

McGrath dość szybko zrozumiał, że wyrosła przed nim kamienna ściana.

Zbyt wiele osób poczuło się zagrożonych, zbyt wiele karier zawisło na włosku.

Jak radzić sobie z morderstwem popełnionym tuż pod nosem — tego nie uczono na studiach medycznych. To, że musieli się teraz tłumaczyć, podawać alibi, zwyczajnie nie mieściło się lekarzom w głowie. Rozdzwoniły się telefony w kancelariach adwokatów. Rady padały zewsząd te same: proszę nie mówić nic, przynajmniej nie bez obecności swojego prawnika. Uprzejmie, lecz stanowczo odmawiać odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania. Papugi byli bardzo współczujący, widzieli w tym swój interes.

XIX

Godzina 10.22 Wschodnie Skrzydło, laboratorium

No dobrze. Teraz oprowadzi nas pan po tym miejscu i opowie, co się tutaj normalnie dzieje.

McGrath i Dowling znajdowali się w laboratorium w towarzystwie Luke'a Conwaya. Kate Hamilton została oddelegowana do przeprowadzenia przesłuchań pracowników ochrony CSP.

— Hematologia.

Stop — przerwał Conwayowi inspektor. — Być może to słowo znaczy coś dla pana, dla mnie to czarna magia.

Krew — wyjaśnił dyrektor szpitala. — W tym laboratorium wykonuje się wszelkie badania krwi. Morfologia, biochemia, grupy krwi i tym podobne — Conway starał się być uprzejmy i cierpliwy, gdyż to jemu najbardziej zależało, aby laboratorium znów zaczęło funkcjonować

— a także immunologia, na przykład testy na AIDS...

Nad jakim dokładnie testem pracowała Mary Dwyer tuż przed śmiercią?

— wpadł mu w słowo McGrath.

W końcu udało nam się to ustalić. Wykonywała dwudziestoczwieroparametrową morfologię dla oddziału czwartego Północnego Skrzydła.

Wzbudziło to pańskie podejrzenia?

Skądże znowu! Chodziło o starszą pacjentkę, która miała przejść poważną operację. Zarówno jej przypadek, jak 'zlecone przez lekarza prowadzącego badanie krwi w niczym nie

biegają od normy. Czysta rutyna.

Zatem czemu Mary Dwyer zginęła?

Lukę Conway wzruszył bezradnie ramionami.

133

— Mnie proszę nie pytać, inspektorze. Nie mam pojęcia Co takiego zrobiła czy wiedziała ta dziewczyna, że aż ją zamordowano.

Nikt z personelu tego nie wie. Widzi pan, takie rzeczy po prostu nie zdarzają się w szpitalach.

Detektywi wymienili spojrzenia.

— A może robiła jakieś testy na boku? Na przykład oddając przysługę komuś, kogo znała? Jakies nietypowe badanie? — poddał Dowling.

Conway zacisnął wargi. Po chwili zastanowienia przyznał: To możliwe. Surowo zabronione, ale możliwe. Choć regulamin szpitala wypowiada się jasno na ten temat, pracownicy często obchodzą wewnętrzne przepisy. Niezwykle trudno to wysledzić, nie mówiąc o powstrzymaniu.

Czyli pańskim zdaniem Mary Dwyer mogła wykonywać jakieś badanie, o którym nikt oprócz niej i zainteresowanej osoby nie miał pojęcia?

— Teoretycznie tak — zgodził się Conway z namysłem — ale doprawdy trudno mi sobie wyobrazić badanie, które mogłoby być powodem, aby kogoś zamordować.

McGrath stanął przy potłuczonych w drobny mak próbkach, wciąż leżących na podłodze.

— Dlaczego morderca je roztrzaskał? — spytał.

Dyrektor ponownie wzruszył ramionami. Cierpliwość powoli go opuszczała; ponawiające się pytania, na które przecież nie znalazł odpowiedzi, zaczynały go wyprowadzać z równowagi.

Inspektorze McGrath - powiedział jestem lekarzem. Ginekologiem. Naprawdę nie znam się na mordercach. Proszę jednak nie myśleć, że nie pomógłbym panu, gdybym umiał. Niestety, nie potrafię...

Do rozmowy ponownie włączył się Dowling.

— A czy da się stwierdzić, jakie konkretnie badania były T konywane na podstawie tych próbek? — wskazał ręką walające się szkło i zaschnięte płyny ustrojowe.

— Sądzę, że tak. Każda próbówka oznaczona jest koden1 kreskowym, a na jego podstawie łatwo dotrzeć do nazwisk2 pacjenta i rodzaju zleconego badania. Papierowa dokumentacja3 przechowywana jest aż w trzech kopiach...

— Gdzie? — podchwycił detektyw.

134

W biurze. — Dyrektor skinął głową w bliżej nieokreślonym kierunku. 3 w porządku. — McGrath przeszedł do czynów. — Proszę porównać formularze z próbkami i przygotować dla mnie listę wszystkich badań, które zostały wykonane w laboratorium feralnego dnia. Będę również potrzebował danych pacjentów. Ma oam na to, powiedzmy, godzinę. — Kiedy Conway kiwnął głową na znak, że zadanie jest wykonalne w tak krótkim czasie, inspektor podjął: — Komputer i drukarkę już sprawdziliśmy, ale na razie nie udało nam się z nich nic wydobyć. Sprzęt jest zniszczony i musi dostać się w ręce naszych specjalistów. Tymczasem można by sprawdzić, czy gdzieś w pobliżu nie wala się kawałek papieru wyrwanego z drukarki igłowej. Moim ludziom ciężko jest stwierdzić, co jest zwykłym śmieciem, a co potencjalnym dowodem rzeczowym. Morderca mógł mimo wszystko zostawić jakiś ślad, usiłując zniszczyć lub schować wydruk.

Wolałbym, żeby tym zajął się nasz informatyk. Czy ma pan coś przeciwko temu?

McGrath zastanawiał się przez chwilę, wreszcie przypomniał sobie, że informatyk został już przesłuchany i nie wzbudził najmniejszych podejrzeń. Zgodził się więc na jego udział w pracach i zaraz zadał następne pytanie:

A te pozostałe urządzenia, które sprawca poniszczył? Ma pan jakieś sugestie?

Lukę Conway powiódł wzrokiem po pomieszczeniu, raz jeszcze ogarniając rozmiar strat, po czym stanowczo pokręcił głową. McGrath znajdował się już przy drzwiach prowadzących do pokoju w głębi.

" Co tam jest?

Cytologia i histopatologia. Mnóstwo mikroskopów do "żądania wycinków i jeszcze więcej próbek czekających na anie... — Brwi McGratha powędrowały do góry. Widząc to, yektor zaczął wymieniać: — Wycinki macicy, wycinki piersi, Wycinki jajników, wycinki...

Starczy, już starczy - przerwał mu inspektor, czując, że j ę "'nu nogi. Czym prędzej wyłuskał miętówkę z papierka rzucił cukierek do ust. Dowling uśmiechnął się kpiąco. — Są Jeszcze jakieś pomieszczenia

135

- Trzy — pośpieszył z informacją Conway. — Biuro na za pleczu, obok niego kanciapa służąca za archiwum, tam trafiaia wszystkie formularze i dokumenty z laboratorium... — zwolni} widząc, że sierżant notuje jego słowa — i na koniec sala sekcyj na.

— Sala sekcyjna? — McGrath o mało nie udławił się mję. tówką. — Na diabła wam sala sekcyjna? Przecież to jest szpital położniczy.

Dyrektor CSP odchrząknął.

Mimo to ludzie czasem tutaj umierają. Zdarza się, że dzieci rodzą się martwe. Albo że matki nie przeżywają porodu. Na co dzień mamy do czynienia z przypadkami raka. Rak macicy, rak jajników, żeby wymienić te najczęściej spotykane. Nie zawsze jesteśmy w stanie pomóc. Nierzadko musimy uciec się do sekcji zwłok, by poznać powody śmierci. Dlaczego dziecko, które naszym zdaniem powinno było urodzić się zdrowe, zmarło, nim przyszło na świat. Dlaczego kobieta, u której wcześniej zdiagno-zowano raka, nie zareagowała na terapię i po paru miesiącach od diagnozy i podjęcia leczenia wyzionęła ducha na szpitalnym łóżku. Ta wiedza pomaga nam poznać przebieg choroby i umożliwia skuteczniejsze leczenie następnych podobnych przypadków.

Gdy Conway skończył mówić, w laboratorium zapanowała głucha cisza. Obaj detektywi wydawali się wstrząśnięci tym, co właśnie usłyszeli. Szpital położniczy kojarzył im się dotąd z życiem i radością, z kwilącymi niemowlętami, uśmiechniętymi karmiącymi matkami i ojcami kurczowo trzymającymi bukiety kwiatów.

Z życiem i żywymi.

Z przyszłością.

Na pewno nie ze śmiercią.

Robicie sekcje zwłok noworodkom? — zapytał przez ściśnięte gardło Jack McGrath. Jego słaby głos był ledwie słyszalny-Tak — potwierdził Conway — aczkolwiek na szczęści coraz rzadziej. To chyba

najtrudniejsze, co może zrobić położnik-Zbadać przyczynę śmierci dziecka, które przyjął na świat martwe-Odkąd zostałem dyrektorem szpitala, nie wykonuję sekcji osobiście — zastrzegł i zorientowawszy się, że poruszył czułą strunę w duszach policjantów, uznał, iż nadszedł doskonały moment, a

136

zać CSP i jego personel w nowej perspektywie. — Wszyscy 11 sądzą, że my tutaj tylko pomagamy przyjść dzieciom na świat. Wycie bardziej mylnego. Poza oddziałem położniczym mamy oddział ginekologiczny z pięćdziesięcioma łózkami, oddział intensywnej terapii noworodków z ośmioma inkubatorami i tak samo duży oddział intensywnej terapii wcześniaków. Na tym ostatnim opieką otaczamy dzieci,

które urodziły się przedwcześnie i które wymagają szczególnej troski w pierwszych miesiącach życia, jakie normalnie powinny spędzić w łonie matki. Nasze osiągnięcia na tym polu mogą napawać dumą. Odsetek uratowanych przez nas wcześniaków zalicza się do najwyższych w świecie. Naprawdę wykonujemy tutaj kawał dobrej roboty...

Conway urwał, sprawdzając, jaki efekt przyniosły jego słowa. McGrath i Dowling byli najwyraźniej pod wrażeniem. Nareszcie zrozumieli, że szpital to nie zwykła lecznica ani tym bardziej umieralnia, tylko zaiste uświęcone miejsce, gdzie lekarze czynią cuda. Dyrektor postanowił kuć żelazo póki gorące.

Morderstwo na terenie szpitala to bez cienia przesady desakralizacja. Śmierć, zwykła śmierć, do tego jesteśmy przyzwyczajeni.

Natura ma swoje prawa, upomina się o swoje ofiary, rozumiemy to, choć równocześnie walczymy z tym ile sił. Ale morderstwo?... Wejść do szpitala, który tradycyjnie uważany jest za miejsce neutralne, i z premedytacją pozbawić życia kogoś tak niewinnego i uroczego jak Mary Dwyer, to akt diaboliczny, obsceniczny nawet. W głosie Conwaya pobrzmiwało napięcie.

Dlatego wszystkim nam tak bardzo zależy, abyście wykryli mordercę i doprowadzili go przed sąd, gdzie znajdzie sprawiedliwość. Ale równocześnie nie wolno nam zapominać o reszcie Pacjenteń, które nam zaufały. O ciężarnych oczekujących rozwiązania, o matkach i ich nowo narodzonych dzieciach. O kobietach oczekujących na operację, która może uratować im życie. O nich Wszystkich razem i każdej z osobna. Pomimo tego bluźnierczego czynu szpital musi działać nadal, a



nie będzie działał jak należy °z laboratorium, w którym stoimy.

Jnż na zewnątrz McGrath mruknał do Dowlinga: Przez chwilę nawet mu wierzyłem...

Chryste, Jack — odmruknał sierżant — ale z ciebie cy-  
137

— Tylko cynizm może nas uratować, Tony — rzucił Jack 1V]C Grath.

— Conway radził sobie całkiem nieźle i nieomal mnie na brał, dopóki nie zaczął jęczeć o laboratorium. Ten facet powinjCn być agentem nieruchomości.

Inspektor McGrath uznał, że na równi ze szpitalami nienawidzi lekarzy. Oszukańczy, robiący wieczne uniki i chroniący własne tyłki nie byli lepsi od pospolitych przestępców, z którymi miał do czynienia przez całe swoje dorosłe życie.

Czuł, że ta sprawa będzie o wiele trudniejsza, niż się spodziewał. Może nawet poleci czyjaś głowa.

Jak niemal zawsze — miał rację.

Z wysoko uniesioną głową, w której tłoczyły się tysiące myśli, dyrektor Luke Conway nie zauważył idącej w jego stronę Kate Hamilton. Kobieta zachłysnęła się ze zdziwienia, kiedy się mijali, i zaraz potem przysiadła na najbliższym krześle ustawionym przed jakimś gabinetem. Trzęsącymi się rękoma schwyciła klapy marynarki i oddychając głęboko, próbowała się uspokoić. Kiedy jej się to udało, odwróciła się lekko i spojrzała za oddalającą się postacią. Po paru krokach Conway zatrzymał się, żeby zamienić kilka słów z kolegą lekarzem, i rozmawiając, stanął tak, że twarzą zwrócony był w stronę Kate. Widziała wyraźnie jego wysoką sylwetkę, rysy twarzy, gładko zaczesane rude włosy, a zwłaszcza rozbiegane oczy. Wyglądał tak, jak go zapamiętała. Wspomnienia powróciły do niej z potężną siłą i ledwie się pohamowała, żeby nie zerwać się z miejsca, nie podbiec do niego i nie wyrznąć go prosto w ten prosty nos.

— Nie uważa pani, że powinna oddać dziecko do adopcji?

Łkając, leżała na tym samym łóżku, na którym przed niecałą półgodziną wydała na świat swoje dziecko. Jakimś cudem jej ciało stworzyło i wypchnęło na zewnątrz najcudowniejszego maleńkiego chłopca, jakiego kiedykolwiek widziała. Poród nie by' łatwy. To znaczy z medycznego punktu widzenia wszystko może i przebiegało tak jak należy, jednakże dla położnicy to był czysty koszmar.

Cierpiała emocjonalnie, nie fizycznie.

Przez cały czas miała koło siebie wysokiego mężczyznę odzianego w zielony fartuch, o twarzy zakrytej maseczką chirurgiczną\*

138

czymś śmiesznym na głowie, przypominającym ni to toczek, ■ t0 bandanę. Przeprowadził ją przez wszystkie fazy porodu, by 111 |.0|1CU — łagodnie napominając i kierując — pomóc jej dokonać ostatecznego wysiłku, który rozdarł ją na dwoje dosłownie i w przenośni.

Przyj... nie przyjm... oddychaj głęboko... odpręż się... przyjm... nie przyjm — oddychaj głęboko... doskonale sobie radzisz, naprawdę jeszcze jedno pchnięcie... no, świetnie... widzę już główkę...

Nie, teraz nie przyjm, dopóki ci nie powiem... właśnie tak, grzeczna dziewczynka... dobrze... Główka już wychodzi na zewnątrz. Teraz weź głęboki, bardzo głęboki oddech i przyjm, długo i mocno... Taak... Już prawie po wszystkim. Siostró, nożyczki. Lignokaina.

Oddychaj głęboko, zaraz poczujesz ostre ukłucie w kroczu... No, główka jest już cała na zewnątrz. Postaraj się odprężyć... Zaraz

przyjdzie następny skurcz... czujesz go? Dobrze, teraz znów przyjm...

I nagle było naprawdę po wszystkim. Co za ulga! I radość, kiedy maleńkie, usmarowane krwią ciało trafiło w jej ramiona. Zawinięty w zieloną szpitalną chustę maluch rozglądał się wokół nieprzytomnym wzrokiem, zdumiony nagłą zmianą otoczenia.

Mimo że był pomarszczony i na wpół siny, nie miała najmniejszych wątpliwości. Wdał się w ojca.

Tyle że jego tata nigdy go nie zobaczy — nigdy nikogo nie zobaczy. Jego maleńkie dziecko, jego syn stanowił jedyny widomy znak, że kiedykolwiek w ogóle istniał.

Gdy Rory'ego zabrano do zmierzenia i zważenia, Kate rozszlochała się bez umiaru. Nie miała nikogo, kto by cieszył się tą chwilą

razem z nią; nie miała nawet rodziny, do której mogła pojechać, żeby pochwalić się dzieckiem i sycić serce ochami i achajkami

kuzynów i ciotek. Jej matka niedawno zmarła, a ojcu sama za-r°niła choćby zbliżyć się do szpitala. Jednakże najbardziej bolała J1ł

świadomość, że ani za chwilę, ani nawet później w progu jej P°koju nie pojawi się ukochany mężczyzna, ojciec dziecka. Nie wzie

kwiatów, cygar i tańców z pielęgniarkami. Kate Hamilton była jeszcze jedną samotną matką. rzez łzy dostrzegła pochylającą się nad

nią postać. Maseczka "urgiczna wisiała pod brodą, czepek nie zdobił już płomiennie Ych włosów. Podówczas doktor Lukę Conway

zinterpretował

139

wysyłane przez nią sygnały źle — całkowicie i niewybaczalny źle.

— Nie uważa pani, że powinna oddać dziecko do adopcji? Zaczęła wrzeszczeć, szarpać się, chciała opuścić to przekłete łóżko i znaleźć się jak najbliżej syna.

— Gdzie jest moje dziecko?! Gdzie moje dziecko?!... Kazał ją przytrzymać i zaordynował silne środki uspokajające. Od tamtej pory nie widziała go ani razu. Aż do tego dnia. Kate wstała, poprawiła ubranie i otarła oczy chusteczką higieniczną. Nakazując sobie w duchu opanowanie, ruszyła dalej w stronę biblioteki, gdzie zgromadziła się już większość zespołu dochodzeniowego. Tylko spokojnie — szeptała pod nosem — nie pozwól, żeby inni zobaczyli, że coś wyprowadziło cię z równowagi. Nie pozwól, by wyszło na jaw, że masz tu prywatną sprawę do załatwienia.

XX

Godzina 13.05

O pierwszej po południu tego samego dnia przed wejściem Centralnego Szpitala Położniczego w Dublinie pojawiła się ekipa stacji telewizyjnej RTE. Z wozu transmisyjnego wysypali się dziennikarze i technicy i w parę minut później jeden z reporterów stał naprzeciwko włączonej kamery, przedstawiając złaźnionym sensacji widzom dramatyczne wypadki, zaczynając od nieprzewidzianego cesarskiego cięcia, w którego wyniku na świat przyszedł O'Brien junior, a kończąc na odkryciu zwłok laborantki Mary Dwyer, zamordowanej w nieznanych okolicznościach. Miał to być pierwszy z licznych reportaży nadanych na żywo spod budynku CSP.

Mniej więcej o tej samej godzinie Luke Conway pogrążony był w rozmowie z Patrickiem Armstrongiem. Nie był to pierwszy wypadek, kiedy obaj mężczyźni zawzięcie nad czymś konferowali; odkąd Conway został dyrektorem szpitala, odpowiedzialnym za jego poprawne funkcjonowanie na wszystkich płaszczyznach, meraz zasięgał opinii Armstronga. Profesor pracował w CSP od dwudziestu trzech lat i od jakiegoś czasu zasiadał w radzie szpi-ta'a- Jak nikt inny wiedział, co mówi się na oddziałach, jakie są nastr°je personelu i kto pod kim dołki kopie. Sam zaliczał się Zresztą do najzręczniejszych manipulatorów.

Pozwól, że porozmawiam o tym z ministrem zdrowia zasugerował

Conwayowi. - Pozostaję z nim w całkiem do-x, stosunkach. Razem podłożymy ogień pod tyłek inspektora watha. Tym sposobem laboratorium powinno być znów nasze aJPóźniej jutro po południu.

141

Lukę Conway skinał głową, czując, że kamień spada r z serca. Może jednak była szansa na to, że wszystko rozejdzie się po kościach. Z nadzieją patrzył, jak profesor podnosi słuchawkę i własnoręcznie wybiera numer ministerstwa.

Godzina 15.45

Tommy Malone prowadził ukradzione volvo 460. Osiągnąwszy Newbridge, nie zjechał pierwszym zjazdem, tylko pokonał jeszcze z trzy i pół kilometra, zanim opuścił główną drogę w kierunku Kilcullen. Na tylnym siedzeniu wozu nieruchomo tkwiła Peggy Ryan; zdawała się podziwiać krajobraz. Sam Collins podebrał samochód spod pubu w Donnybrook i tak jak kazał Malone, wymienił tablice rejestracyjne na pochodzące z hrabstwa Kildare, które z kolei Moonface zdjął z jakiejś toyoty corrolli stojącej na parkingu lotniska w Dublinie. Jej właściciel udał się zapewne na dłuższe wakacje i była spora szansa na to, że nie zgłosi zaginięcia wystarczająco długo, by akcja zdążyła się zakończyć sukcesem. Moonface zabrał także tablice z zaparkowanego obok bmw. Miał szczerą chętkę podprowadzić całe auto, ale w ryzach trzymały go instrukcje Tommy'ego, żeby kraść tylko to, co mu każą, i nic poza tym.

— To znaczy, zapomnij o rzeczach leżących na widoku, choćby nie wiem jak świerzbiła cię ręka — ostrzegł go Malone.

Kiedy teraz przejeżdżał przez wioskę, pokazywał Peggy-gdzie znajduje się sklep spożywczy, budka telefoniczna, kiosk i pub. Jak t ś dwa kilometry za ostatnim domem, wyznaczającym koniec zabudowań, skręcili z porządnej drogi na nieco gorszą-by po krótkim czasie znów skręcić w lewo, tym razem na drogę szutrową wiodącą przez pola. Peggy mrużyła oczy, próbują0 dostrzec coś w zapadających ciemnościach, ale ledwie potrafiła odróżnić żywopłoty od drzew i wkrótce się poddała. Malone zwolnił do pięciu na godzinę, nie chcąc zamordować zawieszona na wybojach, i w tym tempie podjechali pod mały biały domek' który reflektory volva wydobyły z mroku tak nagle, że Peggy aZ

142

skoczyła ze strachu. Na frontowej ścianie odcinały się dwa P° a(jraty

okiennic i prostokąt drzwi.

imo, jesteśmy na miejscu — rzucił Malone, gasząc silnik. Wsiadł z samochodu, przykazując Peggy, żeby się nie ruszała, dopóki nie otworzy drzwi do chaty i nie pozapala świateł. — Zamarzłabyś na śmierć — wyjaśnił.

Peugy wzdrygnęła się i podniosła kołnierz płaszcza, nastawiane się na dłuższe czekanie. W totalnej ciemności dał się zauważyć wąski rąbek księżycy przebijającego się przez gęste chmury. Światła było jednak tyle co kot napłakał i Tommy musiał po omacku szukać właściwego klucza, a potem jeszcze walczyć, żeby trafić w dziurkę. Drzwi otworzyły się z przeraźliwym zgrzytem zamka, głuchym kopniakiem i donośnym soczystym przekleństwem. Skrzydło odchyliło się wolno, skrzypiąc i jęcząc. Peggy Ryan przypatrywała się, jak Tommy wchodzi do środka, obmacując ścianę, po czym zaświeca lampę i daje jej znak. Kierując się w stronę wątego źródła jasności, dawanego przez słabą gołą żarówkę, Peggy wygramoliła się z głębokiej tylnej kanapy wozu i cicho zatrzasnawszy drzwi, wbiegła do chaty.

Wspólnie dokonali szybkiego przeglądu wnętrza. Pozbawione wszelkich luksusów składało się z trzech małych pokoi na tyłach, jednego większego od frontu, służącego za „salon”, „jadalnię” i „kuchnię”, i ciasnej łazienki z popękanyim sedesem i wanną pokrytą brudem na grubość pół centymetra. W głównym pomieszczeniu był otwarty kominek, pozostałe próbowały ogrzewać elektryczne słoneczka. W chacie panował nieprzeciętny ziąb; obłoczki pary wydobywały się z ust i nozdrzy przy każdym oddechu i słowie.

Tu musi być ciepło, Tommy — oznajmiła Peggy, dzwoniąc zębami. — Nie da rady trzymać małego dziecka w takiej kostnicy. Nie przeżyłoby nawet godziny.

Malone zamyślił się.

Zaraz rozpalę ogień w kominku — powiedział — i włączę grzejniki w pokojach. Chyba trzeba będzie kupić poduszki i koce elektryczne.

. Peggy nie podobało się to, co zastała na miejscu. Chata była Tezamieszkana od miesiący, na dobre rozgościła się w niej wil-Słodkawy zapach grzyba unosił się w zatechłym powietrzu.

143

Tapicerka zużytej do granic kanapy wydawała się przesiąknięta na wskroś.

— Jezusick u, mam nadzieję, że nie każesz nam tu długo sig dzieć,

Tommy — wystękała. — Jak nie wykorkujemy z nudów, to się poprzeziębiamy i święty Boże nie pomoże.

Malone nie zważał na jej narzekania, tylko wnosił kolejne pudła. W środku było jedzenie, mleko dla niemowląt, rozpałka brykiety, świece i nieprzebrana liczba pieluszek dla chłopców rozmiar mini.

Nie minęło pół godziny, a pierwszy dym uniósł się znad komina wprost w coraz chłodniejsze powietrze. Czuło się w nim zimę Prognozy pogody od kilku dni zapowiadały śnieg. Dookoła panowała niczym nie zmacona cisza; nie było wiatru, chociaż wyżej położone chmury przesuwają się wolno po niebie, to odsłaniając, to znów zasłaniając rożek księżycy. Okoliczne pola skul mróz, ziemię pokryła szadź.

Jeśli nie liczyć pojedynczych owiec i krów, wciąż pasących się na pastwiskach, w pobliżu nie było żywego ducha.

Niecały kilometr od chaty niejaki Brian O'Callaghan doglądał owcy, która rychło miała się okocić. Mimo że ubrał się w cztery grube swetry i baranicę, przemarzył do szpiku kości. Zwierzę wydawało się nieporuszone mrozem i swoim stanem; spokojnie skubało resztki trawy, przenosząc się z miejsca na miejsce.

O'Callaghan doskonale wiedział, że jagnię urodzone nocą poza zagrodą nie ma najmniejszych szans na przeżycie. Dlatego z niepokojem przyglądał się, jak pękata owca truchta od jednej kępki zmrożonej trawy do następnej. Wodząc za nią wzrokiem, dostrzegł dym.

To dziwne — pomyślał siedemdziesięcioletni O'Callaghan, farmer z dziada pradziada — nigdy nie widziałem, żeby ktoś tam mieszkał o tej porze roku...

XXI

Godzina 18.27 Wschodnie Skrzydło, biblioteka

Nastrój wśród stróżów prawa panował minorowy.

Posłuchajcie tylko, co mnie spotkało — żalił się jeden z detektywów przydzielonych do zespołu McGratha. Przypadło mu w udziale niewdzięczne zadanie przesłuchania lekarza specjalisty o długim stażu pracy w CSP. — Zachowałem się grzecznie i najpierw zadzwoniłem do sekretarki, przedstawiłem się i wyjaśniłem, czemu muszę spotkać się z jej szefem. Wiecie, co mi powiedziała? — zawiesił pytająco głos. Na niektórych twarzach pojawiły się uśmiešky, ale zdecydowana większość policjantów, mająca za sobą podobne doświadczenie, przysłuchiwała się z ponurymi minami.

— „Nooo wie pan” — detektyw dość udatnie naśladował damski dyszkant — „muszę sprawdzić, czy doktor znajdzie wolny czas w

przyszłym tygodniu..." Wolny czas — powtórzył z grymasem — do tego w przyszłym tygodniu. Przysyłają nas tutaj, żebyśmy prowadzili dochodzenie w sprawie morderstwa, i co słyszymy?

Jakieś bzdury o wolnym czasie w przyszłym tygodniu!

W bibliotece rozległy się szmery rozmów, kiedy więcej osób dzieliło się podobnymi przeżyciami.

Dobra, już dobra — uciął wylewanie żalów McGrath w chwili, gdy do pomieszczenia wszedł ostatni z policjantów. Przysunął krzesło do dużego stołu na środku sali, dołączając siedzących kręgiem rozgadanych podwładnych i wyjątkowo cichego Tony'ego Dowlinga, który zajmował miejsce dokładnie naPrzeciwno niego.

Po obu stronach stołu wznosiły się wysokie regały, których Półki uginały się pod ciężarem opasłych medycznych podręcz-

145

ników. Ściśnięta pomiędzy dwoma detektywami Kate Hamilt zerknęła nerwowo na zegarek; obiecała ojcu, że wróci do dom" przed siódmą, tymczasem zanosilo się na to, że zabawi w nra znacznie dłużej, niż przewidywała. Obawiała się, że sprawi ty zawód zarówno synowi, jak i jego dziadkowi.

— Wygląda na to — podjął McGrath, otwierając notes wszystkich nas spotkało mniej więcej to samo. Mimo to udało nam się zebrać co nieco informacji. Podsumujmy to, co wiemy Detektywi poprawili się na krzesłach, przyjmując wygodniej, sze pozycje, i jak jeden mąż otworzyli swoje służbowe notesy porównując poczynione zapiski z raportem McGratha.

- Mary Dwyer została zamordowana pomiędzy dwudziestą drugą czterdzieści pięć a dwudziestą drugą pięćdziesiąt pięć w miniony wtorek. Niemal na pewno morderca zna ten szpital jak własną kieszeń. Z całą pewnością zdołał przedostać się na teren CSP tak, że nikt nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Nikt podejrzany nie wzbudził zainteresowania ochrony, personelu ani pacjentów, i to zarówno w samym budynku, jak i na zewnątrz. Zatem należy przyjąć, że potem albo zwyczajnie powrócił do swoich zajęć, albo... —

McGrath musiał podnieść głos, gdyż wokół rozległy się podniecone szepty — albo raczej wyślizgnął się tą samą drogą, którą się pojawił, czyli przez piwnicę i któreś z drzwi dk personelu technicznego. Inspektor przerwał na chwilę, widząc, że paru jego podwładnych pochyla się nad notesami i coś notuje. Uznawszy, że dał im wystarczająco dużo czasu, mówił dalej:

Skalpel będący narzędziem zbrodni został najprawdopodobniej wzięty z pomieszczenia, w którym dokonuje się mniej skomplikowanych zabiegów ginekologicznych, żeby użyć sformułowania, jakie padło z ust lekarzy.

Jeden z mężczyzn wściekle zażartował, że zabieg, który prze' prowadzono na Mary Dwyer, poszedł zdecydowanie nie tak jak trzeba, skoro skalpel tkwił w jej szyi, a nie gdzie indziej. Kate Hamilton z trudem powstrzymała grymas niesmaku, musiała opuścić głowę, by jej koledzy nie dostrzegli żywej reakcji na te nieczułe słowa.

Na skalpeli — ciągnął McGrath, ignorując dowcipniś<sup>3</sup> — nie ma żadnych śladów palców z tej prostej przyczyny, że mOr'

146

nosił rękawiczki. Nasi technicy znaleźli niewielkie ilości na szyi co wskazuje na gumowe rękawiczki, takie IC jakich używają lekarze i chirurdzy, formacja zapadła w pamięć policjantów.

Pozwolił, aby ta Sprawca stracił na ""mię probówki, komputer i drukarkę, a także kilka innych laboratoryjnych sprzętów. Personel laboratorium dokładnie sprawdził formularze zleconych badań i walające się resztki próbek, dochodząc do wniosku, że wszystko się zgadza, co oznaczałoby, iż nie ma związku pomiędzy morderstwem a zleconymi badaniami- Jednakże brak ośmiu stron wydruku z drukarki sugeruje coś wręcz przeciwnego. Gdyby było to osiem stron powiązane ze zleconymi badaniami, nie opuściłyby one laboratorium lub w najgorszym wypadku dałyby się odnaleźć w którymś z przeszukanych przez nas pomieszczeń. Kazaliśmy nawet przetrząsnąć wielki kontener stojący od podwórza, tam także nic nie znaleziono.

Oczy wszystkich skierowane były wprost na McGratha, który dodał:

- Co więcej, cała armia ludzi przekopała się przez uliczne kosze na śmieci w promieniu kilometra, przesłuchaliśmy każdego kierowcę autobusu i taksówkarza z korporacji, który znajdował się w okolicy szpitala we wtorek około godziny dwudziestej trzeciej. I nie.

Zero. — Popatrzył na Dowlinga, który skinął potakująco głową. Pozostali nie ruszali się, czekając na ciąg dalszy. McGrath

kontynuował: — Mary Dwyer jest czysta jak łza. Aż żal, że zorała zabita osoba, która nie ma nawet odrobiny brudu za uszami.

Mieszkała przykładnie nie z rodzicami, nie szlajała się, nie wiedziała, co to narkotyki. Na jej konto wpływały tylko pobory ze szpitala, najomi i przyjaciele wyrażają się o niej z najwyższym



szacunkiem, nie była znana wśród alfonsów i prostytutek. Mogłoby się wydawać, że nie mamy absolutnie nic...

. McGrath wstał wolnym ruchem, oparł dłonie na blacie stołu, e odrywając oczu od swojego notesu, powiedział cicho:

"Przynajmniej nic oczywistego. — Podniósł wzrok. — ' Jednak Mary Dwyer musiała coś wiedzieć, coś niezmiernie znego, co przyczyniło się do jej nagłej śmierci. Być może nie . Nwała sobie sprawy, że jest w posiadaniu niezwykle niebez-

Piecz

neJ informacji, a przez to nie stanowiła żadnego zagrożenia

147

dla mordercy, lecz on i tak uznał, że nie wolno mu ryzykować i postanowił zgładzić nieświadomego niczego świadka. — rzystając z tego, że nadal panuje całkowite milczenie, dokończy) szeptem: — A teraz ktoś z wyższego personelu medycznego podjudza resztę, by z nami nie rozmawiali, jak gdyby poniżej ich godności było odpowiedzieć na parę pytań policji i pomóc w schwytaniu przestępcy, który może znów uderzyć na niewinną ofiarę.

Podjudza to dobre słowo — podchwycił ktoś i Kate uniosła głowę, aby zobaczyć, kto się odezwał. W duchu cieszyła się że sprawy przybrały taki obrót; jej koledzy mieli okazję przekonać się, jakie to uczucie, gdy jest się poddawany ostracyzmowi z zupełnie irracjonalnych pobudek.

McGrath uciszył rodzący się szmer jednym gestem ręki.

Pozwólcie, że was zapewnię, iż to my mamy asa w tej rozgrywce. Jeśli chcecie, możecie to rozgłosić każdemu, komu uznacie za stosowne. Doszły mnie słuchy, że podwoływano operacje, powypisywano pacjentki z mniej poważnymi schorzeniami, zaś te w cięższym stanie przewieziono do Rotundy. A wszystko to dlatego, że zamknęliśmy im laboratorium.

Coś w rodzaju stłumionego „hura!” przetoczyło się przez pomieszczenie, zaraz rozległy się posykiwania „cii...”, przerywane krótkimi wybuchami śmiechu, kiedy głowy nachylały się jedna do drugiej i detektywi wymieniali uwagi.

- Laboratorium pozostanie zamknięte tak długo, jak długo nie będą chcieli z nami rozmawiać — oznajmił McGrath.

Tym razem wybuch radości było słyhać aż na korytarzu.

Wysypujących się z biblioteki policjantów w cywilu z drugiego końca korytarza obserwował przez na wpół uchylone drzwi swego

gabinetu czujny jak zawsze doktor Dean Lynch. Liczył ich, kiedy wchodzili, i teraz ani drgnął, dopóki pomieszczenia nie opuścił ostatni. W sumie było ich dwunastu, a dokładnie: jedenastu mężczyzn i jedna kobieta. Jedenastu mężczyzn i jedna bardzo atrakcyjna młoda kobieta. Jej przyglądał się najdłużej, zwracając szczególną uwagę na mowę ciała i gesty.

Chciałbym cię kiedyś lepiej poznać, mała pomyślał. — Sam na sam, tylko ty i ja...

148

Ody głosy oddaliły się na tyle, iż mógł mieć pewność, że na trze już nikogo nie ma, wstał zza biurka, wyślizgnął się na korytarz i wkroczył do opustoszałej biblioteki. Obrzucił pomieszczenie szybkim spojrzeniem. Wszystkie krzesła w zasięgu wzroku niezdarnym kołem otaczały jeden duży stół wysunięty na sam środek. Z obu stron od reszty sali odgradzały go regały biblioteczne. Lynch przebiegł oczyma po grzbietach książek stojących na półkach w bezpośredniej bliskości tych właśnie krzeseł. Następnie wyjął z kieszeni centymetr krawiecki, zmierzył coś i wybrał cztery tomiszczą. Opuszczając szpital, miał je ze sobą.

Thomas Quinlan, komendant główny irlandzkiej policji, siedział rozparty w fotelu w salonie swego domu i oglądał telewizję, kiedy zadzwonił telefon. Na puszystym dywanie u jego stóp leżały płachty dwu wieczornych gazet; nagłówki krzyczały wielkimi literami o morderstwie w szpitalu.

Dobry wieczór, komendancie. Tutaj Alice Martin. Quinlan natychmiast wyłączył odbiornik za pomocą pilota i przyjął wyprostowaną pozycję.

— Pani minister, co mogę dla pani zrobić?

Doniesiono mi, że niejaki inspektor Jack McGrath wywołał piekło na terenie Centralnego Szpitala Położniczego i lekarze mają tego dość.

Thomas Quinlan milczał. Doświadczenie podpowiadało mu, że minister sprawiedliwości nie tyle przejmując się morderstwem i dochodzeniem, i niepokornym inspektorem McGrathem, ile na sercu leży jej raczej zła reklama towarzysząca nietypowemu śledztwu. Rząd oparto na niepewnej koalicji, co skutkowało ciągłym kryzysem na szczycie władzy. Prawo i porządek — czy też może brak prawa i porządku — stanowiły obecnie najpoważniejszy problem tych na świeczniku.

- Czy pan tam jest, komendancie? — Głos Alice Martin SIT|agnął Qu  
inlana niczym bicz.

Naturalnie, pani minister. Odniosłem jednak wrażenie, oczekuje pani ode  
mnie czegoś więcej niż potwierdzenia pani — powiedział  
spokojnie, w myślach zaś dodał: A weź i się aw, artykułując, czego chcesz,  
ty pazerno suko.

149

Na linii zapadła cisza. Najwyraźniej Alice Martin — pr2 zwyczajona do  
tego, że wszyscy w mig odczytują jej pragnien-i starają się  
je spełnić, nim jeszcze je wypowie — nie spodziewaj się takiego  
postawienia sprawy.

— Moim zdaniem inspektor Jack McGrath powinien zostać odsunięty  
od tego dochodzenia.

Quinlan oczywiście był na to przygotowany.

— Odsunięcie McGratha może okazać się błędem, pani minister —  
oświadczył. - Taki ruch w zaistniałej sytuacji zostanie  
odebrany jako rozpaczliwa próba zatarcia złego wizerunku...

— McGrath ma przestać prowadzić to śledztwo. — Alice Martin nie  
prosiła, ona rozkazywała.

— Pani minister, proszę mi pozwolić zasięgnąć opinii paru zaufanych  
ludzi. Niewykluczone, że da się tę sprawę załatwić  
inaczej... Skontaktuję się z panią z samego rana.

— Komendancie, przypominam, że to ja jestem ministrem  
sprawiedliwości. Odpowiada pan przede mną.

— Z całym szacunkiem, pani minister, ale nigdy o tym nie  
zapomniałem. Słyszę to niemal codziennie, odkąd objęła pani urząd...

— Proszę odsunąć inspektora McGratha od dochodzenia w CSP! —  
warknęła Martin i przerwała połączenie,

Thomas Quinlan patrzył przez chwilę w głuchą słuchawkę.

— Ty kurr... — zaklął pod nosem i zaczął wybierać numer.

Dean Lynch starannie wyciął wewnątrz czterech podręczników, uzyskując  
żądany przezeń kształt i głębokość. Następnie ostrożnie  
zamykał jeden po drugim, sprawdzając rezultat. Książki wyglądały na  
nienaruszone. Lecz gdy się je otworzyło, oczonl ukazywało się  
zagłębienie, od którego wiódł cienki i wąski tune-lik zmierzający ku  
grzbietowi tomu. Lynch umieścił w każdym z zagłębieniu  
uruchamiany głosem dyktafon marki Panasonic-a tunelikiem przeciągnął  
istne cudeńko: mikrofon marki Vivanc°-model EM 116. Po  
zamknięciu podręczniki nadal nie wzbudza ; podejrzeń, nawet gdy

mikrofon został przeciągnięty dalej wzdłuż grzbietu i leciusięko wystawał.

Pomysłowy Lynch podziwiał swoje dzieło przez dłuższy czas zanim zdecydował się poddać je testowi. Umieścił zainfekoa

150

ki na różnych poziomach w swojej kuchni, stawiając je na 'ndkowych wolnych półkach, i zadowolony usiadł znów przy 1 Wziął pierwszy z brzegu tygodnik i zaczął czytać na głos S'° 0js na casserole, którego zrobienie w kuchence mikrofalowej f'Al0Wjnn0 zabrać więcej niż osiem minut. Czytał przez pięć n1C L|( co do sekundy. Potem pozdejmował z półek wszystkie książk' i sprawdził taśmy. Każdy dyktafon włączył się i rozpoczął nagrywanie we właściwym momencie — kiedy tylko mikrofony wychwyciły jego głos. Przewinął taśmy do tyłu i odsłuchiwał nagranie lakość dźwięku była satysfakcjonująca. Ponownie przewinął taśmy i porozmieszczał podręczniki na poprzednich miejscach. Później jeszcze raz odczytał przepis kulinarny, tym razem jednak robiąc minutowe przerwy co trzy minuty. Na koniec znów zdjął książki z półek, wyjął z nich dyktafony i odtworzył nagrania.

Wszystko działało jak trzeba.

System sprawdzał się; dyktafon działał tylko wtedy, gdy w pomieszczeniu rozlegał się głos, a w chwilach ciszy popadał w uśpienie, czekając, aż mikrofon znowu wychwyci najlżejszy dźwięk.

Świetnie ci idzie, Deano, naprawdę świetnie — pochwalił się w duchu. — Teraz tylko musisz zostawić książki w czterech różnych miejscach, a nic się przed tobą nie ukryje. Będiesz wiedział więcej niż sam Pan Bóg.

Niech no ktoś odważy się powiedzieć, że nie jesteś genialny!...

Aby uczcić swój geniusz, Dean Lynch przygotował sobie działkę heroiny i wstrzyknął ją w jedną z nielicznych dobrych jeszcze żył.

DZIEŃ PIĄTY

XXII

Piątek, 14 lutego, godzina 06.47 Hrabstwo Kildare, okoto półtora kilometra za Kilcullen

Halogenowe światła dżipa przecięły poranny mrok. Tommy Malone i Sam Collins dostarczali ciężką artylerię. Szefa gangu zdopingowała do dalszych ruchów pogłoska, że Harry O'Brien zamierza zabrać ze szpitala żonę i syna wcześniej, niż zalecali lekarze, ze względu na morderstwo Mary Dwyer i prowadzone w tej sprawie dochodzenie.

Jeśli mieli odnieść sukces, musieli być przygotowani, by uderzyć w każdej chwili.

Dlatego Malone pojawił się przed tylnymi drzwiami kompleksu O'Brien Corporation o piątej rano minionego dnia. Dokładnie tak, jak było umówione. Zapukał trzykrotnie, odczekał pół minuty i powtórzył sygnał. Czekająca po drugiej stronie Betty otworzyła mu niemal natychmiast, tak że w ciągu paru sekund znalazł się w środku. Dał się poprowadzić przyciemnionymi korytarzami, z dala od stanowisk i rutynowych tras strażników, wprost do gabinetu prezesa. Tam, za imponującym skórzanym fotelem stojącym przy olbrzymim stole, wisiała fotografia lotnicza Beechill, rodzinnej posiadłości O'Briena położonej w hrabstwie Wicklow.

Tommy gapił się na zdjęcie przez ponad godzinę, odnotowując lokalizację bram wjazdowych i wiodących do nich dróg, a także szukając potencjalnych kryjówek. Przyjrzawszy się bliżej grodom sięgającym do ścian budowli, uznał, iż świetnie nadałoby się na schronienie po tym, jak już uda im się przedostać na 011 Posiadłości szutrowym traktem obiegającym teren dokoła. Na wszelki wypadek zapamiętał też największe skupiska drzew. Co P'Zeszło dwunastoakrowej powierzchni. Nigdy nie wiadomo, czy może się przydać — pomyślał, zacierając w duchu rękę. Betty

153

przez cały ten czas stała na czujce i parokrotnie dała mu znać, że jest bezpieczny. Kiedy opuszczał kompleks O'Brien Corporation tą samą drogą, którą się tam dostał, był przekonany, że w Beechill poczułby się jak w domu. Poklepał kieszeń płaszcza, gdzie schował świstek papieru z zapisanymi prywatnymi numerami telefonów Harry'ego O'Briena i Theo Dempsey'a, które znalazł w grubym, luksusowym terminarzu leżącym na stole. W myślach zdążył już zdecydować, że pośrednikiem pomiędzy nim i O'Brienem, a także dostarczycielem okupu będzie Theo. Do niego zadzwoni i przedstawi swoje żądania. Nie miał wątpliwości, że gliny od razu założą podsłuch na wszystkich telefonach O'Briena, lecz nie wpadną na to, by zawracać sobie głowę ochroniarzem. Przypomną sobie o nim, dopiero kiedy Malone zdąży mu podyktować warunki.

Najbardziej jednak ucieszyła go wiadomość przekazana przez Betty.

— Daje służbie wolne, żeby w spokoju uczcić pojawienie się dziecka w domu.

Tommy nie mógł uwierzyć we własne szczęście.

— Kiedy?

— Jutro. Słyszałam, jak jeden ze strażników psioczy, że jemu też przydałoby się wolne.

Malone wyrzucił zaciśniętą pięść w górę na znak radości, po czym wycisnął całusa na ustach zaskoczonej Betty.

Później tego samego dnia Sam Collins przejechał w pobliżu Beechill świeżo ukradzionym dżipem, największym modelem cherokee mogącym się pochwalić wielką kratownicą z przodu. Dokładnie przyjrzał się bramie wjazdowej z kutego żelaza, osadzonej w prawie pięciometrowym kamiennym ogrodzeniu, które ciągnęło się na długości niemal dwustu metrów w obie strony. Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, wyskoczył z dżipa i własnoręcznie sprawdził, jak solidna jest brama, oceniając, czy będzie trzeba, aby wysadzić zawiasy i utorować drogę. Następnie odszukał zarośnięty trakt, o którym wspominał Malone. Na dalszym odcinku prowadził on wzdłuż starszej części murów, wzniesionych ponad pół wieku temu i kończących się brzegu rozlewiska. Bystry wzrok Collinsa wypatrzył daleką ścieżkę biegnącą równoległe do brzegu wody i ginącą wśród

154  
. roślinności. Zaparkował w bezpiecznym miejscu i wysiadł, przejść się kawałek. Mury, choć porośnięte mchem i gdzienie-dzie kruszące się, sprawiały wciąż wrażenie niezdojanych, ale o parunastu metrach natknął się na niedużą drewnianą bramę. Pewnością była używana przez pokolenia właścicieli Beechill. Furka prowadząca wprost do rozlewiska, gdzie niewątpliwie wędkowano. Collins dotknął zawiasów, szukając śladów rdzy, a potem pchnął bramkę ramieniem. Kiedy lekko ustąpiła, uśmiechnął się pod nosem. Wracając do samochodu, zakonotował sobie, że będzie potrzebny porządny młot.

I to właśnie on został wyjęty z bagażnika dżipa pierwszy, kiedy podjechali pod chatę. Następny był obrzyn kaliber dwanaście, dwa smithy & wesson kaliber .38, libijski karabin szturmowy AK47. Karton po wódce smirnoff, zawierający kominiarki, cztery pary obcisłych skórzanych rękawiczek i tyle amunicji, że wystarczyłoby na wygranie małej wojny, leżał na siedzeniu pasażera.

Malone nachylił się od strony kierowcy, żeby go przesunąć, i niechcący nacisnął klakson. Nagły dźwięk sprawił, że obaj omal nie wyskoczyli ze skóry.

Mieszkająca w chacie na stałe Peggy Ryan poruszyła się w zimnym

śpiworze i otworzyła szeroko oczy.

Klakson obudził również Briana Callaghana.

Wstał z łóżka i podszedł do okna, skąd w ostatniej chwili zobaczył gasnące światła reflektorów.

O'Callaghan podrapał się po głowie i po tyłku, po czym wrócił do łóżka. — o tam się, do cholery, dzieje? — pomyślał, zasypiając w wygrzanej pościeli.

kubka

Robimy to dzisiaj — powiedział Tommy Malone znad mocnej herbaty. —

Porywamy małego skurwiela dzisiaj

noce. Od mojej wtyczki u O'Briena wiem, że dzieciak trafi do k 11u Po południu, a służba od dwunastej ma wolne. Nie mogliby,

kurdefelek, mieć więcej szczęścia — dodał. głow wzrokiem po swoich ludziach. Peggy Ryan skinęła

dając znak, że jest gotowa do akcji.

155

Mnie też to pasi — rzucił Collins, naciskając spust ni załadowanego smitha & wessona i mierząc w pustą przestrz — Im szybciej, tym lepiej.

W separatce numer trzy Północnego Skrzydła dublińskiego Centralnego Szpitala Położniczego Sandra O'Brien właśnie skończyła karmić i zmieniała synowi pieluszkę, nie przestając szczerze biotać i uśmiechać się do maleńkiej twarzyczki. Nie większy niż guzika nosek

Gordona zmarszczył się, a chude rączki zamachały w proteście, kiedy odstawiła go od piersi. Gdy dziecko zapłakało niezadowolone, że się je rozbiera, Sandra natychmiast przytuliła je i pocałowała w czoło.

Płacz momentalnie ucichł, a oczka zmrużyły się, jak gdyby malec próbował lepiej się przyjrzeć opiekującej się nim osobie. Sandra roześmiała się i pocałowała syna ponownie, po czym zapięła mu śpioszki i ułożyła go w koszyku Przyglądała się trzepoczącym przez chwilę powiekom, zza których wзираły wielkie chabrowe oczy; w końcu senność wzięła górę i dziecko zasnęło.

Ale z ciebie dzielny chłopiec — pomyślała Sandra. — Bóg da. wyrośniesz na dużego i silnego mężczyznę, tak jak twój ojciec...

Tę cichą modlitwę przerwał płacz innego nowo narodzonego dziecka, przewożonego na specjalnym wózku z sali porodowej do sali noworodków. Przysłuchując się nękającemu kwileniu, przysiadła na brzegu łóżka i zaczęła wcierać w bliznę pooperacyjną witaminę E,

mającą przyśpieszyć gojenie. Mimo wciąż odczuwanego bólu, zmęczenia i niewyspania czuła się jak nigdy dotąd. Przenikała ją radość i poczucie spełnienia.

Dean Lynch również był na terenie szpitala — pomimo wcześniejszego jak na niego pory oraz tego, że przy nieczynnym laboratorium nie miał właściwie nic do roboty, podobnie jak większość lekarzy CSP. Zarówno kobiety w zaawansowanej ciąży oczekujące na termin porodu, jak i te w pierwszych miesiącach, lecz wymagające stałej opieki medycznej, kierowano do innych szpitali ginekologiczno-położniczych, wiele z nich przewieziono tam z oddziałów CSP. Pacjentki przychodzące na rutynową kontrolę już w rejestracji na parterze dowiadywały się, że przychodnia J nieczynna i wizyty będą możliwe, dopiero gdy lekarze specjaliści

156

zaczną przyjmować, co uzależnione było od decyzji dyrektora. Wszyscy jak ognia unikali słów: morderstwo i dochodzenie,

lekarze w obawie, że pacjentki wystraszą się i nigdy nie wrócą, obierając pracę personelowi

Lynch szedł pustym i dziwnie cichym korytarzem, niosąc neseser który był znacznie cięższy, niż wyglądał. Mężczyzna starał się

sprawić nonszalanckie wrażenie; ignorował i brzemień, i nieliczne osoby, które mijał. Był lekarzem Wschodniego Skrzydła, miał prawo tu przebywać, nawet jeśli nie wykonywał obowiązków służbowych i w poczekalni nie czekały na niego poszeptujące pacjentki.

Wykorzystując to, że piętro świeci pustkami, Lynch wślizgnął się do biblioteki.

Już wcześniej zdecydował, gdzie trafią cztery tomy z ukrytymi w ich wnętrzu urządzeniami, toteż nie tracił ani chwili na niepotrzebne dywagacje. Umieścił podręczniki w wybranych miejscach i zrobiwszy krok do tyłu, upewnił się, że w żaden sposób nie wyróżniają się spośród książek stojących na półkach. Zmieniwszy kąt patrzenia, sprawdził, czy mikrofony są na pewno niewidoczne, po czym z ulgą wydmuchał nieświadomie wstrzymywane powietrze.

Dyskretnie opuścił bibliotekę i jakby nigdy nic przeszedł do swojego gabinetu. Tam otworzył zamek szyfrowy nesesera i wyjął jego zawartość na leżankę. W dwóch równych rzędkach ułożył osiem zapasowych kaset C-120 i szesnaście baterii LR6. Od przybytku głowa nie boli — pomyślał. Nie zamierzał ryzykować, że sprzęt go zawiedzie. Z taką samą ostrożnością dokonywał zakupów. Dyktafony i mikrofony



pochodziły z różnych sklepów, kasety i baterie także. Każdy przedmiot został przez niego w domu starannie wytarty, y usunąć odciski palców, a potem dotykał sprzętu, mając założone 'ateksowe rękawiczki.

Lepiej dmuchać na zimne, Deano — powtarzał sobie.

Jego

obserwacje, prowadzone od paru dni, wskazywały, że P°ranna odprawa detektywów odbywa się o ósmej czterdzieści W południe policjanci ponownie zbierali się w bibliotece aby zjeść szybki lunch, na który składały się przyniesione ze

s\*Pital

ać

°d ostatniego spotkania. Podsumowująca narada miała to w st°łówki niewyszukane potrawy, oraz aby przedysku-g0cjac Wszystko to, czego udało im się dowiedzieć w ciągu kilku

57

miejsce około osiemnastej. W przerwach pomiędzy spotkani biblioteka służyła za pokój przesłuchań.

Dlatego Lynchowi tak zależało, aby nagrać każde słowo, j-odtąd miało paść w dotychczas uświęconym ciszą pomieszczeń! Przesiadując w swoim gabinecie i pozornie zajmując się papieżką robotą, której końca nigdy nie widać, kiedy jest się lekarzeni zatrudnionym bezpośrednio przez fundusz zdrowia, mógł mi oko na bibliotekę i wymieniać kasety, gdy tylko nadarzy się 0|a zja. Nikt mu nie powinien w tym przeszkadzać; odkąd szpital zaczął pracować na zwolnionych obrotach, we Wschodnim Skrzydle niemal zawsze było całkowicie pusto.

Deano, będziesz trzymał rękę na pulsie, wiedząc wszystko do czego dojdzie policja, w sprawie twojego małego morderstwa — cieszył się w duchu.

To dopiero będzie zabawa...

Tuż po wpół do dziewiątej Harry O'Brien miał dość.

Właśnie wyłączył radio, którego przed chwilą uważnie słuchał, i zapatrzył się w głuchy odbiornik. Przed nim na stole rozpościerała się płachta jednego z brukowców; wiodący artykuł traktował o sytuacji w Centralnym Szpitalu Położniczym. Sporych rozmiarów kolorowe zdjęcie przedstawiało zamknięte drzwi do szpitalnego laboratorium, oklejone żółtą policyjną taśmą.

KRYZYS W SZPITALU! — głosił wielki nagłówek.

Stacja radiowa RTE, której O'Brien pozostawał wierny od czasu rozpoczęcia porannej wiadomości o morderstwie Mary Dwyer, polecając słuchaczom kilkunastominutowy reportaż w programie „Dzień dobry, Irlandio”.

Ojciec małego Gordona postanowił działać natychmiast.

Parę minut po dziewiątej komendant Thomas Quinlan spotkał się z nadinspektorem Mikiem Loughrym w budynku przy Phoenix Park. Wszczęła się pomiędzy nimi burzliwa dyskusja, trwająca przeszło godzinę i zakończona umotywowaniem\* względami politycznymi decyzją o odsunięciu inspektora Jacka McGratha od dochodzenia w sprawie kobiety. Loughry był tym, który zasugerował, aby śledztwo poprowadzić dalej.

158

XXIII

Godzina 12.37 Aula wykładowa Centralnego Szpitala Położniczego. Jack McGrath zdecydował zrobić użytek z trzymanego w rękawie asa. Miał serdecznie dosyć podchodów i stąpania wokół lekarzy na paluszkach.

Martwiło go, że dochodzenie utknęło w martwym punkcie. Zwłaszcza że im więcej o tym myślał, tym bardziej skłaniał się ku przekonaniu, że morderca nie był przypadkowym człowiekiem i raczej na pewno należał do personelu szpitala. Ta świadomość z kolei sprawiała, że niepokój inspektora wzrastał się z każdą godziną.

— Ten skurwiel może znów uderzyć — powiedział McGrath do Dowlinga.

— Być może nawet w tej chwili nam się przygląda i śmieje w kółko, widząc, że kręcimy się w kółko, ani na krok nie zbliżając się do rozwiązania sprawy. Najwyższy czas przestać działać w białych rękawiczkach i pokazać im wszystkim, kto tutaj rządzi. To ich szpital, zgoda, ale to ja prowadzę dochodzenie. Kończę z grzecznościami, trzeba dobrać się tym bubkom do tyłków.

Lekarze pojawiali się w auli grupkami. Ci, którzy już pozajmowali miejsca, rozmawiali przyciszonymi głosami i rozglądali się wokół niespokojnie, popatrując na ich zdaniem nie pasujących aż Policjantów.

McGrath kazał swoim ludziom stanąć w strategicznych punktach, tak że każdy miał dobry widok na określoną grupę lekarzy, siedzących w półkolistych, wznoszących się rzędami ciągnących się na całej długości pomieszczenia. Kate Hacon stała mniej więcej pośrodku, robiąc co w jej mocy, aby wyglądać groźnie.

159

Inspektor stał w dole, za blatem służącym wykładowcom (j0 rozkładania materiałów, które miały zostać wykorzystane podcz wykładu.

Obok niego tkwił z chmurną miną Luke Conway. Ob spoglądali w stronę wejścia, czekając na spóźnialskich członków wyższego personelu medycznego. Ci, nie chcąc wywoływać ?a mieszania, dosiadali się do swych kolegów w ostatnich rzędach Dean Lynch rozpiął się w trzecim od końca rzędzie, obserwując wszystko uważnie i nastawiając uszu. Gdy w pewnym momencie dostrzegł sierżant Hamilton, jego usta rozciągnęły się w przelotnym uśmiechu. Usadowił się zaraz wygodniej, tak by Kate znajdowała się w jego zasięgu wzroku. Na znak McGratha czuwający przy wejściu funkcjonariusz zamknął drzwi. W auli zapadła cisza, którą przerwał dopiero głos Conwaya.

— Witam państwa i przedstawiam wszystkim inspektora McGratha z wydziału zabójstw posterunku policji przy Store Street. Pan inspektor i jego podwładni prowadzą dochodzenie w sprawie wypadku, który miał miejsce we wtorkowy wieczór.

Wypadek! — pomyślał McGrath, czując, jak skacze mu ciśnienie krwi. — Jakiś drań zamordował tę biedną dziewczynę be litości, a oni nazywają to wypadkiem!

Jak państwo wiedzą— ciągnął dyrektor szpitala, wywiązując się z niemilego mu, narzuconego obowiązku — wystąpiły pewne rozbieżności co do tego, jak dochodzenie powinno się dalej potoczyć. Pan inspektor — Conway obdarzył McGratha potępiającym spojrzeniem — chce naturalnie jak najszybciej doprowadzić do wykrycia sprawcy. My natomiast — powiódł wzrokiem po audytorium — musimy dopilnować, by

nie ucierpiały nasZC pacjentki. Szpital, jak wszystkim wiadomo, to nie biuro, w którym pracuje się od-do, lecz miejsce, gdzie pomoc niesie się teZ przerwy, bez względu na porę dnia czy nocy. Zwłaszcza nocy— uśmiechnął się cierpko — gdyż moje długoletnie doświadczeni' nie położnika świadczy, że dzieci wybierają najmniej dogodD

dla matek i lekarzy czas, aby przyjść na ten świat.

Przez aulę przetoczył się krótki wybuch śmiechu, raczej ku' tuazyjny niż szczery, aczkolwiek wiele głów skinęło, jak gdy -Luke Conway podzielił się prawdą objawioną.

— Tak się składa — podjął Conway po chwili przerwy żaden szpital nie może funkcjonować prawidłowo bez czy'111 '

dwadzieścia cztery godziny na dobę laboratorium. Tymczasem n inspektor uznał za stosowne zamknąć nasze laboratorium na 'ztery spusty. Na szczęście dziś rano dowiedziałem się, że istnieje szansa na to, by po tym spotkaniu z drzwi laboratorium zniknęła żółta policyjna taśma.

Tu i ówdzie rozległy się oklaski.

To oczywiste, że szpital musi podjąć normalną działalność tak szybko, jak to możliwe — dodał Conway. — Złe wiadomości rozchodzą się lotem błyskawicy, a plotki towarzyszące wypadkowi z pewnością nie służą dobrej opinii CSP. Pacjentki i ich rodziny tracą do nas zaufanie, personel zaś podupada na duchu. Dyrektor zawiesił głos i obrócił się ku McGrathowi. — Zaledwie dzisiaj rano zadzwonił do mnie minister zdrowia, chcąc się dowiedzieć, co tak naprawdę wydarzyło się w najbardziej renomowanym szpitalu położniczym w Dublinie. Z przykrością musiałem powiedzieć mu prawdę: że

policja utrudnia nam, lekarzom, wykonywanie obowiązków. — Wpiwszy się spojrzeniem w inspektora, zakończył: — Jak się domyślam, pan inspektor zechce teraz powiedzieć kilka słów.

Lukę Conway siadał właśnie w pierwszym rzędzie, gdy boczne drzwi do auli otworzyły się z hukiem. Głowy wszystkich zwróciły się w tamtą stronę.

Do pomieszczenia wkroczył dumnie wyprostowany profesor Patrick Armstrong, któremu towarzyszył niższy i tęższy mężczyzna ubrany w starannie skrojony garnitur w drobne prążki. Ten drugi dzierżył w prawym ręku sfatygowaną brązową aktówkę. Nie bacząc, iż ich wejście wywołało uwagi, dostojnym krokiem przeszli całą długość auli i dotarłszy do drugiego rzędu, zaczekali, aż siedzący tam lekarze ścisną się, by zrobić miejsce dla jeszcze dwu osób.

Armstrong, ledwie usiadł, natychmiast wstał i rzekł:

Niezwykłe mi przykro z powodu naszego spóźnie-Korki na mieście są wprost niewyobrażalne. — Popatrzył rathowi prosto w oczy i przedstawił się: — Nazywam się pro-

eleg;

•titer,

Or Patrick Armstrong, a to jest — tu położył dłoń na ramieniu Sanckiego niższego mężczyzny — mecenas Peter Harrington ncelarii adwokackiej Harrington i Partnerzy, reprezentującej Csy Centralnego Szpitala Położniczego.

To powiedziawszy, usiadł ponownie; Peter Harrington z trzaskiem otworzył zapięcie aktówki i jał przetrząsać jej zaw tość. Wszyscy wpatrywali się w scenę rozgrywającą się w j gim rzędzie. Harrington teatralnym gestem wyjął z teczki płasi. dyktafon, odszukał mikrofon i połączył oba urządzenia kablem' Następnie skierował mikrofon w stronę stołu służącego za mów nicę i włożył rękę do kieszeni marynarki. Wiele osób wstrzymał() w tym momencie oddech, niepotrzebnie jednak. Mecenas uruch() mil po prostu czasomierz — kancelaria Harrington i Partnerzy obliczała należne jej honorarium na podstawie liczby przepracowanych dla klienta godzin.

Zrozumiałe więc, że liczyła się każda minuta, a kto mógł przewidzieć, ile potrwa zwołane spotkanie Harrington zatarł w duchu ręce.

McGrath zaczął mówić, nim prawnik przyjął wygodniejszą pozycję, nastawiając się na dłuższą nudę.

Nie będę wdawał się w szczegóły dochodzenia, ponieważ większość z nich jest państwu znana. Skupię się na tym co istotne. Otóż w ciągu długich lat pracy w policji, w tym w wydziale zabójstw, nigdy jeszcze nie spotkałem się z podobną zmową milczenia osób zdolnych wydatnie pomóc w pojmaniu sprawcy przestępstwa. Moi ludzie, oddelegowani do przeprowadzenia rozmów z państwem, na własnej skórze odczuli ostracyzm. Nie łączono ich z lekarzami, nikt nie oddzwania! pomimo pozostawionych wiadomości z prośbą o kontakt, że o odpowiadaniu na pytania nie wspomnę... Każda najdrobniejsza informacja musiała być dosłownie wyciągana wołami. Jeśli mam byc szczery, więcej dowiedziałem się z prasy niż od pracownikom tego szpitala.

Wśród słuchających zrodził się pomruk protestu. McGrath zignorował go i rzucił na stół swojego asa.

W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak zamkn? laboratorium na dobre. Nasi technicy mogą spędzić wiele miesi? cy, badając każdy kąt i każdy najbliższy ślad, w nadziei że c° naprowadzi nas na mordercę. JB

Tym razem odgłos protestu był głośniejszy. Siedzący niern na końcu sali Dean Lynch uśmiechnął się lekko. Zerknął w stro Kate, lecz zaraz umknął wzrokiem, zorientowawszy się, że P' cjantka patrzy w górę auli.

„(3rath uniósł rękę, chcąc przywrócić na sali porządek, jednie od razu go posłuchano. Głosy cichły powoli, a szepty fl7.1" ;eszcze dobre parę minut po tym, jak inspektor dał do zro-tniienia, że jest gotów mówić dalej.

?l"swói kolejny ruch Jack McGrath obmyślał godzinami. Wie-, . . , fe szarżuje, ale nie miał wyjścia. Wsunął rękę do we-•irznej kieszeni marynarki i wyjął stamtąd brązową kopertę. Otworzył ją ' wydobył złożoną kartkę papieru, wiedząc, że oczy wszystkich uważnie go śledzą. Starannie rozłożył kartkę i umieścił ją przed sobą na blacie.

Minionego wieczoru otrzymaliśmy pewną informację. — Kiedy zamilkł na chwilę, w auli panowała grobowa cisza. Słuchacze z napięciem czekali na jego następne słowa. — W chwili gdy to mówię, informacja jest dokładnie sprawdzana. Niewykluczone, że na jej podstawie wkrótce będziemy mogli dokonać aresztowania. Z dziesiątek płuc wypuszczono wstrzymywane powietrze. Dean Lynch wciąż lekko się uśmiechał. W środku aż trząsał się ze śmiechu. Zdażył już podmienić taśmy i odsłuchać nagrania porannej odprawy. Wiedział, że McGrath i jego ludzie nie wiedzą dosłownie nic.

— Jednakże — kontynuował McGrath, czepiając się swojej szansy jak tonący brzytwy — nie będziemy mogli zrobić użytku przekazanej nam informacji, dopóki nie skończymy sprawdzać alibi każdego z męskich członków personelu CSP. Proszę z nami współpracować, a wydam polecenie, by laboratorium otwarto jeszcze w tym tygodniu.

Złożył na powrót kartkę papieru, schował ją do koperty i ca-°sc umieścił w kieszeni marynarki. Gdy tylko z auli wyszedł ostatni lekarz, Dowling odciągnął c(jratha na bok i z podnieceniem spytał: Co to za informacja? rai Gówniana — odparł inspektor, wzruszając ze znużeniem jonami. — Moje zamówienie wczorajszego lunchu, ony Dowling jęknął z zawodu.

Moratorium otwarto jeszcze tego samego popołudnia.

pospiesznie zorganizowana sesja zdjęciowa odbyła się w im-Jącym hallu Centralnego Szpitala Położniczego o wpół do

1

163

szóstej wieczorem. Na miejscu była ekipa telewizji RTE, dzierz karze prasowi z gazet i kolorowych czasopism, a nawet reporter' radiowi. Nie zabrakło także wysłanników magazynu „Hello" Luke Conway stanął przed zgromadzonymi i odczytał z kart ki

przygotowane zawczasu króciutkie oświadczenie. Zakończ słowami:  
— Dziękuję państwu za przybycie pomimo pozostawiając wiele do życzenia pogody oraz tego, że powiadomiliśmy państwa dosłownie w ostatniej chwili. To jednak zrozumiało, że nikt z was nie chciał przegapić okazji zobaczenia szczęśliwej pary... o, przepraszam...

szczęśliwej rodziny tuż przed tym, zanim opuszczą szpital.

Kamery cicho buczały, flesze błyskały.

Zza pleców Conwaya wyłonił się uśmiechnięty od ucha do ucha Harry O'Brien pchający przed sobą wózek inwalidzki, w którym siedziała jego żona. Cały sztab kosmetyczek, wizażystek i fryzjerek pracował nad Sandrą od bladego świtu, toteż pani O'Brien i świeżo upieczona mama Gordona w jednej osobie wyglądała cudnie, choć bystre oko lekarza lub bliskiej osoby bez trudu wychwyciłoby ślady ostatnich przejść. Dla reporterów jednak liczyła się tylko powierzchowność. To, że długie jasne włosy miała spięte z tyłu głowy, dzięki czemu zostały wyeksponowane jej szlachetne rysy i wysokie kości policzkowe, jak również pełne zmysłowe usta i zniwalaający uśmiech. Najślynniejsza modelka Irlandii błyszczała urodą mimo niedawnej ciąży i ciężkiego porodu.

Za szczęśliwą parą drobiła June Morrison trzymająca w ramionach O'Briena juniora. Dziecko okrywał koronkowy szal, tak że jego twarzyczka i zadziwiająco bujne blond włoski były ledwo widoczne. Położna ostrożnie przekazała noworodka matce, która odwróciła się do kamer.

Trzask zwalnianych migawek, flesze lamp błyskowych. Matka i dziecko zostali uwiecznieni.

Następnie Harry O'Brien stanął za wózkiem, pozując \* pierwszego rodzinnego zdjęcia. Fotograf pracujący dla „Hell°-uwijał się jak w ukropie, strzelając fotkę za fotką.

Wreszcie rozpoczęła się zaimprovizowana konferencja Prasowa. Prezes O'Brien Corporation udzielał odpowiedzi na P;

164

■ uśmiechem na twarzy, podobnie jak czynił to wiele razy ta'1'a7eszłości, wypowiadając się na temat sytuacji firmy. Jak za-We imponował sylwetką i postawą w starannie dobranym gra-yrn garniturze w drobnajodelkę, śnieżnobiałej wykrochma-koszuli i jedwabnym granatowym krawacie w wielkie białe rochy. Z kieszonki na piersi wystawała figlarnie ciemnoróżowa chusteczka. Włosy miał niemal gładko przyczesane i w ogóle zdawał się wszystko w pełni kontrolować.

Kiedy mówił, ani na moment nie wypuszczał z rąk uchwytów wózka, na którym spoczywała jego żona i syn.

Nie, Sandra i Gordon nie opuszczają szpitala ze względu na prowadzone dochodzenie. Po prostu prognozy zapowiadają nagłe pogorszenie pogody, a on pragnie, by żona i syn dotarli do domu bezpiecznie, nim spadnie śnieg.

Nie, nie podjął tej decyzji w obawie o ich bezpieczeństwo na terenie Centralnego Szpitala Położniczego.

Tak, żywi niczym nie hamowane zaufanie do personelu CSP. Czyż najlepszym dowodem na to nie jest, że zabiera ze sobą doświadczoną pielęgniarkę? — Przyciągnął do siebie June Morrison, co natychmiast wywołało kolejną serię fleszów i trzasków. Starsza kobieta uśmiechała się spokojnie do kamer i obiektywów.

Tak, to wspaniałe uczucie być znowu ojcem. Jest przeszczęśliwy, mając znowu rodzinę. — Posłał Sandrze promienny uśmiech, ona zaś odpowiedziała mu jednym z tych, które w przeszłości sprawiały, że serca dojrzałych mężczyzn stawały w pół uderzenia.

Fotoreporterzy deptali sobie po odciskach, żeby tylko uchwycić ten moment.

Tak, jest bardzo zadowolony z opieki, którą otoczono Sandrę Gordona w CSP. Szczególną wdzięczność żywi za to, iż tak szybko i skutecznie zareagowano, kiedy mały Gordon popadł w kłopoty. Przy tej okazji składa serdeczne podziękowanie doktorowi Morganowi, który dbał o Sandrę przez długich z dwadzieścia miesięcy... — Morgan wysunął się na pierwszy plan upki gapiów i podszedł do O'Briena, który uściśnął mu mocno rękę. Błysk, trzask, szuuu... Tom Morgan wyglądał tak lernsko przystojnie, że niemal przyćmił Sandrę. Jak dotąd nie padło ani jedno słowo o Deanie Lynchu.

i

165

Tak, naturalnie, że chciałby również podziękować zespołowi pediatrów, którzy odegrali tak znaczącą rolę w dotychczasowym życiu jego syna. — Paddy Holland na moment pokazał się dziennikarzom.

Nerwowym ruchem przejechał po krótkich ciemnych włosach, drugą ręką poprawiając okulary, czym chciał nadać sobie poważniejszy wygląd.

Wydawał się zażenowany uwagą, ja mu się poświęca, i skrył się wśród gapiów tak szybko, jak to było możliwe.

Dziękując przedstawicielom mediów za zainteresowanie i rozdając wokół uśmiechy, Harry O'Brien pchnął wózek z żoną i czterodniowym



synem, kierując się ku drzwiom, za którymi czeka) na niego mercedes z szoferem. June Morrison miała pojechać za nimi range-roverem prowadzonym przez Dempseya.

Theo czuł niewysłowioną ulgę, pokonując kolejne kilometry na drodze z centrum Dublina do rodzinnej posiadłości swojego szefa. Odkąd Sandra O'Brien trafiła do szpitala, czuł narastający niepokój — zwłaszcza po tym, jak doszło tam do niewyjaśnionego morderstwa.

Mógł mieć pewność, że ludzie, za których jest odpowiedzialny, w domu będą o wiele bezpieczniejsi.

Wieczorem w bibliotece odbyło się ostatnie tego dnia zebranie detektywów.

Każdy mężczyzna pracujący w Centralnym Szpitalu Położniczym został już przesłuchany. Ośmiu spośród nich nie miało alibi na wtorkowy wieczór jedenastego lutego. Znalazło się wśród nich pięciu lekarzy i trzech zwykłych pracowników. Ze wspomnianej piątki dwaj nazywali się: Dean Lynch i Tom Morgan.

Detektyw, który przesłuchiwał Toma Morgana, nie miał wątpliwości.

- Oślizgły z niego gość — relacjonował. — Bez przerwy robi uniki. Nie odpowiadał wprost. Wahał się i mruczał. W końcu, ja go przycisnąłem do muru, powiedział, że był w kinie. Sam? zapyta" łem. Zmieszał się i bąknął, że często chodzi do kina sam, bo lubi-Spytałeś, na jakim był filmie? — chciał wiedzieć  
ling.

L Si?

Jasne. Sprawdziłem godzinę, seans i kino. Wszystko zgadza. Mimo to wciąż coś mi tu śmierdzi. Uważam, że na'eZ go wziąć pod lupę.

166

IVlcGrath zanotował to sobie i przeniósł wzrok na Kate.

Ja przesłuchiwałam doktorów Deana Lyncha i Paddy'ego Hollanda.

No i?

Obaj wydali mi się bardzo rozsądni i prawdomówni. Lynch to ginekolog mieszkający samotnie w Ballsbridge... — zajrzała do notatek. — „The Elms”, mieszkanie dwadzieścia trzy. To taki czynszowy apartamentowiec niedaleko Baggot Street. Twierdzi, że cały wieczór spędził w domu, oglądając telewizję.

Pytałaś go, co oglądał? — wtrącił znowu Dowling.

Oczywiście — odparła Kate. — Zastanawiał się przez chwilę, żeby sobie przypomnieć, i podał tytuły paru programów. Jeszcze

nie zdążyłam sprawdzić z gazetami...

— Dobrze, zrób to jak najszybciej — polecił McGrath.

Zupełnie niepotrzebnie. Wersja Deana Lyncha nie miała słabych punktów. Przed wyjściem z domu wieczorem jedenastego lutego nastawił magnetowid tak, żeby nagrał cztery różne programy. Co więcej, zdążył je już obejrzeć. Zawsze dobrze zorganizowany Deano postanowił, że jeśli dojdzie do najgorszego, będzie miał zapewnione alibi.

Doktor Holland to z kolei pediatra — ciągnęła Kate — ale taki, co zajmuje się noworodkami. Strasznie miły z niego człowiek.

— Kuba Rozpruwacz też się taki wydawał.

W bibliotece rozległy się śmiechy, zaraz jednak wszyscy spoważnieli.

- Tak czy inaczej, doktor Holland także był u siebie w domu, w Donnybrook. Mieszka przy Angelsea Terrace cztery z dwójką dzieci.

- Nie ma żony? — zdziwił się McGrath.

Trzy lata temu zmarła na raka — poinformowała Kate. . . Cholera — mruknął ktoś ze współczuciem. Parę osób podało głowami i wymieniło uwagi na temat podłości życia. . . A dzieci? — dopytywał inspektor. — Były z nim tamtego leczoru?

..... Nie. Zawiózł je wcześniej do domu przyjaciół w Blackrock to fdawała raport Kate, posiłkując się notatkami. — Wygląda na ' tamtej nocy był w domu sam.

167

— W takim razie jemu też trzeba przyjrzeć się dokładni — rzucił rozkazująco McGrath.

Kolejno przedyskutowano pozostałych pięciu mężczyzn nie mających alibi. Jeszcze tylko jeden, kucharz szpitalnej stołów-wydał się podejrzany przesłuchującemu go policjantowi i on tak że trafił na cenzurowane.

McGrath podzielił zespół na dwie grupy; pierwsza miała sprawdzić podane przez wszystkich alibi, druga zaś przypatrzeć się uważnie tym, którzy nie mieli świadków na to, co robili we wtorek wieczorem. Kolejno opuszczali pomieszczenie, kiedy zadzwoniła komórka inspektora.

— Jack, tutaj Mike Loughry. Jak ci idzie?

McGrath natychmiast stał się czujny. Nadinspektor rzadko do niego telefonował, raczej czekając na regularne raporty — chyba że coś było bardzo nie tak.

— Doskonale, Mike. Nareszcie udało nam się zmusić lekarzy do współpracy.

— To dobrze. Słuchaj, Jack... Chciałbym porozmawiać z tobą o sprawie...

— Jasne. — McGrath zyskał pewność, że będą kłopoty. Pytanie, jakie dokładnie. — Kiedy ci odpowiada?

— Może jutro? Wiem, że to sobota, ale naprawdę powinniśmy pogadać. Co powiesz na dziesiątą w moim biurze?

— Zgoda.

— Świetnie. W takim razie do zobaczenia.

Z tymi słowy nadinspektor Mike Loughry wyłączył się. W słuchawce McGratha zapadła głucha cisza.

Jack pogładził się po wąsie, zastanawiając się, co takiego się wydarzyło, że szef nie dość, że sam się do niego odezwał, to jeszcze wyznaczył spotkanie na weekend. Coś musiało być bardzo nie tak...

Lynch odczekał godzinę od wyjścia ostatniego policjanta

1 dopiero wtedy zakradł się do biblioteki po taśmy. Wymienił baterie w dyktafonach i umieścił czyste taśmy, po czym postawił opasłe tomy z powrotem na półce i upewnił się, że nie rzucają się w oczy.

XXIV

Godzina 22.07 Beechill, rezydencja O'Brienów w hrabstwie Wicklow  
Wybudowana w czasach wiktoriańskich rezydencja przez lata należała do rodziny o mieszanych, angielsko-irlandzkich korzeniach nazwiskiem Burge. Odbywały się tam jedne z najbardziej ekstrawaganckich przyjęć swoich czasów i tak głośne, że nie dorównywały im

żadne wcześniejsze ani późniejsze, jakie kiedykolwiek miały miejsce w hrabstwie Wicklow. Pokąźnych rozmiarów budowlę otaczała dwunastoakrowa posiadłość, tuż przy domu zamieniona w wymuskane ogrody, dalej zaś przechodząca w park będący częścią naturalnego starego drzewostanu. Przez długi czas doroczne polowanie w dzień świętego Stefana rozpoczynało się u bram Beechill i kończyło wielkim balem, na który zjeżdżały się wyższe sfery z całej Irlandii, a nawet z zagranicy. Bogacze spędzali ranek w siodle, po południu najeżdżali pobliską wioskę Roundwood, słynącą z malowniczości, wieczór zaś 1 większą część nocy wirowali na parkiecie olbrzymiej sali położonej na tyłach pierwszego piętra. Tradycja ta uległa

przerwaniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku, kiedy o w wyniku straszliwego wypadku Harry O'Brien stracił swoich "najbliższych".

Teraz, siedząc w swoim gabinecie i przypatrując się nabrzmia-11111 chmurami niebu, grożącemu śniegiem w każdej chwili, rry O'Brien zdecydował się wskrzesić obchody dnia świętego e ana, łącznie z polowaniem i balem. Nadszedł czas na nowy Początek.

Jako człowiek, który nigdy nie poświęcał zbyt wiele myśli eszłości, koncentrując się na terażniejszości i tym, co dopiero 169

go czeka, Harry O'Brien szybko odzyskał spokój ducha i poc?u cie szczęścia. W niepamięć odeszły długie, czarne dni picia d0 lustra i użalania się nad sobą; ustąpiła depresja i marazm. „Life must go on” — jak mówiły słowa znanej piosenki, będące zara zem mottem życiowym prezesa O'Brien Corporation.

Jego syn Gordon właśnie zasypiał nakarmiony piersią pr2e? matkę pod czujnym okiem June Morrison. Spoczywał w koły. see w pokoju dziecinnym, gdzie z kolorowej tapety spoglądały na niego postaci z disneyowskiej wersji „Kubusia Puchatka”: Miś o Bardzo Małym Rozumku, Kłapouchy i Prosiaczek. Sandra leżała w łóżku w pokoju obok, wciąż zmęczona przejściami ostatnich dni i otumaniona przez środki przeciwbólowe, które miały zmniejszyć ból blizny po niespodziewanym cesarskim cięciu. Harry zajrzał do niej parę minut temu i z rozczeniem stwierdził, że nigdy przedtem nie wydawała mu się tak urocza. W jego sercu wezbrała potężna fala miłości, gdy patrzył na swoją żonę, śpiącą ufnie z rozpuszczonymi długimi jasnymi włosami. Wracając do gabinetu, nie zdołał się powstrzymać i po cichutku wszedł do pokoju dziecinnego, aby przyjrzeć się synowi. Stał nad kołyską, w duchu dziwując się meandrom życia. Nie przypominał sobie, by mając pierwszą rodzinę, kiedykolwiek wykazywał tyle zainteresowania i troski o najbliższych. Był wówczas nazbyt zajęty budowaniem potęgi swojej firmy. Tym razem będzie inaczej — obiecał bezgłośnie malcowi. — Tym razem znajdę czas, byśmy się dobrze poznali. Zobaczysz, ile frajdy nas czeka...

Nachylił się i odsunął róg kocyka zasłaniający twarzyczkę chłopca. Bezwiednie zamarł w bezruchu, sądząc, że obudził dziecko, i czym prędzej cofnął rękę. Zaraz jednak, nabrawszy pewności, że Gordon nadal smacznie śpi, znów się pochylił i złożył na maleńkim czółku

pocałunek. Natychmiast poczuł charakterystyczny zapach niemowlęcia i musiał się wyprostować, n'e chcąc, by zbierające mu się pod powiekami łzy skapnęły na Gordona. W gardle czuł ucisk, pamiętając, kiedy ostatni raz dane mu było doświadczyć podobnego wzruszenia.

Tym razem, Gordonie — kontynuował przyrzeczenia w flv ślach — będziemy sobie chodzić na ryby, jeździć konno i Pea' łować po wzgórzach na rowerze. Przekonasz się, ile frajdy naS

170

i... Lepiej jedz grzecznie wszystko, co przygotowuje dla ciebie i r°śniJ zdrowy i silny-

111 przejechał palcem po niesfornym kosmyku niemowlęcych włosów.

Miech Bóg ma cię w opiece, Gordonie — szepnął Harry O'Brien. — Ja też zrobię co w mojej mocy, by cię chronić. Nie będzie żadnych wypadków samochodowych, zobaczysz. Bóg i tata tego dopilnują.

Harry O'Brien zwrócił się ku Bogu i religii całkiem niedawno — tuż po tym, jak została potwierdzona ciąża jego żony i uświadomił sobie, że znów będzie miał rodzinę. Odbierał to tak, jakby sam Pan Bóg dał mu drugą szansę, obiecując, że nic złego go już nie spotka. Czasami żywił przekonanie, że nikt inny nie wycierpiał się tyle co on, że trafił do piekła i tylko cudem udało mu się stamtąd umknąć. Nie miał zamiaru tego zaprzepaścić. Musiał rozpocząć życie od nowa, gdyż teraz miał syna, dla którego znowu było warto żyć. Z ufnością patrzył w przyszłość, wiedząc, że Bóg nie pozwoli, by komukolwiek z jego rodziny stała się krzywda.

Niestety, mylił się.

Tommy Malone nie wierzył w Boga.

Gang Malone'a zamierzał uderzyć nocą.

Prognozy pogody z coraz większą pewnością zapowiadały °pady śniegu, zwłaszcza w wyższych rejonach, a to oznaczało, że Północna część hrabstwa Wicklow zostanie zasypana w pierwszej kolejności. W konsekwencji drogi miały stać się nieprzejezdne. Tom my Malone nie zamierzał ryzykować i zwlekać z początkiem akcji.

Wyruszyli wieczorem w stronę Newbridge w hrabstwie Kil-dare-Moonface prowadził volvo, które zaparkował na parkingu otelu Stand w Curragh. Założywszy prymitywną blokadę na Wał kierownicy i pedał gazu i wyjąwszy akumulator (w okolicy roił0 się od złodziei

samochodowych pozbawionych skrupu-k przesiadł się do dżipa prowadzonego przez Sama Collinsa.

c, epłym wnętrzu, ogrzewanym bez żadnych ograniczeń, sie-2le' poza tym: Tommy Malone na siedzeniu pasażera i Peggy

171

Ryan na tylnej kanapie. Kobieta, do której teraz dołączył M ligan, pełna była obaw i nadziei. Z tyłu za nimi, w obszern ' przestrzeni bagażowej, leżał zgromadzony skrupulatnie sprz młot, broń, amunicja, rozmaite urządzenia elektroniczne służące do unieszkodliwiania alarmów, skórzane rękawiczki, kominiarł i przenośny koszyk dla niemowlęcia. Na razie w koszyku spoczwł wało pół kilograma semtexu.

— Całe szczęście, że padło na dżipa — mamrotał Collins, ob. serwując, jak wycieraczki radzą sobie z coraz gęściej padającym śniegiem. Jezdnia była wciąż czarna i w miarę sucha, jednakże pobocza, gałęzie drzew i szczyty wiecznie zielonych żywopłotów zaczynały się już bielić i skrzyć w świetle samochodowych reflektorów.

— Uhm — przytaknął zamyślony Malone. — Dobrze, że nie mamy długiej drogi przed sobą...

Tommy Malone martwił się nie tyle pogodą, ile czekającym ich zadaniem. Choć miał za sobą bujną kryminalną przeszłość — brał dotychczas udział w wymuszeniach, porwaniach, a nawet morderstwach — coś niepokoiło go w planie, który sam opracował. Czuł pewność, że wszystko pójdzie po jego myśli, toteż nie ich sukces stawiał pod znakiem zapytania. Niepokoił go raczej ich cel: nowo narodzone dziecko. Raz po raz musiał więc sobie przypominać, dlaczego niemowlę jest idealnym celem kidnapingu. Mimo że jego argumenty z łatwością trafiły do Peggy i pozostałych członków gangu, jego samego nie potrafiły jakoś uspokoić.

Porwiemy gówniarza, co do tego nie ma dwóch zdań — tłumaczył sobie w duchu. — Pieniądze, kurdefelek, też dostaniemy, bo Harry O'Brien beknie tyle, ile zaśpiewamy. Ale jaka będzie reakcja na nasz czyn?...

Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek porwano noworodka. Biznesmenów, bankierów, przemysłowców, ich żony, nawet jakiegoś zamożnego dentystę... Ale dziecko?...

Wyrzuci! te myśli z głowy, kiedy wjechali do Roundwood-Była dwudziesta trzecia pięć.

Tuż zanim skoncentrował się na planie i jego realizacji, uznał-że zawsze

musi być pierwszy raz. Pocieszał się, że kiedy oni dostaną pieniądze, a rodzice całego i zdrowego dzieciaka, sprząść dość szybko ucichnie i wszystko przyschnie.

172

podjeżdżali do Beechill od strony Newbridge, przedzierając bocznymi drogami. W aucie panowała cisza; każdy pogrążony ft we własnych rozmyślaniach.

Wcześniej, w chacie, wielokrotnie przeanalizowali plan punkt nunkcie. Przez długie godziny ślęczeli nad mapami hrabstwa Wicklow i narysowanym przez Malone'a rozkładem rezydencji, rzeczając się i dochodząc do zgody, kto zrobi co o jakiej porze dla czego tak, a nie inaczej. W końcu dopracowali ostatecznie szczegóły, ustalając dokładny przebieg akcji. Byli gotowi.

Na rogatkach Roundwood w zasięgu światła reflektorów znalazł się nagle samotny wóz. Kierowca terenowego mitsubishi zwolnił, pozwalając się wyprzedzić. Był to jedyny samochód, jaki minęli na odcinku od Annamoe. Choć o tym nie wiedzieli, ich cherokee z tego samego względu zwrócił uwagę kierowcy wyprzedzonego auta.

Sam Collins zatrzymał się na chwilę przed wielką żelazną bramą Beechill i raz jeszcze sprawdził mechanizm. Zajrzał na dziedziniec pomiędzy grubymi prętami, wskoczył do samochodu i odjechał kawałek. — Coś nie tak? — spytał go Malone. Collins pokręcił przecząco głową. To będzie łatwizna — zapewnił. — Po prostu nie chcę, żeby skrzydła bramy zatarasowały przejazd. Nic się nie martw, Tommy. Wszystko pójdzie jak z płatka.

Siedzący na tylnym siedzeniu Moonface dłuhał w nosie i zastanawiał się, czy będzie miał okazję postrzelać sobie z przydzielonego mu przez Sama karabinu. Ręce aż go świerzbiły, żeby kogoś zatrzelić. Był ciekaw, jak to jest zabić człowieka z broni Palnej.

Peggy Ryan drżała pomimo narzuconego na ramiona grubego Płaszczka. Chociaż jej własny mąż był przestępcą na długo przed 'ym, zanim go poznała, ona sama nie brała nigdy udziału w żadnej poważnej „robocie”. Kiedy dżip przemierzał ostatecznie metry Sutrowej drogi prowadzącej wzdłuż wysokiego kamiennego lodzenia, Peggy poczuła, że cała się trzęsie i nie umie nad tym zapanować.

Dobra — rzucił Malone, gdy się zatrzymali. — Martin e8gy, zostajecie w wozie do czasu, kiedy damy wam znać.

173

Nim skończył mówić, Collins już wysiadł z samochodu i zaczął wypakowywać sprzęt z bagażnika.

Moonface i Peggy niespokojnie poprawili się na tylnej kanapie. Tommy popatrzył na nich, zanim otworzył drzwi.

— Jak już was zawołam, pamiętajcie, żeby mieć założone rękawiczki i kominiarki — dodał. ■ a

— Jasne — wymamrotał Moonface. Gdy dwie ledwie widoczne sylwetki zginęły w mroku, odwrócił się do Peggy i Z3py tał: — Wszystko gra?

Kobieta w milczeniu skinęła głową, nie przestając drzeć jak osika. Zardzewiałe zawiasy drewnianej bramy ustąpiły pod trzecim uderzeniem młota w rękach Collinsa. Była dwudziesta trzecia siedemnaście w piątek czternastego lutego. Niecałą minutę później Tommy Malone stał wewnątrz ogrodzenia, na terenie posiadłości należącej obecnie do rodziny Harry'ego O'Briena. Był ubrany cały na czarno, twarz zasłaniała mu wełniana kominiarka, dłonie okrywały grube skórzane rękawiczki. W prawym ręku trzymał Smitha & Wessona kaliber .38. Za plecami miał podobnie odzianego Sama, który był uzbrojony w karabin maszynowy i niósł niezbyt ciężką torbę. W środku tkwiły specjalistyczne urządzenia elektroniczne, którymi Collins umiał posługiwać się w takich sytuacjach jak mało kto.

Godzina 23.21

Harry O'Brien zgasił stojącą na biurku lampę, przeciągi się, aż strzeliły mu kości, ziewnął szeroko i podszedłszy do okna-zapatrzył się na pokryte cienką warstwą bieli trawniki. Nie dostrzegł dwu postaci przemykających w kierunku oranżerii.

Collins, dotarłszy do będącego częścią rezydencji dobudowana w początkach dwudziestego wieku, proporcjonalnie niewiele i niemal w całości przeszklonego skrzydła, znalazł jedn<sup>o</sup> z większych okien i przykleił do przezroczystej tafli dwa kawałki plastiku, które przypominały na poły filiżanki, a na poły uchwyt

174

— pnie, używając przenośnego palnika acetylenowego, stopił orzywo PCW otaczające szybę, naruszając w ten sposób ramę, tW'ra potem łatwo ustąpiła. Jego działanie nie wywołało alarmu, nie waż firma zakładająca system alarmowy w Beechill skupiła a Otwieralnych i uchylnych oknach, na ogół będących celem S łamywaczy. Szef Alarexu pomimo doświadczenia nie przewidział, że ktoś zechce włamać się przez nie dające się otworzyć, wmontowane na stałe panoramiczne okno



oranżerii.

Gdyby znał Tommy'ego Malone a, zastanowiłby się dwa razy.

Godzina 23.32

Malone i Collins byli gotowi do wtargnięcia na teren rezydencji. Tuż po tym jak Sam wszedł przez zdjęte okno do środka, Tommy powiedział szeptem parę słów do radiostacji i Moonface potwierdził odbiór wiadomości.

Godzina 23.43

Pomimo panującego na dworze ziąbu Mulligan pocił się pod wełnianą kominiarką. Zgrzany jak nieboskie stworzenie dotarł do oranżerii, w jednym ręku trzymając swój pistolet, w drugim zaś obrzyna, którego zaraz przekazał Tommy'emu. Jak duchy przemoczyli niewielki murek i znaleźli się w środku. Collins zdążył ■ unieszkodliwić system alarmowy, za który szef Alarexu słono s°bie policzył, a teraz przecinał kable telefoniczne. Harry O'Brien Us'yszał ciche brzęknięcie aparatu w gabinecie, ale skoro się nie Powtórzyło, zignorował je, czując ogarniającą go senność. I Włamywacze poruszali się zgodnie z planem: Collins i Ma-e sprawdzali parter, gdzie z zewnątrz widzieli jakieś światła, °Tiiast Martinowi przypadło w udziale zaciemnione piętro.

Jeden ruch i twój mózg zbryzga ściany!

175

Harry O'Brien natknął się na Malone'a i Collinsa, wychodź z gabinetu z zamiarem udania się na spoczynek. Nim przestap próg i znalazł się w holu, w jego pierś wycelowane były dwie luf Tommy zdecydowanym ruchem wepchnął O'Briena z powrotem do pomieszczenia, gdzie mężczyzna został zakneblowany i przy. wiązany do krzesła.

Tommy przeszedł do wykonywania swojego stałego numeru Uważał, że wzmacnia on jego autorytet, pokazując ofierze, gdzie jej miejsce, i wyzwalając pokłady poddańczości w najbardziej butnym człowieku.

Staął przed O'Brienem na rozkraczonych nogach, uniósł dłoń ze smithem & wessonem, zwolnił kurek, przycisnął lufę do czoła skrepowanego mężczyzny i zaczął powoli ciągnąć za spust. Harry O'Brien przymknął dotychczas szeroko rozwarte oczy.

Klik. Iglica uderzyła o pustą komorę.

— To nie rosyjska ruletka, Harry. W następnej komorze na pewno jest nabój — syknął Malone. Zaczekawszy, aż oczy ofiary otworzą się, dodał: — I we wszystkich dalszych też. Jeśli chcesz zostać bohaterem,

sprowokuj mnie, a przekonasz się, że mówiłem prawdę.

Harry O'Brien wysilał wzrok, lecz w ciemnościach ledwie widział odzianą na czarno postać.

Mniej więcej w tym samym czasie Theo Dempsey został wyrwany ze snu. Do boku jego głowy ktoś przyłożył zimną lufę innego Smitha & Wessona kaliber .38. Collins pośpiesznie zaprowadził go do gabinetu, gdzie ochroniarz dołączył do swego szefa. Siedzieli plecami do siebie na dwóch stykających się oparciach krzesła, związani jak balerony.

June Morrison właśnie przewracała się z boku na bok, gdy do jej sypialni wtargnęli Moonface z Collinsem. Zaczęła krzyczeć, kiedy poczuła na sobie czyjeś ręce, jednakże silne męskie dłonie zdławiły wołanie o pomoc. W okamgnieniu została wyciągnięta z łóżka, usadzona w fotelu i skrupowana, tak że nie mogła poruszyć ani ręką, ani nogą.

Chwilę później usta zatkał jej knebel, na którym ktoś prze wiązał szeroki kawałek materiału. Kiedy włamywacze wychodził li na korytarz, kobieta walczyła o oddech, mając zakryty równe nos.

176

W pokoju Sandry znaleźli się we trójkę. Chcieli postąpić z nią sarno jak z pozostałymi, jednakże okazało się, że młoda ko-ta ta śpi kamiennym snem. Kiedy któryś przytknął zimną lufę do • skroni, machnęła ręką, jak gdyby opędzała się od uprzykrzo-J homara. Malone potrząsnął nią, najpierw delikatnie, później nieco mocniej, wszystko nadaremnie. Delikatna kobieca dłoń odepchnęła go, Sandra zachrapała i dalej spała w najlepsze. Tommy postanowił dać jej spokój.

Zostawcie ją — rozkazał szeptem i skinieniem głowy wskazał drzwi.

Gordon O'Brien również spał, kiedy weszli do pokoju dziecinnego. Skrzywił się i zakwilił, wierzgając, gdy z kołyski wyjęły go wielkie twarde dłonie Mulligana, lecz nie przebudził się ani na chwilę. Krótco potem Harry O'Brien usłyszał stłumione „bum!” — to Collins odpalił ładunki semtexu przymocowane do bramy. Szyby w oknach zadźwięczały złowieszczo. Siedzący przodem do okna Dempsey dostrzegł wóz terenowy podjeżdżający od bramy do drzwi frontowych.

Moment później rozległ się odgłos otwieranego wejścia — najpierw ustąpiły łańcuchy, następnie zasuw, wreszcie zamki. Ktoś otwierał

drzwi od wewnątrz.

Nikt jednak nie wyszedł na dwór. W holu rozległy się kroki i w gabinecie O'Briena pojawiły się cztery zamaskowane postacie.

Theo Dempsey poczuł, że jego szef sztywnieje. Odwrócił głowę akurat na czas, by zobaczyć, jak dziecko przekazywane jest z r3k

wysokiej, zwalistej postaci w ramiona kogoś niższego 'drobniejszego.

Czwórka porywaczy stała przez chwilę w milczeniu, pozwa-aJąc, by scena ta utrwaliła się w duszy O'Briena. Mężczyzna wo-  
od jednej zamaskowanej twarzy do drugiej, aż w końcu jego Zr°k  
zatrzymał się na synu.

W oczach miał rozpacz.

Zgrozę.

Irach o życie nowo narodzonego potomka, ofiaT°mmy a'one przykazał swoim ludziom, by w obecności

l n'e odzywali się, porozumiewając raczej gestami niż słowa-'• tali więc teraz w złowrogim milczeniu, z zakrytymi twarza-

177

mi i bronią wycelowaną w pierś O'Briena, podczas gdy ich pr wodyr wyciągał z kieszeni czarnej jak noc parki brązową kone formatu A4.

- Wszystko co powinieneś wiedzieć, jest tutaj, Harry oznajmił Malone. —

To by było na tyle od nas. — Lśniący kształt pistoletu

zawisł nad główką dziecka. — Pamiętaj, że sprawa jest bardzo prosta. Ty nam przekazujesz pieniądze, my tobie oddaje my dziecko.

Rozwarte przerażeniem oczy O'Briena błagały o litość, mężczyzna szarpał gwałtownie głową, jakby w zaprzeczeniu tego, co się przed nim rozgrywało.

Malone skinął i Moonface wystrzelił z obrzyna w sufit. Na obu przywiązanych do krzeseł mężczyzn spadł deszcz tynku. Gordon O'Brien przebudził się i nabrawszy powietrza w płuca, zaczął ryczeć jak syrena. Rozkopał się z okrywającego go kocyka i jał wymachiwać cienkimi rączkami i nóżkami na wszystkie strony.

— Nie ma pieniędzy, nie ma dziecka — rzucił Malone na pożegnanie.

Peggy Ryan, biegnąc za kompanami, wsunęła w usta niemowlęcia smoczek, lecz to nie pomogło. Płacz nadal był ogłuszający. Harry O'Brien słyszał go, dopóki dziecko nie znalazło się w samochodzie, który zaraz pośpiesznie odjechał, nim jeszcze zatrzasnęły się wszystkie drzwi.

Mknęli z powrotem do Kilcullen drogą biegnącą szerokim wąwozem

między wzgórzami, mijając kolejno Cloghleaigh Bridge i Manor Kilbridge, pozwalając sobie na taką prędkość, jaka była możliwa w podobnych warunkach. Czterdzieści osiem minut po północy byli już w Newbridge, mając za sobą kluczenie po bocznych drogach, coraz bardziej przypominających ślizgawkę. Stanąwszy w pobliżu parkingu hotelowego, wstrzymali się ze zmianą aut tylko dlatego, że Peggy Ryan wciąż nie zdołała uciszyć drącego się Gordona.

Sam Collins ustawił zapalnik włożony do baku dżipa na pięć minut. Właśnie podjeżdżali volvem do chaty, kiedy daleką za ich plecami cherokee wyleciał w powietrze, budząc wszystkie gości hotelu i połowę mieszkańców najbliższej okolicy.

Tuż po pierwszej w nocy w sobotę piętnastego lutego Tommy'ego Malone'a siedział w kuchni, popijając herbatę.

178

Ich wszystkich widoczne było podniecenie wywołane ostatnimi wydarzeniami i uniesienie, jakiego dostarczała nadzieja na n'1' Gordon

O'Brien ssął łapczywie smoczek butelki, w której Peggy rozrobiła mleko dla niemowląt. Przynajmniej na ten czas zaniechał płaczu.

Tommy Malone uniósł w toaście kubek z herbatą.

Brawo, wszyscy. Brawo.

Uśmiechali się do siebie jedno po drugim.

W Beechill w hrabstwie Wicklow oszalałe krzyki Sandry O'Brien niosły się echem po całej rezydencji.

DZIEŃ SZÓSTY

XXV

Sobota, 15 lutego, godzina 06.45

Kate Hamilton już nie spała, kiedy zadzwonił telefon.

W łóżku obok niej leżał drzemiąc Rory, który przytuptał ze swojego pokoju i wgramolił się do niej pod kołdrę o czwartej siedemnaście nad ranem — była w stanie dokładnie podać godzinę, ponieważ spojrzała na budzik z elektronicznym wyświetlaczem. Resztę nocy spędziła usiłując znaleźć takie miejsce, do którego nie sięgną długie nogi syna, który zawsze spał niespokojnie.

Podniosła słuchawkę, zanim rozbrzmiał drugi sygnał dzwonka, nie chcąc budzić chłopca zbyt wcześnie.

— Słucham.

- Czy to Kate Hamilton? Sierżant Kate Hamilton?

— Tak. Kto mówi?

■— Pani sierżant, tutaj Mike Loughry.

Kate usiadła prosto i przyłożyła dłoń do mikrofonu słuchawki.

Proszę? — szepnęła z niedowierzaniem, sądząc, że się Przesłyszała. K t o do niej dzwonił?

Mike Loughry — powtórzył rozbudzony głos. — Nadinspektor Mike Loughry.

Przez ułamek sekundy myślała, że ktoś stroi sobie z niej żar- ale zaraz postanowiła potraktować rozmówcę poważnie — tła SZelk wypadek.

Ach tak... Co mogę dla pana zrobić? — Tylko tyle zdołała Pok na r°wn' zdumiona niecodziennym rozmówcą i zanie- koJ°na, że obudzi syna.

181

— Kate — Mike Loughry postanowił przejść do rzeC2 zarzucając formy grzecznościowe — obawiam się, że będzie musiała zjawić się dzisiaj w pracy. Wydarzyło się coś ważne \* i zawiadamiam wszystkich po kolei. Komendant będzie chciał-mienić z tobą słówko.

— Komendant? Mówi pan o komendancie Quinlanie? — nie posiadała się ze zdumienia. Zaraz ogarnęły ją jednak obawy Czego mogli od niej chcieć? A jeśli to mimo wszystko głupi żart'» Zdecydowała, że urwie głowę dowcipnisiowi, jeżeli ktoś faktyc nie wpuszcza ją w maliny.

Owszem, o nim — przyznał nadinspektor. — Chodzi o tę sprawę w CSP. Niewykluczone, że przejmiesz dochodzenie.

— Przejmę dochodzenie?! — Zapomniała, że może obudzić Rory'ego, i podniosła głos.

— Posłuchaj, Kate... Nie będę wdawał się w szczegóły prze telefon. Musisz to zrozumieć. Rzecz w tym, że komendant Quin-lan jest w trakcie podejmowania ważnych decyzji i ty jesteś na celowniku. Naprawdę nie mogę ci nic więcej powiedzieć. No, muszę kończyć, mam jeszcze pół Dublina do obdzwonienia.

- Coś się stało w nocy? — dopytywała Kate, korzystając z tego, że nadinspektor nie odłożył od razu słuchawki.

— Obejrzyj wiadomości o siódmej.

Po tych słowach Loughry rozłączył się i na linii zapanowała głucha cisza. Ledwie Kate zdążyła nacisnąć klawisz z czerwoną słuchawką, aparat zabrzączał ponownie.

Komenda policji przy Phoenix Park — warknął Loughry — pokój dwadzieścia cztery, godzina dziesiąta zero zero. I nic waż się spóźnić.

Oszołomiona Kate nadal patrzyła pusto przed siebie, kiedy przebudził się Rory.

Nie udało jej się obejrzyć wiadomości o siódmej.

Chłopiec

dostał hysterii, kiedy się dowiedział, że matka znów musi iść do pracy. W pierwszy wolny dzień od ponad tygodnia (rzeczywiście, pracowała bez przerwy przez kolejne dziesięć dni), do tego w sobotę. Weekendy były dla Rory'ego święte; na ogół cieszył się wtedy obecnością matki, która w drodze wyjątku i w rannych godzinach zadośćuczynienia pozwalała mu leżeć dłużej w łóżku i myć dopiero po śniadaniu.

Czasami nawet przynosiła posiłek do niego

182

■ miseczki z płatkami kukurydzianymi, dwa tosty i dwa kubki  
te Jedząc, przytulali się do siebie, a Rory jednym okiem

„patrzył na ekran przenośnego odbiornika telewizyjnego,  
zostawionego w niebezpiecznej pozycji na niewielkiej komodzie.

W oczach Kate kręciły się łzy wzruszenia; ignorując głupawo

chłódkę przyglądała się synowi, podziwiając jego delikatne kresy  
rysów twarzy.

• Tegoroczna ranka jednak jego twarzyczkę przecinały brzydkie bruzdy po  
których ściekały łzy. Płacz już dawno przeszedł w nieludzkie  
wycie. Świdrujący i ściskający ją za serce dźwięk rozlegał się kiedy brała  
prysznic, szykowała pośpiesznie śniadanie, dzwoniła do  
swego ojca z prośbą, by przyszedł i zaopiekował się wnukiem. Nie zdołał  
go uśmierzyć nawet najnowszy odcinek „Ulicy Sezamkowej”.

— Cholera! — syknęła Kate, parząc się w głowę w próbie wysuszenia  
włosów najgorętszym strumieniem powietrza z suszarki, podczas gdy  
Rory czepiał się jej szlafroka. — Oto uroki bycia samotną matką.

Rory uspokoił się, dopiero kiedy przekupiła go perspektywą wycieczki do  
ogrodu zoologicznego, dokąd chłopca miał zabrać oczywiście  
dziadek. Teraz pozostało jej tylko przekonać swego ojca, żeby to zrobił.

Nie cierpię ogrodów zoologicznych — sarknął starszy mężczyzna po  
zjawieniu się na progu jej domu. — Poza tym nie wiem, czy wiesz,  
ale na dworze pada śnieg. Kto w taką pogodę chodzi do zoo?

Tato, Rory omal się nie zadławił płaczem, jak się dowiedział, że muszę  
być dziś w pracy. Obiecałabym mu wszystko, Ocznie z  
wycieczką na Księżyc, żeby tylko go uspokoić.

- Szkoda, że tego nie zrobiłaś. Może na Księżycu jest teraz cieplej niż w  
jakimś cholernym zoo!

. Kate stała przed jedynym w domu wysokim lustrem, próbując  
"decydować się? co powinna na siebie włożyć. W końcu jej z uśmiechem na  
granatową spódnicę do pół łydki, błękitną bluzkę jeśli nie z rękawem i  
granatowy zakiet. Uznała, że najlepiej będzie, jeśli nawet w  
cywilnych ciuchach zaprezentuje się jak urodzona „jantka. Rzuciła  
okiem na lustro po raz ostatni, równocześnie prawiając bluzkę  
za paskiem spódnicy. Rozciągnęła usta

183

w szerokim uśmiechu, potem ściągnęła je w ciup, wreszcie w szczyrzyła  
zęby, upewniając się, że szminka jest dobrze nałożona

Wciąż masz w sobie to coś — mruknęła do swego odbicia żałując w  
duchu, że nie ma nikogo, kto by się z nią zgodził ani podziwił.

Spojrzała na zegarek, złapała torebkę, pocałowała Rory'ego i ojca na do  
widzenia, po czym wybiegła za drzwi. Czując na sobie  
dezaprobujący wzrok ich obu, obróciła się na pięcie i rzuciła, na jednym  
wydechu:

— Uważaj na niego, tato, jeśli jednak pójdziecie do tego zoo Nie  
spuszczaj go z oczu. Weźcie ze sobą Teda, tak na wszelki  
wy-padek. - Ted niegdyś był ulubionym misiem Rory'ego, a obecnie  
stanowił nie więcej niż kupkę wytłamszonego pluszu. Cztery lata  
prztytulania, prania i ciągnięcia po ziemi zrobiły swoje. Mimo to chłopiec  
nadal nie rozstawał się z kawałkiem miękkiego materiału i  
potrafił urządzać scenę, kiedy myślał, że Ted się zgubił albo dzieje mu się  
jakaś krzywda. I odwrotnie: wystarczyło, że Kato  
pokazała mu szczątki misia, gdy zaczynał wpadać w histerię, a chłopiec  
natychmiast się uspokajał. Bez przesady można było  
powiedzieć, że Rory i Ted są nierozłączni i pozostają w zażyłej przyjaźni.  
Kate obrzuciła ich ostatnim spojrzeniem, odwróciła się i zbiegła po  
siodach na ulicę. Rory i jego dziadek patrzyli przez chwilę za  
oddalającą się kobietą sylwetką.

— No dobrze, Rory... — Mężczyzna ujął dziecko za rękę i delikatnie  
zamknął drzwi. Przeleciał wzrokiem pobjowisko, jakie  
stanowił salon. — Ogarnijmy tu nieco, a potem zrobię ci śniadanie.  
Zechcesz mi trochę pomóc?

Chłopiec opadł na kolana. Na ziemi były ułożone tory od kolejki - wiły się  
po większej części salonu i zaglądały nawet do kuchni,  
gdzie pod stołem znalazła schronienie stacja. Tu i ówdzie stały — bądź  
leżały poprzewracane — kolorowe wagoniki, osobowe i  
towarowe. Maleńkie figurki zawiadowców unosiły min'3 turowe flagi, nie

więksi od nich robotnicy przeładowywali węgiel. Jeden czy dwa wagony stały na bocznicach, czekając na remont.

Dziadek Rory'ego westchnął. — JffiiH

— A może idź najpierw zjeść śniadanie — zaproponował chłopiec.

184

Starszy mężczyzna uklęknął, wyczuwając smutek wnuka.

Nic się nie martw, Rory — powiedział łagodnie. — Nie za zimno na wycieczkę do zoo. Zobaczysz, czeka nas tam ładna zabawa.

Rory, nic nie mówiąc, popychał wagoniki po torach. Podniósł rękę. dopiero gdy poczuł, że dziadek wstaje.

Czemu mama musi chodzić do pracy? — spytał płaczliwie-

Mężczyzna zaczerpnął tchu, żeby udzielić niełatwej odpowiedzi, ale po namyśle machnął ręką i rzekł tylko:

Lepiej przygotuję już to śniadanie.

— Dziadku, gdzie jest mój tata? — wypalił chłopiec, powstrzymując mężczyznę w pół ruchu. Patrzył mu przy tym prosto w oczy, tak że nie było wątpliwości, iż pytanie jest dlań ważne. Być może przymierzał się, aby je zadać, już od dawna.

Ojciec Kate skurczył się w sobie. Wiedział, iż Kate chciałaby, żeby odpowiedział wnukowi bez owijania w bawełnę. Zależało jej na tym, by być z Rorym szczerym, od małego ucząc go prawdy

o życiu. On jednak, choć uczciwy z natury, nie umiał się na to zdobyć.

- Powiem ci po śniadaniu — oświadczył stłumionym głosem, licząc na to, że do tego czasu Rory'ego zaprzątną inne sprawy.

Chłopiec opuścił głowę i wrócił do zabawy kolejką.

Alice Martin, minister sprawiedliwości, była filigranową, zadbaną kobietą, której wiek trudno było określić na pierwszy rzut oka.

Co tydzień chodziła do fryzjera na koloryzację włosów, nie pozwalając siwiźnie rozpanoszyć się we włosach, co przyczyniało do

z pewnością nie wyglądała na swoje pięćdziesiąt

lat. Przez ostatnie dwanaście zasiadała w ławach opozycji, wytykując trzy kolejne rządy i wyciągając na światło dzienne

śledztwa-Sci Poszczególnych ministrów. Kiedy jej ugrupowanie doszło do władzy, wzbodząc w skład koalicji rządzącej i mając przewagę lat

10 - 'Pai"lamencie Irlandii, Alice Martin odkryła, że o wiele

łatwiej jest krytykować, aniżeli przeprowadzić jakieś zmiany na

terenie, Obecna pozycja sprawiła, że zaznajomiła się z ciemną stroną duszy i społeczeństwa, a także wymogła częste kon-

185



takty z komendantem Quinlanem — niełatwe od samego początku ze względu na to, iż zapalali do siebie wyjątkową niechęcią przy pierwszym spotkaniu. Thomas Quinlan przytłaczał ją swoim wzrostem i posturą, jak również tym, że zawsze nienagannie prezentował w swoim wyjściowym mundurze, podczas gdy ona miała skłonność do ubierania się w stroje, które dawno wyszły z mody. Chcąc zatrzeć to złe wrażenie, podkreślane jeszcze przez kamerę, pani minister uciekała się do swego przenikliwego uśmiechu i ciętego języka, które wykorzystywała bez litości w trakcie licznych spotkań zarówno w cztery oczy, jak i publicznie a nawet będąc na antenie.

Tego ranka — kwadrans po dziewiątej co do minuty — Alice Martin usłyszała o wydarzeniach minionych kilkunastu godzin. Niemal natychmiast uznała, że nie jest to okazja, by pokazywać pazurki. Wiadomości o porwaniu O'Briena juniora dotarły do komendy policji krótko po trzeciej nad ranem. Każdy z informowanych natychmiast podejmował decyzję o przekazaniu raportu wyżej, swojemu bezpośredniemu przełożonemu. W ten sposób o wszystkim dowiedział się komendant Quinlan, do którego zadzwoniono punkt czwarta. Wysłuchał sprawozdania, czując, jak w miarę ujawniania szczegółów ciężar przytłacza mu coraz większy ciężar. Następnie zaczął działać.

Spotkanie w Phoenix Park zwołano na dziesiątą rano. Mieli się na nim stawić wszyscy wyżsi rangą oficerowie oraz dowódcy jednostki specjalnej — Jaguarów — którą sformowano parę ładnych lat wcześniej w odpowiedzi na wzrastającą falę przestępczości w kraju. Wtedy to, po złamaniu rozejmu przez przedstawicieli IRA i w obliczu gróźb lojalistów zapowiadających ataki bombowe na terenie Dublinia, policja stanęła przed koniecznością nie tylko tropienia sprawców zwykłych wykroczeń, ale również

zwalczenia

działań oddziałów paramilitarnych. Rosnąca liczba brutalnych morderstw wywołała wśród Irlandczyków panikę, zmuszając rząd do przedsięwzięcia stanowczych kroków i postawienia tamtego bezprawiu.

Ostatnią kroplę stanowiły dwa kolejne wydarzenia»

po których szok i strach ogarnęły wszystkich.

W pierwszej połowie dziewięćdziesiątego siódmego roku, kładnie siódmego czerwca, został zastrzelony funkcjonariusz P

186

Jerry McCabe próbujący powstrzymać członków IRA przed owym

pocztowej furgonetki. Parę tygodni później, już ° środku lata, postrzelona śmiertelnie zginęła dziennikarka śled-"The Independent"; siedziała w swoim samochodzie, czekając, światło na skrzyżowaniu zmieni się na zielone, gdy dosięgły aule płatnego mordercy. Zarówno jeden, jak i drugi czyn wywołały oburzenie wśród obywateli i urzędników, w efekcie cze-o parlamentarzyści zasiedli do opracowania nowych ustaw. Na jch podstawie przystąpiono do ukręcania łba hydrze, co wszakże wywołało kolejny kryzys. Jesienią, gdy rozpoczęły się procesy szefów dublińskich gangów, koronny świadek oskarżenia został niemal uprowadzony spod sądu. Naturalnie najbardziej dostało się nieudolnej policji — opozycja mogąc krytykować ile wlezie, znalazła się w swoim żywiole, a Alice Martin jak zwykle należała do najbardziej wyszczekanych.

Jakiś czas po tych wydarzeniach wyłoniono dwudziestu wyższych stopniem detektywów, mających doświadczenie w pracy nad najtrudniejszymi przypadkami, w tym pod względem politycznym. Przeszli oni dziesięcioletnie szkolenie obejmujące różne dziedziny - od umiejętności szybkiego reagowania, przez akcje antywywrotowe, po użycie wielkokalibrowej broni palnej po którym każdemu przypisano wąski zakres odpowiedzialności. Następnie ośmiu z nich wysłano do Izraela, gdzie doskonalili umiejętności pod okiem specjalistów z elitarnej jednostki antyterrorystycznej. Pozostały tuzin spędził święta Bożego Narodzenia na obozie treningowym FBI w stanie Wirginia, gdzie zapoznawał S1? z najnowocześniejszymi systemami uzbrojenia. Po powrocie wszyscy Jaguarzy

znów się spotkali w szkole policyjnej w Tem-Pleinore w hrabstwie Tipperary, gdzie uczono ich między innymi s,i Jtegi. Następnie jakby nigdy nie wrócili do swoich zwykłych owiązków na dotychczasowych posterunkach. Tylko nieliczni ledzieli, że powstał nowy zespół do zadań specjalnych, utrzy- ywany w ciągłej gotowości na wypadek nieprzewidzianych wy-Zen, z jakimi zwykle siły policyjne nie dałyby sobie rady. dnostka Jaguarów była raczej pokazowa niż operacyjna a P'lynajmniej do tej pory. Jako część programu wyborczego, asc'wie jego utajnionej wersji, była też— można powiedzieć yhołubionym dzieckiem Alice Martin.

187

Nadszedł czas, byś zobaczyła, co powołałaś do życia—D ślał Quinlan, wybierając prywatny numer pani minister.

Szczegóły na temat porwania były już policji niemal w całości znane. Quinlan zrelacjonował przebieg wypadków na podstawie tego, co mu przekazano, dodając kilka innych, dostępnych z wewnętrznych źródeł informacji. Alice Martin słuchała wszystkie go biernie, nie mogąc nie zauważyć, jak poważny i skupiony jest komendant. On także najwyraźniej nie miał ochoty na walkę tym razem. Palce pani minister zaciskały się i rozluźniały na trzymanym piórze, które nie nakreśliło ani jednego słowa na leżącej przed nią czystej kartce papieru.

— Co teraz? — zapytała.

— Utworzono centrum operacyjne na posterunku w Roundwood, gdzie nadinspektorem jest Peter Andrews. To dobry policjant, o dużym doświadczeniu. Rezydencja O'Brienów została odcięta od świata, nasi ludzie zbierają tam ślady i dowody rzeczowe. Na miejscu zdarzenia znajdowały się tylko cztery osoby, pięć, jeśli liczyć porwane niemowlę. Normalnie jest tam minimum dziesięcioosobowa służba.

— To czemu jej nie było minionej nocy?

- Z tego co wiem, Harry O'Brien dał im wszystkim wolne, chcąc w ten sposób uczcić narodziny syna. Wracają do pracy jutro rano. Alice Martin potarła skronie, w których odezwał się pulsujący ból.

— Hm... Moim zdaniem to podejrzane. Czyżby robota kogoś z wewnątrz?

— Wszystko jest możliwe — nie zaprzeczył Quinlan. Wszystko jest możliwe...

— Proszę mówić dalej.

— O dziesiątej stawia się tutaj członkowie jednostki sPeC-1 -nej. Jaguarzy wyszkoleni do odbijania osób porwanych — usC' ślił. — Naświetlimy im sprawę, po czym wyślemy ich do nr stwa Wicklow, żeby wspomogli lokalne oddziały policji.

Minister popatrzyła na zegarek. Była za dziesięć dziesiąta-

— Chryste, do czego zmierza ten kraj? — jęknęła z bólem. Quinlan pokiwał głową, odchylając się na krześle. Trudno nie załamywać rąk, kiedy porywano niemowlęta. Zaraz jedynym 'prostował się służbiście i poinformował rzeczowo: 113 Będzie pani miała okazję poznać Jacka McGratha. Tego ktywa, którego kazała pani odsunąć od dochodzenia w Centrum Szpitalu Położniczym. Nawet dobrze się złożyło, że zostanie przesunięty do innych zadań...

s Kto po nim przejmie dochodzenie w CSP?

powinna być pani zadowolona — rzucił Quinlan, nie mo-się powstrzymać. — W pewnym sensie awansujemy jedną z naszych najlepszych

policjantek i przekazemy to śledztwo w jej ręce.

— To znaczy czyje?

— Kate Hamilton.

Komendant otworzył skoroszyt i zapoznał Alice Martin z dokonaniem młodej pani detektyw. Kobieta słuchała, nie przerywając ani razu. Podobało jej się to, co słyszała.

— Doprawdy obiecująca osoba — stwierdziła w końcu. — Nie mam wątpliwości, że da z siebie wszystko.

— Tego możemy być pewni — zgodził się Quinlan. — Jedyne minus to ten, że nie zawaha się także kwestionować rozkazów i decyzji, z którymi się nie zgadza.

Ma pan na myśli to, komendancie — Martin zmrużyła lekko oczy — że nie przełyka wszystkiego, co pada z góry, i nie kładzie uszu po sobie, kiedy pokrzykują na nią przełożeni, co do jednego mężczyźni.

Thomas Quinlan uśmiechnął się. Przerabiał to już z panią mi-<sup>l</sup>ster wcześniej, w trakcie licznych pełnych kwasów spotkań, od- została członkiem rządu. Miał też w pamięci jej feministycz-<sup>vv</sup> Ustawieniu wystąpienia podczas kampanii wyborczej.

Jeśli nie liczyć pani, droga pani minister — wykrzywił się icie. — Jeśli nie liczyć pani... Alice Martin zachnęła się i ponownie spojrzęła na zegarek.

Już prawie dziesiąta. Gdzie ma się odbyć to spotkanie? i °nierdant poderwał się i podszedł do drzwi. Otworzył je zał ręką korytarz. Po 'an' Przodem, pani minister. Pokój dwadzieścia cztery, to Pani prawej — wskazał ręką kierunek. — Będę tuż za panią.

189

Martin, wychodząc z gabinetu, bąknęła pod nosem: Niech pan uważa, komendancie, bo z sarkazmem pailu do twarzy.

Tuż po dziesiątej Jack McGrath rozpoczął retrospekcję rwań w najnowszej historii Irlandii.

Pierwszy pojawił się w pokoju dwadzieścia cztery i przygiąć się, jak kolejni uczestnicy spotkania przestępują próg i zajmu' miejsca przy dużym okrągłym dębowym stole ustawionym na środku pomieszczenia. Znalazł się wśród nich komendant Qujn lan i jego

zastępca,

siedzący naprzeciwko nich nadinspektor Mike Loughry i Alice Martin, zasiadająca po prawej ręce komendania On sam i Tony Dowling tkwili pomiędzy panią minister i swoim bezpośrednim przełożonym. Po przekątnej mieli Kate Hamilton.

McGrath rzucił partnerowi pytające spojrzenie. Kiedy Dowling w odpowiedzi wzruszył tylko ramionami, Jack przeniósł wzrok na Kate, która jednak miała oczy wbite w blat przed sobą. Co ona tu, u licha, robi? — zastanawiał się McGrath.

Ostatni taki wypadek zdarzył się w październiku minionego roku mówił inspektor McGrath, posiłkując się otwartym skoroszytem oznaczonym napisem „Ścisłe tajne”. — Podczas procesu Paddy'ego O'Hary porwano koronnego świadka oskarżenia. Sprawa zrobiła się głośna po tym, jak w Malahide rozpętała się strzelanina, w trakcie której pojmano wszystkich porywaczy. Niestety świadek został ranny w czasie akcji i następnie długo przebywał w szpitalu, przez co proces odwlekany był miesiącami.

Wszyscy obecni dobrze pamiętali tamte wydarzenia i teraz niespokojnie kręcili się na krzesłach. Alice Martin miała na twarzy wyraz mówiący: proszę mi o tym nie przypominać. ■

Przedtem — ciągnął Jack McGrath porwany zosa bankowiec Jim Lacey z rodziną. Stało się to w listopadzie tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku, a samo porwanie trwało niespełna dobę. Okup w wysokości trzystu czterdziestu tysięcy funtów został przekazany tego samego dnia, kiedy sprawa dubliński gangster Martin Cahill, przyznał się do czynu, - - . pieniędzy w zamian za uwolnienie Laceyów. Choć suma by'a owe czasy niebagatelna, nie przyniosła mu większego pożytku'

190

razem większość zebranych uśmiechnęła się pod nosem, firath przełożył kilka kartek i kontynuował: ' Jesienią tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego porwany został John O'Grady, dentysta. Porywaczem okazał się Dessie O'Hare, zwany Pogranicznym Lisem. Porwanego lvo się odbić, nim doznał uszczerbku na ciele poważniejszego "(I odciętego czubka jednego palca. O'Hare po dziś dzień gni-, w więzieniu w Portlaoise. Rok wcześniej, na wiosnę, z domu rodzinnego w Howth zniknęła Jennifer Guinness. Tamta sprawa także zakończyła się pełnym sukcesem policji i całkowitą porażką porywaczy, których wyłapano jednego po drugim. W grudniu tysiąc

dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku przywrócono wolność Donowi Tideyowi, dyrektorowi naczelnemu sieci supermarketów, pojmanemu i więzionemu przez gang mający wiele wspólnego z IRA. Zginął wtedy młody policjant, Peter Sheehan, i szeregowy Peter Kelly. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku porwano właściciela wiodącej w kraju sieci supermarketów, niejakiego Bena Dunne'a. Wywieziono go za granicę i nie wypuszczono, dopóki kraju nie opuściła też pokaźna suma. Siedemset pięćdziesiąt tysięcy funtów... — McGrath za-seleścił kartkami. — Dalej trzeba by się cofnąć aż do lat siedemdziesiątych. Wówczas na celowniku znaleźli się Tiede Herre-ma, obywatel Holandii prowadzący interesy w Irlandii, oraz lord 1 lady Donoughmore... urwał i popatrzył wprost na Quintana. — Czy mam wdawać się w szczegóły tych wypadków? Komendant pokręcił przecząco głową. Nie. Ale proszę nam przedstawić jakąś syntezę w oparciu o te wszystkie dane.

McGrath z chęcią przeszedł do wniosków. O ile wyciąganie na . Icrzch przypadków ludzkiej tragedii nie należało do przyjemno- '0 tyle pociechą napawały zakończenia. Porwanie niemal zawsze kończy się klęską porywaczy. PoH'StCZn'e rzecz b'°rąc, wykrywalność i skuteczność działań .J'Jest tutaj bardzo wysoka. Udało nam się schwytać więk- sprawców, a także odzyskać w iększą część przekazanych p0r uPle pieniędzy. Niejednokrotnie zdarzyło się też, że siły Wje- k°we zapobiegły porwaniu. Przykładowo w tysiąc dzie-et osiemdziesiątym trzecim roku unieszkodliwiliśmy cały

gang, mający korzenie w strukturach IRA i planujący p0rvv Galena Westona, kolejnego handlowca, który notabene ni»d "l6 dowiedział się, czego uniknął. Rozpętało się wtedy istne d l"l' niektórzy pamiętają tamtą strzelaninę do dziś. Na szczęście f ° porwań opadła po serii udanych akcji przeprowadzonych D połączone siły policji i wojska. Mało kto myślał o wyłudza tą drogą pieniędzy. Oczywiście jeśli nie liczyć kilku szalony pomysłów Martina Cahilla.

— Proszę mówić jaśniej, inspektorze — zirytowała się Alic. Martin. Na paru twarzach pojawiły się uśmieшки. McGrath odłoży! skoroszyt na stół i powiedział:

— Cóż... Choć może trudno w to uwierzyć, człowiek ten zamierzał ukraść nasz największy narodowy skarb. Księgę z Kells. Czy pani minister rozszerzyły się ze zdumienia.

— Ewangeliarz świętego Kolumbana? — zapytała z niedowierzaniem.  
— Jezu Chryste... — Kiedy Quinlan parsknął, posłała mu mordercze spojrzenie, odwróciła się do McGratha i szczerknęła: — Proszę dalej.

— Jeżeli miałbym wypowiadać się na temat obecnej sprawy, powiedziałbym, że albo jest to robota kogoś znacznego z przestępczego świata, albo wręcz przeciwnie, próba wybicia się w środowisku i zgarnięcia fortuny małym kosztem. Tyle że. proszę wybaczyć grę słów... porywacze porwali się z motyką na słońce. Kiedy ich wybór padł na niemowlę, świadomie bądź nu. nastawili przeciwko sobie wszystkich: stróżów prawa, media, opinię publiczną, a nawet... i to jest najistotniejsze... sobie podobnych kryminalistów. Tych ostatnich nie z powodów etycznych czy m<sup>o</sup> ralnych, lecz dlatego, że po czymś takim świat zadrży w p<sup>o</sup>sj dach i niektórym ziemia zacznie usuwać się spod nóg. Chociaż nie minęło jeszcze dwanaście godzin, rozstawiliśmy gęste p<sup>l</sup> ty kontrolne na drogach. Planujemy najazdy na wszystkie zna nam meliny. Przetrzepiemy skórę każdemu, kogo mamy w tekach, począwszy od drobnych złodziejasków, a skończy na rabusiach mających krew na rękach. Wszyscy oni prędzej później zaczną przeklinać porywaczy O'Briena juniora. ta g liczymy na to, że zaczną z nami kooperować. Porwanie za dzieli świat przestępczy, na ogół ze zwykłej zazdrości.

Ty111

192

■ ,jnak powinno sprawić, że gangster zwróci się przeciwko em j mgsterowi.

i? QZy są już jakieś podejrzenia co do tożsamości sprawls 9 C<sup>o</sup>VV razie nie. Wiemy tylko, że było ich czterech i że byli zbrojeni. Musieli obserwować Beechill już od jakiegoś czasu, ponieważ dokładnie znali jego słabe punkty. Istnieje również możliwość, że informacje przekazywał im ktoś zatrudniony w rezydencji. Tak czy inaczej, zadanie mieli ułatwione z tego względu że w ostatnich dniach Harry O'Brien praktycznie nie schodził z pierwszych stron gazet...

Ktoś chrząknął potakująco, ktoś inny pokiwał ponuro głową.

— Mamy raport na temat wozu terenowego, który pojawił się w okolicach Roundwood tuż przed napadem, i wiemy, że sprawcy odjechali spod Beechill jakimś dżipem. Do wysadzenia bramy wjazdowej użyli materiałów wybuchowych, których dokładny skład próbują ustalić

nasi technicy, co świadczy o tym, że mieli w swoim gronie kogoś obznajomionego z bombami, niewykluczone, że o rodowodzie sięgającym IRA.

W tym momencie Quinlan nachylił się do swego zastępcy i coś mu szepnął do ucha. Mężczyzna zastanowił się, po czym skinął głową.

Niezrażony McGrath ciągnął:

Powiadomiono nas o wypalonym wraku dzipa, który spłonął na parkingu przed hotelem Stand w Curragh. Miejscowi Policjanci twierdzą, iż ślady wskazują na to, że obok stał zaparkowany inny wóz i że pomiędzy oboma autami ktoś coś przenosi- Niewykluczone, że ma to związek z naszą sprawą. To bardzo odpowiednie miejsce na przesiadkę i rozpoczęcie dalszej podróży. Jeśli porywacze faktycznie zmienili tam środek lokomocji, teraz

Uważają

w drodze do Dublina albo zmierzają w kierunku Ports'6 i wniebrosze mogli ujechać kawałek autostradą, po czym eh "C'C na którymś ze zjazdów... Krótko mówiąc, mogą być w tej w'ł dosłownie wszędzie. . 'zy stole zapadło milczenie. Alice Martin odczekała chwilę, Jc nadzieję, że inspektor doda coś jeszcze, kiedy to jednak nie st. piło, zapytała:

193

— A czy pan osobiście ma jakieś podejrzenia co do te gdzie teraz przebywają?

McGrath odchylił się na oparcie krzesła i zamyślił. BłaH ■ niewidzącym wzrokiem po błyszczącym blacie stołu, aż w końcu powiedział, starannie dobierając słowa:

Moim zdaniem mamy do czynienia z grupą przestępc? wywodzącą się z Dublina. Wskazuje na to użycie broni i materiałów wybuchowych. Takie cwaniaczki czują się dobrze tyln w mieście, na prowincji tracą całą pewność siebie. Stawiam na to że wrócili do miasta.

Zebrani nachylali się do siebie, przyciszonymi głosami wymieniając uwagi.

— Ale nie to jest najważniejsze.

Wszystkie głowy ponownie odwróciły się do McGratha. Zapanowała wyczekująca cisza.

Dalszy rozwój wypadków w dużej mierze zależy od tego. czy Harry O'Brien ma wykupioną polisę ubezpieczeniową obejmującą również porwanie jego i członków najbliższej rodziny. Wielu magnatów ma w swoim portfelu coś takiego. Powinniśmy to jak najszybciej ustalić



i jeśli odpowiedź brzmi „tak”, pozostawać odtąd krok przed nim. W sytuacjach takich jak ta... mówię to z doświadczenia... działania rodziny są często podejmowane Hw wiedzy policji.

Rozległy się stłumione jęki.

— Czy powinniśmy wiedzieć coś jeszcze? — zapytała pami minister.

— Wydaje mi się, że to na razie wszystko — odparł Jack McGrath.

Do wymiany zdań włączył się Quinlan.

— Jack, musisz jak najszybciej znaleźć się na terenie hrabstwa Wicklow. W tej chwili tamtejszymi działaniami kieruj nadinspektor Peter Andrews, który jednak zdążył już poprosić o asystę Jaguarów.

Nie była to prawda. Zresztą w podobnych sytuacjach nikt nie czekał na prośbę, która mogła paść albo nie. Takie decyzje podejmowano o szczebel wyżej.

Nadszedł czas, by ukochane dziecko Alice Martin zabrało w do pracy.

194

Jack McGrath otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Thomas Quinlan nie dał mu dojść do głosu.

W Centralnym Szpitalu Położniczym pojawił się sierżant Dowling. — Komendant wstał i przeszedł kroków do miejsca, gdzie siedziała Kate. Stanąwszy za jej plecami, podjął: — Chciałbym wszystkim przedstawić sierżant Hamilton. Niektórzy z państwa już ją znają... — położył dłoń na rąwym ramieniu Kate. — Sierżanci Dowling i Hamilton będą pracować razem, aczkolwiek odpowiedzialna za całość działań będzie Kate. Na wszelki wypadek powiem to jeszcze raz: sierżant Hamilton pokieruje sprawą morderstwa w CSP. Sierżant Dowling będzie jej służył pomocą i doświadczeniem. Oboje odpowiadają bezpośrednio przed nadinspektorem Loughrym, tutaj nic się nie zmieniło.

Kate nie wierzyła własnym uszom. Przełykała nerwowo ślinę, usiłując zapanować nad emocjami. Wzrok utkwiała daleko przed sobą, pozornie wydając się nieporuszona, w duchu jednak musiała się napominać, aby trzymać głowę prosto i nie pozwolić rumieńcom wypłynąć na policzki. Chciała wyglądać tak, jakby coś podobnego przytrafiało jej się co najmniej raz w tygodniu. Alice Martin nie potrafiła

się powstrzymać od komentarza. Pozwoli pan, komendancie, powiedzieć sobie, że ani trochę nie spóźnił się pan z wyznaczeniem kobiecie tak odpowiedzialnego zadania.

Oho — pomyślała Kate — zdaje się, że jestem na cenzurowanym.

Quinlan zmrużył oczy i zrewanżował się, mówiąc:

Jestem pewien, że pani minister będzie śledzić przeleg dochodzenia na terenie CSP z wyjątkowym zainteresowaniem.

— myślała dalej Kate — ci dwoje bawią się w przeciąga-lle liny, za którą ja będę odtąd służyć.

Alice nie byłaby sobą, gdyby nie miała ostatniego słowa. — N Wręcz przeciwnie, komendancie — stwierdziła sucho. bok.\*m pełne zaufanie do umiejętności pani sierżant. Żywię głę-C2ase Przekonanie, że kobiecie podejście bardzo się przyda pod-2 ' lego dochodzenia, które rozpoczęło się niezbyt fortunnie °du męskiej gruboskórności i braku wyczucia w pewnych

195

sprawach. — Otwarcie popatrzyła na McGratha, nie krviao

.... JJIV Styß,

jej niechęci.

Wszyscy z zapartym tchem obserwowali wojnę na górze McGrath chciał jakoś zareagować na niesłuszne w jego Opjnj oskarżenia, ale odpuścił, widząc ostrzegawcze spojrzenie Mike"

Zacisnął zęby, obiecując sobie w duchu, że odpowie na zarzut przy innej, sposobniejszej okazji.

Na swoje nieszczęście Alice Martin poczytała to za oznakę słabości.

Sięgnęła do torby leżącej przy nodze jej krzesła i wyjęła z przepastnego wnętrza najświeższy egzemplarz „The Daily Post”.

— Można tutaj przeczytać, inspektorze — zwróciła się bezpośrednio do McGratha, ignorując obecność pozostałych — że spodziewa się pan przełomu w śledztwie. — Rozłożyła gazetę na stole, tak że widoczna była jej pierwsza strona. Sprawa porwania Gordona O'Briena dotarła do redakcji zbyt późno, by zdążyła ukazać się choćby najkrótsza wzmianka o nowej sensacji, toteż nagłówki w dalszym ciągu krzyczały o morderstwie w Centralnym Szpitalu Położniczym i prowadzonym tam dochodzeniu. — Może więc, korzystając z

okazji, powinien pan podzielić się z nami dobrą nowiną? Kiedy nastąpią pierwsze zatrzymania?

McGrath złączył opuszki, układając dłonie w piramidkę, po czym

rozczapierzył palce i oparł je o blat stołu. Wpatrywał się w nie, jak gdyby miał zademonstrować jakąś sztuczkę. W myślach dobierał słowa, świadom, że usłyszaże nie tylko Martin i Quinlan. ale również pozostali, w tym jego dotychczasowi podwładni.

— Pani minister, z całym należnym szacunkiem muszę Pa11 przypomnieć, że każdy policjant ucieka się do pewnych wybiegów, chcąc przyśpieszyć zmartwiałe z jakiegoś powodu dochodzenie. Nie wszystko, co się mówi w takich sytuacjach, jest praw' dą. Czasem dobrze obliczone kłamstwo przynosi więcej pożytk" niż praca wielu funkcjonariuszy, detektywów i techników ciąg nąca się przez wiele dni. Zwłaszcza w wypadku takim jak ten' Przyznaję, że nie pamiętam tak dziwnej sprawy. Na terenie szp1 tała zamordowano młodą kobietę, a cały personel nabiera wo ; w usta, traktując dochodzenie jak największe utrapienie. Ni--, jeszcze nie napotkałem takiego muru milczenia. Jeśli mani

196

v więcej udaje mi się dowiedzieć od elementu przestępcze-5ZCIIIei od lekarzy w CSP.

tP 'jjrvvak pozwalając, by jego słowa wywarły pożądany efekt.

ha taK Się olaiu, jju Jais.a iajjunuwaia w jjurajju

'jiescia cztery. Kate Hamilton przysłuchiwała się struchlała, areszcie rozumiejąc, dlaczego naprawdę wyznaczono ją na szefa 'j r u py dochodzeniowej.

Jack McGrath popatrzył prosto w oczy pani minister.

Zdażyłem już przeczytać poranne gazety. Zacytowano mnie dokładnie co do joty. Mam pewność, że ani ja, ani żaden z moich ludzi nie rozmawialiśmy z prasą. A jednak ktoś przekazał moje słowa dziennikarzom. Świadczy to dobitnie, że w Centralnym Szpitalu Położniczym dzieje się więcej, niż nam się wydaje. Sierżant Hamilton czeka sporo pracy, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Życzę jej, by podołała zadaniu.

Później Kate wielokrotnie się dziwiła, w jaki sposób następne słowa opuściły jej usta. Faktem jest, że nie należała do kobiet, które lubią, by traktowano je z góry. Nie potrzebowała również rad — chyba że sama o nie prosiła. Zazwyczaj mówiła prosto z mostu to, co myśli.

Zapewniam, że utrzymam wysokie standardy narzucone nam wszystkim przez inspektora McGratha — powiedzia-Nawet jeśli dochodzenie utknęło w martwym punkcie, a może zwłaszcza dlatego, nie zaszkodzi,

aby z nowej perspektywy przyjrzała mu się inna osoba.

Niewykluczone, że teraz uda mi się? dostrzec pośród zebranych dowodów coś, na co wcześniej nie wróciłam uwagi ani ja, ani moi koledzy.

Popatrzyła śmiało na McGratha. Remis — zdawały się mó-Ulcjego oczy. Przez ulotną chwilę spoglądali na siebie, lekko się Uśmiechając.

Alice Martin ledwo się powstrzymała, żeby nie wstać i nie Pytulić Kate, chwalać ją: „Dobra robota, dziewczyno!”. Czując, tym razem wygrała z Quinlanem, który wydawał się pod wra-lern świeżo mianowanej dowódcą młodej pani sierżant. Atmosferę tryumfu zburzył Mike Loughry. ra, , Obawiam się — poinformował — że Kate będzie musiała wyj 'c s°bie, mając do dyspozycji znacznie okrojony zespół.

Pra-Wszystkie siły przerzuciliśmy już do porwania w hrabstwie  
197

Wicklów. Potrzebny nam jest dosłownie każdy wolny funkcji riusz... Ktoś przecież musi przesłuchiwać podejrzanych i inf0r torów, obstawiać drogi, przewidywać następne ruchy porywa i Harry'ego CTBriena. Dlatego w CSP zostanie tylko sześć osób Zrewiduję tę liczbę, jeśli zajdzie taka potrzeba, po zapoznaniu z najnowszymi raportami z obu spraw.

Kate nie protestowała. Dowling wzruszył ramionami i znaczo spojrzął w stronę McGratha. Kiedy spotkanie dobiegało końca obaj mężczyźni myśleli mniej więcej to samo.

XXVI

Godzina 12.06 Centralny Szpital Położniczy

Luke Conway usłyszał, że Jack McGrath został odsunięty od dochodzenia w CSP, od samego ministra zdrowia. Była to jedyna dobra wiadomość tego ranka.

Personel całego szpitala poraziła informacja o porwaniu małego Gordona O'Briena. Wszyscy z drżeniem serca wysłuchiwali kolejnych wydań wiadomości i jak jeden mąż wstrzymali oddech na wieść, że nieprzytomną June Morrison zabrała z Beechill karetka na sygnale. Wypowiadający się na antenie lekarz sugerował, że knebel uniemożliwił jej oddychanie i kobieta zasłabła z braku tlenu.

W południe na kanale Sky pokazano pierwsze migawki z hrabstwa Wicklów. Kamera z pokładu helikoptera śledziła ruchy Policji, która ustawivszy blokady na drogach, sprawdzała wszystkie przejeżdżające samochody. Patrole samochodowe kręciły się P° okolicy, a wielu

funkcjonariuszy poruszało się po terenie także pieszo, do pomocy mając psy. Z wysokości wyraźnie widać było lch drobne ciemne sylwetki na tle świeżego, wciąż białego śniegu. rzed Beechill stało mnóstwo wozów policyjnych. Zbliżenia uka-ywały nawet uwijających się za oknami rezydencji techników Zlanych w coś na kształt białych laboratoryjnych kitli. Dwaj Mundurowani policjanci trzymali posterunek tuż przed wej-, ern, usuwając się z drogi tylko wtedy, gdy zobaczyli odzna-,vv"az z odpowiednimi uprawnieniami. Reporter, z przejęciem 'cy do mikrofonu, wspomniał o przeciągającym się docho-2wen'u na terenie Centralnego Szpitala Położniczego, sugerując vek pomiędzy obiema sprawami.

199

Lukę Conway jęknął, kiedy się o tym dowiedział, włąC2y odbiornik w swoim gabinecie.

Do studia telewizyjnego ściągnięto każdego, kto miał cho' trochę do powiedzenia: specjalistów od przeciwdziałania kidi pingowi, pediatrów, byłych policjantów, nawet opiekunki do dzi ci. Raz po raz robiono cięcie i raczono widzów sceną z minione go dnia, kiedy to Harry O'Brien opuszczał szpital ze swoją żon i synem — nie przewidując, że nim na dobre zapadnie noc, jego życie zamieni się w koszmar. Agencje wymieniały się informia-cjami i fotografiami, rozsyłając swoje materiały po całym świecie, jak zawsze spragnionym sensacji.

— Mam nadzieję, że ta zmiana pana usatysfakcjonuje — mówił minister zdrowia przez telefon. — Inspektora McGratha zastąpi niejaka sierżant Hamilton. To powinno nadać dochodzeniu nowy wymiar. W końcu toczy się ono na terenie szpitala dla kobiet.

Dyrektor podziękował, lecz nie przestał się martwić. CSP pozostawał w centrum zainteresowania. Zła reklama, którą miał nadzieję zdusić pozbywając się opornego inspektora, powróciła z podwójną siłą, jakiej nie był w stanie pohamować. Do tego jego najlepsza położna wylądowała na oddziale intensywnej terapii innego szpitala i jeśli wierzyć dziennikom, nie zamierzała prędko odzyskać przytomności.

Nagle dostrzegł promyczek nadziei. Może ta cała Kate Hamilton okaże się większym orzechem do zgryzienia od McGratha — pomyślał Conway. — W końcu całe swoje dorosłe życie mam do czynienia z

kobietami. Wiem, jak myślą, znam schematy ich zachowań. Powinienem ją sobie szybko podporządkować.

Parę minut przed pierwszą Kate i towarzyszący jej jak cień Dowling siedzieli przed gabinetem dyrektora szpitala. Cały ranek spędzili na mozolnym przedzieraniu się przez zebrany materiał dowodowy i analizowaniu znanych im faktów, dyskutując o postępach w dochodzeniu i krokach, jakie należy przedsięwziąć w najbliższej przyszłości. McGrath, zanim udał się do hrabstwa Wicklow, przekazał Kate wszystkie dokumenty, a Tony Dowling zaznajomił ją ustnie z informacjami, które dotąd posiadali ty on i inspektor. Sierżant Hamilton po raz pierwszy w pełni zd

200

. sprawę ze zmyślenia wśród lekarzy, wydatnie utrudniającej śledztwo, marszczyła brwi, gdy Tony w szczegółach przedstawiał jej IV McGratha, by zagrać fałszywą kartą i zapowiedzieć rychłe powstanie w nadziei na złamanie szyków wyższego personelu medycznego. Wcześniej sądziła, że Jack faktycznie coś wywęszył, • teraz z trudem przyszło jej się pogodzić, że jego as nie okazał się nawet błotką. Im dłużej myślała o sposobie, w jaki prowadzone dotąd było śledztwo, tym bardziej była przekonana, że rzeczywiście przyda się, by spojrzeć na sprawę pod nowym kątem.

— Nazywam się Kate Hamilton i normalnie wykonuję obowiązki sierżanta na posterunku przy Store Street. Tony'ego Dowlinga już pan zna — powiedziała Kate do Luke'a Conwaya. Dyrektor wstał, wyciągnął rękę i uścisnął dłoń Kate. Dowlingowi tylko skinął głową. Nic nie wskazywało na to, aby rozpoznał w Kate swoją dawną pacjentkę. — Poproszono mnie o przejęcie dochodzenia w sprawie morderstwa Mary Dwyer. — Conway skrzywił się na słowo „morderstwo”, zdecydowanie bardziej wolał, by mówiono „wypadek” albo w najgorszym razie „śmierć”.

— Wraz z sierżantem Dowlingiem przeanalizowaliśmy postępy... Postępy, pani sierżant? — przerwał jej dyrektor szpitala.

— Czy coś już wiadomo o tym aresztowaniu, o którym wczoraj wspomniał inspektor McGrath?

Jak pan zapewne rozumie, dla dobra śledztwa nie mogę ujawniać żadnych szczegółów. Mogę jednak panu zaręczyć, że Policji zależy na szybkim zamknięciu tej sprawy równie mocno jak panu i reszcie personelu

CSP. Oczy wszystkich skierowane są teraz na hrabstwo Wicklow, gdzie doszło do tego wstrząsającego Porwania... Nawiasem mówiąc, z tego powodu grupa operacyjna na terenie szpitala została ograniczona do zaledwie sześciu osób. Przykro mi to słyszeć — skłamał Conway. Tym bardziej więc — ciągnęła Kate, zignorowawszy jego wypowiedź — zależy nam na pełnej współpracy. Mniej policjan-oznacza więcej zadań. Dlatego proszę, aby obiecał mi pan ciście, że nakłoni swój personel do współpracy z nami. W ten sposób wszyscy będą zadowoleni. Pański szpital znów zacznie normalnie funkcjonować, a my ujmemy mordercę.

201

Conway ułożył czubki palców na brzegu biurka. Kate nie trzymała na niego zafascynowana. To te ręce pomogły przyjść na świat mojemu dziecku — pomyślała.

Może być pani pewna, że ja sam, jak również wszyscy pracownicy CSP przenieslibyśmy góry, byle tylko to dochodzenie" zakończyło.

— Na twarzy Conwaya pojawił się słodki uśmiech

Nazbyt słodki. Kate poczuła, jak ogarniają ją mdłości.

- Czyli nie ma pan nic przeciwko temu, żebym zadała panu kilka pytań tu i teraz? — podchwyciła.

Ależ skąd! — Conway odzyskał pewność siebie.

Kate podniosła z ziemi aktówkę, postawiła ją na stole, po czym wyjęła ze środka niewielki notes w czarnych okładkach. Położyła go przed sobą, otworzyła w miejscu zaznaczonym tasiemką i sięgnęła do aktówki ponownie, tym razem dobywając plik papierów, które przekazał jej McGrath.

Dowling siedział obok niej, przez cały czas milcząc.

— Przeglądałam listę pracowników... — zaczęła i urwała.

Conway podparł brodę na dłoniach, splótłszy uprzednio długie palce.

— Tak? — Było to przeciągnięte „tak”, pobrzmiwał w nim lekki niepokój, a może tylko zakradająca się z powrotem niepewność.

— Wśród lekarzy specjalistów nie ma ani jednej kobiety.

— I co z tego?

— Czy to oznacza, że żadna lekarka z doświadczeniem nie ubiegała się o pracę w CSP?

Tony Dowling usiadł prosto. Znużenie na jego twarzy zastąpiło zdziwienie.

— Nie — odparł Luke Conway, wiercąc się pod baczny spojrzeniem oczu Kate. — Za każdym razem gdy robi się w tym kraju

stanowisku lekarza specjalisty, ubiegają się o nie zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

— Zatem czemu zatrudnionymi specjalistami są wyłączn'e mężczyźni? Conway zaczął się niecierpliwić. j||

— Zapewne dlatego, że lekarki nie spełniały naszych wy kich wymagań — stwierdził sucho.

— W przeciwieństwie do lekarzy? — drążyła Kate.

202

Dyrektor poprawił muszkę pod szyją, starając się zapanować d rodzącym się w nim gniewem. 113 Pani sierżant, może zechce mi pani powiedzieć, co nasza olityka kadrowa ma wspólnego z prowadzonym przez panią dogodzeniem?

Zatroskany nie na żarty Dowling obrócił się na krześle, chcąc lepiej widzieć siedzącą koło niego młodą kobietę, rzuconą na głęboką wodę dzisiejszego ranka.

Być może nic — rzekła spokojnie Kate — a być może wszystko. Czy teraz odpowie mi pan na pytanie, dlaczego Centralny Szpital Położniczy zatrudnia jako specjalistów tylko lekarzy płci męskiej? Czy taka jest oficjalna polityka kadrowa przyjęta przez dyrekcję i zarząd?

Igram z tobą - dodała w duchu — bo chcę zobaczyć, jak się wijesz przyparty do muru. Pamiętasz moje dziecko? Nie oddałam go do adopcji, wiesz? Ciekawa jestem, czy w ciągu tych paru lat choć raz pomyślałeś o moim synu i zastanowiłeś się, jaki los go spotkał.

To co pani insynuuje, jest oburzające. Jak pani śmie?!

Po prostu dziwi mnie, że szpital działający od ponad dwóch stuleci i zapewniający opiekę medyczną kobietom i małym dzieciom ani razu w swojej historii nie miał na liście pracowników lekarza specjalisty płci żeńskiej. Pana to nie dziwi? A ciebie, Tony?

Dowling wzniosł oczy do nieba. Conway chciał coś powiedzieć, ale Kate weszła mu w słowo.

Widzi pan, doktorze — zwróciła się znów do Conwaya odkąd zjawiliśmy się w tym szpitalu, nikt nie chce z nami rozbawiać. Inspektor McGrath powiedział mi, że nigdy nie spotkał z podobną reakcją potencjalnych świadków w obliczu mor-•rstwa znanej im i bez cienia wątpliwości niewinnej osoby. -Powinien pan wiedzieć, że inspektor McGrath pracuje w policji c dawna i rozwiązał wiele zagadek z pozoru nie mających wycenia zabójstw.

uke Conway słuchał, cały gotując się ze wściekłości, ta "ak Już



wspomniałam, część policjantów została odwo-Cju' 2 CSP. Z tuzina funkcjonariuszy zostało ich zaledwie sześć- dlatego tak bardzo zależy mi, abyśmy już na wstępie ustalili

203

obowiązujące od teraz zasady. Oczekuję współpracy pod każdą względem, nie ograniczonej żadnymi zakazami ani uprzedzeniami"11 mi. Jeśli jej nie otrzymam, dopilnuję, żeby prasa dowiedziała • z czym musi się tutaj borykać policja. Nie wydaje mi się, Centralny Szpital Położniczy był w stanie znieść więcej złej reklamy — zakończyła Kate neutralnym głosem.

Tony nie potrafił uwierzyć w to, co właśnie usłyszał. Mimo to siedział nadal bez ruchu i z kamienną twarzą, w środku czując narastające podniecenie. Conwayowi daleko było do Buddy; zerwał się z miejsca i nachylił przez biurko, niemal przystawiając swoją twarz do twarzy Kate. Na policzki wystąpiły mu ciemne rumieńce.

— To wprost niewyobrażalne! — wysyczał. — Natychmiast zatelefonuję do ministerstwa sprawiedliwości i osobiście poproszę panią minister, żeby odsunęła panią od tego dochodzenia. Nie zdąży pani nawet przypudrować nosa, w podskokach wybiegając ze szpitala.

Kate z pieczołowitością pakowała swoje rzeczy, układając je w aktówce. Nie zaszczyciła Conwaya jednym spojrzeniem. Ruchy miała wolne, ślamazarne wręcz, tak że nim skończyła i odezwała się, słowa Conwaya dawno przebrzmiały w powietrzu. Głos jej nie drżał, ale był wyczuwalnie chłodny.

— Nie sądzę, żeby to było rozsądne, doktorze. Widzi pan, właśnie wracam ze spotkania z panią minister. Można powiedzieć, że dała mi swoje błogosławieństwo. Jest zachwycona, że kobieta objęła dowodzenie nad ważnym dochodzeniem. Coś mi mówi, że niezbyt chętnie odniesie się do propozycji, aby mnie odsunąć. Można rzec, że pani minister jest feministką i z radością wita kobiety na wyższych stanowiskach. Podejrzewam, iż zaboląby ją fakt, że utracił pan do mnie zaufanie po tym, jak zapytałam, dlaczego w CSP nie ma ani jednej lekarki zatrudnionej na stanowisku specjalisty. Co więcej, mogłaby sama zacząć się na tym zastanawiać, a nawet zadawać pytania w parlamencie czy na posiedzeniach rządu. A to z pewnością nie przysłużyłoby się bremu imieniu szpitala, którym pan zarządza.

Conway opadł na krzesło, zgrzytając zębami.

— I tak — ciągnęła przemowę Kate — skoro już pan 0 zapytał, istnieje ważny powód, dlaczego brak lekarek na odp0 wiedzialnych stanowiskach ma znaczenie. Jeśli faktycznie, św'a  
204

nie czy nie, w CSP pokazuje się kobietom, gdzie ich miejsce, ji to pewne problemy. Otóż widzi pan — uśmiechnęła się jonie znoszę, kiedy patrzy się na mnie z góry, umniejszając (tiojej wartości i umiejętnościom. Gdy pytam, oczekuję odpowiedziJak każdy policjant. Nie chciałabym, aby powstało przekonanie, że skoro kobieta przejęła dochodzenie, wszystkim będzie łatwiej, niż kiedy „panoszył się” — narysowała w powietrzu znak cudzysłowu — tutaj inspektor McGrath. Byłoby dobrze, gdyby przekazał pan to dalej. Przesłano mnie tu, abym poprowadziła śledztwo i znalazła sprawcę. Jak najszybciej.

Lukę Conway gapił się na Kate z na wpół uchylonymi ustami.

— Poświęciliśmy tej sprawie wiele czasu i wysiłku — kontynuowała Kate, wskazując ręką na wypchaną aktówkę. — Proszę nie pozwolić, by nasza dotychczasowa praca poszła na marne. Proszę również pamiętać, iż zostałam tu przysłana celowo. Dlatego najlepiej dla wszystkich będzie, jeśli każdy zacznie robić, co do niego należy. Wstała, ujęła rączkę aktówki i wyciągnęła przed siebie wolną, prawą rękę. Conway potrząsnął nią, dziwiąc się sile uścisku drobnej kobiecej dłoni. Kate tryumfowała w duchu. Tony Dowling podniósł się ociężale na nogi.

Sierżant Dowling i ja udamy się teraz do laboratorium, gdzie ponownie przesłuchamy tamtejszy personel. Moim życzeniem jest, aby pan nam towarzyszył i w żaden sposób nie uprzedził pracowników o zbliżającej się wizycie.

Obróciła się na pięcie i skierowała do drzwi. Dowling poszurał za nią niczym piesek pokojowy.

Jezusiczku, Kate — zaczął już na korytarzu, ale złapała za ramię i szybko uciszyła. Stali przez chwilę niczym posągi. °"y patrzył z niedowierzaniem na poruszające się usta kobiety, ate doliczyła do dwudziestu i otworzyła gwałtownie drzwi.

Tak jak mówiłam, wołałabym, aby nie uprzedzał pan Pracowników o mającym się odbyć przesłuchaniu — rzuciła. Potkamy się przed laboratorium.

Szczęka Conwaya oparła się o blat biurka. Dyrektor dzierżył chawkę, palcami drugiej ręki wybierając pierwsze cyfry nu-eru

Wewnętrzny.

205

Podczas gdy w Dublinie Kate Hamilton i Tony Dowling s talnymi korytarzami zmierzali w stronę laboratorium, w jk" stwie Wicklow Jack McGrath przemierzał hol Beechill, próbu' poukładać sobie w głowie wszystkie fakty na temat porwani Przybył na miejsce około południa i od razu zwołał zebrana z oficerami miejscowego posterunku. Zarzucił ich pytaniany

0     której zostali wezwani? Jak wyglądała rezydencja, kiedy pry jechali na miejsce? Czy ktoś widział uciekających porywaczy»

Czy przesłuchano już świadków, którzy mogli słyszeć eksplozję przy bramie? Czy w pobliżu Beechill ostatnimi czasy nie kręcił się nikt podejrzany? Jak porywacze dostali się na teren posiadłości? Gdzie dokładnie ustawiono pierwsze blokady na drogach?

Dość szybko przekonał się, że pracy miejscowych policjantów nic nie można zarzucić. Ci, którzy pojawili się na miejscu prze stępstwa pierwsi, nie zdeptali śladów, robiąc to, co w takiej sytuacji konieczne. W pierwszym rzędzie wezwali pogotowie, które odwiozło June Morrison do pobliskiego szpitala. McGrath pochwalił ich za sprawność. Powinien czuć się zadowolony, jednakże właśnie natrafił na pierwszy problem — Harry'ego O'Briena.

O'Brien senior oszalał.

Jego żona Sandra przebudziła się w nocy, czując ból w p :r-siach pełnych od pokarmu, nie zaś na płacz swego dziecka. Zaniepokojona nienaturalną ciszą odrzuciła kołdrę i wyslizgnęła się z łóżka. Od razu skierowała się do pokoju dziecinnego, gdzie odkryła pustą kołyskę. Natychmiast pobiegła do pomieszczenia, w którym spała June Morrison, i zastała pielęgniarkę leżącą bez zmysłów na podłodze. Rozkneblowała ją, nie wierząc w to, co widzi, po czym udała się na dół, do gabinetu męża. Tam znalazł'ł Harry'ego i ochroniarza skrępowanych sznurem i przywiązanych do krzeseł, na których siedzieli. Mężczyźni, szarpiąc się rozpacz liwie, próbowali poluzować więzy, walczyli o oddech przez wcl nięte w usta kneble. Ich włosy i ubrania usiane były odprysk31111 tynku z sufitu.

Ledwie ich uwolniła i dowiedziała się, co zas' ; zaczęła biegać od pokoju do pokoju, otwierając szeroko

1     wołając imię syna. Harry O'Brien postąpił jeszcze gorzej. padł przez drzwi frontowe na zewnątrz i byłby w ogóle nie w cił do domu, gdyby nie to, że jakieś pół godziny później nat

njeiro wóz patrolowy. O'Brien senior błąkał się, bełkocząc SI(t' sac si? z zimna. Sprawiał wrażenie wariata.

1 \* Tk I A v- n a r7n»l-r»łi\*ril -ł l\* 1 r t»»to

Theo Dempsey zachował zdrowy rozsądek. Ten były  
łnierz, w randze sierżanta sprawujący służbę w korpusie po-  
ły 1 ko

i

wym wysłanym przez rząd Irlandii do Libanu, przemierzył ele ciemnych  
zaułków i potrafił się znaleźć w sytuacji kryzyso-ffej To on  
zatelefonował na posterunek w Roundwood ze swojej komórki i miał na  
tyle przytomności umysłu, by o porwaniu powiadomić także  
komendę w Dublinie. To on ułożył June Morrison w pozycji bocznej,  
dokładnie tak jak go nauczono na kursach pierwszej pomocy podczas  
szkolenia wojskowego wiele lat temu. On również powstrzymał Sandrę  
przed wybiegnięciem na mróz w koszuli nocnej w poszukiwaniu  
dziecka i męża i powiadomił lekarza rodzinnego o kryzysie, prosząc, by  
natychmiast przyjechał zapanować nad chaosem.

Gdy do rezydencji przyprawiono szalejącego z rozpaczy liany'ego,  
Dempseyowi udało się go spacyfikować i nakłonić, by przebrał się  
w suche i ciepłe rzeczy. Nawet jego jednak przerażało to, co widzi. Nigdy  
wcześniej O'Brien senior nie był tak wzburzony, tak  
pobudzony. Nawet w najczarniejszych chwilach po tamtym wypadku,  
nawet gdy staczał się w otchłań alkoholizmu, zachowywał resztki  
przytomności umysłu. Nie tym razem wszakże. Lekarza także to  
niepokoiło; na wszelki wypadek wstrzyknął Harry'emu silny, długo  
działający środek uspokajają-cy i kazał położyć mężczyznę do łóżka.  
Sandrę O'Brien również Położono spać, naszpikowawszy wcześniej  
lekami kojącymi, po 'ymjak przesłuchujący ją policjanci uznali, że nie  
dowiedzą się od niej niczego więcej.

Jack McGrath skończył nabijać kilometry, chodząc po nieprawdopodobnie  
długim holu Beechill, i wrócił do pokoju, w któ-j|g|T1 czekał

Theo Dempsey. Ochroniarz nie potrafiłby powiedzieć,  
azy w ciągu ostatnich godzin opowiadał jedną i tę samą historię

Było ich czworo — rzucił McGrath od progu. — Dwoje s°kich, jeden  
średniego wzrostu i jeden niski. Skąd pewność,  
ten ostatni był kobietą? Py b 'ziałem pończochy, pulchne kostki u nóg i  
buty. Sto-y y zbyt male jak na mężczyznę, choćby nawet  
transwestytę.

Zdaję sobie sprawę, że to niewiele, ale tylko tyle mogę panu wiedzieć.

— Ten niski wydawał się szefem. — McGrath powtórzył sł0 wo w słowo zdanie, które wcześniej wypowiedział Dempsey

— Tak. Przez cały czas, kiedy byli w pokoju z nami, porożu miewali się gestami, ale na koniec gadał ten niski.

— Mówił z dublińskim akcentem?

— Na sto procent. Miał niezwykle silny dubliński akcent.

— Ale jeden z tych wysokich mówił, jakby pochodził z Pól. nocy — dopytywał McGrath. — Zgadza się?

— Tak. Wiele jeździłem z panem O'Brienem, także po Pólnocy, i potrafię rozpoznać różne akcenty. Na pewno się co do tego wysokiego nie pomyliłem. Pochodził z Pólnocy jak nic.

McGratha to nie dziwiło. Po prawdzie domyślał się czegoś podobnego już w chwili, kiedy zobaczył wysadzoną bramę. Potem technicy potwierdzili, że jako materiału wybuchowego użyto sem-texu, a to świadczyło, że co najmniej jeden z porywaczy musiał być kiedyś w IRA. Teraz to przypuszczenie potwierdziła informacja o północnym akcencie jednego z mężczyzn. I bardzo dobrze - pomyślał McGrath. - Mamy ich wszystkich w kartotece.

— Coś jeszcze, o czym nie było wcześniej mowy?

Theo Dempsey potrząsnął głową.

— Raczej nie. Wszystko wydarzyło się dość szybko.

Ochroniarz wyglądał na wykończonego, co rzadko mu się zdarzało. Wyprostowana zawsze postawa gdzieś zniknęła, linię krótko obciętych włosów zdobiły perlące się krople potu. Choć minęło już ponad dwanaście godzin od porwania, on ani na chwilę nie położył się spać, nie umył się, nie ogolił ani nawet niczego nie zjadł. Nie potrafił przestać myśleć o Harrym. Nigdy go jeszcze takim nie widział. Naprawdę martwił się o swojego szefa.

Inspektor McGrath usiadł ciężko za biurkiem O'Briena. Na blacie leżała kartka papieru o formacie A4. Biała, jeśli nie liczyć biegnących przez środek, wyciętych z gazet liter:

**CHŁOPAK HARRY'EGO... 3 MLN... ALBO TRUP... SZYBKO**

— Na pewno zostawili tylko to? — upewnił się. — ŻadneJ informacji o tym, jak się z nimi skontaktować?

nempsey ponownie potrząsnął głową.

Ao terminie mówili coś?

Nie. Zostawili tylko tę kopertę. Jeśli była w niej tylko ta »dna kartka papieru, to wszystko, co od nich mamy. Słyszałem każde słowo, jakie powiedzieli do pana O'Briena. Siedziałem przywiązany do niego plecami.

Drzwi do gabinetu nagle się otworzyły. W progu stała wy-mizerowana Sandra O'Brien. Jedną ręką opierała się o futrynę, drugą zaciskała poły szlafroka. Kiedy postąpiła krok do przodu zachwiała się i o mało nie upadła. Theo Dempsey zerwał się z krzesła i podbiegł do niej w ostatniej chwili.

— Odzyskajcie mojego syna — wymamrotała. — Odzyskajcie moje dziecko...

Dwóch miejscowych policjantów ujęło ją pod ramiona i zaprowadziło z powrotem do sypialni. McGrath i Dempsey wymienili szybkie spojrzenia, kiedy jej sylwetka ginęła w mroku na schodach.

Proszę tu zostać polecił McGrath ochroniarzowi. — Wróć za jakąś godzinę. Niewykluczone, że porywacze w tym czasie będą chcieli skontaktować się z O'Brienem. Pan tu jest jak na razie jedynym w pełni przytomnym człowiekiem zorientowanym w sprawie.

Dempsey opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Co za noc! Co za okropna, pierdolona noc! — myślał, z trudem powstrzymując opadające powieki i cisnące się pod nie łzy.

Nie przestawał słyszeć przeraźliwych wrzasków unoszonego na mróz małego Gordona i potępieńczego wycia Sandry biegnącej od pokoju do pokoju w poszukiwaniu porwanego syna.

Nigdy przedtem nie czuł się tak podle jak w tamtej chwili.

Gdzie jest Gordon O'Brien?

XXVII

Godzina 14.24 Laboratorium Centralnego Szpitala Położniczego  
Personel szpitala zgodził się pracować w sobotę i niedzielę, jeśli będzie trzeba, byle tylko uporać się z zaległościami. Na oddziałach znów zapanował zwykły szum, sale operacyjne przestały świecić pustkami. Dzieci ponownie zaczęły przychodzić na świat w CSP, gdzie wszystko powoli wracało do normy.

Pracownicy laboratorium mieli pełne ręce roboty. Zaległe badania krwi i moczu, wymazy, cytologie, histopatologie — wszystko musiało zostać wyprowadzone na prostą, tak żeby placówka od poniedziałku mogła podjąć bieżące obowiązki. Laboranci uwijali się jak w ukropie. Potrzebowali Kate Hamilton jak dziury w moście.

Mimo to Kate pojawiła się w laboratorium punktualnie o drugiej

trzydzieści. Towarzyszył jej Luke Conway, wyglądający jak chmura gradowa, odkąd wyszedł ze swego gabinetu.

Najpierw porozmawiam z wszystkimi pracownikami naraz — poinformowała go Kate — a później z każdym z osobna.

Conway z westchnieniem wyraził zgodę. Chwyając się swojej ostatniej szansy, zapytał:

— Czy to naprawdę konieczne? Laboratorium dopiero c podjęło znowu pracę. Ludzie próbują na powrót wejść w ruty11 W ostatnich dniach spiętrzyła się masa roboty...

Sierżant Hamilton nie miała wątpliwości.

— Porozmawiam z laborantami teraz, w tej minucie. NieJu tro ani za tydzień, tylko właśnie teraz.

210

OjpOwiedź nie zdziwiła dyrektora szpitala. Wiedział już, jo czynienia z twardą sztuką, kobietą nowoczesną, do tego Żł" „ryzowaną przez przełożonych.

taWWSzyscy odwrócili się w stronę drzwi, przez które weszli Tony i Luke Conway. Ten i ów wymienił zaniepokojone irzenia. Policjanci podeszli do miejsca, w którym znaleziono lalo Mary Dwyer, podczas gdy dyrektor szpitala zatrzymał się w progu, patrząc z niechęcią na ich poczynania. Hamilton sięgnęła p0 notes w czarnych okładkach i jeszcze raz przeczytała zapiski z pierwszej nocy, tuż po zgłoszeniu morderstwa. Jej czoło przeciął głęboki mars. Dowling przyglądał się koleżance z pobłażliwym uśmiechem.

Kiedy w laboratorium ucichły szepty wywołane pojawieniem się trojga intruzów, Conway odchrząknął, przeszedł parę kroków i oznajmił: Proszę o chwilę uwagi. Na prośbę pani detektyw zmuszony jestem ponownie wstrzymać pracę laboratorium. Mają państwo natychmiast przerwać obecne zajęcia...

Teraz już każdy patrzył wprost na Kate. Przebiegła wzrokiem po twarzach i oceniła, że personel składa się mniej więcej w równych częściach z kobiet i mężczyzn. Naliczyła osiem osób w wykrochmalonych białych fartuchach. Każda z nich siedziała przy swoim stanowisku. Reszta stała w różnych częściach pomieszczenia. Patrząc na ten żywy obraz, poczuła, że zaczyna ją boleć głowa.

Pani detektyw Kate Hamilton — Conway całkiem niepotrzebnie wskazał na nią ręką — została wyznaczona do poprowadzenia dalej śledztwa w sprawie wypadku... eee... w sprawie śmierci Mary Dwyer. — Zacukał się, za wszelką cenę chcąc 11 mknąć słowa „morderstwo", a w

dotatku zorientował się, że stoi w miejscu, w którym znaleziono martwą Mary. Bezwiednie °mlótl wzrokiem podłogę u swoich stóp. Osiem par oczu podążyło za jego spojrzeniem, niektórymi ciałami wstrząsnął dreszcz.

'e najmłodsze pracownice uniosły dłonie do gardeł, jak gdyby . rywając je przed rękami napastnika, obejmującego ich szyje ciskającego palce na tchawicy. Dłuższą chwilę trwało, zanim °nway nad sobą zapanował i podjął: — Pani detektyw pragnie siedzieć kilka słów.

211

Kate odczekała parę uderzeń serca w milczeniu, nabier pewności, że uwaga wszystkich skupiła się na niej.

— Witam państwa. Przykro mi, że przeszkadzam państwu w wykonywaniu obowiązków. Wiem, że wszyscy co w ich mocy, aby przywrócić w szpitalu normalność, no i prał w weekend to żadna przyjemność... — urwała, odnotowując kilk-niezbyt pewnych uśmiechów. — Jednakże odkąd przejęłam to do' chodzenie, żywię coraz silniejsze przekonanie, że jest coś, co nam umknęło na wcześniejszym etapie, i że to coś ma nierozzerwalny związek z laboratorium, w którym się znajdujemy. Pracownicy popatrzyli po sobie spłoszeni.

Dlatego — ciągnęła Kate — chciałabym, aby wrócili państwo pamięcią do dnia morderstwa i pamiętając, co każdy z was powiedział inspektorowi McGrathowi i jego zespołowi, zastanowili się, czy przypadkiem coś ważnego nie zostało przemilczam-. Może to być coś na pozór nieistotnego, mającego bardzo luźny związek ze sprawą. Liczy się każda, najdrobniejsza nawet sugestia — zakończyła, pozwalając, aby jej słowa zawisły w powietrzu. — Zwłaszcza zależy mi na odpowiedzi na pytanie, czy da się ustalić, jakiego rodzaju badanie wykonywała Mary Dwyer w wieczór swojej śmierci. Czy jest możliwe, że robiła przysługę komuś, kogo znała? Dlaczego jej komputer został zrzucony z blatu i rozbity w drobny mak? Co się mogło stać z wyrwanymi z drukarki arkuszami? Z jakiego powodu zniszczono również drukarkę? Po co morderca zadał sobie trud rozbicia wszystkich próbek z krwią przeznaczoną do badań? Czy pozostałe urządzenia, które ucierpiały tamtej nocy, były wybrane przypadkowo czy też celowo, aby uniemożliwić dostęp do informacji, jakie za-wierały?...

Wyrzuciwszy z siebie łańcuch pytań, Kate umilkła i uważnie wpatrzyła się



w twarze słuchających ją ludzi. Stojący nieco za W4 Dowling już się nie uśmiechał. Obserwował laborantów swy'111 szarymi, zmęczonymi oczami, wokół których w ciągu długich 'at służby rozrosła się sieć głębokich zmarszczek. Podczas późniejszej rozmowy w cztery oczy doszli do wniosku, że jeśli spraw'ca znajdował się pośród tych ośmiu osób, umiał się dobrze mask<sup>o</sup> wać. Nie pamiętali bowiem, kiedy ostatnio widzieli równie p111, twarze.

212

Czy komputery są połączone w sieć? — pytała dalej Kate.

QZy laboratorium ma własny serwer, gdzie gromadzone są

Wszystkie dane?

Tak — odezwał się ktoś z tyłu pomieszczenia.

Był to młody — nieprawdopodobnie młody — chłopak o twa-rZy poznaczonej świeżymi śladami po trądziku. Tu i ówdzie wyrastała mu już nowa krosta. Ciemne długie włosy miał ściągnięte z tyłu głowy w cienki kucyk, a na sobie fartuch, który od dawna dopominał się o pranie i porządne prasowanie. Ręce założył na piersj — gestem obronnym albo aroganckim, tego Kate jeszcze nie była pewna.

Tak — powtórzył chłopak. — Próbowałem o tym powiedzieć tamtemu policjantowi... — Kate popatrzyła na Dowlinga, ale chłopak pokręcił głową. — Nie, nie temu. Tamtemu drugiemu. Z wąsem...

Inspektorowi McGrathowi? — podpowiedziała.

Nie pamiętam, jak się nazywał — chłopak wzruszył ramionami ale kiedy zacząłem mu mówić o serwerze, zadzwonił jego telefon.

Rozmawiał przez chwilę, kłócąc się z tym kimś, kto był po drugiej stronie linii, a potem oświadczył, że laboratorium trzeba zamknąć do odwołania. Dziwi mnie to całe gadanie o współpracy, skoro nikt nas tak naprawdę nie wysłuchał jak należy.

Lukę Conway potaknął z satysfakcją. Kate uznała, że musi szybko zapobiec dalszemu nakręcaniu się chłopaka, gdyż jego słowa mogą źle wpłynąć na pozostałych świadków czy też podejrzanych — w zależności od punktu widzenia.

Przykro mi, że nikt pana nie wysłuchał, panie... Jak pan s'ę nazywa?

Hogan — padła odpowiedź — Ben Hogan. No więc, tak fjuż mówiłem, całe laboratorium jest skomputeryzowane. Kie-V Jakiś lekarz zleca nam badanie, dostajemy formularz i próbkę, P<sup>o</sup> czym wszystkie dane zostają wprowadzone do systemu. Tutaj, pr2y poszczególnych stanowiskach — pokazał ręką. — Ale infor-

cJe są też gromadzone na serwerze. Robi się to automatycznie . wypadek

przerwy w dostawie prądu na przykład. Tak że nawet ' któryś z komputerów się zepsuje, można odzyskać potrzebne ne- Dotyczy to także specjalistycznego sprzętu.

213

Czy to oznacza — zapytała wolno Kate — że dzięki t można dotrzeć do informacji, jakie dokładnie badanie przepros U dzala Mary Dwyer we wtorkowy wieczór?

Tak — potwierdził Ben Hogan.

Kate odwróciła się w stronę Conwaya i uśmiechnęła się dół słodko.

Panie doktorze, wiem, że być może proszę o zbyt wiele ale czy zechciałby pan oddelegować pana Hogana nam do pomocy? Im szybciej, tym lepiej.

Z tego co usłyszałem, wynika, że gdyby tamten inspektor wykonywał swoje obowiązki sumiennie, mielibyśmy to dawno za sobą. — Conway poczuł, że chwila mu sprzyja, i postanowił utrzyć nosa pewnej siebie policjantce, która przed niespełna dwiema godzinami potężnie nadepnęła mu na odcisk.

Co było, to było — machnęła ręką Kate. — Ben... mogę do ciebie mówić Ben, prawda? - upewniła się, a kiedy chłopak potwierdził skinieniem, dokończyła: — Zatem bierzmy się do roboty, Ben, czas ucieka.

Tony Dowling przysłuchiwał się wszystkiemu uważnie i w jego umyśle krystalizowały się dwa wnioski. Pierwszy dotyczył jego rychłej emerytury. Całe to gadanie o sieciach, serwerach, danych i tym podobnych rzeczach działało mu na nerwy. Nigdy nawet nie nauczył się obsługiwać komputera i na posterunku wciąż korzystał z wysłużonej maszyny do pisania. Dlatego cieszył się, że już niedługo zostanie emerytem i nie będzie musiał martwić się, czy nadażą za postęпами techniki. Drugi wniosek wiązał się z Kate. Okazało się, że całkiem bystra z niej osóbką...

Nagle sierżant zrozumiał, że jeśli to dochodzenie nie zakończ) się pełnym sukcesem, odpowiedzialność za porażkę policji spadnie na jego przyjaciela i niedawnego partnera, Jacka McGratha.

XXVIII

Godzina 17.07 Chata, okolice Kilcullen, hrabstwo Kil dare

Gordon O'Brien, mający dokładnie pięć dni i pięć godzin, był bardzo nieszczęśliwym dzieckiem.

Nowo narodzony człowiek jest jednym z najdelikatniejszych i najbardziej bezbronnych stworzeń na ziemi. Przez ostatnie dziewięć

miesiący Gordon rozwijał się w zaciszu macicy, powoli nabierając ludzkich kształtów. Zawieszony w płynie owodniowym czuł się bezpiecznie i miło. Słyszał uspokajające bicie serca matki, jej głos i dobiegające z dali stłumione dźwięki. Nic mu nie groziło. Był zadowolony. Wciąż nie narodzony, lecz już szczęśliwy; zdrowo rosnący i prawidłowo się rozwijający. Zawsze najedzony i nie wiedzący, co to strach. Łono matki uważał za cały swój — niezwykle przytulny — świat.

Wszystko zmieniło się w poniedziałek dziesiątego lutego. Wtedy Gordon O'Brien urodził się. Tuż przed narodzinami musiał stoczyć ciężką bitwę, którą nieomal przegrał. Cudem sprowadzony na ten świat, w sposób nienaturalny i brutalny, prawie od razu został pokłuty igłami, dowiadując się, co to ból. Uszy rozdzierał 11111 dobiegający zewsząd hałas i przerażające dźwięki, jakże różne miarowego bicia serca matki i jej kojącego głosu.

. Już z pierwszą chwilą na powietrzu walczył o oddech. Chciał rozpłakać, chciał wykrzyknąć światu, jaki jest nieszczęśliwy, klCz  
2 Początku nawet tego nie umiał zrobić. Dopiero poczuwszy aPsa, wydał z siebie najpierw ciche kwilenie, a potem ogłuszący Wrzask, który jego samego zadziwił. Płakał, wołając matkę. Wówczas znów się pojawiła w jego życiu. Odtąd co jakiś czas Wsysał się do jej piersi, karmiąc się jej pokarmem i rozkoszując

215

znany mu głosem. Bicie jej serca brzmiało teraz nieco inaczej mimo to rozpoznawał je. Po raz pierwszy poczuł jej dotyk i -niej nie mógł się go doczekać, całym sobą pragnąc, by pogładzi go po twarzy, pogłaskała po włoskach.

Ponownie odnalazł szczęście. Niczego mu nie brakowało h  
on i jego matka.

A teraz znowu jej zabrakło.

Zaczął rozpaczliwie płakać.

Zamknij temu gówniarzowi ryj! — Sam Collins był na skraju wytrzymałości.

Żadne z nich nie spało minionej nocy. Najpierw byli zbyt podnieceni sukcesem, by zasnąć — w uszach wciąż mieli huk materiałów wybuchowych i strzały z broni palnej, w ich żyłach krążyła krew wymieszana z adrenaliną, której wydzielanie wzmoгло się podczas podróży powrotnej do Newbridge, kiedy to w każdej chwili obawiali się zatrzymania. Później nie pozwoliły im zmrużyć oka krzyki

dziecka. Niemowlę darło się wniebogłosy.

Sam Collins pierwszy stracił cierpliwość. Nigdy nie przepadał za dziećmi, a to co wyprawiał mały Gordon, jego zdaniem przekraczało wszelkie pojęcie.

Peggy! Słyszałaś, co powiedziałem? Zamknij temu gówniarzowi ryj! Wszyscy byli podenerwowani. Tommy Malone oglądał wiadomości jak leci, sprawdzając, co mówią o nich w radiu i telewizji-Jak większość przestępców uwielbiał czytać o sobie w gazetach i wysłuchiwać reportaży na temat swojej ostatniej robótki, ly111 razem mógł mieć pewność, że jego akcja odbije się szerokim echem.

Serwisy informacyjne podawano w grobowej atmosferze, wydłużając przeznaczony na nie czas, tak by zmieściły się wszystk"- najnowsze wiadomości na temat porwania. Dziennikarze i Pa" zenterzy raz po raz apelowali do porywaczy, aby zwrócili dzieck0 rodzicom całe i zdrowe, oraz do obywateli o czujność i Porn° ' Wystąpienie minister sprawiedliwości przewidziano na osien1'1 stą. Tymczasem pokazywano Beechill ze wszystkich możliwy ujęć, przekazując opinii publicznej informacje na temat sta zrozpaczonych O'Brienow.

Oboje znajdowali się pod opieką P

216

■ lekarzy. Zarówno Sandra, jak i Harry byli na silnych środ--h uspokajających i na razie nie mogli stanąć osobiście przed licji kac lamer3""-

Kurdefelek — mrknął Tommy Malone. Nie spodziewał . \*e O'Brien dostanie kota. — Oby mu się poprawiło do jutra, bo dłużej nie wytrzymam z tym rozdartym bachorem. Cała nadzieja w Peggy-Może gdyby Peggy Ryan była młodsza o piętnaście lat, sytuacji by jej nie przerosła. Niestety czas i tryb życia zrobiły swoje i teraz nawet ona nie umiała znieść wiecznie płaczącego dziecka. Próbowwała je uspokoić, wtykając mu do buzi smoczek, ale to w ogóle na Gordona nie działało. Próbowwała go karmić częściej, niż to było potrzebne, także na darmo. Z wielkim trudem powstrzymywała się, żeby nie potrząsnąć wyjącem dzieckiem. Wiedziała jednak, że Tommy by tego nie pochwalil.

Gordon O'Brien umierał ze strachu. Zniknęły gdzieś gładkie dłonie jego matki, ustępując szorstkim obcym rękóm. Miękkie i ciepłe piersi, w które wtulał się, ssąc, zostały zastąpione przez twarde butelki i zimne, nieprzyjemne gumowe smoczki. Tęsknił za delikatnym głosem, który pamiętał od zawsze, i bał się otaczających go

krzyków, w których wyczuwał zagrożenie.

Śluzówka jego nosa uległa podrażnieniu wskutek ciągłego wdychania dymu z papierosów Tommy'ego, otwierając wrota dla bakterii.

Wkrótce infekcja w zdradzieckim tempie postępowała n'żej, ku oskrzelom i płucom. Zapłakany Gordon na domiar złego zaczął kichać i kaszleć.

Malone wyłączył radio, nie wierząc własnym uszom. Dziecko płakało.

Wreszcie chwila pieprzonego spokoju — pomyślał, aiaz jednak wyobraził sobie, co będzie, kiedy Gordon się obu-. " I natychmiast posłał Peggy złowrogie spojrzenie. Dopilnuj, ebV był cicho, albo...

No dobra — powiedział na głos. — Wygląda na to, że Har-O Brien nie będzie w stanie dostarczyć pieniędzy co najmniej Poniedziałku.

To dwa pełne dni — zamyślił się. — Tym co Niaw radiu i telewizji, nie musimy się przejmować. Zawsze yw-ają chojraków na początku, a potem rura im mięknie. Jak

217

tylko O'Brien dojdzie do siebie, będzie chciał odzyskać dzie t. Za wszelką cenę.

Im szybciej, tym lepiej — wtrącił Moonface, który woli także zaczynał mieć dość. Swoim zwyczajem wydłubał co" z nosa i wytarł palce o spodnie.

Tommy Malone udał, że go nie słyszy i nie widzi.

Jesteśmy tutaj uziemieni do poniedziałku. Trzeba sobie jakoś radzić.

Pojadę kupić coś do żarcia. Możecie zrobić listę ty czeń, co tam kto chce. Tylko żeby nie było wątpliwości, nie jestem dobrą wróżką i nikomu nie przywiozę wody. Wy — zwrócił się do Collinsa i Mulligana — też możecie rozprostować nogi. Peggy nie odstępuj dzieciaka na krok.

Cholera — zakłęła w myślach Peggy Ryan.

— Niech nikt się stąd nie oddała. Możecie iść co najwyżej do połowy ścieżki i zaraz wracajcie do chaty. Nie chcę, kurdefelek. żeby ktoś zobaczył, że tu mieszkamy, i zaczął węszyć. Rozumiecie?

Wszyscy skinęli ponuro głowami, w duchu przeklinając swój los.

Wrzeszczący bachor i ani kropli choćby najcieńszego piwa. Szlag by to!

Może pojedę z tobą? — zaofiarował się Moonface. — Naprawdę potrzebuję się przewietrzyć. Dobijają mnie twoje fajki.

Collinsowi nie podobało się, że go zostawiają z Peggy i dzieciakiem, ale postanowił nie protestować. Były małe szanse na to, że się zwiną, zanim O'Brien zapłaci okup. A szkoda — westchnął po cichu były żołnierz IRA.

Moonface pakował do bagażnika volva odżywki dla niemowląt i pieluchy. Wcześniej Malone umieścił tam artykuły spożywcze, jakie wybrał wedle swego uznania.

— Chryste, Tommy, czemu to ja musiałem je kupować, poskarżył się Mulligan, targając wielką pakę ze zdjęciem g°kiego malca.

- SJfl

— Bo ja jestem za stary na ojca — warknął Malone. . słuchałeś wiadomości czy co? Wszyscy teraz patrzą podejrzliwie na każdego, kto kupuje różne rzeczy dla małych dzieci. P°

218

j wystawiać? Ty masz tyle lat, że spokojnie mógłbyś mieć małe Kiecko. Ja nie.

Dlatego przed parunastoma minutami skrzywiony Moon-pchał przed sobą wózek wypełniony kartonami z mlekiem Jproszku, paczkami pieluch i środkami czystości, jakich zażyczyła obie Peggy- Przed każdym regałem przeżywał katusze, nie umie-■ c się zdecydować na odpowiednią formułę, rozmiar i zapach.

Tommy, który uporał się z zakupami raz-dwa, siedział w aucie i czytał wieczorne gazety. Nareszcie trafił na pierwsze strony!

Nagłówki krzyczały: PORWANIE!

W „The Evening Herald” i „The Evening Post” zamieszczono zdjęcie rodzinne O'Brienów, zrobione wtedy, gdy we trójkę opuszczali Centralny Szpital Położniczy. Zajmowało większą część pierwszej strony i znalazło się również na rozkładówce w środku, ujawniając więcej szczegółów. Tekst przedstawiał dramatyczne okoliczności narodzin Gordona, który także widniał na fotografiach, nieco tylko mniejszych, opisywał fatum ciąży nad Harrym O'Brienem, jakiego pierwszą odsłoną był wypadek sprzed lat, i rozplęwał się nad urodą i niewinnością Sandry. Posiłkowano się mapą hrabstwa Wicklow z zaznaczonym Roundwood i zdjęciami lotniczymi Beechill, aby ukryć, jak niewiele zrobiła na razie policja. Sprawozdanie z podjętych działań sprowadzało się do paru nędznych linijek. Artykuły specjalnych wysłanników powtarzały wszystko to, co napisano w redakcjach, z tą różnicą, że więcej uwagi niż na ofiary porywaczy zwracały na reportażystów stacji telewizyjnych, jakby zostali oni wysłani w

strefę wojny. CNN na okrągło wałkowało porwanie O'Briena juniora na zmiana? z historią porwań i zamachów na terenie Irlandii. Malone nie zagłębił się w lekturę, bojąc się, że coś, co o nim JlaPisali, mogłoby go zdenerwować. W ogóle coraz mniej podoba-. Iru się, że wokół porwania zrobiło się tyle szumu. Wykorzystuje moment, kiedy Moonface odprowadzał wózek na wyznaczone 'ejsce na parkingu. Tommy wysiadł z auta i wyrzucił gazety do J hższego kosza na śmieci.

, ..... Gdzie są gazety? — spytał Moonface, kiedy wysiedli pod atą.

A niech to, musiałem je zostawić na masce, jak wkładałem ży do bagażnika — skłamał Malone.

219

Aha - mruknął Martin Mulligan, w przebłysku elok cji myśląc sobie, że kiedy wracał do samochodu, niczego na" sce nie było.

Brian O'Callaghan wyszedł z za węgła na tyle późno, że zobaczył tylko tylne światła wozu skręcającego w wąski trakt.

Wciąż tu są — pomyślał. — Ciekawe, kto to?

Ben Hogan patrzy! na ekran komputera, mrugając oczami Zrobił już wydruk wszystkich badań przeprowadzonych we wtorek jedenastego lutego, a potem porównał listę z plikiem papierowych formularzy skierowań. Wszystko się zgadzało z wyjątkiem jednego badania. Do niego nie było pary w postaci skierowania.

Kiedy zaczął sprawdzać dalej, sprawa skomplikowała się jeszcze bardziej. Wszystko wskazywało na to, że pacjentka, której krew badano bez zlecenia lekarza, nie istnieje. Przed sobą na monitorze miał następujące dane: JOAN O'SULLIVAN, CRUMLIN CRK-SCKNT 249, CRUMUN, DUBLIN, 27.02.1976.

Ben próbował ją odnaleźć najpierw po nazwisku, później po dacie urodzenia. Bez skutku. W szpitalnych rejestrach nie było żadnej Joan Sullivan zamieszkałej pod tym adresem i urodzonej tego dnia i roku. Co jeszcze dziwniejsze, nie pokazało się nazwisko laboranta wprowadzającego informacje o pacjencie. Ani — skoro już o tym mowa — nazwisko lekarza zlecającego badanie. To wzbudziło w Benie podejrzenia. Bardzo silne podejrzenia Zaraz jednak wystukał coś na klawiaturze i odkrył tożsamość osoby wykonującej badanie.

Była nią Mary Dwyer. To znaczy, musiała nią być, skoro badanie wykonano o dwudziestej pierwszej dwadzieścia trzy w miniony wtorek.

Tego dnia Mary miała dyżur.

Czując narastające podniecenie, Ben oderwał się od komputera i przeszedł na zaplecze, do archiwum laboratorium. Tam otworzył szafę na dokumenty i przebiegłszy po grzbietach zawieszonych czek, odszukał tę właściwą, w której tkwiła lista badań zlecony dla potłuczonych przez mordercę próbek. Wyjął ją i znów zaczął mozolnie porównywać dane. I znów brakowało jednej informacji do pary! Na wszelki wypadek sprawdził ponownie — efekt

220

am gen Hogan sięgnął po telefon i zadzwonił do dyrektora, tell V' by ten natychmiast przyszedł do laboratorium. Pr°(-onway pojawił się na dole dosłownie w ciągu paru minut.

Pamięta pan te potłuczone próbki? — zapytał go labo-  
Kazano nam wtedy przypisać każdej nazwisko pacjenta.

r Tak. — Luke Conway spoglądał na swego pracownika ba-  
cz0 Zastanawiał się, co takiego odkrył w trzewiach laboratoryjnego serwera.

Oraz podać, który dokładnie lekarz zlecił badanie.

Owszem.

No więc coś się tutaj nie zgadza. Jedna para jest felerna.

— Proszę mi to wyjaśnić jeszcze raz, ale bardzo, bardzo wolno —  
poprosiła Kate Hamilton, zwoławszy w bibliotece zebranie zespołu, na które zaprosiła Luke'a Conwaya i Bena Hogana.

Obaj mężczyźni zdążyli już naświetlić problem. Conway podzielił się z policją odkrytą przez laboranta informacją nadzwyczajniechętnie, zdając sobie sprawę z jej niebagatelnej znaczenia.

- Mary Dwyer zabrała się do przeprowadzania testu na AIDS we wtorek o dwudziestą pierwszą dwadzieścia trzy — zaczął Hogan.

— We wtorek jedenastego lutego i punktualnie o tej godzinie — upewniła się Kate.

Tak — potwierdził chłopak. — Data i godzina to podstawowe dane, jakie zapisuje komputer.

— Dobrze. Co dalej?

Na ogół, kiedy wprowadza się do systemu nowe badanie, Podaje się nazwisko lekarza zlecającego oraz nazwę oddziału. Je-1 badanie wykonywane jest dla lekarza pracującego w przychod-! Używa się specjalnego kodu. Ponadto laborant wpisuje swoje 'n'cjały, tak że wiadomo, kto robił test. Mogę mówić dalej? — po-jestrzVł na Kate. Kiedy kiwnęła głową, kontynuował: — Istotne



' Czy pacjent jest nowy czy nie. Jeśli jest nowy, trzeba wpro-s: 2lc jego pełne dane, z czym jest masa roboty — poskarżył P°d adresem dyrektora. Ten tylko wzruszył ramionami. Kate dzić lnc""a r? ką ponaglajaco. — Mary Dwyer także musiała spraw-' Czy pacjentka już jest w systemie czy jeszcze jej tam nie

221  
ma. I okazało się, że jej nie było. - Hogan urwał, wiedząc ■ wszyscy czekają na jego następne słowa.

- Czyli była nowa — odezwał się Dowling, używając |0 ki.

Niezupełnie. — Ben najwyraźniej zaczął się dobrze bawić utrzymując policjantów w niepewności. — Nie o wpół do dzie siątej wieczorem. Przyjęcia do szpitala są rano, a nawet gdyby z jakiegoś powodu Joan O'Sullivan trafiła na oddział później i tak jej dane znalazłyby się do tego czasu w systemie. Rejestracja bardzo tego pilnuje. Ale jeszcze ważniejsze jest to, że żaden lekarz nie zleciłby wykonania testu na AIDS o tej godzinie. Dyżur w laboratorium zarezerwowany jest na wyjątkowe przypadki, jakie nie mogą poczekać do rana.

— A test na AIDS nie jest takim przypadkiem? — spytał ktoś z sześciuosobowego zespołu, szczerze zdziwiony.

— Nie — pokręcił głową Ben. — Choć to może dziwić, testy na AIDS to obecnie rutyna. Wykonujemy je w trakcie normalnych godzin pracy. Odkąd tutaj pracuję, jeszcze nigdy nie było zlecenia, by przeprowadzić test w kierunku obecności wirusa HIV w nocy.

A może ta O'Sullivan była pacjentką przychodni? — podsunęła Kate.

— O wpół do dziesiątej wieczorem? — pokręcił głową Hogan. Widać było, że wszystko sobie dokładnie przemyślał. — Pochodnia jest zamykana o szóstej, najpóźniej wpół do siódmej...

W porządku — przerwała mu Kate. Czuła, że uzyskała właśnie ważną informację. Może nawet bardzo ważną. Mimo to pozostała sceptyczna.

— Wiemy, że Mary Dwyer zabrała się 0 wykonywania testu na AIDS około dwudziestej pierwszej trzy dzieści. Z tego co usłyszeliśmy, wynika, że nie jest to typ0%v zachowanie na dyżurze, ale z drugiej strony kto zagwarantuj • że Mary nie wyświadczała przysługi komuś z rodziny czy Pr., jaciół. Coś takiego zdarza się w laboratoriach, prawda? Pravv — powtórzyła.

Lukę Conway poczuł się w obowiązku zareagować. Owszem. Z przykrością stwierdzam, że podobny Pce

ma miejsce. Jednakże nikt rozsądny nie podkładałby się rze. Coś takiego lepiej zrobić w trakcie normalnych godzin

222

dyżur' praf

niędzy zleconymi badaniami. V, ■ „7Vnek zc

kizbowe. Regularnie przeprow 'ostaną wyciągnięte konsekwenc-

C. •U. .Anio i WKnAęirrw V KntrnA tr -7-71 .min

P0'1 „iek zostanie wykryty i że zos Wtedy jest mniejsza szansa, że

CJC 6'v ograniczonym budżecie, i jcwadzamy kontrole, to zrozumia-na

przeprowadzaniu badań i jeszcze nigdy nie przyłapaliśmy Z- No

dobrze... — Kate spójrz m na boku podczas dyżuru...

jeszcze jakieś uwagi? jrzała na Conwaya. — Nasunęły Tak. Brak

formularza. Ben,

na to badanie. Dlatego nin, choć szukał, nie znalazł skier-

rowania .

iacego test. A musiał jakiś być, w nie znamy nazwiska lekarza zle- jby

Mary badała krew kogoś zi w przeciwnym razie... to znaczy,

byłoby wprowadzać do systemu fa znajomego... głupotą z jej strony by

sprzęt i odczynniki, a nie zawr; fałszywe dane. Po prostu

zużyła-wymyślonej pacjentki do komput« racała sobie głowę

wpisywaniem pogorszyło sprawę. A jednak na selera. W jej wypadku to by

tylko nieistniejącej kobiety... serwerze zachowało się nazwisko

— Czemu więc nie ma nazw

zapytała przytomnie Kate. wiska lekarza i inicjałów M. D.? . Wydaje mi

się, że wiem —

kich znowu skierowały się w jegc - odezwał się Ben. Oczy wszyst-dy gdy

coś się nie zgadza na skier -o stronę. — Zdarza się, że...

wte-poprawnie wypisane albo nie mo: -rowaniu, na przykład gdy nie jest

odkładamy papierkową robotę nażna odczytać nazwiska

lekarza... robienie dwa razy tego samego. ;a później, żeby nie tracić czasu

na powiedział, jak często skierową Zdziwiliby się

państwo, gdybym Wr?ez brakuje na nich większość, inia są niechlujne,

niejasne albo

Tony Dowling wygląda! na z'ci wymaganych informacji, ny. zagubionego.

Czuł się zagubio-

Zatem Mary Dwyer zrolj PaPierkowej, bo nie znalazła pac biła test, ale

nie odwalila roboty Jakie to ma znaczenie? jentki w

systemie — rzekł wolno.

A takie — wtrącił się C m<sup>o</sup>demu laborantowi, który paV<sup>o</sup>nway, nie dając dojść do słowa ażnie mówiliśmy, Dwyer w i ił się do odpowiedzi -że jak już v we krwi poza normalnymi ykonała test na obecność wirusa m<sup>o</sup> w sobie jest dość niezwyk' godzinami pracy, na dyżurze, co stując ,lazwjsk0 kobiety, kto łe. Dalej, badanie zlecono, wyko-  
\*ięc,

eJ nie można znaleźć skie ra nie była pacjentką szpitala. Co rowania. A także, o czym jeszcze

223

nie było mowy, ale właśnie chciałem do tego przejść, nindzj, ma również próbki krwi, choć powinna być.

Nie ma, choć powinna być? — powtórzyła za nim k-podnosząc ton głosu o oktawę.

Conway uśmiechnął się.

Dobrze pani usłyszała — potwierdził. Wykorzystan próbki nie są niszczone, jak myśli wiele osób, lecz przechowyw ne zgodnie z przepisami. Ta też powinna pozostać na terenie szpj tala, a jednak tak się nie stało. Sądziiliśmy, że trafiła na podłóg, wraz z resztą próbek, lecz po dokładnym sprawdzeniu okazato się, że znalazły się tam wszystkie z wyjątkiem tej jednej.

Wśród policjantów nastąpiło poruszenie.

— A ona gdzie się podziała? — spytała Kate.

Nie mam pojęcia — wzruszył ramionami dyrektor. Z pewnością nie znajduje się na terenie laboratorium, gdzie jej miejsce. Na polecenie policji zostały przeszukane wszystkie pomieszczenia. Zajęło to wykwalifikowanemu personelowi — nic omieszkał podkreślić Conway — prawie dwa dni. Ludzie inspektora także szukali, nie przepuszczając żadnemu koszowi, kaloryferowi ani niszczarce na tym poziomie szpitala. Bez skutku.

— Czyli morderca zabrał próbkę ze sobą?

— Na to wygląda.

— Gdzie mieszkała ta wymyślona pacjentka? — nieoczekiwanie zapytał John Doyle, jeden z sześciu detektywów przydzielonych do zespołu Kate. Podobnie jak pozostali stał pomiędzy regałami. Ben Hogan popatrzył na trzymany w ręku wydruk.

- Crumlin Crescent dwieście czterdzieści dziewięć, Cru»1'  
lin.

Proszę to powtórzyć — polecił Doyle, nachylając sv w stronę mówiącego.

— Crumlin Crescent dwieście czterdzieści dziewięć, Cru

lin.

W Dublinie? Czy ten adres dotyczy Dublina? Kod pocz'0'  
wy zaczynający się od dwanaście?

Chyba tak... — Hogan ponownie opuścił wzrok na druk. — Ale kod  
pocztowy zaczyna się od szesnaście...

John Doyle wyprostował się.

224

To się nie zgadza, Kate — rzucił, marszcząc czoło. — To ni trochę nie  
zgadza. Pracowałem kiedyś w tamtej dzielnicy. ni i3  
wygląda Crumlin Crescent. Stoi tam jakieś dwadzieś-  
joinków rozmieszczonych po obu stronach ślepej uliczki. Nie L'a tam  
numeru dwieście czterdzieści dziewięć, ulica jest na to "jy  
czaj nie za krótka. Co najwyżej dwadzieścia albo nawet dziewiętnaście czy  
osiemnaście.

W bibliotece zapanowała cisza.

Lukę Conway poruszył się niespokojnie na krześle. To co odkrył Ben  
Hogan, w połączeniu z jego własnymi uwagami oraz ostatnim  
stwierdzeniem skrupulatnego policjanta, mogło świadczyć tylko o jednym.  
Dyrektor Centralnego Szpitala Położnicze-go byłby  
szczęśliwy, odsuwając od siebie tę myśl. Jednakże Kate Hamilton nie dała  
mu takiej możliwości.

— Co pan o tym wszystkim sądzi, doktorze? — zwróciła się do niego.  
Conway zwilżył spierzchnięte wargi i złączył palce w gest piramidki.  
Kiedy zaczął mówić, patrzył na swoje paznokcie, nie na  
słuchających go pilnie detektywów.

— Jeśli połączyć wszystkie fakty, wychodzi na to, że Mary Dwyer  
została zamordowana przez kogoś będącego pracownikiem CSP.

— Czemu pan tak sądzi? — chciała wiedzieć Kate.

Conway poczuł się tak, jakby ktoś włożył mu palec do świeżej  
rany. Zastanowił się dobrze, nim odpowiedział.

Mary Dwyer była świetnym technikiem laboratoryjnym ' młodziwczyną  
— zaczął, starannie dobierając słowa. — Miała dużą wrażliwość,  
choć jednocześnie twardo stąpała po ziemi. Nie Podjęłaby się wykonania  
testu w kierunku HIV o tak późnej godzinie, gdyby ktoś jej  
tego wyraźnie nie zlecił albo jej bardzo nie -Prosił. Jest więc równie  
prawdopodobne, że badanie przeprowa-

1 a dla któregoś z lekarzy, jak i dla... — zająknął się, z trudem yszło mu  
przyznać, że opracowane procedury nie są doskonałe lat  
kogokolwiek. Na pewno jednak dla kogoś ze szpitala. Dość i r,W° Jest

podrobić formularz skierowania, pobrać sobie krew at i to  
wszystko do laboratorium, mówiąc, że doktor taki  
Sytu 1 Pr°si o natychmiastowe przeprowadzenie badania. W takiej acJ  
Mary nigdy by nie odmówiła, była bardzo sumiennym  
225

pracownikiem. Wyobrażam sobie, że przyjęła zlecenie i 0(J r przystąpiła  
do wykonywania testu, na później zostawiając sob" uporanie  
się z biurokracją.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

— Zatem — podsumował rewelacje Dowling — dosłownie każdy mógł  
zjawić się w laboratorium we wtorkowy wieczó i przekonać Mary  
Dwyer, że musi wykonać pilne badanie. A ona zasiadłszy do pracy,  
najpewniej odkryła, że coś się nie zgada w systemie komputerowym.  
Wszystko na to wskazuje — skinął głową Conway.

— Ale dlaczego została zamordowana? — Dowling zadał pytanie, które  
od paru dni gnębiło wszystkich, teraz zaś nabrało nowego  
znaczenia. Detektywi zdążyli już sobie wyrobić pogląd na sprawę, chcieli  
jednak, by ich podejrzenia potwierdził dyrektor szpitala.

Dlaczego Mary Dwyer została zamordowana?

Myślę - niechętnie odpowiedział Luke Conway — że dowiedziała się o  
czymś, o czym nie powinna była zdaniem mordercy wiedzieć.

Na przykład o czym? — zażądała precyzji Kate.

O tym, że morderca jest chory na AIDS.

Kulki w głowie Kate zderzyły się z potężną siłą.

— Wynik testu był dodatni?

Każde słowo, które padło podczas narady w bibliotece, znalazło się na  
kasetach. Chwile ciszy zostały automatycznie wycięte,  
dyktafon włączał się na najlżejszy dźwięk i wyłączał, kiedy zapa-  
dało milczenie. Odsłuchiwanie takich nagrań wymagało pewnej  
wprawy, ale Dean Lynch szybko się uczył.

Wynik testu był dodatni? — Kate zadała pytanie retoryczne, znała już  
bowiem odpowiedź. - Zatem mamy do czynień'3 z naprawdę  
niebezpiecznym draniem! — W jej głosie słyhać by gniew, Dean Lynch  
nie miał co do tego wątpliwości.

Zwłaszcza po

tym, jak padło wysyczane: — Mam nadzieję, że zgnije w piekle-  
Odtwarzał to ostatnie zdanie wielokrotnie.

Mam nadzieję, że zgnije w piekle! Mam nadzieję, że zgn je w piekle!...  
W pewnym momencie Dean Lynch zaczął wyć jak katów zwierzę.

Osiem osób z personelu nie ma alibi na wtorkowy wie-■. j noc — mówiła Kate, posiłkując się notatkami. — Wiem, CZ iest sobota i wszyscy najchętniej poszliby już do domu, ale lejałabym dziś przesłuchać choć troje z nich. Wezwijmy ich na C sterunek i dowiedzmy się, ile się da.

Powietrze nabrzmiało od niewypowiedzianych przekleństw.

Zacznijmy od kucharza, który wydał się śliski przesłuchacemu go policjantowi. Zajmiesz się nim, John? Doyle kiwnął głową i odebrał z rąk Kate zapis wcześniejszych zeznań.

— Doktora Paddy'ego Hollanda przesłucham z Tonym oświadczyła, czując niewytłumaczalne podniecenie. — Tony, masz coś przeciwko temu?

Dowling wzruszył ramionami.

- Czyli zostanie jeszcze doktor Tom Morgan, który niesłychanie plątał się w zeznaniach. Chyba jego pierwszego powinniśmy wziąć na tapetę.

Spokój opuścił sierżanta Dowlinga.

- Chcesz przesłuchać ich obu? — zapytał z niedowierzaniem.

Kate zastanowiła się. Jej także nie uśmiechała się praca po godzinach, do tego w weekend, ale czuła, że powinna kuć żelazo Póki gorące. Sięgnęła po torbę.

Pozostali mogą iść do domu — oświadczyła. — Następne spotkanie jutro o pierwszej po południu. — W bibliotece rozległy SI?jęki rozczarowania. — Tak, wiem, że to niedziela. Nie może-mY jednak zasypiać gruszek w popiele... — urwała. . dyktafony, o których istnieniu nie miała pojęcia, wyłączyły Taśma znów zaczęła się przewijać, kiedy odezwała się ponownie.

Trzeba też jeszcze raz porozmawiać z pielęgniarką, tą, któ- wydaje się, że słyszała głos mordercy. Najlepiej by było, gdyby &'a z ukrycia być świadkiem przesłuchania na posterunku. To cp p leżyłobyjej pamięć, może nawet wskazało wprost na spraw-sjj: '0za tym musimy uzyskać zgodę na przebadanie całego mę- personelu w kierunku AIDS. Tym sposobem dochodzenie s,,ansę zakończyć się szybkim sukcesem.

Dean Lynch, słuchając słów Kate jakiś czas później, pierwszy zaczął się martwić.

Po

ra?

Zanim Kate opuściła szpital, podeszła do Luke'a Conwaya się dzącego na krzesła w korytarzu. Nie miała wątpliwości, że dla niego koszmar dopiero się zaczął.

Gdyby zrobić testy na HIV wszystkim zatrudnionym w szpitalu mężczyznom, śledztwo mogłoby się szybko zakończyć — poinformowała go cichym głosem.

Conway pokiwał markotnie głową.

Sam o tym myślę od czasu, kiedy Ben podzielił się swoimi rewelacjami...

— W oczach miał troskę i szczerą niepokój. — Jednakże to nie takie proste... Po pierwsze, jeśli informacja o tym, że ktoś z personelu CSP jest nosicielem wirusa HIV, wydostanie się na

zewnątrz, rozpęta się piekło. Pacjentki puciekają drzwiami i oknami, a renoma placówki legnie w gruzach. — Przestał mówić, jakby

dopiero teraz zdał sobie sprawę z powagi sytuacji. Kate chłoneła każde jego słowo jak gąbka. — Po drugie, nie można nikogo zmusić,

aby poddał się takiemu badaniu. Potrzebna będzie pomoc całych zastępów prawników. Zaraz po weekendzie skontaktuję się z naszymi

doradcami. — Podniósł się z krzesła, żeby odejść. Nim to zrobił, raz

jeszcze odwrócił się do Kate. — Moim zdaniem pani również jak najprędzej powinna zasięgnąć rady prawników. Jestem pewien, że

większość lekarzy skontaktuje się ze swoimi adwokatami, zanim choćby odpowie na apel policji-Proszę się nastawić, że to potrwa.

Z tymi słowy przygarbiony i nagle postarzały Lukę Conway pożegnał się z sierżant Hamilton, zostawiając ją samą na korytarzu.

XXIX

Godzina 18.01 Studio 4 stacji telewizyjnej RTE, Donnybrook, Dublin

— Dzingiel.

Rozpoczęło się nadawanie wiadomości o szóstej. Na ekranach pojawiło się logo stacji RTE razem ze znacznikiem serwisu informacyjnego.

Za szerokimi stołami siedziało kilka osób stukających w klawiatury, kręcących potencjometrami, przesuujących jakieś dźwigienki.

— Teraz migawka tematu wiodącego.

Nieśmiertelne ujęcie Harry'ego O'Briena pchającego przed sobą żonę na wózku w hallu Centralnego Szpitala Położniczego. Tym razem pokazane w zwolnionym tempie. Bez głosu, w tle wciąż rozlegał się charakterystyczny sygnał dźwiękowy przyciągający do telewizorów

Irlandczyków jak kraj długi i szeroki.

Harry O'Brien przystanął, opierając ciężar ciała na uchwytych wózka.

Rozbłysły flesze, na moment rozpromieniając twarze

nienaturalną srebrzystą poświatą. Nadal bez słowa komentarza zza kadru

na scenie pojawiła się June Morrison niosąca Gordona

owi-n'tego koronkowym szalem. Morze fleszy. Jeszcze więcej zdjęć

Robiono, kiedy położna przekazywała dziecko matce. Łagodny, ttkko

podretuszowany obraz ukazywał, jak Sandra O'Brien wy-przed siebie ręce

i ujmuje zawiniątko z noworodkiem, by 'araz przytulić je do

piersi. Oczy młodej kobiety nie odrywały S|? od maleńkiej, ledwie

widocznej twarzyczki juniora. O'Brien Senior sięgnął z tyłu i

delikatnie odchylił rąbek szala. , eporterzy przepychali się jeden przez

drugiego. Widzowie y 1 świadomi rozcinających powietrze

srebrnoszarych błyska-

229

wic, nie mogli wszakże jeszcze słyszeć nadchodzącego p0rn burzy. W

dalszym ciągu nie padło słowo komentarza.

Harry O'Brien wyprostował się. Kamerzysta zrobił zbij? na twarz Sandry,

która właśnie uraczyła wszystkich wartym 'e lion dolarów

uśmiechem. Dziennikarze o mało się nie pozabi' żeby go uchwycić.

Potem kamera odjechała, biorąc w kadr całą rodzinę: O'Briena seniora,

jego piękną żonę i słabiutkie dziecko. Migawki trzaskał w

milczeniu, hall CSP był oświetlony jak nigdy przedtem.

— Cięcie. Komentarz — rzucił reżyser wydania.

— Nowo narodzony syn państwa O'Brienow został porwany z domu

rodzinnego w posiadłości Beechill w hrabstwie Wiek-low we

wczesnych godzinnych porannych. — Jeśli nawet ktoś nie zwrócił uwagi

na początek wiadomości, będący pozornie powtórką z niedawnego

wiodącego wydarzenia w kraju, jakim były narodziny dziedzica fortuny

Harry'ego O'Briena, teraz grobowy głos komentatora, nadający

się do relacjonowania pogrzebu głowy państwa, przykuł uwagę wszystkich

oglądających. Czy to w domu przy obiedzie, czy w pubie,

klubie, centrum rekreacji ludzie wszędzie uciszali się nawzajem i

wyciągali szyje, aby lepiej widzieć ekran. — Trzech zamaskowanych

i uzbrojonych mężczyzn wdarło się na teren posiadłości tuż przed północą,

po czym pojmało i skrepowało mieszkańców. Śpiące niemowlę

zostało zabrane wprost z ciepłej kołyski. Podczas ucieczki złoczyńcy

wysadzili bramę wjazdową, prawdopodobnie używając semtexu.

Zbiegli wozem terenowym, który później odnaleziono spalony na parkingu



przed hotelem Stand w Curragh w hrabstwie Kildare.

Najbardziej podczas napadu ucierpiała pielęgniarka oddelegowana z Centralnego Szpitala Położniczego, w którym przyszedł na świat Gordon O'Brien. Nieprzytomną odwieziono do pobliskiej szpitala, gdzie przebywa na oddziale intensywnej terapii. Półtora tygodnia apeluje do obywateli o przekazywanie wszelkich informacji, jakie mogłyby pomóc w odnalezieniu porwanego dziecka i UJ? ciu sprawców, których podejrzewa się o członkostwo w jednym z dublińskich gangów. Czwartym porywaczem jest najprawdopodobniej kobieta. Jak dotąd policja nie ujawniła więcej

szczegół

nie wiadomo więc, czy porywacze określili już wysokość ok i sposób jego przekazania.

230

ylatki przytulały swoje dzieci, mężczyźni przeklinali na świat stoi. Porwanie niemowlęcia było najgorszym prze-  
' iweiTi, jakie wielu pamiętało. Być może nawet gorszym od  
cych miejsce w centrum Dublina ataków bombowych w la-  
111 i' siedemdziesiątych i od ciągle zagrażających zwykłym prze-tacn  
chodniom

strzelanin, pchnięc nożem i pobić kijem bejsbolowym,

• kie nadal były na porządku dziennym w niektórych dzielnicach. Dzieciak  
ma zaledwie kilka dni, jest jedynym synem tego człowieka —  
mówiono. — Ci, którzy go porwali, zasługują na to, żeby zawisnąć...

Niektórzy byli nawet zdania, że powinno się ich rozstrzelać,  
aczkolwiek nie było zgody co do tego, która ze śmierci jest straszniejsza.  
Powód tej żywej reakcji był jasny. Irlandia skompromitowała się w oczach  
świata. Właśnie wtedy, gdy sprawy zaczęły wracać do  
normalności i można było zacząć mieć nadzieję, że odtąd będzie się żyło  
zwyczajnie.

Reportaż trwał. Komentator przekazywał opinii publicznej nieliczne znane  
szczegóły. Transmitowano na żywo z Roundwood, od czasu do  
czasu wrzucając migawki z hrabstwa Wicklow i zdjęcia lotnicze Beechill.  
Gdyby ktoś włączył odbiornik telewizyjny w tym momencie,  
mógłby pomyśleć, że ogląda program dokumentalny o urokach  
Smaragdowej Wyspy. Przed oczyma widzów przez chwilę przesuwają się  
ośnieżone, urokliwe wzgórza, zaraz jednak zrobiono cięcie i powróciły  
ujęcia z miejsca Porwania. Wysłani tam dziennikarze za  
wszelką cenę próbowali zyskać nowe informacje, podtykając mikrofony

policjantom strzegącym Beechill i tym działającym w ośrodku kryzysowym w Roundwood. Kamera uchwyciła także inspektora Jacka McGratha, wsiadającego do wozu patrolowego i odmawiającego Jakiegokolwiek komentarza.

Czy na miejscu zdarzenia pojawi się jednostka Jagua-  
pytał go dziennikarz śledczy. — Czy policja wpadła już  
row?..

na trop porwaczy?... Jak czują się państwo CTBrienowie?... Czy  
Uc, erpiał ktoś jeszcze poza pielęgniarką?... Jakiego okupu żądają  
p0rywacze?...

Niezrażony brakiem odpowiedzi reporter oddał głos do stu- c .' gdzie już  
siedzieli zaproszeni przedstawiciele opozycji łakną-krwi  
minister sprawiedliwości. Rozgorzała burzliwa dyskusja,  
231

przerzucano się argumentami, politycy gabinetu cieni z lubość. wyciągali  
na wierzch wszystkie dotychczasowe porażki obecne go  
rządu. W ferworze ustnych przepychanek jakby zapoirinia  
0 porwanym Gordonie. Goście stacji RTE straszili piórka, rozda jąc  
ciosy dookoła, i wydawało się, że jest im obojętne, czy  
0'Brien junior zostanie odbity cały i zdrowy czy też skończy utopi0n w  
rzece Liffey. Co więksi cynicy nie mieli wątpliwości, że  
taki rozwój wypadków byłby wręcz na rękę opozycji, która zyska-łaby  
miażdżący argument w zbliżającej się kampanii wyborczej  
1 po plecach maleńkiego ciała mogłaby na powrót wdrapać się na  
ławę parlamentu.

Alice Martin, ze smutną twarzą i w stosownie ponurej garsonce, odwołała  
się do narodu o pomoc w tej sprawie wprost ze studia  
telewizyjnego w parlamencie. Wygłosiła mowę płomienną, chwilami  
poetycką, w innych znowuż momentach niemal wojowniczą. Pod koniec  
twarz pani minister ściągnęła się bólem, jakby kobieta z trudem hamowała  
łzy. Jej ręka sięgnęła do kieszonki po chusteczkę, którą  
zaraz przytknęła do kątek oczu. Nikomu nie mogło umknąć lekkie  
drżenie jej ramion. Zakończyła ponowionym apelem o pomoc, po  
którym nastąpiła krótka, dobrze rozpoznawalna, jedyna prawdziwa  
katolicka modlitwa.

Dziękuję za uwagę. Niech Bóg ma w opiece Gordona 0'Briena,  
gdziekolwiek się znajduje.

Przedstawienie było konkursowe; wystąpienie Alice Martin zasłużyło na  
Oscara.

Jezu, niech mi ktoś poda drinka — warknęła pani minister po tym, jak kamera przestała szumieć. W duchu zastanawiała się, jak wypadła i czy scena z chusteczką nie zrujnowała jej makijażu.

Dean Lynch był pośród oglądających wiadomości o szóstej.

— Ktoś ci kradnie popularność, Deano — powiedział do siebie półgłosem.

— Czy twój tata jest w domu?

Kate Hamilton i Tony Dowling stali przed drzwiami wspa niałego domu z czerwonej cegły położonego w luksusowej dzi nicy Sandymount, gdzie mieszkał — bądź powinien był miesZ

232

' doktor Tom Morgan. Przynajmniej ten adres podał policji ulczas wstępnego przesłuchania. Czekając na odpowiedź, Kate ny przytupywali, chcąc odegnąć przejmujące zimno. ' Kto to? — usłyszeli niewyraźny, trochę bełkotliwy kobie-cy glos dobiegający z wnętrza domu.

Mały chłopiec, który im otworzył, obejrzał się niespokojnie przez ramię.

Nie wiem...

W holu rozległ się tupot nóg. Płaczących się nóg.

— Właż do środka! — Ręka złapała chłopca za ramię i pociągnęła głębiej, by zaraz szerzej uchylić skrzydło drzwi frontowych. Oczom detektywów ukazała się kobieca postać, mająca swoje najlepsze lata dawno za sobą. Z jej ust zwisał wilgotny papieros, w drugiej ręce trzymała butelkę wódki. Powiodła spojrzeniem po intruzach na progu.

Czego chcecie? — Zanim Kate zdążyła udzielić odpowiedzi, kobieta rozkasła się, pochylając wół i chwytając ciężko powietrze. Nie uroniła przy tym ani jednej kropli z otwartej butelki. Kiedy doszła do siebie, powtórzyła rozszerzoną wersję pytania: — Kim jesteście i czego chcecie?

Przepraszam za najście — zaczęła ostrożnie Kate. — Jestem sierżant Hamilton z posterunku przy Store Street, a to jest współpracujący ze mną sierżant Dowling. Przyszliśmy do pani męża. Czy go zastaliśmy? Chcielibyśmy z nim przez chwilę porozmawiać, jeśli to możliwe...

Śmiech, który się rozległ po tych słowach, straszyl ich przez resztę nocy.

Skończywszy się śmiać, kobieta znów zaczęła kaszką tym

razem tak silnie, że musiała puścić skrzydło drzwi. Kate 'Tony zobaczyli trójkę przerażonych dzieciaków. Chłopcy mieli na oko

siedem i pięć lat, dziewczynka zaś niecałe trzy. Kate nie Potrafiła oderwać

od małej wzroku. Nigdy wcześniej nie widziała tjk urodziwego malucha. Wszyscy troje mieli buzie umorusane °d brudu i łez i trzęśli się ze strachu.

Lepiej byście poszukali w schronisku dla zwierząt — wy-, 1 Ypiała matka dzieci. - Mój mąż z pewnością pieprzy każdą otk? w okolicy.

Złość i gorycz emanujące z kobiety znalazły ujście, kiedy ,e'ką siłą zatrzaskała drzwi.

233

Tony uznał, że doktora Toma Morgana nie ma w domu |e Kate mimo to zapukała ponownie. Czekala wyprostowana 2 stawionymi uszami, próbując przewidzieć reakcję ewidentnie'10 janej kobiety. Tony przytupywał i chuchał w dłonie, mając doś' wystawania na mrozie. Po paru chwilach drzwi otwarły się bieta stanęła oparta o futrynę.

— Długo jeszcze będziecie zawracać mi głowę? — zapyta)a z wyrzutem. — Przecież powiedziałam, że go nie ma.

Kate postąpiła krok do przodu i przytrzymała lekko drzwi Poczawszy, że kobieta je pcha, żeby znowu zamknąć im przed nosem, rzuciła szybko:

— Proszę nam wybaczyć, że panią niepokoiimy, ale to naprawdę zajmie tylko minutkę. Po prostu chcemy zadać parę pytań. Możemy wejść?

— Nie. — Chociaż kobieta mówiła niewyraźnie, ton głosu nie pozostawiał wątpliwości, że właśnie udzieliła odmowy. — Chccie pytać, pytajcie tutaj.

— Chryste, Kate, pośpiesz się, bo tutaj zamarznię.

— Pani Morgan, eee... — zająknęła się Kate. — Mam przyjemność z panią Morgan, prawda?

— Prawda. Jestem panią Morgan. Cokolwiek to znaczy.

— Zatem, pani Morgan Kate korzystała z tego, że kobieta zrobiła się rozmowniejsza — jak już powiedziałam, mamy parę pytań do pani męża. Chodzi o to morderstwo młodej kobiety w Centralnym Szpitalu Położniczym, na pewno pani czytała o nim w gazetach...

Jeśli nawet żona Toma Morgana wiedziała, o czym mowa, nie dała po sobie niczego poznać. Zatoczyła się lekko i natychmiast ucapiała futryny dla podpory.

— Niech się pani streszcza — ponagliła.

— Chcielibyśmy sprawdzić coś, co powiedział nam pal11 mąż.

— A co takiego wam powiedział?

Kate otworzyła swój notes i zmrużyła oczy, aby w słaby świetle odczytać

zapiski. Nagle rozległo się pstryknięcie i gan załała jasność. Kobiety po raz pierwszy zobaczyły się wyraźn' Były mniej więcej tego samego wzrostu i nie dzieliła ich zbyt różnica wieku, jednakże pani Morgan miała przedwcześnie P°h'

234

rzate sane

twarz, na której odcisnęły się troski i zmartwienia. Nieucze-włosy spływały kołtunami na opuszczone ramiona, a dres, była ubrana, zajeżdżał dymem papierosowym i alkoholo-

, który

Gospodyni cofnęła się do środka pod naporem badającego ją spojrzenia policjantki. Kate uśmiechnęła się, spoglądając na lampę

Jad głową-

Dziękuję, tak jest znacznie lepiej.

Nie ma sprawy. Ale proszę już przejść do rzeczy, zaczyna  
mj być zimno.

W holu za plecami kobiety rozgorzała kłótnia. Trzy piskliwe głosiki przekrzykiwały się jeden przez drugi. Pani Morgan obróciła się i wyrzuciła z siebie stek przekleństw. Hałas ucichł jak nożem uciął.

— No więc? — zapytała, patrząc wprost na Kate.

— Pani mąż powiedział nam, że we wtorkowy wieczór był w kinie. Czy pani może to potwierdzić? Może poszli państwo razem albo chociaż pamięta pani, jak mąż wychodził z domu, mówiąc, że idzie obejrzeć jakiś film?

Pijacki śmiech rozbrzmiał znowu.

W kinie... cha, cha, cha... A to dobre! Ten skurwiel nie usiedziałyby na seansie, nawet gdyby ktoś zapłacił mu górę złota! Nie mam zielonego pojęcia, gdzie był we wtorek wieczorem, ale dwu rzeczy jestem pewna: nie było go w domu i nie poszedł do kina. — To powiedziawszy, kobieta trzasnęła drzwiami.

Urocza niewiasta, nieprawdaż? — sarknął Dowling, zacierając zgrabiące dłonie.

Kate Hamilton nie zareagowała. Podjęła właśnie decyzję, że doktora Toma Morgana trzeba koniecznie przesłuchać jeszcze raz.

Godzina 21.47

W budce telefonicznej stojącej przy Sandymount Green obleśna w rękawiczkę chirurgiczną dłoń ujęła słuchawkę. Tą samą ręką Dean Lynch wybrał numer. — Halo!

235

— Chcę mówić z Johnem.

Chwila ciszy, potem odgłos przyspieszonego oddychaj Wreszcie: — Tu John — powiedziane ostrożnie, powoli.

— Witaj, John. Tu Bobby.

Śmiech.

— Tak sobie pomyślałem, Bobby, tak sobie pomyślałem Wcześniej dzwonisz. Nie spodziewałem się jeszcze telefonu od ciebie...

— Mam mały problem.

Tak jak my wszyscy, Bobby, tak jak my wszyscy. Przyszło nam żyć w ciężkich czasach... Krótka przerwa, nazbyt krótka by Lynch mógł przejąć inicjatywę. — W czym rzecz?

— Potrzebny mi pistolet. JK

Długa chwila ciszy. W końcu po drugiej stronie padło:

Aha. Klient płaci, klient wymaga. Masz kasę, możesz dostać i czołg, jeśli wiesz, jak się toto prowadzi. — W słuchawce rozległ się pomruk, który mógł być śmiechem. Lynch go zignorował.

Potrzebny mi mały pistolet.

— Pistolecik?

— Coś w tym rodzaju.

A do czego on ci jest potrzebny, Bobby? Do obrony czy do ataku? Masz zamiar rozpocząć swoją prywatną wojenkę?

— Niewykluczone.

Chichot.

— „Niewykluczone”, a to dobre! Coraz bardziej mi się podobasz, Bobby, naprawdę coraz bardziej. „Niewykluczone”, chi, chi— Londyński akcent zdawał się tym razem mniej wyraźny.

— To co, skombinujesz mi jakąś broń?

Bułka z masłem, Bobby, bułka z masłem. Chyba nawet mam coś odpowiedniego dla ciebie. Będziesz chciał zabrać ten pistolet do domu?

— Tak. JM

W takim razie będziesz musiał mieć jakąś torbę, żeby go dobrze schować.

— Wiem.

Nic się nie martw, Bobby, wszystko dla ciebie zorganizuje

Kiedy przyjeżdżasz?

236

Jutro.

To dość szybko, Bobby. — Zafrasowane sapanie. — Na ół dawałeś mi znać z większym wyprzedzeniem. Szykujesz coś dużego?

Można tak powiedzieć.

No to świetnie, Bobby, to świetnie. Dźwięknij, jak już będziesz na lotnisku. Jak myślisz, koło której się pojawisz? Późnym rankiem.

No to do zobaczenia, Bobby. Do zobaczenia. Miej ze sobą tysiączek za pistolet. I jeszcze jeden za torbę i amunicję.

— No to do jutra.

— A może potrzebujesz czegoś jeszcze? I — Nie.

Obie słuchawki opadły na widełki w tym samym momencie. Dean Lynch powędrował z powrotem do swojego mieszkania. pozbywając się po drodze pary gumowych rękawiczek. Idąc, był pogrążony w myślach. Czarnych, ponurych myślach.

Przez cały dzień czuł się paskudnie. Pocił się jak mysz nawet na mrozie.

W ustach go szczypało jeszcze gorzej niż wcześniej. Nie miał apetytu ani tym bardziej sił. Słaniał się z wycieńczenia.

Umieram — pomyślał. — Już ja się postaram, żeby odeszło ze mnajeszcze parę osób...

Dzwonek do drzwi dwupoziomowego szeregowca z czerwonej cegły należącego do doktora Paddy'ego Hollanda zabrzączał dokładnie o dziesiątej trzydzieści. W tym miejscu długiego ciągu domków następował uskok, tak że dało się wykroić mały ogródek, w którym teraz walczyły o przetrwanie dwa różane krzaczki. Do ogródka wiodła niewysoka uchylona furтка, a na ganek Powadziły dwa niskie stopnie. Kate Hamilton i Tony Dowling Podjechali tam natychmiast po tym, jak skończyli rozmawiać zoną doktora Morgana. W samochodzie ustalili, że zadzwonią o drzwi tylko w wypadku, jeśli za oknami wciąż będzie paliło światło. Dowling jęknął z rozczarowania, widząc nie tylko, że światło świeci się w salonie, ale że przez rozsunięte firany wyrażać postać gospodarza.

237

Otworzył im błyskawicznie i równie szybko zaprosił do 'ka, na jednym wydechu przepaszając za bałagan i prosząc b podnosili głosu, bo pobudzą dzieci.

Kate Hamilton natychmiast poczuła do niego sympatię, p0r pierwszy doświadczoną podczas wstępnego przesłuchania W strój wnętrza również jej się spodobał, a ciepłej na sercu zrobił jej się zwłaszcza na widok nieporządku charakterystycznego dla domów zamieszkałych przez małe dzieci. Już w wiatrołapie stał dwa dziecięce rowerki oparte o ścianę, obok na ziemi leżały kołorowe kaski

ochronne. Kate, przechodząc głębiej, przez na wprost przymknięte drzwi rzuciła okiem do kuchni, gdzie na stole wciąż stały nieuprzątnięte naczynia. Pokrewna mi dusza — pomyślała bezwiednie. — Ktoś, kto tak jak ja walczy z codziennymi przeciwnościami, starając się wychowywać dzieci i pracować zawodowo.

— W jakim wieku są pańskie dzieci? — spytała, chcąc przełamać pierwsze lody. Choć dobrze im się rozmawiało przy poprzedniej okazji, wyczuła, że gospodarz poczuł się zagrożony inwazją na ciepło domowego ogniska.

— Anna ma siedem lat, a Laura dziewięć. To dobre dzieci, ale wiedzą, jak owinać mnie sobie wokół małego paluszka. — Doktor Holland uśmiechnął się wstydliwie. — Całe wieki trwa, zanim położę je wieczorem do łóżek, tak że zostaje mi niewiele czasu na nadgonienie zaległości w pracy... — Zdjął okulary, nachuchał na soczewki i przetaił je końcówką krawata.

— Przykro mi - powiedziała szczerze Kate. — Postaramy się, żeby to potrwało jak najkrócej.

Detektywi nie przyjęli oferty filiżanki herbaty z mlekiem i Tony od razu przeszedł do sedna, porównując pierwotne zeznania Hollanda z tym, co miał do powiedzenia teraz. Wszystko się zgadzało, nie powstały żadne rozbieżności, mimo że zaskoczy lekarza swoją wizytą.

Wkrótce też wyjaśniło się, co porabiał Pa dy Holland w wieczór, w który została zamordowana

szpitalna

laborantka. Przesłuchiwany Holland poinformował policjantom że we wtorkowy wieczór, niemal dokładnie o czasie, który koroner przypisał zgonowi Mary Dwyer, rozmawiał przez telefon-lejno z dwiema osobami. Kiedy drobiazgowy Tony zapytał» cZ może zwrócić się do firmy telekomunikacyjnej z prośbą o bil'in

238

Holland nie tylko wyraził zgodę, ale wręcz poczuł ulgę, że jiji da się tak łatwo potwierdzić.

' domyślałam się, że to morderstwo znacznie utrudniło wam vstkim życie — powiedział sierżant Dowling na koniec, li-Tac, że usłyszysz jakieś ploteczki.

c To prawda... — odparł Paddy Holland ze swojego miejsca kanapie, gdzie siedział ze skrzyżowanymi nogami. Gospodarz był tylko nieco wyższy od Kate i nie wyglądał na swoje czterdzieści dwa lata. Ubrany był swobodnie, w luźne dzinsy i koszulę w kratę, na którą



zarzucił sfatygowany kardigan. Gazowy kominek stojący przy krótszym boku kanapy nie dawał zbyt wiele ciepła, ale Tony Dowling i tak się do niego przysunął. Doktor Holland wydawał się zmęczony i taki też miał głos, kiedy podjął:

— Wśród pielęgniarek wybuchła panika. Dwie na moim oddziale odmówiły przychodzenia na nocny dyżur, bojąc się o własne życie... - Mówiąc, poruszał nogą obutą w pełny sztruksowy kapeć. Kiedy podniósł wzrok, zauważył, że Kate unika jego spojrzenia. Wbrew sobie popatrzył na jej dłonie, szukając obrączki. Pozbawione jakiegokolwiek biżuterii palce Kate zaciskały się nerwowo na trzymanym notesie i długopisie. — Do tego musiałem jakoś wytłumaczyć wszystko Annie i Laurze. Któryś z kolegów poinformował je w szkole o tym, co zaszło w szpitalu, i tego samego dnia gdy odbierałem je po zajęciach, zasypały mnie pytaniami, czy następną ofiarą mordercy będę teraz ja... — Potrzęsnał głową ze smutkiem. — Dzieci i ich wyolbrzymione historie!

Kate mogłaby wiele na ten temat powiedzieć, jednakże powstrzymała się, widząc wzrok Dowlinga. Bąknęła coś tylko pod nosem, aby wyrazić swoją solidarność.

- To prawda, że morderstwo Mary Dwyer uczyniło nasze ycte trudniejszym — powtórzył, patrząc na sierżanta. — Mam tu na myśli i pracowników szpitala, i ich bliskich. — Prze-josł spojrzenie na Kate, która tym razem nie umknęła wzro-em. — panj nje ma jeszcze dzieci, więc nie wie pani, co to

Pnacza.

Tony Dowling w próbie zatuszowania gafy przesłuchiwanego ■ kaszlał się teatralnie. Kate popatrzyła na kolegę z politowaniem racając się w stronę Paddy'ego Hollanda, powiedziała:

239

'odw

— Pozory mylą, doktorze. — Wstała, aby się pożegnać Mam czteroletniego syna.

Holland zmieszał się i próbował sformułować przeprosiny Kate nie dała mu dojść do słowa.

— Proszę nie przepraszać, skąd mógł pan wiedzieć? Ojciec mojego syna zmarł, kiedy byłam w ciąży. Mieliśmy się wkrótce pobrać.

Dowling zaczął oglądać swoje paznokcie. W salonie zapadł, niezręczne milczenie.

— Czy wolno mi zapytać, na co zmarł? — zainteresował się Holland.

Kate musiała się czymś zająć, żeby nie wybuchnąć płaczem Popatrzyła na trzymany w rękę długopis, zdjęła nasadkę i starannie nałożyła ją na drugi koniec, po czym wsunęła długopis do kieszeni zakietu. Schowała notes do torby. Poprawiła włosy. Potem spojrzała na gospodarza, który przez cały czas patrzył na nią wyczekująco. Choć w środku targała nią burza uczuć, na zewnątrz pozostała pozornie spokojna. W zmęczonych oczach Hollanda dostrzegła współczucie.

— Ojciec mego syna zginął zastrzelony podczas akcji w Bostonie — odparła. — Pracowałam w tamtejszej policji przez pewien czas. To co miało być zwykłym zatrzymaniem paru handlarzy narkotyków, okazało się pułapką zastawioną na stróżów prawa. Zginął na miejscu.

— Tak mi przykro.

— Proszę dać spokój, doktorze. Wiem, że pan niedawno stracił żonę. Zostało to odnotowane w aktach. Z pewnością nie jest panu łatwo samemu wychowywać córki i pracować w tak wymagającym zawodzie jak pański. Czasem ciężko jest zachować równowagę pomiędzy tym,

co najlepsze dla naszych dzieci, a naszą niezależnością i prawem do czerpania radości z życia i pracy

Paddy Holland wydawał się zdziwiony słowami Kate. Jej zdaniem utrafiła w sedno.

— Jak pani myśli, czy warto? — spytał półgłosem. — Czy sam siebie o to pytam. Czy warto...?

— I jakiej odpowiedzi pan sobie udziela? — Kate czuła się coraz bardziej zawstydzona, że tak otwarcie dyskutuje o swoich prywatnych sprawach w obecności Tony'ego.

240

Xak. Dzieci i praca w szpitalu są dla mnie równie ważne.

wszystko, co mi pozostało... A szpital to coś więcej niż cały personel razem wzięty, większy nawet niż ego niektórych lekarzy-PL

którym wydaje się nie wiadomo co, gdy chodzą dumnie jego korytarzami, nie widząc dalej niż czubek własnego nosa. Centralny Szpital

Położniczy służy dublińczykom od ponad dwustu lat. Już od dziesięciu, pięćdziesięciu czy stu, tylko od dwóch pełnych stuleci.

Biednym i bogatym bez różnicy. CSP to coś więcej niż zwykły szpital, to instytucja. A teraz jakiś drań zbrukał go swoim podłym,

okrutnym czynem! — Głos Hollanda przepełniony był nieskrywanym

gniewem.

Sierżant Dowling przysłuchiwał się wcześniej wymianie zdań, a teraz wybuchowi gospodarza w milczeniu. Czuł ból Kate i Paddy'ego, czuł łączącą ich nieporozumienia wynikającą z podobnych doświadczeń życiowych.

Miły gość — skwitował, kiedy on i Kate znaleźli się na powrót w samochodzie. Kate cieszyła się, że jest ciemno i może ukryć wypływający jej na policzki rumieniec. Przed Tonym jednak niewiele się ukryło. Kiedy włączał się do ruchu, czekając na zielone światło na końcu Donnybrook Road, szcherzył się w uśmiechu od ucha do ucha. — No i jest wolny.

Kate odczekała, aż wóz znalazł się bezpiecznie na jednej z głównych dróg Dublina.

— Tony, twoja uwaga była nie na miejscu.

Chwilę później uśmiechali się do siebie ciepło.

Tommy Malone postanowił odezwać się po raz pierwszy tuż przed północą.

Podjechał do Kilcullen i zaparkował niedaleko kfdki

telefonicznej. Wyłączył światła i zamarł w wozie bez ruchu na Pełne dwadzieścia minut. Obserwował uważnie drogę. Przez cały ten czas nie pojawił się ani jeden pieszy i przejechały tylko auta. Tommy wysiadł.

Pozwolił, by rozległ się jeden dzwonek, i natychmiast się rozłączył. p0 c| lwiii znów wybrał ten sam numer. Odebrał ktoś bar-d?0

zaspany.

Czy to Theo Dempsey? — spytał Malone, przykładając do m, krofonu szmatkę po to, by zmienić sobie głos.

c'sza. Potem:

241

— Nie. A kto mówi?

— Mam wiadomość dla Theo Dempseya.

— Dobrze, przekażę. — Ten, kto odebrał telefon, nagle się rozbudził. -

Proszę powiedzieć, kto mówi.

Proszę uważnie posłuchać tego, co powiem, bo nie będę się powtarzał.

Zrozumiano?

Tym razem cisza po drugiej stronie linii była znacznie dłuższa. trwała prawie minutę. Malone się zniecierpliwił.

— Jesteś tam?

— Tak.

— Niech Dempsey powie swemu szefowi, że jeśli chce odzyskać

dzieciaka, będzie musiał wybulić trzy melony. Trzy melony Gotówką. Zadzwoń jutro pod ten sam numer. Niech się uwijają, bo pieniądze chcę najpóźniej do wtorku. Jutro dowiedcie się, jak je przekazać.

Zakończył połączenie i wyszedł z budki.

Wyrwana ze snu żona Dempseya, Marie, z furją zapisywała każde słowo. Później zadzwoniła do Beechill.

DZIEŃ SIÓDMY

XXX

Niedziela, 16 lutego, godzina 4.37

Policzek Kate coś musnęło.

— Mamusiu, boję się...

Na wpół śpiąca kobieta wyciągnęła rękę i przygarnęła Rory'ego do siebie.

Chłopiec wtulił się w ciało matki, włożył kciuk do buzi i

natychmiast z powrotem zasnął. Kate odsunęła się delikatnie, żeby nie obudzić syna, przewróciła na plecy i zapatrzyła w sufit. Na

zewnątrz szalała burza; biły odległe grzmoty i błyskało się, a krople gęstego deszczu stukały szaleńczo w świetlik. W takich

chwilach jak ta Kate Hamilton najboleśniej odczuwała własną samotność.

Dla otuchy sięgnęła po Rory'ego. Dotknięte dziecko poruszyło się przez

sen i Kate wstrzymała oddech. Wypuściła powietrze, dopiero

gdy zobaczyła, że chłopiec śpi jak zabity. Tylko ciebie mam, Rory — pomyślała. — Tylko ciebie i dziadka...

Zacisnęła mocno powieki, aby powstrzymać rodzące się łzy.

ułamek sekundy przed zamkniętymi oczami stanęła jej twarz "addyego

Hollanda. Westchnęła i ułożywszy się na boku, plecami do

syna, próbowała znów zapaść w sen.

hyba właśnie usypiała, kiedy mała rączka złapała ją za szyję. Rory nawet przez sen nie tracił czujności.

Jest bardzo wcześnie, Rory — powiedziała. — Mamusia Ce jeszcze

pospać. Ty też powinienes... — Chłopiec przełożył rękę przez jej

głowę i zaczął jeździć jej po twarzy wylinia- yrtl Tedem. — Rory,

przestań... Zamknij oczka i śpij. Mamusia st bardzo zmęczona. —

Uchyliła jedną powiekę i zerknęła na

243

Rory, na litość boską, śpij jęknęła, przewracaj

budzik, na drugi bok

Ukontentowany chłopiec nie cofnął ręki. Czując ciepło

się

słyszając jej oddech i wdychając jej zapach, natychmiast się bać i pozwolił, by ogarnął go sen. Był szczęśliwy.

ITatki

Pestai

Gordonowi O'Brienowi daleko było do szczęścia. Płakał d utraty tchu, nie mogąc zasnąć. Czuł głód i strach i na swój sposób wiedział, że coś jest bardzo nie tak. Zabrakło ciepła, czułości pieśczoć. Nie było matczyneć mleka ani miękkości piersi, ani cicheć kojącego głośu, ani łagodnego dotyku rąk. Gdzie podziało się uspokajające bicie serca, które tak dobrze znał, co stało się z ciepłem oddechu, który od niedawna czuł na twarzycze i z którego czerpał przekonanie o bezpieczeństwie? Nie umiejąc inaczej wyrazić swoich obaw, płakał głośno i rozpaczliwie. Dla niektórych zbyt głośno.

— No, otwórz japeć, gówniarzu...

Peggy Ryan zaczynała mieć dosyć. Żałowała, że w ogóle dała się wplatać w tę aferę. Już po parunastu godzinach opieki nad porwanym dzieckiem doszła do wniosku, że jest za stara na wstawanie w środku nocy, żeby karmić niemowlę czy zmieniać mu pieluszkę albo chodzić jak duch, kołyszając drąceć się malucha w ramionach. Dopiero za którymś razem udało jej się trafić smoczkiem od butelki w maleńkie usteczka. Poprawiła na plecach zarzucony luźno śpiwór, przeklinając Tommy'ego, O'Briena juniora i panujący w chacie ziąb. Mam nadzieję, że to nie potrwa długo - pomyślała — bo inaczej wszyscy tu wykorkujemy z zimna.

Chata była przesiąknięta na wskroś zapachem wilgoci, plesm i dymu papierosowego, którym uszczęśliwiał ich na siłę Malone.

Boże, co za nora!... —jęknęła w duchu Peggy, trzęsąc się na całym cieć.

Mniej więcej w tym samym czasie Dean Lynch stał nagi przza' wysokim lustrem w swoim mieszkaniu i przyglądał się swe'1111 ciału.

Wysypka rozprzestrzeniała się. Wprawdzie zauważył.K za ledwie dwa dni przedtem, ale nie wykluczał, że pierwsze sia pojawiły się znacznie wcześniej. Krosty były czerwone i łusz°z ce się, w mniejszych i większych skupiskach rozlewający0'1 s

244

ie na jego piersi i plecach — na tyle, na ile potrafił wykręcić szyj? ' obejrzeć tylną część ciała. Na pewno zakrywały ta-powoli wyskakiwały także na czole i łukach brwiowych, ""choroba postępuje — w duchu postawił sobie diagnozę. — mS dopadł kolejną ofiarę,

Deano, i wcale się z nią nie cacka... iziesz musiał się pośpieszyć, jeśli chcesz coś zdziałać. Masz jfę niedokończonych spraw.

Panią pielęgniarkę i panią detektyw-

Zwłaszcza panią detektyw. Twoim zdaniem mam zgnić w piekle, co? No to zgnijemy tam razem, mała dziwko!... Lynch podskoczył, kiedy zadzwonił telefon. Podejrzliwie popatrzył na aparat. Czując, jak serce wali mu w piersi, podszedł do stolika i podniósł słuchawkę.

. — Pan doktor Lynch?

— Przy telefonie.

- Doktorze, niezmiernie mi przykro, że panu przeszkadzam, ale mamy problem na oddziale trzecim Wschodniego Skrzydła. Znosi się na poród kleszczowy, płód ułożony jest poprzecznie, parametry pogarszają się z każdą chwilą. Niestety doktor Sharif, który ma dyżur, wykonuje właśnie cesarskie cięcie. Nie ma nikogo innego, kto mógłby zająć się położnicą...

' — Będę w szpitalu za dziesięć minut. Okoliczności mu sprzyjały. Deano, ty szczęściarzu!...

Godzina 05.32

Poród był rzeczywiście ciężki i nie wiadomo, jak by się skoń-gdyby nie interwencja doświadczonego położnika przepro- "zona w porę.

Matka, trzydziestotrzyletnia pierworódka, pró-°Vwała wydać na świat ponad czterokilogramowe dziecko, które "lowało się tuż przed kanałem rodny, przyjmując niewia-siad° P°zycJę- Tylko lekarz z wieloletnią praktyką, do tego po-aJĄcy to coś, co nazywa się iskrą bożą, był w stanie opanować

245

sytuację i doprowadzić do naturalnego, aczkolwiek wspom nego rozwiązania. Na szczęście rodzącej już wcześniej pod znieczulenie, tak że bardzo dzielnie zniosła wszelkie manipu] ° wewnątrz jej zmaltretowanego ciała.

Na koniec skomplikowanej operacji Lynch włożył w rozsze rzoną do granic szyjkę macicy kleszcze, wsuwając je tak głęb0 ko, jak się dało, obrócił nimi w poszukiwaniu najdogodniejszego chwytu, wreszcie pochwycił główkę dziecka. Zacisnął narzędzie na delikatnej czaszce i pociągnął lekko, upewniając się, że metal nie ześlizgnie się w najmniej oczekiwanym momencie. Następnie korzystając z pomocy naturalnych skurczów macicy, doprowadzi! do obrócenia główki i zarazem całego płodu, po czym przesuną! go w dół wąskiej miednicy. Parę chwil potem dziecko przyszło na świat. Wszyscy

odetchnęli z ulgą, jednakże nie Dean Lynch. On już w trakcie operacji czuł się wyczerpany jak nigdy, a kiedy przekazał nowo narodzone dziecko położnej, zwyczajnie słał się ze zmęczenia. Było to o tyle dziwne, że wcześniej nawet najdłuższy poród czy cesarka nie wywoływały u niego takich objawów. Teraz pot lał się z niego strumieniami.

Mimo to — zanim opuścił oddział — pamiętał, żeby zabrać trzy uchwyty i trzy ostrza skalpela numer dwadzieścia trzy.

Godzina 06.12

Dean Lynch przemknął do biblioteki i zdjął z półki jeden z podręczników zawierających dyktafon. Znalazł dlań inne prc' znaczenie.

Godzina 06.27

Ostrożnie otworzył drzwi do dyżurki pielęgniarek, świec4ctj' o tej porze pustkami. Zanim zamknął się w środku, upewni' sl"

246

na korytarzu nie ma nikogo, kto mógłby zarejestrować jego .■ność.

Używając małej latarki dołączonej do pęku kluczy, "kistrował ściany. Ręka zamarła w pół ruchu, kiedy jego wzrok l jj na to, czego szukał. Na księgę dyżurów. Wyłączył latarkę adstawił uszu.

Na piętrze panowała cisza. Jedyne hałas czyniło ' , '0 walące jak młot serce.

Uspokojony, że nikt go nie nakryje, downie włączył

latareczkę, otworzył księgę, która w rzeczywistości była grubym, sfatygowanym brulionem, i zaczął czytać. Wypuścił nieświadomie wstrzymywane w płucach powietrze, gdy dotarł do nazwiska siostry Sary Higgins.

APARTAMENTOWIEC „HAWTHORNS", MIESZKANIE NR...

ROCK ROAD, BLACKROCK...

NR TELEFONU...

Pośpiesznie zanotował adres i numer telefonu na wewnętrznej części dłoni i raz jeszcze przekartkował księgę dyżurów w poszukiwaniu drugiej, równie ważnej informacji.

SARA HIGGINS... NIEDZIELA 1602... DYŻUR 14—23...

Spotkamy się dziś wieczorem — pomyślał, uśmiechając się okrutnie.

Godzina 07.49

Znalazłszy się z powrotem w mieszkaniu, po jakimś czasie znowu stanął przed lustrem. Tym razem podziwiał efekt swoich starań.

Używane zazwyczaj przebranie: kruczoczarna peruka stu procentach zasłaniająca jego siwiejące włosy, krótki gęsty Clrny wąsik nad

górną wargą, całkowicie zmieniający propor-CJ° twarzy, okulary w grubej rogowej oprawie wyposażone w so-ewki o mocy zero dioptrii nadające jego oczom zupełnie inny V'az — leżało na nim jak ulał. Miał sporą wprawę w przykle-lu sztucznych wąsów i zakładaniu peruki, tak że nie musiał

247

się obawiać dekonspiracji. Nieco kłopotu przysparzały rnu okulary, do których noszenia nie był przyzwyczajony i które po raz poprawiał na nosie nerwowym gestem. Całości kam n" zu dopełniał strój: schludna, aczkolwiek swobodnego kroju 3 rynarka, takie same spodnie i cienki golf— wszystko czarn" W razie potrzeby owinie szyję ciemnografitowym szalem, chr niąc się przed mrozem i rozpoznaniem przez wyjątkowo spostrze gawczych. Bardzo z siebie zadowolony Dean Lynch narzucił na ramiona czarny zimowy płaszcz, a na dłonie naciągnął czarne skórzane rękawiczki.

Wyglądam jak czarny charakter z kryminału — pomyślał uśmiechając się do swego odbicia, i zaraz się poprawił: ja jestem czarnym charakterem...

Takie środki przedsiębrał za każdym razem, gdy składał wizytę Johnowi z Londynu. Nigdy nie tracił czujności, zawsze miał się na baczności, z każdym rokiem coraz bardziej ostrożny, coraz lepiej umiejący się maskować. Zdarzało się, że latał do Londynu dwukrotnie w ciągu tego samego dnia, każdorazowo przebrany za kogoś innego, i nikt z obsługi naziemnej lotniska ani żadna spośród stewardes go nie rozpoznali. Taką taktykę podsunął mu kiedyś John, który nawiasem mówiąc, sprzedał mu j;estaw cio charakteryzacji składający się z kilku peruk, wielu par wąsów i licznych opraw okularowych, a do tego zawierał wszystkie potrzebne akcesoria, takie jak — między innymi — hipoalergiczne kleje.

Strzeż się, Bobby — powiedział mu John przy tamtej okazji. Przed nikim się nie zdradzaj. Nie pozwól, by dziewczynki poznały twoją prawdziwą twarz.

Lynch sumiennie stosował się do tej rady. Prostytutki najeżę cieją widywały go w tym właśnie przebraniu, ubranego całego n czarno.

Jedynym, czego Dean Lynch nie chciał (albo nie unii zmienić, były jego oczy. I te budziły w kobietach najwięksi strach.

Zanim wyszedł z mieszkania, zmienił wiadomość na se tarce — raczej tylko na wszelki wypadek, gdyż już wcześn ustalił z Alim

Sharifem, że ten zastąpi go w razie konieczn W szpitalu powiedział, że



resztę niedzieli robi sobie woln3. „więc proszę do mnie nie dzwonić” — gdyż chce trochę odpot

248

inoże

wi że

•e nawet zobaczyć jakiś film w kinie, gdzie nie był od wieków.

znie na dyżurze, wiecznie pod presją. Wcześniej sprawdził,

łCL ,

dobrze po północy, co idealnie odpowiadało jego planom. Zanim nocny seans rozpoczyna się kwadrans po dziesiątej, kończy zaś ścił CSP, wypił w dyżurce filiżankę kawy, rozmawiając na ]'une tematy z Sharifem i paroma pielęgniarzami, w ten sposób macniając swoje alibi na nadchodzący wieczór.

Wyrzwał przez judasza na korytarz; upewniwszy się, że jest nusto i nikt go nie zobaczy, szybko uaktywnił alarm i jego zapasową wersję, zainstalowaną na wypadek, gdyby pierwszy system zjakiegoś powodu zawiódł, po czym wyslizgnął się na zewnątrz j delikatnie zamknął za sobą drzwi. Zbiegł po schodach na parter, tam rozejrzał się uważnie i dopiero wtedy pchnął metalowe skrzydło z napisem „Wyjście awaryjne”. Znalazłszy się po drugiej stronie, nie pozwolił skrzydłu zatrzasnąć się z hukiem, tylko przytrzymał je i umieścił pomiędzy nim a futryną niewielki metalowy pręt, długi najwyżej na dziesięć centymetrów, a gruby zaledwie na parę milimetrów. W ten sposób zapewniał sobie drogę powrotną. Drzwi domknęły się niemal szczelnie, jednakże pozostały otwarte. Tak jak wiele razy przedtem, gdy Dean Lynch wymykał się z budynku tylnym wyjściem. Miał to opanowane do perfekcji.

Ruszył szybkim krokiem wzdłuż Baggot Street i wkrótce machał na przejeżdżającą taksówkę. Wsiadając, rzucił do kierowcy: Na lotnisko. — Były to jedyne słowa, jakie wypowiedział Podczas półgodzinnej podróży, mimo że taksówkarz próbował go agadać na różne sposoby. Nie odezwał się nawet wtedy, gdy uisz-C2ał należność za kurs, odliczając kwotę co do grosza.

Żałosny dupek — pomyślał kierowca taksówki, odjeżdżając opon.

Lynch kupił bilet na najbliższy lot do Londynu. Zapłacił go-podając nazwisko Julian Nutley. s'adłszy na pokład samolotu linii Aer Lingus, lecącego na Ca%ow, zajął miejsce przy oknie i przez cały lot wpatrywał się g0 ITlury, ignorując stewardesę, która wychodziła ze skóry, by

nakłonić na przekąskę, drinka lub cokolwiek innego. Orzeszki, proszę pana? Nie.

\* Piskiem

249

— Kawa, proszę pana?

— Nie.

— Gazeta, proszę pana?

— Nie.

Dziwak — pomyślała stewardesa, wzruszając ramionami

Godzina 11.24

— Halo!

— Chcę mówić z Johnem.

Chwila ciszy, potem odgłos przyspieszonego oddychania.

Wreszcie:

— Tu John.

— Witaj, John. Tu Bobby. Jestem na miejscu.

Godzina 13.17

\* I

John siedział w foyer hotelu Hilton przy Park Lane, czytając „The Sunday Timesa”. Niemal całą pierwszą stronę zapełniały nagłówki i artykuły dotyczące porwania Gordona O'Briena. John pochłaniał wzrokiem zdjęcia i tekst. Nie przejął się losem porwanego dziecka, po prostu umiał docenić czyjąś przedsiębiorczość. Londyński znajomy Lyncha był postawnym i całkiem przystojnym mężczyzną dobiegającym sześćdziesiątki. Włosy ostrzyżone zgodnie z najnowszą modą panującą wśród elementów — krótko z przodu i długo z tyłu, tak że zakrywały mu kołnierzyk koszuli. Ubrany był schludnie: w granatowy wełniany płaszcz i taki sam elegancki płaszcz, przez którego ramiona przewieszony był miękki kaszmirowy szal koloru czerwonego, len akcent wraz z klubowym krawatem tej samej barwy nadał mu

Johnowi nieco wyrafinowany wygląd. Ktoś mógłby podejrzewać,

że kiedy wyjdzie z hotelu na ulicę, będzie tam na niego czekał

250

fiolet mercedesa, który powiezie go na weekend w Kornwalii.

Czywistości John nie umiałby wskazać, gdzie na mapie leży Kornwalia,

nawet gdyby zależało od tego jego życie. Londyńczyk dziada pradziada

prawie nigdy nie opuszczał stolicy. Wyjątkowo tylko wyjeżdżał

w interesach do Amsterdamu i Stambułu. Uznałby jednak ten, kto uznałby

go za kogoś bez znaczenia, Lohn bowiem kontrolował rynek pornografii i narkotyków w ca-Mn południowym Londynie. Zaczynał jako nastolatek, pracując nielegalnych domach gry, ale dość wcześnie zaczął handlować narkotykami i opiekować się panienkami. Z biegiem czasu wyrugował konkurencję na swoim terenie i był prawdziwym bossem. Miał podejście do ludzi; wyłapywał najbardziej obiecujące dziewczyny i młodych chłopców stojących pod czerwonymi światłami Soho, zdobywał ich zaufanie, sownie płacąc i oferując dach nad głową, po czym praktycznie stawał się ich właścicielem. Ledwie dziesięć lat zabrało mu zdobycie pozycji wśród baronów seksu. Dawno zarzuciwszy drobnicę, robił kokosy na sprzedaży narkotyków poprzez sieć własnych dilerów. Wszedł też w ściąganie długów. Stał się na tyle bogaty, że właściwie nie obawiał się nikogo ani niczego.

Od paru lat cieszył się opinią człowieka, który jest w stanie załatwić wszystko, pod warunkiem że dobrze mu się zapłaci.

Unieszkodliwiał niewygodnych partnerów biznesowych — za odpowiednią cenę rzecz jasna — domagając się od opornych "przeterminowanych długów tu i teraz. Podtykał zboczeńcom 0 nienagannej reputacji dziewczęta, chłopców, a nawet dzieci bez różnicy i choćby szczątkowych wyrzutów sumienia —je-1 tylko widział w tym swój interes. Zaopatrywał ojców rodzin twarde narkotyki. Od niedawna miał w swojej ofercie także n. Jego imperium kwitło i wciąż się rozwijało, a ceny rosły. Dean Lynch poznał Johna w jednym z sex-shopów na te-0.Ie Soho. Szukał wtedy dilera, pewnego i takiego, co go nie

Hub Ki,

le- Słowo dotarło do Johna, który kazał sprawdzić Lyncha. czas ow °kazał się czysty, nawiązał z nim kontakt. Od tego 11 °baj mężczyźni prowadzili ze sobą interesy i byli bardzo we n °eni ze współpracy. Żaden nie pytał drugiego o prawdzi-  
?edr°leni —

taiejc 2w'sko. Znali się jako John i Bobby. Żeby całe życie było Proste...

251

W zamian za żywą gotówkę John dostarczał Lynchowi heroiny i tyle dziewczynek, ile ten był w stanie zużyć. Ba h' sobie chwalił Bobby'ego jako klienta, gdyż ten składał regularn° zamówienia i nigdy nie zwlekał z płatnością. Jako lekarz Lv miał przyzwoity

dochód i dość pieniędzy na zaspokajanie sw ich zachcianek, zwłaszcza że poza nimi nie miał właściwie większych potrzeb. A uważał, że coś mu się od życia należy... Zazwyczaj dzwonił pod zapamiętany londyński numer na dwa tygodni, przed planowanym przyjazdem. Bez ogródek przedstawiał, czego chce. Z początku zamawiał tylko heroinę, w ściśle określonej ilości i po ustalonej cenie. Nieco później, gdy już zaufał Johnowi żądał także czegoś ekstra. Dziewczyn. Niezbyt młodych, ciemnowłosych i trochę wyższych od niego samego.

Dla Johna był to chleb powszedni, toteż zamówienia Bobby'ego wcale go nie dziwiły. Więcej nawet: wydawały mu się odświeżająco normalne po tym wszystkim, czego musiał wysłuchiwać i potem załatwiać prawdziwym zbrodniarzem. „Ciemnowłosa dziewczyna w wieku trzydziestu pięciu lat albo nieco starsza, ale nie po czterdziestce, z mnóstwem makijażu i krwistoczerwonej szminki na ustach” — to brzmiało niemal niewinnie. Dlatego John zawsze odpowiadał Lynchowi: „Nie ma sprawy, Bobby, nie ma sprawy. Klient płaci, klient wymaga. Mówisz i masz...” Bobby prosił o to samo przez wiele kolejnych lat. Niektóre dziewczyny prosiły Johna, by nie wysyłał ich do „tego popaprańca” ponownie, ale większość cieszyła się z łatwo zarobionych pieniędzy. „Po prostu siedział i gapił się na mnie przez bite dwie godziny” — relacjonowała Johnowi któraś z tej drugiej grupy, nie wiedząc, że należy do nielicznych szczęściar. Nawet ona jednak żaliła się, że sam wtdo Bobby'ego wystarczy, żeby dostać gęsiej skórki. Żadna z prost) tutek, z którymi miał do czynienia Lynch, nie miała wątpliwosc że ten facet jest niebezpieczny. Wystarczyło im popatrzeć w przepełnione nienawiścią oczy. Sjl .

Ale potem Bobby z każdą wizytą stawał się coraz bardziej śmiały. Doszło do tego, że John zaczął mu wystawiać same cępu którym było wszystko jedno, jak zdobędą pieniądze na nas \*F działkę, byle było ich dość. W końcu Bobby przegiął- @st3ull. dziewczynę dosłownie zmasakrował, tak że John musiał liczyć trzy stówy za doprowadzenie jej do jakiegoś takiego porZ

252

J

watnej klinice, do której wysyłał wszystkie swoje dziewczyny i chłopców, gdy zaistniała potrzeba. Jej właściciel także był r ntem Johna. „Ktokolwiek jej to zrobił” — powiedział specja-chirurg,

uzależniony od kokainy i płatnego seksu — „miał ■ żką rękę i naprawdę się przyłożył. Dziewczyna będzie miała krzywy n°s oc' złamania i paskudną bliznę na czole, tam gdzie ten ość niemal oderwał jej skalp od głowy. Myślałem, że nie uda mi jej już poskładać do kupy.”

Po tym ostatnim wypadku John uznał, że musi porozmawiać z Bobbym. Miał go na oku już od jakiegoś czasu. Irlandczyk dzwonił coraz częściej, zamawiał coraz więcej heroiny, a teraz jeszcze tłukł dziwki na kwaśne jabłko. Od jednej działki na dwa miesiące przeszedł do jednej na dwa tygodnie, i to w ciągu zaledwie czterech lat. John miał wystarczająco dużo doświadczenia, by w porę dostrzec niepokojące objawy. Nie martwił się Bobbym. Nałóg to nałóg, każdy kto bierze, musi liczyć się z konsekwencjami. Wszyscy znają zasady. Zaczynasz ćpać, wsiąkasz i już po tobie: prędzej czy później czeka cię mogiła. prostytutki także go nie obchodziły, miały dla niego mniejsze znaczenie niż kurz na butach. Ale nie podobało mu się, że Bobby robi im krzywdę, bo to oznaczało straty. Musiał je kurować i dawać im wolne, co odbijało się znacząco na jego wynikach finansowych. A John był w głębi duszy biznesmenem. Rachunek ekonomiczny, jaki przeprowadził, wskazywał, że zaczął dopłacać do interesów z Bobbym, a to było niedopuszczalne. Zamierzał mu to powiedzieć podczas dzisiejszej rozmowy. Nie wprost, ale delikatnie, bo w końcu była niedziela, a tobby był wypłacalnym klientem przez naprawdę długi czas 'John czuł do niego swego rodzaju sentyment. Przyzwyczyił się 0 telefonów z Irlandii i mogło mu ich brakować, gdyby postawił jjPrawę na ostrzu noża. Jednakże Bobby'ego trzeba było przywołać P°rządu, dać mu do zrozumienia, że dłużej tak być nie może. John dalej spokojnie czytał gazetę. Zauważył, że dziennikarze Włazali sprawę porwania Gordona O'Briena z morderstwem, J °re miało miejsce w tym samym szpitalu, gdzie maluch się uro-L. Z zainteresowaniem przeczytał artykuł w środku wydania, t0u towarzyszyły fotografie. Na jednej z nich widniał fron-Centralnego Szpitala Położniczego. Po stopniach przed nim °dziły dwie osoby.

253

John zmrużył oczy i przyjrzał się postaciom dokładniej Jego uwagę zwrócił zwłaszcza jeden z mężczyzn. Wciąż • pewny, czyjego podejrzenia są słuszne, wstał i podszedł do ok żeby lepiej widzieć. Ustawiał się pod różnymi kątami, pozwala jąć, by światło

padało na zdjęcie z tyłu, z boku, z góry i z W końcu cisnął gazetę do kosza na śmieci.

No, no... — pomyślał — gdybym lubił hazard, postawiłbym tysiąc, że ten gość to mój Bobby.

Dean Lynch przysiadł się do Johna rozpierającego się na głę. bokiej, kosztownej kanapie ustawionej mniej więcej pośrodku hotelowego foyer. Czekający nań mężczyzna, widząc, że Lynch się zbliża, zaczął oglądać sobie paznokcie. Dla efektu wyciągnął przed siebie obie ręce i rozczapierzył palce.

— A, to ty, Bobby — powiedział John, udając, że dopiero teraz go dostrzegł. — Miło cię znowu widzieć. Masz ochotę na lunch?

— Nie jestem głodny — odparł Lynch.

John odwrócił się i przyjrzał siedzącemu obok niego mężczyźnie. Wydał mu się mniejszy i drobniejszy niż ostatnim razem.

A powinieneś być, Bobby, powinieneś — zauważył. -Straciłeś na wadze od naszego ostatniego spotkania. Przeszedłeś na dietę czy jak?

Po prostu nie mam apetytu.

John wzruszył ramionami i wstał, kierując się do wyjścia-Lynch podążył za nim w milczeniu. Na zewnątrz londyńczyk złapał taksówkę i dwaj mężczyźni zniknęli wewnątrz wozu, nada nie mówiąc do siebie ani słowa. Taksówkarz wysadził ich na tyłach Harrodsa, tak jak zazwyczaj sobie John. Ruszyli wzdłuż Bas Street w stronę Walton Street, a następnie Lennox Garden. Tafla John zostawił swojego saaba. Przejechali przez Kensington i1 tarli do Hammersmith, gdzie John miał wykupiony na własnos niewielki dwupoziomowy, a od niedawna także podpiwnicz budynek. W tym właśnie szeregowcu z czerwonej cegły 0 wał spotkania z klientami i dobijał targu. Mieszkał oczyw , z dała od swojego „biura”, w ekskluzywnej dzielnicy Ho Park, gdzie spędzał większość wolnego czasu w towarz's tej kobiety, która akurat przypadła mu do gustu i która nie

254

ła heroiny i kokainy, będących głównym źródłem jego Schodów. piwnica domku w Hammersmith została odgrudzona grubymi kami i podparta silnym stropem. Mieściło się w niej jedno ezbyt duze pomieszczenie, w którym John składował wszystką broń jaką akurat miał na stanie, i bieżące zapasy narkotyków. Vpuszczał tam tylko swoich przyjaciół, najlepszych klientów i wrogów.

Ci ostatni dostępowali zaszczytu w dniu, w którym mieli zginąć-  
Mam dla ciebie tego walthera — mówił John, pokazując  
Lynchowi pistolet. Irlandczyk nie spuszczał oczu z broni. — Kaliber .38,  
półautomatyczny, waży niecały kilogram, więc nie powinna  
ci się męczyć ręka. Jest na tyle mały, że łatwo go nosić przy sobie. To stary  
model, ale godny polecenia. Sprawdzony przez tysiące  
użytkowników na całym świecie. W latach siedemdziesiątych używała go  
nawet policja, ale od tego czasu gliny trochę się  
'modernizowały... Mnie jednak walther wciąż odpowiada, sam go używam,  
jeśli zachodzi potrzeba. — Gładki londyński akcent potęgował  
wrażenie, że John jest sprzedawcą zachwalającym zalety nowego modelu  
kuchenki mikrofalowej, a Lynch niezdecydowanym klientem,  
niewiedzącym, czy tego właśnie pragnie jego małżonka. — Ale ma pewien  
feler...

Lynch oderwał wzrok od pistoletu i przeniósł go na Johna. Ten  
°dwzajemnił spojrzenie, patrząc wprost w niebezpieczne zdaniem jego  
dziewcząt oczy klienta. Ciężki przypadek — przyznał im w duchu rację.

Zacina się — wyjaśnił. — Czasem naboje pozostają w ma-, ynku i nie  
przechodzą do lufy, nie dając się wystrzelić. — Wy-

konał  
gest, jakby ładował broń, odciągnął kurek i wolnym ruchem  
Oc'ągnął za spust. Metal uderzył o metal. Trzask. — Pistolet do czyszczenia,  
kule też. Jakiegokolwiek zabrudzenia mogą spowo-że mechanizm  
nie zadziała jak należy. Łapiesz, Bobby? ynych skinął potakująco głową.  
gf2a7 Naboje wymagają szczególnej troski. Nie wolno ich  
prze-

tr\*eb;  
ani zbyt szybko wychłodzić. Przed włożeniem do magazynka je wytrzeć do  
czysta. Pamiętaj, nigdy nie wkładaj upusz-

255  
czonego naboju, zanim go nie wytrzesz. Na pewno wszystko • ne? —  
upewnił się.

Lynch ponownie potwierdził. Aż się rwał, żeby poczuć pjestoi w swojej  
dłoni. John jednak najpierw podał mu zapasowy mas nek i  
pokazał, jak się go ładuje. Wydawało się to dziecinnie proste  
— Zawsze wkładaj tylko siedem naboji. Nie próbuj być m drzejszy od  
ruskiego budzika i upychać na siłę ósmego naboju bo mechanizm  
tego nie wytrzyma i zatnie się jak amen w pacje rzu. Jeśli planujesz  
dłuższe strzelanie, miej przy sobie zapasowy magazynek

wypełniony siedmioma nabojami. Rozumiesz'» — Lynch wydawał się nadażać, jak na razie. — Albo — tłumaczył dalej John — możesz zrobić tak — umieścić magazynek w rękojeści pistoletu, wprowadzając pierwszy nabój do komory, po czym wysunął magazynek i dodał jeszcze jeden nabój, tak że w sumie było ich teraz osiem, chociaż sprężynka nie została nadwerężona. W odpowiedzi na pusty wzrok Lyncha powtórzył czynności, opisując, co robi. Jego długie zgrabne palce o zadbanych paznokciach wykonywały zwinne ruchy, jak gdyby John obsługiwanie broni miał we krwi. — O tak, widzisz? Dzięki temu masz osiem naboji do dyspozycji. Sprytne, nie?

Lynch był pod wrażeniem.

- Jak już będziesz strzelał — ciągnął John :— nie naśladuj kowbojów z Dzikiego Zachodu. Takie coś udaje się tylko na filmach.

Długo składaj się do strzału, celuj uważnie. Spust naciskaj powoli, delikatnie i odczekaj co najmniej dwie sekundy, zanim znów wystrzelisz. Panuj nad sobą, mało kto jest równie dobry jak John Wayne.

Dean Lynch chłonał każde słowo. W końcu pistolet przesze z rąk do rąk.

Nowy właściciel uchwycił go pewnie, sprawdzając --

jak leży w dłoni, i przyjrzał mu się z bliska, upewniając się, wie, gdzie jest magazynek, kurek i komora.

- No, Bobby — rzucił jowialnie John — skoro już zdecydowałeś się go użyć, najpierw się z nim oswoj. Szkoda by ' gdybyś dał plamę, kiedy przyjdzie co do czego, oj, szkoda.

Lynch przestępował z nogi na nogę, rozkoszując się cięż walthera w ręce. i d\*e

pary ochraniaczy na uszy. Jedną nałożył, drugą podał Lync

John podszedł do wiszącej na ścianie szafki i wyjął z niej .,

256

, czym

znów sięgnął do szafki, tym razem po amunicję. Usugo.

("ślepaki z magazynka i wypełnił go prawdziwymi nabojami, stęPuMc dokładnie tak, jak to wcześniej opisywał Lynchowi. ndczyk przypatrywał się uważnie, jego wzrok wręcz parzył.

No, Bobby — podjął John — jak już przyjdzie co do cze-

zrób to jak należy. Stań tak jak ci goście na filmach, to akurat

sje'sprawdza. Stopy szeroko rozstawione, obie dłonie na pistolecie

Jedną trzymasz rękojeść, drugą stabilizujesz. — John przyjął właściwą pozycję. — To się nazywa „filizanka ze spodkiem". Zamiast



uszka filizanki twój palec wskazujący obejmuje cyngiel. Drugą dłonią podtrzymujesz rękę, tak jakbyś ujmował spo-deczek.

Chwytasz? — Pistolet zdawał się niknąć w potężnej łapie Johna. — Jak już przyjdzie co do czego — powtórzył swoją ulubioną frazę

John — mierz w klatkę piersiową. Nigdy w głowę. Głowa jest zbyt ruchliwa. O wiele trudniej jest zejść z linii strzału całym ciałem.

Dean Lynch uważał pilniej niż podczas wykładów z anatomii człowieka, które również szczerze go pasjonowały. John mówił i

równocześnie wykonywał odpowiednie gesty. Obaj już dawno zdjęli płaszcze i pozbyli się szalików. Byli ubrani jak biznesmeni robiący ważne interesy. I rzeczywiście, jeden i drugi szykował się do interesu swego życia.

- Jeśli twój cel stoi tyłem do ciebie, wykorzystaj to i strzelaj bez zastanowienia. Jeśli stoi przodem, trzymaj rękę z pistoletem opuszczoną wzdłuż ciała dosłownie do ostatniej sekundy. Tuż zanim wymierzysz, krzyknij, i to naprawdę głośno. To zazwyczaj zbija ofiarę z pantafelów. Gość zastanawia się, co się dzieje, i nie ma czasu wykonać uniku, który mógłby ocalić mu życie. A potem jest już za późno, Bobby. Potem jest za późno.

Lynch nie wzdrygnął się, słysząc te słowa. Nadal stał jak po-Hg.

Naciskaj spust leciusięko — instruował John. — Nie rób go, tylko naciskaj. Pewnie, ale nie za mocno. Możesz się te-Sa Sraniać,

Bobby — dodał widząc skrzywienie ust klienta — ale się przekonasz, że wszystko wydarzy się w okamgnieniu. Co •Hiaf J3t0

1T,ówią, Bobby... Najlepiej by było, żebyś

Pu CZas bohrze wymierzyć, korzystając z muszki... to te wy-1 na przodzie i z tyłu lufy... Nie myśl o tym, co zamierzasz

257

zrobić, nie myśl o niczym, nie przejmuj się, że będzie sporo huk Jak zaczniesz za dużo myśleć, spudłujesz.

Lynch poruszył się. Obrócił głowę i zdejmując okulary SD • rzał w oczy Johna. Potężny mężczyzna po raz pierwszy poczuł nieswojo w obecności wątego Irlandczyka.

— Załóż ochraniacze — polecił.

Kiedy Lynch wykonał polecenie, podniósł rękę z pistoletem i wymierzył w worek z piaskiem. Niemal niezauważalnie pociągnął za spust. W tej samej chwili piwnicę przeszył potężny huk John spodziewał się reakcji -jakiejkolwiek. Na Lynchu jednak wystrzał nie zrobił najmniejszego wrażenia. Irlandczyk stał tak samo jak przedtem,

martwym wzrokiem gapiąc się na dziurę w worku.

— Jeszcze raz — poruszył wargami John.

Znów stanął w pozycji strzeleckiej i wystrzelił trzy kolejne kule, jedna po drugiej. Echo wystrzału odbiło się od grubych ścian piwnicy, przedzierając się przez wykładzinę ochraniaczy i powodując dźwięczenie w uszach obu mężczyzn.

— Teraz ty — rzucił.

Lynch skwapliwie odebrał broń, uzupełnił magazynek wedle wcześniejszych instrukcji, przeładował i ustawił się na wprost worka z piaskiem. Oczami poszukał aprobaty u 'ondyńczyka. Potem podniósł obie ręce, obejmując pistolet tak, jak przed paroma chwilami pokazał mu John.

— Dobrze — powiedział ów bezgłośnie.

Lynch pociągnął za spust i pistolet podskoczył w jego rękach jak coś żywego. John uśmiechnął się pod nosem i stanawszy z klientem, położył swoje dłonie na jego. Lynch ponownie nacisnął cyngiel i tym razem, choć obaj poczuli siłę odrzutu, broń pozostała nieruchoma. John odsunął się i skinieniem głowy zachęcił Lyncha, by spróbował jeszcze raz. Rozległy się cztery strzały — P każdym Lynch czekał chwilę, nim znów zaczął ciągnąć za spust. Coraz lepiej radził sobie ze skaczącym przy wystrzale pistoletem.

John zsunął ochraniacze i Lynch zrobił to samo.

atrzyUa:

gibkie palce klienta ładują magazynek i wprowadzają piasek

— Dobra. Ostatnia próba. Bez ochraniaczy — zaczął 'ondyńczyk, nasuwając na uszy swoje. Z podziwem patrzył

258

i si do komory. Musiał przyznać, że Lynch należał do pilnych na D uczniów-

W ciągu następnej minuty Dean Lynch podziurawił worek jaskiem niczym sito. Wystrzelił dwie kule, po czym bez pytania nałożył znów ochraniacze i pozbył się reszty naboju. Ani razu nie chybił — W piwnicy wirowały ziarenka piasku i wibrował odgłos huków.

Nieźle ci idzie, Bobby, całkiem nieźle pochwalił go John. Nadajesz się do tego — stwierdził z satysfakcją. — Dam ci specjalną walizeczkę, w której bezpiecznie przewieziesz pistolet.

Ze stojącej z tyłu pomieszczenia szafki wyjął niewielki neseser marki Samsonite. Położył go na blacie i otworzył. W górnej części

znajdowały się zwykle rzeczy: wizytówki na nazwisko Andrew Kelly z

adresem w Hammersmith i nie istniejącymi numerami telefonów, głoszące, że ich właściciel jest sprzedawcą oprogramowania komputerowego zatrudnionym przez fikcyjną firmę z główną siedzibą w Southampton, pod takim to a takim adresem i numerem faksu. Niżej leżały błyszczące foldery reklamujące sprzęt komputerowy i specjalistyczne oprogramowanie oraz standardowe broszury na temat rewelacyjnego systemu Windows. Poza tym były tam: brulion formatu A4, długopisy i pióra kulkowe, a także różnokolorowe markery. Z kieszonki na wewnętrznej stronie pokrywy wystawały dokumenty i wydruki. Spód walizeczki nie budził żadnych podejrzeń; miękki materiał wydawał się ściśle przylegać do dna.

Pod spodem jest odrębny schowek - objaśnił John. Wiesz te kółeczka w rogach?

Lynch zajrzał do środka i skinął głową.

Jeśli odkręcić śrubki pod nimi — zademonstrował londyń— górna część z łatwością da się wyjąć. - - Wręczył Lyncho-WI mały śrubokręt.

chwili wszystkie cztery kółeczka i cztery śrubki tkwiły zamkniętej dłoni Lyncha. Drugą ręką mężczyzna odchylił po-ne dno nesesera, dzięki czemu odsłoniła się specjalnie wy-ia ana ezęść, idealnie pasująca na jego nowy nabytek. Były et specjalne zagłębienia na zapasowe magazynki. Wszystko 1 tre dopracowane, że nie istniała możliwość, by cokolwiek 11 tego towaru przesunęło się choćby o milimetr.

259

— Podoba ci się, Bobby? — spytał Lyncha John.

Irlandczyk skinął głową, po czym bez słowa umieścił w za i bieniu swojego walthera, dodając mu do towarzystwa zapasów magazynek. Sprawdził, czy siedzą wystarczająco głęboko Di pewności przeciągnął przez środek parciany pasek z rzepami d końcu, taki sam, jakich używa się w zwykłych walizkach dla tu rystów.

Londyńczyk przyglądał się wszystkiemu ze spokojem.

— Cokolwiek masz zamiar zrobić, nie zabieraj tego nesesera ze sobą na pokład samolotu. Skanery z łatwością wychwycają metal.

Nadaj go jako zwykły bagaż i odbierz po lądowaniu. Jest wyposażony w zamek szyfrowy. Szyfr masz zapisany tutaj — podał Lynchowi świstek papieru.

Lynch zmrużył oczy, bezgłośnie powtórzył liczbę, po czym zmiął karteluszek. Zatrzasnął wieko nesesera i sprawdził, czy na pewno

jest zamknięte. Następnie wybrał przypadkową kombinację cyfr. Zamek pozostał zamknięty. Kliknął, dopiero kiedy Lynch ustawił właściwą liczbę.

John czekał cierpliwie, aż nadejdzie moment, gdy będzie mógł przejść do najważniejszej sprawy.

— Kiedy zamierzasz go użyć? — spytał.

Lynch zignorował pytanie, wkładając naboje marki Browning do obu magazynków. Nie zapomniał, że w jednym z nich może umieścić aż osiem naboji. Pieczołowicie ułożył je w zagłębieniach.

— Czytałem dzisiejsze gazety, Bobby — zaczął John. — Wygląda na to, że twoja ojczyzna schodzi na psy. Kto to widział porwać małe dzieci...

Lynch w dalszym ciągu się nie odzywał. Włożył walthera w ciasne leże i przez chwilę podziwiał efekt. Potem wyjął pistole i sprawdził zawartość komory. Wciąż tkwił w niej jeden nabój-Prawdziwy.

— Albo mordować ludzi w szpitalach...

Dean Lynch zeszywniał.

— Pisali o tym w tej samej gazecie. Zamieścili na Wet z J cie tego szpitala. Ze stopni schodzi dwóch mężczyzn. I wiesz Bobby?

Jeden z nich wygląda zupełnie jak ty.

Lynch odwrócił się do mówiącego i z uśmiechem zapytał

260

I Naprawdę?

Kropka w kropkę, Bobby, kropka w kropkę — pokiwał głową John. — Chyba nie zamierzasz użyć tego gnatu w szpitalu, Bobby? Bo to by mi się chyba nie podobało. Najpierw skalpel, potem mój walther.

Może gdyby londyńczyk nie użył słowa „skalpel”, Lynch by niu odpuścił.

Ale John wyraźnie powiedział „skalpel” i Dean Lynch uznał,

że wszystkiego się domyślił. — Uważaj!

Nagły okrzyk zaskoczył Johna. Odruchowo się odwrócił, chcąc sprawdzić, na co powinien uważać. Nie wykonał nawet ćwierci obrotu,

kiedy uświadomił sobie, że źle zaszufładował Bobby'ego. Bardzo źle.

W ciasnej piwnicy rozległ się huk, lecz tym razem to nie worek z piaskiem podskoczył. Tym razem ucierpiał mózg Johna. Kula weszła tuż pod jego lewym okiem i wyszła przez potylicę.

- Strzeż się! — zawołał Lynch do podrygującego w agonii ciała. Krew wylewała się ciurkiem z obu ran na głowie. — Przed nikim się nie zdradzaj!

Jakby nigdy nie odłożył walthera do walizeczki, umocował ochronny

pasek, po czym na wierzchu położył właściwą część nesesera. Nie zwracał przy tym najmniejszej uwagi na charkot Johna, ostatkiem sił walczącego o życie. Starannie dokręcił cztery śrubki i zakrył je kółeczkami materiału nie odróżniającego się od wykładziny. Potem jeszcze zerknął na układ cyfr na zamku i upewniwszy się, że zapamiętał je prawidłowo, zatrzasnął wieko. Rozejrzał się, włożył płaszcz, złapał kluczyki samochodowe i krótko, po męsku, pożegnał się z Johnem, zanim wyszedł na "epryjemny chłód ulicy. Bardziej dla ochrony przed niską temperaturą niż dla kamuflażu postawił kołnierz płaszcza i owinął się czelniej szalikiem. Na lotnisko podjechał saabem Johna. Udał się zdążyć na wczesnopołudniowy samolot do Dublinu. Kupując bilet, podał nazwisko Andrew Kelly i oczywiście nadał Rzeczkę na bagaż. Jako że pozostało mu jeszcze trochę czasu Wc-StarLU' ruszył w stronę strefy bezcłowej. W kieszeni płaszcza miał dwa tysiące, których John nie będzie już potrzebo-

Kawy, proszę pana?

261

— Nie.

— Gazetę?

— Nie.

Ale dziwak — pomyślała zupełnie inna stewardesa.

XXXI

Godzina 15.17 Pokój przesłuchań na posterunku przy Store Street  
W niedzielne popołudnie szesnastego lutego Kate Hamilton i jej zespół byli przekonani, że właśnie nastąpił przełom w śledztwie.

O dziewiątej trzydzieści rano dyżurny posterunku przy Store Street odebrał telefon. Dzwoniąca kobieta korzystała ze specjalnej policyjnej linii społecznego zaufania. Była wyraźnie podenerwowana i zaklinała policjanta, żeby pod żadnym pozorem nikomu nie ujawniał jej nazwiska. Dyżurny obiecał, że zrobi co w jego mocy, by ją chronić.

- Cokolwiek pani powie, pozostanie wyłącznie do wiadomości policji — zapewniał. — W każdej chwili może się pani rozłączyć, nie pozostawiając swoich danych. A teraz proszę mi powiedzieć, w jakiej sprawie pani dzwoni.

W sprawie tej dziewczyny, którą zamordowano w szpitalu...

1 — Tak?

Wczoraj wieczorem oglądałam w telewizji wyniesienie zwłok z kościoła.

Niech Bóg ma w opiece jej rodziców... Byli ozpaczeni...

To prawda. Dotknęła ich prawdziwa tragedia.

Kobieta zaczęła szlochać w słuchawkę. Policjant milczał. Cała r°zrnowa była nagrywana. W końcu dyżurny delikatnie podpo-ledział:

Chce nam pani powiedzieć coś na temat tej dziewczyny 0 coś, co pomoże w ujęciu sprawcy? tkanie stało się głośniejsze.

263

— Jest pan pewien, że jestem bezpieczna? Mój numer telef nu nie wyświetlił się panu nigdzie? — Chlip, chlip.

— Całkowicie pewien. To policyjna linia społecznego zauf nia. Cokolwiek pani powie, zostanie między nami. — Przvn ' mniej na razie, dodał w myślach.

- Myślę, że to mój mąż zabił tę dziewczynę. O Jezu, JezLi — rozszlochała się znowu.

— Czy może mi pani powiedzieć, jak się nazywa pani mąż? Padła niezrozumiała odpowiedź. Płacz się wzmógł. Taśma pracowicie przewijała się, rejestrując każdy dźwięk.

— Proszę, niech mi pani powie, jak nazywa się pani mąż. Kobieta zachłystywała się, jakby się dusiła.

— Dlaczego pani sądzi, że mąż zamordował tę dziewczynę? Nagle kobieta przestała płakać i zamiast łez wylała z siebie potok stów:

— Bo raptus z niego. Dużo pije i ma ciężką rękę. Prawie co wieczór wychodzi z domu, czasami w ogóle nie wraca na noc. Potem opowiada mi historie, jak to rżnie wszystkie pielęgniarce w szpitalu, w którym pracuje. Jest tam kucharzem. Czasami jak jednak przychodzi na noc do domu, bije mnie i związuje, a potem opowiada, co z nimi wyprawiał. Albo tylko tak się przechwala, sama już nie wiem... Tej nocy, kiedy zginęła ta biedna dziewczyna, też nie wrócił do domu. Przyszedł dopiero następnego wieczoru, pijany jak świnia, i wkropił mi tak mocno jak jeszcze nigdy dotąd. Jak bił, krzyczał, że robi mi to samo co tamtej. „Uważaj • wygrażał, „bo skończysz jak ona ze skalpelem w gardle. Zrobię ci to samo co jej.” — Dyżurny wszystko pilnie notował, nie dowierzając technice. — Zabije mnie, jak się dowie, że komuś o tym powiedziałam. Proszę nikomu nie mówić, że to ja dzwoniłam- On mnie zabije, jak tylko się dowie, że to ja...

Właśnie dlatego Anthony Francis CTLoughlin, kucharz w Centralnym Szpitalu Położniczym, który wydał się śliski prz słuchującemu go

policjantowi, siedział teraz na posterunku i1 powiadał na pytania padające z prędkością karabinu maszyno'

go- . Ra.

Przez pierwszą godzinę maglował go Dowling, doci jąc szczegółów podanego wcześniej alibi, które nie trzy się kupy. Pod naporem pytań sierżanta przesłuchiwany P<sup>o</sup>-u

264

zUpełnie, przedstawiając coraz to inną wersję zdarzeń. Kie-S1 się zor ' "

J'i-J- -j --i i

gadania zeznań. Wtedy Dowling powiedział mu, że ktoś słyszał, dy

słę zorientował, że sam się podkłada, dla odmiany odmówi)

. u słę przechwała, że zabił laborantkę. J Anthony Francis CTLoughlin rozdziawił gębę ze zdziwienia. Sierżant pogratulował sobie w duchu. Co za idiota wam to powiedział?

O'Loughlin był wypierdkiem, od którego zajeżdżało zjełcza-lym tłuszczem.

Na posterunek przyszedł ubrany w coś, co tylko z wielkim trudem mogło uchodzić za strój kucharza: biały podkoszulek upstrzony plamami, kraciaste spodnie i wytartą dżinsową kurtkę. Dowling poklepał się po skrzydełku nosa i oświadczył:

— Mamy swoje źródła, Tony... I te źródła mówią nam, że wiesz dokładnie, jak zginęła Mary Dwyer. Ponoć rozповідаłeś na prawo i

lewo, jak została zamordowana. I wiesz co, Tony?... — Dowling zawiesił głos. — Wygląda na to, że wiesz o niebo więcej niż my. Więc przejdźmy do rzeczy i porozmawiajmy o tym, dlaczego ją zabiłeś.

Pierdol się! — ryknął Anthony Francis O'Loughlin, damski bokser.

Teraz sierżant Dowling siedział przy stole naprzeciwko kucharza, a sierżant Hamilton stała za plecami przesłuchiwanego, opierając się o ścianę. John Doyle tkwił niczym posąg w jednym z rogów

pomieszczenia. Wyglądał groźnie i tak też się czuł. OLoughlin kurczył się pod każdym jego spojrzeniem. Jeszcze chwila i zupełnie zniknie —

pomyślał Doyle, zapalając papiero-sa- Odtąd Dowling i Doyle

zaczęli zadawać pytania na przemian. OLoughlin miał powoli dość.

Ogarniało go zmęczenie, potwor-ne zmęczenie. W minioną noc

zabalował i miał potężnego kaca, ' e nie dane mu było się wyspać. Ledwie zmrużył oko, do domu Padła policja i przyciągnęła go

tutaj, żeby wypytywać, dlaczego 11 dziewczynę, której nawet nie znał. To znaczy przynajmniej ak Hu się wydawało.

dlaczego ją zabiłeś, Tony? Co ona ci takiego zrobiła, że s'ala zginać?  
Odrzuciła twoje zaloty? Powiedziała ci, że do n,e Pasujesz?  
Wątpiła w twoje męskie zdolności? rało 1T1'arę jak przesłuchanie trwało,  
troje policjantów nabie-Pfzekonania, że mordercą nie mógł  
być Anthony Francis

265

O'Loughlin. Był mocny w gębie i od czasu do czasu we włac

. ■ ., ■ . ■ asiyy

-J Sol

głowy tłuczeniem próbek, tylko od razu zabrał się do odcz B  
domu, wyzywając się na żonie za wszystkie życiowe niepow0(j) nia.  
Gdyby to on zamordował Mary Dwyer, nie zawracałby  
ników. Był na tyle głupi, że pozostawiłby ślad w postaci butelek po  
spirytusie, które usiałyby jego drogę z laboratorium do dom  
Kate zmarnowała trzy cenne godziny.

Co za strata!

Nie dla Deana Lyncha wszakże.

Podczas gdy Kate Hamilton i jej ludzie obszczekiwali niewłaściwe  
drzewo, on zdążył wrócić do domu przez nikogo nie niepokojony i  
zaczął planować swój następny ruch.

Z pewnością nie zamierzał się z niczym wygadać przed kumplami z pubu.  
Telefon Tommy'ego Malone'a do Dempseya postawił całą grupę  
antyterrorystyczną na nogi. Jack McGrath i jego ludzie zyskali pewność,  
że mają do czynienia z zawodowcami, którzy nie zawahają się przed  
niczym.

— Mało kto ma mój numer telefonu — powiedział im Dempsey. —  
Zastrzegłem go przed wielu laty i odtąd nie sposób mnie znaleźć w  
książce telefonicznej. Jak ktoś chce się ze mną skontaktować, dzwoni do  
firmy. Do domu dzwoni tylko rodzina i najbliżsi  
przyjaciele.

Na wszelki wypadek jeden z Jaguarów porozmawiał także z żoną  
Dempseya i jego trzema nastoletnimi synami. Komu dawaliście domowy  
numer telefonu? Czy ostatnio zdarzył się telefon od kogoś podejrzanego?  
Była jakaś pomyłka? Na pewno m dawaliście tego numeru swoim  
sympatiom, kolegom z drużyn) czy trenerowi? Dzwonił ktoś, kto twierdził,  
że pomylił numery--Pytania padały szybko i powtarzały się.

W końcu powstała kro lista nazwisk, którą natychmiast przekazano do  
komendy g'°vV nej, gdzie miała zostać poddana analizie,  
sprawdzeniu w sy mie komputerowym i jeśli trzeba — bezpośrednio, acz z



nale ; ostrożnością. YM

Równocześnie inna część ekipy wałkowała służbę zatruc nąw Beechill i pracowników O'Brien Corporation. Szukano

266

• iszego choćby śladu nielojalności mogącej sugerować udział „Lonloc w porwaniu albo chociaż nieostrożne obchodzenie się „strzeżonymi klauzulą poufności informacjami. Zebrane ze-1 ja sprawdzało dwudziestu specjalnie ściągniętych na komen-f detektywów; choć trwało to cały dzień, Betty Nolan i pozostali rzątacze, zatrudnieni dorywczo, zostali odpytani po łebkach. p0ść wcześniej bowiem przyjęto założenie, że porwanie zostało zOrganizowane przez konkurencję O'Briena, kogoś, kto poczuł się zagrożony jego wzrastającą potęgą i monopolizowaniem coraz większej części rynkowego tortu. Popołudniówki spekulowały, it O'Brien Corporation miała wchłonąć jakąś średniej wielkości brytyjską firmę farmaceutyczną, co spowodowało opór w tak drastycznej postaci. Sugerowano nawet, że za porwaniem stoi ktoś z londyńskiego City. Oczywiście żadna gazeta, nawet „The Evening Post“, nie powiedziała tego wprost, ale kto umiał czytać między wierszami, ten zwietrzy! sensację. Nakład rósł z każdym wydaniem, sprzedaż osiągała zdumiewające liczby.

Później jednemu z eks-menedżerów O'Brien Corporation, wyrzuconemu z pracy przed paroma miesiącami, wyrwało się po pijaku w pubie, że nie tylko wie wszystko o porwaniu, ale również że gdyby tylko chciał, mógłby podać dokładnie miejsce przetrzymywania dzieciaka.

Ktoś miał uszy szeroko otwarte i nim niedoszły dyrektor zdążył wytrzeźwieć, znalazł się oko w oko z członkiem grupy Jaguarów na pobliskim komisariacie przy Waterford Street. Spędził tam niezapomniane sześć godzin życia.

Policja brała pod uwagę każdą możliwość, sprawdzała każdą Poszlakę. Inspektor Jack McGrath i jego ludzie zdzierali sobie zelówki, podążając każdym tropem i zmieniając kierunki, kiedy S|Ç okazywało, że poprzedni wiedzie ich na manowce. Rezydencje leżące w pobliżu Beechill zostały odwiedzone, ich właściciele wypytani o to, czy nie zauważyli czegoś — czegokolwiek

Podejrzanego. Na pewno nie kręcili się tutaj obcy, wypytyjący o drogę albo szukający gościńca czy kwatery? Wszystkie chaty szopy w promieniu dziesięciu kilometrów od Beechill zostały JJszukane.

Policja zawędrowała nawet na pole kempingowe za p Lllldwood, gdzie

skrupulatnie sprawdziła księgi meldunkowe.

obnie postąpiono w prywatnych pensjonatach, gdzie pod lupę 1 1 Y nie tylko oficjalne księgi, ale również te trzymane pod ladą,

267

tam gdzie nie sięgają ręce urzędników fiskusa. Lokalne złodziejaszki i inni notowani musieli pogodzić się z nocnymi wizytami panów w mundurach i zakazem opuszczania miejsca zamieszkania oraz podsłuchem założonym na telefonach.

Linia telefoniczna posiadłości O'Briena i ta w domu Dempseya zostały tak skonfigurowane, że policja mogła przysłuchiwać się wszystkim przychodzącym rozmowom, a firma telekomunikacyjna miała obowiązek udostępniać numery, spod których wykonywane były połączenia.

Jack McGrath chciał odesłać Dempseya do domu, żeby tam czekał na następny telefon od porywaczy.

— Używają pana jako buforu — mówił — nie ma co do tego wątpliwości. Później wyznaczą panu rolę dostarczyciela okupu. Tylko dlatego skontaktowali się z panem, a nie bezpośrednio z ojcem porwanego dziecka. Musi pan być w domu, odbierać każdy telefon i kiedy zadzwonią, utrzymać ich jak najdłużej na linii.

Theo Dempsey nie był z tego zadowolony.

— Nie mogę tak po prostu siedzieć i nic nie robić! Widział pan, w jakim stanie jest mój szef. Jeszcze chwila, a kompletnie się załamie. Przyłapałem go, jak nalewał sobie czegoś przy barku. Harry O'Brien nie wziął kropli do ust od trzech lat. Jego żona musiała wyrzucić z domu cały alkohol, na wszelki wypadek.

Sandra O'Brien trzymała się zadziwiająco dobrze. Mimo że nabrzmiałe od pokarmu piersi dawały jej się we znaki. Mimo że blizna po cesarskim cięciu bolała przy każdym ruchu. Mimo że jej serce wyrywało się do dziecka, które miała przy sobie przez zaledwie parę dni i które straciła podczas snu tak twardego, że nie słyszała, co się wokół niej dzieje.

Sandra O'Brien chciała odzyskać swoje dziecko za wszelką cenę. Dosłownie.

— Harry, musimy zapłacić ten okup — szeptała do niego siedząc na brzegu łóżka małżeńskiego w ich wspólnej sypialni próbując przemówić zrozpaczonemu mężczyźnie do rozsądku— On jest taki mały, Harry. To przecież niemowlę. Jeśli nie będziesz miał właściwej opieki, umrze, zanim policja trafi na trop porywaczy. Harry, musimy im zapłacić bez względu na to, ile

— Opadła na kolana przed mężem, chwytając go za ręce, Pa  
268

ślugałnie w oczy. Nigdy wcześniej o nic go nie prosiła. Oczy Iyriena seniora były puste i bez wyrazu. Wydawały się martwe, kiedy nic n'e mówił, tylko patrzył bezmyślnie w przestrzeń przed Harry, musimy się śpieszyć. Musimy sprowadzić nasze dziecko z powrotem do domu... — zabrakło jej słów. Była zdruzgotana, nie wyobrażała sobie dalszego życia bez dziecka, które przez dziewięć miesięcy nosiła pod sercem.

Zawołaj Theo.

Były to pierwsze mające sens słowa, jakie Harry O'Brien wypowiedział, odkąd na jego oczach porwano mu syna.

-Zawołaj tutaj Theo. On będzie wiedział, co trzeba zrobić.

Inspektor McGrath w milczeniu spoglądał, jak ochroniarz stawia ciężko kroki za Sandrą O'Brien, wspinając się po schodach. Patrzył w to samo miejsce, kiedy kwadrans później odmieniony nagle Dempsey zbiegał po stopniach. Rozpierała go energia i pragnienie czynu.

Wpadł do gabinetu O'Briena. Parę chwil potem wysłany z Beechill faks osiągnął adresata w Londynie.

Jack McGrath czuł, że dzieje się coś — coś związanego ze sprawą- o czym nikt nie raczył go poinformować.

XXXII

Godzina 17.17 Chata n poblizu Kilcullen

Gordon O'Brien dostał pierwszej kolki tuż po posiłku w południe. Można powiedzieć, że była łagodna w porównaniu z tym, co jeszcze go czekało. Mimo że przestraszony i niespokojny, make potrzebował, by go regularnie karmić, i informował o tym tak, jak umiał - płacząc z głodu mniej więcej co cztery godziny. Około dwunastej, kiedy Peggy przygotowała butelkę i jak zwykle z trudem umieściła gumowy smoczek w małej buzi, dzieciak wydał jej się dziwnie pobudzony. Rzucił główką na boki, jakby chciał wypluć smoczek. Po paru chwilach w ruch poszły wiotkie kończyny, a twarzyczka ściągnęła się w bólu. I Gordon O'Brien rozdarł się wniebogłosy.

Wrzaskom i płaczowi nie było końca. Wycieńczona Peggy Ryan złapała dziecko w ramiona i zaczęła je kołysać, chodząc od ściany do ściany. Wreszcie, po jakiejś godzinie, zmęczone niemowlę zasnęło.

Kobieta zmieniła mu pieluchę, mamrocząc przekleństwa najpierw pod nosem, a potem całkiem głośno.

Moonface przyglądał się temu z ponurą miną.

Sam Collins również.

Obaj mieli serdecznie dość zachowania Peggy. Czy nie mogła by po prostu nakarmić rozwrzeszczanego bachora, zamiast szurać bez przerwy nogami i coś do siebie bełkotać? Również powyżej uszu mieli przesiadywania w zatechłej chacie. Choć w użyciu okrągło były wszystkie możliwe źródła ciepła, w środku nie zrobiło się ani trochę cieplej. Sprawy nie polepszało wybite okie . w sypialni, przez które wpadał mroźny wiatr, i nieszczelne Wewnątrz hulały przeciągi i ziąb przenikał mężczyzn do szp

270

ci potęgując ich złość. Musieli cały czas nosić kurtki i czapki nie chcieli zamarznąć na śmierć. Jakby tego było mało, ' nface natknął się w łazience na mysz. Zaczął walić w ściany, wcząc: „Wyłaż, ty mały skurwielu!” i celując w otwór mysiej ory z pistoletu. Z ciasnej i śmierdzącej klitki wywabił go dopie-zapach jajek na bekonie, które Peggy przyrządziła na kolację. Niezła wyżerka, gotowana przez kobietę, była jak dotąd jedyną jasną stroną przedsięwzięcia.

Tommy Malone znowu zrobił sobie wycieczkę, tym razem wracając do chaty z naręczem gazet. Zdawał sobie sprawę, że nic ma sensu ukrywać przed współnikami reakcji mediów i społeczeństwa na czyn, którego się dopuścili. Prędzej czy później o wszystkim by się dowiedzieli sami, a tak, dzieląc się z nimi najświeższymi wiadomościami, miał przynajmniej możliwość zaprezentowania spraw w lepszym świetle, niż na to zasługiwały.

Kurdefelek rzucił od progu, zdejmując i zaraz z powrotem wkładając czapkę — aleśmy narozrabiali. Trąbią o nas, że hej!

Szerokim gestem rozdał przyniesione gazety; Mulliganowi trafił się „The Sunday Independent”, a Collinsowi „The Sunday Post”. Dla siebie zatrzymał „The Sunday Tribune”. Peggy została z gołymi rękami, mogąc się tylko patrzeć na tylne strony gazet ' wynikami sportowymi. Natychmiast znowu zaczęła do siebie mamrotać.

Mężczyźni pograżyli się w lekturze. Dosłownie połykali wszystko, co napisano na temat porwania, wymieniając się nieporecznymi płachtami, gdy już skończyli ze swoją. Zaśmiewali SI? do łez na rozbieżne opisy porywaczy zamieszczone w artykułach — w jednym Sama Collinsa uznano za szefa bandy, obzna-JOrntonego z materiałami wybuchowymi terrorystę z IRA rodem z hrabstwa Derry. Moonface z kolei zarobił na łatkę „bestii”, któ-rd Pobila June Morrison do

nieprzytomności, wpędzając kobietę groźną dla życia śpiączkę. Atmosfera uległa wyraźnemu różnieniu; Moonface i Collins przekomarzali się, jeden drugiego pr°Wokował do udowodnienia, że zasłużył sobie na taką, a nie opinię.

no No, Martin — zachęcał Sam — daj mi w zęby tak, że aż się Sarni nakryję. Pokaż, jaka z ciebie bestia! Cha, cha, cha!

271

Peggy Ryan nie wytrzymała.

- Jak nie zamkniesz mordy i obudzisz dzieciaka, sama • przyłożę tak, że popamiętasz! — zagroziła.

Collins popatrzył na nią z wyrzutem, a ona odwzajemniła ponure spojrzenie. Tommy Malone oderwał się od lektur i w porę zażegnał konflikt, zanim któreś zdążyło wyrzucić drugiemu krzywdę. W gruncie rzeczy wszystkich ich (bardzo martwi) stan zdrowia June

Morrison. Czegoś podobnego nie mieli w p|a. nie. Jednakże winić mogli tylko siebie: zanim bowiem opuścili Beechill, każdy z trzech mężczyzn dołożył pielęgniarce swoje żaden zaś nie zauważył, że może się podduścić kneblem.

Chociaż Peggy Ryan nie dorwała się do gazet, nie oznaczało to, że i o niej nie pisano na pierwszych stronach.

**POLICJA POSZUKUJE AMORALNEJ KOBIETY BIORĄCEJ UDZIAŁ W PORWANIU!**

**CO ZA KOBIETA PORYWA MALEŃKIE DZIECKO?**

**PORYWACZKA SUKA!!!**

— głośiły co bardziej dramatyczne nagłówki. W jednej z gazet zamieszczono zdjęcie O'Briena juniora owi niętego słynnym już na cały kraj koronkowym szalem. Grafik komputerowy dorobił na nim dla efektu parę dłoni zaciskających się na szyi niemowlęcia.

Dziennikarze jak zwykle szli na całość. Skrupuły są dobre dla pracownic opieki społecznej, mówiono, zadaniem mediów jest informować opinię publiczną o tym, co się dzieje za rogiem Taka historia nie zdarza się często, wyciskano więc z niej tyle, ile się dało.

Przecież nie było wiadomo, kiedy znów trafi się równic obiecujący temat.

Na krótki czas w chacie zapanowała cisza, przerywana ty" ko szelestem kolorowych stron gazet. Cztery osoby zgromadziły się wokół otwartego kominka, chłonąc duszące ciepło spalanego

węgla i brykietów. Moonface dość szybko znudził się czytanie'11 przydługich jak dla niego artykułów i przewrócił gazetę naosta nią

stronę, gdzie widniały wyniki angielskiej ligi i spekulacje na temat przebiegu nadchodzącego spotkania drużyn Irlandii i Anfc Iii.

Interesowało go zwłaszcza to ostatnie, gdyż miał bilet na

272

z j nie zamierzał go opuścić nawet z powodu porwania. Trzy-  
II ) kciuki, żeby wszystko poszło zgodnie z planem i okup znalazł  
III w ich rękach przed najbliższą środą.

Czytali, popijali zrobioną przez Peggy herbatę, rozmyślali zapatrzeń" w  
pł°m'enie- Tommy Malone chrząknął ze złością, kiedy  
przeczytał coś o Harrym O'Brienie, co mu się bardzo nie spodobało,  
ponieważ mogło znacznie skomplikować sprawy. Nie tak to miało  
być — pomyślał gniewnie. Był aż nadto świa-domy napięcia, jakie  
zapanowało w jego gangu. Chata okazała się za mała dla czterech  
dorosłych osób, z których każda miała własne, dość specyficzne  
przyzwyczajenia. Niemal od samego początku deptali sobie po  
odciskach. Do tego te wrzaski dzieciaka! Nawet jeśli na chwilę cichły, w  
uszach wciąż słyszeli ich echo i ciągłe dzwonienie. To  
stawało się nie do wytrzymania. Tego Malone nie przewidział. Zerknął  
spod oka na pozostałą trójkę.

Moonface jakoś się trzymał, jeśli nie liczyć incydentu z myszą. Collins  
wydawał się podenerwowany, ale wciąż nad sobą panował.

Najgorzej wyglądała Peggy. Chryste, ten dzieciak daje jej w kość —  
martwił się Tommy Malone. — Tamci też najchętniej utopiliby go w  
łyżce wody. Nie minęły dwie doby od porwania, a oni już wymiękają.  
Pochylił głowę i jeszcze raz przeczytał ten urywek, który wyprowadził go  
z równowagi. Jeśli chcemy coś wycisnąć z Harry'ego  
O'Briena, musimy działać szybko, zanim gość rozpadnie się na kawałki —  
kombinował w myślach Tommy. — Trzeba nim potrząsnąć,  
pokazać, że powinien jak najszybciej zgromadzić Pieniądze. Jak to  
wszystko dłużej potrwa, może nie być z niego żadnego pożytku, a i  
my długo tutaj nie pociągniemy. Nadszedł Czas, żeby rozpocząć drugi  
etap.

Znów powiódł wzrokiem po współnikach i uznał, że tym razem  
wychodząc, zabierze ze sobą Collinsa, choć pierwotnie zaperzał robić  
wszystkie wycieczki z Moonface'em. Na jego oko am był na skraju  
wytrzymałości, potrzebował oddechu poza hatą i poza zasięgiem  
krzyków rozdarciucha.

Dobra — Malone przerwał milczenie — czas przykręcić lni śrubę.  
rzy głowy obróciły się w jego stronę.

— Zdjęcia - wyjaśnił krótko. — Martin, włóż kominjarkę. Podrzucimy parę fotek.

Peggy nie była zachwycona, że obudzą dziecko, robiąc zdjęcia, ale Malone uparł się, że najlepsze fotografie wyjdą wtedy, kiedy mały śpi. Na pewno nie zależało mu na tym, żeby w świat poszły zdjęcia z zapłakany Gordonem O'Brienem. Sytuacja i tak powoli zaczęła wymykać się spod kontroli. Wystarczyłoby że gazety zamieściłyby fotografię drącego się bachora, i byłiby ugotowani. Złapani staliby się ofiarami linczu.

Moonface posłusznie naciągnął kominjarkę na wielką jak donica głowę. Peggy Ryan wyjęła Gordona z przenośnej kołyski jakby był nie żywym dzieckiem, ale dziełem sztuki wyrzniętym w kryształ, i podała go Martinowi. Niemowlę nie obudziło się. kopnęło tylko w beciku, zacisnęło piąstki i skrzywiwszy się komicznie, kichnęło. Tommy ustawił się i błysnął fleszem. Pstryk. Pierwsze zdjęcie zrobione. Odczekali chwilę, aż wysunęło się w całości z polaroidu. Przedstawiało dziecko w ramionach zamaskowanego mężczyzny. Obok główki malucha widniała winieta niedzielного wydania „The Sunday Post”, trzymanego zza kadru przez Sama Collinsa. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, kiedy zrobiono zdjęcie.

— Trzeba by go owinać szalem — wtrąciła się Peggy. — Tak wygląda jak każde inne dziecko, ale jak będzie owinięty w tą całą koronkę, wszyscy od razu go rozpoznają.

Malone, Collins i Mulligan pokręcili z podziwu głowami. Brawo, Peggy pochwalił ją Tommy. — Masz łeb jak sklep. Tak właśnie zrobimy — powiedział i zabrał się do strzelania następnych fotek.

Po chwili miał razem cztery ujęcia, z czego na trzech porwane dziecko przykryte było słynnym koronkowym szalem. Mooniac-świetnie się prezentował w roli bezwzględnego porywacza, choć ciężko widać było tylko jego grube jak pień drzewa ramiona i twarz zakrytą budzącą respekt czarną kominjarką. Pod czaszką krążyły mu się różne myśli, spośród których najwyraźniejsza była o środowym meczu.

Malone dał znak Collinsowi, że wychodzą. jLJB

Hej, Tommy, mówiłeś, że ja będę rozwoził zdjęcia — "skarżył się Moonface.

Od jutra — zgasił go Malone. - Jutro zaczniemy zasyłać Dublin zdjęciami tego bękarta. Będziesz miał tyle ruchu, P-N j odechce. W

życiu, kurdefelek, nie wsiądziesz znowu na ci- Ale dzisiaj idzie ze mną Sam. Potrzebuje tego. Jasne?

r0 słyszysz, Martin? Potrzebuję stąd wyjść, Tommy ma ra-  
. Ciężki północny akcent boleśnie świdrował uszy Mulliga-  
aZmywamy się raz-dwa.

Okutali się ciepło i wgramolili do volva, Malone na siedzenie oasażera, żeby mógł pomyśleć, a Collins za kierownicę, żeby nareszcie czymś zająć ręce. Wycofywał wóz ostrożnie, uważając na zdradliwą ciekłą warstwę lodu.

Brian O'Callaghan zauważył reflektory samochodu, patrząc przez okno swojej chaty. Wciąż tam są - - pomyślał nie po raz pierwszy na przestrzeni ostatnich paru dni. — Ciekawe, kto to?

Wzruszył ramionami i ponownie ujął gazetę, wracając do przerwanej lektury. Właściwie nie było o czym czytać, jeśli nie liczyć sprawy tego porwania i morderstwa w dublińskim szpitalu. Dla zamordowanej dziewczyny niewiele mógł zrobić, ale za bezpieczny powrót

Gordona O'Briena do domu zmówił w duchu modlitwę. Potem wciągnął powietrze przez sztuczne zęby i zajął się wynikami ligi.

Malone postanowił podrzucić wszystkie cztery zdjęcia w Dublinie. Im dalej od Kilcullen, tym lepiej — uznał — to zmy-" Policję.

Jedno wsunął do skrzynki pocztowej przy Gardiner reet, skąd miano wybierać listy dopiero następnego dnia. Dru-trafiło przez szparę w drzwiach do redakcji „The Sunday Post” n'eopodał Burgh Ouay, trzecie tą samą drogą znalazło się na podrze pubu w Clonskeagh.

Ostatnie po długim namyśle umieścił zewnętrznej skrytce pocztowej na fasadzie O'Brien Corpora-tl0n Przy Dawson Street.

-j, Uporawszy się z fotografiami, kazał Collinsowi przejechać do laght, gdzie przy ryneczku znalazł czynną budkę telefoniczną.

a'ntąd najpierw zadzwonił na specjalną linię policyjną i wyło-n Wszystko dokładnie tępawemu dyżurnemu, a potem wybrał Theo

Dempseya.

275

— Macie czas do jutra — rzucił do słuchawki, ledwie De sey odebrał. —

Jeśli chcecie zobaczyć dzieciaka żywego, zacz -cie się już

żegnać z tą kasą. Zadzwonię jutro i powiem, co dal

Kiedy się rozłączał, mężczyzna po drugiej stronie linii wci nął ze świstem powietrze.

Podczas gdy volvo toczyło się z powrotem w stronę Kilcullen wozy



patrolowe z piskiem opon zajeżdżały pod cztery wskazane lokalizacje, Jack McGrath zaś po raz kolejny przesłuchiwał taśm-z nagranych słowami Malone'a.

A Gordon O'Brien ile sił w małych płucach wrzeszczał, informując świat o strasznej kolce, która go właśnie dopadła.

Peggy znów nabijała kilometry, przemierzając niewielką przestrzeń i próbując uspokoić zapłakane dziecko. Mamrotała przy tym do siebie, jakby ćwiczyła przed wystąpieniem w konkursie krasomówczym. Moonface wetknął sobie w uszy słuchawki od walkmana i słuchał starej płyty U2. Dłubał przy tym w nosie tak zaciekle jak nigdy; dokopał się do zadziwiających zielonych glutów, a za którymś razem, kiedy wyjął z dziurki od nosa pół palca, zauważył, że paznokieć jest czerwony od krwi.

W Beechill Harry O'Brien siedział milczący i nieruchomy przy drzwiach wejściowych. Zajął to miejsce po tym, jak dowiedział się, że porywacze skontaktowali się po raz drugi.

— Czekam na mojego syna powiedział umundurowanemu policjantowi, który zaniepokojony podszedł zapytać, czy wszystko w porządku. Funkcjonariusz uznał, że nie wszystko jest w porządku, i przystawił sobie krzesło, żeby zgodnie z rozkazem rrucc oko na pana O'Briena.

Kiedy jej mąż siedział jak posąg na dole, w sypialni Sarni"1 O'Brien dawała się pocieszać młodej policjantce, która sama miała małe dziecko i tak się o nie martwiła, że co godzinę wydz'1 niała do domu z pytaniem, jak się bobas czuje. A w całym kraju ludzie niemal nie odchodziłi od odbiornik

radiowych i telewizyjnych, wysłuchując każdego wydania wia mości, które właściwie się nie zmieniały. Większość nie P0'1 ła już patrzeć na puszczane w kółko ujęcia. Niektórzy wciąż

276

. rZyii w to, co się wydarzyło. Wszyscy liczyli, że lada moment VV'stąpi przełom albo że obudzą się z koszmarne go snu. 1,3  
biznesmeni zasypywali swoje macierzyste firmy na kontyście i za oceanem faksami z prośbą o natychmiastowe przenie-jenie po tym' 'o'1 żony kategorycznie odmówiły pozostania \* Irlandii choćby dnia dłużej. W branży ochroniarskiej zapanowało poruszenie, gdy na gwałt szukano nowych bodyguardów, starych zaś sprawdzano na wszystkie sposoby w obawie, że szykują się do naśladowczego porwania.

Godzina 20.27

Mamusi, poczytasz mi ją? — spytał Rory, tuląc do piersi książeczkę z jego ulubionej serii, będącą przekupstwem za to, że prawie cały dzień spędziła poza domem. Wręczyła mu ją już w drzwiach. Jej ojciec wymownie popatrzył na zegar, kiedy stanęła w progu. Padała z nóg, a jeszcze czekało ją doprowadzenie domu do porządku, w takim był stanie. Zabawki leżały rozrzucone w każdym pokoju, nie dając przejść, kanapę zaścierały dziecięce rysowanki, brudząc tapicerkę. Wyglądało na to, że jej syn doskonale się bawił z dziadkiem. Rory, daj spokój. Właśnie wróciłam z pracy. Jestem wykończona, głodna i nic mi się nie chce.

Kate miała mnóstwo powodów, żeby tak się czuć. Od policyjnych prawników, postawionych na nogi pomimo niedzieli, dowiedziała się, że nie ma możliwości, aby kogoś zmusić do wygnania badania w kierunku wirusa HIV. Jeśli miała kogoś na Oku, najpierw powinna dać mu czas na poradzenie się swojego advokata. Jakiegokolwiek próby nacisku, ostrzegano ją, skończą się ponownym murem milczenia i odmów wedle zasady „a właśnie e zrobię ci na złość”.

• łapadła się w fotel, gotowa w każdej chwili się rozplakać, faraz miała na kolanach Rory'ego. Uśmiechnęła się krzywo, potkała syna po policzku, po włosach, pocałowała go w czoło.

277

Dopiero potem zsunęła przemoczone buty i zdjęła wilg0tne czochy, rzucając wszystko na podłogę.

— Cześć, skarbie — powiedziała, tłumiąc łzy.

Rory wyczuł, że matka jest smutna. Włożył kciuk do bu wyciągnął zza bluzy piżamy Teda i przejechał nim po twar ' Kate. Pocałowała go znowu, próbując pozbyć się sprzed ocz| widoku jego martwego ojca, do którego robił się coraz bardi. podobny.

— Czy Rory już jadł? — zapytała ojca, który zniknął w kuch ni, żeby przygotować dla niej coś do jedzenia. Starszy mężczyzna odkrzyknął „tak!” i dalej smażył jajecznicę na cebulce. Kate poczuła ssanie w żołądku, któremu towarzyszył donośny gulgoczący dźwięk. Rory zachichotał i przytulił się do niej. Wkrótce śmiali się oboje, a Kate ścisła syna coraz mocniej.

Mamusi, to boli — zaprotestował chłopiec w pewnym momencie.

Kątem oka widziała niedzielną gazetę, odcinającą kupony od porwania 0"Briena juniora. Nie mogąc się powstrzymać, Kate przyciągnęła chłopca do siebie, nie bacząc, że się wyrywa. Wypuściła go, dopiero gdy

na stole pojawił się talerz z gorącą jajecznicą. Pochłonęła całą porcję w okamgnieniu, po czym znów złapała Rory'ego, spojrzeniem dziękując ojcu za pomoc w opiece nad chłopcem i posiłek.

Kiedy wrócił z kuchni po tym, jak już pozmywał naczynia, zastał ich wtulonych w siebie i twardo śpiących mimo niewygodnej pozycji.

Popatrzył na córkę i wnuka z rozczeniem. Pijąc herbatę, spoglądał na nich raz po raz, zastanawiając się, jak długo jeszcze Kate wytrzyma, zanim coś w niej pęknie.

— Jezu Przenajświętszy, czym ta dziewczyna zasłużyła sobie

na to, co ją spotkało?...

Stojąc przed lustrem w swojej domowej siłowni w mieszkań- numer dwadzieścia trzy apartamentowca zwanego „The ' Dean Lynch snuł plany, co jeszcze spotka Kate Hamilton. " trzymał walthera z pustym magazynkiem, bawiając się kur i naciskając spust, tak że raz po raz rozlegał się cichy trzask 'S cy. Robił to od godziny, przyzwyczajając się do dotyku me

278

żaru broni, „wyczuwając" pistolet. Był gotów, aby rozpocząć etap. Od dawna nie mógł się go doczekać. Opuścił wolno pistolet i przyjrzał się swemu ciału. Vciąż tracę na wadze — zauważył. — John ma rację, lohn m i a ł rację — poprawił się zaraz i podjął zabawę wal-

therem.

XXXIII

Godzina 22.05 Kino Savoy przy O'Connell Street

Dean Lynch stał w kolejce, na kilometr wyróżniając się z tłumu ludzi za sprawą wściekle seledynowego dresu, kanarkowego golfa pod rozpiętą sportową bluzą, czerwonej bejsbolowej czapecki z napisem CHICAGO BEARS nad daszkiem, śnieżnobiałych adidasów i pomarańczowych rękawiczek bez palców. Całość garderoby sprezentował sobie, czekając na samolot na lotnisku Heathrow; puścił wtedy w obieg większość sumy przeznaczanej dla Johna. Oprócz ubrań zakupił jeszcze sportową torbę, całą czarną, jeśli nie liczyć białego logo firmy. Torba ta spoczywała teraz u jego stóp. Przesuwając się o jedno miejsce w kolejce, nie podnosił jej, tylko szurał nogą po podłodze, jakby bagaż nie zawierał niczego istotnego. Tymczasem wewnątrz tkwił jego zestaw do charakteryzacji i jednolicie czarny strój, w który zamierzał niebawem się przebrać. Poza tym

znajdowały się tam dwie pary chirurgicznych rękawiczek, jeden pistolet marki Walther i prawie dwadzieścia sztuk nabojów oraz — starannie zawinięty w ręcznik — spoiwy młotek, w który Lynch zaopatrzył się w jednym z licznych samoobsługowych sklepów z narzędziami, przy okazji wybierając te najmocniejszą żyłkę, taką, jakiej używa się czasem do roz"-szania prania. Kasjerka pomyślała, że klient musi mieć naprawV ciasną łazienkę, skoro kupuje tylko metr dwadzieścia linki-wiedziała, że jej przeznaczenie jest zupełnie inne. Znalazłszy się w domu, Lynch zawiązał na jednym końcu pętlę, przez k przeciągnął drugi koniec linki, tak że w efekcie tworzyła 'aS z łatwością dające się przełożyć przez ludzką głowę i zacisnąć n

szyi.

280

I

foliał ze sobajeszcze coś — coś, z czego był niezmiernie dum- j Vjno Savoy od paru dni wyświetlało nocny maraton filmowy więcony znanemu amerykańskiemu reżyserowi, Francisowi fordowi Coppoli. Tego dnia leciały kolejno wszystkie trzy części Ojca chrzestnego". Przy okienku kasowym kłębił się tłum tych, którzy w ostatniej chwili zdecydowali się spędzić wieczór poza domem. Dean Lynch uśmiechał się do wszystkich jak kto głupi, szczerząc zęby i kiwając głową. Nie mogli go nie zauważyć.

Strasznie mi przykro — oznajmił, płacąc za bilet — ale nie mam przy sobie drobnych. — Podał kasjerowi najgrubszy używany w zwykłym obiegu banknot, z czego należała mu się kupa reszty. Kasjer wybałuszył oczy. Lynch uśmiechnął się głupawo, odsuwając czapeczkę na tył głowy, żeby mężczyzna mógł mu się dobrze przyjrzeć. Zapamiętasz mnie, prawda? Na wypadek gdyby cię pytali, czy mnie tu dzisiaj widziałeś?...

— Może ma pan chociaż pół stówki? — westchnął kasjer z rozdrażnieniem.

Przykro mi, ale nie. Wypstrykałem się ze wszystkich drobnych w kawiarni. Stojący za nim ludzie jęli utyskiwać. Pajac w odblaskowym mundurku zaczął wszystkich głośno przeproszać. Posypało się parę przekleństw, ludzie szeptali między sobą, nieomal wytykając go palcami. Kasjer nie krył swojej pogardy. Przez kilka dobrych chwil oczy wszystkich zwrócone były tylko na Deana Lyncha.

W końcu udało mu się kupić bilet i uzyskać resztę. Rzucając n;i boki

przepraszające spojrzenia, odszedł od okienka, ciągnąc torbę za długie ucho, i z mozołem ją układać wydane banknoty w portfelu. Tymczasem przy kasie pojawili się ostatni chętni na filmową ucztę. Lynch przestał się uśmiechać, pochylił głowę, Podniósł z ziemi torbę i udał się w stronę toalet. W środku nikogo nie było.

Miał szczęście.

Jak zawsze zresztą.

Zanim zaczęto wpuszczać widzów na salę kinową, do której na dwie szerokie klatki schodowe położone po obu stronach wejścia, Dean Lynch był gotów do akcji. Idiotyczne kolorowe przyciski zniknęły w czarnej torbie. Do ustępu wszedł jakiś głupi łany za papugę, a wyszedł stamtąd spokojny drobny mężczyzna.

281  
czarna ubrany cały na czarno. Stał przy umywalkach i przejrzał się w lustrze. Potem opuścił toaletę, upewniając się, że nikt go nie widzi. W ciągu paru sekund znalazł się z powrotem na O'Connell Street. Szedł z opuszczoną głową, mijając późnych przechodniów. Nikt nie zwracał uwagi na małego, chudego człowieka w czerni, którego dusza była brudna, a intencje nieczyste.

Żwawo osiągnął róg z Eccles Street, gdzie zaparkował swoje bmw, i nie śpiesząc się, sprawdził, czy włączył jak trzeba alarm. Alarmy nie zadziałały. Zadowolony z inspekcji wezwał taksówkę.

Przyciszonym głosem poprosił, żeby go zawieźć do kliniki w Blackrock. Podzielił się z taksówkarzem informacją, że jego bliska znajoma przeszła właśnie operację usunięcia wyrostka robaczkowego. To dało kierowcy pretekst do ciągnięcia przez całą drogę nudnego monologu na temat wszystkich operacji i zabiegów, jakie przeszedł on sam i członkowie jego bliższej i dalszej rodziny. Nie szczędził przy tym krwawych szczegółów. Lynch słuchał go jednym uchem, wtrącając od czasu do czasu „uhm” i „o!”, w duchu żałując, że ominie go scena z „Ojca chrzestnego”, w której Luca Brazzi zostaje uduszony przez zaczajonego sprawcę. Mijali tereny Royal Dublin Society, gdy w myślach odtwarzał tę właśnie scenę.

Ciekawe, czy teraz będzie tak samo?

Spojrzał na zegarek.

Około wpół do dwunastej, czy tak właśnie będzie? Czy jej oczy wyjdą z orbit?

Po drodze utknęli w korku spowodowanym przez blokadę policyjną ustawioną w związku z porwaniem Gordona O'Brien. Widząc, że w

taksówce jest tylko samotny mężczyzna, policjan' machnął na kierowcę, kazać mu jechać dalej i nie tamować r chu. Lynch z ulgą wypuścił powietrze. Taksówkarz zmienił p') tę i zaczął narzekać na stan państwa, w którym dzieją się tak'e rzeczy.

Kto to widział porywać małe dzieci? — wyrzekał, rząd jest do niczego, skoro nie potrafi sobie z czymś takim P°" dzić. Krowy im pasać, a nie rządzić!

Lynch ignorował zapalczywe komentarze, myślami bła całkiem gdzie indziej. Nie dotarło do jego świadomości że cały naród drży w obawie o życie dziecka, które nie kto

282

I

Io on sam sprowadził na świat. Nazwisko pacjentki jakoś nie tkwil° mu w pamięci. Miał inne sprawy na głowie. Koszula bliższa ciału, jak to powiadają.

S Wysiadł pod kliniką, zapłacił taksówkarzowi i ruszył w stro-; wejścia, kątem oka obserwując oddalający się samochód. Gdy zyskał pewność, że taksówkarz już nie może go widzieć, sta-na| okręcił się wokół własnej osi i szybkim krokiem zaczął iść wzdłuż Rock Road, kierując się ku budynkowi ochrzczoneму Hawthorns", gdzie mieszkała siostra Sara Higgins. Było naprawdę zimno i z każdym jego oddechem unosił się obłoczek pary. W powietrzu rozchodził się ostry zapach palącego się torfu. Dean Lynch wsunął głowę w ramiona i zakrył nos szalikiem.

Obejrzał sobie ten apartamentowiec już wcześniej. Był to dość stary imponujący budynek jednorodzinny, który odremontowano i przekształcono w mieszkania na wynajem. Leżał w pewnym oddaleniu od ruchliwej Rock Road. Na tyłach znajdował się parking z dokładnie taką liczbą miejsc parkingowych, ile było mieszkań. Pomędzy wyrysowanymi liniami wymalowano farbą cyfry od jeden do osiem. Boksy numer siedem i osiem oddzielał od pozostałych gruby pień wiekowego kasztanowca, którego gęste gałęzie nachylały się nad wylanym asfaltem parkingiem. Oczywiście o tej porze roku na gałęziach nie było ani jednego liścia; pokrywał je tylko szron. Pięciokrotnie zadzwonił do mieszkania siostry Higgins, ko-rystając z numeru telefonu, który znalazł w księdze dyżurów. Zawsze po godzinie drugiej, kiedy to kobieta musiała wyjść z domu, jeśli nie chciała spóźnić się do pracy. Ani razu nikt nie odebrał.

Dmuchając na zimne. Lynch zaszedł teraz do pubu Moo-neya, znalazł



Spierdalać stąd! — wrzasnął w myślach. — Wypierdalac. to już! ijj .  
Para ani myślała się zabierać. Mężczyzna przygwoździł 1 białe, tak że  
niemal leżała na masce samochodu. Rękoma 0, gdzieś pod jej  
płaszczem. Sądząc ze wzmagających się brał się do jej stanika.

Zdesperowany Lynch sięgnął po walthera. II

Niewykluczone — uśmiechnął się do własnych my<sup>®</sup>1 "

284

dnak będę musiał go użyć... •|Ł ,le właśnie wtedy kobieta jakimś cudem  
oswobodziła się uVodzicielskim, zapraszającym śmiechem  
udała, że ucieka. Mężczyzna dopadł ją w okamgnieniu. Para zatoczyła się i  
przytu-ac się do siebie, chwiejnie ruszyła w stronę  
tylnego wejścia do budynku- Wszystko to trwało nie więcej niż parę  
minut.

Dean Lynch odprężył się. Widząc, jak drzwi otwierają się, nołykają  
zakochaną parę, po czym na powrót zamykają, z wes-tchnieniem  
odłożył pistolet na jego miejsce w torbie. Rozejrzał się czujnie,  
sprawdzając, czy na parkingu nie pojawił się ktoś jeszcze. Na  
szczęście nie było żadnych więcej proszących się o kłopoty intruzów.

Lynch począł się denerwować. Było zimno jak cholera, mróz zdawał się  
przenikać go na wskroś, sięgając kości. Ponownie sprawdził  
godzinę; było siedem minut po wpół do dwunastej.

Och, Saro — wzdrygnął się z zimna Lynch - gdzie u licha jesteś?

Nagle na parkingu zrobiło się ciut jaśniej. Lynch poderwał głowę — akurat  
na czas, by zobaczyć, jak w jednym z okien zapala się  
światło. W podświetlonym kwadracie mignęła mu czująca się para, zaraz  
jednak mężczyzna zaciągnął zasłony.

Niemal w tej samej chwili, kiedy jaskrawe światło suiiitowej lampy zgasło  
za cienkimi zasłonkami, parking zalał strumień halogenowej  
jasności. Na parking wjechała mazda 626, za której kierownicą siedziała  
siostra Sara Higgins.

Auto wtoczyło się powoli na miejsce parkingowe numer sie-<sup>®</sup>em, stając w  
bezpośredniej bliskości kasztanowca. Silnik zgasł ' r|ów  
powróciła ciemność, w której Lynch czuł się najlepiej.

K'ział, jak kobieta zbiera z przedniego siedzenia swoje rzeczy, P<sup>o</sup> czym  
otwiera drzwi. Najpierw pokazała się jedna stopa obuta w  
krótki kozaczek, dołączona do długiej, bardzo długiej, oble-czoiiiej białą  
pończochą nogi. Po chwili dołączyła do niej druga Potem z  
wnętrza auta wyłoniła się reszta pielęgniarce po ku UrZe' wc'3ż odzianej w  
służbowy biały strój wystający spod lQczki trzy



czwarte, ciemnej i ciepłej sądząc po grubym wa- j aniu- Kobieta odwróciła się, żeby zamknąć drzwi samochodu sC2yc alarm. Światła mazdy rozbłysły dwukrotnie, dał się sły- c cichy pisk podobny do skomlenia szczeniaka. Sara Higgins

285

odkaszlnęła, gdy mroźne nocne powietrze dostało się do jej i szczelniej okryła się kurtką.

Zacząła iść w stronę wejścia do budynku, lecz już p0 krokach przystanąła, nasłuchując.

Gdzieś za nią trzasnęła łamana gałązka, po czym coś z leściło.

Kwadrans później Dean Lynch siedział w taksówce wiozącej go do centrum Dublina. Złapał ją w połowie Rock Road, dał kierowcy instrukcje przez opuszczone do połowy okno i dopiero wtedy wsunął na tylną kanapę swoją czarną torbę, by zaraz zająć miejsce tuż obok niej. Taksówkarzowi nie przeszkadzało, że klient nic nie mówi. To był jego ostatni kurs tej nocy, nasłuchiwał się za swoje.

Marzy! o tym, by wreszcie znaleźć się w domu i zaznać trochę ciszy z dala od stukniętych pasażerów zadreczających go swoimi problemami.

Lynch dotar! pod kino Savoy na czas, by wmieszać się w tłum ludzi wychodzących z ostatniego seansu, jeśli nie liczyć maratonu, który wciąż trwał. Przepchał się do toalet i tam ponownie się przebrał. Jakiś czas później wychynął na korytarz ubrany w swoje odblaskowe wdzianko, trzymając czarną torbę za plecami. Salutując do daszka czapeczki bejsbolowej, pożegnał się wylewnie z bileterem stojącym przy drugim ciągu schodów — nie tym samym, który go wpuszczał.

- Wspaniały film! — zawołał z entuzjazmem.

Bileter uśmiechnął się kwaśno. Od stania bolały go nogi, a czekało go jeszcze trochę pracy, zanim będzie mógł pójść do domu.

- Pałuj się — mruknął pod nosem - kolorowy pajacu.

Lynch zmierzał już w stronę swojego bmw, by po chwili jechać do Ballsbridge. Zatrzymał się kilkakrotnie w ciemnych zaułkaC żeby pozbyć się obciążających go dowodów.

- Świetnie się spisałeś, Deano — powiedział do siebie, zer kając we wsteczne lusterko. — Zasłużyłeś sobie na odpoczn

DZIEŃ ÓSMY

XXXIV

Poniedziałek, 17 lutego, godzina 05.17

Zaspałaś — pomyślała Kate, kiedy wypłynęła ze stanu nieświadomości z powodu wiercenia się Rory ego. Chłopiec wtulił się mocniej w jej ciało, rączką objął ją za szyję, odwracając jej głowę tak, że mógł ją dobrze widzieć. Zadowolony, że ma matkę koło siebie, wetknął kciuk do buzi, nie wypuszczając Teda z drugiej ręki. Przez chwilę się nie ruszał. Kate zdawało się, że odpływa znowu w sen, kiedy Rory zapytał: i — Mamusiu, mogę dostać pieska? Kate jęknęła i odwróciła się do niego plecami. Spij, Rory. Jest jeszcze bardzo wcześnie. Spij... W Kilcullen też było bardzo wcześnie, ale w chacie nikt nie spał. Nawet Gordon O'Brien, mimo że niemowlęta potrafią przespać większą część doby, również miał szeroko otwarte oczy. Pozwolił się nakarmić tuż po północy, ale już cztery godziny później, Składnie o czwartej czterdzieści siedem, co Peggy stwierdziła Patrzając na zegarek, zaczął płakać. Butelka była gotowa w ciągu Paru minut, ale tym razem panaceum na płacz w postaci mleka n'e Pomogło. Dziecko znowu dostało kolki, jeszcze boleśniejszej niż poprzednio. Gordon wypluł smoczek, żeby móc nabrać po-letrza w płuca, i zaczął się drzeć. Kopał w beciku jak szalony, Prostowując nóżki w kolanach i zaciskając maleńkie dłonie Pestki. Tak oznajmiał światu, że cierpi. "" Słodki Jezu - poskarżyła się niebiosom Peggy — znowu samo...

287

Wzięła dziecko na ręce i zaczęła je kołysać, na przemian rocząc słowa uspokojenia i przekleństwa. Machała ramionami wiatrak, to unosząc Gordona, to go opuszczając, i przerywając huśtawkę tylko po to, by pomasać mu brzusek, który nigdy, jej wydawał się nienaturalnie twardy i napięty. Od czasu do czasu opierała dziecko sobie na piersi i poklepywała je po plecach Nic ze starych sztuczek nie działało. Dzieciak darł się tak sam jak przedtem. Jego donośne krzyki odbijały się echem od ścian wsączały w wypełnienie poduszek pod głowami Martina, Sama i Tommy'ego, dudniły mężczyznom pod czaszkami. Wszyscy trzej zatkali sobie dłońmi uszy w naiwnej wierze, iż to pomoże Jak gdyby cokolwiek mogło zagłuszyć płacz cierpiącego na kolkę niemowlęcia! W pewnej chwili nie mieli wyjścia, jak tylko wysunąć nosy ze śpiworów i otworzyć jedno oko. Peggy weszła do pomieszczenia, w którym spali, i ryknęła: — Niech go ktoś ode mnie zabierze, zanim go zatłukę!

Jakoś nie znalazł się chętny.

Ale nikt już nie potrafił rzucić się w objęcia Morfeusza. Wszyscy syczeli ze złości, wpadali na siebie i patrzyli spode łba, a

przekleństwom nie było końca. Collins siedział przy stole, nerwowo obracając w palcach swój koleczek i zastanawiając się, jaki będzie finał tego wszystkiego. Moonface uciekł do łazienki i zamknął za sobą wypaczone drzwi. Przypomniawszy sobie o mysiej dziurze, zaczął w nią kopać czubkiem buta.

— Wychodź, skurwielu... No dalej, wyjdź stamtąd, to pogadamy!...

Peggy Ryan przeszła w głąb chaty, żeby uniknąć rzucany w jej stronę nieprzyjemnych spojrzeń, i bezskutecznie próbowała uspokoić dziecko. Uchyliła nawet tylne drzwi, żeby hałas w srogu chaty był mniejszy. Gdyby nie to, że niemal natychmiast owo ją lodowate powietrze, byłaby odłożyła bachora gdzieś i ruszyła przed siebie, dokąd oczy poniosą. Mogłaby nawet zrygnąć ze swojej działki, byleby tylko ten koszmar wreszcie skończył.

— Tommy? — zaczął Moonface, opuściwszy łazienkę i stawiając w spokoju jej nielegalnego lokatora. — Może pójdźmy sobie odpuścić i zwrócić tego zafajdanego gnojka, co-uważasz?

288

On był zdania, że łatwiej byłoby napaść w ciągu jednej nocy i,] tuzina banków i je obrabować, niż zajmować się roz-n" Szczanym dzieckiem, które nie pozwalało im zmrużyć oka. J r(j na bank — czysta robota, szybkie pieniądze i wielka satys-'.ja kiedy wreszcie człowiek zabaluje. Tak to widział Martin wu||jiran. Porwanie z każdą godziną podobało mu się coraz mniej, że dał się namówić na udział w nim.

Collins przestał maltretować ucho i je nadstawił, ciekaw, jak odpowie Malone.

Tommy pokręcił głową.

— Nie, Martin. Nie możemy się teraz wycofać. Zbyt głęboko w to wdepnęliśmy. Czapa grozi nam tak czy inaczej. Chyba więc lepiej dociągnąć sprawę do końca i coś z tego mieć, kurdefelek, niż grzecznie podnieść rączki do góry i przeprosić.

Moonface wzruszył ramionami. Czuł się paskudnie. Mniej więcej tak paskudnie, jak wyglądał — czyli bardzo. Coś mu mówiło, że to wszystko może potrwać jeszcze z tydzień, a przecież w środę był ten mecz. Dosiadł się do Collinsa tkwiącego na posterunku przy stole zastawionym brudnymi naczyniami, w których w resztkach jedzenia

pływały niedopałki papierosów. Wszędzie pełno było popiołu. Moonface wyciągnął rękę, podniósł do nosa otwarty karton z mlekiem i skrzywił się. Mleko zdążyło skwaśnieć.

Ale coś trzeba zrobić, Tommy — odezwał się milcząco do 'Ad Sam Collins. — Ten mały gnojek nas wykończy. Gdyby był choć trochę starszy, oberwałby i byłby spokój, ale tak? — Głos Wu drżał, kiedy mówił, palcami znów bezwiednie miętosił kółko w uchu. — Drze się na okrągło...

Jak na zawołanie z tyłu chaty dobiegł donośny wrzask kiecka, którym zdesperowana Peggy potrząsnęła. Pokłady jej lerpliwości — niezbyt zasobne, trzeba przyznać — wyczerpały SI? doszczętnie. W potoku słów, które mamrotała, były już same ekleństwa. Dziecko jakby to wyczuwało i płakało coraz głośniej domagając się przyzwoitego traktowania i opieki z prawego zdarzenia. Peggy ryknęła niczym ranna bawolica i...! rzyła dziecko. Na jego twarzy pojawiło się zdumienie. Gorki"1 O'Brien, uderzony po raz pierwszy w życiu, jeśli nie liczyć aPsa, którego zebrał na sali porodowej i którego właściwie

289  
nie pamiętał, zachłysnął się, po czym rozdarł z jeszcze więsłą. Tym razem rozpaczliwie wołał pomocy.

Peggy Ryan zwinęła dłoń w pięść i przymierzyła się do ko|nego uderzenia, ale powstrzymała się w pół ruchu, widząc nr gładającego jej się Malone'a.

Odlóż dzieciaka do kołyski. Peggy - powiedział. — p0 zwól mu się wypłakać.

Peggy postąpiła, jak jej kazano — z niejaką ulgą pozbywa-jąc się odpowiedzialności choć na chwilę. Przechodząc koło Tommy'ego, unikała jego wyraźnie zaniepokojonego wzroku.

Tommy Malone zdał sobie sprawę, że nie może być pewien zakończenia. Jego gang tracił ducha. Trzeba było przyśpieszyć akcje z podrzucaniem kolejnych fotek. Wywrzeć nacisk na Harry'ego O'Briena. Im szybciej dostaniemy pieniądze, tym lepiej dla wszystkich — pomyślał.

W Beechill Harry O'Brien czynił przygotowania, aby przekazać porywaczom pieniądze. Po ich drugim telefonie zrozumiał, że bandyci są gotowi posunąć się do ostateczności, jeśli ich żądania nie zostaną spełnione, i dlatego wspólnie z żoną podjął decyzję, aby zapłacić okup. Jack McGrath prosił, by Sandra wystąpiła w telewizji z płaczliwym apelem do przestępców o uwolnienie jej dziecka,

ale O'Brienowie odmówili. Harry uznał, że przyszedł czas, aby zrobić użytek ze swoich pieniędzy, i skontaktował się z przedstawicielem angielskiej firmy ubezpieczeniowej, w której wykupił polisę na wypadek porwania. Z początku na dokumentach widniało tylko jego imię i nazwisko, do którego — po ty111 jak się ponownie ożenił — dopisano imię jego drugiej żony o'aZ — na parę miesięcy przed rozwiązaniem — także imię jego ni narodzonego jeszcze syna. Wtedy wydawało im się to śmiesz" — umieszczając na polisie ubezpieczeniowej dane płodu. Je nakże jak się okazało, Harry nie mógł postąpić roztropniej. to żartowali sobie z tego.

Chryste, Harry — powiedziała któregoś ranka Sandra-gdy leżeli w łóżku i przyglądali się jej nabrzmiątemu brzuchu w który od środka kopał ich przyszły syn. Dziecko jeszcze

290

et nie urodziło, a ty już je ubezpieczasz, jak gdyby ktoś mógł porwać beze mnie.

Je Wiem, wiem — odpowiedział wtedy Harry. — Być może stem przesadnie ostrożny, ale chcę, żeby polisa obejmowała tak-- jego. i t0 począwszy od godziny zero. — Przyłożył dłonie do wypukłości, wyczuwając kopnięcia, dziwiąc się tajemnicy życia.

Dzięki temu Gordon O'Brien był ubezpieczony w chwili porwania.

A teraz przyszedł czas, by spieniężyć polisę.

Godzina 07.27

Wyjątkowy czas.

Kate uwielbiała te chwile, kiedy budziła się przed Rorym i wciąż było na tyle wcześnie, że nie musiała śpieszyć się do pracy.

Leżała bez ruchu, patrząc na syna, słuchając jego oddechu, głaszcząc go po głowie, zdumiewając się tajemnicą życia i śmierci.

Wracała pamięcią do dnia, w którym wydała chłopca na świat i po raz pierwszy zobaczyła jego śmiesznie pomarszczoną twarzyczkę, usłyszała jego płacz, poczuła jego ciało. Nie mogła wprost uwierzyć, jak pojawienie się Rory'ego zmieniło jej życie, zmieniło ją.

Nie była już sama. Miała dla kogo żyć. Tego ranka także zachwycała się istnieniem swojego syna i chciała, aby ta chwila trwała jak najdłużej. Niestety wzywały ją obowiązki. Potrząsnęła delikatnie chłopcem, żeby go obudzić.

Mamusiu, czy mogę dostać pieszka? — zapytał, nim jeszcze otworzył oczy.

Koniec wyjątkowego czasu — pomyślała. O piesku słyszała, biorąc prysznic, susząc włosy, nakładając Makijaż, przygotowując śniadanie i nawet jedząc.

Mamuszu, czy mogę dostać pieska? — pytał Rory z peł-buzią.

Nie, Rory. Ile razy mam ci powtarzać? Żeby mieć pieska, Zeba mieszkać w dużym domu i dysponować wolnym czasem, 'ekawe, kto by go nauczył wychodzenia na spacer?

291

- Ja! — zgłosił się na ochotnika Rory. — I będę p sprzątał, jeśli zrobi bałagan w trakcie zabawy.

Kate głośno odłożyła łyżkę.

Nie, Rory. I kiedy mówię „nie”, mam na myśli prawdę „nie”, a nie „no, być może”. I żebym już więcej o tym nie słys- 'C dobrze? A teraz jedz, bo się spóźnimy.

W oczach chłopca pojawiły się łzy, które zaraz zaczęły kan • do miseczki z płatkami kukurydzianymi. Rory siedział w njjf czeniu, a jego drobnym ciałem wstrząsało łkanie. Aż w końca odezwał się, raniąc RLate w samo serce.

— Nie mam się z kim bawić! Ciebie nie ma nigdy w domu Jestem zupełnie sam. Gdybym miał pieska, mógłbym się z nim bawić i nie czułbym się taki samotny.

Kate złapała syna w objęcia. Teraz już płakali oboje. Zanim doprowadziła się do porządku, była już prawie spóźniona. A jeszcze trzeba było przebrać chłopca, zrobić mu kanapki i pozwolić na wizytę w toalecie tuż przed wyjściem. Wreszcie zapakowała go do samochodu. Usadziła w foteliku, starannie przypięła pasami. Wręczyła mu Teda na pocieszenie. Kciuk Rory'ego znów powędrował do buzi. Mimo że była w niedoczasie, postanowiła, że sama zawiezie syna do przedszkola, a potem tylko przedzwoni do ojca i mu powie, o której ma chłopca odebrać. Dziadek zabierze go na spacer, nakarmi, rozerwie... Później zaopiekuje się nią, jak już wróci z pracy.

Mój Boże — pomyślała — przecież nie mogę wykorzystywać swojego ojca do końca życia.

Parę minut po dziewiątej Kate siedziała w bibliotece Centralnego Szpitala Położniczego, patrząc na Tony'ego Dowlinga.

— Rory chce dostać pieska — powiedziała.

— Słuchaj, Kate — odparł starszy wiekiem sierżant — 111 kupuj mu psa, jeśli masz choć trochę oleju w głowie. To dobra rada. —

Dowling wychował się na farmie na południu Irlandii-gdzie w obejściu

zawsze było pełno psów. Nie uroczych szcze' niaczków ani piesków kanapowych, tylko wielkich, prawdziwy0 psów, które miały swoje wymagania. — Życie w mieście nieJtS dla psa. One potrzebują przestrzeni, potrzebują się wybiegać. P

292

■ ć króliki i zające, i łasice, i lisy, a nie samochody i rowerzy-ganl na ulicach cuchnących od spalin.

St°kate niezbyt uważnie słuchała tego, co mówił Tony. Zasta-I iała się, czemu siostra Sara Higgins jeszcze się nie pojawiła, naNV o że umówili się z nią na spotkanie punkt dziewiąta. Po raz nl"!yś z rzędu popatrzyła na zegarek, potem przeniosła spojrze-kt°na Dowlinga, który właśnie mówił:

nie . na widok miastowych psów ogarnia mnie żal. Sąza-sze trzymane przy nodze. „Siad, łapa, leżeć, pokaż, jak się panie opalają...” i tak w kółko. A popatrz na wiejskiego kundla... Tony wyraźnie wsiadł na swojego konika — na ogół mniej lub bardziej przypomina irlandzkiego collie, no wiesz, tego czarnego z odrobiną bieli na kufie czy łbie. Łazi, gdzie dusza zapragnie, jak się zmęczy, przysiada na kamiennym murku odgradzającym pola albo tuż przy drodze, nastawiając jedno ucho, jakby czekał na jakiś ważny sygnał. Na najdrobniejszy szelest stawia na sztorc drugie ucho i nim się zorientujesz, gna przed siebie niczym najlepszy chart.

Taki pies ma charakter. A miastowy? Całe życie wygląda, jakby cierpiał na zatwardzenie albo potrzebował konsultacji u psychiatry. —

Tony zaśmiał się z własnego żartu.

- Masz krawat upačkany jajkiem — zauważyła Kate, po raz kolejny spoglądając na zegarek. — Gdzie się podziewa ta pielęgniarka?

Dowling zajął się krawatem, próbując usunąć plamę, nie przesiał jednak mówić.

— Wiesz, nad czym się zastanawiałem, wychodząc dzisiaj z domu?

Kate wybrała na swojej komórce domowy numer telefonu sio-strY Sary Higgins.

Nad czym? — zapytała pomiędzy sygnałami.

Powinniśmy posznupać na oddziałach. Wczuć się w to miejsce. Coś mi mówi, że moglibyśmy jeszcze sporo się dowie-d2'eć. Ci cholerni lekarze trzymają gębki na kłódkę, trzeba by ich Jakoś przekabacić albo poszukać za ich plecami.

Telefon dzwonił. Nikt nie kwapił się z odbieraniem.

Może jest w drodze — rzucił Tony. — Sam ugrzałem korku, jadąc od

strony Blanchardstown. Drogówka porobiła °kady, szukając tego porwanego dzieciaka.

293

— Tak, pewnie masz rację — przyznała Kate, sięgając swój notes. — Moim zdaniem powinniśmy namówić dwóch f° karzy na pilne zrobienie testu na AIDS. Ci dwaj wydają mj e" podejrzani. Tony Dowling roześmiał się rubasznie.

— Tylko dwaj? Jack McGrath nie znosił ich wszystkich  
Kate uśmiechnęła się krzywo.

— Morgan i Lynch — podała nazwiska. — Pan doktor Mor gan nas okłamał, jestem tego pewna. Poza tym jest jeszcze to co mówiła o nim jego żona... No i unika nas, jak może. Posłałam do niego Johna Doyle'a, dwukrotnie, i za każdym razem doktor Morgan zniknął jak kamfora. Z kolei ten drugi, doktor Lynch, przedstawił swoje alibi z takimi szczegółami, że natychmiast zaświeciły mi się w głowie wszystkie lampki alarmowe. Myślę, że trzeba ich wezwać na posterunek. Najlepiej jeszcze dzisiaj. Pozwolić tej pielęgniarce posłuchać ich głosów, a potem zapytać ich, każdego osobno, czemu stają okoniem, jeśli chodzi o głupi test na AIDS. — Wzięła do ręki torbę. — Zróbmy sobie małą przerwę do dziesiątej.

— Gdzie będziesz, na wypadek gdyby ta Higgins wreszcie się zjawiała?

Kate była już za drzwiami. Rozejrzała się po korytarzu, sprawdzając, czy spóźniona pielęgniarka właśnie nie nadchodzi.

— W gabinecie Toma Morgana — rzuciła. — Chcę mu się lepiej przyjrzeć, zobaczyć, jak zachowuje się w pracy. Tony zachichotał.

— Uważaj, żeby on ci się lepiej nie przyjrzał. Z tego co o nim wiemy, to pies na kobiety.

Doktor Tom Morgan przyjmował u siebie. Kate zasięgnęła ję zyka w rejestracji ogólnej, następnie zaczepiła salową, aby upeNS nieć się, że idzie we właściwą stronę, wreszcie poprosiła jakąś pIL lęgniarkę o wskazówki, ponieważ wydawało jej się, że nagle szpitala trafiła do agencji modelek. f Jgg

Kiedy otworzyła delikatnie drzwi do poczekalni, nie chl wzbudzać sensacji wśród pacjentek (aż nazbyt dobrze panuę 'p jaki wpływ na przebieg dochodzenia i komfort leczonych w kobiet miały otwarte działania Jacka McGratha), pomysł3\*3'

294



dnak zabłądziła. Musiała cofnąć się za próg i raz jeszcze przyjrzeć się tabliczce, która głosiła:

DR N. MED. TOM MORGAN GABINET

a pomocą dużych niebieskich liter na żółtym tle. Widać nawet trendy dotyczące tabliczek na drzwiach gabinetów lekarskich ulegają zmianom — stwierdziła w duchu Kate. 1 Choć nie mogła mieć wątpliwości, że dobrze trafiła, nie umiała pozbyć się uczucia, że siedzące w poczekalni kobiety przyszły w innym celu, aniżeli poddać się badaniu ginekologicznemu. Na luźno rozstawionych designerskich krzesłach siedziało pięć Miss Universe o niekończących się, gładkich jak satyna nogach. Kate, która gdy jeszcze regularnie chodziła do ginekologa, nigdy nie zadała sobie więcej trudu niż pośpieszne wydepilowanie łudek, umiała rozpoznać, kiedy ktoś dokłada starań, by zwrócić na siebie uwagę. Co zresztą w tym wypadku nie było zbyt trudne. Jedna kobiet miała na sobie kusą skórzaną spódniczkę, odsłaniającą praktycznie całe udo, a nawet trochę więcej, jeśli akurat miała założoną nogę na nogę. Dwie inne wytuszowały sobie grubą warstwą rzęsy, trzepoczące jak skrzydła kolibra podczas przeglądania kolorowych pism. Obie wbiły się w obcisłe dżinsy. Kolejna włożyła najnowszą kolekcję Paula Costelloe i zarzucała głową, jakby nie umiała się zdecydować, na którym ramieniu powinna mieć dziś włosy. Ostatnia, również wystrojona jak choinka, wydawała się przy pozostałych szarą myszką. Wszystkie jak jeden mąż podniosły wzrok i obrzuciły Kate uważnym spojrzeniem, nie dostrzegłszy w niej godnej siebie rywalki, powróciły do swoich czasopism — wszakże dopiero po tym, jak posłały błyskawicę w kierunku prawdziwej konkurencji. Mierzyły się wzrokiem 'Uczym tygrysice w rui. Gdyby nie obawiały się o swój makijaż, Cuciłyby się na siebie, nie oszczędzając długich i ostrych paznokci.

Ten pokaz kobiecej siły przerwało pojawienie się asystentki °ktora Morgana. Dziewczyna miała nie więcej niż dwadzieś-j'a dwa lata, długie kręcone włosy blond, spływające na przód 'Pasowanej do ciała kremowej bluzki zaopatrzonej w pokaźny °t, przez który wylewały się młodzieńcze jędrne piersi, rzu-

295

cające się w oczy każdemu, kto patrzył, i z pewnością kLU' w oczy wyfiokowane paniusie czekające na swoją kolej. Str dopełniała długa do pół łydki spódnica rurka z długą rękawicą z tyłu i z przodu, spod której błyskały perłowe pończoch z cyrkoniami tuż

nad kostką, jakich nie sposób było nie zauważyć nawet na mniej doskonałych nogach. Tom Morgan był niewątpliwie wzrokowcem, mimo że

w pracy wykorzystywał głównie zmysł dotyku. Jego pacjentki zaś cierpiały na wyraźny nadmiar wyobraźni, widząc jej oczami, co tych dwoje — lekarz i jego asystentka — wyprawia, kiedy są sam na sam za zamkniętymi drzwiami gabinetu. Wystrzałowa sekretarka budziła zazdrość pacjentek oraz pracownic szpitala. Na oddziałach krążyły bowiem plotki, że widziano tę parę razem na jakimś przyjęciu, a także iż asystentka wybiegła raz z pokoju badań cała zarumieniona i wyraźnie zmieszana, po tym jak ktoś z personelu niezapowiedziany złożył doktorowi późną wizytę.

— Pani Cantwell! Doktor Morgan panią prosi oznajmiła bogini, na co podniosła się jedna z czekających kobiet, poprawiła na sobie spódnicę, odrzuciła włosy na ramię i z uniesioną głową wkroczyła do gabinetu. Zdaniem Kate naprawdę wyglądała jak kotka w rui (o tygrysiach sierżant Hamilton nie miała większego pojęcia): cała wyprężona i gotowa do akcji.

Policjantka na swój sposób była zafascynowana tą menażerią.

— W czym mogę pani pomóc? — do rzeczywistości przywołał ją zawodowo uprzejmy głos. Poczowała na sobie pięć par oczu.

— Chciałabym zobaczyć się z doktorem Morganem.

— Była pani umówiona?

— Nie. — Kate położyła na blacie rejestracji swoją wizytówkę- mM

Lokata blondynka przyjrzała się kartonikowi z uwagą, P° czym podniosła głowę i powiedziała: 'jl

— Jeśli zechce pani zaczekać, przekażę doktorowi, że pani tu jest, gdy skończy badać pacjentkę — ręką wskazała drzwi, które właśnie zamknęły się za kocią.

Tym razem cztery pary oczu przewierciły Kate na wylot- Pacjentki zastanawiały się, kim jest ta ślicznotka ubrana w nieciekawą burę kostium. W poczekalni zapadła pełna napięcia cisza'

296

erywana tylko bębnieniem palców rejestratorki o marmurowy ntuar, za którym siedziała.

Wystrój gabinetu doktora Toma Morgana odzwierciedlał sześciu gest firm farmaceutycznych działających na terenie Irlandii. Kalendarz wiszący za plecami doktora wskazywał nie tylko, jaki • st dzień tygodnia,

ale również jak wielką ulgę przynosi stosowanie hormonalnej terapii zastępczej, a właściwie jednego konkretnego specyfiku jednej, bardzo konkretnej firmy. Dwa kubki wypełnione długopisami informowały, że takie to a takie pigułki antykoncepcyjne są najczęściej wybierane przez młode aktywne kobiety umiejące planować swoje życie. Ekskluzywna skórzana nakładka na biurko miała wytłoczone nazwy większości najpopularniejszych leków używanych w ginekologii i produkowanych przez dwie połączone niedawno firmy. Długopisy reklamówki zachwalały niesteroidowy lek przeciwzapalny, świetnie sprawdzający się przy bolesnym miesiączkowaniu. Nawet mydło, którym doktor Morgan mył dłonie przed każdym badaniem, i ręcznik, w który je wycierał, ozdobione były logo wspinałomyślniej firmy farmaceutycznej. Gdyby nie ograniczenia natury prawnej, farmaceutyki byłyby reklamowane również na ubraniach lekarzy i Tom Morgan wyglądałby w swoim szykownym garniturze od Arma-niegojak kierowca formuły pierwszej.

Witam panią, pani sierżant. Chyba się wczoraj rozminęliśmy... A dzisiaj moja asystentka przekazała mi, że szukał mnie ktoś z pani zespołu. Chodziło, zdaje się, o jakiś test? — Morgan sprawiał wrażenie szczerze przejętego niepowodzeniami poli-CJ' i chętnego do współpracy z organami ścigania. Wydawał się również porażony sprawą morderstwa na terenie szpitala. Twarz miał poważną, gładkie zawsze czoło przecięły bruzdy. — Kilka ostatnich dni spędziłem poza Dublinem, a dzisiaj od rana jestem hardzo zajęty i po prostu jeszcze nie zdążyłem...

Kate słuchała Morgana, w duchu przyznając rację jego licz-jnym wielbicielkom. Miał ciało i twarz Adonisa, na tyle na ile w stanie to ocenić, widząc go w markowym garniturze, ecz nie podejrzewała, by zakryte fragmenty wiele odbiegały od 'dealu. Każdy jego gest przesycony był erotyzmem, spojrzenie Powalało.

297

— ...ale jak widać, pani pierwsza mnie znalazłacja seksownym głosem. — Cóż więc mogę dla pani zrobić, pani żant? Sler-

Kate właśnie zamierzała wygłosić przygotowaną mowę, ki a drzwi do gabinetu otwarły się z hukiem i do środka wpadł To \* Dowling. Był blady jak ściana.

Kate, muszę z tobą porozmawiać. Natychmiast. Coś s' wydarzyło. To migdałaca się para z parkingu pierwsza odkryła, że z Sa" Higgins jest coś nie tak. Młodych kochanków po długiej, pełnej namiętności nocy obudził urywający się dzwonek telefonu w mieszkaniu powyżej. Natarczywy dźwięk wdarł się najpierw do ich uszu, potem zarejestrowały go ich mózgi. Wreszcie przedostał się do ich świadomości i zaczął im działać na nerwy.

— O tej godzinie powinno jej już nie być — wymamrotał On, podczas gdy Ona dłonią sunęła w górę po jego udzie.

Znowu? — jęknął, czując zaciskające się na przyrodzeniu drobne palce.

— Uhm.

— Jesteś szalona.

— Uhm...

Ale właśnie wtedy telefon w mieszkaniu numer siedem rozdzwonił się ponownie, psując tę chwilę. On wstał z łóżka i podszedł do okna, żeby sprawdzić, czy samochodu sąsiadki faktycznie już nie ma. Był. On potarł rogiem zasłony szybę okienną zaparowaną od namiętnych oddechów.

— Jeszcze nie wyszła do pracy — stwierdził i obrócił się, żeby wrócić do łóżka, ale zamarł w pół ruchu.

Kątem oka zauważył coś dziwnego.

Raz jeszcze zmiażdżył materiał zasłony w rękę, przetarł szybę i zmrużył powieki, by lepiej widzieć. Im dłużej patrzył, tym większej nabierał pewności, że tuż obok przedniego koła mazdy wykwitła czerwona kałuża, w której leżało coś, co na jego przypominało młotek.

Wyteżył wzrok, ale przez pokryte warstewką szronu szyby wozu niewiele było widać. Jego mózg Przez dłuższą chwilę analizował to, co zobaczyły oczy. On nie wiedział • co o tym myśleć. Kiedy znów popatrzył na kałużę, młotek i aLt°

298

telefon piętro wyżej ponownie się rozdzwonił, w jego głowie 3 brzmiały dzwonki alarmowe.

r0 Słuchaj, wyskoczę na minutkę coś sprawdzić, dobra?

Ona leżała na wznak, odrzuciwszy kołdrę, tak że odkryciu legło to, co On zdążył już odkryć nocą, i to nie raz. Mimo to "miękkły mu kolana.

Pośpiesz się — szepnęła — bo się rozmyślę.

On włożył pośpiesznie sweter i spodnie, po czym wyszedł, Ona zaś przemknęła na bosaka do okna, żeby zobaczyć, co takiego odciągnęło

go od niej.

Pojawił się w jej polu widzenia, wychodząc zza węgła budynku. Dłonie trzymał wsunięte w rękawy swetra, z ust i nosa dobywała mu się para. Postukała w szybę, żeby go popędzić — ani jej się śniło przytulać do przemarzniętego na kość ciała — ale On nawet nie popatrzył w górę. Obserwowała, jak ostrożnie, wolno -doprawdy bardzo wolno, zważywszy na temperaturę na zewnątrz — postępuje ku samochodowi. W pewnym momencie pochylił się, żeby się czemuś przyjrzeć, po czym — poruszając się jak krab -dopadł innego miejsca i również poddał je oględzinom.

Wyprostował się, nie odrywając wzroku od ziemi. Ona ponownie postukała w okno, znacznie silniej niż poprzednio, ale On ani myślał się odwracać. Wycofał się rakiem, gapiąc się pod nogi, po czym obszedł maskę samochodu i stanął przy drzwiach pasażera. Nachylił się i zajrzał do środka, naciągając dłonią rękaw i przecierając szybę od zewnątrz. Niewiele to pomogło, ponieważ każda płaska powierzchnia: asfalt, gałęzie drzew, źdźbła trawy, szyby — wszystko pokryte było szronem, nie ustępującym pod byle czym. Nagle On rzucił się do tylnych drzwi i z furją zaczął chuchać na zamrożoną szybę. Głowa odskoczyła mu niczym P'ng-pong, w powietrze uniosły się dwa czy trzy obłoczki pary, ' On znów zaglądał przez boczne okno mazdy do środka.

A potem zaczął biec jak obłąkany, gubiąc po drodze jeden z kapci. Co on wyprawia? — myślała niezadowolona przebiegiem rardki Ona. — Co jest? Co takiego zobaczył?

Kate z Dowlingiem pojawili się przed jedenastą. Trzy wozy Prolowe, całe białe z wyraźnym żółtym podłużnym paskiem

29

i niebieskim kogutem na dachu, stały już przed frontem budv dwa inne zaparkowały na przypadkowych, wolnych akurat nv scach na parkingu na tyłach apartamentowca. Sześciu umundur wanych funkcjonariuszy policji spacerowało dziarsko, broniąc s' przed zimnem; jeden z nich rozmawiał przez radiostację. Drz kierowcy jednego z wozów patrolowych były szeroko otwarte tak że wyraźnie słyhać było odpowiedzi centrali. W którejś chwil, słońce przebiło się przez chmury i na parking padły cienie p() wykrzywianych gałęzi kasztanowców. Nagła jasność oślepił, kierowców jadących wzdłuż Rock Road. Ci, którzy chcieli przekonać się, z jakiego powodu w okolicy pojawiła się policja, nie zdołali wiele zobaczyć. jEM

Kate wiedziała już, że chodzi o samochód siostry Sary Hiu-gins. Jadąc na miejsce zdarzenia, usłyszała przez swoją komórkę, że w bagażniku auta tkwi ciało częściowo widoczne przez tylną szybę. Oparcie jednego z tylnych siedzeń zostało rozłożone, przez nie zaś przerzucona czyjaś noga. Czyjaś bardzo nieruchoma noga. Czyjaś bardzo martwa noga, obleczona w białą pończochę poplamioną czerwienią. Do kogokolwiek należała ta noga, jej właściciel z pewnością nie czuł się wiele lepiej od niej. Kate w głębi ducha podejrzewała, iż to noga Sary Higgins.

Wkrótce po tym jak na miejscu zdarzenia pojawili się Kate z Dowlingiem, w oddali dały się słyszeć syreny kolejnego wozu policyjnego, tym razem dowożącego ekipę techników.

Tony odłączył się od niej chwilę przedtem i rozmawiał właśnie z jednym z funkcjonariuszy, który mówiąc, wskazywał na lekko uchylone okno apartamentowca. Wyglądała przez nie policjantka. Za nią — szcękając zębami pomimo trzech swetrów na plecach i włączonych na maksimum grzejników — siedział On. Ona nie wydawała żadnych dźwięków, paląc papierosa za papierosem-Randka zdecydowanie przebiegła

nie tak. Całą romantyczność i pasję diabli wzięli.

— Kate... Kate? Idę pogadać z tym młodym kołesiem, który pierwszy zauważył krew. ' B

Sierżant Hamilton skinęła głową i poprawiła na sobie cię zimowy służbowy płaszcz. Parę chwil później z piskiem opon trzymał się przy niej van wiozący ekipę techników. Syrena zaW, po raz ostatni i ucichła. Z furgonetki wysypali się trzej mężczyźni"

3

oj z nich byli ubrani przepisowo w białe kombinezony nałożone grube swetry i spodnie, trzecim był ubrany po „cywilnemu” mn

Harrison, fotograf. Trzymał w ręku nikona gotowego do ak-- furgonetka wypluła jeszcze doktora Noela Dunne'a i odjechali kawałek, po

tym jak wyciągnął ze środka dwie czarne lekarskie torby. Postawiwszy je na asfalcie, pogmerał w ich wnętrzu. 2 jednej wyjął

skórzany płaszcz, mający chronić go przed chłodem podczas pracy na wolnym powietrzu, z drugiej zaś dyktafon i notatnik przyczepiony

do podkładki formatu A4. 1 — Osłóńcie jakoś ten samochód! — warknął Dunne i dwaj funkcjonariusze rzucili się do wozu patrolowego.

Chwilę później ustawiali składany żółty parawan. Któryś z techników pomagał im z drugiej strony, przyczepiając żółtą ostrzegawczą

taśmę do pnia kasztanowca i rozpinając ją na specjalnych palikach, które przyniósł z vana. W ciągu paru minut mazda 626, będąca do niedawna własnością siostry Sary Higgins, została osłonięta przed oczami ciekawskich.

Doktorze, jestem sierżant Kate Hamilton. Zostaliśmy sobie przedstawieni, kiedy wezwano pana do Centralnego Szpitala Położniczego. —

Dunne zlustrował Kate od stóp do głów, nie kryjąc swojej niechęci. Kate zignorowała to. — Niedawno przejęłam sprawę tamtego morderstwa. — Zrobiła pauzę, chcąc, by ta informacja dotarła w pełni do rozmówcy. Dlatego też zaakcentowała słowo „przejęłam”. —

Mam powody przypuszczać, że ciało w tym samochodzie jest w jakiś sposób powiązane z morderstwem w CSP.

Dunne nie spuszcza! jej z oka. Wydychane powietrze w minusowej temperaturze momentalnie zamieniało się w parę, co sprawiało, że Noel Dunne wyglądał jak smok ziejący nieudany <sup>o</sup>gniem.

— Przejęła pani dochodzenie po Jacku? — spytał.

Tak — potwierdziła. — Inspektor McGrath został odde-ęsowany do porwania. Jak pan zapewne wie, jest ekspertem od Porwań w jednostce Jaguarów.

Doprawdy — warknął Dunne; trudno było ocenić, czy Zgadza się z podaną informacją czy też raczej jej się dziwi. Zro-Parę kroków w stronę żółtej taśmy, drżącej na silnym wie-lecz nagle zatrzymał się i gwałtownie odwrócił ku Kate. —

A pani jest ekspertem od czego? Bo nie dosłyszałem... — q zawiesił głos, nie było wątpliwości, że tym krótkim zdaniem t cii Kate wyzwanie.

Kate Hamilton nasłuchiwała się licznych opowieści o tym, jak t doktor Noel Dunne nie znosi żółtodziobów. Jego zdaniem marno wali tylko jego cenny czas. Jednakże jeszcze bardziej niż niedo świadczonych policjantów doktor Noel Dunne nie cierpiał kobiet wykonujących - w jego mniemaniu — męskie zajęcia. Nie musiała uciekać się do kobiecej intuicji, by wiedzieć, że dalby wiele aby przy okazji tej sprawy mieć do czynienia z kimkolwiek, byle nie z nią. Od kuchni — odparła, stawiając mu czoło. — Robię fantastyczną jajecznicę. — Udław się, stary dziadu, dodała w myślach.

Dunne wyszczerzył się.

Może byśmy wreszcie zabrali się do pracy, jeśli pani sierżant pozwoli — warknął.

Odsunął ruchomą część parawanu, przepuszczając ją przodem. Potem starannie zasunął za nimi przeszkodę dla niepowołanych osób. Kiedy rozmawiali, pojawiła się już ekipa telewizyjna. Jeon z funkcjonariuszy ruszył w jej stronę, rozkładając szeroko ramiona i wyznaczając granicę, której dziennikarze nie powinni przekraczać. Był głuchy na prośby reportera, przekonującego, że nieco bliższe stanowisko byłoby idealne dla kręcenia ujęć z miejsca zdarzenia.

- Drzwi są zamknięte — oznajmił jeden z techników. Zdążył już zebrać odciski palców z wszystkich klamek, po czym spróbował otworzyć drzwi, ale zamek nie puszczał. — Zaraz wracam-

Pobiegł do furgonetki po marzenie każdego włamywacza samochodowego: zestaw kluczy dających radę otworzyć każdy egzemplarz

najpopularniejszych marek aut jeżdżących w Irlandii-Wkładał do zamka jeden po drugim, aż rozległo się charakterystyczne kliknięcie. Wszystkie cztery cypelki przy oknach p° skoczyły równocześnie.

Doktor Dunne zaczął mówić do dyktafonu. Obchodząc m dę dokoła, podawał nazwę modelu, numer rejestracyjny, nadwozia, nie szczędząc szczegółów takich, jak rysy na kai°se

302

■• i zaparowane od wewnątrz okna. Następnie przykucnął, żeby "badać czerwoną kałużę obok koła wozu — zmierzył ją i opisał bardzo dokładnie, zanim przeszedł do leżącego w pobliżu młotka. |'r0k w krok za nim postępował Dan Harrison, błyskając fleszem kierując obiektyw tam, gdzie wskazał mu Dunne. Gdy lekarz skończył oględziny wokół samochodu, podszedł do bagażnika j skoncentrował się na śladach krwi na klapie. Widniało na niej c0ś do złudzenia przypominającego odcisk ludzkiej ręki i kciuka. Ślady zostały sfotografowane, podczas gdy technicy uwijali się z drugiej strony auta, a Kate Hamilton patrzyła na wszystko w milczeniu.

W końcu Noel Dunne był gotów przejść do zawartości bagażnika. Nim to zrobił, upewnił się, że fotograf utrwalił to co trzeba.

Masz wszystko? — spytał go.

Dan Harrison skinął głową. Uważany za fotografa o wielkim talencie mężczyzna, świetnie sprawdzający się w niewdzięcznej roli fotografa policyjnego, nie trwonił słów. Mało kto chciał słuchać o wykonywanej przez niego pracy, zresztą on sam także nie lubił opowiadać o tym, jak zarabia na utrzymanie.



Usatysfakcjonowany odpowiedzią Dunne odłożył dyktafon, wyjął spod pachy podkładkę z wsuniętym opracowanym przez siebie formularzem i zaczął go wypełniać.

Linijkę z informacją o nazwisku denata pozostawił na razie pustą. Nim wpisał coś w kolejną, zapytał policjanta:

— Gdzie my właściwie jesteśmy?

Kiedy funkcjonariusz odkrzyknął, podając dokładny adres, oel Dunne starannie wpisał go w przeznaczone miejsce.

Następnie popatrzył na zegarek i obok „Data i godzina” zanotował: 1702, 11.32.

Był właśnie w kostnicy, zabierając się do sekcji zwłok wyłowionych z Liffey, gdy otrzymał telefon, że jest pilnie potrzebny terenie. Zanim się przebrał i dotarł na miejsce — cóż z tego, że Raczymym wozem jadącym na sygnale — minęło trochę czasu. ani sierżant go ubiegła.

Doszedł do miejsca, w którym trzeba było podać nazwisko o'ektywa prowadzącego sprawę. Popatrzył na Kate.

Mówiła pani, że jak się nazywa?

303

Kiedy kobieta powtarzała imię i nazwisko, głośno i wyr nie, na wypadek gdyby miał również kłopoty ze słuchem Dunne mruknął coś w gęstą brodę, wyrażając swoją dezaprobaę dla bezczelnych młódek w policji. Potem westchnął głęboko przyciągnęło doń spojrzenia wszystkich. Wydawał się dziw! zgaszony; ci, którzy współpracowali z nim wcześniej, wprost nie poznawali. Gdzie podział się ten pełen życia, rubaszny męż czyzna — myśleli.

„Denat widziany ostatnio za życia...” — puste miejsce.

„Temperatura ciała mierzona w odbycie...” — jak wyżej.

„Temperatura powietrza...” — aby ją ustalić, wyjął z czarnej torby lekarskiej termometr i przetał go czystą białą chusteczką po czym położył najpierw kwadrat materiału, a potem instrument na masce samochodu.

— Niech mi nikt tego nie zrzuci — warknął.

Każdy, kto stał w bezpośredniej bliskości samochodu, odsunął się z respektem.

„Stężenie pośmiertne...” — puste miejsce.

„Plamy pośmiertne...” — jak wyżej.

„Zadane rany”...

Uderzył długopisem w formularz, znowu westchnął, zatknął podkładkę

pod ramię i powiedział:

— W porządku, otwieramy.

Jeden z techników skinął głową drugiemu. Ten zdjął lateksowe rękawiczki, wetknął je do kieszeni, potem wyciągnął inną parę i nałożył ją. Wokół bagażnika mazdy zgromadził się mały tłumek. Nikomu wszakże nie śpieszyło się, by go otwierać. Miny mówiły: „Hej, a może byśmy wypili po filiżance kawy i trochę się rozgrzali, zanim pójdziemy o krok dalej? Co powiecie na zakrapiany lunch?

Cokolwiek, byle odwlec następny krok...” jHH

Zaopatrzone w świeże rękawiczki technik zerknął na Dunne a. który z rezygnacją potaknął na nieme pytanie. On był przy?0' towany na to, co zaraz zobaczy. Technik poszukał aprobaty w oczach Kate, koło której nagle wyrósł Dowling. Kate kiwnę 1 głową i opatulila się mocniej płaszczem. Wcale nie była pewna-czy ma ochotę oglądać to, co na nich czekało w bagażniku auta-ale wiedziała, że nie ma wyjścia. Musiała trzymać się prosto • n'e

304

acać wzroku, jakkolwiek okropny byłby ten widok. W prze-0 ym razie wszyscy uznaliby, że jest typową kobietą, a tego by nie zniosła.

Zachęcony, aczkolwiek wciąż niechętny technik przyjrzał się punkowi w klapie bagażnika. Zawsze czujny Dan Harrison zrobił Ujęcie mechanizmu, tuż zanim technik jednym palcem nacisnął uniowe kółko otaczające zamek otwierający klapę. W ciszy, jaka zapanowała przy samochodzie trumnie, kliknięcie zabrzmiało niczym wystrzał z pistoletu. Mężczyzna uniósł lekko wieko, po czym mniej więcej w jednej czwartej pozwolił, by mechanizm sprężynowy zrobił swoje. Klapa zatrzymała się w pozycji prostopadłej do maski wozu.

— O kurde... ? — Boże...

— Jezu...

Noel Dunne nic nie powiedział; po prostu stał i patrzył. Kate również się nie odezwała, ale nie zdołała się powstrzymać przed odwróceniem wzroku od nienaturalnie wygiętej szyi i głowy, której długie jasne włosy upačkane były zaschniętą krwią. Ciało siostry Sary Higgins zostało upchnięte w przestrzeń bagażową niemal w pozycji embrionalnej, z jedną nogą zgiętą w kolanie, by zmieścila się w rogu bagażnika, i drugą niesfornie wyprostowaną na złożonym oparciu tylnego siedzenia. Jej twarz przylegała ściśle do torby sportowej, dzięki czemu zgromadzonym oszczędzony został widok jej

zmalretowanej fizjonomii.

W zamian oczy wszystkich przykuła gruba niebieska żyłka owinięta wokół szyi ofiary i zaciśnięta tak silnie, że wpiła się w ciało. W zagłębieniu prawej, widocznej małżowiny usznej zebrało się nieco krwi. Z łabędziej szyi natomiast wystawała rączka skalpela.

Dan, zrób tyle ujęć z bliska, ile się da. Potem sfotografuj otwarty bagażnik z odległości kilku kroków, pod różnymi kąta- z lewej, z prawej, centralnie i z góry. — Noel Dunne odwrócił się do stojącego najbliżej niego funkcjonariusza. — Jak się pan nazywa?

— Posterunkowy Carter.

Dobrze. Niech pan się przeleci do furgonetki i przynie-Sle niską drabinę. Tylko ostrożnie, żeby nie zdeptać kałuży

305

krwi ani nie nadeptać na młotek. Najlepiej niech pan obejdą samochód z drugiej strony — pokazał ręką i znów zwrócił 'e do fotografa. — Wiesz co, Dan? Z góry pstryknij więcej niż je no zdjęcie. Chcę mieć wszystko ładnie udokumentowane, zanim przeniesiemy ciało. Skup się też na skalpelu. Reszta niech się0j sunie, żeby nie przeszkadzać.

Zamilkł na chwilę, po czym odszukał wzrokiem Kate.

Pani sierżant, muszę zamienić z panią słówko.

Dunne oddalił się na pewną odległość, za nim postąpiła Kate i nieodłączny Tony. Zatrzymali się dopiero jakieś dziesięć me-trów od wypatroszonej mazdy. Doktor Dunne nie odzywał się przez kilka sekund, obserwując, jak Dan Harrison wywiązuje się ze swoich obowiązków. Potem krzyknął jeszcze parę instrukcji, powodując, że jeden z funkcjonariuszy odskoczy! od wozu jak oparzony. W końcu utkwiał spojrzenie w Kate, podczas gdy Dowling trzymał się o krok z tyłu, przyglądając się tej dwójce z szacunkiem.

Pani sierżant, to już drugie ciało ze skalpelem wbitym w szyję, z jakim mam do czynienia na przestrzeni tygodnia -zaczął. - Obie ofiary to młode kobiety. Czy pani wie, kim jest ta?

Wygląda na to, że ofiarą jest pielęgniarzka Centralnego Szpitala Położniczego, nazwiskiem Sara Higgins.

— Dlaczego pani tak uważa?

Miała się z nami spotkać o dziewiątej. Chcieliśmy, żeby była świadkiem przesłuchań na posterunku. Poza tym to jej samochód, a

ofiara ubrana jest w strój pielęgniarki.

Czy Sara Higgins to ta pielęgniarka, która słyszała głos mordercy Mary Dwyer? Jack mi o tym wspominał...

— Tak.

Rozpoznałaby ją pani, gdybym obrócił jej głowę?

Kate przełknęła ciężko.

— Tak. Rozmawiałam z nią twarzą w twarz. 'li J

W takim razie chodźmy. Dwa morderstwa za pomocą sk  
pela w ciągu jednego tygodnia to rekord nawet jak dla mnie.

Doktor Dunne ruszył wolno w stronę wozu z otwartym gaźnikiem. Dan  
Harrison wciąż stał na niskiej drabince, robił zdjęcia. W końcu  
oznajmił:

306

[ ..... Gotowe.

Zszedł na ziemię i nacisnął jakiś guzik na nikonie. Film zaczął je  
przewijać. Harrison już grzebał w kieszeni, szukając nowej  
rolki-

Dunne odsunął drabinę i nachylił się nad wnętrzem bagażnika. W jego  
ręce ponownie pojawił się dyktafon. Mówił do niego orzez jakieś  
dziesięć minut, nagrywając swoje spostrzeżenia, po czyni popatrzył na  
Kate stojącą tuż obok. f — Mogę?

Skinęła potakująco. Po plecach przebiegły jej ciarki; z trudem opanowała  
się, aby widocznie nie zdrzeć. Nie przysporzyłoby jej  
przyjaciół, gdyby później w pubie przy piwie koledzy policjanci  
opowiadali sobie o jej słabości.

Noel Dunne tymczasem naciągnął na dłonie rękawiczki chirurgiczne i  
delikatnie dotknął ciała — najpierw w odsłoniętą część szyi,  
potem w tę stronę twarzy, która była widoczna. Następnie ujął w ręce nogę  
zgiętą w kolanie i wyprostował ją.

Dla pewności zgiął ją z powrotem.

Brak rigor mortis — powiedział do dyktafonu. Odwrócił się i zapytał  
Dowlinga: — Jaką temperaturę wskazuje termometr na dachu?

Tony wyciągnął szyję i zameldował:

— Plus cztery stopnie.

- Chwała Bogu, że nie ma silnego wiatru. W przeciwnym razie  
zamarzlibyśmy tu na śmierć — wymamrotał Dunne.

- Czy da się ustalić, o której godzinie zginęła? — zapytała Kate.

Nie zwracając na nią uwagi, Noel Dunne kontynuował badanie zwłok.

Na razie nie, pani sierżant. Nie nastąpiło stężenie pośmiert-ne- Przez całą

noc i większość ranka panowały lekko minusowe temperatury, to dlatego. Będę umiał powiedzieć pani coś więcej, dopiero jak poznam temperaturę ciała mierzoną w odbycie. Teraz Jednak proszę popatrzeć na twarz ofiary i rzec mi, czy to siostra Sara Higgins.

Delikatnymi ruchami dłoni obleczonych w mleczone lateksowe rękawiczki poruszył głowę ofiary, tak że dało się zobaczyć całą, Woskowo bladą twarz.

307

Przez moment Kate nie była pewna, czy ma przed sobą \$ Higgins. Zniknęło gdzieś całe piękno młodej kobiety, którą jeszcze niedawno podczas rozmowy z nią myślała zapewne o chłopcach dyskotekach i grupach rockowych, nie zaś o tym, by z ukrytą przysłuchiwać się pracującym na terenie szpitala mężczyznom i oceniać, czy to głos któregoś z nich rozległ się w słuchawce telefonu w wtorkowy wieczór. Chociaż rysy twarzy nie zmieniły się drastycznie, uciekło z nich życie. Na zawsze.

- To ona. — Dowling odezwał się, zaglądając przez ramię Dunne'owi. — Prawda, Kate?

Wyprostowała się, zbierając się w sobie.

— Tak, to ona. Niestety.

— Cóż, pani sierżant. Z tego co widzę, użyty skalpel był fabrycznie nowy. Myślę jednak, że mamy do czynienia z tym samym sprawcą. Czeka panią mordercza praca — zakończył, krzywiąc się na tę niezamierzoną grę słów.

— Witam w Southside Properties. Nazywam się Lesley Cairns. W czym mogę pomóc?

Dzień dobry. Chciałbym wynająć coś na tydzień. Rozumiem. Czy chodzi panu o jakąś szczególną lokalizację i zakres cenowy?

Szukam kwatery dla partnera biznesowego, który przyjeżdża do Dublina sam i zamierza zatrzymać się w mieście przez tydzień.

Spotkania będą odbywały się w południowym Dublinie. Może pani zaproponuje dogodną lokalizację?

— Doskonały będzie nowo otwarty kompleks w Dun Laog-haire. Są to mieszkania na wynajem w bardzo rozsądnej cenie.

— Nie, to trochę za daleko.

— W takim razie... — Agent Lesley Cairns przebiegła palcami po klawiaturze komputera — może Booterstown? Mamy tam parę domów i niewielkich mieszkań, na przykład przy Mourn Court w

niewielkim oddaleniu od Booterstown Avenue. Doskonałe położenie i niezbyt drogie. U

— To brzmi znacznie lepiej. Interesowałoby mnie niedużo 1-mieszkanie, najwyżej dwupokojowe.

Kolejne uderzenia palców w klawisze. W tle cichy dźwięk radia.

308

Tak. Jest jedno mieszkanie, które powinno się panu spodobać. Składa się z dużej sypialni i ładnego, przestronnego salonu łączonego z aneksem kuchennym i jadalnym. Oczywiście wyposażone w luksusową łazienkę i oddzielną toaletę. Jest dostępne już od początku marca.

Świetnie. Ile wynosi czynsz?

Lesley Cairns miała już wszystkie informacje na ekranie.

Trzysta tygodniowo. Elektryczność i gaz płatne oddzielnie według wskazań licznika. Wymagamy też depozytu w wysokości tygodniowego czynszu na wypadek zniszczeń, który zwracamy w ciągu tygodnia od zdania kluczy. Pieniądze można odebrać bezpośrednio u nas w biurze albo zażyczyć sobie ich wysyłki przekazem pocztowym na wskazany adres. W ramach ułatwień dla obcokrajowców jesteśmy w stanie dokonać przekazu w każdej wymiennej walucie.

— Wyśmienicie. Proszę zarezerwować dla mnie tę ofertę. Pojawię się u was w biurze w ciągu godziny i ureguluję należność.

- Cieszę się, że mogłam panu pomóc. Będzie pan płacił gotówką, czekiem czy kartą kredytową? Jeśli czekiem, będziemy potrzebowali...

Uiszczę całość gotówką, skoro można. W ten sposób najłatwiej uzyskam zwrot pieniędzy od mojej firmy. Wystarczy zwykłe pokwitowanie, które pani wystawi.

Ależ oczywiście, nie widzę problemu. Na jakie nazwisko zarezerwować mieszkanie?

Andrew Kelly. To nazwisko naszego partnera. Jest przedstawicielem handlowym firmy produkującej oprogramowanie komputerowe z siedzibą w Southampton. Przyjeżdża na rozmowy z filią Microsoftu w Sandfordzie. Zostawię pani jego wizytówkę.

Zatem przygotuję klucze i mapkę ze wskazówkami, jak dopchać do mieszkania. Nasze biuro mieści się przy Mount Street. To wiktoriański budynek z dużą czerwoną tablicą nad wejściem, trudno go nie zauważyć.

Na pewno trafię. Do zobaczenia za godzinę.

Nie odkładając słuchawki, Dean Lynch przekartkował ponownie książkę

telefoniczną w poszukiwaniu numeru telefonu komi-Su samochodowego. Przebiegł wzrokiem kolumnę i znalazł taki, 309

koło którego wielokrotnie przejeżdżał i o którym wiedział sh • dokładnie się znajduje. Wybrał numer i po dziesięciu minut u rozmowy był zdecydowany na „istne cacko, tylko pięćdziesiąt sześć tysięcy kilometrów na liczniku, stan idealny, w tym cajt'kiem nowe opony i akumulator, zaledwie drugi właściciel". ąu(()) czekało na niego w Donnie's Motors w Ringsend.

Najpierw pojechał do Ringsend, przebrany w czarny dres pe rękę na głowie i wasy na twarzy oraz okulary. Piąte przez dziesiąte słuchał Donniego, który w żywe oczy kłamał na temat przebiegu, bezwypadkowości i niedawnym serwisie od a do z.

Lynch znał się na ludziach na tyle, że nie miał wątpliwości, i nic z tego, co mówi właściciel komisu, nie jest prawdą. Minio to nie zrezygnował z zakupu, może tylko nieco dłużej się targował. W końcu zapłacił gotówką za kilkuletniego mitsubishi colta na dublińskich rejestracjach i odjechał nim, pozostawiając zachwyconego Donniego, któremu podał fałszywe nazwisko do umowy kupna-sprzedaży. Wcześniej zdecydował się jeszcze na gruby łańcuch i kłódkę, wybrane i polecane przez szczerzącego się od ucha do ucha Donniego.

Wystarczy go okręcić wokół wału kierownicy, przez pedał hamulca, do tej wajchy pod siedzeniem kierowcy. Proste, ale skuteczne — mówił. — Naprawdę zdecydowany włamywacz nie od puści, ale mniej zdesperowany machnie ręką i poszuka łatwiejszej zdobyczy. Człowiek musi mieć oczy dokoła głowy w dzisiejszych czasach. Mało to kręci się wszędzie pieprzonych zboczeńców?

Donnie naprawdę się starał.

Lynch postanowił, że skręci mu kark, kiedy spotkają się następnym razem.

xxxv

Godzina 11.17

Tommy Malone postanowił, że jadąc z Mulliganem do Dublina, złapią pociąg z Newbridge na stację Heuston, a nie pojedą samochodem.

Nasłuchał się rano wiadomości na temat porwania i szeroko zakrojonej akcji policji i uznał, że nadmiar reklamy nie służy interesom.

To samo martwiło zresztą pozostałych członków gangu. Z godziny na godzinę stawali się coraz bardziej podenerwowani. Nawet Moonface stracił pewność siebie. Nim wyschły fotki z niemowlęciem i aktualną datą,

zapadła decyzja o podróży pociągiem.

Na drogach jest zbyt wiele blokad. Któryś policjant może nas pamiętać i zacznie nam wiercić dziurę w brzuchu, a po co to?

Rozejrzymy się z Martinem, ocenimy sytuację, podrzucimy zdjęcia... To powinno wstrząsnąć O'Brienem. Potem zapowiemy, że okup ma być przekazany jutro.

Peggy i Sam zostali w chacie, dzieląc przyjemność wysłuchiwania wrzasków niemowlęcia, a Tommy i Martin podjechali volvem na dworzec kolejowy w Newbridge, gdzie Moonface ponownie zabezpieczył wóz swoją metodą. Stojąc na peronie i czekając, aż podjedzie pociąg, prawie się do siebie nie odzywali. Malone ścisnął w rękę dużą brązową kopertę wypełnioną sześcioma niniejszymi, z których każda zawierała zdjęcie zamaskowanego ulligana trzymającego Gordona O'Briena. Przy twarzy dziecka n'dniał róg winiety i kawałek pierwszej strony jakiegoś brukow-Ca z wyraźną datą i nagłówkami. Od wejścia do pociągu Tommy i Martin nie zamienili ze sobą ani jednego słowa. Malone postanowił, że rozdzieli się w wagonie,

311

zajmując miejsca w dwóch różnych przedziałach. Siedzieli, iatL połknęli kije od szczotek, wpatrując się w nagłówki gazet 'czv nych przez pasażerów naprzeciwko nich. Czcionka w artykule t była zbyt mała, żeby mogli przeczytać coś więcej. Tommyw! przypadło miejsce koło starszego mężczyzny, który nawiązał rozmowę z siedzącym przy oknie młodym małżeństwem z dzieckiem. Rozmowa dość szybko zesłała na temat porwania. Wszyst" kie trzy osoby nie pozostawiły suchej nitki na porywaczach ich gniew byłby jasny nawet dla ślepeca.

Potępiony Malone poczuł si nieswojo i poprawił na wąskim siedzeniu, próbując odsunąć się od rumianego staruszka.

Moonface miał powyżej uszu słuchania i czytania o porwaniu. Kiedy jeden z pasażerów odłożył swój egzemplarz „The Star”, zapytał, czy może go pożyczyć, i zatonął w lekturze artykułików na temat środowego meczu. Im dłużej czytał, tym większe ogarniało go podniecenie. Trenerzy i działacze klubów otwarcie obrzucali rywali błotem, zawodnicy przyznawali, że szykuje się siekanka. W końcu miały zagrać ze sobą drużyny, pomiędzy którymi animozje sięgały wielu lat w przeszłość-. „Białe rękawiczki zostawimy w szatni” — wyraził się jeden z napastników drużyny I rlandii. Jego odpowiednik w zespole Anglii nie pozostał mu dłużny, mówiąc: „Nie będziemy się z nikim cackać”.



Osobny artykuł informował, że angielska policja przekazała swoim irlandzkim kolegom wiadomość o spodziewanej wizycie w Dublinie sporej grupy chuliganów z Frontu Narodowego, którzy nawet nie mieli wykupionych biletów i liczyli wyłącznie na rozróbę. Miał to być odwet za spalowanie przez policję ich zastępów podczas poprzedniego meczu Anglia—Irlandia, który został przerwany z powodu zamieszek pod stadionem. Na ostatniej stronie „The Star” zamieszczono zdjęcie na ćwierci szpalty przedstawiające jednego z angielskich „kibiców”. Był ubrany w T-shirt zadrukowany we wzór brytyjskiej flagi, na czole W13 wymalowaną jej miniaturkę, na plecach powiewał mu nylonem) Union Jack. Miłośnik futbolu szczyrzył zęby do aparatu, wyciągając rękę w jedynym znanym mu — oprócz zaciśniętej P'sC' — geście. Fotografie podpisano: „Nim środa przeminie, pole?1 irlandzkie świnię” — koniec cytatu. Moonface

poczuł, jak

312

zyna go palić. Angielskie cioty — myślał — poczekajcie tylko, zobaczymy jeszcze, kto polegnie...

Malone odszukał go w tłumie na stacji Heuston i uraczył kilkoma słowami na pożegnanie. Moonface kiwał głową, słuchając, . później zapewnił:

Nic się nie martw, Tommy. Wszystko załatwię jak trzeba.

garażu w Ballyfermot mam przygotowany rower i strój kuriera.

Rozwożenie zdjęć zajmie mi jakąś godzinę. O której chcesz wraca(v7 — zapytał, choć wcale mu nie było pilno znaleźć się znów wzwilgłej

chacie, gdzie bez przerwy kwilił zakichany noworodek. Miał nadzieję, że Malone również potrzebuje złapać oddech i będzie przeciągał pobyt w Dublinie tak długo, jak to możliwe.

Tommy Malone byłby szczęśliwy, mogąc pobyc z dala od Kil-cullen choćby i przez pół dnia, ale powstrzymywał go przed tym widok, jaki wciąż miał przed oczami: Sam Collins, Peggy Ryan i O'Brien junior pozostawieni sami sobie. Mieszanka wybuchowa bardziej aniżeli koktajl Mołotowa. Malone wyobrażał sobie, jak dzieciak zaczyna to swoje wycie, a Sam nie wytrzymuje i mu przywala. Nie mógł mieć zaufania nawet do Peggy, która okazała się niezbyt cierpliwa jak na matkę i babcię. Gang, kurdefelek — złorzeczył w duchu — też mi gang! To zgraja nieudaczników, jeden gorszy od drugiego. Wolę nie myśleć, jak wyglądałaby ta banda, gdybym zdecydował się na wersję B.

Ustaliwszy czas spotkania, Malone i Mulligan wsiedli do dwu różnych taksówek. Mulligan pojechał do Ballyfermot, a Malone do domu przy porcie. Musiał się jednak ewakuować z ciepłej ' suchej taksówki, kiedy na drodze wyrosła pierwsza blokada policyjna.

- Chryste, następny korek —jękął na użytek kierowcy. — chyba wysiądę tutaj i dalej pójdę na piechotę, będzie szybciej.

Taksówkarz wykazał zrozumienie. W końcu czas to pieniądz, «dnakże wcześniej nie omieszkał zatruć Tommy'emu spokoju Ucha, nawijając o porwaniu i o tym, co osobiście wyrwałby po-Waczom i wetknął im w gardła. Skarżył się na nieudolność po-lcJ'- która potrafiła tylko wznosić blokady, jak gdyby porywacze lli się wystawić i czekać w kolejce, aż ktoś zechce przeszukać b samochód. Przynajmniej co do tego ostatniego Malone musiał 2Vznać mu rację. Nie zamierzał czekać i dać się złapać.

3

Minął pieszo blokadę i uszedłszy jeszcze kawałek, zamach na inną taksówkę, wpadając z deszczu pod rynnę. Kierowcą o zała się kobieta, która miała troje małych dzieci i bardzo jasno sprecyzowane poglądy na temat tego, jaką karę powinno się Wy mierząc komuś, kto porywa niemowlęta. Od niecenzuralnych wyrazów Tommy'emu uszy puchły, mimo że był raczej zaprawiony w bojach na słowa i sam mógłby brać udział w konkursie na najbardziej oryginalnego przeklinacza. Kobieta zreflektowała się i przeprosiła, że używa łaciny w pracy, ale przecież każdy by ją zrozumiał - przecież każdy jest cięty na tych drani. Prawda?

Taa... - bąknął Malone. — Proszę mnie tutaj wysadzić.

Idąc ulicą, dostrzegł detektywów ubranych po cywilnemu, zanim oni dostrzegli jego. Zatrzymał się, nim wyszedł zza rogu, i obrzucił spojrzeniem perspektywę Anderson's Quay. Nieozna-kowany wóz z charakterystyczną antenką zaparkowany jakieś pięćdziesiąt metrów od jego mety powiedział mu wszystko. W środku siedziało dwóch gliniarzy, jeden palił papierosa. Malone opuścił głowę, wykonał w prawo zwrot i wpadł do kiosku, gdzie natychmiast kupił paczkę sweet aftonów i zapalki. Zaciągając się dymem i idąc w przeciwną stronę, czuł, jak trzęsą mu się ręce. Albo już coś na mnie mają, albo to tylko rutynowa obserwacja... — myślał, nie przestając oddalać się od psów i własnego domu. Przyśpieszając w bocznych uliczkach, kłął w duchu ile wlezie. Musiał zatelefonować w parę miejsc.

Odnalazłszy nagle cel swojej wędrówki, przyśpieszył kroku i wkrótce stal

na stacji Connolly, skąd złapał kolejkę do Westland Row. Kiedy wsiadał do wagonu, mignęła mu znajoma twarz. Jakiś stary sąsiad ze Steevens Street. Wyglądał koszmarnie, jak przeciągnięty przez wyżymaczkę; lata byle jakiego jedzenia i p'c'a rozmaitych trunków odcisnęły na nim swoje piętno. Do tego mamrotał coś do siebie, kiwając głową, podczas gdy jedna część pil-żartego alkoholem mózgu konwersowała z drugą. Był zakutam w za duży na niego płaszcz, poszarpany na brzegach, wyświec tany i poplamiony tanim sherry. Albo okrycie, albo jego właścic śmierdzieli tak, że już po paru minutach w przedziale można by zawiesić siekiere. Pasażerowie zaczęli rzucać lumpowi nieprZ chylne spojrzenia. Ze wstydem wymalowanym na twarzy my Malone przemknął do najdalszego miejsca przy oknie, us,a

314

zapatrzył się na przewijający się za szybą widok. Siedział bez 'chu, dopóki nie pojawił się napis „Westland Row”. Znalazłszy ją na zewnątrz, zerknął na kolejkę uwożącą w nieznane kupkę ludzkiego nieszczęścia, którą niegdyś zwał przyjacielem.

Ostatni raz widział kogoś tak pobitego przez życie wtedy, gdy 20 matka przyprowadziła do domu ojca, którego zamknięto w areszcie posterunku w Blackrock za awanturowanie się po pijaku. Parę dni później stary Malone trafił za kratki na wiele tygodni za próbę włamania do sklepu monopolowego, pozostawiając Bożej Opatrzności żonę i siedmioro dzieci. Kiedy wyszedł z więzienia, przedstawiał obraz nędzy i rozpaczy. Jezu Chryste myślał Tommy, odprowadzając wzrokiem skład podążający w stronę stacji Landsdown Road — na kogo niby miałem wyrosnąć jak nie na porywacza? Ale prędzej mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż skończę jak mój tata albo ten biedny skurwiol z kolejki... Choć nie przyznawał tego sam przed sobą, widok starego znajomego, który ewidentnie wypadł z kursu, wstrząsnął nim. Podobnie jak wcześniej wóz policyjny w pobliżu jego miejsca zamieszkania.

Drogę do domu mam odcięta— stwierdził w duchu, żegnając się z czymś, co uznawał za przytulne gniazdko. — Gdybym tam postawił nogę, przyskrzyniliby mnie jak nic. A na to im, kurdefe-lek, nie pozwolę... Opuścił dworzec i wmieszał się w ruch uliczny, zmierzając ku hotelowi Davenport. Tam znalazł samotną budkę telefoniczną. Bardzo chciał zadzwonić do Betty Nolan i dowiedzieć się, jak się mają sprawy u O'Briena, ale na to było za wcześnie. Ustalili, że będą się

kontaktować o szóstej wieczorem, kiedy to Betty zasiądzie „U Mooneya” w pobliżu płatnego aparatu, czekając na jego telefon. Zamiast do Betty postanowił przedzwonić do Murphy'ego, starego wyjadacza i dawnego współwłaściciela z murów Mountjoy. Tommy Malone na ogół nie podtrzymywał kontaktów z przypadkowymi znajomymi zza kratki, ale w wypadku Richiego zrobił wyjątek. I teraz pierwszy raz tego pożalował.

Okazało się, że — o czym nie mogli wiedzieć, przesiadując w chacie za Kilcullen — dublińska policja nieźle przetrzepała Wszystkich notowanych i będących na celowniku w poszukiwaniu dziecka albo przynajmniej dróg prowadzących do niego.

315

— A może ty coś wiesz na ten temat. Tommy? — zapytał Richie Murphy. Nie, nie mam o niczym pojęcia. Po prostu zadzwoniłem żeby sprawdzić, czy to tylko na mnie się uwzięli.

Co ty gadasz, Tommy! Psy wiszą nam wszystkim u gardeł, interes podupał... — Tak się poskarżywszy, Richie poinformował Malone'a o trzech (trzech!) pewnych robótkach w banku które trzeba było z tego powodu odwołać. — Wszędzie roi się o tyn glin — dodał. Nie można zrobić kroku, żeby na jakiegoś nie wpaść.

Malone słuchał i jego niepokój rósł. Sięgnął zenitu, gdy Richie stwierdził, że większość wiary uważa, że im szybciej dzieciak zostanie zwrócony rodzicom, tym lepiej dla wszystkich.

Dla wszystkich, kumasz, Tommy? Bo psy tak się zawzięły, że niektórzy pękają i puszczają farbę. Wycieka wiele informacji, które nigdy nie powinny wyciec, i wiele ważnych osób się denerwuje. Mówię ci, Tommy, jak bossowie w końcu się dowiedzą, kto zrobił to głupie porwanie, urwą gościowi jaja. Zresztą porwanie bachora byłoby złe dla interesów w każdej sytuacji... No, Tommy, co mogę dla ciebie zrobić? — Richie, wygadawszy się, zainteresował się rozmówcą. Nic, Richie, naprawdę nic. Tak zadzwoniłem, kurdefelek, zapytać, co u ciebie...

Parę minut po trzeciej po południu bardzo zaniepokojony Tommy Malone podążał od hotelu Davenport do Merrion Square. Zerknął na zegarek. Miał jeszcze sporo czasu do spotkania z Moonface'em. Przystanął i rozejrzał się; przypadkiem znalazł się niedaleko Galerii Narodowej. Jeszcze przed chwilą nawet nie myślał, żeby wejść do środka, jednakże teraz poczuł, jak ciągnie go tam jakaś niematerialna siła. Ponownie popatrzył na zegarek. A, co tam — machnął

ręką— parę minut w ciepélku m zaszkodzi. Rzucę tylko okiem na ten obraz i zaraz wyjdę.

Tommy Malone po swojej pierwszej w życiu wizycie w Galer" Narodowej powracał tam wielokrotnie, sprawdzając, czy n'e jeszcze jakichś obrazów wartych podprowadzenia. Wkrótce J nak doszedł do wniosku, że system alarmowy jest zbyt skorup kowany, a ochrona zbyt obowiązkowa, żeby napad mógł się u i zarzuci! swoje plany. Za któryś razem, chcąc zdać się bard

316

jarygodnym zwiedzającym, kupił kolorowy katalog traktujący VV 'vciu • twórczości Caravaggia. Kartkował go, w rzeczywistości °rZyir|adając się rozmieszczeniu kamer i kablom systemu alar-P;oVego, wszakże z każdą chwilą coraz mniej uwagi poświęcał lektronice, coraz więcej zaś malarstwu. Później w domu nawet przeczytał treść katalogu, dowiadując się, że Caravaggio był na swój sposób łobuzem i miał do czynienia z policją swoich czasów. Nooo, to rozumiem — myślał Malone i: — A to dobre!

Uśmiechał się pod nosem, czytając, że malarz często brał udział w bójkach i umiał łąć w żywe oczy. Kiedyś na przykład, leżąc przykuty do łóżka z powodu ran kłutych — było napisane w katalogu — zadającemu mu pytania policjantowi odpowiedział: Zraniłem się, upadając na własny miecz. Nie pamiętam, gdzie się to dokładnie stało, ale wiem, że nikogo przy tym nie było". Tommy Malone czuł dumę, jak gdyby artysta był jego synem.

Odkrywszy, że — wedle słów katalogu — Caravaggio musiał uciekać po kryjomu z Rzymu, po tym jak zabił swojego antagonistę, Malone wyrzucił w górę zaciśniętą pięść, krzycząc: — Brawo! Wprawdzie nie wiedział, kto to taki antagonist, ale czuł pewność, że drań w pełni zasłużył sobie na to, co go spotkało.

Jednym słowem Tommy Malone był oddanym fanem malarza, kiedy po raz n-ty stanął przed jego obrazem i zaczął przyglądać się imponującemu, wartemu fortunę malowidłu.

I gdy tak patrzył na płótno, zezując to z lewej, to z prawej strony nagle doznał iluminacji na miarę stulecia. Ten cały Judasz też

Powinien zostać ukrzyżowany. W ułamku sekundy przypomniał sobie wszystkie sceny, których był świadkiem podczas licznych Pobytów w więzieniu. Praktycznie każdy współwięzień, z jakim Sledził w celi, trafił za kratki w wyniku zdrady kogoś zaufanego. alone'a ogarnął strach. Czy i on skończy kiedyś tak samo, wydany w łapy policji

przez jakiegoś Judasza?

Wychodząc z galerii, zatrzymał się w kawiarni w holu, żeby Zebrać myśli i wypalić papierosa. Kiedy wyjmował z kieszeni Paczkę sweet aftonów, w jego stronę posypały się nieprzychylnie SP<sup>o</sup>jrzenia. Tommy nawet tego nie zauważył. W głowie kłębiły s'ę czarne myśli. Nad miastem zebrały się ołowiane chmu-' 1 których lunął deszcz. Malone zapatrzył się na spływającą °kami wody ulicę, przypalił papierosa i wydmuchując dym,

317

zastanawiał się, jak zakończy się ta sprawa z porwaniem £ kiegoś powodu przestał być pewien, że wszystko będzie dob Nagle wydało mu się, że podniesienie ręki na niemowlę i Wv ' pienie przeciwko jednemu z najpotężniejszych ludzi w Irlandii było najlepszym pomysłem. Postanowił, że da sobie jeszcze jeden dzień, a potem się zwinie. Zdusił niedopałek w nie sprzątniętej p0 poprzednim kliencie filizance kawy i ruszył do wyjścia.

Moonface uporał się z rozwożeniem zdjęć do trzeciej pomimo tego, że się rozpadało. Z ponurą miną popatrywał na niskie cię, kie chmury, przesuujące się jakby w ślad za nim, gdy pedałowal zawzięcie, klucząc pomiędzy autami stojącymi w korkach. Przemoczony do suchej nitki dostarczył przesyłki zgodnie z planem: do studia telewizyjnego stacji RTE w Donnybrook, do redakcji „The Daily Post”, do wybranych skrzynek pocztowych, a nawet na posterunek policji przy Fitzgibbon Street. Następnie karnie odstawił rower tam, skąd go wziął, pozbywając się równocześnie stroju kuriera, po czym — upewniwszy się, że dobrze zamknął garaż — spojrzal na zegarek. Kurde — pomyślał ze złością— została mi jeszcze kupa czasu. Zamiast szlajać się bez sensu, zdecydował, że pójdzie do domu i zabierze akcesoria kibica na wypadek, gdyby przyszło mu udać się na mecz prosto z Kilculleu. Po drodze wpadł na starego kumpla, jak on szukającego schronienia przed kolejną ulewą pod markizą jakiegoś pubu.

Siemasz, Martin — zagaił tamten. - Kopę lat... Wychylimy jednego?

— Dobra, ale potem muszę spadać.

— Co tam u ciebie słyhać? Jesteś na fali?

- Jeny, tylko zaczekaj, aż ci opowiem...

Moonface złamał złotą zasadę Tommy'ego Malone'a: żadnej wódy podczas rozróby. Skusił się na kufel piwa, ale oczyw|SC' nie stanęło na jednym. Nim sobie przypomniał wytyczne, ny o wiele za późno. Martin

Mulligan, na którego za plecami wo „Moonface”, miał już wtedy wszystko w czterech literach.

Sam Collins natomiast miał wszystkiego serdecznie dół Wrzaski małego O'Briena przesywały mu mózg, doprowad go do białej gorączki.

Peggy Ryan robiła co mogła, żeby usp

eciaka, spacyfikować go, ululać — czy jak to się tam mówi by'e tylko przestał drzeć się z bólu z powodu kolki i z głodu,

. ti strachu, i z poczucia nieszczęścia, i z braku matczynej opie-[] ale nie na wiele się to zdawało. Collins może nie znalazł się na

dzieciach, lecz potrafił powiedzieć, kiedy ktoś totalnie sobie nie ridzi z bachorem. Do tego kobieta gadała do s i e b i e, co nje

wiedzieć czemu też działało Samowi na nerwy. Nie minęło wiele czasu od wyjazdu Malone'a i Mulligana, kiedy Collins obrzucił Peggy i

Gordona wściekłym spojrzeniem, po czym kazał im się wynosić na dwór.

, — Zabierz tego obsralucha na spacer — zarządził. — Przespaceruj się z nim po ścieżce przed domem, może to go zamknie choć na chwilę.

— Chryste Panie, Sam, na zewnątrz jest zimno jak w lodówce.

Mam to gdzieś — wrzucił ramionami Collins. — Zabieraj go stąd, jeśli nie chcesz, żebym go zamknął na zawsze. — Popatrzył na płaczące dziecko z nieskrywaną nienawiścią.

Ostry mróz na zewnątrz spowodował, że krzyk Gordona ucichł jak ucięty nożem. Kiedy jednak przez ciało dziecka przebiegł kolejny

bolesny skurcz, otworzyło małeńkie usteczka, zaczerpnęło lodowatego powietrza i rozdarło się na nowo. Żalostne wrzaski płynęły nad

pokrytymi białą polami, oznajmiając światu, że w to lutowe popołudnie ktoś niespełna rozumu zabrał niemow-na spacer, narażając je

na niebezpieczeństwo przeziębienia albo nawet odmrożenia. Brian

O'Callaghan nie wierzył własnym Uszom. Małe dziecko na dworze w

taką pogodę? Właśnie skończy! wycierać słomą nowo narodzone jagnię i troskliwie okrywał Wiotkie jeszcze ciało szmatami, planując

przeniesienie przychówku do szopy na najbliższe kilka dni, gdzie w ciepłe wełny niatki będzie mogło stanąć pewniej na nogach.

Odłożył jagnię na plenię i przeszedł parę kroków, by mieć lepszy widok na okolicę. Wystaną! przy wiecznie zielonym, aczkolwiek

teraz przyprószo-śniegiem żywopłocie oddzielającym jego posesję od wąskiej jantowej drogi, od której w oddali odchodziła ścieżka

prowa-va do na ogół nie zamieszkaney chaty. Mrużąc oczy w jaskrawych promieniach słońca, O'Callaghan dostrzegł sylwetkę Peggy

'Zasajęcej zawiniątkiem. Krzyki wzmagaly się każdorazowo.

319

kiedy wyrzucała pakunek w górę. Wreszcie przeszły w cich zawodzenie i umilkły zupełnie, gdy kobieta straciła siły j t dreptała w tę i we w tę na podjeździe.

Boże słodki — pomyślał O'Callaghan — wygląda stras • staro jak na matkę takiego maleńkiego dziecka.

Miał się odwrócić i zająć swoimi sprawami — on nie był na t i. nieodpowiedzialny, żeby przetrzymywać noworodka, cóż z tesC że owcy, na zewnątrz przy tej temperaturze — ale wtedy właśnie z chaty wyszedł Sam Collins. OTallaghan odruchowo cofnął się za żywopłot, wyzierając tylko jednym okiem. Pomimo odległości wyraźnie widział twarz mężczyzny i mógł mieć pewność, że nie jest to właściciel chaty ani też jego krewny. Przez moment przemknęła mu przez głowę myśl, że to ten gang porywaczy, o którym zrobiło się ostatnimi czasy głośno, i że powinien powiadomić policję. Zaraz jednak przypomniał sobie o swoim nieubezpieczonym samochodzie, wyposażonym w

łyse opony, i uznał, że nie będzie niepotrzebnie nadstawiał karku. Zresztą pewnie i tak się pomylił. Jego zeznanie nikomu by nie pomogło, a jemu tylko zaszkodziło. Po co mu koszty i wstyd? Postanowił pilnować własnego nosa i zająć się tym co istotne, czyli jagnięciem, które jak najszybciej powinno znaleźć się w ciepłym i suchym miejscu.

— Obejrzałem wiadomości o dziewiątej, potem prognozę pogody. Po pogodynce przełączyłem się na, zdaje się, BBC, gdzie pokazywali program dokumentalny o rozwoju techniki medycznej w Stanach Zjednoczonych. Później obejrzałem coś jeszcze... Parę minut meczu na Sky Sports, chyba grał Manchester United z Sheffield. Nie wciągnęło mnie to, więc wyłączyłem telewizor i położyłem się spać.

Dean Lynch raz jeszcze przedstawiał swoje alibi na wtorkowy wieczór, jedenastego lutego. Wysłuchiwała go Kate Hamil'011 ze swoimi ludźmi w sali numer dwa na posterunku przy Store Street.

Jak tylko potwierdzono, że ofiarą bagażnika jest siostra Sara Higgins, rozpętało się piekło. Kate natychmiast poinformowała nadinspektora Loughry'ego o kolejnym morderstwie powia2'1 nym z Centralnym Szpitalem Położniczym. Bez problemu zna lazło się dwudziestu dodatkowych detektywów, których możn

320



przydzielić do paprzącego się dochodzenia w CSP. Szpital- korytarze znów rozbrzmiały ciężkimi krokami policjantów, których personel medyczny upatrywał najeźdźczej armii. NV w których przedtem pozostawały zamknięte przed stróżami awa. teraz otwierano bez ceregieli, by przeszukiwać biurka Nadawać niewygodne pytania. Mężczyźni, których alibi przedstawione w związku ze śmiercią Mary Dwyer wydało się policji S0dejrzone, zostali poproszeni o stawienie się przy Store Street płożenie dodatkowych zeznań, mających pomóc w zataczającym coraz szersze kręgi śledztwie. Nikt nie miał już wątpliwości, że policja postanowiła działać i za wszelką cenę schwytać sprawcę bądź sprawców obu morderstw, nawet jeśli komuś się to nie podobało. Sierżant Kate Hamilton podchodziła do sprawy bardzo poważnie. Informacja o śmierci Sary Higgins nie została na razie podana do wiadomości opinii publicznej. Z osób postronnych wiedział o niej tylko Dean Lynch, który poszedł na pierwszy ogień i teraz sprawiał wrażenie chodzącej niewinności i uosobienia smutku z powodu odejścia tak znakomitej pielęgniarki. I nikt panu wtedy nie towarzyszył? — zainteresowała się kate.

Siedziała dokładnie na wprost Lyncha i nie spuszczała z niego wzroku. Coś jej w nim nie pasowało. Nie umiałyby sprecyzować, o co jej chodzi, lecz dałyby sobie uciąć prawą rękę, że Dean Lynch coś ukrywa. Zauważyła, że kołnierzyk jego koszuli zdaje się o numer za duży, a na twarzy zwisa mu skóra — jakby niedawno stracił sporo na wadze, aczkolwiek nie dla zdrowia. Sinożółte fałdy na szyi i ogólnie nieciekawym koloryt nadawały mu chorowity wygląd. Odgarnięte wysoko na czoło i zaczesane do tyłu włosy ujawniały kościste łuki brwiowe, na których zbierały się kropelki P<sup>o</sup>tu. Do tego kasłał, raz po raz przerywając składanie zeznań, co Oprowadzało Kate do szału.

Nikt nigdy mi nie towarzyszy. Mieszkam sam. Od zawsze. ' w'e pani co? Jak dotąd nie stanowiło to problemu, ani dla mnie, ani dla nikogo innego. Mam nadzieję, że nie doradzi mi pani 'Małżeństwa, abym w przyszłości miał pewniejsze alibi. W końcu w Dublinie codziennie zdarza się jakaś zbrodnia.

Uśmiechnął się lekko. Kate chciała zignorować ten uśmiech, a'e nie mogła. Wszystko co powiedział za pierwszym razem,

3

zgadzało się z jego dzisiejszymi słowami. Przepytywany na licznosc

morderstwa Sary Higgins wykazywał się wrażliwość jakiej można by się spodziewać po współpracującym z ofiarą karzu, precyzją tam, gdzie powinien być precyzyjny, j nje" pewnością w pozostałych wypadkach. Biła od niego wielka pCw ność siebie i nawet odrobina zmieszania. Nie zachowywał się an-trochę jak ktoś, kto popełnił dwa brutalne morderstwa w odstępie niecałego tygodnia.

Lynch odkaszlnął znowu. Kate wzdrygnęła się, słysząc, jak odrywa mu się flegma.

— Przeziębził się pan? — spytała.

Nie, złapałem jakiegoś wirusa. Biorę leki, powinienem stanąć na nogi już za parę dni.

Mówiąc, nie odrywał wzroku od twarzy Kate. Poczowała się nieswojo pod tym badawczym spojrzeniem.

Jak spędził pan wczorajszy wieczór?- Postanowiła zmienić taktykę i zadziałać z zaskoczenia; miała nadzieję, że przyłapie go na czymś.

Doktor Lynch faktycznie zrobił zdziwioną minę.

— Wczorajszy wieczór? — upewnił się, że dobrze usłyszał.

— Tak, wczorajszy wieczór. Od dwudziestej drugiej do pierwszej nad ranem.

Nie przestając się dziwić pytaniu, Dean Lynch poprawił się na niewygodnym krześle. Ani na moment nie przestał patrzeć wprost na Kate. To te oczy — uznała w duchu. — Coś jest w jego oczach, co ani trochę mi się nie podoba...

— Prawdę powiedziawszy, większość wieczoru spędziłem poza domem. Po tym stwierdzeniu zapadła cisza. Dowling i Doyle, biorący bierny udział w przesłuchaniu, wzmogli czujność.

— Naprawdę? A gdzie w takim razie pan był?

— W kinie. Nazywa się Savoy, może je pani zna. Postanowiłem przypomnieć sobie „Ojca chrzestnego”. No wie pani, Mar'on Brando i Francis Ford Coppola. Mówię oczywiście o jedyńce, pozostałe części nie były już tak dobre.

— O której rozpoczął się seans?

Hm... Nie pamiętam dokładnie. Chyba o wpół do jedena stej. Wyszedłem z domu wcześniej, bo chciałem dostać bile'

322

bre miejsce. Niestety na nocne maratony filmowe nie można obić rezerwacji telefonicznej. Musiałem odstać swoje i zapłacić gotówką.

-Ile trwał film?

Nie wiem, naprawdę nie wiem. Przecież go oglądałem,  
„nie patrzyłem na zegarek — znowu lekki uśmiech. — Sądzę ednak, że  
„Ojciec chrzestny 1" skończył się o pierwszej albo wpół do  
drugiej...

Pytania zaczęły padać z szybkością karabinu maszynowego. Odpowiedzi  
wydawały się szczere, niektóre przemyślane, inne spontaniczne.

Dean Lynch wydawał się niewinny. Za jego plecami Dowling pokręcił  
głową do Kate. Dajmy mu spokój — mówiły jego oczy — to donikąd  
nas nie zaprowadzi. Musimy szukać dalej.

Doktorze Lynch — zapytała jeszcze Kate — czy zgodziłby się pan na  
zrobienie testu na obecność wirusa HIV? To niezbyt skomplikowane  
badanie mogłoby ostatecznie oczyścić pana z wszelkich zarzutów.

Dean Lynch nachylił się i oparł obie dłonie o blat stołu. Poruszał się  
wolno, jakby równocześnie namyślał się nad odpowiedzią. Kate  
wstrzymała oddech.

Pani... przepraszam, zapomniałem, jaki pani ma stopień.

Sierżant. Jestem sierżant Kate Hamilton. — Informacja została udzielona  
suchym, pozbawionym nawet cienia życzliwości głosem.

Pani sierżant Hamilton — podjął Lynch, rozkoszując się tym, że Kate  
czeka na każde jego następne słowo. Wymówił jej nazwisko wolno,  
z premedytacją przeciągając zgłoski i nie odrywając spojrzenia od jej  
twarzy. Kate poczuła, że spuszcza wzrok P°d naporem dziwnych  
oczu przesłuchiwanego. — Osobiście n,e mam nic przeciwko temu, by  
podać się badaniu, które pani banie może pomóc w śledztwie, a  
przy okazji uwolnić mnie

Podejrzeń. Jednakowoż profesor Armstrong poinstruował nas, Abyśmy nie  
podejmowali żadnych decyzji pod presją chwili, nie  
skontaktowawszy się wcześniej z prawnikiem. Prawdę mówiąc, Profesor  
Armstrong zalecał, byśmy w ogóle nie współpracowali 2 Policją z  
własnej woli — dodał cierpko.

Kate nie zdołała ukryć wybuchu gniewu.

323

— Profesor Armstrong c o zrobił?

Dean Lynch zabrał ręce ze stołu i odchylił się na oparcie ?w kłego  
drewnianego krzesła. Z trudem przyszło mu powstrzym rodzący się  
uśmieszek satysfakcji.

— Tak jak powiedziałem — odparł — radził nam, żebyśn nie  
współpracowali z policją. To on przyjmuje lekarzy na zwa| niające  
się stanowiska i zwalnia tych, których z jakiegoś powodu uważa za

nieprzydatnych dla misji Centralnego Szpitala Położniczego.

Wszyscy jesteśmy w pewnym sensie od niego zależni. Jeśli doradza nam takie, a nie inne zachowanie, jesteśmy mu winni posłuszeństwo.

Na razie wolno nam wspomagać dochodzenie w bardzo ograniczonym zakresie, robiąc to, co absolutnie konieczne w takiej sytuacji, i nic ponadto. Z radością poddam się badaniu, o którym pani mówiła, jednakże nie uczynię tego wcześniej, niż uzyskam zgodę od profesora Armstronga i prawnika CSP.

Rewelacja na temat Patricka Armstronga i jego stawania okoniem w śledztwie rozłożyła Kate na obie łopatki. Pośpiesznie zakończyła przesłuchiwanie Lyncha, po czym odbyła z Dowlingiem krótką, nerwową naradę i posłała Johna Doyle'a, żeby odszukał krnąbrnego profesorka. Lynch zacierał w duchu ręce. Wywinął się płazem, kiedy ogień pytań zaczął go przypiekać. Kate właśnie miała zapytać go o coś jeszcze, kiedy rozległo się stukanie do drzwi i ktoś wywołał ją na korytarz. Kiedy wróciła, oczy jej błyszczały, a ręce lekko drżały przy zbieraniu ze stołu notesu i luźnych kartek.

Dean Lynch przyglądał się wszystkiemu z kamienną twarzą. Odchrząknął, chcąc zwrócić na siebie uwagę, po czym spytał:

— Czy będę jeszcze potrzebny? — Wydawało się, że pomimo zaleceń przełożonego aż pali się do współpracy.

— Nie, to na razie wszystko — rzuciła Kate i zreflektowawszy się, dodała: — Dziękuję, okazał się pan bardzo pomocny. Mam nadzieję, że nie zaburzyliśmy zbyt pańskiego dnia.

Lynch wstał, odsuwając krzesło wyprostowanymi nogami.

— Ależ skąd — zapewnił. — Żałuję, że nie potrafię pomóc bardziej, ale jestem raczej samotnikiem. Nie wysłuchuję szp'13 nych plotek i nie mam wiele do powiedzenia...

Kate zmusiła się do uśmiechu.

324

Proszę się o nic nie martwić, doktorze. Bardzo nam pan ornógł. Zaraz poproszę funkcjonariusza, żeby pana odprowadził do drzwi. Nie trzeba — przerwał jej — sam znajdę wyjście.

Trzymał już rękę na klamce, kiedy Dowling zaatakował go znienacka:

— Doktorze Lynch, czy ktoś panu mówił, jak zginęła Mary pwyer? Chodzi mi o to, czy usłyszał pan może od kogoś, co dokładnie ją spotkało?

Lynch zamarł, jakby dotknięcie metalowej klamki poraziło go prądem.

— Nie. Nie pytałem o to. Jak próbowałem wyjaśnić, nie interesują mnie

czcze plotki. Mimo że w szpitalu aż od nich huczy. Z nikim nie rozmawiałem na temat nieszczęsnej Mary Dwyer, niech jej ziemia lekka będzie...

Z nikim? — wpadł mu w słowo Dowling, gładząc się dłonią po brodzie. Z nikim — potwierdził Lynch. Popatrzył uważnie na Dowlinga, potem przeniósł wzrok na Kate. — Czy to już wszystko?

Tony Dowling skinął głową.

Tak. Dziękujemy, że zechciał pan przyjść, doktorze. Do widzenia.

Jak tylko zamknęły się za nim drzwi, Kate odwróciła się do Dowlinga i rozpromieniona poinformowała:

— Tom Morgan poprosił o rozmowę.

Kiedy? — Tony w podnieceniu podniósł głos.

Przed chwilą — odparła Kate. — Właśnie dostałam informację, że dzwonił jego prawnik. Doktor Morgan chce złożyć dobrowolne zeznanie. Nie mogła się tego doczekać. Nuciła, pakując torbę. Byłaby o wiele szczęśliwsza, gdyby nie coś, co wciąż nie dawało jej spokoju w związku z osobą Deana Lyncha. Postanowiła jednak odsunąć na razie myśli o nim i skoncentrować się na jego koledze, który nagle wydał jej się o niebo ciekawszym podejrzanym.

Dean Lynch wszakże nie wyrzucił Kate z pamięci. Dla niego była wystarczająco interesująca.

325

— Naprawdę jesteś geniuszem, Deano — mruzczał półśmiało, podążając chodnikiem wzdłuż Store Street.

Minał grupkę kobiet, które opadły samotną policjantkę n-czym jastrzębie i próbowały wylewać przed nią żale albo pra(i) rodzinne brudy. Funkcjonariuszka złapała jedną z kobiet za ram i przesunęła lekko, robiąc przejście Lynchowi. Podziękował i skinieniem głowy.

Kiedy szedł do swojego samochodu, rozżłoszczony Patrick Armstrong domagający się głośno szacunku i sprawiedliwości był sprowadzany po głównych schodach Centralnego Szpitala Położniczego do wozu patrolowego mającego go zawieźć na posterunek przy Store Street. Tam profesor miał zostać poddany bezceremonialnemu przesłuchaniu i być gnębiony tak długo, aż policjanci nabiorą przekonania, że nie mają na niego choćby najmniejszego haka i nie mogą przetrzymać go w areszcie za utrudnianie do chodzenia. Jednakże wypuszczono go dopiero po tym, jak ktoś „życzliwy” dał cynk reporterom „The Evening Post” i pod posterunek zdążyła zajechać furgonetka z gazetowym

fotografem i dziennikarzem.

Dean Lynch wygrywał na wszystkich frontach.

XXXVI

Godzina 17.17 Beechill

Jack McGrath kipiał ze złości.

Niewiele udało się dowiedzieć, wstrząsając posadami półświatka. Wszyscy działający w cieniu zdawali się skłonni do pomocy, a przynajmniej na pewno chętni, by znów zapanował spokój i można było prowadzić szemrane interesy bez ryzyka, że policja patrzy na ręce obu zainteresowanym stronom. Mało komu podobało się porwanie maleńkiego dziecka, które ledwie zdołało przyjść żywe na ten świat, ale nikt nie wiedział, jak potoczyły się jego dalsze losy ani gdzie jest przetrzymywane.

Jednostka Jaguarów sprawdziła każdego, kto wydawał jej się godny sprawdzenia w związku ze sprawą kidnapingu. Szefowie skontaktowali się nawet z bliźniaczą formacją na terenie Irlandii Północnej i uzyskali pomoc. Zostało zatrzymanych i przyciśniętych kilku gangsterów i eks-żołnierzy IRA, ale to także nie przyniosło spodziewanego efektu. W kraju w każdym większym mieście oprócz Dublina

— między innymi w Corku, Galway i Limerick — zatrzymywano i maglowano drobnych przestępców ' grube ryby; wszystko nadaremnie.

Jack

McGrath musiał się poddać i przyznać, że kimkolwiek są porywacze, nie zaliczają się do Pierwszej ligi. Ta została przetrzepana i gdyby coś było na rzeczy, Policja wpadłaby na choćby najlżejszy trop. A skoro tak, winny-IT|i porwania musieli być jacyś nieudacznicy, którzy aż dotąd nie mieli pojęcia, na co się porywają, i dopiero teraz zrozumieli, że wpadli jak śliwka w gówno. Na pewno docierały do nich echa °gólnonarodowego poruszenia, a to musiało wywołać wśród porywaczy amatorów nie lada panikę. Być może tak wielką, że byli

327

gotowi porzucić dziecko i dać nogę, ratując własną skórę fa, możliwość bynajmniej nie pocieszała McGratha, ponieważ 8 niało spore prawdopodobieństwo, że bezmyślni dranie zostaw' dziecko byle gdzie, nie dbając o jego bezpieczeństwo. Inspektor McGrath drżał na myśl, że Gordon O'Brien zostanie znalezion w jakimś rowie albo kubie na śmieci, podczas gdy porywacze ro płyną się w sinej mgle

wiszącej zawsze nad dokami przy Liffey skąd niewątpliwie się wywodzili. Co dwanaście godzin uaktualniano stan bieżącej wiedzy na temat O'Briena juniora. Odkąd Jack McGrath zaczął koordynować działania, nie pojawiło się właściwie nic nowego. Pani minister sprawiedliwości wisiła na telefonie, domagając się codziennych raportów, co jeszcze bardziej rozwścieczało inspektora.

McGrath był zdania, że kluczowa informacja jest w posiadaniu Harry'ego O'Briena. Nazwisko, imię, pseudonim, pozornie nieważne wspomnienie, teoretycznie nieistotny fakt... coś, co mogłoby ich naprowadzić na trop. Dlatego zadzwonił do Beechill i poprosił o spotkanie.

— Proszę się skupić... Może jednak coś pan pamięta? Jakiś urywek rozmowy, dziwne pytanie, cokolwiek.

Harry O'Brien kręci! głową w odpowiedzi na każde pytanie. Poza tym sprawiał wrażenie katatonika.

— A ci mężczyźni, którzy pana skrepowali?

Właściciel Beechill i szef O'Brien Corporation siedział w tym samym krześle, do którego przywiązali go porywacze w noc, gdy zaginął jego nowo narodzony syn. Wyglądał tyl ko trochę lepiej niż wtedy, kiedy McGrath zobaczył go po raz pierwszy. Nie mamrotał już do siebie, nie krzyczał na ludzi — histeria wyraźnie ustąpiła zubożeniu na wszystko, co nie miało bezpośredniego związku z

Gordonem. Chociaż nadal prezentował się kiepsko z niewyspania i troski, miał chwile przeblysków. W jego oczach coraz częściej pojawiały się isierki życia, nie chodził już ubrany w byle co, pamiętał o tym, żeby się uczesać i ogarnąć. Mimo to poznać było, że najdrobniejsze czynności przychodzą mu z wielkim trudem, jakby nie miało znaczenia nic poza jednym: odzyskaniem juniora-Chciał sprawiać wrażenie, że jest u steru, ze względu na żonę-na kręcących się wciąż po domu przedstawicielei policji, wreszcie na Dempseya, który większość czasu spędzał u siebie, przykuty

328

jo aparatu telefonicznego w oczekiwaniu na następny kontakt ze strony porywaczy, tym razem mający zawierać dokładne instrukcje co do przekazania okupu. Sandra tkwiła w tym samym co Harry pomieszczeniu, nie spuszczając go z oka i nie pozwalając, t,y ktokolwiek odwiódł go od zamiaru wykupienia syna z rąk tych barbarzyńców. Jej piękną twarz szpeciły liczne bruzdy i cienie powstałe z braku

snu i ciągłego zmartwienia. Ona także nie myślała o niczym innym jak tylko o tym, by odzyskać swoje dziecko. Zanim będzie za późno...

— Panie O'Brien — spróbował ponownie McGrath — proszę nam pomóc. Na pewno pamięta pan coś na temat tej dwójki, która pana skrepowała.

Harry O'Brien podniósł wzrok i wyzywająco popatrzył inspektorowi w oczy.

Nie — odparł stanowczo, jakby zupełnie nad sobą panował. W rzeczywistości wewnętrznie cały się trząsał. Szarpało nim przerażenie, wstyd, uczucie przegranej. Nawet gdyby chciał, nie umiałby skupić się na przywoływaniu wspomnień z tamtej okropnej nocy.

Był świadkiem, jak na jego oczach obcy ludzie wynoszą z domu upragnionego syna, jak jego żona łka, niezdolna, by zasnąć czy choćby coś zjeść, mimo że słała się ze zmęczenia. Wywiązały się u niego problemy kardiologiczne, na tyle niepokojące, że musiano wezwać lekarza z Roundwood. Badanie EKG ujawniło to, co wszyscy skrycie podejrzewali: O'Brien senior nie przechodził zawału, tylko cierpiał na stres tak silny, że aż wywołał stan zbliżony do chwilowego ustania akcji serca. To uświadomiło mu, że powinien zakończyć tę sprawę bez względu na cenę. Bardzo chciałby pomóc schwytać porywaczy, mieć pewność, że odcierpią swoje za niewybaczalny czyn, którego się dopuścili, jednakże nade wszystko musiał chronić swoją żonę, swoje dziecko i siebie samego. Musiał odzyskać Gordona. Zanim komuś z nich stanie się coś złego...

Powiedział pan na początku, że jeden był drobny i że to on na koniec się odezwał... — naciskał O'Briena inspektor.

Harry O'Brien kiwnął głową, potem nią pokręcił, potem znów kiwnął. Wreszcie wzruszył ramionami.

— Nie pamiętam — szepnął.

329

— Co dokładnie robił i co mówił? — dopytywał McGrath — Czy był ubrany w coś, co rzuciło się panu w oczy i o czym pan nam wtedy nie powiedział? Proszę podzielić się z nami każdym drobiazgiem, bez względu na to jak nieistotny się panu wydaje Buty, kosmyk włosów, zapach papierosów, wody kolońskiej... Co kolwiek... Panie O'Brien, dla dobra swego dziecka, niech pan wyteży pamięć. Teraz szukamy po omacku, jakakolwiek informacja jest w stanie przestawić nas na właściwy tor. Można powiedzieć że był pan jedynym



naocznym świadkiem porwania...

McGrath opadł na kanapę zmęczony i zły. Nigdy jeszcze, ani razu podczas długich lat pracy w policji, nie czuł się tak bardzo bezradny. Widząc, że gospodarz nie zamierza współpracować, wyrzucił ramiona w górę w geście poddania, po czym zerwał się i ruszył do wyjścia. Był w połowie drogi do drzwi, kiedy O'Brien odezwał się cicho:

— Byłby mnie zastrzelił.

Szept rozległ się w pomieszczeniu głuchym echem. Nikł nie śmiał spojrzeć na Harry'ego, któremu głos drżał z emocji, bliski płaczu.

— Ten drobny przyłożył lufę pistoletu do mojej głowy — ciągnął O'Brien, palcem wskazującym dotykając miejsca na czaszce, gdzie poczuł chłód metalu. — Odciągnął kurek i zaczął naciskać na spust... Myślałem, że już po mnie. Ale broń chyba nie była naładowana... Usłyszałem tylko suchy trzask, po którym nie nastąpił wystrzał. Nadal żyłem. Wtedy on powiedział: „To nie rosyjska ruletka, Harry. W następnej komorze na pewno jest nabój”.

Jack McGrath nie mógł uwierzyć we własne szczęście.

— Panie O'Brien, proszę posłuchać... To bardzo ważne... Mówił wolno, z namysłem, nie chcąc spłoszyć Harry'ego ani tym bardziej źle zinterpretować jego słów. — Jest pan pewien, że tak właśnie było?

Mężczyzna zaczął odgrywać scenę raz jeszcze, powtarzając-

— Ten drobny przyłożył mi broń do czoła, o tak — pokazał.

W gabinecie panowała idealna cisza. Sandra O'Brien wstrzymała powietrze, aby oddechem nie przeszkodzić mężowi. Nie rozumiała, w jaki sposób taka informacja może pomóc w przywróceniu jej dziecka, niemniej nie chciała stracić szansy, jakkolwiek złudna jej się wydawała. Wodziła wzrokiem od popielatoszarej

330

twarzy Harry'ego do podnieconych oczu inspektora, który spijał każde słowo z warg mówiącego.

.— A potem odciągnął kurek i nacisnął spust. Jak Boga kocham, zacząłem żegnać się z życiem, ale... w komorze chyba nie było naboju, bo rozległ się tylko cichy trzask. — O'Brien spojrział na McGratha nieco przytomniejszym wzrokiem i zapytał: — Naprawdę sądzi pan, że to ma jakieś znaczenie?

.— Jakie były jego słowa? Pamięta pan je dokładnie? — Jack opuścił powieki, koncentrując się na tym, co zaraz usłyszy. Podniecenie

wprost go rozpierało.

O'Brien senior myślał przez prawie minutę, zanim znów się odezwał. Nagle jego czoło wygładziło się, a on skinął głową, jakby zyskał stuprocentową pewność.

- Tak. Użył dokładnie takich słów: „To nie rosyjska ruletka, Harry. W następnej komorze na pewno jest nabój”. Czegoś takiego się nie zapomina dodał.

Inspektor Jack McGrath był w siódmym niebie.

To Tommy Malone! Tylko Tommy Malone tak mówi! A to oznacza, że pańskiego syna przetrzymuje właśnie on! Poprzednim razem złapaliśmy go dzięki identycznym zeznaniom świadka! Pieprzony Tommy Malone...

Bez pytania złapał za słuchawkę stojącego na biurku aparatu telefonicznego i szybko wybrał kombinację cyfr. Jego ekscytacja była zaraźliwa; wszyscy poczuli się tak, jakby dziecko było już w drodze do domu, a Tommy Malone za kratkami. Sandra podbiegła do męża i wycisnęła na jego czole wilgotny od łez pocałunek, schwytała go za obie dłonie i osunęła się na ziemię przy Jego stopach. Zaczęła

poruszać ustami w bezgłośnej modlitwie. Proszę, Panie Boże, niech Gordon wróci bezpiecznie do domu, niech mu się nic nie stanie...

Proszę, Panie Boże, to tylko małe dziecko... Kiedy poczuła, że ktoś ściska ją za rękę, podniosła głowę i zobaczyła, że jej mąż płacze. Odwzajemniła uścisk, ale go przerwała modlitwy. Proszę, Panie Boże, przywróć nam nasze dziecko...

Ktoś odebrał telefon, bo Jack McGrath zaczął rzucać krótkie komendy.

— Natychmiast sprawdzić kartoteki. Thomas Malone albo Tommy Malone, pod którymś nazwiskiem coś powinno wysko-

331

czyć. Zapytać centralę, czy czujki namierzyły go podczas rutynowego obstawienia Dublina... — Czekając na odpowiedź, odwrócił się od znajdujących się w gabinecie osób i sam zaczął się p0 c-chu modlić, ręką zakrywając mikrofon słuchawki. Oczekiwani przedłużało się w nieskończoność, ale w końcu w głośniku odezwał się czyjś poruszony głos, podając informację, o którą modlił się McGrath.

Thomas Malone nie został zlokalizowany podczas akcji w Dublinie. Był jednym z trzydziestu dwóch notowanych którzy przeciekli przez sito poszukiwań. Ostatnio widziano go w „Królestwie Hala”. Hal, obrócony na wszystkie strony, okazał się tak samo przydatny jak

zawsze. — Wystawić nakaz aresztowania Malone'a — szczerką McGrath.

— Zebranie jednostki za godzinę na posterunku przy Pearse

Street.

Rzuciwszy słuchawką na widełki, nie zatrzymał się nawet, by cokolwiek wyjaśnić przysłuchującym mu się osobom. Wypadł przez drzwi, zbiegł po schodkach przy frontonie budynku i wszedł do nieoznakowanego wozu patrolowego, zanim ktokolwiek zdążył się poruszyć.

Rozpoczęło się polowanie na Tommy'ego Malone'a.

Nieświadomy niczego Tommy stał na stacji Heuston, czekając na Mulligana. Był w wyjątkowo podłym nastroju. Kiedy zadzwonił do Dempseya, żeby wyłożyć, kiedy i jak dokładnie ma zostać przekazany okup, Theo wpadł mu w słowo, mówiąc:

— Nie mamy jeszcze całej sumy.

— Jak to: nie macie? — krzyknął Malone do słuchawki, nie umiając zapanować nad podnieceniem. — A dzieciaka chcecie zobaczyć żywego?

— Robimy, co możemy — tłumaczył ochroniarz O'Briena, wyczuwszy gniew po drugiej stronie linii — ale nie jesteśmy w stanie przeskoczyć przepisów. Nie da rady wyciągnąć z konta więcej niż pięćdziesiąt tysięcy dziennie, musisz mi uwierzyć na słowo, nie skłamałbym w tak poważnej sprawie. Mój szef chce odzyskać syna i jest gotów zapłacić tyle, ile żądacie, ale bruzdę robią mu banki i własni księgowi. Dlatego pieniądze są ściągane z banku na Jersey, ale to z kolei trochę potrwa. Musicie nam dać jeszcze jeden dzień...

332

Tommy Malone nie wierzył własnym uszom. Zęby szczękały „7imna i strachu. Poza nieszkloną budką wąskimi uliczka-  
ć w którymś z pojazdów, zmie-  
rZając OOKąs — uoKąuKuiwicp., uyle nie z powrotem do chaty za Kilcullen, gdzie chcąc nie chcąc musiał podzielić się otrzymaną informacją.

Możesz przekazać szefowi, że jego dzieciak wylądował w rzece, jeśli nie uzbieracie kasy do jutra. Słyszysz?

— Słyszę.

— Odezwę się jutro o tej samej porze. Jeśli wciąż będziecie kręcić, wsadzę gówniarza w worek i utopię w Liffey jak kociaka. —

Odwiesił słuchawkę, klnąc do żywego. Jak babcie Kocham, że tak zrobię, dodał w duchu, zdecydowany na wszystko i czując, że w obecnej sytuacji nie ma już nic do stracenia.

Był wystarczająco wkurzony, gdy szedł na stację, ale kiedy Moonface nie pokazał się o umówionej godzinie, Tommy eksplodował.

Przeklinał na czym świat stoi, patrząc, jak w siną dal odjeżdża pociąg do Newbridge o szesnastej czterdzieści pięć, a potem następny o siedemnastej dwadzieścia. Mulligan wtoczył się na peron dopiero za dwadzieścia szosta, ubrany w koszulkę swojej ulubionej drużyny piłkarskiej, na którą narzucił bluzę dre-sową w tych samych barwach, pod szyją zaś zawiązał fanowski szalik. Na widok Malone'a zaczął skandować:

— Ole! Ole! Ole! Nie damy się!

Na szarym i cichym peronie wyróżniał się jak papuga wśród wróbli, do tego zaczęli nieliczni podróżnicy, dodatkowo zwracając na siebie uwagę.

Malone jęknął ze zgrozy. Mulligan nie przejął się tym zbytnio. Jego szef nie był zadowolony, wielkie rzeczy.

Głowa do góry, Tommy. Na pewno wygramy! Skopimy Angolom tyłki. Ole! Ole! Ole! Nie damy się...

Nie uspokoił się nawet w pociągu. Współpasażerowie pokazy-Wa'i go sobie palcami i uśmiechali się między sobą z poczuciem wyższości nad prostakiem, dla którego całe życie to futbol i piwo. Gdyby tylko wiedzieli, że ten prostoduszny osiłek gotów jest zabić ?a

grosze... Rozśpiewany Mulligan doczekał się napomnienia od umundurowanego policjanta wracającego po służbie do domu.

osobowe i ciężarówka. Malone

333

Pięknie — jęknął w duchu Malone — cała policja nas szita a ten dureń pcha się glinom w oczy i jeszcze, kurdefelek, wyje ■ potępieniec!

Cokolwiek myślał sobie Tommy, nie przebił Sama Collinsa. Gdy tylko pojawili się z Martinem w chacie, spec od materiałów wybuchowych naskoczył na nich obu.

— Kretyn! Debil! — darł się na Mulligana. Opanowawszy się nieco, jął robić wyrzuty Tommy'emu: — Jak mogłeś mi pozwolić doprowadzić się do takiego stanu!...

— Zejdź ze mnie, Sam. Dobrze ci radzę, zejdź ze mnie.

— „Zejdź ze mnie"! „Zejdź ze mnie"! — przedrzeźniał dub-liński akcent Malone'a. — Co to do cholery znaczy: „zejdź ze mnie"? I

niby dlaczego mam z ciebie zejść, skoro pozwoliłeś temu głupkowi zrobić z siebie cyrk na oczach dziesiątek ludzi?

Słuszne zarzuty oraz nieudolna próba naśladowania jego sposobu wyrażania się sprawiły, że w Tommym coś pękło. Zamachnął się na Collinsa, który uskoczył, w ostatniej chwili schodząc z trajektorii ciosu. — Przyłożę ci! — pogroził mu Malone, rzucając się nań całym ciałem. Złapał Sama za koszulę i lekko ją rozdarł.

Moonface uczynił próbę rozdzielenia walczących, ale że był pijany jak bela i ledwie trzymał się na nogach, skończył jako piłku wzięta w dwa ognie. W końcu Collins odepchnął go silnie, ponownie dobierając się do skóry Tommy'emu.

Bójkę przerwała Peggy Ryan, a właściwie jej cięty język.

Wy sukinsyny, zaraz nabiję wam rozumu do tych głupich łbów, jeśli natychmiast nie przestaniecie. Ten dzieciak jest chory i potrzebuje lekarza! — krzyknęła na cały głos. Malone wypuścił Sama z niedźwiedziego uścisku i obdarzył go wrednym spojrzeniem.

Collins nie pozostał mu dłużny. — Lepiej coś z tym zrobmy — dodała Peggy po chwili, zadowolona z efektu, jaki wywarły jej słowa —

bo nie dostaniemy złamanego grosza, jak to chuchro wyzionie nam ducha. To co Malone uważał za swój gang, okazało się zbieraniną przypadkowych ludzi niegodnych zaufania i skaczących sobie do oczu przy byle okazji. Wciąż jeszcze działali razem, ale to mogł<sup>o</sup> się zmienić w każdej chwili.

Kłótnia z Malone'em była dla Sama Collinsa ostatnią kroplą

334

Mam tego dość! — rzucił przez zęby. — Mam dość tej holernej dziury i tego obsralucha.

Zaprawiony piwem Moonface dorzucił swoje trzy grosze:

On ma rację, Tommy. To miejsce jest pechowe. — Wcale tak nie uważał, ale jemu zimno też dało się we znaki, o płaczu niemowłęcia nie wspominając. Powiedziałyby wszystko, byle móc sobie już pójść. Zwłaszcza że pojutrze był mecz, którego za nic nie chciał przegapić. — Ole! Ole! Ole! Nie damy się! — zawołał trochę bez sensu. — Gdzie nasze pieniądze?

Malone zeszywniał, słysząc to pytanie.

— Na razie nigdzie. Dempsey powiedział, że będą mieli całą sumę dopiero jutro. Naprawdę nie wytrzymacie jeszcze jednego dnia?

Potem będziemy się mogli śmiać z tej nory i tego wyjca.

— Oni nas wodzą za nos, Tommy! krzyknął Collins. — Wcale nie mają zamiaru zapłacić. Całe to porwanie to śmierdząca sprawa, od początku do końca. Lepiej oddajmy im dzieciaka i się zbierajmy. Tym

sposobem przynajmniej wrócimy cali do domu.

Właśnie - podchwycił Moonface i zanucił: — Ole! Ole! Ole! Ja mam w środę mecz. Co mi tam jakiś okup. Niech żyje Irlandia! Naprzód, biało-zielooni! Zrobił wymach prawą nogą, kopiąc wyimaginowaną piłkę, za którą powiódł wzrokiem w pijanym widzie. Kiedy jego zdaniem wpadła do bramki, wyrzucił w górę oba ramiona, drąc się: — Ole! Ole! Ole!...

Collins popatrzył na niego z miazdzącą pogardą.

— Tommy, wycofajmy się z tego z honorem.

Malone nie zakrzyczał ich, zapewniając, że wszystko skończy się dobrze. Powoli także zaczynał tracić ducha. Najpierw obrócił się przeciwko niemu całkraj, a teraz jeszcze występował Przeciwno niemu własny gang.

Peggy, a ty co myślisz? — spytał. — Peggy! Gdzie ona Jest? Peggy, gdzie jesteś?...

Peggy Ryan była w sypialni. Z niepokojem wpatrywała się w dziecko. Nie zareagowała, kiedy za jej plecami stanął Malone, mówiąc:

Peggy, chodź do nas. Musimy coś przegłosować.

Obróciła się do niego wolno i powiedziała:

— Tommy, z tym dzieckiem jest coś nie tak. Na moje oko chorowało, i to poważnie.

335

\* .M

Gordon O'Brien faktycznie był chory. Nie domagał się je(j2e nia, oddychał szybko i płytko, wydawał się tkliwy. W jego p)u cach, a dokładnie u podstawy obu płuc zagnieździły się bakterie które zaczęły się namnażać. Był to początek zapalenia płuc, które wywiązało się na skutek narażenia na niewystarczająco wysokie temperatury w domu, ciągle wdychanie dymu papierosowego i półgodzinny spacer na mrozie.

Brian O'Callaghan miał rację. Małe dziecko nie powinno znaleźć się na dworze w taką pogodę.

A Gordon O'Brien się znalazł i to go dobiło. Zaczął mieć dość swojego życia. Jestem zmęczony, zmarznięty, chory — powiedziałby, gdyby umiał i gdyby był koło niego ktoś, kto by go wysłuchał nie mam siły tego dłużej ciągnąć.

„The Evening Post” miał swój następny temat. KOLEJNA OFIARA! krzyczały nagłówki. — ZAMORDOWANA PIELEŃNIARKA!

W środku wydania znalazł się fotoreportaż z miejsca zdarzenia. Zdjęcia

pokazywały odgradzoną żółtym parawanem scenę morderstwa, żółtą taśmę owiniętą wokół grubego pnia drzewa, odzianych na biało techników policyjnych i Dana Harrisona przy pracy. Zamieszczony na równoległej stronie tekst grzmiał z najgrubszych armat — na temat stanu państwa, w którym giną pracownicy służby zdrowia, a maleńkie dzieci są porywane wprost z kołyski. Nie omieszkano również wspomnieć o baronach narkotykowych. Na którejś z następnych stron zamieszczono sporych rozmiarów zdjęcie frontonu Centralnego Szpitala Położniczego z dramatycznym podpisem: CZY PO KORYTARZACH

TEJ ZASŁUŻONEJ PLACÓWKI NADAL CHODZI MORDERCA W BIAŁYM FARTUCHU?

Mniej więcej to samo pytanie zaprzętało umysły pacjentek leżących na oddziałach CSP. Kobiety patrzyły na lekarzy, ochroniarzy, portierów, a nawet na pielęgniarki i salowe z intensywnością spojrzenia, która mroziła. Niektóre dodawały dwa do dwóch i otrzymawszy w wyniku sto, były gotowe uciekać ze szpitala mimo zagrożonej zaawansowanej ciąży. Wystarczyła jedna wypisana na własną prośbę pacjentka, by nastąpił prawdziwy e\*0'

33

s i wieloletnia renoma Centralnego Szpitala Położniczego legła w gruzach na zawsze.

O osiemnastej dwadzieścia policja wyważyła drzwi mieszkania Tommy'ego Malone'a. Nie po raz pierwszy, odkąd tam się wprowadził. Był tak przyzwyczajony do częstych „wizyt” stróżów prawa, że nigdy nie pozostawiał na wierzchu żadnych obciążających go dowodów czy wskazówek. Podczas gdy przeszukiwanie polegające na zagłądaniu pod deski podłogi, przetrząsaniu stryszku, rozpruwaniu materacy i tapicerki, a nawet zagłądaniu do otwartych kartonów z mlekiem — trwało, inspektor McGrath z każdym niepowodzeniem nabierał pewności, że niczego tutaj nie znajdą. Na wszelki wypadek kazał piątce swoich ludzi kontynuować pracę, sam zaś z szóstką Jaguarów udał się do „Królestwa Hala”, uważanego za ulubioną spelunę Malone'a.

Hal właśnie podziwiał pupę jednej z graczek w bilard, kiedy do pomieszczenia wpadło pół tuzina antyterrorystów z McGra-thern na czele. Dwóch Jaguarów trzymało pod pachy bramkarza, który śmiesznie drobił nogami, dotykając podłogi tylko czubkami palców. McGrath rzucił się od razu w stronę Hala, ten zaś, gdy tylko się zorientował, co się

dzieje, usiłował dać nogę tylnym wyjściem. Na nieszczęście dla niego stali już za nim dwaj rośli policjanci, którzy uniemożliwili mu odwrót. Po chwili ciągnęli go już za sobą po betonowych schodach. Mały tłumek graczy w tym dziewczyna o kragłych kształtach ustawił się przy oknie i wyglądając na zewnątrz, patrzył, jak zawsze ostrożny Hal, wierzgając, wciskany jest do nieoznakowanego wozu policyjnego.

Czego ode mnie chcecie? — wrzeszczał Hal, próbując wysiąść drugimi drzwiami. Czyjaś silna ręka złapała go za włosy i Pociągnęła z powrotem do środka.

Chcemy, żebyś nam pomógł namierzyć porywaczy Gordona O'Briena uprzejmie wyjaśnił McGrath. Choć wewnątrz a2 się gotował, panował nad tonem głosu i rękoma. Z początku, nie uzyskawszy odpowiedzi wystarczająco szybko, zacisnął na jej Hala palce i krzyknął mu w twarz: — Wiemy o wszystkim, ■al, więc nas nie nabierzesz! Tommy Malone zorganizował to podanie. To nie zwykły włam, Hal, ani napad na bank, ani handel

337

dragami, ani nawet ciężkie uszkodzenie ciała. To całkiem jn liga. Zbrodnia, jakiej jeszcze w Irlandii nic było. Dla wzrrio 3 nienia swych słów inspektor podetknął zatrzymanemu pod oje najświeższą gazetę. — Na pewno czytasz gazety. Hal, więc wiesz o czym mówię.

Wiesz też, że wszystkie męty w Dublinie łakn krwi drani, którzy popsuli im interesy, czasem ustawiane od wie lu miesięcy i kosztujące wiele wysiłku. Przedstawię ci sprawę tak albo z nami współpracujesz, albo wymysknie mi się, że maczałeś palce w porwaniu.

Krew odpłynęła z twarzy podduszonego mężczyzny. — Co ty na to. Hal? — ciągnął McGrath. — Jestem pewien, że taka informacja

zainteresowałaby wielu z twoich kolegów... Niektórzy z nich pozbyliby się własnej matki, byle policja zlazła im wreszcie z karków.

Ci najtwardsi może nawet już to zrobili... Jak dobiorą ci się do skóry, przestaniesz grać w bilard. Hal, a zaczniesz śpiewać sopranem. I to nie w jakiejś sali koncertowej!

Parę minut później Hal wskazał na dwa zdjęcia spośród licznych profili pokazanych mu w wydziale przestępczości zorganizowanej przy Harcourt Square. Nie rozpoznał na nich ani jednej kobiety.

Nie wiem, kim ona jest, okej? Po prostu, kurwa, nie wiem.

Jack McGrath mu uwierzył. Zresztą nawet gdyby Hal go okłamał, miał już



wystarczająco wiele informacji. Zabrał ze sobą fotografie Malone'a, Mulligana i Collinsa, kiedy jechał do komendy przy Phoenix Park, żeby spotkać się z komendantem Quinlanem. Wieczorną ciszę przerwało wycie policyjnych syren.

Quinlan nie wahał się ani chwili.

Rozpowszechnić je w gazetach i telewizji. Najlepiej, żeby trafiły jeszcze do wieczornych wydań i głównych wiadomości-Zaraz skontaktuję się z dyrektorem RTE i wszystko załatwię-Alice Martin na pewno również poprze ten krok. Na miłość bo ską, McGrath, zabieraj się do roboty.

XXXVII

Godzina 18.37

— Nazywam się John Buckley. Jestem przedstawicielem kancelarii adwokackiej Buckley i Partnerzy. Oto moja wizytówka. Zostałem poproszony przez doktora Toma Morgana, żebym go reprezentował. Chciałbym na wstępie podkreślić, że doktor Morgan przyszedł tu dzisiaj z własnej i nieprzymuszonej woli. Po tym jak przedyskutowałem z moim klientem całą tę sytuację, doradziłem mu, aby złożył szczerze i wyczerpujące zeznania, mające oczyścić go z zarzutu zamordowania laborantki Centralnego Szpitala Położniczego oraz odsunąć od niego podejrzenia co do udziału bądź współudziału w jakichkolwiek działaniach przestępczych. Jak rozumiem, był przesłuchiwany przez policję w związku ze śmiercią Mary Dwyer? — Prawnik uśmiechnął się, odsłaniając rząd nierównych zębów. Siedzący obok niego Tom Morgan ubrał się na tę okazję w stonowany jodełkowy garnitur, w niczym nie przypominający gangów od Armaniego czy Bossa. Pod klasycznego kroju marynarką miał zwykłą białą koszulę i granatowy krawat w drobne białe ciapki, a luźne spodnie nie podkreślały jego sylwetki macho. Poszarzała ze stresu twarz wydawała się równie nijaka jak jego strój.

John Buckley był niewielkim, lecz imponującej tuszy męż-C2yzną, z jakiegoś powodu chodzącym wciąż w tym samym gar-n'turze, w którym odebrał dyplom ukończenia studiów prawni-CżYch.

Mój klient zdaje sobie sprawę, że grupa dochodzeniowa Goniała go jako jednego z podejrzanych. — Buckley skończył

339

I

wykładać na stół jakieś dokumenty, które dołączyły do leż już na blacie

grubej księgi, zapewne będącej kodeksem takim innym. Strony pozaznaczane były za pomocą fiszek z notatki mi. — Zanim jednak zostanie oficjalnie przesłuchany w sprawie pragnę w jego imieniu złożyć pewne oświadczenie.

Kate zmarszczyła brwi. Adwokat ani razu nie wymienił na zwiska Sary Higgins, o której niespodziewanym zejściu musiał słyszeć zarówno on, jak i jego klient. Wzruszyła w duchu ramionami. Zobaczmy, do czego nas to doprowadzi. Podniosła wzrok na Buckleya, za którego plecami siedzieli Tony Dowling i John Doyle.

— Mój klient podał przesłuchującemu go detektywowi nieprawidłowe informacje dotyczące miejsca, w którym przebywał wieczorem jedenastego lutego tego roku — zaczął oświadczenie prawnik Toma Morgana, odwołując się do swoich notatek. — Mój klient jest szanowanym lekarzem, mężem i ojcem trojga dzieci. Jego małżeństwo nie należy do udanych i pozostaje takie już od wielu lat. Pani Morgan cierpi na chorobę alkoholową i była kilkakrotnie leczona w zamkniętych ośrodkach odwykowych. Obecnie znów przechodzi ciężki okres... — zawiesił głos, pozwalając zebranych policjantom domyślić się reszty. Morgan, o którego życiu i bardzo osobistych sprawach była mowa, trzymał wzrok wbity w blat stołu. Z jego twarzy nic nie dało się wyczytać. — Tamten wtorkowy wieczór mój klient spędził w towarzystwie pewnej osoby... Prawdę powiedziawszy, spędził z nią całą noc.

— Z kim? — domagała się szczegółów Kate. — Gdzie? Morgan poderwał głowę, żeby na nią spojrzeć, może nawet coś powiedzieć, ale zaraz na powrót zapatrzył się w fascynujący blat stołu.

— Mój klient od godziny dwudziestej pierwszej tamtego dnia do ranka dnia następnego nie opuścił pokoju numer sto siedem naście w hotelu Gresham. Towarzyszył mu ktoś legitymujący s' paszportem holenderskim.

— Proszę nam podać jej nazwisko.

Buckley odchrząknął. . j

— Jego nazwisko brzmi: Jan Pietersen. To stary przyjaciel doktora Morgana, często się spotykają, gdy pozwalają oko ności. Jedenastego lutego spotkali się wieczorem w barze hote'

340

vm- Wypili parę drinków. Potem zjedli razem kolację. Na za-' j.cZenie wieczoru przeszli do pokoju pana Pietersena.

Kate zdołała zachować kamienną twarz; może tylko w jej oczach błysnęło zaskoczenie. Dowling i Doyle nie musieli się ha-oVVać — szczęki opadły im aż na kolana. Buckley zrobił efektowną przerwę, po czym kontynuował: Jako że mój klient za dużo wypił tego wieczoru, postanowił przenocować w pokoju pana Pietersena. Cały dzień próbowaliśmy się z nim skontaktować, aby mógł to potwierdzić, ale niestety jego amsterdamskie biuro poinformowało nas, że ponownie wyjechał w interesach za granicę i będzie z powrotem w Holandii dopiero za dwa tygodnie. — Przesunął na blacie kilka kartek i podjął: — Zdaje się, że już znajduje się gdzieś na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Rozesłaliśmy faksy w miejsca, gdzie zdaniem swoich asystentów powinien się pojawić, ale jak na razie nie otrzymaliśmy znikąd odpowiedzi.

Prawnik przestał mówić i popatrzył wprost na Kate, która nadal siedziała z miną Buddy.

Mój klient — ciągnął Buckley — jest świadom nieroztropności swego mijania się z prawdą, lecz na pewno uczynił to w dobrej wierze, chcąc chronić żonę i dzieci. Nie byłoby dobrze, gdyby kiedyś dowiedziały się, że ich ojciec doprowadził się do takiego stanu, że nie potrafił usiąść za kierownicą. — Na jego ustach pojawił się słaby uśmiech. Mam na myśli to, że jeden alkoholik w domu wystarczy.

Budda Hamilton nie odezwała się ani słowem.

Mój klient chciałby przeprosić za wprowadzenie policji w błąd i wyrazić nadzieję, że jego postępowanie zostanie, zważywszy na specyficzną sytuację, zrozumiane. Nie liczy na wycenienie, lecz na zrozumienie — zaznaczył Buckley. Po chwili Piferwy kontynuował z wahaniem: — To co teraz powiem, nie jest oficjalną częścią oświadczenia doktora Morgana. Pani sier-mój klient po prostu nie mógł mieć nic wspólnego ze śmier-Mary Dwyer. Wprawdzie nie potrafimy na razie przedstawić ? koj mi pana Pietersena, niemniej będziemy w stanie to uczynić Wzej czy później. Być może nie jutro ani pojutrze, ale na pewno najbliższej przyszłości. Nie mamy wątpliwości, że pan Pieter-Poświadczy nasze słowa. A wtedy stanie się całkowicie jasne,

341

że Tom Morgan nie mógł przebywać na terenie szpitala w cz • kiedy doszło tam do morderstwa.

John Buckley skończył mówić, odchylił się na oparcie krzesła-poczuł, jak

bardzo jest niewygodne, i ponownie usiadł prosto. Klient w dalszym ciągu wpatrywał się w ryse na blacie stołu

— Czy chcą państwo zadać mojemu klientowi jakieś pytania, na tym etapie?

Kate pochyliła się i podniosła z ziemi dużą brązową papierową torbę. Kiedy kładła ją na stole, Buekley i Morgan nie odrywali od niej wzroku, jak gdyby spodziewali się magicznej sztuczki. Tom Morgan miał możliwość zajrzeć w jej otwarty koniec, jednakże nie skorzystał, woląc dalej przyglądać się blatowi.

Doktorze Morgan, gdzie pan był od dwudziestej trzeciej wczorajszego wieczoru do pierwszej nad ranem? — zapytała Kate, pozostawiając torbę samą sobie.

Buekley zrobił dziwną minę.

— Chwileczkę, pani sierżant... Co to ma wsp...

— Panie Buekley, byłabym wdzięczna, gdyby pozwolił pan teraz mówić swojemu klientowi. To od pana wyszła propozycja zadania mu paru pytań.

Mających związek z wypadkiem z jedenastego lutego bieżącego roku, a nie...

— Nie sprecyzował pan tego — ucięła Kate. — Tymczasem chciałabym zadać panu Morganowi kilka pytań związanych z inną sprawą.

— Proszę pozwolić mi porozumieć się z moim klientem, zanim ustosunkuję się do pani prośby. Nie miałem pojęcia, w grę wchodzi jakiegokolwiek inne zdarzenia aniżeli te z minionego wtorku. Doktor Morgan przyszedł tutaj z własnej woli celem uzupełnienia swoich zeznań dotyczących tamtego wypadku-

— Morderstwa, panie Buekley — wpadła mu w słowo Kate a nie wypadku. Jedenastego lutego na terenie CSP bruta n'e zamordowano młodą kobietę. Być może pański klient pragnie żyć wyjaśnienia dotyczące także innych „wypadków”. — lekko torbę, tak że z jej otwartego końca wysunęła się Przez. czysta plastikowa koperta na materiał dowodowy, zawieraj gruby podręcznik z zakresu medycyny.

Adwokat John Buekley popatrzył na książkę.

342

Proszę pozwolić mi porozumieć się z moim klientem „owtórzył-

Kate zdjęła z nadgarstka zegarek i położyła go na stole obok torby- .....

Ma pan na to pięć minut i ani sekundy więcej. Ale — zawiesiła na chwilę

głos — może pański klient chciałby się lepiej przyjrzeć temu — wskazała na ofoliowany wolumin.

Buckley obrzucił Morgana uważnym spojrzeniem, ten jednak patrzył na książkę tępym wzrokiem. Kate wyjęła z kieszeni zakietu parę lateksowych rękawiczek, po czym otworzyła plastikową kopertę i uniosła ją, pozwalając, by podręcznik wylądował na blacie. Następnie czubkiem długopisu otworzyła okładkę, ujawniając wnętrze. W zagłębieniu z wyciętych stron tkwiło coś, co wyglądało na mały magnetofon, natomiast u góry grzbietu wyzierał mikrofonik. Prawnik i lekarz gapili się na ten cud techniki jak wół na malowane wrota. Policjanci przyglądali się ich reakcjom. Buckley pierwszy odzyskał panowanie nad sobą, odchrząknął i lekko zakasłał.

— Wrócimy za pięć minut.

Podczas gdy dwaj mężczyźni zawzięcie konferowali na korytarzu, Kate ucięła sobie pogawędkę z Dowlingiem i Doyle'em. Przesłuchanie jak dotąd przebiegało po ich myśli, aczkolwiek wszystkich nurtowała jedna wątpliwość: mianowicie Tom Morgan był albo doskonałym aktorem, albo całkowicie niewinnym człowiekiem.

Jak otworzyłaś tę książkę, miał taką minę, jakby naprawdę He wiedział, co o tym myśleć — powiedział Tony.

Dla nas i dochodzenia byłoby lepiej, gdyby był świetnym aktorem.

Pewnie tak — zgodziła się Kate, ale bez przekonania. Mia-a Przeczucie, że rozwiązanie zagadki kryje się gdzie indziej. . Rozmowę trójki detektywów przerwało otwarcie drzwi i wej-bc'e do pomieszczenia Buckleya i Morgana. Obaj zdawali się w,ele mniej pewni siebie aniżeli wtedy, kiedy wychodzili. . Jeszcze raz zwracam państwa uwagę na to, że doktor Tom , Organ przyszedł na posterunek z własnej woli — zaczął adwo- Jako jego przedstawiciel prawny mogę doradzić mu, aby PUscil komisariat, gdy ta rozmowa przyjmie niekorzystny dla

343

niego obrót. — Dla wzmocnienia swych słów prawnik przVk bezkompromisową minę.

Kate w dalszym ciągu nie dawała poznać, co myśli. Nie mówiąc, po prostu nacisnęła klawisz REWIND na dyktafon patrząc gdzieś pomiędzy głowami Morgana i Buckleya Kjc dy taśma się przewinęła, wcisnęła PLAY i zwiększyła głośność W pokoju przesłuchań rozległy się głosy. Były niezbyt wyraźne jednakże zrozumiałe i jakby podobne do

głosów dwojga z obecnych policjantów. Rozmawiano na temat niejkiej Sary Higgins że była umówiona na dziewiątą i się spóźnia, a miała zostać zabrana na posterunek, aby wysłuchać podejrzanych w sprawie o morderstwo Mary Dwyer i ewentualnie wskazać, którego z nich słyszała przez telefon wtorkowego wieczoru. Gdzie pan był od dwudziestej trzeciej wczorajszego wieczoru do pierwszej nad ranem? — powtórzyła pytanie Kate.

Tom Morgan obrzucił szybkim spojrzeniem swojego adwokata, który skinął zachęcająco głową: no dalej, powiedz im to.

- W Klubie Dżentelmenów na Dodder Street.

Kate prychnęła. Dowling i Doyle omal nie pospadali z krzeseł.

Wspomniany Klub Dżentelmenów był jednym z bardziej znanych klubów gejowskich w Dublinie. Mieścił się w piwnicy, w której z przodu urządzono niewielki bar i salonik, na tyłach zaś znajdowały się sauny. Było ich ze dwadzieścia. Jako że w głównej części klubu nigdy nie mieściło się więcej niż dziesięć osób, sauny były wykorzystywane na okrągło. Jakiś czas temu któryś z brukowców wysłał tam swojego reportera. Gazeta z wielką przyjemnością zamieściła fotoreportaż będący pokłosiem tej wizyty. Największe ze zdjęć podpisano: „Jedyna sauna w Dublinie z automatem sprzedającym prezerwatywy!” Wszystkie te takt) przemknęły przez głowy detektywów z prędkością światła. Buckley i Morgan razem dzielnie siłowali się wzrokiem z rysą na blaci stołu w pokoju przesłuchań.

1

W Klubie Dżentelmenów? — spytała z niedowierzaniem Kate, doszedłszy nieco do siebie.

— Tak — potwierdził Morgan.

— Sam?

— Nie.

— Ach tak?

344

Przepraszam, nie rozumiem... Skoro nie sam, to z kim?

FNie pamiętam.

Buckley jęknął przeciągle.

;Nie pamiętasz? — popatrzył ze zgrozą na swojego klienta.

f Nie, nie pamiętam. Nie mam głowy do nazwisk. - Doktor Morgan zmieszał się.

Nazwisk? — podchwyciła Kate. — Towarzyszyła panu więcej niż jedna osoba?

I — Tak — przyznał z nieszczęśliwą miną. L Dwie, trzy?... I — Trzy. I — Jakiej płci?

Tom Morgan chrząknął nerwowo, zaczął się bawić końcówką krawata. W gruzach legła starannie budowana przez lata mistyfikacja, dzięki której był najbardziej rozchwytywanym ginekologiem w Dublinie, ciesząc się reputacją ogiera. I to gdzie! Na policji.

Męskiej. Wszyscy trzej byli mężczyznami. Kate poddała się i zmieniła taktykę.

- Czy mówi panu coś nazwisko Sara Higgins? Siostra Sara Higgins?

Morgan po raz pierwszy wydał się naprawdę przestraszony. [ — T-tak...

Jak dobrze ją pan zna? — Kate nachylała się przez stół, górując nad niegdyś dumnym adonisem, teraz bardziej przypo-Ninającym wrak człowieka.

Eee... to znaczy... Zaprosiłem ją raz na drinka. Proszę darować sobie owijanie w bawełnę. Utrzymywał Pan z nią kontakty intymne czy nie?

Właśnie to sugerowała żona Morgana podczas popołudniowej rozmowy, jak również koleżanki Sary Higgins.

Tak, utrzymywałem — wzruszył ramionami Tom Morgan. Ale jaki to ma związek z morderstwem Mary Dwyer?

Doktorze Morgan, czy jest pan homoseksualistą? Nie, Ij °C' zadam to pytanie inaczej. Czy jest pan biseksualistą? • Rymuje pan intymne stosunki zarówno z kobietami, jak z 2 Mężczyznami?

345

W pokoju przesłuchań zaległa głucha cisza. Buckley otwo kilkakrotnie usta, lecz za każdym razem je zamknął, co unou' niło go do ryby wyjętej z wody.

— Tak — padła krótka, cicha odpowiedź.

— Doktorze Morgan, czy jest pan zarażony wiru« HIV?

W tym momencie adwokat John Buckley odzyskał głos.

— To dobrowolna rozmowa! — krzyknął, podrywając się na nogi.

Rękoma trzymał brzeg stołu, tak że aż pobiełały mu knykcie. —

Jeśli pani natychmiast nie wyjaśni, jaki jest powód pani pytań, będę zmuszony poradzić mojemu klientowi, aby zaprzestał składania jakichkolwiek dalszych wyjaśnień.

Kate rozluźniła się i oparła, gestem wskazując, aby Buckley uczynił to samo. Usiadł wyprostowany, jakby kij połknął, okazując w ten sposób pogardę dla metod policji. Popatrywał spode łba na siedzących naprzeciwko detektywów, podczas gdy jego klient zaczął

wyraźnie się trząść.

— Dobrze, wytłumaczę panu, czemu interesuje mnie, co robił pański klient minionej nocy — powiedziała Kate, opierając się o stół. Obaj mężczyźni wzdrygnęli się na widok jej wciąż obleczonej w półprzezroczyste rękawiczki dłoni. — Siostra Sara Higgins została zamordowana pomiędzy dwudziestą trzecią a dwudziestą czwartą wczorajszego wieczoru. Jej ciało odkryto w bagażniku jej własnego samochodu. Ktoś roztrzaskał jej głowę młotkiem. Następnie udusił ją niebieską żyłką.

Kate urwała, widząc, że Buckleyowi zaczyna brakować powietrza. Tom Morgan coraz bardziej zapadał się w sobie, gina-c w' nie rzucającym się w oczy garniturze, jak gdyby ktoś powoli spuszczał z niego powietrze.

— A na koniec — ciągnęła sierżant Hamilton — wbił w jej szyję skalpel. Tak głęboko, że wystawał tylko uchwyt. Identyczni postąpił morderca Mary Dwyer. Przez cały dzień zastanawiamy się, dlaczego następną ofiarą stała się właśnie Sara Higg"1.

Odpowiedź poznaliśmy, dopiero jak znaleźliśmy te nagrania w bibliotece, gdzie odbywały się zaimprovizowane narady społu dochodzeniowego. Podobny sprzęt tkwił w jeszcze

Na tak|

sam zestaw natknęliśmy się w pańskim gabinecie. Obok książkach, które ktoś wcześniej tak samo wypatroszył. . j ... .. -1 1 leZ'

346

■ el numer dwadzieścia trzy i nowiuteńki uchwyt. Dla kogo 5 I przeznaczony, doktorze Morgan?

Adwokat ponownie zerwał się na równe nogi, aby bronić swe-klienta, jednakże tym razem ze znacznie mniejszym przekonaniem-

pani sierżant, jestem zmuszony przerwać tę rozmowę. Moja klient, który przyszedł na posterunek z własnej i nieprzymuszonej woli, aby złożyć dobrowolne zeznania, nie będzie odpowiadał na żadne więcej pytania. Idziemy, Tom.

Pstryknął palcami i doktor Morgan spróbował wstać, lecz zabrakło mu sił. Wyglądał, jakby dostał obuchem w głowę. Ponowił próbę, tym razem z zadowalającym skutkiem, i ruszył posłusznie w stronę drzwi. Nim jednak do nich doszedł, okręcił się na pięcie i powiedział:

— Ja nie zro...



— Tom, nic nie mów. Po prostu stąd wyjdź.

Doktor Morgan właśnie przekraczał próg, kiedy na ramieniu poczuł czyjąś ciężką dłoń. Obrócił się wolno, kręcąc z niedowierzaniem głową. Buckley stał obok bez słowa, w jego oczach malowała się rezygnacja.

Doktorze Morgan — oznajmiła Kate — aresztuję pana pod zarzutem zamordowania Sary Higgins w dniu szesnastego lutego. Ma pan prawo zachować milczenie; wszystko co pan powie, może zostać użyte przeciwko panu.

Morgan stał jak posąg, kiedy wokół zaczął się ruch. Do pokoju przesłuchań wszedł wezwany wyższy stopniem oficer, który Wysłuchał Kate Hamilton, równocześnie uważnie przyglądając się zatrzymanemu i jego adwokatowi. Nie uszło jego uwagi, jak Pilnie wpatruje się w podejrzanego detektyw Doyle. Oficer kiwał Potakująco głową. Doktorze Morgan, jako bezpośredni przełożony sierżant 'arnilton potwierdzam, że istnieją podstawy, aby zatrzymać pana areszcie z mocy paragrafu czwartego nowelizacji kodeksu kar-nego z roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego, gwałtującego przeprowadzenie dodatkowego postępowania wystającego. Może pan być przetrzymywany przez sześć godzin lraz kolejne sześć, jeśli wyrazi na to zgodę nadinspektor policji, pan być również poproszony o przekazanie próbki krwi

oraz innych płynów ustrojowych, związanych z rodzajem nr stepstwa, o którego popełnienie jest pan podejrzanym. W razie od mowy może pan być pociągnięty do odpowiedzialności na mocy •ęćset

paragrafu drugiego kodeksu karnego z roku tysiąc dziew osiemdziesiątego czwartego z późniejszymi zmianami w prow dzionymi w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym. Przewi dziana za odmowę kara maksymalnie może wynieść dwanaście miesięcy więzienia.

Doktor Tom Morgan omal nie zemdlał.

XXXVIII

Godzina 20.07

Moonface spał jak głaz po tym, jak nadmiar piwa otepił jego i tak przytępiony umysł, wprowadzając go niemal w stan stuporu. Leżał zwinięty w pozycji embrionalnej na wąskim i krótkim łóżku, obejmując się ramionami dla odrobiny więcej ciepła, które choć dostarczane przez słoneczko elektryczne, szybko umykało przez

nieszczelne okna i drzwi chaty.

Peggy Ryan wciąż martwiła się stanem dziecka. Niemowlę od ośmiu godzin nie zakwiliło ani razu, jakby nie czuło głodu i pragnienia, i oddychało niezwykle szybko. Kiedy przyłożyła dłoń do maleńkiego czoła, wydało jej się gorące. Gordon O'Brien miał gorączkę i był bardziej chory, niż Peggy się obawiała.

- Tommy, moim zdaniem powinniśmy się stąd jutro wynieść, podrzucić dzieciaka pod jakiś szpital i zniknąć — oświadczył Sam Collins, przemyślawszy dogłębnie sprawę. Płaczące bez Przerwy dziecko to jedno, zimna i przesycona wilgocią chata to drugie, ale zataczający się Moonface krzyczący: „Ole! Ole! Ole! ie damy się!” to zupełnie co innego.

Malone utracił kontrolę — stwierdził w duchu Collins - w czym nie ma niczego dziwnego. Był nieudacznikiem, jest nieudacznikiem i będzie nieudacznikiem do końca swojego ży-Cia- Czas się zmywać. Trzeba umieć wycofać się, póki nie jest 2a Późno. W końcu to nie pierwsza robótka, która poszła nie tak, 1 2 Pewnością nie ostatnia. Ale że została sfajczona, nie ma co do tego dwóch zdań. Muszę ratować tyłek, zanim ten wielki głupol Sc,flgnie nam wszystkim na kark gliny. Jeśli Malone chce z nim PoPłynąć, proszę bardzo, aleja nie mam najmniejszego zamiaru.

349

Collins wprost nie mógł patrzeć na Mulligana, Peggy . mógł słuchać. Wobec Tommy'ego czuł wyłącznie pogardę. Prób'2 wał tylko tak przedstawić sprawę, żeby nie wyszło, że tchórzy

— Wycofujesz się? — przyparł go do muru Malone.

— Zgadza się, Tommy. Wiele o tym myślałem i doszedłem do wniosku, że to się nie uda. W wiadomościach aż o nas huczy, każ dy pies w kraju jest na nas cięty. O'Brien nie zamierza wypłacić okupu i dobrze o tym wiesz. Niepotrzebnie się pośpieszyliśmy można było wszystko lepiej dopracować...

Tommy Malone wiedział, że nie ma sensu dyskutować z Collinsem; był zbyt twardogłowy. Postanowi! jednak dać jeszcze jedną, ostatnią już szansę — sobie i swojemu gangowi z wyboru. Wciąż miał nadzieję, że jego największy, można powiedzieć: życiowy skok się uda.

- Słuchaj, Sam... Dempsey obiecał, że najpóźniej jutro skompletują całą kwotę. To w końcu tylko jeden dzień. Naprawdę nie dasz rady wytrzymać jeszcze jednego głupiego dnia?

Collins pokręcił głową z irytacją.

Tommy, nie mam zamiaru spędzić tu nawet jeszcze jednej nocy. Wybywam. Mówię ci, Tommy, ta sprawa śmierdzi. Nie ma w Irlandii człowieka, który by na nas nie doniósł, gdyby mógł. Wyjadę stąd w ciągu paru następnych godzin, jak tylko się upewnię, że można to zrobić bezpiecznie.

— Zadzwoń do Dempseya i pogonij go. Zaczekaj z decyzją do tego czasu, co, stary? — prosił Malone. — Potem wspólnie zdecydujemy, co robimy. Wóz albo przewóz. Hę? Co ty na to.' Przecież mogą mieć już kasę w garści i czekać na nasz telefon. Zanim cokolwiek zrobisz, daj mi zadzwonić...

— Jak chcesz, Tommy — wzruszył ramionami Collins. -Ale jeśli nie będą mieli kasy, olewam to. Stoi? Malone już wkładał płaszcz, szukając pomiędzy brudnym naczyniami na stole kluczyków do volva.

— Stoi, Sam — mruknął. — A teraz siedź na dupie i czekaj-aż wrócę. — Odwrócił się do Peggy. — Ty i dzieciak chyba te możecie wytrzymać jeszcze parę godzin?

— No dobra — zgodziła się Peggy Ryan, czując, że jest c<sup>o</sup> winna Tommy'emu. Nie przestawała się jednak martwić, że dzi ciak wyzionie ducha na jej rękach. Wolałaby, żeby to się sta

30

• dy ona będzie daleko. — Tommy, z tym dzieckiem jest bar-j'o kiepsko. Wygląda jak stary kartofel i nawet nie chce jeść. I ylalone przeszedł za nią do miejsca, w którym stała kołys- i przyjrzał się Gordonowi. Malec spał z otwartymi ustami, oazmatycznie łapiąc powietrze. Wargi miał sinawe, ale Tommy złożył to na karb złego oświetlenia.

Niesłusznie.

— Zostaniemy tutaj do jutra rana. Jeśli mu się do wtedy nie poprawi, podrzucimy go pod bramę najbliższego szpitala, żegnając się z naszymi pieniędzmi i planami — oświadczył ponuro. Peggy ulżyło, ale Sam Collins nie poczuł się ani trochę lepiej. Stan dzieciaka go nie martwił; jeśli o niego chodziło, niemowlę mogło wylądować na śmietniku albo na Księżycu. Choćby za to, że odkąd je porwali, ani na moment nie przestało się drzeć.

— Zostaniesz z Peggy? Gdyby Moonface się obudził i żadnego z nas nie zastał, mogłaby mu odbić szajba.

Collins coś odmruknął. Nie podobało mu się, iż musi zostać w chacie, ryzykując, że w każdej chwili znów rozlegnie się wrzask tego

chorowitego bachora. Dał się jednak przekonać argumentom Malone'a: Wszędzie jest aż gęsto od glin. Samemu będzie mi się łatwiej poruszać. Uwinę się w godzinkę. Tym razem zadzwonię z Firhouse. To ledwie dwadzieścia minut jazdy samochodem, nawet przy tej pogodzie. Nie chcę korzystać z aparatu we wsi, bo jeszcze ktoś mnie zaczepi, kurdefelek, i zacznie zadawać jakieś Pytania... Na miejscu musi zostać ktoś przytomny. Trudno oczekiwać od Peggy, żeby miała oczy szeroko otwarte, skoro nie spała °d kilku dni, a Martin zapadł w śpiączkę.

Tommy Malone ruszył volvem wzdłuż ścieżki, rozjaśniając żywopłoty długimi światłami. Właśnie minęła dwudziesta pierw-Sza.

Rozpoczęły się wiadomości na kanale RTE. Świat po raz Pierwszy ujrzał twarze porywaczy Gordona O'Briena.

Policja ujawniła tożsamość i zdjęcia trzech mężczyzn, którzy są podejrzani w sprawie porwania syna Harry'ego i Sandry

O'Brienów. Są to: Thomas, lepiej znany jako Tommy, Ma-Otle, urodzony w centrum Dublina, a ostatnio zamieszkały w Anderson's Quay;

Martin „Moonface” Mulligan, pochodzący

351

z Limerick, a ostatnio widywany częściej w rejonie Rathinje w Dublinie; oraz Sam Coli ins rodem z Newry w hrabstwie Dow który przeniósł się do Swords w hrabstwie Dublin. Mężczyźni • mają na swoim koncie...

Podczas gdy volvo wtaczało się na drogę do Kilcullen, Brian O'Callaghan w swojej chacie za polem z nateżeniem wpatrywał się w twarze na ekranie niewielkiego telewizora.

Policja ostrzega, że wzmiankowani mężczyźni są uzbrojeni i bardzo niebezpieczni. Ktokolwiek ich widział bądź wie, udzie obecnie przebywają, powinien zachować szczególną ostrożność i pod żadnym pozorem się nie zbliżać. Apelujemy do tych osób, by skontaktowały się z najbliższą jednostką policji osobiście lub telefonicznie. Za moment na państwa ekranach ukaże się numer telefonu, pod który należy dzwonić z wszelkimi informacjami na temat porywaczy.

Dodatkowo policja poszukuje kobiety, która prawdopodobnie także brała udział w porwaniu. Niewykluczone, iż jest to starsza kobieta, mająca własne odchowane dzieci i przyzwyczajona do opieki nad swoimi wnukami...

Prezenter przyłożył rękę do ucha, wysłuchał jakiejś informacji reżysera wydania, po czym przeniósł wzrok na prompter po lewej

stronie kamery.

— Jeśli chodzi o zesłotygodniowe zabójstwo laborantki Centralnego Szpitala Położniczego oraz wczorajsze brutalne morderstwo pielęgniarki zatrudnionej w tym samym szpitalu, policja poinformowała, że zatrzymała podejrzanego w tej sprawie. Nasze źródła wskazują na to, że zatrzymanym w areszcie posterunku przy Store Street jest jeden z lekarzy CSP.

Dean Lynch odchylił głowę i roześmiał się szaleńczo, tak że aż zablokował go gardło. Chichotał jak hiena nad dogorywającą ofiarą—Udało ci się, Deano! — gratulował sobie w duchu. — Masz kurwskie szczęście, chłopie. A do tego jesteś geniuszem!

Oglądał główne wydanie wiadomości u siebie w mieszkaniu—

spakowany i gotów do drogi. Na wszelki wypadek sprawdził jeszcze raz wszystkie szuflady, szafy i skrytki pod podłogą. Am chwilę nie przestawał się śmiać. Uporczywy ból gardła powinien mieć znaczenie.

Upewniwszy się, że zostawia mieszkanie w na żytym porządku, podszedł do przygotowanych bagaży i powinien

352

Wybrał sposób, w jaki je zniesie. Najlepszym układem okazało się: trzy torby w prawej ręce, dwie w lewej. Chodził z nimi po całym mieszkaniu, aż w końcu opadł z sił. Dalej chodził już bez toreb w rękach. Zatrzymał się, dopiero gdy dopiął plan na ostatni guzik.

Wtedy usiadł, wyłączył wciąż grający telewizor, pstryknął kontaktami, gasząc światło, po czym zamarł bez ruchu. Wychodząc na zewnątrz po paru chwilach, wyglądał jak wściekłe zwierzę gotowe do skoku.

Czym w istocie był.

Godzina 21.57

Widzi pan, nie chcę przeszkadzać, bo wiem, że macie dość zajęć bez wydzwanających staruchów jak ja, ale...

— Tak?

Chodzi o tego porwanego szkraba. Nie chcę nikomu napisać biedy, może ci ludzie, o których myślę, są Bogu ducha winni i w ogóle, ale... — Brian O'Callaghan ponownie urwał i dyżurny policjant musiał go znów zachęcić, by mówił dalej.

W ten sposób policja dowiedziała się, gdzie przetrzymywany jest Gordon O'Brien.

Godzina 22.05

— Betty? To ty?

Ten, kto odebrał, zachłysnął się powietrzem nabranym przez usta.

Skąd dzwonisz? Daj mi twój numer, to oddzwonię.

— Co jest? Co się sta...?

Daj mi swój numer, do cholery! — syknęła Betty. Tommy Malone zezując odczytał numer na automacie przed sobą j jedna po drugiej wolno podyktował cyfry.

353

— Betty, co się sta...

Połączenie zostało przerwane. Malone stał z rozdziawioną gębą przez prawie minutę, zanim odzyskał rozsądek na tyle K odwiesić słuchawkę i umożliwić Betty dodzwonienie się do niego. Co się kurwa stało? — myślał spanikowany.

Niecałe trzy minuty później w budce rozdzwonił się telefon Malone schwycił słuchawkę drżącymi rękami.

Jezusiczku, Tommy, byłeś w wiadomościach!

— Co?!

Byłeś w wiadomościach. Pokazali twoje zdjęcie w wiadomościach o dziewiątej. Twoje i jeszcze jakichś dwóch... Trąbili o porwaniu.

Policja szuka was w związku z porwaniem.

— Chryste!

Chyba będziesz musiał poszukać pomocy gdzie indziej, Tommy — zauważyła Betty. — Szukają was w całym kraju.

— Betty, mogę się u ciebie zamelinować na parę dni?

Jezusiczku — przeraziła się kobieta. Nawet nie próbuj się do mnie zbliżyć, zanim nie sprawdzę, że jest czysto. Ja cię zabiorę. Gdzie ty w ogóle jesteś?

Tommy rozejrzał się dokoła.

— W budce niedaleko baru przy dwupasmówce, jakiś kilometr od Naas.

— Zostań tam. Nie ruszaj się nawet na krok. Podjadę i cię zabiorę, jak tylko sprawdzę co trzeba.

— Muszę, kurdefelek, ostrzec pozostałych. Oddzwonię do ciebie.

Zadzwoń za jakąś godzinę...

Zdumiałeś, Tommy?! Nie dzwoń do mnie do domu. Będę u Mooneya za pół godziny, tam mnie złapiesz.

— Dobra.

Tommy Malone nie zdołał ani ostrzec pozostałych, ani złapać Betty u Mooneya.

Kiedy podążał w stronę Newbridge i właśnie miał zjeżdżać na drogę do Kilcullen, wyprzedziło go osiem wozów patrolowych, błyskając kogutami, ale bez włączonych syren. Przez jakiś czas turlał się za nimi, zachowując bezpieczną odległość i czując, że serce podchodzi mu do gardła, a na plecy występują na przemian zimne i ciepłe poty, kiedy skręcali dokładnie tam, gdzie on by

354

kręcił, wracając do chaty. W końcu musiał zjechać na pobocze, injeżdżając drogę daleko przed nim zastawiły dwa wozy policyjne, konstruując prowizoryczną blokadę broniącą przejazdu ku Kilcullen. Chryste! Przepraszam, Sam. Przepraszam, Martin. Bardzo, bardzo przepraszam, Peggy. Po prostu znowu mi nie wyszło. [w]yjgdę nic mi nie wychodzi, taki już jestem. Pieprzony nieudacz-njli — mówił do siebie, siedząc po ciemku w aucie z wyłączonymi reflektorami i przyglądając się, jak do wzniesionej naprędce blokady podchodzi dwóch policjantów po cywilnemu trzymających w dłoniach półautomatyczne uzi. — Chryste! Lepiej, żebym na trochę zniknął wszystkim z widoku.

Podczas gdy Tommy zastanawiał się, jak najlepiej rozpuścić się w sianej irlandzkiej mgłę, sześciu detektywów schodziło wąskimi stopniami do Klubu Dżentelmenów przy Dodder Street. Rzadko kiedy udaje się tak niewielu przestraszyć tak wielu w tak krótkim czasie. Wprawdzie w barze i saloniku nie było ścisku, ale w saunach na tyłach pozostały tylko miejsca stojące, żeby tak się wyrazić.

To nie obława, więc nie masz co panikować.

Barman mimo tych słów spanikował. Strzelał wokół oczami jak szalony, jak gdyby spojrzeniem mógł zmienić zastanę przez policję scenę.

Mężczyzna trzymający za rękę drugiego, znacznie od siebie młodszego, i głaskający go wolną dłonią wysoko po udzie, nagle zamarł i zapatrzył się w stojący na kontuarze przed nim kufel. Reszta odwracała się bokiem, tyłem i w ogóle czym popadło, byle tylko ukryć twarze.

John Doyle rzucił na ladę przed barmanem zdjęcie Toma Morgana.

— Widziałeś tu kiedyś tego faceta?

Barman zrobił zatroskaną minę i wytrzeszczył oczy, jakby naprawdę się przyglądał fotografii i zastanawiał, czy zna tę twarz, Po czym pokręcił głową. Teatralnie przyjrzał się zdjęciu jeszcze raz i

ponownie zaprzeczył.

— Nie, nie wydaje mi się.

355

— To ciekawe, bo on twierdzi, że był tutaj zeszłej nocy z trze ma przyjaciółmi.

Naprawdę? — Zdziwienie zdawało się szczere; brwi p0(j)jechały aż za linię modnej grzywki dla zwiększonego efektu. Chłopak zerknął znów na zdjęcie, a nawet przesunął je trochę bij żej. Zdania jednak nie zmienił.

Dwaj członkowie klubu chcieli ulotnić się po angielsku, ale ich powstrzymano. Barman to zauważył i uznał, że czas dać rzeczową odpowiedź.

Nigdy nie widziałem tego człowieka. Ani tutaj, ani gdzie indziej.

— Jesteś pewien? Bo widzisz, to dla niego dosyć istotne... I prawdę mówiąc, może okazać się cholernie ważne także dla ciebie, jeśli nie jesteś ze mną szczery.

— W życiu go nie widziałem utrzymywał barman. - Pracowałem przez całą noc i nikt taki się tutaj nie pojawił.

Tym razem był bardzo stanowczy, podobnie jak wszyscy członkowie klubu, którym pokazano to samo zdjęcie. Policjanci nie posiadali się ze zdziwienia, jak liczne są sauny — czy też raczej jak wielu dorosłych mężczyzn są w stanie pomieścić — kiedy już poprosili zażywających relaksu klubowiczów do wystąpienia z zaplecza i rzucenia okiem na fotografię doktora Morgana. John Doyle żartował potem, że gdyby wtedy pokazać im ich własne zdjęcia, również twierdziliby, że nigdy nie widzieli „tego gościa”.

Następnie niewzruszeni policjanci przejrzeni księgę klubowiczów i sprawdzili nazwiska. Jeśli nawet Tom Morgan minionego wieczoru zaszczycił Klub Dżentelmenów swoją obecnością, nie utrwalił tego na piśmie bądź jak wszyscy użył nazwiska James Murphy. Żaden z detektywów nigdy jeszcze nie spotkał tyłu Mur-phych pod jednym dachem.

— Jesteście klubem fanowskim jakiegoś Murphy'ego? — za" pytał kąśliwie Doyle.

Barman uśmiechnął się blado i zaproponował drinka na koszt firmy. Policjanci zdecydowali przyjąć ofertę i popijając, głośno rozmawiali o tym, jaka to wielka szkoda, że nikt nie pamięta gościa z fotografii. . .

— Wpadł po uszy w kłopoty. Skoro go tutaj nie było, musi być gdzie



indziej. Tam, gdzie jak twierdzi, wczoraj go nie był°-  
356

Wyszli, pozwalając, by te słowa na długo zawisły w powie-i.  
Wszyscy byli przekonani, że Tom Morgan wpadł.

Ale Dean Lynch nie wpadł i nie miał najmniejszego zamiaru  
wpadać.

Zamarłszy bez ruchu w przedpokoju, odczekał, aż korytarz na jego piętrze  
ucichnie i światła przygasną. Wtedy po cichu otworzył  
drzwi, wystawił torby na zewnątrz, pilotem włączył telewizor i ustawił  
podwójny system alarmowy. Potem złapał torby wedle wcześniej  
ustalonego planu i zbiegł na dół awaryjną klatką schodową. Przy  
metalowych drzwiach znowu położył torby na ziemi i pchnął  
niedomknięte ciężkie skrzydło, tym razem nie robiąc użytku z krótkiego  
pręta. Pozwolił, by drzwi się za nim zamknęły, i truchtem  
przebiegł paręnaście metrów do swojego nowego samochodu, cacka  
Donniego. Nikt nie zauważył drobnej, odzianej na czarno postaci  
uginającej się pod ciężarem licznych toreb, wymykającej się cichcem z  
budynku. Lynch wrzucił wszystkie bagaże na tylne siedzenie  
samochodu, tylko neseser ułożył ostrożnie na siedzeniu obok kierowcy.  
„Cacko” zapaliło dopiero za trzecim razem i już po paru  
minutach sunęło drogą ku Booterstown. Odjeżdżając Dean Lynch rzucił  
okiem we wsteczne lustro, sprawdzając, czy z zewnątrz widać,  
że w jednym jego oknie pali się światło i błyska zimna poświata ekranu  
telewizora. Wszystko było dokładnie tak, jak to sobie  
obmyślił.

Do Booterstown dojechał tuż przed północą i bez problemów dostał się do  
wnętrza wynajętego przez agencję mieszkania.

Nadszedł czas wyrównania wszystkich rachunków.

Nadszedł czas zakończyć swoją małą prywatną wojenkę.

Nadszedł czas zemsty, słodkiej zemsty. Nie umknęło mu żadne złe słowo,  
żaden gest, żadne zranienie. Wróg został zidentyfikowany.

Nadszedł czas, by wróg wycierpiał za swoje, tak jak on, Deano, cierpiał za  
innych.

A nacierpiał się niemało.

\*

357

— Dzieciakowi nic się nie stanie? 'hK.

Tommy Malone odpowiedział, wdrapując się do dats

Betty:

— Nie, nic mu nie będzie.

Jezusiczku, Tommy, oby... Oby... Bo inaczej nie wiem Co by wam zrobili...  
Walał z najgrubszych armat. Jeśli dzieciaków  
spadł choć włos z głowy, możemy za to zadyndać.

Zamknij się, Betty, i prowadź, dobra? Po prostu mnie stąd zabierz. Tutaj aż  
roi się od glin.

Betty posłała mu paskudne spojrzenie, ale posłusznie zapaliła silnik i  
włączyła się do ruchu, wracając na dwupasmówkę. Jadąc  
zauważyła, że porusza się w przeciwną stronę niż większość aut. Wszyscy  
jakby zmówili się, żeby spotkać się w Newbridge. I wszyscy  
jechali w wozach policyjnych.

— Na pewno nic mu nie będzie? Tommy wybuchnął:

— Przecież ci powiedziałem, że gówniarzowi nic się nie stanie! —  
ryknął wyprowadzony z równowagi ostatnimi przeżyciami. -

Kiedy wychodziłem, żeby zadzwonić, miał się świetnie. O wiele lepiej niż  
ja!

Malone mijał się z prawdą. Gordon O'Brien był daleki od tego, by mieć się  
świetnie. Zakażenie, które rozwinęło się w płucach,  
powoli przedostawało się do krwiobiegu.

Tommy jak zwykle się pomylił, źle odczytał to, co najbardziej  
oczywiste. 1H

DZIEŃ DZIEWIĄTY

XXXIX

Wtorek, 18 lutego, godzina 00.38

Jednostka Jaguarów także była już na miejscu.

McGrath usłyszał od miejscowego policjanta z Newbridge, że ktoś  
wskazał potencjalną kryjówkę porywaczy. Inspektor w pośpiechu  
zwołał swoich ludzi, na miejsce spotkania wyznaczając domostwo  
O'Callaghana. Stary mężczyzna krzątał się po kuchni niczym najlepsza  
gospodyni, przyrządzając herbatę i kanapki dla policjantów.

Przy zastawionym stole zapadła decyzja, że nim zostaną poczynione  
dalsze kroki, na rekonesans udadzą się trzej anty-terrorysty,  
których zadaniem będzie założenie podsłuchu przy frontowym i tylnym  
oknie inkryminowanej chaty. Wkrótce potem trzy cienie  
przemykały polem oświetlonym blaskiem księżyca. Grunt był twardy,  
zmarznięty na kość, powietrze niemal nieruchome. Na intruzów  
zareagowały tylko stojące na pastwisku owce, które zdziwione  
niecodziennym widokiem, pobekując, zbiły się w gromadkę w pobliżu

wyznaczającego miedzę żywopłotu. Stamtąd obserwowały, jak troje ludzi przemyka wzdłuż leżącego nieopodal murku i dostaje się na działkę, na której stała bielona chata. Zwiadowcy zwinnie zamontowali urządzenia podsłuchowe, ogarniając wzrokiem tak dużą część chaty, jak się dało. Później jeden z nich zameldował McGrathowi: Potwierdzam współudział Collinsa. Jakaś kobieta trzymała w ramionach zawiniątko, w którym mogło znajdować się niemowlę. Trudno to ocenić z całą pewnością, ponieważ pomimo nieszczelnych okien na zewnątrz nie było słyhać dziecięcego

359

płaczu. W żadnym z oświetlonych pomieszczeń nie dostrzeg}e śladu Mulligana ani Malone'a.

Po tym raporcie nastąpiła burzliwa narada, mająca przesądzić o tym, jakich metod trzeba użyć, kiedy i gdzie dokładnie. Gd doszło do kwestii użycia gazu łzawiącego, inspektor pokręcił ij}0 wą.

Musimy poradzić sobie bez niego. Nie wiadomo, jaki wpływ mógłby wyrzeć na dziecko.

W końcu postanowiono wdrzeć się do chaty siłą.

— Nie ma sensu z nimi negocjować — padały argumenty ani tym bardziej umożliwiać im złożenie broni. Nie da się przewidzieć, jak zareagują. To niebezpieczni przestępcy, recydywiści, do tego przyciśnięci do muru. Mogą wykorzystać dziecko jako tarczę i próbować zbiec. O'Brien junior mógłby przy tym doznać uszczerbku na zdrowiu albo nawet zginąć. Nie wolno nam do tego dopuścić.

Dlatego antyterrorysty mieli działać z zaskoczenia, i to niemal natychmiast. Przesądziły o tym słowa kobiety, które zarejestrował podsłuch: „Ten dzieciak jest ledwie żywy. Zaczynam się o niego bać...”

Wezwano karetki pogotowia, w tym jedną z personelem pediatrycznym.

Gordon O'Brien powinien niezwłocznie po odbiciu trafić do skrzydła dziecięcego Centralnego Szpitala Położniczego w Dublinie.

Sześciu Jaguarów przebrało się w czarne, totalnie maskujące nocą stroje.

Na umundurowanie bojowe składały się czarne, ściśle

przylegające do głowy czapki podobne do kominiarek, czarne kamizelki kuloodporne — sprowadzane specjalnie z Irlandii Północnej —

włożone na cienkie czarne swetry, wygodne czarne spodnie z grubego drelichu i równie luźne, dające pełną swobodę ruchów czarne

bluzy. Nawet twarze policjantów były jednolicie czarne dzięki farbie kamuflującej. Każdy z mężczyzn miał na wyposażeniu smitha &

wessona kaliber .459 — bron w pełni automatyczną, przy czym dla trzech

stanowiła ona lże)'szą artylerię przymocowaną do ciała skórzanymi paskami, w rękach trzymali albo klasyczne uzi, albo hecklera & kocha, model MP5. Zwiadowcy doradzili kolegom nałożenie rękawicze -dzięki którym dłonie zachowywały sprawność także w niskiej 360

temperaturze, jaka panowała na dworze. Tak odziani prezentowali się niczym własne cienie, czarni od stóp do głów i praktycznie nieodróżnialni od ciemności nocy.

Okej — powiedział Jack McGrath — idziemy.

Brian O'Callaghan pozostawiony sam sobie opadł na kolana z różańcem w rękę i zaczął modlić się tak usilnie jak chyba jeszcze nigdy w życiu.

Plan był prosty. Został wielokrotnie przećwiczony na terenie bazy w Templemore w hrabstwie Tipperary. Jaguarzy wiedzieli, jak brać szturmem opanowane przez zbrodniarzy budynki — bez względu na to, czy były to zwykłe wiejskie chaty czy pięciogwiazdkowe hotele. Od standardowych zachowań zostały na gorąco poczynione niewielkie odstępstwa wynikające z warunków i okoliczności.

Para miała zająć się drzwiami frontowymi, podkładając pod nie niewielki ładunek wybuchowy, podczas gdy trzech w tym samym czasie wchodziło od tyłu. Szóstemu wyznaczono zadanie dostania się do środka przez okno. To, że akcja miała na celu odbicie zakładnika, do tego będącego maleńkim dzieckiem, znacznie ograniczało możliwość manewru. Odpadał gaz łzawiący i granaty ogłuszające, nie można było również strzelać na oślep. Za to szóstka antyterrorystów miała w odwodzie tyle samo doskonałych detektywów, którzy mieli wkroczyć do akcji, gdyby pojawiły się najdrobniejsze problemy. Poza tym wokół chaty rozstawiono prawie dwudziestkę nieumundurowanych policjantów, pozbawionych wprawdzie broni palnej, lecz mających wprawę w wychwytywaniu przestępców zbiegających z obławy. Członkowie gangu nie mieli najmniejszych szans.

Antyterrorysty znaleźli się w chacie tuż przed pierwszą w nocy.

Moonface przebudził się z pijackiej drzemki, którą Malone nazwał śpiączką, w wyjątkowo podłym nastroju.

■ — Gdzie jest Malone?! — wybełkotał.

Nie było już Tommy'ego, dawnego kumpla, był Malone, 1 to powiedziany tak jak przekleństwo: „Kurwa, gdzie on jest?! •test mi zimno, mam kaca i jestem wykończony. Gdzie jest ten dupek Malone, który nas w

to wszystko wpakował? No? Niech las teraz z tego wyciągnie, skoro taki mądry...".

361

Moonface zwał się z łóżka, które po paru dniach używania bardziej przypominało barłóg niż jakiś ludzki sprzęt, po czym przeszedł do pomieszczenia ze stołem, usiadł za nim i zaczął czyścić swój pistolet. Było to jedyne miejsce, gdzie jeszcze unosiła się odrobina ciepła od kominka. Martin Mulligan miał zamiar to wykorzystać. Z zewnątrz każdy jego ruch obserwował inspektor McGrath Mrużąc oczy, przez dłuższą chwilę wpatrywał się w przedmiot w rękę porywacza, upewniając się, że to prawdziwa broń. Następnie skinął partnerowi, wskazując niebezpieczeństwo. Ten kiwnął głową, odnotowując to. Jak na razie nie dostrzegali ani Collinsa, ani kobiety, ani dziecka, ale znaleźli jedyne nadające się do sforsowania okno.

W środku znużony przedłużającym się oczekiwaniem na Malone'a Sam Collins postanowił uderzyć w kimono. Wcisnął się w śpiwór, zaciągnął suwak pod sam nos, wcześniej narzuciwszy na siebie tyle koców, ile zdołał znaleźć, w tym te, które zabrał z łóżka Tommy'ego. W duchu obiecywał sobie, że zatłucze drania własnymi rękami, kiedy ten wreszcie się zjawi. Nie było go już od przeszło czterech godzin. Eks-żołnierz IR A zastanawiał się przelotnie, czy Malone nie dał nogi, zostawiając ich z ręką w nocniku, ale odrzucił taką możliwość. Pomijając już tego szczawia i okup, Tommy Malone nie zostawiłby na łodzi Peggy, z którą znali się od bardzo dawna. Nawet w dublińskim półświatku, gdzie osobiste animozje dochodziły do głosu w najmniej oczekiwanych momentach, niezbyt często się zdarzało, by w czasie roboty wystawiano do wiatru ludzi będących być może jedynymi pretendencjami do miana przyjaciół. W pozostałych sytuacjach mało kto miał jakiegokolwiek skrupuły. Dokładnie w chwili, kiedy eksplozja wyrwała z zawiasów frontowe drzwi, ciskając je do wąskiej sieni, Jack McGrath korzystając z zasłony dźwiękowej, zamachnął się młotem na tylne drzwi, które ustąpiły już przy pierwszym uderzeniu. Towarzyszący wybuchowi i trzaskowi łamanego drewna brzęk szkła świadczył, że ostatniemu członkowi grupy udało się bez przeszkód do stać do chaty przez wybrane okno. Moonface być może zdołałby zareagować odpowiednio do sytuacji, ale wskutek przepicia nu spowolnione odruchy. A szkoda.

Przynajmniej dla niego.

Wstał, rozdziawiając japę ze zdziwienia i majstrując przy pjedoczyszczonym pistolecie w próbie oddania strzału. Jack McGrath nie miał problemów z refleksem. Krótka seria z jego uzi zniweczyła nadzieje Mulligana na obejrzenie środowego meczu. I każdego innego w przyszłości.

Collins z kolei nie zdążył na czas wyjść ze śpiwora, choć wtedy w ciągu sekund byłby spięty do skoku i gotów do walki. Nim się zorientował, co go krępuje, został przyszpilony do podłogi, czując na szyi ciężki i niewątpliwie czarny jak noc but, w lewej dziurce od nosa zaś lufę krótkiego smitha & wessona .459.

Tylko się rusz, a twój mózg wyląduje na ścianie — syknął ktoś z odległości pół metra. Ostrzeżenie było całkowicie zbędne w zaistniałej sytuacji. Collins nie miał zamiaru tracić głowy.

Peggy Ryan znaleźli całą we Izach. Była też przerażona, aczkolwiek nie z powodu popisowo przeprowadzonej akcji antyterrorystycznej i bezpośredniego zagrożenia jej życia i wolności. Ignorując obecność Jaguarów, gapiała się w przenośne dziecięce łóżeczko, mając wszystkiego dość. Gdyby ją ktoś zapytał, przyznałaby, że cieszy ją, iż koszmar wreszcie się skończył.

Podniosła zapłakane oczy na zamaskowaną postać stojącą tuż obok niej. Sprowadźcie lekarza, szybko. Myślę, że on umiera...

Godzina 01.47

Mamusi, pomocy!... Powstrzymaj go, mamusi! Po-mooocy!! — Rory przebudził się, krzycząc.

Kate znalazła się przy nim w okamgnieniu, wyłuskując z pobieli jednym ruchem. Nim przebrzmiał krzyk, trzymała syna w ramionach, tuląc go i zapewniając, że to był tylko zły sen.

- Cii, Rory... Już dobrze... Mamusia jest przy tobie... Nic ci n,e jest... To był tylko zły sen... Ciii...

3

jŁ

363

Kiedy chłopiec trochę się uspokoił i przestał już drzeć tała, co mu się śniło.

Rory nadal bezgłośnie łkał, obejmując jąza szyję zaciśnięty, • piąstkami, które pozostawiały bolesne ślady. Próbował odpow' ' dzieć, ale był tak przestraszony, że słowa z trudnością przecho dziły mu

przez gardło.

— Co się stało, skarbie? — gładziła go po plecach Kate —. Co to było? Zobacz, wszystko jest w porządku... Mamusia jest przy tobie i nie pozwoli cię skrzywdzić.

Rory wydał z siebie mrozący krew w żyłach krzyk.

— On cię ściga! Uważaj, mamusiu! On cię ściga...

Kate przytuliła chłopca mocniej, czując, jak jego serce wali tuż koło jej.

Boże, co mu się mogło przyśnić? — myślała, kołyszając go jak małe dziecko. — Czy naoglądał się za dużo telewizji?...

Na szczęście Rory zmęczony płaczem zasnął w jej ramionach, poczuwszy otuchę matczynego ciepła, włożonego do buzi kciuka i Teda przy twarzy. Kate ostrożnie ułożyła go w łóżeczku, głaskając po włosach, całując w czoło. Nawet po ciemku, gdy tak leża! otulony kołdrą po sam nos, widziała w nim skórę zdjętą z ojca Z j e g o ojca.

— Nie martw się, Rory — szepnęła. — Mamusi nic się nie stanie. Obiecuję ci to. Mam przecież ciebie. Mamy tylko siebie nawzajem... Nie może mi się nic stać...

Godzina 02.17

Dean Lynch obudził się cały zlany potem. Koszmar wrócił-Ona wróciła. Znowu!

— Chodź tu do mnie, Lynch! Chodź tu! — ścigała go P° mrocznych korytarzach sierocińca. Uciekał przed nią ile sił w nogach, ale wiedział, że i tak go złapie. Zawsze go łapała. Obejrzą się, żeby sprawdzić, jak daleko za nim jest. Dostrzegł czarne długie włosy, białe kościste dłonie sięgające po niego, już prawie g° dotykające. — Chodź tu, Lynch! Chodź tu do mnie! — powtarzała, zbliżając się coraz bardziej.

364

Nie! Nie! Nie! Zostaw mnie w spokoju!...

Skręcił za załom korytarza, potem następny, w końcu zdał -obie sprawę, że jej kroki ucichły. Też stanął i wyteżył słuch. V uszach raczej czuł, niż słyszał, szum krwi, bicie serca, urywany oddech. Gdzie ona jest? — myślał, na palcach podchodząc do rogu i wyglądając jednym okiem. Nikogo tam nie było. Zaczął iść, najpierw nieśmiało, potem nieco pewniej, zanurzając się w coraz większy mrok. Nadal nikogo nie było. Kiedy wyszedł z za węgła, ostatniego, jak mu się wydawało zarówno we śnie, jak i w życiu, zobaczył, że znalazł się w pobliżu pomieszczenia pod schodami. Zamknięte drzwi przyzywały go, sprawiając, że wbrew woli stawiał następne kroki,

przybliżając się do swego prywatnego Piekła.

Tam ciemność była czarniejsza niż gdziekolwiek indziej.

Obrócił się i zaczął uciekać.

Wprost w jej rozwarte ramiona.

Ta blada, blada twarz, te czarne, dziko pokręcone rozwiane włosy. Te chude, długie, kościste ręce, które tak silnie go chwyciły i nie wypuszczały, mimo że się szarpał i wierzgał na wszystkie strony.

Nigdy jej nie uciekł. Czasem próbował krzyczeć, ale głos jakby wiązał mu w gardle. Jedna ręka wciąż go trzymała, podczas gdy druga już otwierała drzwi do schowka pod schodami.

Nie! Nie! Proszę! Nieee!!... — myślał, że krzyczy, ale w rzeczywistości nie wydawał najłżejszego dźwięku poza może ciężkim sapaniem czy dyszeniem ze strachu. Bez względu na to jednak, jak długo by walczył, zawsze przegrywał. Była od niego silniejsza.

Zawsze kończył wepchnięty do ciasnej ciemnej komórki.

Nie! Przestań! Nie!... — wreszcie odzyskiwał głos, za późno jednak.

Drzwi zamykały się z hukiem i nic nie pomagało, że opierał się o nie całym ciałem. Był za słaby.

Opadał na kolana, płacząc i błagając. Wiedząc, co zaraz usłyszy.

I jak się czujesz w piekle, Lynch? No, jak? — To słyszał zawsze, niemal odkąd zaczął cokolwiek rozumieć, ale tym razem do dawnego głosu z dzieciństwa i okrutnych słów dołączył nowy, młodszy:

— Mam nadzieję, że zgnije w piekle!

365

To Kate Hamilton go oskarżała, skazywała na wieczne nienie.

Wstał i zaczął chodzić w kółko, nie mogąc przestać się u y. Serce waliło mu jak młot, pot ściekał z czoła strumykami p0(j szedł do nesesera, drżącymi rękami otworzył skrytkę i Wv-z niej broń. Pistolet leżał w dłoni jak ulał. Odłożył go na swo L miejsce, obok nabojów.

Przygotował sobie szprycę i wstrzyknął powolutku w żyłę Bardzo, bardzo wolno. Czując, że zaczyna odpływać w nieświadomość, uśmiechał się. Przed oczyma miał walthera, którego potrafił używać i dla którego znalazł ostateczne przeznaczenie Wiedział, kto niedługo poczuje jego moc.

Godzina 03.07

— Nie żyje. Nie miał prawa przeżyć czegoś takiego.

Odziany tylko w fartuch i wyglądający na wykończonego

lekarz wpatrywał się w nosze na kółkach wytoczone z karetki pod



szpitalem w Naas. Leżało na nich ciało Martina Mulligana zwanego Moonface'em, niegdyś z Limerick, Rathmines i w ogóle z tego świata. Z obowiązku, a może powtarzając gest lekarzy z filmów, położył palec wskazujący i przylegający do niego palec środkowy na tętnicy szyjnej Moonface'a i ze smutkiem potrząsnął głową. Następnie poświecił latarką lekarską w oczy ofiary i zarejestrował brak odruchu zwięzania źrenic. Wzruszając ramionami, jeszcze raz zajrzał pod czerwony koc, którym okryte było ciało, i zobaczył, że plama krwi na zielonej bluzie od dresu powiększyła się trochę.

— Nie ma sensu jechać z nim dalej — rzucił do obsługi karetki. Musi pan oficjalnie stwierdzić jego śmierć. Dopiero jak pan da nam znak, możemy przewieźć ciało do kostnicy.

Lekarz dał znak.

— Musi pan także zawiadomić doktora Dunne'a.

Lekarz popatrzył na zegarek i ziewnął.

366

Zawiadomię, ale o jakiejś ludzkiej porze. Po co mam go wyciągać z łóżka? Zawieźcie ciało do kostnicy i zorganizujcie ikiegoś policjanta, żeby go pilnował do rana. — Ziewnął ponownie. to był długi i ciężki dyżur.

Nie mogę wkluć się do żyły, nie mogę znaleźć dobrej żyły!...

W tym samym szpitalu na oddziale intensywnej terapii pięciu lekarzy próbowało ratować Gordona O'Briena, który leżał na kozetce, zajmując jej piętnastą część, owinięty w coś, co wyglądało na folię kuchenną i niewiele się od niej różniło — miało za zadanie zapobiec dalszemu obniżaniu się temperatury ciała.

Gordon był bardzo, ale to bardzo chorym dzieckiem. Zdjęcie rentgenowskie wykazało, że już całe płuca zajęte są zakażeniem *Streptococcus pneumoniae*. Poziom nasycenia krwi tlenem był bardzo niski, oddech — krótki, urywany i płytki, wargi sine, ciało niemal całkiem zimne i nie dotyczyło to tylko kończyn. Zajmujący się nim lekarze jeden po drugim próbowali założyć mu wenflon, ale mieli z tym trudności, ponieważ układ naczyniowy dziecka został upośledzony przez rozwijającą się posocznice.

Gordon O'Brien był bliski śmierci.

Zestaw sterylnych narzędzi, kaniula i świeża plazma warknął najstarszy wiekiem i stażem lekarz, szorując ręce pod strumieniem

gorącej wody.

Wytarłszy dłonie do sucha, nałożył na nie sterylne rękawiczki chirurgiczne. Przygotowując się do zabiegu, spoglądał na swój zespół. Trzy pielęgniarki uwijały się wokół niemowlęcia. Jedna regularnie sprawdzała temperaturę ciała dziecka, odnotowując ją na specjalnym wykresie, druga rozpakowywała już zestaw operacyjny, trzecia przygotowywała stojak z kroplówką. W ciągu paru sekund wszystkie trzy odstały od kozetki, dając dostęp lekarzowi, który rozpoczął odkażanie skóry na szyi pacjenta. Nie mógł przy tym nie zauważyć, że dziecko niemal nie reaguje na dotyk. Następnie instrumentariuszka zasłoniła całe ciało zieloną chustą chirurgiczną, pozostawiając odkryte tylko małe miejsce z boku szyi. Kilka minut później w żyłę szyjnej tkwił fachowo umieszczony wenflon.

367

— Proszę rozpocząć podawanie plazmy. Piętnaście mili 1 itrów na kilogram masy ciała w ciągu najbliższych dziesięciu minut. Sprawne ręce pielęgniarki podłączyły do wenflonu kroplówkę i płyn fizjologiczny, osocze krwi bogate w wodę, białko i elektrolity, zaczął spływać przez rurkę wprost do ciała dziecka. Z innej żyły pobrano próbkę krwi, którą natychmiast przesłano do laboratorium, gdzie miał zostać wykonany posiew i antybiogram. Inne próbki, odpowiednio zabezpieczone, trafiły na dział morfologii i biochemii szpitalnego laboratorium. W kolejce do wlewu czekały: środki zwiększające objętość krwi krążącej, antybiotyki o szerokim spektrum działania oraz dopamina.

Gdy zespół pediatryczny szpitala w Naas zrobił wszystko, co mógł, aby ustabilizować stan Gordona O'Briena, wciąż wiotkie ciało dziecka zostało przełożone do nagrzanego inkubatora.

1 przewiezione do czekającej na dole karetki, mającej zawieźć pacjenta do Centralnego Szpitala Położniczego w Dublinie.

Założony wenflon pozostał na swoim miejscu, tak że nawet w czasie podróży do krwiobiegu wycieńczonego dziecka mogły spływać życiodajne składniki odżywcze dzięki zwykłej kroplówce, której rurki dobrze przymocowano, aby na pewno nie uległy odłączeniu.

— Ruszaj, na miły Bóg! — krzyknęła pielęgniarka, wchodząc do karetki przez tylne drzwi i zajmując miejsce obok inkubatora. W rękę ścisnęła pierwsze wyniki badania hematologicznego. — Gaz do dechy i nie zatrzymuj się przed niczym.

Kierowca wykonał polecenie, jeszcze zanim kobieta zamknęła dobrze drzwi.

Zawyła syrena ambulansu.

Dołączyły do niej koguty eskorty policyjnej na motocyklach. Kolumna jechała w stronę Dublina, mając zielone światło. Na każdym skrzyżowaniu czekał umundurowany policjant, który wstrzymywał z wyprzedzeniem ruch, umożliwiając swobodny przejazd bez konieczności zatrzymywania się. Gordon O'Brien zmierzał tam, gdzie się urodził. Godzinę wcześniej tąsamą drogą przejechała inna kawalkada, budząc okolicę wyciem syren i błyskiem kogutów. W jej środku znajdowała się policyjna furgonetka o wzmocnionej karoserii i zakratowanych oknach, a także specjalnych siedzeniach dla pa

368

sażerów, które umożliwiały przykucie kajdanek do stałych elementów wozu. Z udogodnienia tego skorzystali: milczący jak głaz Sam Collins oraz wylewająca fontanny łez Peggy Ryan. Towarzyszyło im czterech uzbrojonych i czujnych jak zawsze Jaguarów. Radość z udanej akcji mąciła im niepewność o stan uratowanego dziecka. Każdy z antyterrorystów choć raz pomyślał ze znużeniem: „Spóźniliśmy się...” Niektórzy z nich mieli małe dzieci, inni wciąż pamiętali, jak to jest mieć małe dziecko i bez ustanku drzeć o jego życie.

Wszystkim skręcały się wnętrzności na myśl, że porywacze podnieśli rękę na bezbronne niemowlę. Cztery pary oczu przewiercały na wylot podejrzenie skupionego Collinsa. Tylko daj nam powód, draniu — mówiły ich spojrzenia — a nie zawahamy się wpakować ci kulki prosto w łeb.

Godzina 04.32

Paddy Holland złapał za słuchawkę, jeszcze się dobrze nie obudziwszy.

— S-s-ucham?

— Doktor Holland?

— Tak.

Tutaj siostra Angela Matthews z intensywnej terapii. Właśnie otrzymałam informację, że karetka wiezie do nas pacjenta w bardzo ciężkim stanie. Doktor Conway polecił mi skontaktować się z panem. Ma pan natychmiast stawić się w szpitalu.

Holland usiadł prosto, nagle całkowicie przytomny.

— Doktor Conway? To znaczy dyrektor Conway? Lukę Con-Way?...

— Tak, on. Właśnie skończyłam z nim rozmawiać.

— Ale dlaczego? Co dyrektor Conway ma z tym wspólnego?

— Kazał mi do pana zadzwonić i wezwać do szpitala. Wygląda na to, że dziecko jest w stanie krytycznym.

Paddy Holland już przerzucał nogi przez brzeg łóżka, ziewając i drapiąc się po piersi wolną ręką. Drugą nadal trzymał słuchawkę przy uchu.

369

— Zna pani szczegóły?

— Proszę chwilę poczekać, zamknę tylko drzwi...

W słuchawce Hollanda stuknęło, kiedy Angela Matthews odłożyła swoją na twardą powierzchnię, potem rozległy się jakieś szmery i oddalone głosy, wreszcie szcęk zamykanych drzwi.

Przepraszam, doktorze - pielęgniarka była znów na linii ale nikt inny nie powinien tego słyszeć. Chodzi o Gordona O'Briena.

Znaleziono go w Kilcullen. Trafił do szpitala w Naas skąd już do nas dzwonili, informując o krytycznym stanie pacjenta. Karetka wiezie go teraz do nas. — Matthews zamilkła i szeptem dodała: -

Lekarze z Naas robili, co mogli, ale istnieje ryzyko, że... — głos uwiązł jej w gardle.

Holland wkładał już drugą nogawkę spodni.

— Będę za pięć minut — rzucił i wciągnął spodnie do koń-  
m

Potem przerwał połączenie, odczekał parę sekund, aż pojawił się zwykły sygnał, i szybko wybrał siedmiocyfrowy numer. Ktoś wyrwany ze snu i bardzo z tego powodu niezadowolony odebrał telefon dopiero po dziesiątym dzwonku.

— Halo! O co chodzi?

Conor? To ja, Paddy. Paddy Holland. Ogromnie mi przykro, że dzwonię do was tak wcześnie, ale jestem w podbramkowej sytuacji... Czy

Mary mogłaby przyjść i przypilnować dzieci?

Co? Niesłychane! Chcesz, żeby Mary przyszła zająć się dziećmi o tej godzinie?!

Tak... Słuchaj, naprawdę strasznie mi przykro, ale wezwano mnie pilnie do szpitala. Nie mam dyżuru, ale to coś naprawdę poważnego...

Po drugiej stronie linii rozległy się przekleństwa przeplatane mamrotaniem. Paddy Holland nie spuszczał oka z budzika na szafce nocnej, który nieubłaganie odliczał mijający czas.

Conor... — zdecydował się powiedzieć prawdę — chodzi

o to porwane dziecko. Nie powinienem ci o tym mówić, ale chodzi o

O'Briena juniora. Policja go znalazła i teraz jest wieziony do CSP. Ponoć jest w stanie krytycznym.

Przekleństwa i mamrotanie umilkły.

Będzie u ciebie za pół godziny. Zrozum, musi się dobudzić i ogarnąć.

370

— Conor, ja muszę wyjść teraz. Zostawię klucz pod wycieraczką. Poproś, żeby zadzwoniła do mnie, jak już się pojawi... L Miał właśnie odłożyć słuchawkę, lecz zdążył dodać: — Conor, zostaram się wam to jakoś wynagrodzić.

Godzina 05.07

— Boże, rzeczywiście kiepsko wygląda.

Takie były pierwsze słowa doktora Hollanda, gdy zobaczył Gordona O'Briena przewożonego z karetki na oddział intensywnej terapii noworodków. I ostatnie, nim rzucił się w wir pracy. Potem padały już tylko instrukcje.

Temperatura ciała ma być kontrolowana co kwadrans i skrzętnie zapisywana. Inkubatora mają ani na sekundę nie odstępować dwie wykwalifikowane pielęgniarki pediatryczne. Trzeba będzie założyć cewnik do tętnicy promieniowej w nadgarstku. Musimy powtórzyć badania krwi, w tym gazometrię. O wynikach chcę być informowany na bieżąco, nawet jak będę w toalecie...

Podczas gdy Paddy Holland mówił, pielęgniarki krzątały się, wykonując połowę poleceń, jeszcze zanim zdążył je wypowiedzieć. Obok inkubatora zmaterializowały się próbki na pobraną krew, starannie wypełniono skierowania do laboratorium. Rozpoczęto przygotowania do założenia cewnika, zmierzenia ciśnienia wewnątrz tętniczki krwi i ogólnie do stabilizacji stanu pacjenta. W laboratorium dwoje techników analitycznych czekało w pogotowiu na pierwsze próbki. Ten dzień pracy rozpoczął się wcześniej niż zwykle nie tylko dla Paddy'ego Hollanda.

Podwoić prędkość kroplówki. Antybiotyk musi jak najszybciej zacząć działać... Zważyli go w Naas?

— Tak.

Świetnie. Obliczyć dawkę dopaminy na tej podstawie, ale Przed podaniem skonsultować się ze mną.

Holland odwrócił się, żeby znów popatrzeć na dziecko. W inkubatorze wydawało się jeszcze mniejsze niż normalnie. Leżało bez ruchu, nie reagując na żadne bodźce i nie wydając żadnych

dźwięków. Powieki były niemal przezroczyste, oczy zapadnięte i tylko od czasu do czasu gdzieś drgnął któryś mięsień. Masz mizerne szanse, mały — pomyślał Paddy Holland. Gordon O'Brien ponownie musiał walczyć o życie.

Godzina 05.32

— Znaleźli go! Znaleźli go! Harry, szybko, ubieraj się! Znaleźli go! Właśnie zadzwonili ze szpitala! Jest w CSP! Jest w szpitalu! — Sandra O'Brien na wpół krzyczała, na wpół płakała, szarpiąc męża za ramię.

Harry'emu O'Brienowi plątały się nogi, kiedy jednocześnie próbował wkładać wszystkie części garderoby, które rzucała mu żona.

Dreptał przy tym śmiesznie po białym puszystym dywanie ich sypialni.

— Nic mu nie jest? — spytał, zaciskając pasek od oodni i wsuwając stopy w buty, przy czym znów stracił równowagę.

— Nie. Włożyli go do inkubatora i ma jakieś zakażenie, ale żyje, Harry, słyszysz? Gordon żyje! Chodźmy już!...

Sandra O'Brien miała rację: znaleźli jej syna i chłopiec żył, ale ledwie, ledwie.

Dwoinka zapalenia płuc nadal się namnażała.

Godzina 06.01

— Tom Morgan? Żartujesz sobie ze mnie?

Paddy Holland i przełożona pielęgniarek pili herbatę i żuż wczorajsze kanapki, siedząc w dyżurce na oddziale intensywnej terapii noworodków. Przeszklona ściana dawała im doskonały widok na salę z inkubatorami. Ten, w którym leżał Gordon O'Brien, został ustawiony tak, że pacjent był widoczny pod każdym kątem-Niemowlę oplatały liczne kable podłączone do monitorów. Jeden

372

wskazywał pracę serca, drugi wysokość ośrodkowego ciśnienia mylnego, trzeci — częstość oddechów. W danej chwili wszystkie trzy parametry nie budziły niepokoju. Poza O'Brienem juniorem na sali leżała jeszcze jedna pacjentka — małeńka dziewczynka, którą pozostawiono na obserwacji po wyjątkowo trudnym porodzie.

— Wcale nie żartuję. Jedna z dziewcząt jest żoną detektywa ze Store Street i to ona mi wczoraj powiedziała.

— Mimo to jakoś ciężko mi w to uwierzyć... — pokręcił głową Holland.

— A jednak...

— Dobry Boże... — Ugryzł następny kawałek lekko czerstwej kanapki i popił herbatą. Nagle zobaczył w szybie swoje odbicie. —

Dobry Boże — powtórzył.

Wyglądał okropnie. Nie miał czasu, żeby się ogolić czy choćby uczesać, nim wybiegł z domu. Podskoczył, a wraz z nim jego odbicie, kiedy obok jego łokcia zadzwonił telefon. Było to zewnętrzne połączenie. Jego bratanica, Mary, dotarła do jego domu i zgodnie z prośbą dzwoniła, aby o tym poinformować.

Co u dzieci? — spytał Holland niespokojnie.

Wszystko dobrze, wujku — odparła Mary. — Śpią jak sły.

— Dziękuję...

Nie ma za co, wujku. Nic się nie martw, jak będzie trzeba, zrobię sobie dzień wolnego od szkoły. Jak się ma ten niemowlak?

— Nie za dobrze, Mary. Niestety nie za dobrze.

— Będę się za niego modlić, wujku.

Świetny pomysł! — przyklasnął jej Holland. Naprawdę świetny! Odmów za niego zdrowaśkę, to mu na pewno nie zaszkodzi • No, muszę już iść. Do usłyszenia.

— Cześć, wujku.

Ciekawe, co będzie, gdy się obudzą? pomyślał ponuro. Wiedział, że jego dzieci po prostu nie znoszą, kiedy wychodzi w nocy, nie mówiąc im o tym.

Skończył wczesne śniadanie i podjął daremną próbę zrobienia Czegoś ze swoim wyglądem. Włosy jednak nie dawały się uczesać

373

bez grzebienia, którego oczywiście zapomniał. Westchnął, czując, że pomiędzy nieumyte zęby nawłaziło mu okruszków.

Co to za życie dla nich — myślał dalej. - Straciły matkę a z ojca nie mają żadnego pożytku. Bardziej przypominam zło dzieją wymykającego się chyłkiem aniżeli głowę rodziny. Nie zasłużyły sobie na to...

- Znaleźli coś w jego gabinecie, kiedy go wczoraj przeszukiwali — ciągnęła siostra przełożona.

Tak? A co?

Ten detektyw, który jest mężem jednej z pielęgniarek, tego nie wiedział. Ale Morgana aresztowali właśnie w związku z tym czymś, co u niego znaleźli.

Holland zapuścił żurawia do sali z inkubatorami. Na jego pytające

spojrzenie trzymająca dyżur pielęgniarka pokiwała głową na boki, co oznaczało, że dziecku ani się nie poprawiło, ani nie pogorszyło. Ponoć niemal zdemolowali gabinet. Conway był wściekły. Szpital i tak opustoszał po ostatnich wydarzeniach, ale odkąd policja znów zaczęła przemierzać korytarze w tę i w tę i wszędzie wpychać nosy, jest jeszcze gorzej. Wczoraj na przykład wypisały się kolejne dwadzieścia trzy pacjentki, mimo że lekarze prowadzący stanowczo im to odradzali.

Dwadzieścia trzy? — złapał się za głowę Holland. — W to nigdy nie uwierzę.

Niedowiarek się z ciebie zrobił... Sama nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Szpital schodzi na psy. Pielęgniarki boją się własnego cienia. Nie ma chętnych do brania nocnych dyżurów, trzeba je przymuszać siłą, inaczej już moglibyśmy zamknąć ten interes i rozejść się do domów. Prędzej czy później do tego dojdzie, o ile atmosfera nie zostanie oczyszczona. Oczywiście, mnie również jest trudno uwierzyć, żeby to doktor Morgan był mordercą, ale chyba już wolałabym, żeby to była prawda...

Holland zakrztusił się herbatą.

— Dlaczego?

— Bo to by oznaczało, że nareszcie go złapali — wyjaśniła kobieta. — Że możemy wszyscy odetchnąć i spać i pracować spokojnie, nie oglądając się bez przerwy za siebie. — Otarła usta ser

374

Nvetką i dodała, ledwie hamując gniew: — Oby więc to był doktor Morgan. Wtedy wszystko wróci do normy.

Paddy Holland umknął wzrokiem pod pozorem ponownej kontroli stanu dziecka. Wydawał się zmieszany i zawstydzony. — zarówno rewelacjami, które przed chwilą usłyszał, jak i przedstawionym właśnie stanowiskiem.

— Ale to nie trzyma się kupy... — stwierdził, w zastanowieniu marszcząc brew. — Znam Morgana, razem studiowaliśmy. Niezły z niego gagatek, myśli główką, a nie głową, ale żeby posunął się do morderstwa? Nigdy w to nie uwierzę. Coś takiego po prostu do niego nie pasuje.

Przełożona roześmiała się na taki opis zabójczo przystojnego doktora Morgana, do którego wzdychało dziewięćdziesiąt procent żeńskiego personelu szpitala. Poza tym po raz pierwszy widziała doktora Hollanda przejętego czymś innym niż praca i jego rodzina.



Gdyby ktoś zapytał mnie o zdanie, wskazałbym Deana Lyn-cha pomyślał nagle Holland. — Sam na jego widok robię w spodnie ze strachu.

To jego bym przetrzepał, gdybym był detektywem.

Niemożliwe, żeby Morgan był mordercą — powiedział raz jeszcze, bardziej stanowczo. — Tom przepada za kobietami. Różnie je do utraty świadomości, zgoda, ale żeby je zabijać? — Pokręcił przecząco głową.

Ja tylko powtarzam to, co usłyszałam — broniła się przełożona pielęgniarek. Ona n i e przepadała za Tomem Morganem. Miała go za nieodpowiedzialnego, napalonego pięknoducha. A poza tym wystawił ją kiedyś na randce.

Paddy Holland dolał sobie herbaty, upił łyk i skrzywił się Potężnie.

Herbata była zimna. Czekając, aż przełożona nastawi czajnik i zaparzy świeżą, a laboratorium uwinie się z badaniami Gordona, i nie spuszczać oka z sali, na której leżał jego mały Pacjent, miał wiele czasu, by wszystko dokładnie przemyśleć.

To po prostu nie mógł być Tom Morgan! Ciekawe, co takiego znaleźli w jego gabinecie...

Nagle w jego umyśle pojawiła się pewna wizja. Odszukał sPojrzenie pielęgniarki pilnującej O'Briena juniora i upewnił się co do jego stanu, lecz mimo to wizja nie zniknęła. Serce Hollanda

375

zaczęło szybciej bić. Dobry Boże, to pewnie było to! — pomyślał — To pewnie było to...

Odciągnął gwałtownie dolną szufladę i zaczął przerzuć ' formularze, skierowania i bloczki z receptami, aż znalazł to czego szukał.

Książkę telefoniczną Dublina. Otworzył ją j prze' kartkował, naddzierając niektóre strony w poszukiwaniu litery „P”. Przyłożył

palec do kartki i przejechał nim w dół, odszukując posterunek przy Store Street, po czym nagryzmolił numer telefonu na skrawku papieru, który upchnął w kieszeni fartucha Następnie zerwał się na równe nogi i wpadł do sali z inkubatorami.

— Co u niego? — zapytał czuwającą pielęgniarkę.

Bez zmian.

— Ciśnienie krwi w porządku?

Może być.

— Dobrze. Muszę teraz pilnie zatelefonować — poinformował. — Będę w swoim gabinecie. Proszę mnie natychmiast zawiadomić, gdyby cokolwiek się zmieniło.

— Oczywiście, doktorze.

Holland przebiegł do gabinetu, zamknął za sobą drzwi i wybrał zapisany numer. Kiedy odebrał dyżurny posterunku, rzucił bez wstępów:

— Chcę rozmawiać z oficerem.

Po drugiej stronie linii na chwilę zaległa cisza, potem coś kliknęło, a jeszcze później dyżurny zaczął przeproszać, że żaden z oficerów w tym momencie nie jest osiągalny.

— W takim razie proszę mnie połączyć z Kate Hamilton, to znaczy... eee... z sierżant Hamilton. To ta, która prowadzi dochodzenie w Centralnym Szpitalu Położniczym — dodał.

Podejrzliwy głos po drugiej stronie zapytał, o co chodzi.

Nazywam się Paddy Holland i jestem lekarzem w CSP-Pediatria, mówiąc ściśle. Właśnie przypomniałem sobie coś, co może być istotne dla sprawy, i chciałbym to przekazać, aczkolwiek niekoniecznie pierwszej z brzegu osobie i raczej 'lie przez telefon. Czy na posterunku jest ktoś, kto mógłby mnie wysłuchać?

Podejrzliwy głos ostrożnie odpowiedział, że niestety nie, a'e że zaraz spróbuje skontaktować się z sierżant Hamilton.

376

— Naprawdę? To doskonale. Bardzo dziękuję za pomoc. Będę w szpitalu przez cały ranek. Proszę jej powiedzieć, że może mnie znaleźć na oddziale intensywnej terapii noworodków.

Telefon zadzwonił, ledwie zdążył przejść z powrotem na oddział. Kate siedziała na łóżku z nogami opuszczonymi na podłogę — na wpół nieprzytomna z niewyspania, na wpół nieżywa ze zmęczenia. Przed chwilą zadzwonił do niej dyżurny posterunku przy Store Street, ten o podejrzliwym głosie, z informacją, że pilnie szuka jej doktor Holland, mający rzekomo jakieś ważne informacje w sprawie morderstwa Mary Dwyer. Przy okazji powiadomił ją też, że w końcu udało im się znaleźć lekarza gotowego przeprowadzić test w kierunku obecności wirusa HIV u Toma Morgana. Szukali kogoś takiego od wczoraj, ale wszyscy lekarze, z których usług korzystali w podobnych wypadkach, nieoczekiwanie przebywali akurat poza Dublinem albo mieli grypę czy cokolwiek innego — a znając cały spis chorób, mieli z czego wybierać — ponieważ badanym miał być kolega po fachu. Kate wróciła do domu w przekonaniu, że wszyscy lekarze świata zawiązali przeciwko niej spisek, aby utrudnić jej prowadzenie dochodzenia, tymczasem nic podobnego. Reakcja proszonych o pomoc medyków była całkiem naturalna i wynikała z odwiecznego prawidła, aby nie

działać na szkodę drugiego lekarza. Dyżurny, będący istną kopalnią informacji tego ranka, wspomniał jeszcze

0 faksie, który właśnie przyszedł z Los Angeles. Nadawcą był niejaki Jan Pietersen, w treści potwierdzający, że spędził z Tomem Morganem cały wtorkowy wieczór jedenastego lutego bieżącego roku, jak również noc z wtorku na środę. Był skłonny złożyć odpowiednie zeznania osobiście, natychmiast w Stanach Zjednoczonych bądź za tydzień po powrocie do kraju, i bardzo prosił, aby zwrotnie potwierdzić, że jego faks dotarł i został odnotowany.

— Szlag! — sapnęła Kate. — Róbcie ten test, do cholery,

1 dajcie mi znać, jak tylko będzie znany wynik.

— Czy mogę prosić z doktorem Hollandem?

W tle Kate słyszała płacz kobiety i męskie łkanie. Chryste, co się tam dzieje? — pomyślała.

377

Pani sierżant Hamilton? Witam, tutaj Paddy Hol|a Przypomniało mi się coś, co może mieć związek z pani doch dzeniem... Pomyślałem sobie, że powinna się pani o tym jak najszybciej dowiedzieć, aczkolwiek niewykluczone, że ta informac okaże się całkowicie nieistotna. JjOT

Proszę mówić. — Kate szeptała, nie chcąc obudzić Rory'ego, zarazem jednak wyrażała się jasno i stanowczo, nic chcąc, by Holland sobie pomyślał, że go ignoruje.

— Przykro mi, ale wolałbym nie mówić o tym przez telefon To dość delikatna sprawa... Poza tym rozmawiam z dyżurki, panuje tu małe zamieszanie... Walczymy o życie dziecka, jego rodzice właśnie się zjawili... Czy nie moglibyśmy się spotkać w szpitalu?

Kate już wstawiała, wzrokiem szukając wczorajszego ubrania.

Będę najdalej za godzinę. Czy to panu odpowiada?

Płacz w tle wzmógł się i Kate wyczuła, że Holland zasłania ręką mikrofon. Odezwał się dopiero po krótkiej chwili.

Tak, naturalnie. Będę na oddziale intensywnej terapii noworodków, powinna mnie pani znaleźć bez trudu. Praktycznie nie odchodzę od inkubatora.

— Gdzie to jest?

Na drugim piętrze w Zachodnim Skrzydle. Ale mogę też zostać wezwany na oddział wcześniaków. To co, do zobaczenia za godzinę?

Tak, do zobaczenia — odpowiedziała machinalnie Kate, odwracając się, żeby obudzić syna. — Rory, wstawaj... No dalej, śpiochu, budź

się...

Ujęła chłopca w ramiona i przytuliła wciąż twardo śpiącego. Przyłożyła głowę do jej piersi, wsadził kciuk do buzi i westchnął przez sen. Poglaskała go po głowie, potem po twarzy i pocałowała w policzek. Z jakiegoś powodu nie chciała się z nim rozstawać. W głębi ducha jednak wiedziała, że ta chwila musi prędzej czy później minąć. Co więcej, ogarnęło ją irracjonalne przeczucie, że stanie się coś złego. Po krzyżu przebiegły jej ciarki; zaczęła drzeć na całym ciele, mimo że kaloryfery były wciąż włączone i w po\* koju było ciepło. Niosąc syna na rękach, przekroczyła niczym Godzilla tory kolejowe, potknęła się o stojący na bocznicy wag«' nik i w końcu jakoś dobrnęła do kuchni. Usadziła na wpół śpią; cego i ziewającego chłopca przy stole i zaczęła przygotowywać

378

, .jadanie, równocześnie szykując się do pracy. Celowo unikała wzrokiem bałaganu pod nogami, nie chcąc sobie dodatkowo zawracać głowy sprzątaniami.

No, Rory... Zjedz ładnie swojego tosta. Mamusia musi już iść do pracy.

Rory obrzucił ją spojrzeniem jednego niebieskiego oka, drugim zezując na stygnący tost. Podparł brodę na rękę.

— Mamusiu?

.— Rory, znowu się przez ciebie spóźnię.

— Mamusiu?...

O co chodzi? Mam nadzieję, że nie chcesz znowu poprosić o pieska! Tysiąc razy ci mówiłam, że nie możemy mieć psa! Twarzyczka Rory'ego zapadła się, z obu oczu polały się łzy, mocząc piżamkę i całkiem już zimny tost.

— Kurczę blade! — Pół godziny później Kate, podrzuciwszy Rory ego pod przedszkole, poprosiła: — No, daj mamusi całusa.

Zobaczymy się, jak skończę pracę.

— Mamusiu?...

— Tak?

— Kiedy będę mógł dostać pieska?

Porozmawiamy o tym później. Teraz muszę już pędzić. Na razie, skarbie. Paddy Holland rozmawiał z państwem O'Brienami, starając się ich pocieszyć.

— Gordon jest chory, bardzo chory. Robimy wszystko co w ludzkiej mocy, ale trafił do nas w naprawdę ciężkim stanie.

Najbliższe dwadzieścia cztery godziny będą decydujące...

Sandra O'Brien opadła na kolana przy inkubatorze skrywającym jej cudem odzyskane dziecko. Była blada jak ściana, niezdolna wykrztusić choćby słowa. Zabrakło jej nawet łez. Harry natomiast płakał bez wstydu, dając upust uczuciom, które przepełniały go od wielu dni. Opierał się o ścianę i łkał, pozwalając, by szloch wstrząsał jego ciałem. Holland skinął głową na jedną z pielęgniarek, która podeszła do Sandry, ukucnęła przy niej i objęła ją ramieniem, dodając jej otuchy jak kobieta, kobiecie, matka, matce. Kiedy Harry O'Brien opanował się i trochę doszedł

do siebie, doktor Holland usadził go w krzesło i popatrzył mu prosto w oczy.

Panie O'Brien, pański syn jest poważnie chory, ale wciąż żyje. A póki życia, póty nadziei. Poruszmy góry, byle tylko go uratować.

Ale pan i pańska żona musicie nam pomóc, musicie pomóc jemu — urwał, pozwalając, by jego słowa przedarły się przez ból i ośpienie do umysłu O'Briena seniora.

— Proszę powiedzieć, co mamy robić, doktorze. — Prezes O'Brien Corporation, twardy biznesmen, otarł łzy chusteczką i wysiąkał w nią nos. Wstał, podszedł do żony i delikatnie podniósł ją na nogi. Przygarnął ją do siebie i lekko przytulił. — Co powinniśmy robić? — popatrzył na Hollanda.

Paddy już przystawiał do inkubatora drugie krzesło. Robiąc to, zauważył, że małe klatka piersiowa nadal unosi się i opada nieregularnie, a małe kończyny leżą bez ruchu. Jednakże kolor skóry dziecka nieco się poprawił.

Proszę tu usiąść. Razem. — Łagodnie pokierował Sandrą, pomagając jej zająć miejsce na wprost twarzy syna. — Macie tu siedzieć, mówić do niego, gładzić go i całować. Dajcie mu odczuć, że znów jest z rodziną, z matką i z ojcem, i że jest kochany. Dajcie mu powód, żeby znów zaczął chcieć żyć. Sprawcie, by poczuł, że warto żyć.

— Zwrócił się bezpośrednio do Sandry: — Niech wie, że pani jest przy nim i zawsze przy nim będzie. Niech słyszy pani głos i czuje pani dotyk. Niech zrozumie, że trafił do domu.

Zmiana, która po tych słowach nastąpiła w obojgu rodzicach, była zdumiewająca. Wpatrzyli się w inkubator i rozpoczęli walkę o życie swego syna. Paddy Holland, wychodząc z sali, gestem nakazał, by pielęgniarki zrobiły to samo.

Proszę monitorować stan dziecka — polecił im — i informować mnie natychmiast o każdej zmianie. Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy. Odtąd życie tego dziecka leży w rękach Boga. Ale tak przynajmniej oni — skinął głową w stronę siedzących plecami do szyby O'Brienow — mają poczucie, że coś dla niego robią. Jeśli Gordon umrze, im na pociechę zostanie świadomość, że był przy nim do samego końca, walcząc razem z nim.

380

Godzina 08.32

Tommy Malone leżał w łóżku Betty w jej domu w dzielnicy Greystones, oglądając poranne wiadomości. Betty przysłuchiwała się dziennikowi z kuchni. Nagle weszła do sypialni blada jak trup — Spróbujesz zjeść jakieś śniadanie?

Malone wystukał sweet aftona z paczki i zapalił go, nie odpowiadając. W końcu rzucił:

— E, chyba nie, Betty. Mam parę spraw do przemyślenia.

O to mogę się założyć — pomyślała Betty.

XL

Godzina 09.03 Oddział wcześniaków Centralnego Szpitala Położniczego  
Wśród pielęgniarek krążyło określenie „cela życia”, które ukuły na bazie amerykańskiej „celi śmierci”, wciąż będącej w użytku w niektórych stanach USA. W przeciwieństwie do tego niechlubnego pomieszczenia oddział wcześniaków CSP składał się z jednej dużej sali, w której stało osiem inkubatorów. Leżały w nich przedwcześnie urodzone dzieci. Część z nich podłączona była do respiratorów, wtłaczających w małe płuca powietrze, którego inaczej słabe ciała wcześniaków nie byłyby w stanie wciągnąć — ich klatki piersiowe nie miały wystarczająco silnych mięśni oddechowych; inne oplatały kable znacznie bardziej skomplikowanych urządzeń; wszystkie natomiast cieszyły się panującą wewnątrz inkubatora odpowiednio wysoką temperaturą. Każde z niemowląt miało półprzezroczystą skórę rozciągniętą na wyzierających spod niej kostkach i ścięgnach.

I każde walczyło o życie.

Nie może pani wejść dalej. Proszę poczekać w dyżurce.

Przełożona pielęgniarek poinstruowała Kate, gdy ta oznajmiła, po co przyszła.

Zatem Kate czekała na doktora Hollanda, patrząc na walczące o życie dopiero co narodzone dzieci. W pamięci wciąż miała wcale nie

tak dawne przeżycia, kiedy to szła tym samym korytarzem, pytając o drogę, by w końcu trafić na oddział wcześniaków, gdzie przystanąła, nie mogąc oderwać wzroku od maleńkich istotek. Teraz było tak samo. Walka o życie jest zawsze dramatyczna — pomyślała — a granica między śmiercią i życiem tak krucha-  
382

Długo mu to zajmie? — zapytała, wskazując Paddy'ego nachylonego nad jednym z inkubatorów.

— Trudno powiedzieć — wzruszyła ramionami pielęgniarka. Mamy tu jedną dziewczuszkę, która nastrecza nam wszystkim problemów. Dzisiaj rano zrobiono jej tomografię mózgu. Lada mornent ma nadejść wynik.

— Która to? — zainteresowała się Kate.

— Widzi pani doktora? Zagląda teraz do innego dziecka. Ta dziewczuska, o której mówiłam, leży po jego lewej stronie, trochę z tyłu.

Kate nie spuszczała wzroku z Hollanda, który przechodził od inkubatora do inkubatora, sprawdzając odczyty i przykładając końcówkę miniaturowego stetoskopu do piersi niemowląt. Małe tłumoczeki leżały na wznak w świetle jarzeniówek, prawie nie otwierając oczu.

Przy większości inkubatorów siedziały matki, wodzące spojrzeniem za lekarzem i jak kania dżdżu czekające jego najdrobniejszego gestu otuchy czy grymasu niepokoju. Kate pomyślała, że lekarz ma nieprawdopodobną władzę, podobnie zresztą jak pielęgniarka czy położna. Choć nie zdawali sobie z tego sprawy, na swoim terenie pełnili rolę Boga — nie tyle decydując o życiu i śmierci, ile raczej sprawiając, że życie wygrywało. Przynajmniej wtedy, gdy zapobieżenie śmierci było w ludzkiej mocy.

W końcu Paddy Holland wrócił do inkubatora z dziewczynką od tomografii mózgu. Kate widziała wyraźnie przez szybę, że lekarz mówi coś do matki, zdjawszy okulary, żeby rozmasować grzbiet nosa. Kobieta zaczerpnęła głęboko tchu, po czym zaczęła łkać, przyciskając wilgotną chusteczkę do oczu. Holland przeniósł spojrzenie na ojca dziecka, który stał po drugiej stronie inkubatora z twarzą ściągniętą bólem.

— Miał paskudny dzień — powiedziała pielęgniarka cło Kate tytułem ostrzeżenia — chociaż nie ma jeszcze nawet dziewiątej...

Policjantka odwróciła się lekko, tak by móc widzieć scenę rozgrywającą

się za szybą oraz mówiącą do niej kobietę.

— To znaczy?

— Wezwano go koło piątej nad ranem. Od wtedy tkwił na OIOM-ie noworodków, zajmując się tym porwanym maluchem.

383

i

— Jak on sobie radzi?

— Nie za dobrze, z tego co wiem. A potem jak na złość nagle pogorszył się stan tej dziewczuszki. Odkąd zaczęłam dyżur, czyli od szóstej rano, doktor Holland próbuje rozerwać się na dwoje kursując pomiędzy OIOM-em i oddziałem.

Sierżant Hamilton patrzyła, jak za szybą jedna z pielęgniarek konferuje z Paddym Hollandem, po czym nabiera czegoś do strzykawki, jeszcze raz upewnia się, że dobrze zrozumiała nazwę leku i dawkę. Potwierdzając, Holland lekko się odwrócił i kątem oka dostrzegł Kate. Uniósł w górę rękę, dając jej znać, że ją zobaczył, po czym wyprostował palec wskazujący, kierując go na dyżurkę, jakby mówił: „Czekaj tam na mnie i nigdzie nie idź!”

— W dodatku zaraz po ósmej zadzwoniła do niego córeczka z pretensjami, że go nie było w domu, kiedy się obudziła. —

Pielęgniarka uśmiechnęła się krzywo. — Robi tak zawsze, ilekroć doktora wzywają nocą do szpitala...

Kate również wykrzywiła wargi w uśmiechu. Doskonale wiedziała, do jakich metod uciekają się mali terroryści.

Witam panią, dziękuję, że pani przyszła. I przepraszam, że musiała pani czekać, ale dzisiejszego ranka wiele się tu działo...

Paddy Holland ledwie trzymał się na nogach. Twarz miał szarą ze zmęczenia i stresu, włosy w nieporządku. Kate zauważyła to, kiedy w zmieszaniu przejechał dłonią po głowie, próbując je wygładzić. Potem jeszcze poprawił zapięcie fartucha kryjącego pod sobą niezbyt świeżą koszulę. Ogólnie stanowił obraz nędzy i rozpacz. Ledwie się z nią przywitał, odwrócił się do czekającej w pobliżu pielęgniarki oddziałowej i powiedział: — Proszę dać mi znać, kiedy będziemy już mieli wynik tomografii. Będę w swoim gabinecie z sierżantem Hamilton...

Proszę mi mówić po imieniu — wpadła mu w słowo

Kate.

Holland uśmiechnął się blado i Kate poczuła, że sama również się uśmiecha. Zażenowało ją to tak samo, jakby wgapiła się w niego i



śliniła i została na tym przyłapana.

— Kate, można powiedzieć, że robimy w tej samej branży zaczął Holland, przecierając soczewki okularów końcem krawata-Brwi kobiety schowały się pod grzywką. — Tropimy... Ty cały

384

dzień zbierasz do kupy informacje i próbujesz dociec, kto zrobił c0 i dlaczego... — Sierżant Hamilton przytaknęła niepewnie, nie wiedząc, do czego zmierza ta rozmowa. — Ja natomiast obserwuję moich małych pacjentów i próbuję zrozumieć, co sprawia, że chorują albo zdrowieją. Czasem najdrobniejsza przeoczona informacja może zaważyć na czyimś życiu. Dlatego nauczyłem się być bardzo uważny.

— Przerwał na chwilę. — Czy to, co mówię, ma sens?

— Jak na razie tak — przyznała.

Dobrze. — Odchylił się na krześle, przymykając oczy, kiedy jeszcze raz w myślach odtwarzał wydarzenia i wnioski, jakie mu się w związku z nimi nasunęły. Powieki mu lekko drgały i nagle rozwarły się, ukazując intensywnie kolorowe tęczęwki, a on sam gwałtownie nachylił się do przodu. Dłonie miał zaplecione jak do modlitwy. —

Szukasz mordercy. Personel szpitala nie ułatwia ci sprawy.

Postaraj się nas jednak zrozumieć. Mało kto chce podzielić się własnymi obserwacjami i przemyśleniami, ryzykując, że niesłusznie rzuci cię na jednego ze swych kolegów i w efekcie trafi przed sąd koleżeński. - Holland ponownie zrobił pauzę, uważnie przyglądając się Kate, która milczała. - Ja zdecydowałem się powiedzieć ci, co sądzę o tym całym bałaganie. Gotowa?

Zamieniam się w słuch. — Jednym ruchem otworzyła swój notes i przygotowała długopis.

Jakiś czas temu jeden z lekarzy specjalistów zatrudnionych w tym szpitalu pozwolił, żeby wysiadł mu akumulator. Został wezwany w środku nocy do przedwczesnego porodu i śpiesząc się, zapomniał wyłączyć reflektory. Kiedy w końcu wrócił na parking, zorientował się, że nigdzie nie odjedzie. Właśnie zaparkowałem obok niego. Zapytał mnie, czy nie mógłby podłączyć się na trochę do mojego akumulatora. Kiedy już podładował nieco swój, jego samochód zaczął świecić jak choinka i wyć jak potępieniec. Włączyły się dwa alarmy. Dwa. — Holland mówił, a Kate słuchała, nie notując ani słowa. Na razie nie widziała związku pomiędzy morderstwem a zdechłym akumulatorem. — Zdziwiło mnie to kontynuował Paddy - bo po pierwsze, nie znam nikogo innego, kto miałby zainstalowane dwa

niezależne alarmy, a po drugie, auto tego lekarza było warte mniej niż koszt założenia jednego skomplikowanego systemu alarmowego.

— Skąd ta pewność? — Kate nagle poczuła zainteresowanie

— Sprawdziłem to. Mam dociekliwy umysł — wyjaśnił i jak coś mnie gnębi, wolę to sprawdzić i mieć spokój. Zapamiętałem nazwę firmy montującej autoalarmy, mają w zwyczaju zostawiać małe nalepki, i zadzwoniłem tam. Od dawna chciałem popytać o ceny. Dwukrotnie ktoś włamał mi się do samochodu jeden wóz mi nawet ukradziono. Im człowiek jest starszy, tym bardziej denerwują go takie rzeczy...

— To nie tylko kwestia wieku — mruknęła Kate. Jej się zdarzyło nie zastać wozu służbowego, który zostawiła tuż pod posterunkiem przy Store Street!

— No więc — ciągnął Holland — okazało się, że właściciela tej firmy również zastanowiło, po co komu dwa alarmy, zwłaszcza jeśli ma stare bmw, a nie nowego merca. To on powiedział mi, że facet wybulił niemal równowartość tego, co mógłby dostać za swojego ośmioletniego grata. Pośmialiśmy się wtedy trochę, pamiętam... A potem, jak już skończyliśmy się nabijać, właściciel firmy powiedział coś jeszcze. Coś naprawdę dziwnego... — Urwał, jak gdyby chcąc dokładnie przypomnieć sobie przebieg rozmowy.

Kate siedziała sztywno wyprostowana.

— Co takiego? — ponagliła Paddy'ego.

— Powiedział, że w życiu nie spotkał kogoś tak dziwaczego jak ten facet od bmw i dwóch alarmów. Powiedział, że gość zachowywał się podejrzanie i był niezwykle upierdliwy, co w końcu nie jest aż tak rzadkie. Ale zdawał się też uważać na każde swoje słowo i odmówił zostawienia samochodu w warsztacie. Kręcił się mechanikom pod nogami, aż go mieli serdecznie dosyć. Właściciel za to czuł w jego obecności irracjonalny strach. Wykonywał dla niego robotę, a jednak się go bał!

Kate także zaczęła się bać. Z nową siłą powróciło do niej poranne uczucie, że stanie się coś złego. Wzdrygnęła się.

— A teraz będzie najlepsze — oznajmił Paddy Holland. — Usłyszałem wtedy, że kiedy instalowano alarm, przypadkiem odsłonięciu uległ schowek w tapicerce drzwi. No wiesz, żeby P°" łożyć druciki, trzeba trochę pokombinować... W ten sposób p"3" cownicy warsztatu natrafili na tajną skrytkę, pustą wprawdzie, a'e zawsze, w

rozlatującym się bmw, w którym koleś zażyczył sobie  
386

dwóch alarmów! Właściciel dodał dwa do dwóch, by tak rzec, i doszedł do wniosku, że to śmierzcząca sprawa.

— Zrobił coś z tym wnioskiem? Na przykład podzielił się z kimś swoimi obawami?

— Nie, i to też wiele mówi. Powiedział mi, że myślał o tym, ale kiedy zważył wszystkie za i przeciw, wyszło mu, że bezpieczniej dla niego i jego rodziny będzie, jak będzie siedział cicho. Przyciśnięty lekko przyznał, że...

— Że co? — wpadła mu w słowo Kate.

— Że zwyczajnie bał się swego klienta. Uznał, że to nie jego sprawa i że lepiej o wszystkim zapomnieć. Życie jest za krótkie, uraczył mnie wtedy bon motem, żeby szukać kłopotów. Kate czuła, że informacja jest istotna. Być może nawet była przełomowa. To na coś takiego przez cały czas czekali...

Na koniec zapytał mnie, czy znam tego od bmw. I wiesz co?

— Co?

— Też uznałem, że to nie moja sprawa. I odpowiedziałem, że nie, nie znam. Zrozumiałem, że odczuwam dokładnie to samo co człowiek, z którym rozmawiałem. Że boję się swego kolegi z pracy. Lekarza. Nie miałem pojęcia, skąd to uczucie, ale tak właśnie się czułem. I zachowałem się identycznie jak zwykły mechanik. A ten lekarz? Ten specjalista? Jak brzmi jego nazwisko? Paddy Holland udzielił odpowiedzi bez chwili zwłoki.

— Dean Lynch.

Kate starała się nie okazywać podniecenia, jakie ją ogarnęło.

— No tak, ale posiadanie dwóch alarmów samochodowych, choćby i zamontowanych w strupieszalym bmw, nie jest jeszcze przestępstwem.

- Nie, oczywiście, że nie — zgodził się z nią Holland. — Ale tak jak powiedziałem na wstępie, wydaje mi się, że może to mieć jakieś znaczenie. Dla niektórych decydujące.

— Jak mam to rozumieć?

— Wiem, że zatrzymaliście Toma Morgana pod zarzutem popełnienia obu morderstw. — Paddy nie pozwolił sobie przerwać i mówił dalej: — Proszę, nie pytaj, skąd to wiem. Po prostu wiem i już. Ale wiem coś jeszcze... Znam Toma Morgana od lat. Bywa, że

zachowuje się jak ostatni drań, z całą pewnością jest kobieciana-  
387

rzem, byłby rznął szyjki od butelek, gdyby miał choć cień nadziei że mu to sprawi przyjemność. Wybacz szczerą — zreflektował się, lecz mimo to dokończył: — Ale na pewno nie jest mordercą Mam nosa do ludzi. Bardzo rzadko się co do nich myślę. I nje tak...

— Doktorze Holland...

— Skoro ja mam mówić do ciebie po imieniu, ty także mów do mnie „Paddy” — przerwał jej. — Jesteśmy w tym razem i musimy sobie nawzajem ułatwiać życie.

— Paddy — zaczęła po raz drugi Kate. — Doceniam, że zechciałeś przekazać mi tę informację. Naprawdę. Ale jeśli mogę ci to powiedzieć w zaufaniu, na Toma Morgana mamy znacznie więcej niż na właściciela auta z podwójnym alarmem.

— Tak, wiem... Znaleźliście coś w jego gabinecie. - Podniósł ręce w obronnym geście, kiedy Kate spojrzała na niego ostro. — O to też nie pytaj. Informacje szybko się rozchodzą. Pozwól za to, bym podzielił się z tobą jeszcze jednym spostrzeżeniem. Istotnym albo nie, to się dopiero okaże. — Urwał, odchrząknął i obejrzał sobie paznokcie. — Wczoraj rano także byłem w pracy wcześniej od innych. Mamy tutaj wcześniaka, który wymyka nam się z rąk, i dostałem telefon, że znów jej się pogorszyło. Nie mogłem tego tak zostawić. Wyślizgnąłem się z domu na godzinę, dzieciaki nawet się nie zorientowały, że przez jakiś czas były same...

Szczęściarz. Ja tak nie umiem. Zresztą Rory czepia się mnie jak pijawka... — pomyślała Kate.

— Zbadałem tego wcześniaka i stwierdziłem, że stan się ustabilizował, mogłem więc z czystym sumieniem wracać do domu. Zanim jednak wyszedłem ze szpitala, wpadłem jeszcze do swojego gabinetu, żeby zabrać jakieś papiery... Spieszyłem się, więc nawet nie zapaliłem światła, było go dość na korytarzu. Ledwie wszedłem do środka, usłyszałem, jak gdzieś tuż obok zamykają się drzwi.

Dokładnie odgłos dobiegł mnie z lewej strony. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem, pewnie dlatego, że zdziwiło mnie, że ktoś jeszcze zjawił się w pracy tak wcześnie, no i wyjrzałem-Akurat na czas, żeby zobaczyć i rozpoznać postać, która przed chwilą opuściła gabinet obok mojego.

— Kto to był? Doktor Lynch?

388

— Bingo!

— Ale co w tym dziwnego?

Doktor Lynch nie ma swojego gabinetu, to znaczy nie w tym skrzydle. Robi z tego wielkie halo, nawiasem mówiąc. Trąbi wszem wobec, że zajmuje się tylko pacjentkami z ubezpieczalni i nie leczy prywatnych. Jest zatrudniony przez ministerstwo zdrowia, a nie przez dyrekcję szpitala.

— Zatem nie ma gabinetu obok twojego?

Nie. Nigdy nawet nie zachodzi do Północnego Skrzydła. Nie owija w bawełnę, dając nam wszystkim odczuć, że gardzi nami i tym miejscem. Jest na nie za dobry.

W takim razie dlaczego tam był wczorajszego ranka?

Zadałem sobie to samo pytanie. Ale potem miałem tyle pracy, najpierw z dziećmi w domu, potem tutaj, w szpitalu, że wyleciało mi ono z głowy. Przypomniałem sobie o całej sprawie dzisiaj, kiedy doszły mnie słuchy o Tomie. Sprawdziłem i dowiedziałem się, że Lynch odbierał wczoraj nad ranem poród kleszczowy, ale na tym powinna zakończyć się jego działalność. Przyjął dziecko na świat i wrócić do domu. Nie miał najmniejszego powodu zakradać się do naszego skrzydła.

Kate nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Ogarniało ją podenerwowanie. To co mówił Paddy, brzmiało jak z taniego horroru. Skojarzyłem fakty, kiedy powiedziano mi, że policja znalazła coś w gabinecie Toma Morgana.

— Co mianowicie?

— Ano to, że Lynch wychodził z gabinetu Morgana.

Serce Kate zaczęło bić mocniej.

— Jesteś tego pewien?

- Tak. Widzisz, mój gabinet jest przedostatni na tym korytarzu. Za nim jest jeszcze tylko jeden i jest to gabinet Morgana. Skoro

Lynch wychodził z drzwi po lewej, musiał być właśnie tam.

Kate kiwnęła głową, przypominając sobie układ korytarza, który zapamiętała z dnia, gdy ucięła sobie pogawędkę z Morganem na jego terenie.

— Sugerujesz więc, że Dean Lynch podłożył coś w gabinecie Morgana

— powiedziała z namysłem.

(

— Nie mam pojęcia, co Lynch tam robił. Podobnie jak ty mogę tylko

spekulować na ten temat. Po prostu mówię ci, co widziałem.

Reszta należy do ciebie, w końcu to ty jesteś detektywem — przypomniał.

— Wcześniej mówiłeś coś innego — uśmiechnęła się z trudem.

— To prawda. Ale ja tylko obserwuję. Ty musisz sprawdzić czy te obserwacje na coś się przydadzą.

Kate zanotowała coś w swoim notesie, po czym zerknęła na zegarek.

— Gabinety w Północnym Skrzydle nie są zamykane na noc? — zdziwiła się.

Nie. Kiedyś się tam włamano i trzy pary drzwi nadawały się do wymiany.

Od tego czasu dyrekcja zaleca, aby nie zamykać ani

gabinetów, ani szaf na dokumenty, chyba że w archiwum. W ten sposób w razie włamania jest mniej bałaganu...

— Chcesz mi powiedzieć coś jeszcze? — zapytała, widząc, że Holland się zawahał.

— Tak. Lynch nienawidzi Toma. Z wzajemnością zresztą. Tajemnicą poliszynela jest, że wydrapaliby sobie oczy, gdyby znaleźli się w tym samym miejscu w tym samym czasie. Dlatego dyrekcja z taką starannością ustala ich dyżury. Kiedy jeden przyjmuje pacjentki, drugi przeprowadza operacje. Praktycznie nie mają szans na siebie wpaść.

— Naprawdę? To znaczy, czy to możliwe, żeby dwaj dorośli mężczyźni, do tego lekarze, tak się zachowywali?

— To dość niezwykle, przyznaję. Niezwykłe, ale nie niemożliwe.

Dalszych zeznań w tej sprawie odmawiam — zażartował. — Nie chcę skończyć przed sądem koleżeńskim.

— Wygląda na to, że strasznie się go wszyscy boicie. Tego sądu — zauważyła Kate. — Faceci z jajami, ratujący ludzkie życie, a z drugiej strony...

Holland prychnął ze śmiechu.

— Sam nie ująłbym tego trafniej.

Na ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały. W tej samej chwili rozdzwonił się aparat na biurku. Holland złapał za słuchawkę.

— Tak?

Donośny głos dobiegający ze słuchawki pozwolił Kate zorientować się, że telefonuje siostra oddziałowa. Z niepokojem patrzyła, jak twarz Paddy'ego się wydłuża.

Westchnął i potarł czoło wolną ręką.

— W porządku. Poproś rodziców dziecka do dyżurki i ich przygotuj. Chcę, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Nikt, zrozumiałaś?

Dobrze... Są jakieś wieści z OIOM-u? — Holland przez chwilę słuchał, nie zmieniając wyrazu twarzy. — Okej, będę za trzy minuty. — Odłożył nieuważnie słuchawkę, najwyraźniej myślami przebywając gdzie indziej.

— Złe wiadomości?

Holland odnalazł ją wzrokiem.

Tak, bardzo złe wiadomości — potwierdził ze smutkiem. — Ta dziewczynka, o której ci mówiłem, nie przeżyje... Tomografia mózgu wykazała krwotok dokomorowy.

Na to się umiera? — spytała Kate. „Krwotok dokomorowy” brzmiało paskudnie, ale w jej uszach niewiele się różniło od krwotoku z nosa.

Niestety. Nastąpił wylew krwi do jednej z części mózgu, na tyle rozległy, że nie możemy nic zrobić. Jest utrzymywana przy życiu dzięki temu, że maszyna pompuje w jej płuca powietrze. Z chwilą kiedy odłączymy respirator, nastąpi koniec. Przykro mi.

— Naprawdę nie da się temu zaradzić? — zmartwiła się Kate. Przed oczyma miała widok pochylającej się nad inkubatorem pary, rodziców wpatrujących się w tłumoczek pod szkłem.

— Naprawdę. Urodziła się w dwudziestym pierwszym tygodniu. Walczymy do upadłego o każde dziecko, które przyjdzie na świat w dwudziestym piątym tygodniu ciąży i później. Te, którym pośpieszyło się jeszcze bardziej, również staramy się uratować, ale rzadko kiedy to się udaje. I może dobrze... — Widząc pytające spojrzenie Kate, Holland wyjaśnił: — Zbyt uporczywe próby mogą doprowadzić do tego, że przekażemy rodzicom ciężko upośledzone dziecko. Ale mamy najniższy w kraju współczynnik śmiertelności noworodków i wcześniaków - dodał tytułem pocieszenia. — Robimy, co możemy, żeby to się nie zmieniło na gorsze. Cieszymy się, kiedy uda nam się wygrać. Lecz nie ma sensu przekraczać pewnej granicy. Jaki byłby pożytek z naszej pracy.

390

U

gdybyśmy ratowali życie tych dzieci, ale już nie ich mózgi? R0 dzice oczywiście proszą, żeby walczyć do samego końca, ale nie wiem, czy są nam wdzięczni, kiedy efektem naszych poczynań jest roślina... W przypadku tej dziewczynki mieliśmy nadzieję, że uda nam się zrobić coś dobrego.

— Życie jest podłe.

— To nie jest coś, co mówią na ogół lekarze, ale mogę się pod tym podpisać obiema rękami.

Kate pomyślała o Rorym i dręczącym go w nocy koszmarze. Zapragnęła nagle znaleźć się w domu, blisko niego. Jak by to było cudownie, gdyby mogli spędzić razem cały dzień zamiast tych żalonych strzępków dnia, które musiała dla niego wykraść kosztem pracy, co zresztą nieczęsto jej się udawało.

— Powiem ci coś jeszcze, Kate — przerwał jej rozmyślenia Holland. — Nie ma to nic wspólnego z Lynchem — dodał szybko, widząc, jak mruży oczy. — Ktokolwiek jest mordercą, powinien zostać jak najszybciej schwytany. W CSP zapanował bałagan. Nikt nikomu nie ufa. Pielęgniarki boją się brać nocne dyżury.

— Można zorganizować ochronę policyjną...

Tak, wspomniałem o tym na swoim oddziale. Mimo to mało która ma ochotę narażać się po nocy... Najgorsze jednak zaszło jakąś godzinę temu. Otóż wyobraź sobie, że matka jednego z wcześniaków zapytała mnie, czy może już zabrać dziecko do domu. Noworodek jest podłączony do każdej maszyny, jaką dysponujemy, jest sztucznie wentylowany... Doskonale sobie radzi — dodał pośpiesznie, widząc, że Kate blednie — tylko wciąż jest od nas zależny. A jego matka chciała go zabrać do domu! — Lekko podniósł głos. — Dzieciak umarłby w pięć minut od odłączenia od respiratora! Powiedziałem jej to oczywiście... lecz ona nalegała, żeby w takim razie przewieźć go do

innego szpitala. Tutaj grozi mu niebezpieczeństwo, przekonywała.

Wszystko przez jakiegoś drania! — Holland nachylił się ku Kate. —

Znajdź go. Znajdź go i wpakuj za kratki. Nie dla mnie ani nawet dla moich pielęgniarek, ale dla wszystkich matek drżących o życie swoich przedwcześnie urodzonych dzieci, dla wszystkich pacjentek leżących bezsennie na oddziałach, dla wszystkich kobiet w ciąży zastanawiających się w domu, czy kiedy przyjedzie po nie karetka, trafią do piekła czy do sanktuarium...

Telefon rozdzwonił się ponownie.

Tak, tak, przepraszam. Już idę. — Holland odłożył głośno słuchawkę i raz jeszcze spojrzął na Kate. — Przykro mi, ale naprawdę muszę już iść. — Podeszedł do drzwi, ale zatrzymał się w progu. Obrzucił wzrokiem Kate, szukając jej oczu, zaczął coś mówić, urwał.

Wyglądał na zmieszanego. — Może... — zaczął ponownie — może kiedy to wszystko się skończy... może wtedy moglibyśmy pójść razem na



kolację czy coś w tym stylu? — dokończył niezbyt wyraźnie. Bardzo bym tego chciała. — Kate uśmiechnęła się ciepło. Paddy Holland nie powiedział nic więcej. Obrócił się na pięcie i już go nie było.

Kate uniosła słuchawkę i zaczęła, aż zgłosi się centrala. Mówi sierżant Hamilton z posterunku przy Store Street. Czy mogę prosić o połączenie z doktorem Lynchem? Słucham? Nie ma go jeszcze w pracy? A czy nie powinien już być?... Rozumiem. Czy ktoś może wiedzieć, gdzie go znaleźć? Chciałabym, żeby ochrona sprawdziła, czy jego samochód stoi na parkingu. Nie, proszę mu nie mówić, że go szukam. Nie chcę mu przeszkadzać w wykonywaniu obowiązków służbowych. To drobnostka. Po prostu chcę go o coś spytać. Jednakże Deana Lyncha nie było na terenie szpitala. Owszem, powinien już być, jako że o dziesiątej rozpoczynała się operacja, którą miał przeprowadzić. Czekano na niego na sali operacyjnej.

Nie, nie zadzwonił, aby powiadomić o chorobie czy pilnym wyjeździe. Po prostu nigdzie go nie było.

To znaczy, był, ale prawie dziesięć kilometrów od Centralnego Szpitala Położniczego. W lasach Djouce na obrzeżach Ennis-kerry, ćwicząc się w strzelaniu do celu. Szło mu coraz lepiej. Teraz trafiał już nawet z odległości pięciu metrów; połowa strzałów osiągała środek tarczy. Celując, wyobrażał sobie, że oddaje dwa strzały, które mkną ku oczom ofiary, potem jeden prosto w czoło i jeszcze jeden — w usta. Zwłaszcza ten ostatni strzał wzbudzał w nim dreszcz ekscytacji. Specjalnie obrysował usta czerwoną szminką, dopilnowując, aby wydawały się wydatne i ponętne.

Dean Lynch podjął decyzję i coraz bardziej się z tego cieszył.

\*

Idąca korytarzem Kate usłyszała płacz na długo przed tym zanim wyszła za róg i zobaczyła zmierzających w jej stronę rodzi' ców dziewczynki. Szli podpierając się wzajemnie, odprowadzani i pocieszani przez pielęgniarkę.

W „celi życia”, która nagle zamieniła się na moment w „cełę śmierci”, Paddy Holland podszedł do inkubatora stojącego z tyłu po lewej. Głowy wszystkich matek i wszystkich ojców czuwających przy swoich dzieciach odwróciły się jak na komendę. Nikt nie chciał patrzeć na to, co zaraz miało nastąpić. Holland przez długą, ciągnącą się w

nieskończoność chwilę patrzył na dziecko, po czym jednym zdecydowanym ruchem odłączył maszynę utrzymującą je przy życiu.

Urządzenie przestało piszczeć.

XLI

Godzina 11.07

Tom Morgan został zwolniony z aresztu tuż przed jedenastą. Pozwolono mu wyslizgnąć się tylnym wyjściem, aby nie wpadł w szpony reporterów czatujących przed posterunkiem. Tłumy fotografów, kamerzystów, dziennikarzy kłębiły się przed głównym wejściem, odkąd rozeszła się wieść o aresztowaniu w sprawie morderstwa w Centralnym Szpitalu Położniczym. Wszyscy zgodnie przytupywali, chodzili w kółko albo siedzieli w furgonetkach ze sprzętem, czekając na okazję i próbując nie zamarznąć. Jednakże na posterunku panował leniwy spokój. Jedyne zamieszanie powstało, kiedy trzeba było otworzyć bramę, zza której wyjechał karawan uwożący czyjeś zmalretowane zwłoki do kostnicy. Kamery i aparaty fotograficzne poszły w ruch. Reporterzy nie mogli przepuścić takiej okazji, skoro nic innego się nie działo. W końcu nie wiadomo, kiedy przyda się zdjęcie karawanu... — myśleli.

1 słusznie.

Śledztwo, jak się zdawało, utknęło w martwym punkcie. Konieczność zwolnienia doktora Morgana okazała się silnym ciosem dla zespołu dochodzeniowego. Kate najchętniej przetrzymywałaby go dalej, jednakże w świetle faksowego zeznania Jana Pie-tersena, negatywnego wyniku badania na obecność wirusa HIV i zeznań barmana z Klubu Dżentelmenów, który w końcu postanowił powiedzieć prawdę i przyznał, że Tom Morgan spędził w klubie cały poniedziałkowy wieczór, musiała podpisać zwolnienie. Zrobiła to bez większego bólu serca o tyle, że rozmowa

395

|  
z Hollandem rzuciła całkowicie nowe światło na sprawę morderstw. Sierżant Hamilton pokrótce zaznajomiła współpracowników z nowymi faktami, po czym opracowano nowy plan. Tym razem na celowniku policji znalazł się doktor Dean Lynch. Priorytet-znaleźć i przesłuchać. Lynch skończył zabawę w strzelanie na obrzeżach Enniskerry, wrócił do miasta i zaparkował w bocznej uliczce w pewnym oddaleniu od

wynajętego mieszkania. Nim wysiadł z samochodu, rozkaszał się najiowo. Gardło dawało mu się we znaki w trakcie całej wycieczki, nieraz krztusił się i zginał w pół w napadzie ostrego bólu. W którymś momencie zauważył nawet, że pluje krwią. Jednakże to nie doskwierające zimno mu przeszkadzało, nie z jego powodu kaszlał; miał gorączkę i wciąż od nowa oblewały go gorące poty, tak że wprawdzie nie czuł mrozu, ale coraz większą słabość. A krew w płwocinie była najgorszym znakiem z możliwych.

W mieszkaniu sprawdził dokładnie wszystkie pomieszczenia, upewniając się, że pod jego nieobecność nie złożył mu wizyty jakiś niezapowiedziany gość, i dopiero wtedy odłożył pistolet i naboje do specjalnie skonstruowanej skrytki pod jedną z podłogowych desek, gdzie już wcześniej zdążył ukryć swoje strzykawki, igły i zapasik heroiny. Przykrywszy schowek z powrotem, narzucił jeszcze na wierzch wyliniały dywanik, który doskonale maskował jego tajemne miejsce. Wcześniej odliczył ze zwitka banknotów parę setek, wsunął pieniądze do kieszeni spodni i wybrał się na zakupy do centrum handlowego położonego w Stillorgan, czyli już właściwie na przedmieściach Dublina. Tani zaopatrzył się w komplet ciepłych ubrań w ciemnych, stonowanych kolorach, w tym zimową bieliznę i skarpety oraz dwie pary wygodnych czarnych butów. Dodatkowo wybrał mięsisty dres, którego bluza miała wielki, głęboki kaptur, i białą koszulę z ciemnym krawatem. Musiał sięgnąć po mniejszy rozmiar kołnierzyka niż zazwyczaj, co uświadomiła mu sprzedawczyni.

— Wydaje mi się, że powinien pan wziąć mniejszy rozmiar — powiedziała, obrzucając go fachowym spojrzeniem, jakby miała miarkę w oczach - ta będzie na panu wisieć.

3

Lynch zerknął na lustro. W jaskrawym oświetleniu wydał się sobie jeszcze chudszy, niż kiedy ostatnio patrzył na siebie w domu.

— Tak, chyba rzeczywiście się pomyliłem — zgodził się, wyjątkowo nie mając morderczych myśli. Zbyttno przeraził go jego wygląd. — Poproszę taką samą, tylko mniejszą.

— Niestety, to już jest najmniejszy rozmiar. Będzie pan musiał pofatygować się do sekcji młodzieżowej... — Kobieta sprawiała wrażenie zażenowanej sytuacją.

Niesłusznie, miała bowiem rację. Dopiero w dziale młodzieżowym Lynch wybrał pasującą na niego koszulę. A ekspedientka stoiska, przy którym roiło się od pryszczatych i rozwrzeszczanych młodziaków, dobrze

zapamiętała dziwnego, drobnego szpakowatego mężczyznę o nawiedzonym spojrzeniu i dławiącym kaszlu.

Zapłaciwszy za zakupy, parę minut spędził w kafejce Bewleya, sącząc wolno cappuccino. Potem zajął się drogerią, gdzie zdjął z półki czarną farbę do włosów, a następnie do markowego sklepu obuwniczego. Tam długo zastanawiał się nad tym, które buty dadzą mu najwięcej wzrostu. Wreszcie zdecydował się na niebywale drogą, ekskluzywną parę o oryginalnym fasonie — obcas miał prawie pięć centymetrów.

Dean Lynch zaplanował sobie wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Teraz tylko odhaczał kolejne pozycje na liście. Przygotowania powoli dobiegały końca. Wojna właśnie miała się rozpocząć.

— No i co teraz zrobisz, Tommy?

Betty wyszła z domu tylko po to, żeby kupić świeże gazety, a poza tym nie odchodziła od telewizora, wysłuchując jednych wiadomości po drugich. Zarówno na ekranie, jak i na frontowych płachtach brukowców i bardziej poważanych dzienników świeciła twarz Malone'a. Sporo pisano o jego przeszłości i dotychczasowych dokonaniach, poczynając od najwcześniejszego dzieciństwa. Niektórzy reporterzy dotarli nawet do emerytowanych glin, którzy pamiętali małego Tommy'ego. Ich opinie zamieszczono, wypełniając całe szpalty. Wytluszczone i tak były słowa, takie jak:

397

To niebezpieczny, pozbawiony skrupułów, gotów zabić di(1 niewielkiej sumy socjopata, nie mający hamulców właściwych rodzajowi ludzkiemu. Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych był jednym z najbardziej znanych dublińskich przestępców.

Ostatnimi czasy jakby zniknął ze sceny, by znów się pojawić w najmniej oczekiwanym momencie oraz roli. Wiele lat swego życia spędził w więzieniach, zawsze utrzymując, że jest niewinny, i składając zatrzymanie na karb pecha. Cóż, widać pech dopadł go znowu, bo tym razem szuka go nie tylko policja, ale także dawni kumple...

— Jeszcze nie wi, Betty, jeszcze nie wiem... Mogę u ciebie zostać jeszcze przez dzień czy coś koło tego? Do czasu, kiedy coś wymyślę?... — Tommy Malone bardzo liczył na Betty, na jej lojalność.

— Jasne, Tommy, zostań... Ale dobrze by było, jakbyś wymyślił coś w miarę szybko.

— Trzymajmy się razem, Betty — rzucił na rybkę; wcze: niej godzinami zastanawiał się, jak najlepiej podejść Betty No-lan. —

Jak to wszystko się uspokoi, moglibyśmy gdzieś pojechać... Mam odłożone trochę pieniędzy, niedużo, ale zawsze. Moglibyśmy wyjechać do Anglii, żyje tam paru moich krewnych ze strony matki, dzieci jej brata. Na pewno by nas przechowali, póki policja, kurdefelek, o nas nie zapomni... No, co ty na to, Betty?...

— Będę mieć to na względzie — odparła sztywno, cytując kwestię bohaterki jakiegoś serialu. — Ale na razie, Tommy, nie wychylaj się. Zjesz coś wreszcie? Powinieneś jeść, żeby nie stracić sił... Co, wciąż nic nie chcesz? Jezusiczku, Tommy, nie możesz siedzieć cały boży dzień i tylko palić peta za petem! Dobra, już dobra, daję ci spokój. Idę do kuchni coś zjeść. Nie mam zamiaru zagłodzić się na śmierć jak ty.

Malone nie czuł głodu. Żył dość długo, by wiedzieć, że wszystko poszło nie tak, bardzo nie tak, cholernie nie tak. Martin nie żył, Sam i Peggy wylądowali w Bridewell przekonani, że ich wystawił, życie dzieciaka wisiało na włosku i co najgorsze: cały, dosłownie cały kraj łaknął jego krwi.

398

Zapalił następnego papierosa i położywszy się na wznak, wypuszczał kółka z dymu, patrząc, jak ulatują w stronę gołej żarówki pod sufitem.

Nie dorwają mnie — zdecydował Tommy. — Kurwa, nie pozwolę im na to. Nie ukrzyżują mnie.

Zostanę tu przez jeszcze jeden dzień, a potem się wyniosę. Tak zrobię, Bóg mi świadkiem.

Po prostu potrzebuję jeszcze jednego dnia...

Godzina 15.17

Posłuchajcie tylko tego... — powiedział Tony Dowling, zjawiwszy się na spotkaniu zespołu na posterunku przy Store Street. —

Podjechałem pod budynek, w którym ma mieszkanie. Jego samochód stał na wyznaczonym miejscu parkingowym, silnik zimny jak trup, szyby białe od szronu i śniegu. Nikt nim nie jeździł od paru dobrych godzin. Porozmawiałem z kilkoma mieszkańcami, ale żaden z nich nie widział go przez cały dzień. Mieszkający piętro niżej starszy jegomość, emerytowany wykładowca uniwersytecki, żalił mi się, że przez pół nocy nie mógł spać, bo przeszkadzał mu włączony na górze telewizor, który nawiasem mówiąc, wciąż grał. No więc poszedłem do jego mieszkania i zapukałem. Zero odpowiedzi. Rzeczywiście, telewizor chodził dość głośno, więc zapukałem mocniej. W dalszym

ciągu nikt nie otwierał. Albo więc nikogo nie było w domu, albo jeśli był, nie miał nastroju na gości.

Kate Hamilton i jej ludzie słuchali sprawozdania Dowlinga, jak gdyby to było Kazanie na Górze.

— Dobijałem się do drzwi przez jakieś dziesięć minut — mówił dalej Tony — a potem wyszedłem na zewnątrz sprawdzić, czy da się zauważyć jakiś ruch za firankami. Zobaczyłem tylko, że światło jest wciąż włączone.

— Dał dyla — skwitował John Doyle.

Też tak myślę. Ale to nie wszystko, słuchajcie... Pamiętacie, w jaki sposób Kate dowiedziała się o tych dwóch alarmach

399

samochodowych? — Powiódł wzrokiem po kiwających zgodnie głowach. Nie zauważył, że Kate przeszył dreszcz na wspomnienie koszmaru Rory'ego. — Przezorny zawsze ubezpieczony, jak to mówią. Znalazłem na centralce na korytarzu małą nalepkę z napisem Sensor Alarms, adresem gdzieś w Clondalkin i numerem telefonu. I wiecie co?

— Pracuje dla nich? — zapytał Doyle z nerwowym uśmiechem.

— Niewykluczone. W każdym razie kiedy tam zadzwoniłem, dowiedziałem się, że klient powiedział im, jak mają założyć mu alarm. Klient poinformował fachowców, łapiecie? I zdaniem szefa klient wiedział, o czym mówi. Właściciel firmy zapamiętał go tak samo dobrze jak facet od autoalarmów. Jakby spotkali się wczoraj. I tak samo jak tamten nie mógł zrozumieć, po co palantowi taki skomplikowany i kosztowny system.

— Dlaczego zwrócił na to uwagę? — zapytała Kate.

— Dlatego, że w mieszkaniu nie było niczego wartościowego, ot co. Człowiek dokładnie tak się wyraził: „W mieszkaniu nie było niczego wartościowego”. Parę mebli, telewizor, radio, kuchenka, lodówka, łóżko, sofa, jednym słowem standard. I to wszystko ściśnięte w małej kuchni i w mniejszym pokoju, bo ten duży zajmowało w większości ogromne lustro na całą ścianę i parę sztang do podnoszenia ciężarów. Wiecie, takich metalowych, z dodawanymi kółkami.

— Może wtedy dopiero się wprowadził. Może zamierzał się dorobić. Dowling uśmiechnął się tryumfująco.

— Też przez chwilę tak myślałem, Kate, i nawet powiedziałem to temu gościowi od Sensor Alarms. Ale on na mnie naskoczył, mówiąc, że jakieś półtora roku później w tamtej dzielnicy wysiadł prąd i

system alarmowy zwariował. Nie dało się go nastawić przed wyjściem z domu, więc Lynch oczywiście wezwał serwis. Domagał się, żeby ktoś przyjechał od razu i wszystko naprawił-

— I przyjechali?

— Jakbyś zgadła. A on na miejscu zażądał, że mają przy okazji sprawdzić wszystkie kabelki i zabezpieczyć centralkę przed podobnymi wyskokami zakładu energetycznego, bo kto to widział i tak dalej... No i jak sądzicie, co przybyło mu w mieszkaniu

400

do tego czasu, że bał się je zostawić choćby na pięć minut bez alarmu?

W pomieszczeniu panowała cisza. Dowling miał ich w garści.

— Nic. Ani jedna, kurde, rzecz. Wewnątrz było dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy ekipa montowała cały system. Czyli niemal zupełnie pusto.

— Jezu — westchnął ktoś.

- Ale tym razem właściciel Sensor Alarms zauważył... — gdyby Tony Dowling oświadczył, że zna datę końca świata i właśnie zamierza ją ogłosić, nie zyskałby większego zainteresowania — dwa schowane dyktafony uruchamiane głosem. Facet pracuje w elektronice, więc się zna. Jedno spręcicho wisiało z tyłu lodówki, a drugie na karniszu od zasłony w tej całej pseudosiłowni, przylutowane na mur. Dean Lynch zabezpieczył się na wypadek, gdyby reklamowany jako niezawodny system alarmowy jednak zawiódł.

- Idziemy — rzuciła Kate, sprawdzając broń w kaburze.

I lepiej bądźmy ostrożni, bo wszystko wskazuje, że to rzeczywiście on. Sprawdźcie swoje spręcicho — zażartowała wisielczo.

XLII

Godzina 17.17

Podjechali w trzech osobnych nieoznakowanych wozach patrolowych. Pierwszy prowadził Dowling, obok którego siedziała Kate mająca za plecami Johna Doylea. Pozostałe dwa samochody mieściły po trzech detektywów każdy. Wszyscy byli uzbrojeni.

Trzy pary ruszyły na tyły i oba boki apartamentowca, pozostała trójka ku wejściu frontowemu. Tony, Kate i John wbiegali po schodach, kierując się do mieszkania numer dwadzieścia trzy Jakaś staruszka, wystrojona jak stróż w Boże Ciało, o mało nie zemdląca, kiedy otworzyła drzwi swojego mieszkania, żeby wyjść na zakupy i ploteczki, i niemal wpadła na policjantów w akcji.

Uciszyli ją gestami i pokazując legitymacje, wepchnęli z powrotem do

środka.

Dowling ustawił się nieco z boku drzwi z numerem „23” i zastukał. Po chwili zrobił to samo, tylko mniej delikatnie. Wewnątrz telewizor grał tak samo głośno jak przedtem. W takiej sytuacji wykrzyczał oklepaną formułkę:

— Mamy nakaz! Proszę otworzyć drzwi albo będziemy zmuszeni wejść siłą.

Zostali zmuszeni.

Trzy silne uderzenia obuchem, który Dowling wyjął na dole z bagażnika jednego z aut, wystarczyły, by drzwi do apartamentu Deana Lyncha stanęły przed nimi otworem. Równocześnie rozległ się przeraźliwy dźwięk dwóch różnych alarmów. Wycie świdrowało w myślach detektywów, uciszało ich przekleństwa, w końcu zmusiło Doyle'a do przejęcia obucha z rąk Tony'ego i przyłożenia centralce z całych sił. Na szczęście dla wszystkich

402

alarmy ucichły. Tylko jakaś nie dająca się uciszyć mechanicznie część systemu pokwikiwała jeszcze cicho, błyskając niebieskim światłem. Jeśli nie liczyć tego dźwięku oraz nadal grającego telewizora, na którego ekranie właśnie rozpoczynały się wiadomości na kanale Sky News, w mieszkaniu nie było śladu życia.

Dean Lynch obserwował zajazd na swój dom z nieodległej budki telefonicznej. Dla pozorów trzymał przy uchu słuchawkę, piętą lekko uchylając szklane drzwi. Drugą, wolną ręką wsuwał naboje do magazynka. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem... Włożył magazynek do rękojeści walthera, pozwalając, by pierwszy nabój znalazł się w lufie. Następnie wyjął z powrotem magazynek i dodał jeszcze jeden nabój. Tym sposobem miał w pogotowiu osiem kul — dokładnie tak, jak mówił John z Londynu.

Czekał na jej wyjście pełne dziesięć minut.

— Rozłóżcie wszystko na czynniki pierwsze — instruowała Kate swoich ludzi, podczas gdy systematycznie otwierali i sprawdzali lodówkę, kuchenkę, szafki, garderobę, rozpruwali materac i tapicerkę, zrywali zasłony, podważali deski podłogowe.

Oczywiście znaleźli schowek z narkotykowymi utensyliami, gdzie oprócz zużytych strzykawek i igieł były również ampułki z płynem fizjologicznym i małe zielone torebeczki z resztkami białego, wiele mówiącego proszku, o którym Lynch całkowicie zapomniał w ferworze przygotowań do opuszczenia swego gniazdka.



Można powiedzieć, że znaleźli wszystko z wyjątkiem Deana Lyncha. Który właśnie powoli zbliżał się do drzwi frontowych do budynku, chroniony cieniami zimowego wieczoru i wysokich drzew rosnących przy drodze.

— Tony — Kate machnęła na Dowlinga — muszę zamienić z tobą słówko.

Pozostali zamarli w połowie ruchu.

— Wy dalej szukajcie — powiedziała im — a wszystko co znajdziecie, złożcie w jednym miejscu na środku kuchni, potem poporcjujemy to w torebki dowodowe. Trzeba będzie wezwać techników... Nie zapomnijcie o rękawiczkach i odciskach palców. Wracam za minutkę.

403

Zeszła z Tonym na parking, gdzie poświeciła na samochód Lyncha. Nie było widać nic poza siedzeniami, pasami bezpieczeństwa, kierownicą, przekładnią skrzyni biegów, a i te rzeczy nie były zbyt wyraźne z powodu mrozu, który wymalował na szybach fantazyjne wzory. W rogu wszystkich czterech okien tkwiły dumnie nalepki z firmy montującej autoalarmy.

Kate, tylko nie próbuj się włamywać do tego samochodu — powstrzymał ją błagalnie Dowling. — W głowie nie przestało mi jeszcze dźwięczeć od tamtych dwóch alarmów... Lynch dał nogę. Mogę się założyć, że nie znajdziemy nic, co by wskazywało, gdzie się obecnie znajduje.

Sierżant Hamilton ponownie zajrzała do środka, pomagając sobie latarką, ale już z mniejszym przekonaniem. Wiedziała, że jej starszy kolega ma rację.

W czasie gdy rozmawiali, zaglądając do wnętrza auta, ciemna postać zbliżyła się do nich jeszcze bardziej. Dzieliło ich teraz najwyżej pięćdziesiąt metrów.

— Lepiej ogłośmy komunikat i powiadommy pozostałe posterunki — rzuciła Kate. — Nie zawadzi wykorzystać blokad wzniesionych przy tej sprawie z porywaczami...

Zamilkła, czując, że ktoś ją obserwuje. Podniosła głowę i spróbowała przebić wzrokiem nfrok. Poświeciła nawet w tamtą stronę latarką, ale strumień światła dość szybko zbladł, rozjaśniając zaledwie paręnaście metrów przed nią. Nie zobaczyła niczego ani nikogo podejrzanego.

Podejrzana postać w czerni, zakapturzona, z ręką opuszczoną wzdłuż

tułowia i z pistoletem w kończącej ją dłoni, znów zrobiła parę kroków. Rozglądała się przy tym uważnie, upewniając się, że nikt jej nie śledzi ani nie obserwuje. Niedaleko przejechało parę samochodów, ale nikt nawet nie spojrział w stronę wyłaniającej się z ciemności sylwetki.

— Zaraz tutaj uświerknę — poskarżyła się Kate. — Chodźmy do wozu. Stamtąd zawiadomimy centralę.

— Jestem za — mruknął Dowling, chuchając na złączone dłonie w skazanej na niepowodzenie próbie przywrócenia czucia w opuszkach palców.

W tej samej chwili Lynch przeszedł przez jezdnię, zbliżając się już całkiem otwarcie. Nie rozejrzał się, patrząc w lewo

404

i prawo, oczy miał utkwione w sierżant Kate Hamilton, która właśnie szarpnęła za klamkę drzwi nieoznakowanego wozu patrolowego. Po chwili wsiadła do środka, Dowling wgramolił się z drugiej strony. Usta Lyncha rozciągnęły się w uśmiechu. Z trudem stłumił kolejny atak kaszlu. Poczul, jak gdzieś głęboko w gardle odrywa mu się flegma; odchrząknął i wypluł to, co zebrało mu się w ustach. Na języku zostało mu trochę krwi jej metalicznego smaku nie można było pomylić z niczym innym.

— Zapal światło. Tony, dobrze? Spróbuję zadzwonić do szpitala i sprawdzić, czy przez przypadek nie pojawił się w pracy. Po ciemku nie trafię w klawisze.

Dowling pstryknął włącznikiem światła przy lusterku wstecznym, kątem oka dostrzegając jakiś ruch przy pobliskich krzakach, jak gdyby ktoś się stamtąd wyłonił i z powrotem schował. Zmrużył oczy, żeby widzieć wyraźniej, i przejechał zmarzniętą dłonią po zachuchanej od środka szybie. Nic. Żadnego ruchu. Obrócił się ku Kate, która właśnie połączyła się z centralą CSP.

— Nie, doktora Lyncha nie było w pracy przez cały dzień usłyszała. — Obawiam się, że nikt z nas nie wie, gdzie można go znaleźć. To naprawdę niepokojące. Trzeba było odwołać operacje z powodu jego nieobecności.

— Gdzie ten skurwiel może być? — zastanawiał się na głos Tony Dowling, włączając silnik.

Kate popatrzyła na niego zdziwiona.

— Dokąd jedziemy?

— Donikąd. Włączam silnik, żeby móc uruchomić ogrzewanie. Tyłek mi odpada z zimna. Wyluzuj, Kate, zostajemy tu, gdzie jesteśmy.

Lynch postanowił się ujawnić.

Wyszedł spomiędzy gęstych krzaków. W dłoni pewnie trzymał swojego walthera. Zaczął iść w stronę zaparkowanego samochodu z pyrkającym silnikiem i małym światełkiem pod sufitem. Ani na moment nie spuszczał z oczu sierżanta Dowlinga i sierżant Hamilton.

Kate nadal mówiła do telefonu, Tony zastanawiał się, czy w ten weekend uda mu się wreszcie pojechać na ryby.

Kto to? — Dowling pierwszy dostrzegł zbliżającą się postać, teraz oddaloną o niespełna cztery metry od ich samochodu,

405

i jednym ruchem włączył długie światła. — Kto to, kurwa, jest") — krzyknął.

Lynch lewą ręką zrzucił z głowy kaptur, odsłaniając twarz. Równocześnie poderwał do góry prawą rękę, wyprostował ją i ujął pistolet obiema dłońmi, ściśle wedle wskazówek Johna, czyli tak jakby trzymał w ręku filiżankę ze spodkiem. W głowie dudniły mu inne słowa londyńczyka: „Mierz w klatkę piersiową. Nigdy w głowę. Głowa jest zbyt ruchliwa. O wiele trudniej jest zejść z linii strzału całym ciałem... Tuż zanim wymierzysz, krzyknij, i to naprawdę głośno”.

Kate spojrzała akurat na czas, żeby dostrzec, jak nagle rozświetlone reflektory wydobywają z ciemności czyjąś twarz. Telefon komórkowy wypadł jej z dłoni. Zaczęła krzyczeć.

— Jezu Chryste... — Takie były ostatnie słowa Tony'ego Dowlinga, kiedykolwiek wypowiedziane, kiedykolwiek wykrzywane.

Zapłakana twarzyczka Rory'ego, krzyczącego ze strachu przez sen, mignęła przed oczami Kate, kiedy w ich stronę posypały się strzały z półautomatycznego walthera.

To, że stał na wprost włączonych reflektorów, trochę utrudniało sprawę Lynchowi. Ale tylko trochę. Czuł się z lekka oślepiony, jego cel nie był już tak wyraźny. Jednakże nie stracił głowy. Delikatnie naciskał spust, słysząc, jak komorę opuszczają kolejne naboje.

Londyńczyk byłby z niego dumny.

Pierwsza kula przeszła na wlot przez prawą dłoń Dowlinga, który w bezskutecznej próbie ocalenia życia wyciągnął obie ręce przed siebie. Druga wbiła się z boku w jego lewy policzek, roztrzaskując na miazgę szczękę i zęby i odwracając mu głowę tak, że patrzył

teraz na Kate, która w tym samym czasie próbowała zwinąć się w kłębek. Trzecia kula trafiła Tony'ego w tył głowy, kończąc jego życie.

Sierżant Kate Hamilton poczuła, jak pryska na nią fontanna krwi jej partnera, i usłyszała gulgoczące dźwięki dobywające się z jego gardła.

Potem wydało jej się, że osa ukąsiła ją nad prawą piersią. Desperacko próbując skulić się jeszcze bardziej i w tej niewygodnej pozycji wydobyć z kabury broń, nie miała najmniejszych szans obronić się przed następną kulą, która strzaskała okno od 406

strony pasażera, niemal zrywając jej skalp. Tylko przerażający ból utrzymywał ją w przekonaniu, że nadal żyje. Mamusia nadal żyje, Rory — myślała, ciężko oddychając. Tuż obok ucha usłyszała brzęk tłuczonego szkła; to czyjś łokieć wybił do reszty szybę z okna i przy twarzy Kate pojawiła się wyszczerzona maska. Dean Lynch wycelował walthera wprost w jej głowę.

Nie krzyknęła, nie mogła.

Zobaczyła niezwykłą jasność, po czym zapadła się w gęstą, czarną, piekielną ciemność.

### XLIII

Godzina 19.34 Sala operacyjna nr 4, szpital Merrion n dzielnicy Sandymount w Dublinie

Jest stabilna, jest stabilna... Straciła sporo krwi, ale jest stabilna... Trzech chirurgów i cztery pielęgniarki - tyle osób zajmowało się Kate Hamilton, która została postrzelona w prawą pierś na wysokości trzeciego żebra. Kość uległa roztrzaskaniu, ale przynajmniej ochroniła główne arterie i narządy wewnętrzne, powodując, że kula opuściła ciało, nie siejąc większego spustoszenia. Niestety odłamek żebra przebił płuco, w rezultacie czego do opłucnej dostało się powietrze i nastąpił dalszy upływ krwi. Mniej więcej dwie trzecie płuca przestało funkcjonować. Drugi pocisk otarł się o kość skroniową, ale na szczęście nie wdarł się w głąb czaszki. Mimo to rana obficie krwawiła. Jeszcze inna kula przeszła na wylot przez lewe ramię, odrywając pokaźny kawałek mięśnia i skóry i również wywołując krwotok. Lekarze jednogłośnie uznali, że ta ostatnia rana jest najmniej poważna i że czas na przeszczep skóry przyjdzie później, gdy stan pacjentki na niego pozwoli. Na podstawie obserwacji i własnego doświadczenia oszacowali, że z powodu

wszystkich trzech ran utraciła ona około półtora litra krwi.

Nie było to mało, lecz gwarantowało przeżycie,

0 ile obędzie się bez niespodzianek i dalszych komplikacji. Na razie utrzymywano ją w stanie śpiączki farmakologicznej i

podawano jej tlen za pomocą maski tlenowej. Przeprowadzono również drenaż jamy opłucnowej w celu przywrócenia sprawności płucu.

Dwie kroplówki powoli sączyły w jej żyły środki przeciwbólowe

1 antybiotyki i uzupełniały płyny fizjologiczne.

408

— Rozmaz, hemoglobina i hematokryt, teraz. Za dwie godziny powtórzony rentgen klatki piersiowej. Na bieżąco odczyty tętna, ciśnienia krwi i wydolności oddechowej... — Lekarz wydawał takie same polecenia jak wiele razy wcześniej w swojej karierze, dla

Kate była to jednak całkowicie nowa sytuacja. Pierwszy raz walczyła o życie. — Natrium chloratum w objętości dwóch litrów w ciągu

najbliższej godziny, kolejny, trzeci litr w wolniejszym tempie, przez dwie godziny. Nie usuwać wenflonów...

Pielegniarki krzątały się w milczeniu, wykonując polecenia lekarza prowadzącego. Przy takiej opiece Kate miała duże szanse zachować życie i zdrowie.

W przeciwieństwie do Tony'ego Dowlinga, który leżał już w szpitalnej kostnicy, uznany oficjalnie za zmarłego przez lekarza z izby przyjęć. Kate zabrano stamtąd na oddział intensywnej terapii.

John Doyle stał pod salą operacyjną, trzęsąc się z nerwów i wysiłku.

Prawie dwa kilometry ścigał Lyncha, winnego śmierci Dowlinga i poważnych obrażeń Kate, jednakże zgubił go w którymś z zaułków Baggot Street. Znał twarz i nazwisko mordercy, lecz na razie niewiele mógł z tymi informacjami zrobić. Raz po raz odtwarzał w myślach niedawne wydarzenia, doskonale wiedząc, że tylko cudem uniknął losu sierżant Hamilton lub co gorsza, Dowlinga.

— Nie wygląda to dobrze...

W Centralnym Szpitalu Położniczym Paddy Holland i Donal Collins, specjalista radiolog, przyglądali się zdjęciu rentgenowskiemu.

Ukazywało ono w dwóch ujęciach — lateralnym i strzałkowym — prześwietloną klatkę piersiową Gordona O'Briena. Wszystko wskazywało na

to, że zapalenie płuc nie chce ustąpić.

— Nie, niestety nie — zgodził się Donal Collins. — Jak on się czuje, Paddy?

— Fatalnie.

— Jak sądzisz, przeżyje?...

Holland jeszcze raz popatrzył na rentgen; ledwie widoczny zarys płuc, jasne plamy w miejscu, gdzie powinno być czarno, uciśnięte serce... Rzucił okiem na trzymane w ręku wyniki badania krwi wykonanego niecałą godzinę temu. Poziom leukocy-  
409

tów był bardzo wysoki, odczyn Biernackiego też. Z mikrobiolog, zadzwonili do niego wcześniej, by poinformować, że w kulturze wykazano streptokoki B, co świadczyło o poważnej, odpornej na leki, a zatem trudnej w leczeniu posocznicy. Antybiogram miał być gotowy niebawem. On sam stwierdził trachykardię.

— Nie, Donal. Nie sądzę, by przeżył noc — powiedział, mając w pamięci, jak wyglądało dziecko, kiedy widział je zaledwie kwadrans wcześniej.

Godzina 21.00

Wszystkie wydania wiadomości na kanałach: RTE, Sky, BBC, ITV, CNN, NBC trwały dłużej niż normalnie. Podobnie było w radiu. To co działo się w Dublinie, już dawno wyszło poza zaścianek Irlandii. Ekipy telewizyjne pracowały po godzinach, jeżdżąc z miejsca na miejsce i filmując. Ostatnio na topie były ujęcia z okolic „The Elms”, a zwłaszcza poszatowanego jak sito wozu policyjnego, tylko częściowo zasłoniętego żółtym parawanem i odgradzonego od ulicy żółtą taśmą. Opinia publiczna w kraju i na świecie musiała się dowiedzieć, że zespół dochodzeniowy pracujący nad sprawą morderstw w Centralnym Szpitalu Położniczym został zaatakowany przez — najprawdopodobniej — samego mordercę. Kobieta detektyw leżała w szpitalu Merrion w stanie krytycznym, aczkolwiek stabilnym. Jej partner, policjant o wieloletnim stażu, również został tam odwieziony — niestety martwy. Prezenterzy dodawali, że nazwisko zmarłego nie może zostać ogłoszone, zanim wiadomość nie trafi do jego rodziny, lecz byli w stanie zdradzić, że detektywowi brakowało tylko paru tygodni do przejścia na emeryturę.

Zwołano nadzwyczajne posiedzenie rządu. Zaproszono na nie minister sprawiedliwości Alice Martin oraz komendanta Quinla-na, którzy mieli zapoznać członków gabinetu z sytuacją.

Tommy Malone wpatrywał się w telewizor, obok niego siedziała Betty. Oboje od czasu do czasu sięgali do stojących

410

przed nimi otwartych kartonowych pudełek z chińszczyzną na wynos.

— Jezusiczku, Tommy, przestałeś być główną atrakcją... — zauważyła Betty Nolan z sarkazmem.

Jak na zawołanie z ekranu zniknęło zdjęcie Deana Lyncha i pojawił się na nim Tommy Malone w całej okazałości. Ktoś w reżyserce nacisnął jakiś guzik i po chwili zdjęcia obu poszukiwanych tkwiły jedno obok drugiego. Z lewej — Lynch, z prawej — Malone.

— Ministerstwo sprawiedliwości ogłosiło dzisiaj, iż przewidziano nagrodę za pomoc w odnalezieniu i ujęciu tych dwóch mężczyzn. Są to kolejno... Dean Patrick James Lynch, wzrost metr siedemdziesiąt, szpakowaty, krępej budowy ciała, aczkolwiek ostatnio stracił na wadze; ostatnio widziany w okolicach Baggot Street w Dublinie, miał wtedy na sobie czarne spodnie i czarną bluzę od dresu z nałożonym na głowę kapturem. Thomas Malone, bardziej znany jako Tommy Malone, wzrost metr siedemdziesiąt sześć, znaki charakterystyczne: obfity wąs, zazwyczaj schludnie ubrany, ostatnio zamieszkały w dzielnicy portowej... Policja informuje, że zarówno Dean Lynch, jak i Tommy Malone są uzbrojeni i uważani za niezwykle niebezpiecznych, i zwraca się z apelem, aby ci, którzy znają obecne miejsce przebywania tych mężczyzn, nie zbliżali się do nich, lecz bezzwłocznie zgłosili się na najbliższy posterunek bądź skorzystali ze specjalnej linii telefonicznej, której numer widzą państwo na dole ekranu.

Prezenter przerwał na chwilę, pozwalając, by twarze przestępców zapadły widzom w pamięć, podobnie jak wyświetlany w pasku na dole numer telefonu zaufania społecznego. Zaczął znów mówić, kiedy reżyser wydania usunął z monitorów zdjęcia Lyncha i Malone'a. Nad kamerą wycelowaną w dziennikarza zapaliła się lampka.

A teraz pozostałe wiadomości — powiedział mężczyzna, próbując porzucić grobowy ton. — Siostra June Morrison, zaatakowana podczas porwania Gordona O'Briena i odnaleziona nieprzytomna na miejscu zdarzenia, odzyskała świadomość i zdaje się w doskonałej formie.

Lekarze ze szpitala w Wick-low są zdania, iż będzie mogła wrócić do domu za dzień lub dwa...

Tommy ściszył odbiornik, nie przestał jednak patrzeć na ekran. Nie dlatego bynajmniej, że przejmował go los June Morrison. Miał wiele do przemyślenia, a najlepiej mu się myślało, gdy patrzył na migające obrazki.

Tym razem wszakże w rozmyślaniach przeszkadzały mu nerwy — własne i Betty.

Nie możemy tu dłużej zostać, Tommy — powiedziała kobieta. — Prędzej czy później zaczną cię tutaj szukać. Może nawet już ktoś na ciebie doniósł. W tej okolicy wiadomości rozchodzą się bardzo szybko. Powinieneś znaleźć sobie inną kwaterę. Zdaje się, że już jutro wraca moja sąsiadka, a przed jej okiem nic się nie ukryje...

Malone zdusił niedopałek w kartonie z makaronem z warzywami i odwrócił się do Betty, by popatrzeć jej prosto w oczy. Przez długą chwilę nic nie mówił. Kiedy się wreszcie odezwał, zapytał:

Uciekniesz ze mną, Betty? Mam plan, jak się stąd wydostać. Robiłem to już wcześniej, przecież wiesz... Nikt się nawet nie zorientuje. Ale muszę wiedzieć, czy jesteś ze mną.

Betty odstawiła karton, który trzymała w ręku, i objęła Tommy'ego. Przez parę chwil trwali w sztywnym bezruchu, po czym Betty odsunęła się i cmoknęła Malone'a w policzek. W lewy policzek.

Daj mi się zastanowić, Tommy. Nie mogę ci tak od razu odpowiedzieć. Jest przecież Sharon... Trudno, żebym wyjechała, nie mówiąc jej ani słowa.

Będiesz mogła do niej zadzwonić, jak już będziemy bezpieczni.

Daj mi się zastanowić — powtórzyła Betty. - Prześpię się z tym i jutro ci powiem, co o tym myślę.

— Chryste, jak ja chciałbym móc się przespać — westchnął Tommy. — Nie zmrużyłem oka, odkąd...

Betty podeszła do komody, na której stał telewizor, wysunęła szufladę i wyjęła z niej małą buteleczkę.

To zimovane — powiedziała. — Biorę czasami tabletkę, jak nie mogę usnąć. Łyknij sobie jedną albo jeszcze lepiej dwie, to zaśniesz jak małe dziecko. Będzie ci się dobrze myślało po przespanej w spokoju nocy...

412

Tommy popatrzył podejrzliwie na dwie owalne tabletki leżące w zgięciu dłoni jego kobiety.

- Nie kopną mnie? Bo wiesz, muszę być zwarty i gotowy...

Jezusiczku, Tommy, bierz i nie marudź. Musisz się wreszcie wyspać. Jak mam z tobą gdzieś pojechać, nie chcę, żebyś był jakimś pieprzonym zombi. -Uśmiechnęła się do niego. Malone'a coś tknęło. — No masz, tu jest woda do popicia — podała mu butelkę.

Tommy Malone wziął tabletki z dłoni Betty, włożył je do ust, popił wodą i



odstawił przedstawienie pod tytułem: „Jak ciężko przełknąć takie obłe cholerstwa”. Językiem przepchnął je pomiędzy dziąsła a policzek, tak że kiedy połknął wodę, one zostały mu w ustach.

— Zrobię sobie herbaty — oznajmiła Betty.

Malone kiwnął głową, po czym — kiedy Betty zniknęła w kuchni — wypluł na rękę dwie tabletki. Następnie podkręcił głośność telewizora. Właśnie leciał wywiad z nowym trenerem drużyny Anglii. Goguś próbował przewidzieć wynik meczu mającego się odbyć nazajutrz wieczorem, tego samego, na który Moonface tak bardzo chciał pójść.

Będzie trzy zero, jak w banku. Żadnego ustawiania, żadnych gier poza boiskiem. Porządne widowisko, spotkanie dwu godnych siebie drużyn. Każda z nich ma o co walczyć. Każda chce wygrać. Mam tylko nadzieję, że kibice dopiszą i nie będzie żadnych burd...

Dziennikarz wymownie popatrzył na monitor, kamera zrobiła zbliżenie na mały ekran. W jakimś pubie na zadupiu Dublina jutrzejsi kibice przygotowywali się do bitwy. Głos zza kadru stwierdził, że podobnie jest w całej stolicy, i zastanowił się z troską, czy przypadkiem nie powtórzy się sytuacja z ubiegłego roku, kiedy to centrum Dublina stało się areną walk pomiędzy zapalonymi „kibicami” swoich drużyn. Kiedy kamera najechała znów na twarz prowadzącego program, mężczyzna mówił, że wszystkim dublińskim policjantom cofnięto urlopy, tak że siły porządkowe będą nazajutrz w pełnej gotowości bojowej. Identycznie miała się mieć sprawa ze szpitalami.

Szpital Merrion w dzielnicy Sandymount przygotowywał się na prawdziwe oblężenie. Lekarze spodziewali się wielu ofiar.

413

\*

I nie pomylili się.

To znaczy nie do końca. Pracy chciał im bowiem przysporzyć nie kto inny, tylko Dean Lynch.

Oglądając wiadomości, w pewnym momencie zaczął skowycić jak ranne zwierzę. Nie głośno, lecz przejmująco.

A to kurwa! — myślał. — Przeżyła!

Sięgnął po walthera i wyjął magazynek. Był pusty. Jak to możliwe, przecież wystrzeliłem tylko sześć kul... — zdziwił się w duchu.

Odwrócił pistolet lufą do siebie i zajrzał do środka. Coś tam było. Włożył

palec tak głęboko, jak potrafił, i wyczuł tkwiący prawie na samym końcu nabój. Oznaczało to, że nie jeden, ale dwa ostatnie naboje zaklinowały się w lufie. A to feler... Broń nie nadawała się do dalszego użytku. Dean Lynch zamachnął się i cisnął nią o ścianę. To dlatego jest tylko w stanie krytycznym — uznał. — Gdybym wpakował w nich cały magazynek, oboje by nie żyli.

Spojrzał znów na ekran, kiedy prezenter ponownie wymienił nazwisko Hamilton. Właśnie pokazywano zdjęcie dzielnej pani sierżant. Lynch zapatrzył się na nie i tęsknie powiódł wzrokiem po podłodze, aby odszukać odrzucony pistolet. Teraz walther już na pewno był do niczego...

Kto chce psa uderzyć, ten kij zawsze znajdzie — szepnął Lynch do siebie, nie umiając przypomnieć sobie bardziej adekwatnego powiedzenia. Rozsiadł się wygodniej na sofie i uśmiechnął, czując, jak złość go opuszcza. Na stole w kuchni czekała na niego działka heroiny. Zachował ją na „po wiadomościach”.

Znajdę na ciebie kij — myślał mściwie, szukając żyły gotowej przyjąć narkotyk. — Tylko poczekaj... Jeszcze z tobą nie skończyłem, moja pani... Będziesz cierpieć tak, jak ja cierpiałem... — Ogarniało go coraz większe podniecenie. — Dowiesz się, co to ból, suko! Przestał grozić Kate, dopiero gdy heroina zaczęła krążyć w jego krwiobiegu.

44

Godzina 22.17

— Idę na parę godzin do domu. Siostra Gallagher zostaje i będzie z państwem aż do północy. Potem zmieni ją jej koleżanka mająca nocny dyżur. Na oddziale jest jeszcze lekarz kończący robić specjalizację z pediatrii, więc Gordon będzie pod doskonałą opieką. Mój dom znajduje się zaledwie pięć minut jazdy od szpitala. Jeśli cokolwiek się zmieni w stanie dziecka, zostanę o tym natychmiast zawiadomiony i będę mógł szybko wrócić...

Sandra O'Brien i jej mąż słuchali słów Hollanda z twarzami ściągniętymi zmęczeniem i cierpieniem. Oczy mieli zaczerwienione od ciągłego płaczu, dłonie zaciśnięte tak, że odpłynęła z nich wszelka krew. Obok nich na krześle stały nieopróżnione filiżanki z wystygłą herbatą i wyschnięte kanapki, a w koszu na śmieci kłębiły się zużyte chusteczki higieniczne.

Ich syn nadal walczył o życie i przegrywał. Gumowe rurki dostarczały mu składników odżywczych, płynów i leków, specjalne urządzenie

połączone z jego organizmem za pomocą drucików pokazywało, jak funkcjonują jego najważniejsze narządy. Z wątego nadgarstka niemal zsunęła się opaska z nazwiskiem. Małeńka pierś ledwie podnosiła się i opadała zbyt gwałtownie, zbyt szybko...

Paddy Holland dojechał do domu i z wdzięcznością opadł na własne łóżko. Mimo że był wycieńczony, upragniony sen nie nadszedł. Pod kurczowo zaciśniętymi powiekami przesuwały mu się obrazy ze szpitala: umierający Gordon O'Brien, jego zrotpaczeni, lecz wciąż pełni nadziei rodzice... W przeciwieństwie do nich on wiedział, jak małe szanse ma ich jedyny syn. Nie to wszakże było głównym powodem, dla którego sen nie przychodził. Holland usłyszał w wiadomościach o tym, co spotkało Kate Hamilton. I jeszcze częściej niż wymizerowaną, półprzezroczystą twarzyczkę niemowlęcia, któremu nie dawał więcej niż dwanaście godzin życia, miał przed oczami twarz Kate: piękną, pełną życia i zapału. Gdzieś w innym szpitalu matka czteroletniego chłopca zmagająca się z obrażeniami i własnym ciałem, próbując pozostać Przy życiu.

Paddy obrócił się na bok i gapił w ścianę.

415

Boże, nie pozwól jej umrzeć — powtarzał w myślach — nje pozwól jej umrzeć... Ocal ją i uzdrów. Boże...

Wiercąc się, obrócił się na drugi bok i spojrzał na budzik z elektronicznym wyświetlaczem. Do samego rana przyglądał się jak zmieniają się na nim cyfry.

— Dziadku, a o której mamusia będzie w domu?

— Rory, powinienes już spać! Nie wiem, o której przyjdzie. Pewnie w środku nocy, jak zawsze ostatnio. Zaśnij, zostanę z tobą, dopóki się nie pojawi...

— Mamusia będzie w domu, jak się rano obudzę? — drażył chłopiec.

— Rory, zaśnijże wreszcie — zirytował się starszy mężczyzna. — Jestem ledwie żywy ze zmęczenia. Obiecuję, że nigdzie nie pójdę, dopóki twoja mama nie przyjdzie do domu.

— Ale kiedy ona przyjdzie?

Mężczyzna odwrócił się, aby ukryć spazm bólu.

— Dziadku, kiedy ona przyjdzie?! — Rory podniósł głos.

— W nocy albo najpóźniej jutro. Tak myślę. Miejmy nadzieję, że już jutro mamusia będzie w domu...

Rory włożył kciuk do buzi i pogładził dziadka po twarzy wy-liniałym Tedom. Oczy mu się zamykały, już prawie usypiał, ale jeszcze

zdołał wymamrotać: Dziadku?

— Tak, chłopcze? O co chodzi tym razem?

— A czy jak mamusia wróci do domu, będę mógł dostać pieska?

— Może, może...

— No to fajnie.

Nareszcie uspokojony Rory mógł pozwolić, by ogarnął go sen.

Godzina 23.57

Tom my, śpisz?

Może i bym spał, gdybyś tyle nie gadała...

416

— No widzisz, mówiłam ci, że tabletki zadziałają. Już będę cicho...

Musisz mieć jutro wiele sił...

Odwróciła się do niego plecami, wypinając tyłek, i już po chwili usłyszał jej ciężki oddech. Jakiś czas później rozległo się ciche pochrapywanie.

Tommy Malone jednak w dalszym ciągu nie potrafił zasnąć. Może byłoby mu łatwiej, gdyby połknął te tabletki, ale coś go przed tym powstrzymało. Było coś w tym jej cmoknięciu, w tym jej uśmiechu, co go zaniepokoiło. Miał jakieś skojarzenia, ale wykończony ostatnimi przeżyciami nie myślał jasno. Godzinami próbował coś sobie przypomnieć, zrozumieć, co mu się nie spodobało w tak zwykłym przecież gościu Betty... Nadaremnie.

Dopiero gdy odpływał w nieświadomość, na granicy jawy i snu w jego umyśle pojawił się pewien obraz.

Judasz.

Pocałunek Judasza.

DZIEŃ DZIESIĄTY

XLIV

Środa, 19 lutego, godzina 06.02 (ochrzczona Czarną Środą przez media)

Tommy Malone czuł, że coś jest nie tak. Bardzo nie tak.

Rzucał się przez pół nocy, aż w końcu — około pierwszej objął ramieniem Betty i jej obfite kształty. Obudziła się i go dosiadła, ujeżdżając jak dzikiego konia, przy czym doznał większej ilości seksualnych wrażeń niż w ciągu minionych lat. Stracił rachubę czasu, pozwalając, by jego ciało i umysł oddały się przeżywaniu niczym nieskrępowanej rozkoszy. Spoceni i oklapli przytulali się do siebie, aż Betty zasnęła i przez sen znów obróciła się do niego plecami. Ale Tommy Malone nadal czuwał.

Gnębiło go uczucie, że coś jest nie tak.

Zamarł, kiedy poczuł koło siebie ruch. Betty wyślizgiwała się z łóżka.

Najpierw wysunęła jedną nogę i znieruchomiła, nasłuchując.

Kiedy nie zmienił pozycji, przesunęła się wężowym ruchem ku brzegowi materaca i spuściła na ziemię drugą nogę. Poczul, jak materac

się najpierw ugina, a potem sprężynuje, kiedy wstawiała. Słyszał, że Betty oddycha szybko i urywanie. Nerwowo. Stała i patrzyła na

niego przez jakieś pięć minut, zanim wykonała następny ruch. Drobnymi kroczkami pokonała powierzchnię między łóżkiem a drzwiami,

wyłożoną starym dywanem, i zniknęła w przedpokoju. Wtedy i on się podniósł. Usiadł na łóżku i wyteżył słuch. Skrzypnęła deska w

podłodze i zaraz znów wszystko ucichło. Wydawało mu się tylko, że nadal słyszy ciężki, przyspieszony oddech Betty.

Ona również nasłuchiwała. Uznawszy, że w sypialni panuje spokój, pokonała ostatnie metry dzielące ją od kuchni na końcu

przedpokoju.

419

Chwila ciszy, później odgłos jednego czy dwóch kroków Drzwi otworzyły się bezgłośnie, potem zamknęły z cichym skrzypnięciem.

Zawiasy w drzwiach kuchni skrzypiały tylko przy zamykaniu, Malone dobrze to wiedział.

Popatrzył na zegarek. Była szósta rano. Czego ona może chcieć w kuchni o szóstej rano...?

Wtedy przypomniało mu się, że w kuchni jest telefon.

— Ja w sprawie tego porywacza, którego szukacie... Taa, Tommy'ego Malone'a. No więc wiem, gdzie się znajduje... — Po drugiej stronie linii, w miejscu, gdzie odbierano telefony społecznego zaufania, rozpętało się pandemonium. — Ale najpierw chcę wiedzieć, co z nagrodą. Kto mi zapewni, że ją w ogóle zobaczę? Czy może zostać wypłacona anonimowo? Mogę dostać pieniądze tak, żeby nikt się nie dowiedział, że to ja go wsypałam?...

Dyżurny złożył wszelkie możliwe zapewnienia. Gdyby musiał, wykonałby salto, byleby kobieta mu uwierzyła.

— No dobra... On teraz jest...

Połączenie zostało przerwane.

Tommy Malone wyciągnął wtyczkę z gniazdka telefonicznego.

Betty odrzuciła słuchawkę, jakby zaczęła ją parzyć, a potem obróciła się na pięcie i zobaczyła stojącego w drzwiach kuchni

Malone'a. Światło ulicznych lamp sprawiało, że jego twarz wydawała się

trupio blada.

— Jezu, tylko nie ty, Betty, tylko nie ty... Kurwa, nie jeszcze i ty... Szarpnął za kabel, odrywając od progu mocujące go blaszane żabki, i zaczął zwijać w dłoniach. Betty była dosłownie sparaliżowana ze strachu. Znała Tommy'ego od dawna, jeszcze ze starych dobrych czasów, i wiedziała, jaki jest naprawdę. Jak nikt inny wiedziała, jakie Tommy ma zdanie o zdrajcach... Z przerażeniem wpatrywała się w naprężony pomiędzy jego dłońmi kabel. Nagle przypomniała sobie, jak silne ręce ma Tommy...

— Kurwa, Betty! Kurwa, kurwa, kurwa!...

— Tommy, ja nie... — zdołała wykrztusić, zanim kabel owinał się wokół jej szyi i zaczął zaciskać. Zaciskał się i zaciskał, az bardziej zacisnąć się go już nie dało, i pozostał zaciśnięty przez 420

jakieś dwadzieścia minut, w czasie których Tommy płakał jak bóbr, co nie zdarzyło mu się od bardzo, bardzo wielu lat.

Kurwa, Betty!... Kurwa... — łkając poluzował kabel, pozwalając, by zwiotczałe ciało osunęło się na podłogę. — Ty pieprzony Judaszu!

Godzina 06.47

— Dziadku, czy mamusia już wróciła?

Rory stał przy nogach łóżka, w którym zazwyczaj spała jego mama. a w którym dziś rano zastał swojego dziadka. Starszy mężczyzna przeleżał bezsennie całą noc, zamartwiając się i płacząc.

Nie, Rory. Mamusi jeszcze nie ma. Ale na pewno niedługo wróci. Wracaj jeszcze do łóżka. Jest bardzo wcześnie.

Dziadku, a nie mógłbym położyć się koło ciebie?...

Mężczyzna odchylił narzutę, pod którą w ubraniu przeleżał całą noc, i wpuścił pod nią chłopca. Rory włożył kciuk do buzi i zaczął łaskotać dziadka Tedem.

Kiedy ona przyjdzie?

Może trochę późniejszym rankiem skłamał dziadek.

A może troszkę później. Nie wiem dokładnie. Połóż się i spróbuj zasnąć, Rory. Jest za wcześnie, żeby wstawać.

Starszy mężczyzna nie miał sumienia powiedzieć wnukowi, co naprawdę stało się z jego mamą. Żeby przekupić chłopca i odciągnąć jego myśli od braku matki, spytał:

— Chciałbyś pójść później do zoo?

Rory usiadł prosto; nawet w ciemności było widać jego wielkie, błyszczące z podniecenia oczy.

Do zoo! — ucieszył się. — Jasne! Bardzo lubię chodzić do zoo. Dziękuję, dziadku...

No dobrze, pójdziemy do zoo, ale musisz mi coś obiecać.

Chłopiec wpatrywał się w twarz starszego mężczyzny bez mrugnięcia. —

Obiecaj mi, że będziesz grzeczny. Żadnych krzyków ani marudzenia. Jeśli powiem, że czas wracać, dasz mi rącz-

421

kę i wyjdziemy przez bramę. Nie chcę żadnych kłótni, słyszysz"

To co, zgoda?

Rory z zapalem pokiwał głową. Położył się na wznak, wetknął kciuk do buzi, po czym odwrócił się na prawy bok.

— Dziadku?

— Słucham, Rory... — westchnął ojciec Kate Hamilton.

— A czy mamusia też z nami pójdzie do zoo?...

Tommy Malone siedział w kuchni i palił szóstego sweet af-tona. Koło jego prawej ręki stał czwarty z kolei kubek mocnej herbaty.

Odkąd usiadł, ani razu nie spojrzał na ciało, które zostało tam, gdzie je zostawił, wyglądające jak kupa szmat. Był już ubrany,

ogolony i gotów do drogi. Zgolił nawet wosa, używając do tego jednej z maszynek Betty, które trzymała, żeby od czasu do czasu

usuwać owłosienie z łudek. Niemal się przy tym cały pochlastał. Potem

przeszukał dokładnie torebkę Betty. Zabrał z niej kluczyki do

samochodu i wszystko inne z wyjątkiem małej kosmetyczki. Wyglądając

przez okno, zauważył, że na głównej drodze w okolicy panuje

jeszcze niewielki ruch. Poruszały się nią nieliczne samochody, wydobywające z mroku tylne światła sunących przed nimi aut, fasady

budynków, pnie drzew... Ich kierowcy chcieli widać uniknąć porannej

godziny szczytu albo musieli być w pracy wcześniej niż

normalnie. A dokąd ja mogę pojechać? — zachodził w głowę Tommy. —

Dokąd, kurwa, mogę pojechać? Dla mnie wszystko już się skończyło.

Ponownie popatrzył na pierwszą stronę gazety wsuniętej przez skrzynkę

na listy zaledwie parę minut temu. Oczywiście rozpychało się

na niej jego zdjęcie. „Thomas Malone, lepiej znany jako Tommy Malone."

Najbardziej poszukiwany człowiek w Irlandii. Musiało walczyć

ze zdjęciem jakiegoś Deana Lyncha. Ani jeden, ani drugi nie wyszedł zbyt dobrze na zamieszczonej fotografii.

„Dr Dean Lynch" — przeczytał jeszcze raz, bo za pierwszym razem nie uwierzył.

— Doktor Dean Lynch powtórzył szeptem. Pierdolony lekarz. Tak samo

jak ja ukrywający się przed policją.

Lekarz — myślał, kręcąc głową.

Nawet ktoś taki jak Tommy Malone musiał się zastanowić, do czego to doszło, żeby lekarze mordowali ludzi.

422

\*

— Obawiam się, że nie nastąpiła żadna zmiana w jego stanie.

Paddy Holland, drugi lekarz i pielęgniarka stali naprzeciwko Sandry i Harry'ego O'Brienow. Wcześniej przyjrzeni się najnowszym wynikom.

Gordon O'Brien nie zdrowiał. Wprawdzie nie pogorszyło mu się, ale nie było też żadnych symptomów świadczących o tym, że zdrowieje.

Drugie dziecko trzymane w inkubatorze stoczyło ciężką batalię i wygrało ją. Właśnie zostało przeniesione na normalny oddział. Ale kiedy dopełniano formalności i fizycznie przenoszono niemowlę, nie było zwykłej, towarzyszącej podobnemu sukcesowi radości. Mąciło ją niepowodzenie w przypadku O'Briena juniora. I niepewność co do rokowania.

Zaraz do państwa wrócę — oznajmił na koniec Holland.

Mam jeszcze innych pacjentów... Porozmawiamy znowu, jak tylko będę wolny, obiecuję.

Sandra nie spuszczała oka z syna. Harry zdawał się słuchać tego, co mówił lekarz, ale nie można było mieć pewności, że cokolwiek do niego dociera.

Personel wymienił zmęczone spojrzenia.

Nastąpiła kolejna zmiana.

Walka trwała.

W CSP toczyła się na okrągło bez względu na porę dnia czy nocy.

Tommy Malone sprawdził swego smitha & wessona. Uzupełnił magazynek. Zabrał kluczyki do samochodu Betty, jej przenośne radyjko, wszystkie pieniądze, jakie znalazł, i czerwony szalik. W końcu wcześniej zabrał jej życie — jakie mogło mieć znaczenie, co jeszcze zabierze? Wrzucił wszystkie przedmioty do kraciastej torby a la worek marynarski. Upewnił się, że okna są zamknięte, zaciągnął zasłony, a w kuchni opuścił żaluzje. Czując pod powiekami łzy, przesunął ciężkie ciało Betty dalej od okna. Wreszcie wyszedł z domu tylnym wyjściem i starannie zatrzasnął za sobą drzwi. Wcześniej pozamykał wszystkie zamki w drzwiach frontowych, a klucze włożył do kieszeni płaszcza.



Kolumna dla kierowców drukowana na ostatniej stronie brukowca obok wiadomości sportowych ostrzegała wszystkich zmotoryzowanych, że na głównych drogach wyjazdowych z Dublina mogą powstać utrudnienia z powodu blokad policyjnych ustawionych celem schwytania groźnych przestępców. Tommy Malone uznał więc, że najrozsądniej będzie udać się w góry, gdzie miałby czas nad wszystkim dobrze się zastanowić i opracować plan, co dalej.

Tym razem musi mi się udać — myślał. — Ale skoro nawet Betty chciała mnie wydać, nikomu nie mogę ufać. Przeciwno mnie jest nie tylko policja. Jestem zdany wyłącznie na siebie.

Wyjmując z paczki papierosa, zauważył, że to przedostatni.

Chryste, wszystko mi się kończy. Najpierw szczęście, a teraz sweet aftony...

Godzina 09.37

Jak się pani czuje?

Kate Hamilton czuła się wyśmienicie. Żyła, i to jej wystarczało. Uśmiechnęła się słabo, bardzo słabo. W piersiach ją bolało tam, gdzie założono drenaż, każdy najdrobniejszy nawet ruch wywoływał potworne cierpienie. Czuła się bezbronna, mając roz-krzyżowane ręce — do obu łokci miarowo spływały życiodajne płyny. Najbardziej jednak dawało jej się we znaki miejsce nad prawą piersią. Poza tym potwornie bolała ją głowa. Chirurdzy musieli ogolić jej połowę czaszki, chcąc oczyścić i zszyć ranę na skroni. Ta na ramieniu wciąż wyglądała tak jak przedtem, ledwie się nią zajęto, ratując pani sierżant życie.

Silne środki przeciwbólowe, którymi została naszpikowana po operacji, najwyraźniej przestawały działać. Te, które zaczęto jej podawać niedawno, nie pozwalały jej już spać i nie mieć pojęcia o bożym świecie.

— Jak się pani czuje? — powtórzył pytanie Sean Kavanagh, lekarz prowadzący. Za nim stała reszta zespołu.

Okej — odpowiedziała Kate. To znaczy nie tyle „odpowiedziała”, ile poruszyła ustami, chcąc się odezwać.

424

Będzie dobrze, zobaczy pani. Wszyscy się do niej uśmiechali. - Straciła pani sporo krwi, ale zdołaliśmy opanować jej upływ. Nie zrobiliśmy pani transfuzji, bo młoda zdrowa kobieta taka jak pani z łatwością wyprodukuje własną, tak będzie bezpieczniej...

Kate ponownie spróbowała się uśmiechnąć.

Skontaktowaliśmy się z pani rodziną - ciągnął Sean Ka-vanagh. — Osobiście rozmawiałem z pani ojcem i zapewniłem go, że wszystko mamy pod kontrolą i że nic pani nie będzie. Zdaje się, że media wciąż utrzymują, że pani stan jest krytyczny, więc chcieliśmy jak najszybciej przekazać dobrą nowinę pani krewnym...

Co z Tonym?... Co z Dowlingiem? — Słowa były ledwo słyszalne, wydostawały się spomiędzy spierzchniętych warg.

Niech się pani o niego nie martwi. Proszę dbać o siebie... Im mniej będzie pani mówić, tym lepiej.

Co się stało z Tonym? — wyszeptała Kate.

Medycy wymienili spłoszone spojrzenia, zażenowane i pełne winy, jak gdyby to oni osobiście odpowiadali za to, co się stało.

Nie przeżył. Nie mogliśmy nic dla niego zrobić.

Kate odwróciła głowę, nie zważając na ból, i tępo zapatrzyła się przed siebie. Przemiały staruszek rodem z hrabstwa Cavan, który lada dzień miał przejść na zasłużoną emeryturę, który przepadał za wiejskimi kundlami, ten, który mówił: „Taki pies ma charakter. A miastowy? Całe życie wygląda, jakby cierpiał na zatwardzenie albo potrzebował konsultacji u psychiatry” i przy innej okazji: „Jak myślisz, Rory'emu spodobałoby się łowienie ryb? Moglibyście kiedyś do mnie przyjechać, tobym go nauczył, jak się fachowo zarzuca wędkę...”, Tony Dowling nie żył.

— A Lynch?

Jeszcze więcej spłoszonych spojrzeń.

Nie złapali go. W wiadomościach o ósmej mówili, że prawdopodobnie uciekł do Anglii. Zdaje się, że ktoś go widział na nocnej przeprawie linii Stena.

Kate potrząsnęła głową i syknęła z bólu. Ona wiedziała, że Dean Lynch nie opuścił Irlandii, najpewniej nie wyjechał nawet z Dublina. Ale nic nie powiedziała.

425

- Proszę się teraz niczym nie martwić. Ma pani zapewnioną ochronę, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Na to piętro nie prześlizgnie się nawet mysz, zresztą w całym szpitalu roi się o policjantów. Proszę zapomnieć o pracy, proszę odpoczywać. Nikt tu pani nie skrzywdzi, pani Hamilton...

Nie jestem „pani” Hamilton, tylko „panna” — pomyślała Kate twardo. — A Dean Lynch nie zniknął. Czai się gdzieś tutaj i szykuje do

skoku...

Wyprawa pana Hamiltona i Rory'ego do zoo została z lekka utrudniona przez ograniczenia w ruchu ulicznym. W centrum miasta wznosiły się blokady policyjne, na ulicach roіło się od funkcjonariuszy oddziałów prewencyjnych. Angielscy „kibice”, z których większość nie miała nawet biletu na mecz, a niektórzy należeli do Frontu Narodowego, szukali zaczepki. Wymachiwali flagami Wielkiej Brytanii przed nosami śpieszących do pracy i na zakupy przechodniów, wnosząc okrzyki o niezwyciężonej angielskiej armii i siłach specjalnych.

— SAS jest dla nas! SAS jest dla nas!...

Okrzyki wzmagały się z każdą chwilą i wreszcie przeszły w ogłuszający ryk, kiedy rozniosła się wieść, że przez miasto jedzie autokar z angielską drużyną. Irlandczycy dzielnie kontrowali wybuchy radości przeciwników, szydząc z Union Jacka, królowej i trenera angielskiej reprezentacji. Mecz miał się zacząć dopiero o siódmej, lecz to nie przeszkadzało pseudokibicom. Oni bawili się od samego rana. Pili, jeszcze zanim otwarto puby, zaczepiali Bogu ducha winnych ludzi, wzniesali niepokój. Ekipy telewizyjne zawzięcie kręciły w dwóch najbliższych portach: w dublińskich dokach i w Dün Laoghaire, gdzie z pokładów promów schodziły następne setki Anglików szukających guza.

Pan Hamilton pokręcił głową z niezadowoleniem, gdy utknęli w kolejnym korku. Rory wyglądał przez okno z mieszaniną zaciekawienia i strachu. Choć nie rozumiał, co się dzieje, wyczuwał niebezpieczeństwo. No, nareszcie — pomyślał dziadek Rory'ego, wyrywając do przodu i już bez przeszkód dojeżdżając do Phoenix Park, gdzie znajdował się ogród zoologiczny.

— Dziadku?

426

— Słucham, Rory...

A kiedy mamusia wróci do domu?

Godzina 11.00

Dean Lynch także oglądał telewizję. W wiadomościach o jedenastej znów pokazano jego zdjęcie — obok fotografii Tommy'ego Malone a. Wspólnie zajęli niemal całe wydanie. Pokazano również migawki z przygotowań policji do wieczornego meczu Irlandia- Anglia. Dziennik zakończył się sondą uliczną, w której pytano przypadkowych przechodniów, co ich zdaniem powinno się zrobić obu przestępcom,

oczywiście jeśli zostaną pojmani.

Lynch rozciągnął wargi w drapieżnym uśmiechu.

„Oczywiście jeśli zostaną pojmani...” Jeśli zostanę pojmany...

Nigdy mnie nie złapią.

Już jestem umówiony ze Śmiercią.

Nie wiem, kiedy dokładnie. Nie wiem tego nawet w przybliżeniu.

Ale Śmierć na pewno dopadnie mnie wcześniej niż oni.

A na razie muszę jeszcze załatwić kilka spraw...

W południe w głównym wydaniu wiadomości błysnęła mu przed oczami najpilniejsza sprawa do załatwienia.

Sierżant Kate Hamilton wciąż pozostaje pod opieką lekarską w dublińskim szpitalu Merrion. Jej stan ustabilizował się i nic

bezpośrednio nie zagraża jej życiu... — Na ekranie pokazano wejście do szpitala, przed którym konferowało o czymś dwóch tajniaków.

Wprawne oko Lyncha od razu wychwyciło bułowa-ty kształt półautomatycznej broni ukrytej pod ich płaszczami. Zresztą reportaż nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że sierżant Kate Hamilton jest pilnie strzeżona. Dziennikarze w ogóle nie żywili żadnych wątpliwości, co niezmiernie rozbawiło Lyncha. — Z uzyskanych informacji wynika, że doktor Dean Lynch poszukiwany w związku z dwoma

morderstwami powiązanymi z Centralnym Szpitalem Położniczym oraz z atakiem na policjan-

427

tów na służbie, w którego wyniku jeden z detektywów poniósł śmierć na miejscu, opuścił granice Irlandii, przedostając się (j0

Wielkiej Brytanii...

Szpital Merrion zniknął z ekranu telewizora i zastąpił »0 obrazek promu linii Stena oraz kasy w Diin Laoghaire, w której minionego dnia późnym wieczorem zakupiono bilet na przeprawę na nazwisko Dean Lynch. Strzeżonego Pan Bóg strzeże — pomyślał tenże Dean Lynch, zacierając w duchu ręce, kiedy niczym z rękawa posypały się dalsze rewelacje. Otóż widziano go, jak najpierw wsiadał do pociągu do Londynu, a następnie do taksówki. Jak dotąd żaden z londyńskich taksówkarzy nie skontaktował się z policją, aby to potwierdzić. Co ciekawe, różni świadkowie widzieli Deana Lyncha w różnych miejscach o tym samym czasie. Brytyjska policja miała więc pełne ręce roboty. Do każdego sygnału podchodzono z taką samą powagą i wszystko skrupulatnie sprawdzano, zdając sobie jednak sprawę, że

większość informacji jest podawana z nadmiaru wyobraźni bądź nawet złej woli obywateli. Dlatego zaapelowano do opinii publicznej o rozwagę i nie-obciążanie policyjnej linii telefonicznej. Dean Lynch był niebezpiecznym, gotowym na wszystko zbrodniarzem i należało zrobić wszystko, aby ująć go jak najszybciej.

Znudzony Lynch pstryknął palcem w pilota i wyłączył telewizor. Patrząc w migającą diodę, westchnął przeciągle.

Nadszedł czas, by wykonać ostatni krok.

Wziął do ręki butelkę z farbą do włosów, przeczytał uważnie instrukcję użycia, odstawił ją i przyjrzał się wąsikowi, który zapuścił. Nie było go wiele, ale powinno wystarczyć.

Nie zamierzał więcej korzystać ze swojego zestawu do charakteryzacji. W odstawkę poszła wysłużona peruka i sztuczne wąsy. Tym razem doktor Dean Lynch zamierza! wystąpić au naturel.

Tuż przed południem Tommy Malone wysiadł z samochodu przed pubem w południowym Dublinie, które to miejsce w myślach zawsze określał mianem „górnicy”, choć w rzeczywistości były to zaledwie wzgórza, do tego będące częścią miasta. Zamknął starannie drzwi i przeszedł na drugą stronę drogi, skąd rozciągał się imponujący widok na położone w dole centrum stolicy. Dzień był mroźny, ale słoneczny, tak więc wzrok Tommy'ego sięgał da-

428

leko. Na koniec tygodnia zapowiadano deszcze, które wprawdzie miały podnieść temperaturę o stopień czy dwa, ale przy tym na pewno zepsuć widoczność z miejsc takich jak to. Trenerzy, piłkarze, bukmacherzy, a nawet kibice dziękowali opatrności za pogodną środę. Wszyscy mieli nadzieję, że taka pogoda utrzyma się do późnego wieczoru. Malone palił ostatniego sweet aftona z paczki i spoglądał z góry na Dublin. Jego oczy wyłuskiwały najbardziej charakterystyczne i dobrze mu znane budowle: kominy Ringsend, wieże Ballymun, aż w końcu spoczęły na półwyspie Howth Head.

Chryste, oddałbym wszystko, żeby móc zacząć życie od nowa...

Tuż za jego plecami przejeżdżały samochody, pędem wywołując uderzającą weń falę powietrza, lecz on nie zwracał uwagi na nic poza widokiem i własnymi myślami.

Oto ja, Tommy Malone. Tu się urodziłem i tu walczyłem przez całe życie, żeby uciec od nędzy i brudu. Nie mogę tak po prostu stąd wyjechać. Jestem Thomas Malone, na którego wszyscy mówią tutaj Tommy...

Pstryknął, pozbywając się parzącego w palce niedopałka. Końcówka papierosa poszybowała w dół, lądując gdzieś na czyimś polu. Tommy odwrócił się i zaczął iść w stronę auta.

Nagle zapragnął coś zrobić.

Uruchomił silnik.

Tylko jak, kurdefelek, mam się dostać z powrotem do centrum, tak żeby nikt mnie nie zobaczył?...

W radiu również bez przerwy trąbiono o Lynchu i Tommym. Jednego albo drugiego widziano w mieście i na przedmieściach, a nawet na porzuconych od lat farmach, w domkach letniskowych i przyczepach kempingowych. Policja nie miała chwili wytchnienia, sprawdzając każde ze zgłoszeń. Szukano do upadłego. Nadaremnie jednak. Pomimo upływającego czasu nie doszło do żadnych aresztowań. W wiadomościach o trzynastej stacja RTE poinformowała, że rząd planuje wspomoczenie sił policji armią. Poszukiwania miały zatoczyć szersze kręgi, obejmując znaczną część regionów rolniczych.

429

— Obaj mordercy muszą zostać schwytani i przykładowo ukarani! — Prezenterzy cytowali słowa wypowiedziane przez Alice Martin podczas konferencji prasowej.

Tommy Malone i Dean Lynch usłyszeli, co dla nich planuje pani minister sprawiedliwości. Pierwszy jechał samochodem w stronę centrum miasta, słuchając radia, drugi szedł w kierunku centrum handlowego Stillorgan, mając przy sobie walkmana.

Lynch uśmiechał się, idąc. Bawiła go myśl, że policja i wojsko przetrząsną pół kraju, a i tak go nie złapią.

Ale ile będzie zamieszania z powodu mojej skromnej osoby! cieszy! się. — Ależ było łatwo je spowodować. Szkoda, że nie pomyślałem o czymś podobnym wiele lat wcześniej... No ale przynajmniej udało mi się utrzyć nosa Morganowi. Powinienem jeszcze dobrać się do skóry Conwayowi i temu nadętemu dupkowi Armstrongowi...

Jak gdyby nigdy nic przeszedł koło punktu kontrolnego na Booterstown Avenue, gdzie korek osiągnął długość pół kilometra. Siedzący w samochodach kierowcy przeklinali w żywy kamień tego, przez którego musieli się zatrzymać i wlec w żółwym tempie, aż znowu będą mogli przejechać kawałek, zanim nie wyrosnie przed nimi kolejna blokada. Dean Lynch nie współczuł im ani trochę. Bawiła go ich sytuacja. To dopiero frajda! myślał, coraz bardziej z siebie zadowolony. Znow miał kruczoczarne włosy — prawdziwe, nie licząc farby

oraz nowo wyhodowanego wąsika, z którego był bardzo dumny. Dobrze się czuł, odzyskawszy pełniejsze kształty za sprawą czterech grubych swetrów włożonych pod czarny anorak z kapturem na głowie, chroniącym go nie tylko przed siarczystym zimnem i wiatrem. Odmłodniały, przy kości, w okularkach na nosie, w ogóle nie przypominał mężczyzny, którego zdjęcie nie schodziło z pierwszych stron gazet i ekranów telewizorów.

Tommy Malone wracał do Dublina, unikając głównych dróg i ulic. Znał miasto jak własną kieszeń, więc bez trudu przedzierał się przez osiedlowe uliczki i zaułki. Nie mógł przy tym nie zauważyć, że wokół toczy się normalne życie: ludzie wystawiali na chodniki kubły ze śmieciami, robili zakupy w sklepikach na

430

rogu, wyprowadzali psy na spacer. Coś go ukłuło w duszy, kiedy uświadomił sobie przepaść dzielącą go od zwykłych dublińczyków. Wynurzył się ostrożnie z jakiegoś osiedla i przejechał kawałek szerszą drogą, gdzie akurat nie było żadnych blokad. Przemknął ku Stillorgan, na koniec skręcając ostro na przepelniony do granic parking przy centrum handlowym, po tym jak dostrzegł zaparkowany za skrzyżowaniem wóz patrolowy. Paru policjantów wstrzymywało ruch na ulicy, podczas gdy ich uzbrojeni koledzy zaglądali do każdego poruszającego się w zwolnionym tempie samochodu.

Zachowuj się naturalnie — powtarzał sobie w myślach Tom-my — zachowuj się naturalnie, to nikt cię nie zauważy...

Wepchnął worek marynarski pod siedzenie pasażera, wysiadł z auta i postawił wysoko kołnierz, zasłaniając nim pół twarzy. To nie mogło wzbudzić niczyich podejrzeń, każdy chronił się przed mroźnym wiatrem, jak umiał. Tak wszedł do galerii handlowej i włączył się w gęsty strumień zakupowiczów. W którymś momencie wpadł na jakiegoś przysadzistego gościa, który wydawał się równie pogrążony w myślach jak on sam. Obaj jednocześnie wymamrotali przeprosiny, nie odrywając wzroku od podłogi pod stopami. Grubasek zatrzymał się tylko po to, by poprawić na nosie druciane oprawki okularów. Następnie — zasłaniając się szczelniej czarnym kapturem, tak że właściwie nie sposób było zobaczyć jego twarzy — przedarł się do działu z rozrywką, gdzie jak dobrze wiedział, znajdowała się kabina do robienia zdjęć ekspresowych. Wszedł do środka, ustawił krzesło na odpowiedniej wysokości, po czym wyjrzał przez zasłonkę, upewniając się, że nikt nie czeka w kolejce.

Kaptur opadł na plecy, anorak na ziemię, okulary trafiły do kieszonki. Wszystkie cztery swetry jeden po drugim zostały zdjęte. Dean Lynch włożył na siebie biały fartuch lekarski — jeden z tych, których używał, pracując w Centralnym Szpitalu Położniczym. Pod nim miał tylko spodnie i nową białą koszulę ze stonowanym, szarym krawatem.

Przyjrzał się sobie w lustrze wiszącym z boku i uśmiechnął się szeroko. Znowu zmieniłeś skórę, Deano — pomyślał. — Znowu wyglądasz jak lekarz.

431

Wyjął grzebień i przejechał nim po kruczoczarnych włosach robiąc przedziałek po prawej stronie głowy. Ponownie przeprowadził inspekcję w lustrze i chrząknął z aprobatą. Nałożył jeszcze okulary, wsunął w szczelinę monety i czekał.

**BŁYSK!BŁYSK!BŁYSK!BŁYSK!**

Jak tylko maszyna skończyła, wykonał te same czynności co wcześniej, tylko w odwrotnej kolejności, i w ciągu niecałych dwu minut miał na sobie swetry i anorak, a fartuch tkwił zwinięty w małej płaskiej torbie. Ostrożnie, jednym okiem wyjrzał zza zasłonki — przed kabiną w dalszym ciągu nikogo nie było. Odczekał jeszcze minutę, sprawdzając co chwila zegarek i dziwiąc się, jak bardzo zeszcupłał mu nadgarstek w ciągu ostatnich kilku dni.

Strasznie schudłem pomyślał. — I w ogóle nie czuję głodu.

Sama myśl o jedzeniu napawała go wstrętem.

Nareszcie z otworu nad szczeliną na monety wysunął się pasek z czterema fotografiami. Każda ukazywała szczupłego mężczyznę z gęstymi czarnymi włosami i czarnym wąsikiem, noszącego okulary i ubranego w białą koszulę i chyba fartuch lekarski.

Zadowolony z efektu Lynch wsunął zdjęcia do kieszeni, po czym przeszedł paręnaście kroków do apteki, gdzie kupił sobie preparat BioPlus, wysokokaloryczny suplement diety zawierający skoncentrowane białka, przepisywany rekonwalescentom i zawodowym sportowcom.

Muszę nabrać sił — uznał. — Będą mi potrzebne.

Żeby wykonać ostatni krok.

Tommy Malone, uznawszy, że spędził w sklepie wystarczająco dużo czasu, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń, wrócił do samochodu i wycofał się tą samą drogą, którą nadszedł, unikając postawionej w pobliżu blokady. Jechał tak długo, aż osiągnął zjazd na dwupasmówkę. Zamierzał nią dostać się do centrum, ale w ostatniej chwili



skręcił w Merrion Avenue. Przejechał ledwie kilkaset metrów, gdy znów wyrosła przed nim blokada policyjna. Tym razem jednak nie miał możliwości manewru — przed nim i za nim, zderzak w zderzak, stał cały szereg aut czekających na kontrolę. Jakikolwiek podejrzany ruch, czy to samochodem,

432

czy to pieszo, zostałby z pewnością zauważony przez młodego policjanta lustrującego drogę. Jednakże ktoś parę aut przed nim wyrwał się z korka, skręcił w lewo i zatrzymał tuż przed sklepem monopolowym w bocznej uliczce. To jest myśl! — wykrzyknął w duchu Tommy. Odczekał minutę, aż osiągnął to samo miejsce co tamten, i wykonał zgrabny manewr.

W monopolowym kłębiło się od ludzi. Wszyscy przygotowywali się do wieczornego meczu, nikt nie zamierzał świętować zwycięstwa Irlandii o suchym pysku. Większość dublińczyków czekał udany wieczór — w domu, przy piwie i włączonym kominku. Tommy Malone miał jednak inne plany. Zaparkował w bezpośrednim sąsiedztwie wejścia do sklepu, wyciągnął spod siedzenia pasażera swój worek i z udawaną swobodą wysiadł z samochodu. Po paru sekundach był już w sklepie. Sprzedawca ściągał z półek kolejne sześciopaki, nie zwracając większej uwagi na wiszący w rogu telewizor, na którym leciały właśnie wiadomości Sky News. Malone zaczął przyglądać się butelkom wina stojącym na niższych półkach, chcąc ukryć przed postronnymi twarz. Słyszał jednak sygnał pełnej godziny właśnie minęła druga po południu — i podawane w skrócie główne wiadomości, które miały być wałkowane przez następne sześćdziesiąt minut. Samowi Collinsowi i Peggy Ryan, zatrzymanym w Bridewell, przedstawiono oficjalnie zarzuty. W tym celu przewieziono ich do sądu, gdzie mieli złożyć kilkuminutowe wyjaśnienia. Ludzie tłumnie zgromadzeni przed budynkiem sądu przyglądali się ponurym wzrokiem, jak

policjanci ciągną przestępców z zakrytymi czarnym materiałem głowami, po czym wyprowadzają ich na zewnątrz i wpychają do więziennej furgonetki, która miała zawieźć ich do Mountjoy.

Gordon O'Brien nadal przebywał w Centralnym Szpitalu Położniczym, gdzie na oddziale intensywnej terapii noworodków walczył o życie.

Nagle w sklepie monopolowym zapanował minorowy nastrój. Rozległy się pomruki, ten i ów podzielił się z sąsiadem uwagą na temat tego, co powinno się zrobić tym draniom...

Im dłużej Tommy Malone słuchał, tym większy niepokój go ogarniał. Nie pamiętał, kiedy się ostatnio czymś nie martwił.

433

Kurdefelek, wiedziałem, że porwanie to paskudna sprawa, ale jest o wiele gorzej, niż się obawiałem... Wszyscy są przeciwko mnie, nie mam do kogo zwrócić się o pomoc.

Zdjął z półki jakąś butelkę i przyjrzał się nalepce. Château Mouton Rothschild 1983. Nada się. Odczekał, aż tłum się przeredzi, i postawił wino na ladzie przy kasie, unikając wzrokiem sprzedawcy i błędząc dla pozorów po półkach z markowymi alkoholami, jakby czegoś jeszcze szukał. Kiedy cena w dalszym ciągu nie padała, spojrzał na twarz sprzedawcy.

— To dość drogie wino, proszę pana — powiedział chłopak.

- Kosztuje ponad setkę.

Malone nie miał czasu na targi. Musiał się stamtąd zabierać, i to jak najszybciej.

Mimo to je wezmę — oświadczył. — I poproszę jeszcze dwa cygara Monte Cristo, najdroższe.

Sprzedawca owinał butelkę i cygara w krwistoczerwoną bibułę i włożył zakupy do zielonej papierowej torby z uchwytem ze sznurka.

Będę jeszcze potrzebował korkociągu i kieliszka.

Kieliszka?! — Sprzedawca zagapił się na klienta, który tak bardzo chciał pozostać nierozpoznany.

Tak, korkociągu i kieliszka. Chyba się jasno wyrażam, co? — Malone odliczył trzy grube banknoty i rzucił je na ladę.

Reszta na cele dobroczynne.

— Oczywiście, proszę pana.

Pakując korkociąg i kieliszek, sprzedawca cały czas intensywnie główkował. Skądś znał tę twarz. Miał nawet zapytać, czy to możliwe, żeby widział Malone'a ostatnio w telewizji, ale ten już był za drzwiami, a ktoś inny domagał się sześciu puszek budweisera i największej paczki chipsów. Nim sprzedawcy przypomniało się, skąd zna twarz Tommy'ego, zdążył o nim całkowicie zapomnieć.

Malone rozejrzał się po ulicy i doszedł do wniosku, że jechać samochodem będzie zbyt ryzykownie. Trzymając w lewej ręce worek marynarski, a w prawej torbę z zakupami, skręcił za róg, wychodząc na Cross Avenue.

Pójdę na piechotę, jak za dawnych dobrych czasów — zdecydował, ruszając ku stacji kolejki.

\*

— Przykro mi, ale linia jest nieuszkodzona. Zgadza się, sygnał jest wciąż zajęty. Pewnie ktoś źle odłożył słuchawkę. —

Konsultantka zielonej linii usiłowała wytłumaczyć Sharon, jedynaczce Betty Nolan, że problemy, których doświadcza próbując dodzwonić się do matki, są niezależne od działań telekomunikacji, zawsze bez winy. — Długo pani próbuje?

Od paru godzin pożałowała się Sharon. — Mama zazwyczaj przychodzi do mnie o jedenastej, żeby popilnować dziecka i dać mi szansę zrobić zakupy.

— Cóż, zapewniam panią, że z linią jest wszystko w porządku. Ani spod tego numeru, ani spod innych z tamtej okolicy nie mieliśmy ostatnio żadnych zgłoszeń. Przykro mi, ale naprawdę nie umiem pani pomóc.

Dziękuję. Widzę, że będę musiała się przejść i sprawdzić, czy z mamą też wszystko w porządku.

Jeśli okaże się, że telefon jest sprawny, ale nie można się na niego dodzwonić, proszę się z nami skontaktować raz jeszcze.

Oczywiście — odpowiedziała z roztargnieniem Sharon. — Do widzenia. Tommy Malone podjechał kolejką do Westland Row. Zanim wsiadł do wagonu, upchnął torbę z monopolowego do swojego przepastnego worka. Po tym jak opuścił stację w Westland Row, przez dobrą minutę zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Nic nie wymyśliwszy, zszedł z drogi pasażerom i obsłudze stacji, wchodząc do kawiarenki dworcowej, gdzie nad kubkiem mocnej kawy kontynuował rozważania nad swoim położeniem. Wiedział, gdzie zaprowadziłyby go jego nogi, gdyby im na to pozwolił, ale w głębi duszy pragnął obrać zupełnie inny kierunek. Chciał wrócić nad rzekę Liffey, do starej kamienicy przy Steevens Street, poczuć znów zapach wody, zobaczyć ruch przy porcie, usłyszeć wycie odległych syren policji, pogotowia i straży pożarnej. Tęsknił za dawnymi kumplami, za spotkaniami przy piwie, za snutymi leniwie opowieściami o tym, co było, i tym, co będzie. Jednakże

ostatecznie nie był w stanie zapanować nad swoimi nogami.

\*

W tym samym czasie, kiedy Tommy Malone rozpoczynał swoją samotną podróż, w Centralnym Szpitalu Położniczym małemu Gordonowi

O'Brienowi zaczęło się polepszać.

Sandra wpatrywała się w inkubator z napięciem, szepcząc do swego dziecka:

No, Gordon... mama jest przy tobie, tata też... znów jesteśmy wszyscy razem... wydobrzejesz, zobaczysz... mama już nigdy nie spuści cię z oczu, obiecuję ci to... wrócisz do domu i już zawsze będziesz z nami... ale najpierw musi ci się polepszyć... musisz być silny, synku... nie wolno ci się poddawać... bardzo za tobą tęskniliśmy i już nie możemy się doczekać, żeby wrócić z tobą do Beechill...

Powtarzała mniej więcej to samo, w kółko i jeszcze raz od nowa, czasem tylko nieco zmieniając niektóre słowa, odkąd Paddy Holland usadził ją i jej męża przy inkubatorze. Harry O'Brien również wpatrywał się w syna, trzymając jego małą rączkę w swojej dłoni i głaskając go po główce. Od czasu do czasu ścisnął paluszki i nachylał się, żeby pocałować dziecko w czoło. Na zewnątrz zachowywał spokój, ale w środku, czując martwość małego ciała, był z rozpaczą. Pierwszy ruch Gordona był ledwie zauważalny. Umknął zarówno Sandrze, jak i Harry'emu, tak był delikatny i krótkotrwały. Jednakże Liz Egan, doświadczona pielęgniarka pediatryczna, nie przeoczyła go. Natychmiast skontrolowała wskazania monitorów i poczuła lekki ucisk w dołku. Niebawem przyspieszone tętno zwolniło, oddech stał się głębszy i równiejszy, poziom tlenu we krwi podwyższył się nieznacznie. Zachowując rutynowy spokój, zmierzyła Gordonowi temperaturę. Zignorowała przestraszone, pytające spojrzenia O'Brienów i jakby nigdy nic — tak samo jak wiele razy wcześniej — zrobiła odpowiednią adnotację na karcie choroby. A potem zmierzyła temperaturę raz jeszcze.

Czy coś się stało? — zaniepokoiła się Sandra. W głębi duszy wbrew wszystkiemu żywiła nadzieję, że nagłe poruszenie pielęgniarki nie oznacza, że Gordonowi się pogorszyło.

Liz Egan uśmiechnęła się łagodnie.

Nie, skądże. Być może nastąpił przełom, na który wyczekiwaliśmy. Zaraz sprowadzę tutaj doktora Hollanda. Wrócę za

436

momencik... — Opuściła salę, zanim Sandra i Harry zarzucili ją pytaniami. Paddy Holland wysłuchał sprawozdania pielęgniarki, a potem pośpieszył za nią na oddział. Widząc, że wchodzi na salę z inkubatorami, Sandra i Harry wstali. Żadne z nich nie odważyło się zadać pytania, na

wypadek gdyby odpowiedź miała złamać im serca.

Lekarz sprawdził monitory, spojrzął na wykres temperatury, w końcu usiadł na krześle po drugiej stronie inkubatora. Sandra i Harry nadal stali, nie spuszczać z niego wzroku. Pediatra przygląda! się uważnie dziecku, temu, w jaki sposób oddycha. Obserwował małą klatkę piersiową i przeponę. Zawędrował oczami aż na nienaturalnie płaski brzusek, po czym szybko poderwał głowę, wracając spojrzeniem wyżej. Gordon O'Brien chyba zatrzepotał powiekami. Jego rodzice znów przegapili to wiekopomne wydarzenie, lekarz i pielęgniarka jednak oboje je dostrzegli i popatrzyli na siebie z nadzieją. Holland przyłożył stetoskop do piersi dziecka i zaczął go przesuwając o pół centymetra, za każdym razem zatrzymując rękę na parę sekund.

Ledwie wierząc w to, co widzi i słyszy, Paddy Holland wstał i zaczął zmieniać ustawienia na monitorach. Urządzenia ujawniały zapisane pomiary: akcję serca, poziom tlenu we krwi, tętno, ciśnienie krwi...

O'Brienowie śledzili każdy ruch lekarza, obawiając się tego co najgorsze. Czy to już? — pytali się w myślach zmartwiali ze strachu.

— Czy Gordon umiera?

Doktor Holland oderwał wydruk elektrokardiogramu i powiódł po nim palcem. Po ciągnącej się w nieskończoność chwili podniósł wzrok na poblaskłych z przerażenia i szoku O'Brienów i uśmiechnął się do nich.

— Polepsza mu się. Zdarzył się cud. Państwa syn wyjdzie z tego.

XLV

Godzina 15.27 Plac Merrion w Dublinie

Plac Merrion to klejnocik w koronie Dublina. Otaczały go szerokie, dobrze utrzymane ulice oświetlone nocą zdobnymi mosiężnymi lampami. Przy trzech z nich stały wysokie budynki z początków dwudziestego stulecia, niegdyś domy miejscowej arystokracji, obecnie ekskluzywne biura i apartamenty. Środek placu zajmował spory skwer z zadbanym parkiem czy raczej ogrodem. Na licznych wąskich alejkach nie zdarzało się natknąć na choćby upuszczony papiererek, za to co rusz można było podziwiać rzeźby i posągi. Sporą powierzchnię zajmowało wyglądające na naturalne wrzosowisko, do tego rosły tam niezliczone stare drzewa o powyginanych konarach.

Od wschodniej strony urządzono plac zabaw dla dzieci, przy którym rozmieszczono liczne, również mosiężne ławki. Siadali na nich rodzice doglądający swoich pociech oraz wszyscy ci, którzy chcieli ukoić

wzrok widokiem natury, zmieniającej się w zgodzie z kalendarzem wiosną, latem, jesienią i zimą, lecz zawsze urokliwej i dającej wytchnienie. Całość odgraniczało kute w metalu ogrodzenie, na którym co niedziela zawisały obrazy malarzy amatorów. Zwłaszcza w weekendy na placu Merrion panował nieopisany rejwach, aczkolwiek można też było znaleźć bardziej ustronne zakątki. Jednym słowem — dla każdego coś miłego. Galeria Narodowa położona była w pobliżu, w pewnym oddaleniu od ulicy i również ukryta za wysokim, kutym w metalu ogrodzeniem. Architektonicznie bardzo ładnie wpasowywała się w okolice. Przed bryłą budynku wykrojono miejsce na spory

438

zadbany trawnik, na którego obrzeżu poustawiano drewniane fi-kuśne ławki. Każdy siedzący miał doskonały widok na pomnik George'a Bernarda Shawa. Pisarz został utrwalony w charakterystycznej dla niego pozie, z ramieniem założonym na ramię, gdy zamyślony patrzył daleko przed siebie.

Mniej więcej tak samo wyglądał Tommy Malone o piętnastej trzydziści dziewiętnastego lutego, w dzień, który później przyjęło się nazywać Czarną Środą.

Tommy wyjął jedno cygaro, zapalił je i siedząc na drewnianej ławce, zapatrzył się na ruch uliczny i spacerowiczów. U jego stóp leżał kraciasty worek marynarski. W głowie tłoczyły mu się myśli. Przesądza! się jego dalszy los.

Kiedy nie śpiesząc się, wypalił cygaro, zdeptał końcówkę czubkiem buta i sięgnął do worka. Obrzuciwszy okolice szybkim spojrzeniem, wyciągnął ze środka smitha & wessona, po czym zatknął go za pasek spodni. Później wstał i zdecydowanym krokiem ruszył ku wejściu do budynku.

Chciał jeszcze raz obejrzeć swój ulubiony obraz.

Zdał worek w punkcie ochrony i udał się do sali numer dziewięć.

Tam był. Caravaggio. „Pocałunek Judasza”.

Malone usiadł naprzeciwko niego, tak jak czynił to wiele razy przedtem, i zamarł bez ruchu.

Oto Betty i jej judaszowy pocałunek. A tam, na samym środku, to ja. Nie mam wprawdzie długich włosów ani brody, ale to na pewno ja tam, na środku, to po mnie idą żołdacy, żeby mnie ukrzyżować.

Kurdefelek, nie dostaną mnie!...

Odblask na zbrojach żołdaków, miny na ich twarzach, a poza tym

wszechogarniająca czerń — to wszystko było dla Malone'a tak rzeczywiste, że musiał upewnić się, że i on, i jego pistolet są równie rzeczywisci. Wsunął rękę za pasek od spodni, macając za smithem & wessonem.

Nie mogę wiecznie uciekać — myślał — zwłaszcza że na karku wisi mi każdy pies w Irlandii, każdy drobny złodziejasek, każda matka i ojciec... Jeśli dam się im złapać, ukrzyżują mnie jak amen w pacierzu. A kurdefelek, nie chcę zostać ukrzyżowany.

Wstał powoli, uświadamiając sobie, że portier tej sali musiał na niego patrzeć od dłuższej chwili. Mężczyzna wyglądał jak po-

439

sąg, z rozdziawionymi ustami i okrągłymi ze zdziwienia oczami. Miało to wypisane na twarzy. Rozpoznał Malone'a! To on — mówiły jego rozwarte szeroko oczy — to ten, no, jak mu tam... To na pewno on! Nie ma co do tego dwóch zdań. Lepiej się pośpieszę i wezwę policję, nim i tutaj narozrabia...

Tommy Malone wyczuł to raczej, niż zobaczył, a potem westchnął ciężko, z rezygnacją.

Jeszcze raz spojrzął na Jezusa, tak łagodnego i spokojnego, a zarazem smutnego, z mocno zaciśniętymi dłońmi, pogodzonego z tym, co Go czeka. Bo wiedział, co dla Niego szykują. Wciąż tego nie rozumiem — pomyślał Malone. Jezus wiedział, co Go czeka, a mimo to nie bronił się, pozwolił, by Go zabrali... Kurde-felek, mnie nie dorwą, nie pozwolę im na to!

Wyszedł z sali, odebrał swój worek. Czuł na plecach palące spojrzenia. Wiedział, że się wydało. Kątem oka dostrzegł, jak zbliża się do niego dwóch pracowników ochrony. Nie byli jakimiś osiłkami, tylko wyglądali solidnie, i Malone wiedział, że strugają bohaterów.

Wyszarpnął zza paska swojego smitha & wessona i wystrzelił w ich stronę, niszcząc gipsowe stiuki. Każdy, kto był w zasięgu wzroku, pochylał się i przypadł do podłogi, każdy, kto był w zasięgu słuchu, rzucił się do ucieczki. I tylko Tommy Malone parł ku wyjściu jakby nigdy nic. Przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył do parku na placu Merrion.

Znalazł zaciszną ławkę, przyjrzał się plalom na śniegu, gdzie jakieś wczesne roślinki pracowicie wydostawały się z ziemi. Narcyzy albo tulipany, albo inne krokusy — pomyślał, podziwiając ich upór. Przebiśniegi już dawno pokazały swoje główki, zadziwiając świat.

Tommy pochylał się do worka, wyjął z niego przenośne radyjko i włączył.

Potem sięgnął raz jeszcze, wydobył butelkę wina i korkociąg. Przyjrzał się znów nalepce. Chateau Mouton Rothschild 1983... Rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty trzeci był udanym rokiem dla Chateau Mouton, chociaż Tommy nie miał o tym pojęcia i nie dlatego wybrał to, a nie inne wino. Przetarł kieliszek bibułą, w którą sprzedawca opakował go z taką troską, nalał sobie, nie żałując, i pociągnął łyk. Niezłe — uznał.

Całkiem niezłe... Może wolałbym w takiej chwili wychylić kufel porządnego piwa, ale to też może być... Pociągnął znowu, przepłukując usta, a kiedy już przełknął, odstawił kieliszek na 440

ławkę obok siebie i sprawdził broń. W komorze czekał gotowy do wystrzelenia nabój. W oddali rozległ się odgłos policyjnych syren. Tommy Malone rozluźnił się i rozpoczął oczekiwanie. Przybywali po niego.

Dolał sobie wina, pil teraz szybko, kieliszek za kieliszkiem, bojąc się, że nie zdąży obalić butelki. Pomiedzy łykami zapalił drugie cygaro i zaczął wydmuchiwać kółka dymu wprost w mroźne powietrze. Podmuch wiatru przywiał do niego zapach palonego słoju od browaru Guinnessa i Malone uśmiechnął się przelotnie. Kurde, nie pogardziłbym kufelkiem...

Od strony ulicy doszedł go szczeł otwieranych i zamykanych drzwi, podniesione głosy, wydawane krzykiem rozkazy. Na obrzeżu placu zabaw pojawił się ubrany na czarno mężczyzna w dziwnej spiczastej czapce i odciągnął na bok kobietę — młodą matkę z dwuletnim brzdącem, który płacząc, wskazywał na huśtawkę.

Nadchodzą— pomyślał Tommy Malone.....- Widzę już błyski na ich zbrojach.

Jack McGrath wydawał ostatnie instrukcje swoim ludziom. Wszyscy mieli na sobie kamizelki kuloodporne, poczernione twarze i wełniane czapki kominiarki. Oraz broń. Otoczyli park, podczas gdy zwykli policjanci zgarniali ze ścieżek spacerowiczów, którzy postanowili miło spędzić popołudnie, a wdepnęli w sam środek awantury. Mieszkańcy pobliskich apartamentów oraz pracownicy okolicznych biur zostali uprzedzeni, że mają nie wyściubiać nosa z czterech ścian, a nawet trzymać się z dala od okien. Oczywiście ostrzeżenia odniosły wręcz odwrotny skutek i teraz każdy, kto mógł, stał przy oknie, nie chcąc uronić nic z mającej się odbyć akcji. Najwięksi szczęściarze widzieli siedzącego samotnie smutnego starszawego



mężczyznę, który trzymał coś w ręce — czyżby kieliszek? Za oknami rozlegały się podniecone szepty:

— Kto to? Co on tam robi? Co się dzieje?...

McGrath zakończył przygotowania do zdjęcia porywacza takim czy innym sposobem. Jaguarzy byli gotowi do działania. Kiwali do siebie głowami i potwierdzali gotowość przez krótkofalówki.

441

Tommy Malone pogłodził swoje radyjko. Dopalał właśnie cygaro, w butelce zostało nie więcej niż na pół kieliszka, reszta wina mile rozgrzewała mu wnętrze. Nareszcie było mu ciepło. W krzakach naprzeciwko coś się poruszyło i Tommy sięgnął po pistolet.

McGrath obserwował go bardzo uważnie, hamując swoich ludzi do ostatniej chwili. Palce Jaguarów spoczywały niecierpliwie na spustach automatów. Wszyscy czekali, żeby tylko porywacz dał choćby najmniejszy pretekst do użycia broni.

— Przerwywamy program — odezwał się nagle prezenter radiowy — aby podać państwu najświeższe wiadomości. — Malone słuchał jednym uchem, zbyt skoncentrowany na przybliżających się do niego cieniach. — Z komendy policji dotarły do nas informacje, że w więzieniu Mountjoy doszło do incydentu, w który zamieszany był aresztowany wczoraj Sam Collins, jeden z gangu porywaczy próbujących wymusić okup za syna Harry'ego O'Briena. Jak dotąd nie ogłoszono oficjalnego raportu, jednakże już teraz możemy państwu przekazać, że osadzeni skazańcy wystąpili przeciwko Collinsowi i dotkliwie go pobili, tak że konieczne było przeniesienie go do więziennego szpitala, gdzie właśnie przechodzi skomplikowaną operację głowy. Proszę nie wyłączać odbiorników, ponieważ nasi reporterzy już są na miejscu zdarzenia i zbierają dodatkowe materiały w tej sprawie. Przedstawimy państwu wyczerpujący reportaż o pełnej godzinie... Treść wiadomości w końcu przedarła się do otumanionej świadomości Malone'a, który najpierw opuścił głowę i zapatrzył się tępo we własne stopy, po czym nagle spojrzął do góry. Cienie tymczasem jeszcze się przybliżyły, tylko na moment odrywając się od krzewów i pni drzew. Tommy Malone słyszał wyraźnie trzask łamanych gałązek i chrzęst żwiru.

Przybywają, żeby mnie ukrzyżować — pomyślał raz jeszcze. —

Ukrzyżują mnie, jeśli mnie złapią...

- Jeśli mnie złapią powtórzył szeptem.

Wolnym ruchem podniósł rękę, w której trzymał pistolet, i włożył lufę do

ust. Przez ułamek sekundy czuł metaliczny smak.

Jack McGrath rzucił się do przodu.

— Jezu Chryste!...

442

Przez ułamek sekundy spoglądali sobie prosto w oczy.

McGrath zaczął biec.

— Nie! Nie rób tego!

Przez ułamek sekundy Tommy Malone patrzył, jak inspektor biegnie ku niemu, krzycząc, i poczuł, jak nagle ogarnia go potworne zmęczenie.

Przez ułamek sekundy inspektor McGrath widział w oczach Tommy'ego totalną rezygnację.

Malone potrząsnął lekko głową.

Nie powstrzymasz mnie — powiedział w myślach. — Zamierzam się w końcu wyspać...

Pociągnął za spust.

Nim McGrath pokonał pierwszy metr, rozległ się huk wystrzału.

XLVI

Godzina 17.03

Parę minut po piątej po południu w dzielnicy Greystones policja wyłamywała drzwi w budynku numer trzydzieści trzy wznoszącym się przy Roselawn Heights. Patrol przybył na miejsce po tym, jak Sharon bez skutku obeszła domek dokoła, zaglądając w okna, dobijając się do drzwi od frontu i od tyłu i przez cały ten czas nie widząc śladu matki. Zaniepokoiło ją to, że firany i zasłony były zaciągnięte tak, jak Betty nigdy by ich nie zostawiła, wychodząc z domu. Ale jej samochodu także nigdzie nie było widać. Coraz bardziej zmartwiona Sharon popytała sąsiadów i chyba po raz pierwszy w życiu podziękowała w duchu za wścibstwo Nory Nebby, mieszkającej dwa domy dalej. Która tym razem wypatrzyła, jak Tommy Malone wsiada do auta Betty i odjeżdża nim w siną dal.

Ale dlaczego nie zadzwoniła pani na policję? — dociekała Sharon.

Bo to nie mój interes, kto wychodzi z domu twojej matki odparowała Nora, w której słowniku nie było frazy: „to nie mój interes”.

Wzruszywszy ramionami, Sharon wezwała policję i po dziesięciu minutach pod dom Betty Nolan podjechał radiowóz. Jego kierowca wypatrzył przez okno od kuchni coś, co wyglądało mu na kobiecą nogę. Sharon zgodziła się na wyłamanie drzwi, nie wierząc jednak sokolookiemu glinie. Rychło się przekonała, że rację miał on, a nie ona,

czemu dała wyraz drąc się wniebogłosy. Tkwiąca w otwartym pomimo mrozu oknie Nora Nebby omal nie dostała zawału serca. Że też ominęło ją coś tak interesującego!

444

Funkcjonariusze policji powiadomili o wszystkim centralę i poprosili o przysłanie Noela Dunne'a. Jak gdyby stary koroner nie miał dość zajęć, stojąc wraz z inspektorem McGrathem nad stygnącym ciałem Tommy'ego Malone'a. Pograżony w popołudniowym mroku park przy placu Merrion oświetlały teraz silne reflektory, a ławka, którą wybrał sobie Tommy, zdążyła już zostać odgradzona od reszty skweru.

Noel Dunne przytykał swoją komórkę do ucha i wysłuchiwał wstępnego raportu z miejsca zbrodni w Greystones, kiwając głową i zadając pytania, podczas gdy jego oczy próbowały przeniknąć ciemności wokół. Wydał kilka krótkich poleceń i sprawdzwszy, która jest godzina, podał przewidywany czas pojawienia się na miejscu. Odwrócił się do Jacka McGratha, wspominając, ile razy przedtem w podobnych sytuacjach u jego boku stał Tony Dowling. Koroner wiedział, że byli partnerami od dawna i że wyrobili coś, czym może poszczycić się niewiele par detektywów — niezwykłą skuteczność wskutek zgrania myśli i działań. Miał również w pamięci martwe ciało Tony'ego, na którym przeprowadził autopsję tego ranka w szpitalu w Merrion. Wszystko to razem sprawiło, że w Dunnie coś pękło. Od bardzo dawna wiedział, że w pracy musi bronić dostępu ludzkim uczuciom, ponieważ w przeciwnym razie nie będzie miał po co wstawać rano z łóżka, a jednak widok Tony'ego Dowlinga, z którym nieraz żartował, spreparowanego jak żaba na sekcyjnym stole, ugodził go prosto w serce.

Inspektorze? — McGrath odwrócił się ku mówiącemu. -Pragnę panu powiedzieć, jak bardzo mi przykro z powodu śmierci pańskiego partnera... - McGrath milczał, próbując podziękować oczami i nie umiając zmusić warg i krtani do sformułowania podziękowań na głos.

— I inspektorze... — tym razem Jack popatrzył Dunne'owi prosto w oczy — nie wydaje mi się, żeby doktor Lynch uciekł z kraju, tak jak sugerują media...

Nie mówiąc nic więcej, Noel Dunne schylił się po swoją torbę i ruszył w kierunku wozu, który miał go zawieźć ku następnej ofierze, ku następnej nierozwiązanej zbrodni.

— Mnie też nie! — zawołał za nim inspektor McGrath.

Dunne wsiadł do samochodu, moszcząc się na tylnym siedzeniu i

wciągając za sobą torbę. Zatrzasnął drzwi, lecz zanim dał sygnał do odjazdu, opuścił jeszcze okno i krzyknął:

445

On znowu uderzy! Może mi pan wierzyć. Tacy jak on nigdy nie przestają... McGrath gładził się w zamyśleniu po włosie, patrząc za odjeżdżającym autem.

Lesley Cairns z Southside Properties wpatrywała się w pierwszą stronę „The Daily Post”, zanim jej wzrok przykuł „The Irish Times”, a następnie „The Star” i „The Irish Independent”. Wszystkie te tytuły przychodziły codziennie z pocztą i były wykładane na ladzie recepcji dla klientów, którzy oczekiwali na spotkanie, i na ogół ich pierwsze strony nieco się różniły. Tego dnia jednak każda z gazet zamieściła tuż pod winiętą dwa olbrzymie zdjęcia: Tommy'ego Malone'a i doktora Deana Lyncha. Panna Cairns nie patrzyła na fizjonomię świętej pamięci Tommy'ego. To ta druga twarz wywołała w niej irytujące przekonanie, że ją zna.

Aczkolwiek mężczyzna, którego przyjęła w swoim biurze i któremu wynajęła mieszkanie, ani trochę nie wyglądał tak, jak go opisywano w artykule. Miał jednak te same oczy; właśnie te oczy Lesley Cairns zapamiętała najlepiej, gdyż to one ją zaniepokoiły, kiedy w nie spoglądała. I po dziś dzień ją prześladowały we snach. Na wszelki wypadek przeczytała opis raz jeszcze. Ale jej klient nosił przecież okulary... No to dlaczego w takim razie widziała jego oczy tak dokładnie, jakby nie przesłaniały ich żadne dioptrie, ani ujemne, ani dodatnie? Były zabójczo wyraźne... tak właśnie: zabójczo. I napędziły jej strachu. Ale on najmował mieszkanie dla jakiegoś Anglika...

Lesley Cairns podniosła słuchawkę i wybrała numer apartamentu w Booterstown. Bulka z masłem — myślała. Jeśli telefon odbierze ktoś mówiący z angielskim akcentem, zapytam, czy jest zadowolony z mieszkania, pożyczę mu miłego pobytu i zaproszę, żeby skorzysta! z naszych usług w przyszłości...

Telefon dzwonił i dzwonił, aż sygnał ze zwykłego przeszedł w zajęty. Panna Cairns wybrała ten sam numer ponownie i znów odczekała, dopóki nie usłyszała sygnału zajętości. W wynajętym przez nią apartamencie nikogo nie było. Odłożyła słuchawkę na widełki i wzięła do ręki „The Daily Post”. Przysunęła gazetę do oczu. Nie, to chyba jednak nie on... uznała dla świętego spokoju. — Choć z drugiej strony... W rzeczywistości nie była pewna,

ale wciąż gnębiło ją spojrzenie tamtych oczu. I świadomość, że rozmawiała twarzą w twarz z... Bała się nawet skończyć tę myśl. Poza tym po co jej były kłopoty? O ileż łatwiej było machnąć ręką i nie angażować się, unikając ciągnięcia po komisariatach i sądach...

Autokar wiozący drużynę Anglii przeciskał się przez gęstniejący tłum zmierzający ku stadionowi przy Lansdowne Road. Ciągnęły się za nim obelżywe okrzyki i gesty, choć sporadycznie zdarzył się i wiwat, i gest zwycięstwa. Zdecydowanie więcej jednak było nieprzyjaznych okrzyków i wystawionych w górę środkowych palców. Na stadionie mieli się znaleźć Irlandczycy i niewielka grupa prawdziwych angielskich kibiców, których na ogół łatwo było utrzymać w ryzach. Mimo to policja i ochrona obiektu dopilnowały, by dwa obozy nie uległy przemieszaniu. Szeroką falą napływali ku stadionowi — autobusami, taksówkami i prywatnymi autami - młodszy i starsi mężczyźni ubrani w zielone koszulki i zielone swetry, z owiniętymi wokół szyi zielonymi szalikami. Podążając pieszo ku wejściom, skandowali: „Wi-wat Ir-lan-dia, nie-zwy-cię-żooo-na!”. Angolicy sunęli wąską strużką.

Drużyna Irlandii znajdowała się już na stadionie, zawodnicy robili sobie rozgrzewkę. Atmosfera panowała gorąca. Piłkarze znaleźli się pod taką presją, że jeden czy dwóch czuło, iż jak tylko rozlegnie się gwizdek sędziego, rozpocznie się nie mecz, a prawdziwa walka. Futbol, nie futbol — myśleli — pokazać gnojom, gdzie ich miejsce, trzeba. Tylko nas na nich wypuście...

Autokar zbliżył się do stadionu i jak na komendę otworzyła się główna brama, by wpuścić go do środka. Otworzyła się, połknęła pojazd i z powrotem się zamknęła. Tom Dalzell po prostu nie mógł się doczekać. Od dawna marzył o tym dniu, kiedy to po raz pierwszy miał zagrać przeciwko Irlandii, kolebce terrorystów z Irlandzkiej Armii Republikańskiej zdaniem jego ojca, służącego w SAS. „Jak będziesz kopał piłkę, synu” — mówił mu staruszek, nim Tom udał się w tę podróż — „pomyśl sobie, że to głowa którejś z tych szumowin, jakie próbowały mnie tyle razy zabić.” A tak się złożyło, że Tom Dalzell był najlepszym napastnikiem i teraz znalazł się na terenie wroga. Jego nogi aż rwały

się do akcji. Kiedy autokar zniknął za bramą stadionu, Tom złapał Union Jacka i pomachał nim do gęstniejącego tłumu. Na fladze

wypisał wcześniej wielkimi literami: SAS. Skrót oznaczał Special Air Service i wywoływał u Irlandczyków wysypkę. Dalzeli nie poprzestał na tym. Zanim brama zamknęła się całkiem, złożył palce prawej dłoni w charakterystyczny, zrozumiały tylko na Wyspach gest, który kiedyś Margaret Thatcher pomyliła ze słynną i niewinną literą „V”. Mała grupka rozwścieczonych do białości Irlandczyków wyrwała się z ciżby i pogoniła za autokarem, łaknąc krwi Angoli. Na szczęście dla tych ostatnich obiekt był dobrze pilnowany i ochrona zdołała odgonić chuliganów, nim przedostali się na teren stadionu. Trybuny powoli zapełniały się. Parę minut przed siódmą potwierdzono, że na koronie stadionu znalazło się około dwudziestu dwóch tysięcy Irlandczyków i około siedmiu tysięcy Anglików. Razem trzydzieści tysięcy prawdziwych kibiców, chcących obejrzeć mecz i podziwiać fair play. Ci, którzy pozostali poza bramami, niewiele mieli wspólnego z futbolem, a tym bardziej zasadami gry fair. Policja została uprzedzona, że mogą być kłopoty. Na stadionie przewidziano obecność dwu setek w pełni uzbrojonych policjantów z oddziałów prewencyjnych; byli wyposażeni w tarcze i długie pałki, hełmy i osłony balistyczne.

W boksach dla mediów znalazło odbicie zainteresowanie spotkaniem Irlandia--Anglia na całym świecie. Wśród dziennikarzy byli zarówno krajanie obu drużyn, jak i przedstawiciele prasy i telewizji innych państw. Reprezentowani liczniej niż zazwyczaj przy takich okazjach dlatego, że wydarzenia ostatnich dni ściągnęły do Dublina zagranicznych komentatorów śledzących sprawę porwania dziecka najbogatszego człowieka na Szmaragdowej Wyspie.

— Wszyscy spodziewamy się wspaniałego widowiska oraz tego, że nam oraz temu miastu zostaną oszczędzone chuligańskie wybryki — mówił podekscytowanym tonem reporter sieci RTE. Była to poprawna politycznie rzecz do powiedzenia; gdyby wysłannicy pozostałych stacji myśleli tak samo, zostaliby w hotelach i obejrzeli mecz w telewizji.

448

Godzina 18.53

— Mamusia? To ty, mamusiu?

— Cześć, Rory... — Łzy płynęły ciurkiem po twarzy Kate. — Tak, to ja, synku.

— Mamusiu, gdzie ty byłaś? Dziadek powiedział, że jak wrócimy z zoo, będziesz czekać na nas w domu...

- Rory, posłuchaj... Mamusia miała mały wypadek i musiała pójść do

szpitala na parę dni, ale już niedługo stąd wyjdzie i wróci do domu, do ciebie i dziadka...

Nawet gdy mówiła, słyszała, że po drugiej stronie linii jej mały chłopiec płacze. Rory, nie, mam dosyć cierpienia, nie dokładaj mi, proszę — myślała. W końcu powiedziała na głos:

Rory, nie płacz. Pan doktor powiedział, że będę mogła wrócić do domu już jutro albo najpóźniej pojutrze.

— Mogę przyjść cię odwiedzić, mamusiu?

Dzisiaj raczej nie. Jest zbyt późno. Jestem bardzo zmęczona, wiesz... Daj mi się wyspać i sam też idź wcześniej spać, a jutro dziadek cię do mnie przyprowadzi. Co ty na to? — Przycisnęła słuchawkę mocniej do ucha, czując w piersi klucie, ale usłyszała tylko stłumiony szloch i próby uspokojenia dziecka podejmowane przez jej ojca, z niewielkim skutkiem oczywiście. - Rory, słyszałeś, co powiedziałam? — Wydało jej się, że słyszy ciche i niepewne „t-tak”.

Kontynuowała więc: — Posłuchaj, jeśli będziesz grzecznym chłopcem i nie będziesz naprzykrzał się dziadkowi, być może jak wrócę do domu, kupię ci pieska.

Spodziewała się okrzyków radości, podziękowań, lecz nic takiego nie nastąpiło. W słuchawce zapanowała głucha cisza. Rory był zbyt mądry, by dać się łatwo nabrać. Choć wciąż marudził o pieska, zdążył się już pogodzić z tym, że nigdy go nie dostanie. Nagła zmiana zdania u matki wywołała w nim konsternację, by nie powiedzieć: panikę. W swoim czteroletnim umyśle dodał dwa do dwóch i wyszło mu, że coś jest nie tak. Bardzo nie tak.

— Mamusiu, tobie naprawdę nic nie jest?

— Oczywiście, że nie, skarbie...

Mam tylko założony drenaż między żebrami, odsysają mi krew z opłucnej, w zgięciach obu łokci mam zainstalowane cho-

449  
lerne wenflony, straciłam półtora litra krwi, mam w ciele trzy dziury, ale nigdy nie czułam się lepiej — dodała w myślach, czując, że po twarzy dalej spływają jej łzy. Przepęłniała ją gorycz, złość i smutek.

— Mamusiu... — zaczął ostrożnie Rory — a kiedy ty wrócisz do domu?

— Jutro, skarbie. Jutro już będę w domu.

XLVII

Godzina 19.00 Szpital Merrion w dzielnicy Sandymount w Dublinie  
Szpital Merrion został wybudowany w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku w miejscu, gdzie wcześniej były pola, i przyjął

pacjentów i lekarzy z kilku rozpadających się w gruzy placówek, które służyły dublińczykom od stuleci. Było to oczko w głowie ministerstwa zdrowia, chluba Dublina i od pewnego czasu instytucja, gdzie tylko najlepsi specjaliści mieli zagwarantowaną umowę o pracę. Była to zarazem klinika, w której szkolono studentów medycyny i stażystów oraz w której praktyki odbywały pielęgniarki z zaprzyjaźnionej szkoły pielęgniarstwa. Merrion wiodł prym na polu chirurgii, transplantacji, onkologii i radiologii diagnostycznej. W środę dziewiętnastego lutego prowadzono tam kampanię mającą na celu zebranie funduszy na dokończenie nowego skrzydła, w całości poświęconego intensywnej terapii. Na razie OIOM znajdował się na ostatnim piętrze pięciopiętrowego budynku przypominającego na planie literę „k” z alfabetu Morse'a: Oddziały mieściły się po lewej i po prawej głównego holu w formie walca, gdzie także można było znaleźć windy, główną rejestrację, stołóvkę, sklepik z kwiatami, kiosk z gazetami i książkami. Za windami ciągnęła się klatka schodowa, którą również można było się dostać na wszystkie piętra. Na każdym poziomie przewidziano wyjście bezpieczeństwa prowadzące do drugiej, awaryjnej klatki schodowej, przylegającej od tyłu i od zewnątrz

451

do wspomnianego walca. Odnowiona niedawno izba przyjęć zajmowała część parteru lewego skrzydła oraz wzniesiony specjalnie na jej użytek niższy budynek połączony z walcem za pomocą długiego korytarza, tak że można się tam było dostać zarówno od frontu, jak i od tyłu, co rozwiązywało problem parkowania karetek. Symetrycznie po prawej stronie analogiczne pomieszczenia zajmowała radiologia diagnostyczna, tak że pacjenci mogli zostać prześwietleni, nim jeszcze z izby przyjęć trafili na oddział, co z kolei oszczędzało czas wszystkich i ochraniało najciężej chorych przed niepotrzebnym kursowaniem w tę i w tę.

W Czarną Środę OIOM nie powinien być istnieć ani tym bardziej mieścić się na ostatnim piętrze, ponieważ poziom ten przewidziano w celach gospodarczych, a w planach szpitala z pięćdziesiątego czwartego roku w ogóle nie brano pod uwagę oddziału intensywnej terapii. W miarę rozwoju medycyny oraz pozyskiwania funduszy na rozbudowę szpitala zaczęto poważnie myśleć o trzecim skrzydle, w pełni nowoczesnym i technicyzowanym, gdzie poświęcano by się ratowaniu ludzkiego życia w sytuacjach kryzysowych, do czego w



dzisiejszym świecie, przy wysokiej wypadkowości i zachorowalności na przykład na choroby serca, coraz częściej sprowadzała się opieka medyczna. Tymczasem prowizoryczny OIOM zajmował ostatnie piętro, upośledzone pod każdym względem. Wskutek rozpoczętych i niedokończonych prac remontowo-budowlanych odcięto dostęp do obu klatek schodowych, tak że piąte piętro osiągało się wyłącznie za pomocą windy.

Wieczorem w Czarną Środę naprzeciwko jej drzwi siedział uzbrojony w broń półautomatyczną funkcjonariusz oddziałów specjalnych policji, mający za zadanie chronić zdrowie i życie sierżant Kate Hamilton. Każdy, kto chciałby wejść na ten oddział, musiał wysiąść z windy, zostać zauważony przez policjanta, wylegitymowany, a w razie konieczności także przeszukany — takie były wyraźne rozkazy samego komendanta Quinlana, który dbał o swoich ludzi.

Za plecami funkcjonariusza rozciągał się trzydziestometro-wy korytarz, w którego połowie, po prawej stronie, otwierały się drzwi na dużą salę z kilkoma łózkami obstawionymi sprzętem medycznym. Tak wyglądał prowizoryczny oddział intensywnej

452

opieki medycznej, z którego okien widać było postępujące prace nad postawieniem trzeciego skrzydła, prostopadłego do dwóch już istniejących. Było na nim wszystko to, co niezbędne do ratowania życia: urządzenia EKG i EEG monitorujące pracę najważniejszych narządów, maszyny tłoczące powietrze w płuca tych, którzy z jakichś powodów utracili tę podstawową dla żywego organizmu zdolność, a jednak trzymali się przy życiu, stojaki z kroplówkami gotowymi w każdej chwili do użycia, monitory wskazujące tętno i ciśnienie krwi oraz poziom tlenu i innych gazów w krwiobiegu, rurki, przez które do organizmu ściekały życiodajne płyny i z których wyciekały zbędne produkty przemiany materii, próbówki, do których zbierano płyny ustrojowe, by przesłać je do badań, et cetera, et cetera.

Dokładnie naprzeciwko wejścia na OIOM znajdowała się inna, mniejsza — bo tylko na dwa łóżka — sala, w której pacjenci oczekiwali na przeniesienie na zwykły oddział bądź wypisanie do domu. Pierwotnie był to zwykły schowek na szpitalne sprzęty.

Każdy pacjent, który trafił na OIOM szpitala Merrion, wychodził zeń z przystankiem w tej właśnie małej salce bądź w kostnicy mieszczącej się w podziemiu pod radiologią.

Za główną salą znajdowała się dyżurka pielęgniarek. Ona także nie

epatowała wielkością; pomieścić mogła tylko biurko, telefon i tablicę z alarmami popodłączanymi do wszystkich urządzeń przy wszystkich łózkach w obu salach na tym piętrze. Na końcu korytarza, tuż przed odciętą klatką schodową, była klitka, w której pielęgniarki i lekarze robili sobie herbatę, kawę i kanapki. Oprócz stołu zmieścił się tam jeszcze mały telewizor, parę krzeseł i kozetka. W Czarną Środę na poziomie piątym szpitala Merrion oprócz uzbrojonego policjanta były tylko dwie pielęgniarki, siostra oddziałowa i jedna salowa, a także ubrana w pielęgniarski fartuch funkcjonariuszka oddziałów specjalnych. Na OIOM-ie leżała tylko Kate Hamilton. Jest stan był stabilny i z całą pewnością nie zagrażał bezpośrednio jej życiu. Płuco udało się uratować, zastosowana terapia poskutkowała i dreny miały być zdjęte następnego ranka, równocześnie z wenflonami, co do których pozostawienia upierał się Sean Kavanagh. Kate nadal odczuwała ból, jednakże nie tak

453

silny jak poprzedniego dnia; zmęczona przeżyciami kobieta spała, śniąc o ścigającym ją Deanie Lynchu. Nawet tutaj, w szpitalu, straszyły ją jego przepelnione nienawiścią oczy.

Punktualnie o dziewiętnastej, w chwili gdy Tom Dalzell wykonywał efektowną główkę, niecały kilometr od stadionu Dean Lynch siedział w cacku Donniego zaparkowanym na szpitalnym parkingu. Na jego kolanach leżał blok listowy formatu A4 z odwiniętą okładką. Lynch bazgrząc uzupełniał listę. Przekreślał stare nazwiska i dopisywał nowe, zmieniał ich kolejność w zależności od ważności, jaką im nadawał w danym momencie.

Dean Lynch zamierzał bowiem wyrównać nareszcie wszystkie rachunki. Na szczycie listy znajdowała się oczywiście sierżant Kate Hamilton.

— Ona będzie pierwsza, to pewne — mamrotał do siebie w ciemnościach, rozjaśnianych tylko przez słabe światło ksenono-wych wysokich latarni. — Na drugi ogień pójdzie ta mała dziwka z Centry na Baggot Street... — Młoda kasjerka z supermarketu wydała mu raz źle resztę, po czym kiedy się zaczął wyklócać, wezwała kierownika. Wszyscy się wtedy na niego gapili jak na zawalidrogę i wydrwigrosza, któremu żal paru drobniaków. — Potem zajmę się Bredą Mullan. O jeden raz za dużo nadepnęła mi na odcisk. Zasłużyła sobie na życie pełne bólu. Nie, wróc... Zasłużyła sobie na śmierć pełną bólu... — Uśmiechnął się do siebie na tę subtelną zmianę we frazeologii. — A jak zostanie mi jeszcze trochę czasu, złożę ponowną

wizytę Donniemu. Czemu by nie... Obwiążę mu łańcuch wokół szyi i będę zaciskał tak długo, aż gały wyjdą mu na wierzch... Tak, głupi skurwiel dostanie za swoje...

Zamilkł i oderwał długopis od papieru. Spojrzał na budynek szpitala, powiódł wzrokiem po jego elewacji, aż dosięgnął ostatniego piętra, oświetlonego jak choinka. Tam leżała jego pierwsza w kolejności ofiara.

— Nie wywinie mi się — mruzczał, stukając długopisem w blok listowy.

— Wyczekam na właściwy moment i wtedy nic mnie już nie odwiedzie... Zorientują się, gdy będzie za późno, gdy dawno będzie po wszystkim... — Uśmiechnął się drapieżnie i przełknął ślinę. —

Znam się na szpitalach, zwłaszcza na takich

454

jak ten, dużych. Pracowałem tylko w takich... Czuję się w nich jak ryba w wodzie...

W molochach podobnych do Merriona personel był zbyt liczny, by każdy znał każdego. Poza tym następowała tam ciągła rotacja kadr.

Lekarze przyjmowali się do pracy i zwalniali, najczęściej robiąc specjalizację i szukając lepszej posady albo po prostu nie wytrzymując presji. Średni okres zatrudnienia to pół roku, niektórzy lekarze pracowali jeszcze krócej, odchodząc nagle i bez zachowania okresu wypowiedzenia. Wtedy na gwałt szukano zastępstwa, choćby tymczasowego, na kilka czy kilkanaście tygodni. Zanim taki ktoś dał się poznać, już go nie było i w jego miejsce pojawiał się ktoś nowy. Ledwie zapamiętana twarz znikwała i nazajutrz w tym samym fartuchu po tym samym oddziale ze stetoskopem w kieszeni chodził kto inny. Tak, Dean Lynch wiedział wiele o szpitalach, w tym o szpitalu Merrion, gdzie odbywał praktykę studencką. To tam po raz pierwszy wziął do ręki skalpel, by pod czujnym okiem doświadczonego chirurga otworzyć powłoki żywego, uśpionego tylko ciała. Dobrze pamiętał ten dreszcz, który go wtedy przeszedł od stóp do głów, a który jego mentor zinterpretował jako obawę spowodowaną szacunkiem dla pacjenta i jego rodziny.

Tam coś zacząłem — pomyślał — i tam coś dokończę. Nie wiedzą o tym jeszcze, ale wkrótce się dowiedzą...

Miał tylko nadzieję, że tym razem ciało, muśnięte przezeń ostrzem, nie będzie leżeć bez czucia i bez ruchu, otepione aneste-tykami, lecz będzie się wic, szarpać i stawiać opór, walcząc o życie. Zależało mu, by ta ostatnia podróż, którą podjął, nie okazała się

daremna.

Dziś w nocy znów zabiję — cieszył się w duchu, śmiejąc się z ofiary i wszystkich tych, których wystrychnie na dudka.

Już dziś w nocy... zabiję...

W tym szpitalu... na piątym piętrze...

Do zobaczenia, pani sierżant Hamilton...

Wziął się w ryzy; teraz czekało go pilniejsze zadanie do skończenia. Jego lista. Kogo jeszcze powinien na niej umieścić?

Nagle wpadło mu do głowy następne nazwisko. Zapisując je niewyraźnym charakterem pisma, kątem oka dostrzegł, że pod szpital podjechał wóz policyjny. Wyjrzał przez okno i patrzył, jak  
455

ktoś z niego wysiada. Postać wydała mu się lekko znajoma, ale w panujących wokół ciemnościach nie był w stanie rozpoznać, kto to. Wzruszył ramionami. Co za różnica — pomyślał. — Mój plan jest doskonały i nikt ani nic go nie zepsuje. Albowiem nie ma to jak starannie zaplanowane działanie. Przemyślane do najdrobniejszego szczegółu. Nigdy jeszcze żaden z moich precyzyjnych planów nie spalił na panewce. Począwszy od uduszenia ulubieńca wszystkich dzieci w sierocińcu, przyjaznego czarnego labradora. Wabił się Jet i teoretycznie należał do mojej oprawczyni. Tej, która zamieniła w koszmar moje dni w dzieciństwie i wszystkie następne noce do czasów, kiedy zostałem mężczyzną. Dałem jej nauczkę, dobierając się do skóry jej pieskowi i zwalając winę na kogoś innego. Ach, z jaką łatwością uwierzyła w moją historjkę...

W zimowych ciemnościach Dean Lynch powrócił myślą do wydarzeń sprzed lat.

Przez wiele dni oszczędzał herbatniki, które dostawali na podwieczorek w skąpych ilościach. Poprzednio pożerał je do ostatniego okruszka, wiecznie głodny, wiecznie szukający czegoś do zjedzenia, wiecznie coś pogryzający, ale teraz zyskał specjalną motywację — znacznie silniejszą od najpotężniejszego głodu. Znowu go zamknęła w schowku pod schodami. Zaciągnęła go tam wierzgającego i wrzeszczącego wniebogłosy i wepchnęła do środka, mimo że się zapierał, że ją błagał, że płakał. Jak zwykle nic jej nie wzruszyło.

Wyjątkowo przetrzymała go tam długo, bardzo długo; być może o nim zapomniała albo chciała ukarać go surowiej niż zazwyczaj —jakkolwiek było, siedział tam całymi godzinami, aż stracił rachubę czasu, aż nieomal zwariował ze strachu. Kiedy w końcu go

wypuściła, zobaczył jej uśmiechniętą gębę i bezmyślnie szczerzącego się i śliniącego labradora, którego leniwie głaskała za uchem, patrząc, jak mały chłopiec wychodzi z komórki na czworakach, z buzią mokrą od łez i umorusaną od kurzu. No więc po tym odmawiał sobie każdego najmarniejsze-go herbatnika, podczas gdy w jego umyśle krystalizował się plan zemsty. Tydzień mu zabrało odłożenie wystarczającej liczby ciastek. Uznawszy, że nadszedł czas, uderzył. Zwabił merdającego ogonem psa do szopy ogrodniczej położonej na tyłach głównego budynku, pokazując mu garść pełną  
456

połamanych herbatników. Tam dał mu parę kawałków, głaszcząc jedwabiste włosy na grubym karku dokładnie tak, jak ona to robiła. W ciemnościach szopy mały Dean słyszał oddech Jęta, czuł ciepło jego oddechu i wilgoć języka na dłoni. Nie widział go jednak ani nie potrafił dopatrzeć się w zwierzęciu podobnej do niego istoty. Po omacku objął psa za szyję obiema rękami, po czym zaczął go głaskać szybciej, coraz bardziej zacieśniając uścisk, aż w końcu splótł palce i trzymał je tak, dopóki nie ustały ostatnie drgawki.

To samo, nawiasem mówiąc, zrobił później Mary Dwyer.

Zabiwszy psa, przejechał po jego sierści rękawiczkami, które wcześniej znalazł w szafce Danny'ego Rogersa. Danny także go prześladował, zresztą Lynch miał z nim na pieńku i z innych powodów: jego oponent w przeciwieństwie do niego był wysoki i silny.

Lecz jak się okazało, Deano był odeń o wiele sprytniejszy.

Kiedy czarnowłosa i bladolica franca odkryła osierścione rękawiczki w szafce Rogersa, rozpętało się piekło. Złoczyńca został dla przykładu ukarany na oczach wszystkich dzieci. A Dean Lynch przez cały ten czas zachowywał kamienną twarz i robił zdziwioną minę, wydając się nieporuszony widokiem krwi płynącej po plecach i nogach skatowanego Danny'ego.

Na tym właśnie polegało piękno starannie opracowanych planów. Można było skrzywdzić kogoś i nie ponieść najmniejszych konsekwencji, piekąc dwie pieczenie na jednym ogniu.

Tom Morgan przekonał się o tym na własnej skórze.

Ją także dopadnę — zapewniał się w duchu Lynch. Przecież wszystko obmyśliłem jak trzeba...

Odczekał, aż pod izbę przyjęć podjedzie następna karetka.

No, czas na mnie — pomyślał i na głos dodał:

— Hej ho, hej ho, do pracy by się szło.

Wysiadając z samochodu, jeszcze raz zerknął na jasno oświetlony ostatni poziom budynku.

Strzeż się... Nadchodzi twoja nemezis...

457

Godzina 19.20

— Na każdym piętrze znajduje się uzbrojony policjant, klatka schodowa na tym poziomie została odcięta, tak że jest tylko jedno możliwe wejście. Wszystko mamy pod kontrolą. Bez naszej wiedzy nie prześlizgnie się tutaj nawet szpitalna mysz...

Inspektor McGrath wysłuchiwał raportu na temat zabezpieczeń mających chronić Kate Hamilton. Słowa doktora Dunne'a zaniepokoiły go nie na żarty; już wcześniej martwił się wystarczająco, ale to co powiedział Noel, fakt, że koronerzywil podobne jak on przekonanie, tylko spotęgowało jego obawy. Doktor Noel Dunne bowiem bardzo rzadko się mylił. Nieczęsto wtrącał się w dochodzenie, znając swoje miejsce i wiedząc, na czym polega jego zadanie. Tym razem jednak, podczas śledztwa prowadzonego na terenie szpitala, nie szczędził komentarzy, sięgając do swego wieloletniego lekarskiego doświadczenia. Co więcej, zdawał się rozumieć mordercę, sposób jego działania, jak mało kto. Było nie było. ostatnimi czasy przeprowadził trzy sekcje zwłok na trzech ofiarach Skalpela. I powoli zaczynał mieć tego dość. Morderca wodził policję za nos, to się ujawniając, to znów znikając jak nóż w wodę. W obecnej chwili był akurat niewidoczny.

I to chyba najbardziej martwiło Jacka McGratha. W końcu to on prowadził dochodzenie w sprawie morderstwa Mary Dwyer. I to on stracił swego wieloletniego partnera i najlepszego kumpla. Nie było czasu do stracenia; należało ująć sprawcę, nim zabije kogoś jeszcze. McGrath miał dość szpitali, lekarzy i widoku skalpeli zanurzonych po rękojeść w szyjach niewinnych ofiar.

— Piętnastu detektywów krąży po szpitalu, mieszając się z tłumem odwiedzających. Mają oko na windy i klatki schodowe na wszystkich czterech poziomach. Drań musiałby mieć zdolności Copperfielda, żeby przedostać się na ostatnie piętro.

Jack McGrath pogładził w zamyśleniu wąsa i ruszył w stronę sali, na której leżała Kate. Kobieta spróbowała się podnieść i uśmiechnąć, kiedy wszedł, i chciała nawet coś powiedzieć, ale Jack machnął ręką.

— Cii... Jestem tu służbowo. Sprawdzam, czy cię dobrze pilnują.

Skinęła z wdzięcznością i pozwoliła głowie opaść na poduszkę. McGrath dwukrotnie przeszedł całą długość korytarza, sprawdzając, czy sale, które powinny być zamknięte, są naprawdę zamknięte i czy pomieszczenia, które powinny być puste, rzeczywiście są puste. Usatysfakcjonowany oględzinami wrócił do Kate i wsunął jej coś pod przykrycie, lekko dotykając jej ręki.

— To powinno cię uspokoić — powiedział cicho.

Kate poruszyła lekko ręką, odnalazła wsunięty przedmiot, po czym potaknęła znużona.

— Jestem wykończona, Jack — szepnęła. — Chyba spróbuję się teraz przespać... — Nagle jej uszu dobiegł podniecony głos komentatora sportowego. Pielęgniarki w dyżurce również oglądały mecz. — Kto wygrywa? — spytała jeszcze.

— Anglicy. Jest jeden do zera — odpowiedział McGrath. Rzuciłem okiem na ekran, jak zaglądałem w każdą mysią dziurę na piętrze. Siostry mówiły, że mecz jest świetny. Chłopcy naporzają się aż miło...

Kate uśmiechnęła się z wysiłkiem, przymknęła oczy. Nie widziała, że brew McGratha marszczy się w skupieniu.

Zostawił ją samą i wyszedł na korytarz.

— Będę w stołówce. Może nawet obejrzę mecz do końca...

Funkcjonariusz siedzący naprzeciwko windy kiwnął głową.

Godzina 19.45

Kiedy piłka wpadła do irlandzkiej bramki, po wschodniej stronie stadionu wybuchły małe zamieszki. Policja zareagowała od razu.

Instrukcje brzmiały: w wypadku najmniejszych kłopotów reagować natychmiast i ostro. Oddziały prewencyjne tak właśnie postąpiły. W ruch poszły pałki i tarcze; najbardziej wojowniczy element został odgrodzony od reszty i zapędzony w kozi róg, w razie potrzeby używano czegoś więcej niż tylko siły masy ciała. Ekipy telewizyjne odpuściły na moment filmowanie meczu i skrzętnie utrwały na taśmie zachowanie kibiców i policji. Funkcjonariuszom trudno było ukryć radość z powodu możliwo-

ści wzięcia odwetu na tych, którzy jak wściekli zaczęli machać flagami Anglii, i to także zostało uwiecznione.

Za bramami stadionu stały karetki, w razie konieczności mające odwieźć do szpitala poszkodowanych. Pierwsze ofiary trafiły na izbę

przyjąć szpitala Merrion podczas przerwy meczu. Sygnał ambulansów słychać było z daleka, dlatego Dean Lynch był zwarty i gotowy do akcji. Przeszedł przez parking i przystanął przy pierwszej z brzegu karetce, z której już wytaczano nosze na kółkach. W zamieszaniu nikt nie zwracał uwagi na niewysokiego ciemnowłosego mężczyznę z cienkim czarnym wąsikiem i o dość masywnej posturze dzięki paru swetrom pod białym fartuchem. Kiedy z drugiego ambulansu wysypali się ratownicy medyczni i zaczęli się krzątać przy cięższej rannej ofierze, Lynch podszedł do ostatniej karetki i otworzył tylne drzwi. Miał szczęście. W środku siedziało paru wciąż przeklinających, a nawet zabierających się do rękoczynów fanów obu drużyn. Wybrał sobie jednego, z raną tłuczoną na głowie, po czym pomógł mu wsiąść i zaprowadził do poczekalni na izbie przyjęć. Tam usadził go na ławce i pobiegł po opatrunek i środki odkażające. W dalszym ciągu nie wzbudza żadnych podejrzeń.

Izba przyjęć zamieniła się w pole walki. Opanowało ją około dwudziestu kibiców Irlandii i Anglii ubranych w barwy narodowe i w różnym stanie — od drobnych skaleczeń, przez poważniejsze rany, do wstrząsów i urazów mózgu. W przeważającej części młodzi mężczyźni wrywali się lekarzom i pielęgniarce, chcąc zadecydować o wyniku meczu z dala od stadionu, tak że konieczna była pomoc ochrony. W przeciwnym razie ofiar spotkania Irlandia—Anglia byłoby znacznie więcej.

W końcu pracownikom szpitala udało się opanować sytuację. Ranni zostali rozdzieleni i umieszczeni za przepierzeniami, skąd dochodziły syki bólu, kiedy pielęgniarki samodzielnie opatrywały mniej poważne rany, wzywając lekarzy do cięższych przypadków. Ci i tak oglądali każdego, wydając dyspozycje i nadzorując pracę niższego personelu, który uwijał się jak w ukropie, biegając z wacikami, szwami, bandażami, strzykawkami i tym podobnymi utensyliami. Nie było czasu do stracenia. W każdej chwili przed szpitalem mogły pojawić się następne karetki, wypluwając ze swoich trzewi nowych amatorów futbolu.

460

— Skoro to dopiero połowa meczu, co nas czeka po jego zakończeniu?  
— zapytał ktoś.

Odpowiedziała mu cisza. Nikt nie odważył się spekulować. Nikt tak naprawdę nie znał odpowiedzi.

Wszyscy jednak mieli ją niedługo poznać. I nieludzko się przerazić.



Dean Lynch przechodził od przepierzenia do przepierzenia, robiąc swobodne wrażenie i wyglądając na równie zaaferowanego jak reszta personelu. Od czasu do czasu poprawiał na nosie druczane oprawki okularów. Został zapamiętany jako niewysoki jegomość przy kości, z wąsikami i okularami, całkiem przyjazny w odczuciu większości. Dwadzieścia minut trwało, zanim nadarzyła się sposobna okazja. Jeden z lekarzy zajął się pacjentem z rozbitą głową. Zanim zniknął za przepierzeniem, żeby zszyć ranę na głowie — niewątpliwie zadaną przez policyjną pałkę, niewykluczone, że w odwecie za bramkę dla Anglii — zdjął biały fartuch, który zamienił na zielony, chirurgiczny. To, że ktoś podprowadził mu wtedy plaketkę z nazwiskiem, odkrył dopiero nazajutrz. Sprawcą był oczywiście Dean Lynch, który schował cenne znalezisko w kieszeni swojego fartucha, po czym kontynuował obchód, czując się jak u siebie. Nie musiał długo czekać, aż znowu uśmiechnęło się do niego szczęście. Jeden z pacjentów został chwilowo pozostawiony sam sobie. Obok niego, na metalowym wózku, leżała tacka z narzędziami, w tym przygotowanym do akcji uchwytem skalpela. Ów przedmiot również zniknął w kieszeni Lyncha, który następnie wślizgnął się do małego pomieszczenia, gdzie trzymano nierozpakowane narzędzia. Stamtąd wyniósł garść skalpeli w sreberkach. Wszystkie rozmiaru dwadzieścia trzy — jego ulubionego ze względu na długość i wytrzymałość.

— Jaki mamy wynik? — zapytał lekarza, który również przyszedł po coś do kantorka.

— Jeden jeden. Micko wyrównał tuż przed przerwą.

— Fantastycznie — ucieszył się Lynch, gestem życząc koledze po fachu powodzenia przy zabiegu i wysuwając się na korytarz za izbą przyjęć, ku głównej części szpitala, a zarazem ku Kate Hamilton.

461

Godzina 20.00

Lesley Cairns nie cierpiała futbolu. Tego wieczoru była jedną z nielicznych osób w Irlandii, które nie oglądały meczu. Na samą myśl o piłce nożnej ogarniały ją mdłości. Wróciwszy po pracy do domu, nie włączyła zatem telewizora, tylko wzięła długą kąpiel, umyła włosy i dopiero potem zasiadła w saloniku, żeby obejrzeć wiadomości o ósmej.

Tommy Malone został uznany za zmarłego po tym, jak własnoręcznie strzelił sobie w usta na oczach ścigających go policjantów, doktor Dean Lynch natomiast nadal był poszukiwany. Brytyjska policja przestała

wierzyć, że przedostał się do Anglii na pokładzie promu linii Stena. Sprawdzone każde zgłoszenie i wyszło na jaw, iż wszystkie były naciągane. Piłka znów była po stronie Irlandczyków.

Dublińska komenda wydała stosowne oświadczenie, a technicy sprokurowali komputerowy wizerunek Lyncha. Tak mógłby wyglądać, gdyby

zechciał ukryć swoją prawdziwą tożsamość — mówił głos zza kadru, kiedy na ekranie przewijały się coraz to inne rysunki czy też zdjęcia, tego panna Cairns nie była pewna. Trzecie z kolei omal nie wyrwało jej z fotela i nie podniosło pod sam sufit.

— To on! — krzyknęła w stronę telewizora, jak gdyby prezenter mógł ją usłyszeć. — O mój Boże, to na pewno on!

Złapała za torebkę i wytrząsnęła na kolana całą zawartość w poszukiwaniu wizytówki, którą jej dał. Drżącymi rękoma wybrała numer w Southampton. Nie uzyskała połączenia. Zadzwoiła pod numer w Hammersmith. Również nic. Pośpiesznie sprawdziła to na informacji telefonicznej.

— Proszę się pośpieszyć, to bardzo ważne! — krzyczała.

jest pani pewna? Przepraszam, oczywiście, że pani wie, co robi... Chodzi tylko o to, że to niezwykle istotna sprawa... Zatem ma pani stuprocentową pewność? O mój Boże!...

Trzasnęła słuchawką i wybrała numer alarmowy.

— Z policją poproszę.

— Tutaj posterunek policji w dzielnicy Blackrock...

— Panie oficerze — zaczęła Lesley Cairns — być może się mylę, ale mam przeczucie, że...

462

Godzina 20.10

Trwała w najlepsze druga połowa meczu. Komentatorzy sportowi mieli gardła zdarte od przekrzykiwania ryku tłumu na trybunach.

Właśnie o piłkę walczyli Tom Dalzell i Dinno Regan, chluba drużyny Irlandii, „zawodnik wielu kontuzji, z których żadna nie dotyczyła jego osobiście” — jak to w zawołowanej formie ujął wysłannik BBC. Ostatnie minuty zaowocowały wieloma podbramkowymi sytuacjami, z których żadna nie przyniosła gola żadnej ze stron. Zanosilo się na remis i rzuty karne.

Siedząc na zamkniętym sedesie toalety na oddziale radiologii, Dean Lynch patroszył podprowadzoną młodemu chirurgowi plakietkę.

Ostrożnie podważył ostrzem skalpela plastik i wsunął pod spód zdjęcie

zrobione w centrum handlowym i przycięte do odpowiedniego rozmiaru. Obrócił plakietkę w palcach, przyjrzał się efektowi, pomanipulował jeszcze trochę, przesuwając fotografię tak, że znalazła się dokładnie w tym miejscu co trzeba, po czym przyklepał starannie plastik, upewniając się, że nigdzie nie odstaje. Poruszał całością na wszystkie strony. Idealnie. Plakietka wyglądała na oryginalną. Przypiął ją do górnej kieszonki fartucha, w której uprzednio umieścił parę długopisów, spuścił wodę i nucąc pod nosem, otworzył drzwi. Długo mył ręce nad umywalką, wzrokiem badając swoje nowe przebranie. Drgnął, kiedy drzwi do łazienki otworzyły się szeroko i do środka wszedł jakiś lekarz. Zmusił się, aby nie uciec i zostać, kończąc mycie rąk i susząc je pod suszarką wiszącą na ścianie obok. Starszy mężczyzna popatrzył na niego z ukosa i rzucił:

— Znosi się na ciężką noc, panie kolego.

— To prawda — uśmiechnął się cierpko i jakby nigdy nic dalej suszył dłonie.

Tamten kiwnął głową, otrzepał wilgotne palce i wyszedł na korytarz, pozostawiając Lyncha swoim myślom. Kiedy drzwi na powrót się zamknęły, odcinając go od szpitalnego zgiełku, uśmiechnął się szerzej. Pomyślnie przeszedł drugą próbę. Szybko opróżnił kieszenie spodni, umieścił wszystko w foliowym woreczku, który włożył za kaloryfer, po czym poklepał kieszenie fartucha. Miał tam wszystko co potrzebne: rączkę skalpela, ostrze

463

numer dwadzieścia trzy, bloczek recept, lekarską latareczkę i młoteczek do badania odruchów. O niczym nie zapomniał. Jego przebranie było doskonałe.

Wyjął z folii ostrze i podziwiając, jak błyska w świetle jaskrawych lamp, z uwagą zatknął je w uchwyt i naciskając na powierzchnię umywalki, upewnił się, że kiedy przyjdzie pora, będzie mógł wykonać pewne cięcie. Przenosząc wzrok od skalpela w ręce do swego odbicia w lustrze, nie wiedział, co powinien podziwiać bardziej.

Niech cię głowa o to nie boli, Deano — powiedział do siebie w myślach. - Dziś wieczorem ważne jest jedno i drugie. Bylebyś pozytywnie przeszedł próbę numer trzy...

Odchrząknął i splunął do umywalki, wziął kilka głębokich oddechów, przygotowując się do następnego kroku. Potem oderwał się od umywalki i od lustra, ukrył w kieszeni fartucha dłoń ze skalpelem, pchnął

drzwi wiodące na korytarz i wyszedł na zewnątrz.

Później podczas przesłuchania, któremu przewodniczył asesor Terence Kearney, sierżant Tom Delaney z posterunku w dzielnicy Blackrock wyjaśniał, dlaczego nastąpiła zwłoka w reakcji policji. Telefon odnotowano o godzinie dwudziestej dwanaście i niemal natychmiast wyznaczono patrol mający sprawdzić zgłoszenie. Były pewne problemy ze zgromadzeniem zespołu, ponieważ większość sił rzucono w okolice stadionu. Również z powodu odbywającego się meczu i zmian w ruchu drogowym w okolicy stadionu wydłużeniu uległa trasa przejazdu wozu patrolowego. W wozie znajdowało się nas czworo, włączając w tę liczbę mnie. Troje z nas było uzbrojonych w standardowe wyposażenie, to jest smithy & wessony kaliber .38 w pełni sprawne i gotowe do użycia w każdej chwili. Zgłaszającą Lesley Cairns zabraliśmy z parkingu przy hotelu Stillorgan Park, jak zostało umówione podczas rozmowy telefonicznej. Popatrzyłem wtedy na zegarek, była godzina dwudziesta trzydzieści. Wcześniej stanowczo zakazaliśmy zgłaszającej udawać się do wynajętego mieszkania na własną rękę. Pod apartamentowcem znaleźliśmy się dokładnie o dwudziestej czterdzieści dwie. Tak, jestem tego pewien, sprawdziłem czas na

464

zegarku ręcznym oraz na zegarze w samochodzie. Oba wskazywały tę samą godzinę...

Godzina 20.42

Tom Dalzell dostał czerwoną kartkę i musiał zejść z boiska, a za jego wyskok słono zapłaciła cała drużyna Anglii. Sędzia Per-dieux, Francuz, po niecałej półminucie wskazał miejsce, z którego miał zostać wykonany rzut karny. Na płycie boiska zawrzało.

Skurwiel sam mu się podłożył! — krzyknął ktoś za plecami sędziego, ale ów udał, że nie rozumie mowy Szekspira.

Przed angielską bramką budował się mur.

W tym samym czasie Dean Lynch przemierzał główny hol szpitala Merrion, kierując się w stronę wind. W prawym ręku trzymał dużą płaską, usztywnioną brązopomarańczową kopertę, w jakich przenosi się zdjęcia rentgenowskie. Skubnął ją w poczekalni oddziału radiologii. Na wierzchniej stronie grubym czarnym flamastrem wypisał nazwisko Kate Hamilton. Zewsząd dobiegały odgłosy z boiska przy Lansdowne Road. Nie było na terenie szpitala nie włączonego odbiornika telewizyjnego. Ci, którym nie wolno było ruszać się z

łóżka i musieli załatwiać potrzeby fizjologiczne do kaczek i basenów, siedzieli podparci o poduszki i z wypiekami na twarzy śledzili rozwój wypadków na boisku; ci, którzy nie mogli krzyczeć, szeptali słowa zachęty dla swoich, a ci, którzy nie mieli nawet siły szeptać, stukali palcami w stojaki od kroplówek, dodając w ten sposób otuchy „chłopcom”, będącym ostatnią nadzieją Irlandii na pokonanie Angoli.

— Cholerny zabojad! — powtarzała się opinia o monsieur Perdieux, podczas gdy Dalzella określano mniej wybrednym epitetem: — Brutalny skurwiel! — i wygrażano mu, mówiąc dosadnie, co by mu się stało, gdyby dorwały go łapy ciężko i obłożnie chorych.

W szpitalu powinien panować spokój. Nie powinno dochodzić do sytuacji takich jak ta, kiedy hałas i podniecenie wylewają się na korytarze. Z pewnością nie miało to wyjść na dobre Kate Ha-  
465

milton. Co do Deana Lyncha —jemu było na rękę, i to nawet bardzo. Winda na parterze została na moment spuszczonej z oka przez strzegącego jej funkcjonariusza. Tylko na moment, ale to wystarczyło Lynchowi. Kiedy uzbrojony policjant patrzył na ekran, w duchu dopingując mającego wykonać rzut karny piłkarza, Dean Lynch wślizgnął się do windy i wcisnął guzik z cyfrą „5”, ignorując ręczny napis przytwierdzony obok tablicy rozdzielczej za pomocą taśmy klejącej i głoszący:

**POZIOM PIĄTY NIECZYNNY DO ODWOŁANIA.**

Lynch obserwował zmieniające się cyfry nad drzwiami z kpiącym uśmiechem.

Asesor Terrence Kearney słuchał dalej:

Przed drzwiami do mieszkania stanęliśmy około dwudziestej czterdzieści pięć, przejście od samochodu na drugie piętro nie mogło nam zabrać więcej niż parę minut. Jako że ze środka dobiegały nas głosy z telewizora, nacisnęliśmy na dzwonek przy drzwiach kilkakrotnie, czekając na reakcję. Po mniej więcej minucie bez odzewu zaczęliśmy głośno pukać do drzwi. Na nasz znak panna Cairns wyjęła z torebki zapasowy komplet kluczy, będący na stanie agencji Southside Properties. Po tym jak otworzyła drzwi z klucza, wpadliśmy do wewnątrz. Dokładnie pamiętam, o której skończyliśmy przeszukiwanie apartamentu, ponieważ telewizor był wciąż włączony i komentator nadal narzekał, że nasi chłopcy stracili szansę na gola. knocąc rzut karny. To wtedy sierżant O'Casey dostrzegł pusty

pojemnik po farbie do włosów i rozrysowany plan szpitala Merrion.

— Co pan wtedy zrobił? — spytał asesor Terrence Kearney.

— Natychmiast powiadomiłem nasz zespół na terenie szpitala.

466

Godzina 20.47

Mur przed angielską bramką rozpadł się. Irlandczycy z największym trudem powstrzymywali się, żeby nie skoczyć do gardeł swoim przeciwnikom. Sędziowie mieli oczy dokoła głowy. Na trybunach znowu doszło do zamieszek. Policjanci z oddziałów prewencyjnych wkroczyli ponownie do akcji. Tom Dalzell wiwatował na ławce rezerwowych. W boksach dla mediów komentatorzy próbowali przewidzieć

wynik i konsekwencje spotkania. Kibice Irlandii powoli tracili ducha.

Winda dojechała na piąte piętro i drzwi się rozsunęły. Na korytarz wyszedł doktor Dean Lynch.

Ochrona to najnudniejsze zajęcie, jakie może dostać policjant. Ci z oddziałów specjalnych, którym przypada ono w udziale, uważają się za pechowców. „Dziewięćdziesiąt dziewięć procent nudy i tylko jeden procent akcji” — mawiają. Szkopuł w tym, by trafnie przewidzieć, kiedy owa akcja może nastąpić.

Funkcjonariuszowi, który strzegł windy na poziomie piątym szpitala Merrion, ta sztuka się nie udała. Pozbawiony możliwości obejrzenia meczu, nie całkiem zgodnie z przepisami słuchał transmisji przez słuchawki walkmana. Serce mu biło z podniecenia, w uszach szumiała krew. Całym sobą przeniósł się na płytę boiska, gdzie rozpaczano po utraconej szansie na wygraną. Równocześnie w angielskich domach słyszano:

— Dalzell dostał czerwoną kartkę niewinnie. To skandaliczna niesprawiedliwość odesłać zawodnika grającego fair na ławkę rezerwowych. Od dawna żaden sędzia nie wydał tak nieudanego werdyktu. Całą sytuację widać dokładnie w zwolnionym tempie. Zawodnik przeciwnej drużyny celowo wpadł tyłem na naszego Toma, widzi to każdy, kto ma dwoje oczu w głowie. Jednakże nie dostrzegł tego monsieur Perdieux, który w rzeczy samej był kilometr dalej, a sędziowie liniowi patrzyli w całkiem inną stronę. Hańba!...

\*

467

— Udało się panu uzyskać niezwłocznie połączenie?

— Niestety nie. Jakaś minutę trwało, nim na centrali ktoś odebrał.

— To chyba normalne, zwłaszcza w szpitalu tak dużym jak Merrion. Z pewnością dzwoni tam wiele osób...

— Być może, wysoki sędzio, ale w tamten wieczór każda sekunda zwłoki miała decydujące znaczenie... Tak czy inaczej, kiedy w końcu dodzwoniłem się, poprosiłem, by połączono mnie z OIOM-em.

— Z OIOM-em?

Tak, wysoki sędzio. To znaczy, chciałem powiedzieć: z oddziałem intensywnej opieki medycznej.

— Ach tak. I co było dalej?

— Linia wewnętrzna była zajęta.

— Oddział intensywnej terapii medycznej ma tylko jedną linię wewnętrzną? — Asesorowi Kearneyowi trudno było w to uwierzyć.

— Tego nie wiem, wysoki sędzio, ale centrala nie umiała mnie połączyć.

— Jak długo linia pozostała zajęta?

— Około siedmiu minut.

Siostra oddziałowa rozmawiała przez telefon z chirurgiem z izby przyjęć, który nalegał, aby przenieść na OIOM jednego pacjenta z poważnym urazem mózgu.

— Doktorze, to piętro jest wyłączone dopóty, dopóki ta policjantka nie zostanie wypisana. Przykro mi, takie mam polecenia od dyrekcji szpitala. Jestem osobiście za nią odpowiedzialna. Jeśli cokolwiek jej się stanie, równie dobrze mogę popełnić seppuku.

Ochroniarz nie poświęcił Lynchowi zbyt wiele uwagi.

Lekarz wyjął z koperty zdjęcie rentgenowskie, machnął nim policjantowi przed nosem i powiedział:

— Muszę sprawdzić jej drenaż międzyżebrowe.

Widząc, że strażnik ma w uszach słuchawki od walkmana, nie mówił nic więcej. Pozwolił, by jego wzrok prześlizgnął się po plakietce z nazwiskiem i ze zdjęciem, pokazał zawartość kieszeni.

468

Skalpel pozostał niezauważony, jako że Lynch przemyślnie ukrył go w środku bloczka z receptami.

Dean Lynch uśmiechnął się do ochroniarza, gdy ten aprobująco machnął nań ręką. Odwrócił się i zaczął iść korytarzem. Z każdym krokiem uśmiechał się coraz szerzej. Wyglądało na to, że nikt mu nie będzie przeszkadzał. Kto żyw, z wypiekami na twarzy czekał na końcowy wynik meczu.

Godzina 20.51

Rozległ się gwizdek sędziego. W tej samej chwili na angielskim polu

karnym rozpętało się piekło. Nie sposób było odróżnić nóg i rąk, i głów — z zawodników powstał wieloreki, wielonogi i wielogłowy potwór. Na trybunach kibice skoczyli sobie do gardeł. Oddziały prewencyjne miały masę roboty. Ekipy telewizyjne nie nadążały z rejestrowaniem na taśmie zejść na płycie boiska i wyżej, w sektorach, gdzie nagle goście wymieszali się z tubylcami, niwecząc sprytny plan organizatorów spotkania i nadzieje policji na ograniczenie liczby ofiar chuligaństwa i pałek stróżów porządku. W tymże czasie siostra oddziałowa wciąż tłumaczyła lekarzowi z izby przyjęć, dlaczego nie może przyjąć żadnego pacjenta na OIOM, a pozostałe pielęgniarki i wyglądająca jak one policjantka nie umiały oderwać wzroku od telewizora.

Dean Lynch zmierzał ku sali, na której leżała Kate Hamilton. Przez ułamek sekundy przyglądał się postaci leżącej na jedynym zajęтым łóżku spośród czterech stojących na sali ze specjalistycznym sprzętem do ratowania życia. Spod cienkiego szpitalnego przykrycia wystawała tylko mocno obandażowana głowa, po obu stronach łóżka tkwiły stojaki z kroplówkami, których rurki także ginęły pod przykryciem. Dwie inne rurki odchodziły od piersi leżącej osoby, w jednej znajdował się jakiś bezbarwny płyn, w drugiej wyraźnie było widać krew. Założona na twarz maska

469

tlenowa tłoczyła życiodajny gaz, dało się słyszeć charakterystyczne posykiwanie.

Dean Lynch uśmiechnął się. Dotarł do celu.

Postać nie drgnęła, kiedy wszedł na salę, ani też nie wykonała żadnego ruchu, kiedy się do niej zbliżał.

Co za szkoda - pomyślał — że nie będzie walczyć. Naprawdę wielka szkoda...

Sięgnął do kieszeni, wymacał ukryty pomiędzy pustymi receptami skalpel i zacisnął palce na uchwycie. Gdy wyjmował narzędzie, na ostrzu błysnęło światło odbite od silnych jarzeniowych lamp pod sufitem. Sunął ku swojej ofierze, oglądając się na drzwi, czy na pewno nikt mu nie przeszkodzi. Był już na tyle blisko, że widział zaparowaną od środka maskę tlenową, plamę krwi na bandażu, wysypujące się spod bandaża ciemne włosy...

Jednym zdecydowanym ruchem wyciągnął przed siebie rękę i poderznął ofierze gardło.

Głowa krawieckiego manekina odłączyła się od reszty gumowego ciała i



potoczyła po poduszce, spadając na podłogę, gdzie zatrzymała się u stóp Lyncha. Mężczyzna stał jak zahipnotyzowany, nie wypuszczając skalpela z dłoni i jeszcze nie do końca rozumiejąc, co się stało.

Dopiero po paru uderzeniach serca go olśniło.

Suka go wystrychnęła na dudka!

Następną sekundę później dostrzegł małe czerwone światełko migające przy oderzniętej głowie.

Jemu w głowie też zaświeciły się lampki.

Czerwone światełko było oznaką uruchomionego bezprzewodowego systemu alarmowego. Z chwilą jego włączenia powiadomieniu ulegali wszyscy znajdujący się na terenie szpitala detektywi i umundurowani policjanci czekający w nieoznakowanych wozach patrolowych zaparkowanych w pobliżu. Każdy, kto otrzymał powiadomienie, zamierał na ułamek sekundy, po czym zaczynał biec.

Posiłki nadbiegały z każdego zakątka szpitala; najbliżej oczywiście mieli ci, którzy znajdowali się przy windzie i w dyżurce pielęgniarek oraz w pomieszczeniu z telewizorem. Troje z tych ostatnich znalazło się na korytarzu akurat na czas, by zobaczyć,

470

jak przysadzista postać w białym fartuchu znika w salce na dwa łóżka, dokąd przenoszono chorych rokujących rychłą poprawę.

Gdzie leżała prawdziwa Kate Hamilton.

Czekając na swego oprawcę.

Ją alarm również przestrzegł, tak że wiedziała, iż Dean Lynch nadchodzi.

Był już w środku, zamknął nawet drzwi na klucz. Z zewnątrz dochodził go tupot zbliżających się kroków, teraz z konieczności wyhamowujących. Kiedy wzrok przyzwyczaił mu się do panującego w pomieszczeniu mroku, dostrzegł leżącą w łóżku postać. I uśmiechnął się. Znowu miał szczęście.

W białej szpitalnej pościeli spoczywała Elizabeth Anne Duggan, czarnowłosa i bladolica oprawczyni. Jej chuda, wręcz koścista ręka wystawała spod przykrycia.

Elizabeth Anne Duggan!

Łomotanie do drzwi tylko spotęgowało uczucie podniecenia, które narastało w nim od dłuższej chwili. Przypomniało mu się, jak walił małymi piąstkami w zamknięte na głucho drzwi schowka pod schodami w sierocińcu. Jego więzienia, jego lochu, jego małego prywatnego piekła.

Które nareszcie się skończy — razem z jej śmiercią. Nieważne, co stanie się z ni m. Nie dbał o to, czy również umrze. Nie dbał o to, j a k umrze. Byleby mógł pociągnąć j ą ze sobą. Zerwał z nosa okulary, żeby lepiej widzieć. Wtedy Kate Hamilton również przyjrzała się lepiej jego oczom. Pełnym gniewu, pełnym nienawiści, pełnym żądy zabijania. Gdy drzwi za jego plecami jęknęły i poleciały z nich pierwsze drzazgi, Dean Lynch — nie przestając się uśmiechać — podniósł rękę ze skalpelem.

— Żegnaj, suko. Spotkamy się w piekle.

Ból w piersi powodowany drenami między żebrami ograniczał jej ruchy, lecz mimo to Kate była w stanie podnieść i wycelować z prywatnego rewolweru Jacka McGratha. Wystrzelona kula trafiła Lyncha w prawą stronę klatki piersiowej, wyrywając z płuc kawał tkanki wielkości ludzkiej dłoni i zatrzymując napastnika w pół ruchu. Dean Lynch zatoczył się do tyłu.

471

Znajdujący się na zewnątrz wciąż uderzali w drzwi, zamek powoli ustępował. Drewno trzeszczało, krzyki stały się głośniejsze, bardziej natarczywe.

Kate zdołała złożyć się do drugiego strzału, lecz tym razem chybiła. Kula strzaskała fragment tynku. Pomimo dotkliwego bólu spowodowanego ruchem przyjęła pozycję mniej więcej siedzącą i wymierzyła znowu.

Lynch kulił się na podłodze, na wpół klęcząc, na wpół leżąc, desperacko walcząc o oddech. Jednakże każdy ruch klatki piersiowej powodował, że jego przestrzelone płuco napęśniało się krwią zamiast powietrzem. Zaczął się dusić. Przed oczyma migwały mu ciemne plamy. Kiedy zadarł głowę i spojrział do góry, zobaczył siedzącą na łóżku i uśmiechającą się do niego pannę Duggan. Patrzyła na niego z pogardą.

Kate jakimś cudem podciągnęła się na łokciach, chwytając się lewą ręką za zagłówek, i jeszcze raz skierowała rewolwer w stronę Lyncha. Broń ciążyła jej w dłoni niczym ołów, siły opuszczały ją w zastraszającym tempie. Nagle palce rozluźniły uścisk i rewolwer wypadł jej z dłoni. Powiodła za nim wzrokiem, po czym spojrziała na drzwi. Słyszała podniesione głosy, widziała wybrzuszące się skrzydło. Zdawała sobie sprawę, że zamek trzyma ledwie, ledwie. Ale wciąż trzymał.

A Lynch patrzył na nią.

Na swoją pannę Duggan. Która się do niego uśmiechała. I mówiła:

— I jak się czujesz w piekle, Lynch? No, jak?

Ostatnim wysiłkiem woli, wyjąc jak potępieniec z bólu ciała i duszy, stanął na obu nogach, czym wywołał krwotok z ust i nosa, i rzucił się do przodu, ku łóżku, zataczając szeroki luk ramieniem uzbrojonym w skalpel.

— T-ty s-suko...!

Skalpel z łatwością przeciął cienkie szpitalne przykrycie i wbił się głębiej, poddając się naciskowi martwego ciała Lyncha.

Charkot i rżenie — tyle usłyszał Jack McGrath, kiedy w końcu wpadł do pomieszczenia. Jedno i drugie dobiegało z gardła dogorywającego doktora Lyncha, który leżał, jak pad! — w poprzek ciała Kate Hamilton — trzymając w zaciśniętej konwulsyjnie

472

dłoni uchwyt skalpela wbitego pomiędzy rozłożonymi szeroko nogami Kate. W zakrwawiony teraz materac. Nie w jej ciało.

Kobieta zemdląca ze stresu, wysiłku i bólu. Lecz pozostała przy życiu.

W przeciwieństwie do Deana Lyncha, który umarł. Nareszcie.

Odszedł tam, gdzie jego dusza mogła zaznać takiego spokoju, na jaki zasłużył sobie uczynkami na tym padole łez, w miejsce, w którym — być może — nie było żadnej panny Duggan.

Słodki Boże! — powtarzał bezgłośnie inspektor Jack McGrath. — Słodki Boże!

Niczego więcej nie potrafił wykrztusić.

il 1

## DZIEŃ JEDENASTY

### XLVIII

Czwartek, 20 lutego, godzina 10.17 Kostnica miejska w Dublinie

To był pod każdym względem wyjątkowy poranek. Jak zgodzili się, rozmawiając o tym później, doktor Noel Dunne i inspektor Jack McGrath — dzień zaczął się nierealistycznie, fantastycznie, wprost nie do wiary. Mianowicie cyrkiem mediów.

Każdy dziennikarz i reporter, i kamerzysta został oddelegowany przez swoją macierzystą gazetę, stację lub kanał do towarzyszenia ciału Deana Lyncha, które wcześniej rano postanowiono przetransportować

z kostnicy szpitala Merrion do kostnicy miejskiej. W pewnym momencie nad jadącym przez Dublin karawanem policyjnym leciało aż pięć helikopterów wynajętych specjalnie na tę okazję. Kamerzyści wychylali się z kadłubów podniebnych ważek, ryzykując życie i walcząc o cenne ujęcie. Wydarzenie to było transmitowane na żywo przez większość stacji, w tym te najbardziej poważane, jak CNN i Sky, a na kanałach BBC i ITV przerywano nadawanie cyklicznych porannych programów, „aby na moment przenieść się na miejsce wyjątkowej sceny”. Bez precedensu okazała się decyzja szefów stacji RTE, którzy zdecydowali się nadawać relację na żywo i równocześnie rejestrować ją jako reportaż, wielokrotnie później odtwarzany. Cała Irlandia zamarła, towarzysząc w przedostatniej drodze ciała człowieka będącego najbardziej szalonym i przesiąkniętym na wskroś złem przez duże „z” przestępcą, jaki kiedykolwiek działał w tym kraju. Wynik meczu Irlandia—Anglia i rozróby na stadionie zostały zepchnięte na margines wiadomości, co w jakiegokolwiek innej sytuacji byłoby nie do pomyślenia.

475

Deana Lyncha transportowano do kostnicy miejskiej z powodów — by tak się wyrazić — logistycznych. W tejże kostnicy oczekiwali na sekcję zwłok dwaj inni „pacjenci” doktora Dunne'a, który stanowczo zaprotestował przeciwko wystawianiu się na żer medialnym hienom. - Jeśli ktoś myśli, że pojedę do szpitala Merrion, żeby wpaść w łapy dziennikarzom i fotografom z każdego irlandzkiego i angielskiego brukowca, to się grubo myli. Wystarczy jeden cyrk. Nie pozwolę zrobić cyrku także z mojej pracy. Skoro Dean Lynch ma zostać poddany sekcji zwłok i ja mam to zrobić, proszę go do mnie sprowadzić. Ja nigdzie się nie wybieram — postawił sprawę jasno koroner.

Nikt nie miał chęci ani podstaw, by z nim dyskutować. Zapadła decyzja o transporcie zwłok, której wszakże nie zdołano utrzymać w tajemnicy. Dodatkowo doktor Noel Dunne zażyczył sobie obecności drugiego lekarza medycyny sądowej, gdyż nie miał zamiaru spędzić przy stole sekcyjnym całego dnia. Aby spełnić jego życzenie, jedyną wolną akurat panią doktor sprowadzono aż z hrabstwa Cork.

Ciało Lyncha opuściło kostnicę szpitala Merrion w czarnym worku i na noszach na kółkach. Na tylnym dziedzińcu, będącym częściowo placem budowy, nastąpiło przekazanie go stróżom porządku, którzy podjechali czarną policyjną furgonetką pełniącą w razie potrzeby

funkcję karawanu. Działo się to z dala od oczu ciekawskich dziennikarzy i obiektywów kamer — tylko wszędobylskie helikoptery zdołały zawisnąć nad szpitalem i z ich pokładów kamerzyści z narażeniem życia filmowali niezbyt atrakcyjną z ich punktu widzenia scenę, robiąc przebitki na znacznie bardziej interesujące ich zdaniem tłumy reporterów powstrzymywanych przez kordon policjantów. Karawan ruszył przez miasto w asyście w sumie czterech wozów patrolowych — dwóch z przodu i dwóch z tyłu — oraz kolumny motocykli.

Kawalkada ta przedzierała się kolejno przez Merrion Road, Shelbourne Road, most na rzece Liffey, aż w końcu dotarła przed podwójne bramy kostnicy miejskiej. Ten budynek również otaczał szczelny kordon policjantów, a dziennikarze musieli zadowolić się oglądaniem sceny zza specjalnych barierek ochronnych. Mimo to fotografowie i kamerzyści próbowali

476

szczęścia, pstrykając zdjęcia i przewijając taśmę w nadziei, że pomimo wszystko coś zostanie utrwalone na celuloidzie. Reporterzy krzyczeli do mikrofonów, starając się zagłuszyć konkurencję. To, że obeszło się bez ofiar wśród przedstawicieli mediów, również należało zaliczyć do cudów w zgodnej opinii McGratha i Dunne'a. Dramatyczności dodawał tamtej chwili łopot wirników helikopterów, których obsada ponownie wygrała los na loterii, filmując z lotu ptaka, jak ciało Deana Lyncha opuszcza furgonetkę, zostaje ułożone na następnych noszach i niemal natychmiast wtoczone do wnętrza kostnicy. Na tym niestety skończyły się możliwości sprzętu.

Nieprzejrzysty dach stał się pierwszą przeszkodą w informowaniu społeczeństwa o tym, co dzieje się ze zwłokami największego w dziejach współczesnej Irlandii złoczyńcy.

W środku niewzruszony zamieszaniem Noel Dunne nadzorował pracowników kostnicy, kiedy przekładali ciało Lyncha z ruchomych noszy na

trzeci i tego dnia ostatni wolny stół sekcyjny. W pobliżu stał Dan Harrison, trzymając w dłoniach przygotowanego do pracy nikon.

Pat Relihan czekał na znak, gdy będzie mógł zdjąć odciski palców. Siedmiu innych techników policyjnych odzianych w służbowe stroje siedziało rzędem na białej ławie pod ścianą. Resztę pomieszczenia zajmował tłumek policjantów, tych umundurowanych i z oddziałów specjalnych.

Dan... Koroner popatrzył na zamyślonego fotografa i powtórzył: — Dan? Możesz zrobić zdjęcie wszystkich zwłok? Chciałbym, żeby na niektórych ujęciach widać było trochę tła, no wiesz, mundury i tak dalej... Mam wrażenie, że jesteśmy to winni potomnym.

Harrison kocim ruchem przesunął się wzdłuż ścian, szukając najlepszego miejsca. Tłumek rozstał się, robiąc mu miejsce. Dan

Harrison rozpoczął pracę.

BŁYSK!

Przeniósł się do drugiego rogu.

BŁYSK!

I do jeszcze jednego.

BŁYSK!

— Zrób jedno zdjęcie ze mną w środku — poprosił Dunne, stając pomiędzy stołami numer dwa i trzy i teatralnie przyglądając się ostatnim zwłokom.

477

BŁYSK!

To ostatnie zdjęcie było później najczęściej publikowane i taki właśnie obraz utrwalił się wśród opinii publicznej. Pękająca w szwach sala autopsyjna kostnicy miejskiej, dobrze pilnowana przez policjantów, z zajęтыми wszystkimi trzema stołami i lekarzem medycyny sądowej, który nie wie, w co włożyć ręce.

Na stole numer jeden spoczywały zwłoki Betty Nolan z plakietką identyfikacyjną dyndającą u wielkiego palca stopy i z szyją owiniętą ciasno kablem telefonicznym. Pozbawione życia oczy kobiety wpatrywały się w sufit, jak gdyby potrafiła usłyszeć latające nad kostnicą helikoptery i próbowała je wypatrzeć.

Na stole numer dwa leżał Tommy Malone — albo raczej to, co z niego zostało. Jego długoletnia towarzyszka życia pewnie by go teraz nie rozpoznała, nawet gdyby sama żyła. Twarz miał Tommy roztrzaskaną i ledwie przypominającą przód ludzkiej głowy. Tylko identyfikator przyczepiony do palucha prawej stopy świadczył o tożsamości denata.

Na stole numer trzy na razie tkwił czarny worek.

— Dobra, otworzyć go — polecił Noel Dunne.

Rozsuwany zamek błyskawiczny błysnął niczym ostrze skalpela przecinającego powietrze. Trzech pracowników kostnicy, odzianych od stóp do głów w gumowe fartuchy połączone z gumowymi butami i w grubych rękawicach na dłoniach, uniosło ciało eks-doktora, podczas

gdy Dunne wysunął spod niego plastikowy worek. Następnie delikatnie, niemal z szacunkiem, ułożyli ciało z powrotem na stole.

Oto on. Dean Lynch. Nadal ubrany w szpitalny fartuch. Pod spodem miał na sobie grafitowe spodnie i białą koszulę z ciemnoszarym krawatem. Na głowie — czarne włosy, nad górną wargą — czarny wąsik. Tylko okulary mu się gdzieś zapodziały; zresztą nie mógłby ich już poprawiać na nosie. Jego bladość w dużej części zniknęła, zabarwiona przez kapiącą jeszcze niedawno krew. A oczy — te same oczy, które siały postrach, które odzwierciedlały czyste Zło, ludzką nienawiść, gniew i zdradę i w których Kate Hamilton ujrzała własną śmierć, i to nie raz, lecz dwa razy — te oczy były martwe.

Umęczona dusza opuściła już ciało. I tylko ono pozostało, by świadczyć o życiu i dziele doktora Deana Patricka Jamesa Lyn-

478  
cha. Cokolwiek nim powodowało, cokolwiek zmusiło go do niehumanicznych czynów, cokolwiek sprawiało, że mścił się nawet na niewinnych, cokolwiek doprowadziło jego ciało do upadku, dawno zniknęło i odeszło w niepamięć.

Noel Dunne długo wpatrywał się w zwłoki Lyncha, powoli odnotowując obecność Jacka McGratha ze swojej prawej strony. Mężczyźni nie musieli nic do siebie mówić, wystarczyło, że wymienili krótkie spojrzenia. Dunne nie przepuścił okazji do wykładu.

— Autopsja rozpoczyna się zawsze od oględzin zwłok rzekł na użytek młodszych policjantów, z których niejeden był bledszy od leżących na stołach ciał. Powiódł wzrokiem po czekających na sekcję i dodał: — Czasem tylko trudno się zdecydować, od których zacząć.

Jack McGrath wyszczerzył się w uśmiechu.

No tak kontynuował niezrażony Dunne. — Oczywiście. Panie mają pierwszeństwo. Zatem zaczniemy od kobiety.

Wszyscy obecni ustawili się tak, by widzieć stół numer jeden i leżącą na nim Betty Nolan.

Tommy Malone i Dean Lynch zostali na razie pozostawieni sami sobie. Jeszcze przez jakiś czas mogli patrzeć w sufit niewidzącymi szklanymi oczami.

Tupot dziecięcych stóp na korytarzu i głosik Rory'ego odbijający się echem od ścian z wolna przesączał się do świadomości Kate.

Było trochę po czwartej po południu. Obudziła się już wcześniej, około

trzech godzin przedtem i tylko na krótko, ale była tak podekscytowana, że trzeba jej było podać aż dziesięć miligramów valium w iniekcji dożylniej, by ją uspokoić. To nienaturalne podniecenie wynikało z tego, że znowu śnił jej się Dean Lynch, który gonił ją po słabo oświetlonym, niemiłosiernie długim korytarzu. Za każdym razem gdy się oglądała za siebie, widziała jego pałające oczy, przepełnione nienawiścią do niej i do wszystkich kobiet, a może nawet do wszystkich ludzi, i jego zakrwawioną twarz i ręce, w których trzymał po skalpeli, wygrażając jej nimi i próbując ją dosięgnąć. Jakkolwiek wyciągała nogi, zdawało jej się, że stoi w miejscu, i coraz wyraźniej czuła jego oddech na plecach. Jak to w snach bywa, mimo że stała w miej-

479  
scu, kilkakrotnie skrzyła za róg, aż w końcu rzeczywiście stanęła przed zamkniętymi na głucho drzwiami. Desperacko szarpała za klamkę, ale dłonie miała całkowicie pozbawione siły i jej starania spełzły na niczym. Nieoczekiwanie zamek ustąpił i drzwi same się otworzyły, by odsłonić stojącego za nimi i czekającego na nią Deana Lyncha. Jego twarz przecinał uśmiech i krwawa pręga. Zamachnął się na nią skalpelem i wysyczał: „T-ty s-suko...” Narzędzie poszybowało szerokim łukiem i opadło na jej prawą pierś. Ból przeszył ją na wskroś, musiała szarpnąć się naprawdę, kiedy siadała prosto w łóżku, próbując podciągnąć kolana pod brodę, żeby się chronić. Już dobrze, Kate, nic się nie stało, jesteś bezpieczna — zapewniały ją pielęgniarki.

Ból taktycznie był rzeczywisty, jego powodem było usuwanie drenów. Trzeba ją było teraz przytrzymać i uspokoić, ale zwykłe słowa i środki przeciwbólowe nie pomagały. Dopiero zastrzyk Valium przyniósł spodziewany efekt. Kate odpłynęła w nieświadomość, a medycy mogli dokończyć usuwanie drenów i wenflonów. Nim zasnęła, zrozumiała, że jej koszmar się skończył, że Dean Lynch nie żyje i w niczym jej już nie zagraża. A ona żyła. Pozwoliła się utulić najstarszej, doświadczonej pielęgniarce i z wdzięcznością powitała sen.

Tupot stóp, dziecięcy głosik, głos ojca... wszystko to przesiąk-nęło do jej świadomości, wybudzając ją z narkotycznego snu. Powoli rozchyłała powieki, słysząc coraz więcej dźwięków, również tych, które nigdy by jej nie obudziły. Poczwała, że ktoś trzymają ją za rękę, po raz pierwszy od tak dawna. Nim jeszcze otworzyła szeroko oczy,



wiedziała, że jest to męska ręka i że nie należy ona do jej ojca. Była na to za duża i za silna. Sam uścisk zaś był nie tyle mocny, ile raczej dodający otuchy. Podobało jej się to uczucie, podobało jej się, że czyjś — ciekawe czyj? — kciuk gładzi ją delikatnie po grzbiecie dłoni. To także dodawało jej otuchy, uspokajało ją. Poczwała nagle, że ktoś o nią dba, że komuś na niej zależy. Że jest ktoś, kto ma wszystko pod kontrolą i nie pozwoli jej skrzywdzić. Ktoś, kto ją kocha... Otworzyła oczy do końca i spojrzała spod powiek.

Witaj — powiedział Paddy Holland.

— Obudziła się, dziadku! Obudziła!

480

Rory jednym susem znalazł się obok niej na łóżku i zaczął ją przytulać, obsypywać całusami i przyciskać się do jej wciąż obolałej piersi. Łzy znów popłynęły jej ciurkiem, tak jak wcześniej podczas rozmowy z synem, jednakże teraz były to łzy radości i ulgi.

Koszmar naprawdę się skończył. Mimo to nie chciała, by Paddy zabrał rękę. Choć starał się to zrobić dwukrotnie, ona dwa razy go przytrzymała. Nie puszczaj mnie — prosiła w duchu — już nigdy mnie nie puszczaj...

Mamusiu, pan Holland mówi, że ma w domu pieska. Obiecał, że będę mógł go odwiedzić i się z nim pobawić...

Jej ojciec przyglądał się całej scenie uważnie. Widział splecione dłonie, widział, jak Kate patrzy na tego obcego mu na razie mężczyznę.

Pójdę na dół napić się kawy — oznajmił, nachylając się i całując swoją jedynaczkę w czoło, wzrokiem nakazując jej, by nic nie mówiła, by nie psuła magii tej chwili. Wychodząc za drzwi, obejrzał się dyskretnie.

Rory wtulił się w bok matki, która gładziła go lewą ręką po twarzy, poprawiała mu włosy. Chłopiec oczywiście trzymał kciuk w buzi, a w drugiej ręczce swojego ukochanego Teda. Był szczęśliwy. Odzyskał matkę.

Prawą ręką Kate kurczowo trzymała dłoń mężczyzny, który również ani myślał wypuścić ją z uścisku.

Pięć kilometrów dalej, na oddziale intensywnej terapii noworodków Centralnego Szpitala Położniczego, Gordon O'Brien również był szczęśliwy. Odzyskał zdrowie i matkę, czuł jej czułe pieszczoty, słyszał jej bicie serca, wdychał jej zapach. Na swój sposób

również wiedział, że jego koszmar się skończył.

Doktor Holland pozwolił obojgu rodzicom na krótko brać malca na ręce. — Naprawdę świetnie sobie radzi — powiedział im wcześniej. — Musimy jednak wciąż uważać. Ma sporo do nadrobienia i na pewno nie wolno go ponaglać.

Sandra i Harry z zapałem pokiwali głowami. Zgodziliby się ze wszystkim, co powiedziałby doktor Paddy Holland, ich zdaniem cudotwórca. Nie posiadali się z radości z powodu powrotu ich syna do zdrowia, lecz w przeciwieństwie do innych nie mieli

481

odwagi cieszyć się z tego, że ich koszmar się skończył. Bali się, że czyjeś złe ręce znów wyciągną się po ich syna i że tym razem nikt nie zdoła go uratować.

Niemowlę wciąż miało założone wenflony i było podłączone do każdej możliwej maszyny, ale okazywało już oznaki życia, nawet jeśli wciąż było wyraźnie słabe. Gordon od czasu do czasu otwierał oczy i rozglądał się z zaciekawieniem dokoła, aczkolwiek zaraz zmęczenie brało górę i powieki na powrót ciasno mu się zamykały. Doktor Holland założył dziecku zgłębnik nosowo-gardłowy, aby mogło być karmione, bo choć wciąż nie odzyskało odruchu ssania, okazywało już oznaki głodu. Zapadnięte oczy i nienaturalnie płaski brzusek powoli odzyskiwały normalny wygląd, podobnie jak koloryt skóry, tak że O'Brien junior z każdą godziną coraz bardziej przypominał maleńkie dziecko, które Sandra nakarmiła i przewinęła w noc, kiedy porwał je Tommy Malone. Rączki i nóżki zaczynały powoli wierzgać, a w oczach pojawiały się iskierki życia.

— Mogę państwu coś powiedzieć — Holland ściszył głos, jakby nie chciał, by malec go usłyszał. — Państwa syn to mały wojownik. Przyszedł na świat, walcząc, i kontynuuje tę walkę mimo przeciwności. — Uśmiechnął się do dumnych rodziców Gordona. - A przecież ma zaledwie jedenaście dni. Co za początek życia! Co za dziecko! — pokręcił głową z niedowierzaniem.

Gordon O'Brien chyba wiedział, że o nim mowa, bo właśnie postanowił wydać z siebie pierwszy głośny płacz, odkąd z powrotem znalazł się w Centralnym Szpitalu Położniczym. Sandra natychmiast wzięła go na ręce i złożyła na jego policzku ciepły pocałunek, po czym ucałowała syna także w czoło i obie rączki.

— Cii... skarbie... cii... Mamusia jest przy tobie. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz...

Harry podszedł do żony i syna, stanął tak blisko nich, jak to było możliwe, kładąc jedną rękę na ramieniu Sandry, drugą zaś na głowce Gordona. Kobieta musnęła dłoń męża, przechylając głowę. Ani na moment nie przestawała szczebiotać do maleństwa.

— Panie O'Brien? — Harry odwrócił się do stojącej w drzwiach sali pielęgniarki oddziałowej, trzymającej przed sobą tacę z herbatą i kanapkami. Powinni państwo teraz trochę odpocząć. Przez cały dzień nic państwo nie mieli w ustach. — Usta-

482

wiła tacę na zwolnionym krześle i zaczęła rozlewać herbatę do filiżanek.

— Muszą państwo o siebie dbać... Kiedy ten malec nabierze sił, zacznie się domagać mnóstwa uwagi. No, proszę jeść i pić.

Smacznego. — Podniosła jedną filiżankę i włożyła ją w dłonie Sandry, od której Holland odebrał dziecko, by umieścić je w inkubatorze.

Harry'emu podała kanapkę z serem. — W dyżurce mamy tego więcej, proszę się więc nie kępować. Wystarczy zawołać, będę tam, za ścianą. - Z tymi słowami zostawiła ich samych, kiwając głową

Paddy'emu, by poszedł w jej ślady.

CTBrienowie pochłonęli talerz kanapek w parę minut i wypili po dwie filiżanki herbaty. Dotąd nawet nie zdawali sobie sprawy, że byli aż tak głodni. Nasyceni popatrzyli po sobie i pozwolili, by ich oczy się spotkały. Harry bez słowa wyjął z rąk Sandry pustą filiżankę i odstawił ją ostrożnie na tacę. Potem przyciągnął żonę do siebie i mocno ją do siebie tulił, słysząc, jak łka cicho na jego ramieniu. Scałował łzy z jej powiek, po czym uniósł jej lekko brodę i spoglądając prosto w oczy, powiedział:

— Już wszystko dobrze, Sandro. Koszmar się skończył... Stojąc ramie przy ramieniu, patrzyli na swojego syna, który właśnie znów się przebudził i zaczął popłakiwać z głodu. Sandra ujęła w dłonie jego piąstki i ścisnęła delikatnie.

Obserwujący ich przez przeszkloną ścianę Theo Dempsey pozwolił sobie na pierwszy od wieków uśmiech.

EPILOG

Tom Morgan zrezygnował z posady w Centralnym Szpitalu Położniczym i wyjechał z kraju. Reporter „The Daily Post” wytropił go w małym miasteczku w zachodniej Australii, po czym gazeta zamieściła rozkładówkę zatytułowaną w brukowcowym Stylu: WIECZNE

WAKACJE OGIERA

MORGANA.

Lukę Conway pozostał dyrektorem Centralnego Szpitala Położniczego i długo jeszcze kierował tą szacowną placówką, która rozpoczęła trzecie już stulecie działalności. Dopilnował, by dwa powstałe wakaty na stanowiskach lekarzy specjalistów objęły kobiety, przełamując tym samym wieloletnią męską znowę.

Sam Collins wydobrzył akurat na czas, żeby mógł stawić się na procesie. Zarówno on, jak i Peggy Ryan otrzymali dwudziestoletnie wyroki za udział w porwaniu Gordona O'Briena. Sędzia odczytujący uzasadnienie wyroku najwięcej słów potępienia skierował pod adresem Peggy, która nie słyszała nawet połowy, ponieważ przez większość czasu mamrotała sama do siebie.

Na pogrzebie Tommy'ego Malone'a zjawili się tylko paru jego dawnych kolegów o przestępczej przeszłości. Być może powodem było to, że uroczystość miała miejsce na mało znanym cmentarzu na północy hrabstwa Dublin. Nikt nigdy nie wznosił na jego grobie nagrobka.

485

Ciało Deana Lynclia przeleżało w kostnicy miejskiej prawie dwa miesiące, podczas których nikt nie upomniał się o nie. Zostało poddane kremacji na mocy decyzji radnych miasta. Doktor Noel Dunne rozsypał prochy nad wzburzonym morzem przy Howth Head któregoś kwietniowego wieczoru. Jedynym świadkiem tej ceremonii był inspektor Jack McGrath. Obaj żałobnicy resztę wieczoru spędzili w pobliskim pubie, gdzie wspólnymi siłami poradzili sobie z butelką Jamesona.

June Morrison powróciła do pracy w Centralnym Szpitalu Położniczym i dwa miesiące później, w maju, objęła stanowisko naczelnego pielęgniarki CSP.

Kate Hamilton zrezygnowała z pracy w policji po tym, jak nagle pogorszył się jej stan zdrowia, co związane było z zamachem na jej życie w pierwszych miesiącach roku. W czerwcu „The Daily Post” opublikował artykuł zatytułowany: ROMANS DZIELNEJ POLICJANTKI.

Towarzyszyły mu dwa zdjęcia. Pierwsze przedstawiało Kate idącą pod ramię z Paddyem Hollandem w parku Herberta, a drugie — Rory'ego w pogoni za małym psiakiem.

Gordon Henry Donal O'Brien został ochrzczony pod koniec września w imponującym kościele w Roundwood. Rodzicami chrzestnymi zostali June Morrison i Theo Dempsey. Dzień był wyjątkowo ciepły i słoneczny jak na jesień, a wydarzenie rozeszło się szerokim echem po

okolicy. Wioskę przystrojono jak z okazji największego kościelnego święta. Na parapetach okien stały doniczki z wciąż kwitnącymi kwiatami, płoty i słupy lamp owinięto gałązkami wiecznie zielonych krzewów. Media pozostały na zewnątrz kościoła — na prośbę rodziny czy też raczej dlatego, że Harry O'Brien obiecał, że po uroczystości nastąpi trwająca kwadrans sesja zdjęciowa.

Jego ponad półroczny syn natomiast głośnym płaczem zaprotestował, gdy tylko poczuł na czole krople zimnej wody święconej. June Morrison z przyjemnością i rozrzewnieniem słuchała płaczu berbecia, obecnie jej oficjalnego, aczkolwiek nie pierwszego chrześniaka.

486

Przed kościołem czekał tłum dziennikarzy, przedstawiciele prasy i telewizji z kraju i ze świata. Fotografowie i kamerzyści jak zawsze rozpychali się łokciami, walcząc o lepsze miejsce. Co mniej cierpliwi zużyli rolkę czy dwie filmu i stracili parę metrów taśmy, utrwalając na celuloidzie żółknące i unoszące się na lekkim wietrze pierwsze jesienne liście. Niewykluczone, że chcieli wykorzystać te zdjęcia i ujęcia przy innej okazji, na przykład nastrojowego pogrzebu, kiedy nie dopchają się do pierwszej linii.

Tuż zanim zgromadzeni w kościele bliscy i znajomi O'Brienów odjechali limuzynami w siną dal, a konkretnie na uroczysty lunch wyprawiany w Beechill, Wielki O'Brien zatrzymał się, by dopełnić obietnicy. Zdjęcie Harry'ego, Sandry i małego Gordona jeszcze tego samego dnia obiegło kulę ziemską, trafiając na ekrany telewizorów na całym świecie. Przedstawiało misiowatego posiwiałego mężczyznę, odzianego w nienagannie skrojony garnitur w jodełkę, białą koszulę i czerwony krawat, z wystającą z kieszonki białą chusteczką, obejmującego ramieniem uroczą młodą kobietę ubraną w koronkowe beżowe spodnium i w kapeluszu na głowie, trzymającą na ręku niemowlę okryte koronkowym szalem, spod którego wystawało tylko trochę czarnych włosów. Malec nie spał i wpatrywał się w matkę wielkimi zielonymi oczami. Nieprzyjemność związana z pokropieniem wodą święconą poszła widać w niepamięć, bo Gordon uśmiechał się szeroko.

— Pokaż nam dziecko, Sandro, pokaż dziecko! — zawołał jeden z fotografów.

Harry odwinął szal, odsłaniając twarzyczkę syna, podczas gdy Sandra ustawiła się bokiem i nieco uniosła ramię, na którym spoczywała

głowa jej dziecka.

Gordon O'Brien z zachwytem w oczach wgapil się w wycelowane w niego kamery i obiektywy. Kiedy wodził spojrzeniem od jednego dziennikarza do drugiego, z fascynacją przysłuchując się szumowi i trzaskowi migawek, na celuloidzie utrwał się obraz dorodnego dziecka o bujnej czarnej czuprynie i długich czarnych rzęsach, z cerą jak jabłuszko i bystrymi zielonymi oczami.

Zadowolonego dziecka.

Dziecka, które miało blisko siebie matkę i ojca.

Dziecka, które zapomniało o podniesionych głosach, przekleństwach i krzykach, o gniewie i dymie papierosowym, o szorstkich

487

niedelikatnych dłoniach, o bólu i głodzie, zimnie i nieszczęściu, o braku miłości.

— Gordon! — zawołał ten sam głos. — Uśmiechnij się do nas, proszę!

BŁYSK!

BŁYSK!

BŁYSK!

I Gordon O'Brien bez strachu uśmiechnął się do otaczającego go świata.

PAUL CARSON

(ur. 1949 r.), irlandzki powieściopisarz, mistrz thrillera medycznego. Jest pediatrą, prowadzi klinikę alergologiczną w Dublinie.

Autor fachowych publikacji medycznych i książek dla dzieci. Karierę pisarską rozpoczął w 1997 roku powieścią *Skalpel*, która zyskała światowy rozgłos. Jego kolejne książki *Ostatni dyżur* (*Last Duty*), *Cold Steel*, *Betrayal*, powtórzyły sukces debiutu. Tłumaczony na kilkanaście języków, w swych książkach łączy tematykę medyczną z wątkiem sensacyjnym. Mieszka w Dublinie z żoną i dwójką dzieci.